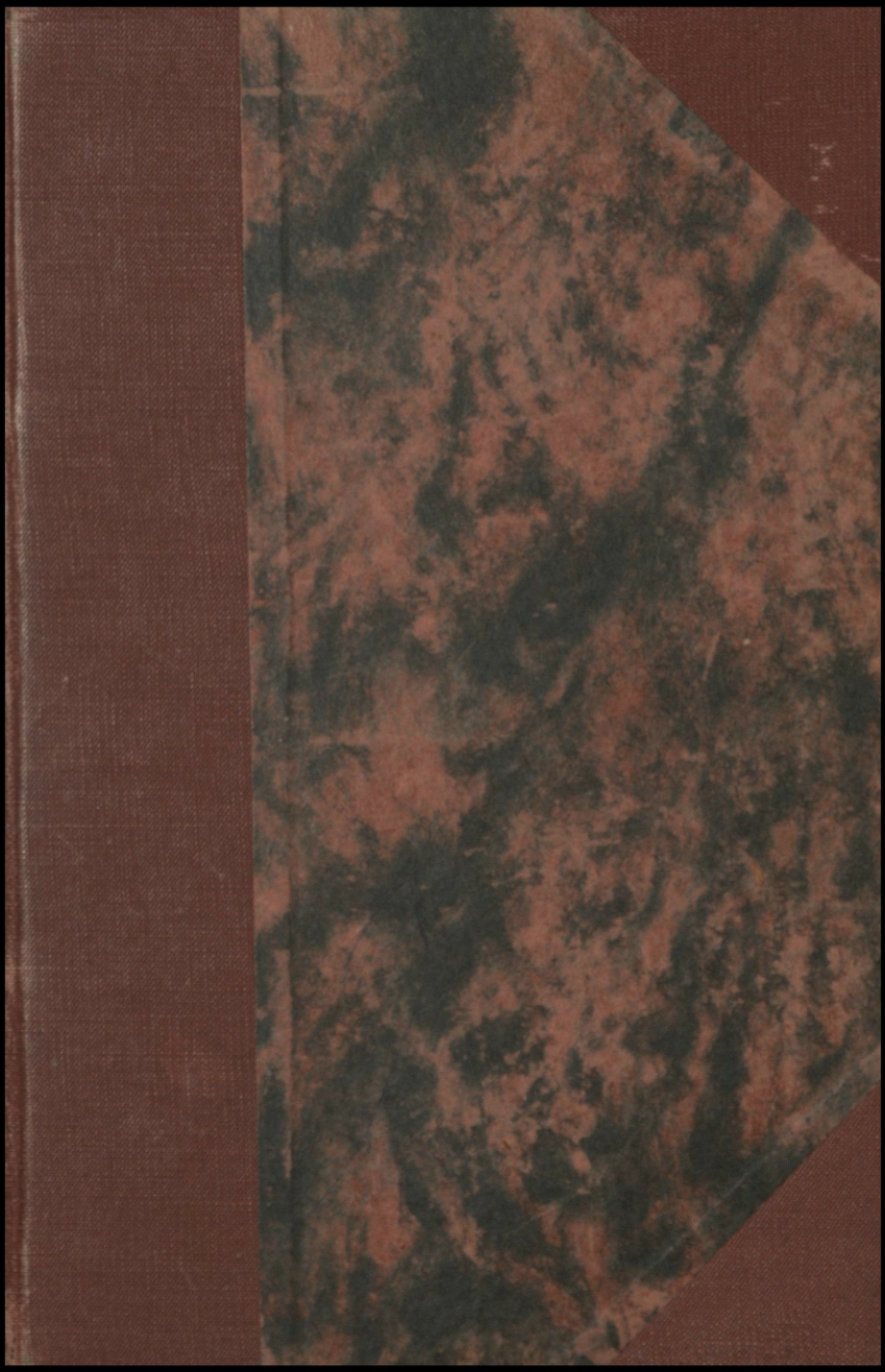

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES PICTA .COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres



K/c2. 450-

BURZA DZIEJOWA

Z łaski
Stanisław
S. z St.
Zaliełło

E. DE HENNING-MICHAELIS
Generał W. P.

BURZA DZIEJOWA

PAMIĘTNIK Z WOJNY ŚWIATOWEJ
1914 — 1917

TOM I

128141/1

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE



Bibliotek. wojsk. Akad. Polit.
12214/1

Zakł. Graf. Straszewiczów, Warszawa, Leszno 112.

1928

Żonie — wiernemu przyjacielowi ciężkich lat wojny światowej i rewolucji poświęca

autor.

PRZEDMOWA.

Książka ta jest przedewszystkiem pamiętnikiem przeżyć osobistych z wojny światowej, materjałem rzeczowym dla przyszłego historyka. Starałem się ją pisać możliwie bezstronnie, z konieczności jednak zajmuję w niej dużo miejsca: dowodziłem w ciągu całej wojny jednostkami wyższemi, tworzącemi odrębny, autonomiczny organizm; kierowały niemi naturalnie rozkazy wydawane z góry, nie wkraczały one jednak zasadniczo w sposób ich wykonania, w życie wewnętrzne jednostek; byłem więc rodzajem słońca, dokoła którego obracały się różne planety i księżyce. Naturalnie cały ten mój system planetarny w porównaniu z ogromem rozgrywających się wypadków był tylko drobnoustrojem, który rzadko mógł wywrzeć poważny wpływ na przebieg dużych operacyj.

Uważałem również za celowe streszczać w toku opowiadania krótki zarys wypadków natury strategicznej, rozgrywających się na szerszym teatrze operacyj wojennych, — ułatwi to czytelnikowi ogólną orjentację; oparłem te ustępy na materjale źródłowym, dostarczanym mi wielokrotnie przez kolegów, zajmujących w kierownictwie wysokie stanowiska; wypadkom tym dałem nawet pewną ocenę, do której

mnie upoważnia przygotowanie fachowe i długoletnia praca w rosyjskim sztabie generalnym.

W pamiętniku mym mogą się wydawać dziwne niejednemu z czytelników ustępy, dotyczące mego odczuwania muzyki lub nastrojów natury, nie mające właściwie rzeczowego związku z akcją wojenną. Czynniki te wywierały jednak stale poważny wpływ na moje usposobienie psychiczne, musiały zatem zaważyć na przebiegu wypadków, któremi kierowałem. Obcowanie z muzyką, z naturą było naturalnym odruchem duszy samotnego człowieka, zmęczonej grozą przeżywanego dramatu, szukającej w chwili rozterki ratunku w dziedzinie sztuki a bardziej jeszcze u matki przyrody. Podanie o synu ziemi, Anteuszu, odzyskującym nadwątlone walką siły na łonie rodzicielki-natury, zawiera głęboką myśl...

AUTOR.

ROZDZIAŁ I.

23 czerwca r. 1914 został zabity w Serajewie arcyksiążę austrjacki, Franciszek Ferdynand; morderca, Serb Princip, zbiegł ze wspólnikami do Serbji; zabójstwo to wywołało w Austrji ogromne wzburzenie, opinja publiczna żądała wydania morderców i złożenia gwarancyj, zapobiegających dalszej propagandzie panserbskiej na ziemiach Austro-Węgier.

Dla każdego uważnego obserwatora życia było rzeczą jasną, że sprzeczności interesów ekonomicznych i politycznych rozbiły Europę na dwie duże, rywalizujące z sobą grupy, większość mocarstw przypuszczała jednak, że jeszcze tym razem zatarg skończy się na notach dyplomatycznych i jakimś kompromisie: przecie w kotle bałkańskim gotowało się stale od lat kilkunastu, a do wybuchu jednak nie doszło.

* * *

W tym czasie zajmowałem stanowisko komendanta twierdzy Dęblina (Iwangrodu), którą od r. 1910 likwidowano zwolna, jednocześnie pełniłem obowiązki dowódcy brygady 18 dyw. piechoty, kwaterującej częściowo w Dęblinie; zamiar likwidacji twierdzy upadł jednak w początku r. 1914, i sztab generalny postanowił ją przebudować, jako tête de pont, według planu

przeze mnie zaprojektowanego. Wykonanie go miałem rozpocząć natychmiast.

W początku lipca jeździłem z grupą generałów sztabu generalnego w Łomżyńskie; chcieliśmy sprawdzić szanse czynnej obrony linji Narwi pomiędzy Osowcem a Ostrołęką. Podczas odpoczynku w Kolnie zaproponował ktoś przejażdżkę do Nejdenburga na piwo; na komorze rosyjskiej nie robiono nam żadnych trudności, uprzedzono jednak, że od kilkunastu dni Niemcy puszczają na swoją stronę niechętnie. Ukazanie się czterech generałów rosyjskich w uniformach zrobiło na żandarmie niemieckim widoczne wrażenie; wysłuchał nas z oznakami służbowego szacunku, zameldował, że przeszkód naturalnie nie będzie, ale uważał za konieczne ze względu na nasze szarże zatelefonować do landrata. Ponieważ pociąg odchodził dopiero za godzinę, postanowiliśmy czekać. Po chwili powiedziano nam, że niestety landrat wyjechał, a zastępca gdzieś wyszedł; minęła jednak godzina, zajechał pociąg, Nejdenburg wciąż jednak milczał. Ponowiłem więc raz jeszcze naszą prośbę, uprzedzając, że w razie nie otrzymania odpowiedzi, siadamy do pociągu bez przepustki. W parę minut odpowiedź nadeszła: „Landrat żałuje bardzo, ale nie może pozwolić na przyjazd rosyjskich generałów do miasta."

Wróciliśmy jak niepyszni do Kolna, komentując powody przypuszczalne zakazu; każdy z nas przekraczał wielokrotnie w mundurze granicę niemiecką dla zwiedzenia pogranicznych miast i nigdy nie doświadczył żadnych przeszkód; przypuszczaliśmy więc, że Niemcy przygotowują coś w dziedzinie wojskowej

w związku z niepokojącą sytuacją międzynarodową, czego nam nie chcą pokazać. W Warszawie zbagatelizowano jednak nasze przypuszczenia, nikt nie oczekiwał nadciągającej burzy.

Lato mieliśmy śliczne, urodzaje zapowiadały się doskonale, rozkwit natury zdawał się nawoływać do beztroski i radości bytowania, chwytano więc chciwie wszelkie oznaki pokojowego załatwienia konfliktu. Wyjazd cesarza z rodziną na szchery, wizyta prezydenta Francji Poincarégo w Petersburgu, zdawały się wskazywać na pewne uspokojenie.

25 lipca wyjechałem powtórnie do Modlina na naradę komendantów; po drodze wpadłem do Warszawy. Gdym jechał ze stacji, minęło mnie kolejno w automobilach dwóch generałów, każdy z nich sygnalizował mi coś ręką. Zatrzymałem się więc w sztabie okręgu, dla wyjaśnienia sytuacji. Sekretarz trochę przestraszony zameldował, że Austrja wysłała Serbji ostre ultimatum z dwudniowym terminem, a z Petersburga nadszedł rozkaz dokonania wstępnych przygotowań do mobilizacji. Narada w Modlinie została zatem odwołana, do Dęblina wyjechał kurjer z instrukcjami.

Przejrzałem pisma: ultimatum było nie do przyjęcia, upokarzało Serbję tonem i treścią, zapowiadało wojnę w razie, gdyby żądania austrjackie zostały odrzucone; nie można było się łudzić, zawierucha wojenna zdawała się nieunikniona.

Wróciłem więc natychmiast do Dęblina. Czekał tu na mnie tajny rozkaz, wprowadzający okres przedmobilizacyjny: pułki miały wracać z letnich obozów na zimowe kwatery, urlopowanych wezwano do oddziałów,

zapasy mobilizacyjne, sprawność taborów miały być sprawdzone, ochrona składów wzmocniona. Nie znalazłem jednak ani słowa co do samej twierdzy, której zmobilizować wobec dużego postępu rozbrojenia nie mogłem; wydałem podkomendnym odpowiednie polecenia i zawiesiłem jednocześnie wszystkie roboty przy przebudowie; o bojowym stanie twierdzy wysłałem tej samej nocy do Warszawy raport, prosząc o instrukcje.

Nazajutrz wieczorem żandarm przywiózł z Warszawy tajną pocztę, w której znalazłem odpis komunikatu rządowego: „rząd jest poważnie zaniepokojony zaszłemi wypadkami i wysłaniem przez Austrję ultimatum, śledzi więc bacznie rozwój konfliktu, wobec którego Rosja nie może pozostać obojętna".

Jednocześnie nadeszły pisma poranne, naszpikowane wprost telegramami coraz to bardziej alarmującemi. Zwracała uwagę różnica w tonie prasy: polska, rosyjska i francuska wyglądały z utęsknieniem wieści spokojniejszych, austrjacka i niemiecka przemawiały butnie, zaczepnie: „Serbja musi wypełnić żądania Austrji lub zginąć...", „Niemcy bez wahania wypełnią swój obowiązek sprzymierzeńczy..."

27 lipca przeczytałem, że posłowie Austrji i Serbji zostali odwołani, w stolicach zainscenizowano manifestacje patrjotyczne, Austrja zaś ogłosiła mobilizację; widoczne było, że to wagnerowska „unendliche Melodie" zbliża się do decydującego akordu.

Akord ten odezwał się dnia następnego. Niemcy odrzuciły angielską propozycję pośrednictwa, „pozostawiając wypadkom bieg normalny". Austrja wypo-

wiedziała wojnę Serbji, nad Driną rozpoczęły się krwawe zapasy. Nie wątpiłem na chwilę, że wkrótce wezmą w nich udział Niemcy i Rosja, wtedy główne konto zapłaci Polska: przez ziemie nasze będą się przelewały olbrzymie fale ludzkie, niosące zagładę polskiej kulturze, a synowie Polski, wcieleni do armij zwalczających się, będą zmuszeni do przelewania krwi bratniej. Myśli te wydawały się tak bolesne, że próbowałem „contra spem sperare", łudzić się, że społeczeństwa europejskie cofną się jednak przed widmem ciężkiej zawieruchy wojennej.

W ciągu dnia, póki trwała praca, dawałem sobie radę z nurtującym mnie niepokojem, gdy jednak pod wieczór wracałem do domu, nie mogłem sobie znaleźć miejsca, czekając z wewnętrzną trwogą na pocztę warszawską i codziennego od paru dni żandarma „z pakietem". Ale starałem się ukryć przed żoną troskę, „robiłem spokojną twarz", bo czułem często utkwione we mnie jej badawcze spojrzenie.

29 lipca jednocześnie z bombardowaniem przez Austrjaków Białogrodu rząd niemiecki spytał Rosję i Francję, co znaczy rozpoczęta w tych państwach mobilizacja, i uprzedził, że w razie otrzymania niezadowalającej go odpowiedzi zarządzi u siebie ogólną mobilizację; pytanie to było wprost bezczelne. Rosja nie powołała dotąd z rezerwy ani jednego żołnierza, a powszechnie było wiadomo, że niemiecka mobilizacja wojskowa, zarządzona na mocy tajnych rozkazów, jest w pełnym biegu.

30 lipca prezydent Poincaré wrócił do Francji, tegoż dnia ogłosił rząd rosyjski częściową mobilizację, skierowaną przeciw Austrji.

* * *

Nadeszła chwila, że należało pomyśleć o losie rodziny. Pojechała więc do Warszawy żona. W sztabie uspokojono ją, zaznaczając, że sytuacja jest bardzo poważna, *ale nie beznadziejna,* a w parę godzin później zawiadomił ją telefonicznie sekretarz sztabu: „Niemcy zajęli Kalisz i faktycznie wojna się już rozpoczęła". Rano zatem, 30-go lipca, sztab okręgu warszawskiego łudził się jeszcze i nie był poinformowany o tem, co się o miedzę od niego dzieje; ja zaś dowiedziałem się o sytuacji przedewszystkiem od żony po jej powrocie, a wieczorem dopiero wręczył mi urzędnik pocztowy telegram z Najwyższym rozkazem o mobilizacji ogólnej.

Zebrałem natychmiast starszyznę i wydałem odpowiednie rozkazy; zauważyłem, że twarze u wszystkich bardzo się wyciągnęły, zresztą i ja nie musiałem zbyt triumfująco wyglądać; nieuświadomienie sztabu okręgu co do sytuacji, brak dyrektyw, określających losy Dęblina wskazywały wyraźnie, że okręg nie jest przygotowany pod względem ogólnej mobilizacji, należało więc oczekiwać improwizacji, czyli chaosu.

ROZDZIAŁ II.

Nazajutrz rano wyjechała moja rodzina. Stosownie do ogólnych dyrektyw musiałem ją wysłać poza linję Dniepru i wybrałem jako locum Teodozję na Krymie,

zdala od zgiełku wojennego; po drodze miała się żona zatrzymać w Kijowie.

W twierdzy zapanował ogromny ruch. Postanowiłem nie czekać na żadne instrukcje i przygotować Dęblin do obrony w granicach posiadanych środków. Inżynierja rozpoczęła, stosownie do zatwierdzonego przeze mnie planu, umacnianie pozycyj czołowych na lewym brzegu Wisły; wsie okoliczne dostarczyły robotnika do pracy obowiązkowej, ale dobrze płatnej; forty odpowiednie doprowadzono do stanu obronnego, zbudowano dla załogi schrony, zabezpieczające od bombardowania (użyłem do tego szyn kolejowych, wziętych jure caduco ze składów przy torze), i takiż schron przygotowywała inżynierja i dla komendanta twierdzy ze sztabem za linją fortów; kable telefoniczne przeniesiono pod ziemię, powyżej mostu kolejowego przez Wisłę urządzono estakady dla zatrzymywania branderów, za linją fortów wybudowano szereg stanowisk dla ciężkich bateryj, uzbrajając je posiadanemi w tajnych składach działami.

W zakresie życia wewnętrznego wydałem zakaz używania trunków wyskokowych, a dla pewności kazałem zwieźć cały zapas alkoholu, znajdujący się w twierdzy, nad Wisłę, gdzie go zniszczono w obecności delegowanego oficera sztabu. Kazałem również opuścić twierdzę w ciągu dwudziestu czterech godzin wszystkim kobietom wraz z dziećmi, z wyjątkiem tych, które zgodziły się pracować w szpitalach. Rozporządzenia te wykonano z dużą niechęcią, ale w terminie nakazanym. Do służby sanitarnej zgłosiły się tylko dwie panie.

Biblioteka Wojsk. Akad. Pol.

Praca w twierdzy wzrastała z dniem każdym, garnizon zwiększał się szybko; musiałem również żywić oddziały, przejeżdżające koleją, które miały w Dęblinie punkt żywnościowy; nic nie było zawczasu przewidziane, a zarząd mej intendentury składał się z jednego urzędnika, zupełnie nieprzygotowanego do roli intendenta twierdzy; miałem więc olbrzymi kłopot z dostarczeniem oddziałom żywności: musiałem naprędce budować piece do pieczenia chleba, urządzić rzeźnię, kupować mąkę, bydło, zdobywać herbatę i cukier; bez Żydów z m. Ireny nie dałbym sobie chyba rady.

W dwa dni po ogłoszeniu mobilizacji poczęły ciągnąć z Kieleckiego stadka władz cywilnych, ewakuowanych do Rosji; wieźli oni z sobą ogromne skarby archiwalne, grube „dzieła“, które na mocy otrzymanych rozkazów mieli pozostawić w twierdzy. Nie miałem pod tym względem żadnej instrukcji, pozwalałem więc im składać tę makulaturę w pustych kazamatach, zaznaczając, że nie odpowiadam za jej całość i nie wydam żadnego kwitu; byłem zresztą pewny, że całe to paskudztwo zginie w ciągu wojny bez śladu i krzywdy dla ludności polskiej. Miejscowe władze powiatowe zapodziały się gdzieś narazie, kazałem je więc terminowo odnaleźć i przedstawić mi.

3 sierpnia został mianowany naczelnym wodzem w. ks. Mikołaj. Był to dobry wybór; książę, człowiek poważny, posiadał wyższe wykształcenie, chociaż wojennego doświadczenia nie miał; Prusaków nie lubił, z cesarzową był w złych stosunkach.

Niemcy zażądali od Belgji ultimatywnie zgody na przemarsz swej armji przez jej terytorjum. Król

Albert odrzucił bezwzględnie to bezczelne żądanie. Nie będą się jednak Niemcy liczyli z oporem i zgwałcą poręczoną przez nich samych neutralność Belgów, by ominąć starannie przygotowaną do obrony wschodnią granicę Francji; tego wymaga bismarkowska „Faustrecht".

Wobec ewakuacji południowej części Królestwa, zakazałem wywozu w Kieleckie i Radomskie wszelkich produktów rolnych. Nazajutrz po zakazie zatrzymano przy kontroli ruchu towarowego na stacji wagon z trójką koni, wywożony w Kieleckie na jakąś „wystawę"; obejrzałem konie: były wartości pierwszorzędnej — ogier angloarab lat pięciu i dwie klacze hunterki; dokumenty przewozowe były niewyraźne, a stangret, który je wiózł, dawał bałamutne wyjaśnienia. Kazałem więc konie skonfiskować na rzecz skarbu i zawiadomić o tem najbliższą komisję mobilizacyjną z zaznaczeniem, że ogiera zabieram sobie na poczet należnych mi z rekwizycji, a hunterki oddaję oficerom mego sztabu.

Tegoż dnia spróbowałem ogiera pod siodłem: niósł lekko, przeszkody brał z ogromną łatwością, ale był zły, słabo ujeżdżony, coraz to stawał dęba, starając się mnie zrzucić, szedł trawersami, wierzgał, zmęczył mnie więc porządnie. W dwa dni później przyjechał do mnie właściciel tych koni, p. Matuszewski, o zupełnie niepolskiej twarzy, i prosił o zwrot koni, nie mógł jednak wytłumaczyć, poco je wywozi w Kieleckie. Odmówiłem mu więc, ale nazajutrz nadszedł telegram urzędowy od p. Stolpego, zajmującego poważne stanowisko w zarządzie stadnin rządowych, że

konie te są własnością rządową. Kazałem więc je zwrócić, chociaż w umyśle mym sprawa wydawała się wciąż niejasna: w dokumentach przewozowych rządowe pochodzenie koni nie było zaznaczone, nie wspominał o tem również nic ów p. Matuszewski, przeciwnie, zaznaczał, że to jego jedyny majątek, bez wytłumaczenia, czemu konie jechały na spotkanie austrjackiej armji. Nie miałem jednak czasu na dalsze prawowanie się.

* * *

Jeździłem często na roboty ziemne: postępowały one szybko, ale spędzano trzy razy więcej ludzi niż potrzeba; jeden przeszkadzał drugiemu. W dzienniku robót wykryłem wkrótce duże odchylenia i zawsze na szkodę skarbu; naturalnie wypadło szefowi inżynierów, gen. Popowowi, wysłuchać parę cierpkich uwag.

Wracałem zwykle przez pola „pozłacane pszenicą, posrebrzane żytem"; zbiory dojrzały już, żniwa zapowiadały się doskonale, nie sądzono było jednak ludziom zebrać plonu całorocznej pracy, łany stratowane były kopytami końskiemi, żołnierskiemi butami, przeorane ciężkiemi kołami dział fortecznych. A przecie to dopiero preludjum...

* * *

5 sierpnia otrzymałem urzędowe potwierdzenie, że Niemcy zajęli bez walki Kalisz i Częstochowę, ale nie posuwają się w głąb kraju. Miałem wrażenie, że zastosują oni w pierwszym okresie wojny na froncie rosyjskim strategję obronną, by, wyzyskując bardziej przewlekłą mobilizację armji rosyjskiej, rozprawić się

naprzód z Francją. Plan ten wydał mi się bardzo mądry. Celowo również przenosili oni nawet obronną akcję na terytorjum nieprzyjacielskie (należy w każdym wypadku chronić od zniszczenia nawet najmniejszy skrawek własnej ziemi, chociażby dla względów natury moralnej tylko). Kwaterujące w czasie pokoju na lewym brzegu Wisły, 1 i 2 brygady strzeleckie cofnęły się po zmobilizowaniu ku Wiśle; jasne było, że armja rosyjska nie zamierza bronić zachodnio-południowej części Królestwa.

Wieczorem nadszedł telegram: Anglja żądała ultimatywnie od Niemiec uszanowania neutralności Belgji, Niemcy zaś odmówiły i otrzymały wypowiedzenie wojny. Włochy ogłosiły swą neutralność. Wiadomości te były dla sojuszu francusko-rosyjskiego nader pomyślne: przybywał mu jeden sojusznik a o jednego wroga mniej. W każdym razie walka będzie przewlekła. Niemcy przygotowały się do wojny gruntownie i biją się dobrze, a wiadomo, że osaczona dzika bestja walczy rozpaczliwie aż do zupełnego obezwładnienia.

Zadeklarowana neutralność Włoch skróciła front bojowy armji francuskiej o sto przeszło kilometrów, uczyniła poważny wyłom w planie operacyj mocarstw centralnych, opracowanym zawczasu; musi on więc być zmieniony i to w najkrótszym czasie, co wywoła improwizację doraźną i utrudni harmonijne i szybkie wykonanie zamierzonych operacyj.

* * *

W nocy obudzono mnie telegramem, że Austrja wypowiedziała wojnę Rosji, skończył się więc i na

tym froncie okres niepewności. Z tej strony poczuję wojnę prędko: w Kieleckiem przesłania front tylko 14 dywizja jazdy; dowodzi nią gen. Nowikow, mój kolega z Akademji, zdolny, inteligentny generał, nie posiadający jednak odpowiedniej energji i inicjatywy.

Zdaje się, że z Galicji wkroczyły w Kieleckie dwie dywizje jazdy austrjackiej, gros jednej było wczoraj w Opatowie, drugiej — w Kielcach; przy tej są podobno polskie organizacje strzeleckie z Małopolski. Co za dziwny polsko-habsburski patrjotyzm! Zato ludność nasza w Królestwie okazuje dużo rozwagi: inteligencja z Kielc i Radomia wysłała, podobno, młodzież dorastającą do Rosji, by ją uchronić od agitacji czynników zakordonowych; z drugiej strony mało mnie zachwycają hymny uwielbienia, głoszone przez rosyjskie władze pod adresem ludności polskiej za jej takt i spokojną lojalność; przecie jasne jest, że nie mogą tu grać najmniejszej roli nie istniejące uczucia przywiązania dla najeźdźcy wschodniego. Spokojna, pełna rezerwy postawa społeczeństwa polskiego jest wyłącznie aktem rozsądku i zrozumienia, kto dla Polski jest najbardziej niebezpiecznym wrogiem.

* * *

Otrzymałem rozkaz wysłania pułku tulskiego i 2 bateryj w Radomskie, jako replis jazdy gen. Nowikowa; wzamian zaczęto organizować w Dęblinie 75 dywizję piechoty drugiego powołania; jej dowódcą mianowano gen. Stegelmana, inżyniera wojskowego, fantastę panslawistycznego, zresztą bardzo porządnego człowieka. Dywizję kompletowano zapasowymi z rejonu Dęblina,

miała ona zatem poza kadrą rosyjską zupełnie polski skład żołnierza. Dla organizacji posług religijnych zaprosiłem do siebie okolicznych księży i zauważyłem, że byli oni nieco zażenowani, gdy Stegelman, bardzo przychylny Polakom, całował ich przy powitaniu w rękę. Mszę świętą odprawiano w pułkach codziennie a wieczorem rozbrzmiewała cała okolica religijną pieśnią polską; słuchałem jej zawsze z sercem ściśniętem, przecie nad obozami temi unosiło się już widmo śmierci a nad całą niziną zapowiedź zniszczenia dorobku pracy polskiej.

Bywając codziennie na nabożeństwie, zauważyłem wśród żołnierzy duże przygnębienie: modlili się żarliwie na klęczkach, spowiadali z dużem skupieniem, ale odchodzili od ołtarza po komunji z twarzami ciężko zatroskanemi; trudno się było im dziwić, powołano ich do wojska pod przymusem, kazano porzucić rodziny i chaty, zabierano na wojnę w sprawie obcej im Rosji.

Pod wieczór ściągały codziennie do obozów całe tabory z rodzinami żołnierzy; wyprzęgano z wozów konie, rozkładano ogniska, warzono przywiezione zapasy; na pierwszy rzut oka robiło to wrażenie taboru przesiedleńców, brakło tu jednak zwykłego rojowiskom ludzkim ożywienia, śmiechu lub piosnki wesołej; gwarzono między sobą pocichu, twarze wciąż były smutne. Jako dowódca patrzyłem na te odwiedziny z pewną niechęcią: żołnierze rozmazgajali się stale; zakazu jednak żadnego nie wydałem, byli to przecież rodacy, ofiary krzywdy dziejowej.

* * *

Odszedł z twierdzy kozacki pułk; pożegnałem go z przyjemnością, trudno było upilnować tych baranków, by nie rabowali. Wzamian przysłano mi konny pułk straży granicznej; tak szybkie przybycie ich zdziwiło mnie. Według opracowanego przeze mnie a zatwierdzonego przed paru laty planu, sotnie straży granicznej miały się zmobilizować w ciągu sześciu godzin i wykonać szereg krótkich rejdów na terytorjum nieprzyjacielskiem, w celu zburzenia mostów kolejowych, stacyj i składów; gdy jednak ogłoszono wojnę, „pogranicznicy" spakowali pośpiesznie manatki i wycofali się przed pierwszemi podjazdami niemieckiemi. Podobno nie wydano ze sztabu okręgu rozkazu wykonawczego.

* * *

W Belgji pod Liège toczą zażartą walkę korpusy niemieckie; wzięły już dwa forty szturmem. Jak to się stać mogło, nie rozumiem, chyba wśród obrońców wynikła panika; przecie stałych fortyfikacyj wojska polowe nie ugryzą bez pomocy ciężkiej artylerji, czyżby się ona tak prędko znalazła na froncie armji? i to w dużej ilości?

Mamy zatem siedem mocarstw w stanie wojny. A przecie to dopiero prolog, nie ukazali się jeszcze na widowni dramatu dziejowego aktorzy kotła bałkańskiego, stałego motoru powikłań i apetytów; od czasu Napoleona Wielkiego nie przeżywała ludzkość takiego kataklizmu; wypadki niezmiernej doniosłości potoczyły się z tak zawrotną szybkością, że w ciągu dni sześciu— od 1 sierpnia przeżyliśmy całą epokę.

* * *

Dzisiaj przybył do mnie inżynier Szwarc, znany obrońca Portu Artura, a z nim jeszcze dwóch inżynierów. Przyjazd pułkownika ucieszył mnie; posiada on doskonale sztukę fortyfikacyjną, ma również rozległe doświadczenie bojowe; zawiozłem go zaraz na pozycje czołowe. Nie ganił dokonanej pracy, zrobił jednak parę cennych uwag co do dalszego rozwoju systemu obronnego, podkreślił konieczność natychmiastowego wysiedlenia mieszkańców Dużego i Małego Nagórnika, które znalazły się na linji frontu. Wiedziałem o tem i bez niego, ale ociągałem się wciąż z decyzją: żal mi było biednych chłopów; dłużej jednak nie wolno było czekać. Pytali ogromnie strapieni, dokąd mają się wynieść; poradziłem im okolice Maciejowic na prawym brzegu Wisły, zdala od wszelkich możliwych kierunków operacyjnych.

Po parudniowej prostracji ujawniła się nareszcie administracja powiatowa, ale pociechy miałem z niej mało; nie rozumie ona życia, dla niej jest wszystkiem „bumaga". Grożę więc, grzmię, ale grzmoty owe dotychczas mają charakter Filokomenesowych: nie mam kim zastąpić tych ludzi. Dla walki z nędzą wśród rodzin pozostałych poleciłem utworzyć komitety gminne z udziałem księży i obywateli, dla ożywienia akcji zapowiedziałem, że opieka moja nad większą własnością będzie w prostym stosunku do ofiarności ich właścicieli. Żydów musiałem nastraszyć. Wiedzieli oni, że wojsko potrzebuje ogromnej ilości mięsa, puścili więc swoich ajentów po wsiach, którzy opowiadali, że bydło zabierają kozacy, nie płacąc za nie; nastraszywszy chłopów, kupowali krowy za bezcen. Zapowiedziałem

represje — szubienice dla głównych winowajców, ciężkie kary pieniężne i wysiedlenie do Rosji dla mniej winnych; narazie, zdaje się, pomogło.

Miałem oryginalny zatarg z kap. saperów fortecznych, Miasojedowem. Nie spełnił on w przepisanym terminie mego rozkazu mobilizacyjnego, gdym go wezwał do raportu, nie uznał swej winy, gdyż „za panowania Aleksandra I miał już ze mną zatarg i był już generał-adjutantem, ja zaś zwykłym generałem"; nie miałem czasu na zajmowanie się psychopatą, zwanym zresztą zwykle „szalonym mułłą", i wysłałem go natychmiast z twierdzy do dyspozycji sztabu armji.

* * *

9 sierpnia walczyła armja rosyjska pod Beresteczkiem i Poczajowem. Austrjaków odrzucono, w odwrocie podpalili oni Brody. Zaczęły się iluminacje...

* * *

14 sierpnia w. książę Mikołaj wydał odezwę do Polaków. Nawoływała ona do bratniego pojednania z Rosją, zapowiadała połączenie całego narodu w jedno ciało pod panowaniem cesarza rosyjskiego: „pod tem berłem odrodzi się Polska swobodna w swej wierze, języku i samorządzie; jednego tylko spodziewa się Rosja po Polakach: takiego samego poszanowania praw ludów, z któremi ich związały losy".

Z dużem wzruszeniem przeczytałem tę odezwę, zapowiadała ona przecie zjednoczenie i wskrzeszenie Polski... pod berłem cesarza rosyjskiego coprawda, ale pojmowałem to, jako unję osobistą, rozumiałem zaś,

że największem nieszczęściem naszem było przedewszystkiem rozdarcie na trzy części, które stopniowo różniczkowało nas coraz bardziej moralnie, a obecnie zmuszało do walki bratobójczej.

* * *

Tymczasem jazda gen. Nowikowa stoczyła pierwsze walki z Austrjakami; owoce jej — drobny transport rannych rosyjskich ułanów nadjechał wkrótce do Dęblina. Wszyscy byli zranieni kulami szrapnelowemi, walki miały zatem tylko charakter artyleryjski, nie było ze strony rosyjskiej szarż w konnym szyku. Wydało mi się to bardzo dziwne, i nie licowało z charakterem Nowikowa. Nazajutrz przywieziono dwóch rotmistrzów huzarów węgierskich, wziętych do niewoli w czasie szarży. Zdobył się więc ktoś na nią. Oficerowie byli ubrani w strój galowy, nie nadający się zupełnie na wojnie. Spytałem ich, czemu się tak postroili. „Do ataku idzie się jak na bal", — była odpowiedź; odezwanie to było bardzo rycerskie, ale ogromnie nietegoczesne. Jeżeli tego samego zdania trzyma się cała jazda węgierska, to jej zabraknie wkrótce na tym „balu". Narazie internowałem jeńców w twierdzy, gdzie im pozwoliłem na pewną swobodę ruchów; zmartwili się jednak szczerze, gdy im odmówiono prawa do „ein Gläschen Cognac".

Tegoż dnia miałem przykry zgrzyt: przywieziono z Kielc dwóch „strzelców" galicyjskich. Byli to chłopcy, liczący mniej więcej po dwadzieścia lat wieku, pochodzili zapewne ze sfery rzemieślniczej, miny mieli bardzo wylęknione: wiedzieli zapewne, że ich ocze-

kuje szubienica (prawa kombatantów strzelcy nie mieli). By nie palnęli jakiego głupstwa, badałem ich osobiście i bardzo ostrożnie; z zadowoleniem kazałem zanotować, że nie przyznają się do udziału w organizacjach strzeleckich... Nie mogłem jednak zdecydować się oddać tych chłopców pod sąd doraźny, chciałem się namyślić, co z nimi zrobić, kazałem więc jeńców narazie zamknąć i dobrze nakarmić.

Nazajutrz spytał mnie szef sztabu o decyzję. Ofuknąłem go pod pretekstem, że mi zabiera czas takiemi głupstwami, a w dwa dni później wyprawiliśmy chłopców do Mińska, jako „niepewnych politycznie", z dokumentami odpowiednio przerobionemi. Po paru dniach powtórzył szef sztabu, za moją milczącą aprobatą, to samo w stosunku do trzech nowych delinkwentów.

Nieco później widziałem się z gen. Nowikowem. W rozmowie zapytał on mnie o los przysłanych strzelców, zaznaczając, że nie mógł tych dzieciaków wieszać. Odparłem mu na to:

— Widocznie wolałeś, żebym ja to uczynił?

Nowikow uśmiechnął się z dobroduszną ironją i poklepał po ramieniu, mówiąc:

— Kochanku, ja wiedziałem dobrze, że *ty* ich nie zgładzisz!

W połowie sierpnia otrzymałem nareszcie dane co do ustawienia bojowego armji rosyjskiej: formowała ona dwa fronty — północno-zachodni w składzie 2 armij pod dowództwem gen. Żylińskiego, z szefem sztabu gen. Oranowskim (moim kolegą z Akademji), i południowo-zachodni, na czele którego stanął gen.

Iwanow, a szefem sztabu został gen. Aleksiejew; front ten liczył 4 armje. Działalność pierwszego obejmowała teren Litwy i północną część Kongresówki, front południowo-zachodni zajął Lubelszczyznę, część Wołynia i Podola; Dęblin poddano władzy dowódcy 4 armji, której sztab stał w Lublinie. Cały zatem obszar Królestwa na lewym brzegu Wisły wraz z Warszawą pozostał poza sferą działań rosyjskiej armji.

Postawa ta wskazywała wyraźnie, że pierwsze operacje strategiczne skierowane będą ku Prusom Wschodnim i Wschodniej Galicji; operacja północna zależała naturalnie od planu Niemców — w razie skierowania ich głównego natarcia na zachód, akcja zaczepna na Berlin miała być dokonana, ale po zdobyciu Prus Wschodnich. Wisiały one nad prawem skrzydłem wszystkich linij operacyjnych na prawym brzegu Wisły w kierunku zachodnim. Gdyby zaś Niemcy uderzyli główną masą na front wschodni, armje rosyjskie miały w pierwszym okresie wojny, aż do koncentracji wszystkich sił, prowadzić operacje obronne.

Takie ugrupowanie armij zrobiło na mnie bardzo przykre wrażenie — pod względem strategicznym zwracało uwagę zawieszenie wewnętrznych skrzydeł obu frontów w powietrzu; źle również musiało wpływać pod względem politycznym i psychologicznym na ludność kraju: rzucano na pastwę Niemcom bez walki znaczną część Polski, której tylko co obiecano wywalczyć połączenie i wolność.

Zrozumiałem teraz, czemu sztab okręgu warszawskiego nie dawał mi żadnych instrukcyj; formował on sztab frontu północno-zachodniego, przestał go więc

obchodzić Dęblin, który ciążył ku południowi. Wobec tego zwróciłem me zabiegi w kierunku Lublina, wysyłając tam ścisły memorjał co do stanu twierdzy i prosząc o instrukcje; w odpowiedzi nadszedł telegram, że dowódca 4 armji, bar. Zalca, wyjechał już do Dęblina i osobiście da mi odpowiednie instrukcje.

Kazałem naprędce przygotować obiad i, gdy generał zajechał, zaprosiłem go zaraz do siebie; zgodził się z ogromnem zadowoleniem, jadł z apetytem, gawędził bardzo dobrodusznie o wszystkiem, oprócz spraw wojskowych, trochę się tylko martwił z powodu absolutnego braku alkoholu. Potem udaliśmy się autem na główny fort obronny, zwany Wannowskim. Po drodze, by nie tracić czasu, meldowałem baronowi podstawy organizacji obrony, ugrupowanie bateryj i t. d.; słuchał dość obojętnie, nie pytał o nic, ożywił się tylko na chwilę, gdy się jakieś konie przestraszyły naszego auta; uspokajał je więc głosem, a potem milczał znowu przez dłuższą chwilę, widocznie trawił w skupieniu obiad. Gdyśmy się znaleźli na forcie, i zacząłem go opisywać, Zalca nudził się widocznie i przerwał nareszcie uwagą: „Czy pan wie, że najlepszym środkiem uspokojenia koni, które się zlękły automobilu, jest głos ludzki?“ Przyznałem się z pewnem zdziwieniem, żem się nad tą kwestją dotychczas nie zastanawiał, i zapytałem, czy baron życzy sobie obejrzeć czołowe pozycje; odpowiedział, że się już dostatecznie zorjentował i wraca zaraz do Lublina, a na pytanie o instrukcje, kazał mi „bić się do ostatniego suchara“. Speszyło to mnie zupełnie — przecie ja nie miałem ani jednego suchara; co się dało zebrać

w okolicy, zjadała jak szarańcza coraz to liczniejsza załoga i tranzytowe oddziały. Niewiele więc skorzystałem z przydziału do 4 armji, jasne było, że nie otrzymam znikąd rozkazów. Przygotowywałem zatem w dalszym ciągu Dęblin do obrony według własnych koncepcyj; nie rozumiałem jednak, jakim sposobem mógł się znaleźć na czele armji generał zupełnie zużyty; przecie jego niedołęstwo może wywołać katastrofę całego frontu, zagładę tysięcy ludzi.

19 sierpnia otrzymałem rozkaz, który informował, że pod Kraśnikiem jazda rosyjska, licząca 6 pułków, wsparta moim bielowskim pułkiem piechoty, odrzuciła natarcie 2 dywizyj jazdy i 1 dywizji piechoty austrjackiej; wskazany był również skład 4 armji i jej ugrupowania — na prawem skrzydle walczył XIV korpus, w centrum — XVI, a na lewem skrzydle — grenadjerzy. Rozkaz nakazywał spotykać narazie ofensywę przeciwnika kontratakami charakteru lokalnego, zapowiadał ogólne natarcie w przyszłości. Tegoż dnia miałem przelotnych gości — dwa aeroplany ukazały się nad twierdzą i zrzuciły na nią trzy ciężkie bilety wizytowe; wybuchły wszystkie, ale poza obrębem cytadeli, w polu. Wizyta ta wzbudziła wielkie poruszenie wśród oficerów garnizonu, proszono mnie o wydanie rozkazu, uznającego twierdzę na wojennej stopie — powiększało to diety oficerskie trzykrotnie; naturalnie odmówiłem, byłoby to jawnem naciąganiem skarbu.

* * *

W parę dni później przeprawiły się przez San i Tanin duże siły austrjackie, natarły na 4 armję i od-

rzuciły ją nieco na północ; jednocześnie ukazała się duża kolumna austrjacka, dążąca wzdłuż Wisły na Annopol; ruch jej zagrażał prawemu skrzydłu 4 armji, zmusił ją do odsunięcia go wtył; największy nacisk był na Opole i Chodel. Czynnik zaskoczenia zaznaczył się widocznie w stosunku do armji rosyjskiej. Niemcy i Austrjacy kończyli swą mobilizację łącznie z ustawieniem na piętnasty dzień, Rosjanie — w końcu czwartego tygodnia.

* * *

27 sierpnia, o wschodzie słońca przyjechał do mnie gen. baron Kruzenstern, dowódca XVIII korpusu, i zameldował, że jedzie z petersburskiego okręgu i „przybył z korpusem do mej dyspozycji". Zdziwiony bardzo zauważyłem, że zaszła widocznie jakaś pomyłka, ale generał pokazał mi telegram urzędowy, w którym stało wyraźnie: „Korpus ma się nie wyładowywać w Warszawie, ale jechać wprost do Dęblina, gdzie komendant da mu odpowiednie instrukcje". Zaczynała się widocznie komedja pomyłek; wytłumaczyłem więc baronowi, że nie mogę mu dać żadnych instrukcyj, gdyż sam jestem bardzo słabo orjentowany, ale radzę wstrzymać wyładowanie korpusu, kierując wszystkie pociągi w kierunku Puław, gdzie nadejście korpusu przyda się bardzo; porozumienie z 4 armją może nastąpić przy pomocy kolejowego telegrafu. Kruzenstern zastosował się do mej rady, wziął na wzmocnienie swej kasy pięćdziesiąt tysięcy rubli i odjechał. Dowiedziałem się od niego, że wobec stwierdzonego już natarcia głównych sił niemieckich na

Francję, naczelne dowództwo rosyjskie postanowiło bronić Warszawy. Skierowano tu więc z petersburskiego okręgu 3 korpusy, w tej liczbie i XVIII, w ostatniej chwili zmienił on jednak marszrutę na Dęblin, zapewne dla wzmocnienia 4 armji, która znalazła się w ciężkiem położeniu.

Cała sytuacja wskazywała na wzmaganie się zamieszania, w którem łatwo było utonąć, szczególnie w stanie przymusowej bierności, mało odpowiadającej memu charakterowi; napisałem więc powtórny list do generalnego kwatermistrza, Pustowojtenki, prosząc go o wyjednanie mi odpowiedniego przydziału do armji polowej.

* * *

Jazda Nowikowa ściągała stopniowo pod naciskiem Austrjaków na północ, trzymała jednak Radom w swoich ręku; wywołało to szereg dość komicznych wizyt u mnie gubernatora radomskiego, Zasiadki, który począł krążyć pomiędzy Radomiem a Dęblinem, zależnie od przebiegu akcji na froncie. Miał on właściwie wielką ochotę drapnąć do wielkiej ojczyzny, ale bał się, gdyż gubernator płocki za samowolne opuszczenie placówki dostał się pod sąd; w tych przelotach stracił biedny dygnitarz zupełnie swój służbowy tupet i przypominał więcej mokrą kurę. Dopiero wycofanie się Nowikowa z Radomia uwolniło dygnitarza od „szufladek".

* * *

W końcu miesiąca po powrocie z pola zastałem na biurku list, adresowany do mnie po polsku, który

według słów ordynansa przyniósł jakiś „wolny“, to jest cywil. Treść jego była niezwykła: niepodpisani autorowie komunikowali mi, że wkroczyli do Królestwa razem z armją austrjacką i niosą na ostrzach swych bagnetów wolność oraz zjednoczenie Polski; znany jest im mój patrjotyzm polski, proponują więc, bym poddał twierdzę za pół miljona rubli; o ile ta propozycja mi dogadza, proszono, bym wyjechał w oznaczonym dniu autem szosą radomską na którąś tam wiorstę, gdzie na mnie miano czekać... Naturalnie podarłem natychmiast ten list i zapomniałem narazie o tej paskudnej propozycji*).

30 sierpnia o północy podano mi lakoniczny telegram z dowództwa naczelnego; zawierał on rozkaz przekazania twierdzy pułkownikowi Szwarcowi i udania się do „etatowego miejsca służby“.

Niesłychanie przykro dotknęło mnie to rozporządzenie; prosiłem o przeniesienie na front, ale nie miałem na myśli powrotu do brygady, z której już wy-

---

*) W r. 1923, gdym leżał po operacji w szpitalu ujazdowskim w Warszawie, odwiedził mnie gen. Rybak. Wiedziałem, że w czasie wojny światowej należał on do komendy legjonów galicyjskich, spytałem go więc wobec drugiego gościa, dr. Grzankowskiego, czy nie wie czasem, kto wysłał do mnie list z propozycją zdrady za pół miljona rubli; generał uśmiechnął się i potwierdził, że to wyszło z komendy, nadmieniając, że mylę się jednak co do cyfry rubli, proponowano mi bowiem miljon. Na to zwróciłem generałowi uwagę, że propozycja nie była dobrze sformułowana: w pierwszej części apelowano do mego patrjotyzmu, miałem zostać Wallenrodem, w—drugiej proponowano mi za zdradę pieniądze, a mógł to uczynić tylko skończony łotr.

rosłem. Wiedziałem, że mi się należy dywizja; taką otrzymałem nagrodę za tyle trudne pasowanie się w najcięższych warunkach.

Nie było jednak rady; wezwałem zaraz płk. Szwarca, przekazałem mu dowództwo, a o 5-ej rano wyjechałem autem do Lublina.

ROZDZIAŁ III.

O 8 rano zameldowałem się u nowego dowódcy 4 armji, gen. Ewerta; znałem go oddawna, był niegdyś moim zwierzchnikiem, posiadał silny charakter, dużą inteligencję, dobre wykształcenie, raziła w nim jednak pewna oschłość, jaskrawy nacjonalizm i zamiłowanie do papierowej roboty. Sprawy mej nominacji generał nie znał, gdyż objął dowództwo przed kilkoma dniami, zaproponował mi jednak objęcie narazie 46 dywizji, usunął on w niej dowódcę i obydwóch brygadjerów za skandaliczne zachowanie się oddziałów w czasie ostatnich walk; podziękowałem za taką nominację, mogła ona łatwo doprowadzić do katastrofy, nimbym zdołał wprowadzić w pułkach porządek. „Jedź więc pan do korpusu“ — zakończył Ewert rozmowę — „i to zaraz, czas nagli, wypadnie poczekać na inny wakans“.

Przed wyjazdem poinformowałem się u szefa sztabu o sytuacji. Była ona wciąż dość poważna, armji groziło obustronne oskrzydlenie, chociaż XVIII korpus, skierowany przeze mnie szczęśliwie do Puław, zatrzy-

mał narazie Austrjaków; ale na lewem skrzydle było gorzej, przeciwnik przerwał front pomiędzy armjami 4 a 5 i zajął Trawniki, zrywając łączność kolejową wzdłuż frontu; zmusiło to 5 armję do wycofania się z Krasnostawu do Rejowca; oczekiwano jednak rychłego nadejścia 2 korpusów, zamierzając wtedy przejść do natarcia.

* * *

Droga do korpusu nie była miła, wkrótce skończyła się szosa i zaczęła kochana „polska droga", gliniasta, wyboista, zbałwaniona zeschła gruda. Wkrótce spotkaliśmy transport z rannymi, wieziono ich wozami sanitarnemi i chłopskiemi; widok był ciężki: obwiązane krwawemi szmatami głowy, zastygłe w cierpieniu twarze, szkliste oczy tych, co już przestali się męczyć, zwieszone bezwładnie jak kłody nogi. Śmierć zapowiadała obfite żniwa.

Dowódca korpusu, gen. Murdas Żylińskij, sympatyczny, wesoły człowiek wycałował mnie przy powitaniu i zapowiedział natychmiast, że do chwili otrzymania dywizji obejmę czasowo dowództwo 2 brygady strzelców, która w czasie ostatnich walk bardzo się zdezorganizowała. Dogadzało mi to, miałem tak upragnione stanowisko samodzielne.

Przy obiedzie opowiadano dużo o trwających wciąż ciężkich bojach i krytycznym okresie dni ostatnich, uwieńczonym jednak zwycięstwem, bardzo wątpliwem zresztą w mych oczach, gdyż skończyło się na odparciu serji ataków. Dziwiła mnie jednak zupełna cisza, panująca na froncie, spytałem więc, czy daleko stąd

od linji bojowej. Żyliński spojrzał na mnie z pewnem zgorszeniem i zauważył z naciskiem: „Jesteśmy na samym froncie“...

Pewne potwierdzenie tego doszło po chwili naszych uszu: zagrzmiało gdzieś daleko kilka razy.

Brygada strzelców podlegała łącznie z 18 dywizją generałowi Bałaninowi. Zameldowałem się mu więc przed wieczorem. Nastrój w sztabie dywizji zastałem doskonały, Bałanin był sobą wprost zachwycony, z opowiadania jego dowiedziałem się, że osią wypadków ostatnich był właśnie on, zwycięstwo zawdzięcza armja jemu, a drogocenne życie jego wisiało nieraz na włosku. Miarkowałem jednak z dyskretnych uwag sztabu i osobistych zestawień, że włosek ten miał stale grubość liny okrętowej. Wogóle Bałaninowi brakło powagi, odpowiadającej jego stanowisku; doskonałym pomocnikiem jego był pułk. Sytin, pierwszorzędny fachowiec, zresztą poza służbą cynik bez etyki i hulaka.

Przespałem się doskonale na sianie, a nazajutrz wczesnym rankiem objąłem brygadę. Dowodził nią w zastępstwie dowódca 8 pułku strzelców, pułk. Ganenfeld, jakiś dziwnie smutny i zamyślony; szefem sztabu był pułk. Jaroszewicz, dobry fachowiec, ale nudziarz i zwolennik biurka; stan brygady nie był pocieszający, wszystkie cztery pułki straciły przeszło połowę oficerów i to najlepszych, tyleż mniej więcej ubyło żołnierzy. Najgorzej ucierpiał 7 pułk, którym narazie dowodził podkapitan. Linję bojową zajmowały 3 pułki, 7 tworzył stałą rezerwę; w prawo stała 18 dywizja, w lewo jakieś niewyraźne pułki drugiego powo-

łania. Przeciwnik bił się dzielnie, wykazywał dużo inicjatywy, próbował raz po raz przerwać w różnych miejscach front.

Po południu zacząłem inspekcję brygady; szef sztabu radził, bym ją odłożył do wieczora, gdyż rowów łącznikowych nie było, wypadało więc spacerować polem otwartem przeszło kilometr, nie chciałem jednak czekać, pociemku nie otrzymałbym potrzebnej orjentacji, zresztą dowódca musi od czasu do czasu zamanifestować wobec żołnierzy osobistą odwagę.

Zostawiłem adjutanta przy pułkowej rezerwie i ruszyłem dalej sam wolnym, niedbałym pozornie krokiem, zdarzało się bowiem, że przeciwnik nie strzelał do idących pojedyńczo żołnierzy. Czas jakiś było wszystko spokojnie, ale nareszcie zauważono mnie i ostrzeżono pękającym wysoko nade mną czerwonym obłoczkiem szrapnelu; w chwilę później zawył drugi tak blisko, że pochyliłem odruchowo głowę i zawstydziłem się tego natychmiast — zdawałem poniekąd egzamin, a z okopów moich strzelców patrzyły na mnie zapewne setki oczu. Opanowałem się więc, zwolniłem jeszcze bardziej kroku i, nie zwracając uwagi na dwa nowe, przysłane pod moim adresem pociski, stanąłem z podniesioną głową na linji okopu.

Zachowanie moje zrobiło widocznie dobre wrażenie. W płytkim okopie poczęli żołnierze szybko wstawać, zwracając się twarzą ku mnie; skomenderowałem więc „padnij" i zeskoczyłem do rowu; nie zaprzeczę, że zejście z oczu tak dobitnie mnie witającemu przeciwnikowi sprawiło mi szczerą przyjemność.

W parę minut nadszedł dowódca bataljonu, kap. Maksimow, mój dawny adjutant pułkowy, wzorowy, kulturalny oficer. Bataljon leżał tu już od tygodnia bez luzowania; okopy były słabe, niepołączone rowami łącznikowemi, nie zdążono ich zrobić wskutek codziennych walk i wyczerpania strzelców; nużył upał, brak wody, a jedzenie przynoszono raz na dobę z nadejściem nocy. Austrjackie okopy lepiej były położone, wzdłuż ich frontu ciągnął się szereg wsi, przesłaniających teren wewnątrz frontu; mogli zatem jeść i pić mniej więcej normalnie.

Długim klinem podsuwała się blisko pod stanowisko strzelców w. Czołna; była ona dla Austrjaków doskonałą bramą wypadową, przedłużona płaską doliną, doprowadzającą w najsłabsze miejsce — styczność pomiędzy brygadą a dywizją. Ostatni gwałtowny atak nastąpił wczoraj i omal nie doprowadził do przerwania frontu. Austrjacy parli biegiem prawie bez wystrzału, ale zostali ostatecznie odrzuceni; drogę ich znaczyły gęsto rozsiane granatowe plamy zabitych, których jeszcze nie zdążono zakopać; po odparciu ataków dużo rannych przypełzło do okopów rosyjskich, błagając o pomoc. Ze słów Maksimowa dowiedziałem się, że strzelcy obchodzili się z nimi miłosiernie, opatrzyli, napoili i nakarmili; przy mnie dowlókł się jeszcze jeden ranny w nogi, góral z Zakopanego. Po opatrunku rozgadał się ze mną tą sympatyczną gwarą góralską, starał się dowiedzieć, dokąd go wyślą. Tego i ja nie wiedziałem, zapewniłem go jednak, że źle mu nie będzie, bo w Rosji chleba dość, a lud zły nie jest. Opowiadał ranny, że okoliczne wsie

są przepełnione rannymi, których Austrjacy zostawili na opiece ludności.

W ciągu trzech dni zwiedziłem w ten sam sposób stanowiska wszystkich pułków; nie śpieszyłem się nigdzie, rozmawiając dłużej z żołnierzami dla poznania ich nastroju; wrażenie odniosłem dobre, zresztą strzelcy rosyjscy byli wybraną piechotą o doskonałym składzie oficerskim i solidnych tradycjach bojowych. Skarżyli się wszyscy, że każą stać na miejscu, gdy żołnierz pragnie przejść do natarcia. Tłumaczyłem im naturalnie powody dotychczasowego trwania w stanie obrony, wskazując na olbrzymie przestrzenie, przez które wypadło dowozić rezerwy. Takie codzienne spacery były bardzo pożyteczne, ale dość wyczerpujące, gdyż wypadało chodzić przeważnie krętemi szlakami, by jakie podejrzliwe oko, obserwujące pole przez szkiełka, nie zechciało zwrócić na mnie zbytniej uwagi, nie chciałem zaś ryzykować sobą raz po raz. Artylerja nieprzyjacielska rozpoczynała zwykle swój duży koncert pod wieczór. Wtedy wzdłuż frontu przelewały się szeroką falą grzmoty, a na szafirowem tle nieba ukazywały się raz po raz czerwonawe obłoczki pękających szrapneli; rwały się jednak tak wysoko, że nie wyrządzały żadnych strat; więcej niepokoju budziły gniewliwe granaty, wyrzucające do góry snopy szarej ziemi i odłamy żelaza. Niekiedy dołączało się do tej symfonji hałaśliwej dokuczliwe szycie kulomiotów — tych precyzyjnych maszynek do ryczałtowego mordowania ludzi. Artylerja moja odpowiadała słabo, oszczędnie; koło ósmej milkła strzelanina, nastawała cisza, rozpalały się na zachodzie zorze wieczorne, nie gasły jednak

z nastaniem nocy, przeciwnie, nabierały blasku i siły: paliły się co wieczór wsie, zapalone przed frontem przez Austrjaków, którzy w obawie nocnego ataku rozświecali codziennie mroki nocne, paląc po kilka chat w każdej wsi.

Długie dni sierpniowe były dla mnie stale zbyt krótkie; wstawałem o piątej rano, w czem mi gorliwie pomagały miljony much, i zabierałem się natychmiast do osobistych operacyj: mycia, ubierania i herbaty, z trwożną myślą, że mi na coś czasu zabraknie, czychały przecie na mnie aparaty telefoniczne; gdy ukończyłem sprawy osobiste, załatwiałem naprędce naglące rozporządzenia i ruszałem w pole z niezmiennym akompanjamentem porannym austrjackich bach, bach, które zwykle dawały tylko dźwiękowe wrażenie. Czułem się na froncie dobrze, zżyłem się szybko z pułkami, a stała osobista kontrola moja zmusiła pułkowników do bardziej czynnej pracy.

Duży nacisk kładłem na polepszenie warunków higjenicznych w okopach. Trupy, leżące na przedpolu, dochodziły wobec upału szybko i zatruwały przy odpowiednim kierunku wiatru powietrze. Kazałem je więc skrzętnie zakopywać nocami; pozwoliłem również sanitarjuszom austrjackim zabrać dalej leżących rannych, bliższy rejon porządkowali moi strzelcy; raz jeden zauważyłem jednak, że niedaleko leży ranny Austrjak i patrzy na mnie zbolałym wzrokiem. Rozgniewałem się naturalnie na strzelców, ale wytłumaczono mi, że go zostawiono umyślnie w spokoju na parę dni, bo był ranny w brzuch i prosił, by go nie ruszać, tylko mu nosić wodę. Rzeczywiście, dostrzegłem stojącą

obok rannego żołnierską menażkę; w parę dni później stan jego polepszył się o tyle, że wyniesiono go do szpitala.

Panowały duże upały, dokuczało bardzo strzelcom pragnienie; woda, przynoszona w nocy, była w południe prawie ciepła, chociaż zakopywano butelki w ziemi. Na jednym z odcinków w pasie śmierci znajdowała się studnia, przedmiot pożądania obydwóch stron; otóż niewiadomo z czyjej inicjatywy ustalił się w stosunku do studni pewien modus vivendi: na okopie stawał żołnierz, trzymając w wysoko podniesionych rękach po menażce; strona przeciwna dawała znak, strzelec szedł do studni, nabierał wody i wracał do swoich, wtedy robiono to samo z drugiej strony, powtarzając całą procedurę wielokrotnie bez najmniejszego podejścia. Jedzenie i wodę kazałem nosić dwa razy dziennie — po zachodzie słońca i przed świtem, jednocześnie dostarczano drzewo do ogrzewania potraw na małych ogniskach, nie demaskujących okopów.

* * *

Kapitan saperów, Miasojedow, jest znowu u mnie. Przypomina mi się czytana kiedyś bajka wschodnia: „Die Pantoffeln des Abu Kazem". Bohater jej w żaden sposób nie mógł się ich pozbyć. Spotkaliśmy się z Miasojedowem bardzo życzliwie, pracuje zupełnie dobrze. Raz jeden omawiałem z nim, siedząc na skraju okopu, sprawy fortyfikacyjne; sąsiedzi zprzeciwka zauważyli nas i przysłali odrazu podwójne przywitanie granatami; pękły tak blisko, że obrzuciły nas ziemią i odłamami, które zresztą chybiły. Ja zdążyłem zsunąć się

do rowu, Miasojedow ani drgnął, tylko oczy błysnęły mu jakoś dziwnie.

„Czemużeś pan nie zeskoczył do okopu?“ — spytałem.

Wzruszył ramionami.

„Ja w tej wojnie nie będę zabity“ — zauważył; prawdopodobnie otrzymał on tę informację od którego ze swych znamienitych przodków; czy się jednak sprawdziła, nie wiem, straciłem go z oczu.

Z ciężkiem sercem patrzę na niedolę ludności wiejskiej; łazi bezczynnie dokoła swych chałup, jak w półśnie, milczy, a na twarzach zastygło cierpienie. Nikt nie reaguje nawet, gdy żołnierze dobierają się do ziemniaków lub płotów, dających doskonałą rozpałkę. Raz jeden zastałem kilku strzelców przy wykopywaniu kartofli, obiłem maruderów stick'iem w sposób okrutny i zapowiedziałem, że nadal będę zato rozstrzeliwał, ale wątpię, czy to pomoże; żołnierz rosyjski, choćby żywiony jak najlepiej, nie da się powstrzymać od ściągania żywności.

Ogromnie nam dokucza wieś Czołna, wciąż darzy nocnemi wypadami; szef sztabu meldował mi parokrotnie, że trzeba ją spalić. Odkładałem jednak decyzję z dnia na dzień, przecież tam mieszkają Polacy; wreszcie uległem konieczności — dywizjon haubic otrzymał rozkaz podpalenia najbliższych chałup. Po kilku strzałach zapaliła się jedna strzecha, za nią druga, trzecia...

„Sława Bohu“—zawołał dowódca dywizjonu, pułk. Krasnopierow, żegnając się nabożnie; spojrzałem na niego ze wstrętem. Rozumiem, że musiał spełnić

rozkaz, ale przyzywanie Imienia Boskiego dla sprawy zniszczenia ludzkiej pracy wydawało mi się bluźnierstwem. Wkrótce zrozumiałem, że gniew mój z powodu wykopanych przez żołnierzy kartofli jest w danych warunkach tylko śmiesznym sentymentalizmem.

3 września kazałem zrobić nocny wypad dla wzięcia jeńców, dających przy badaniu cenne wiadomości. Wycieczka udała się doskonale, przyprowadzono kompanję landwery, którą zaskoczono we śnie; za to nie mieliśmy całą noc spokoju, ogień działowy i kulomiotowy ze strony przeciwnika nie pozwolił nam zasnąć, chociaż poza oddziałem wywiadowczym nikt u nas nie ruszył z okopu.

Razem z kompanją dostał się do niewoli oficer rezerwy, Polak, nauczyciel z Krakowa; chcąc go trochę uspokoić a jednocześnie dowiedzieć się czegokolwiek o nastrojach polskich z tamtej strony, zaprosiłem go na herbatę.

Zauważyłem odrazu, że, pomimo pewnego zażenowania, nie ucieszyło go zupełnie spotkanie z rodakiem, w rozmowie zachowywał wciąż dużą rezerwę. Opowiadałem mu o wezwaniu w. księcia Mikołaja do Polaków i jego obietnicach; słuchał niechętnie i mruknął nareszcie: „Moskalom trudno wierzyć". Zgodziłem się, że nie mamy dotychczas powodów do zbytniego zaufania, ale w sytuacji obecnej jest dużą rękojmią osoba w. księcia, uczciwego człowieka o silnym charakterze, mającego olbrzymi wpływ; rodak mój nie odpowiadał mi na te słowa. Spytałem go więc, co przyrzekły Polsce mocarstwa centralne w razie zwycięstwa, bo trudno przecież przypuścić, by społeczeństwo pol-

skie w Galicji zasiliło armję austrjacką dobrowolnemi formacjami, nie mając odpowiednich gwarancyj. Odpowiedź otrzymałem krótką:

„Pan generał przysięgał rosyjskiemu cesarzowi, ja swojemu, o kwestjach politycznych mówić nie mam prawa...“

Miałem rzeczywiście dość takiej dyskusji, pożegnałem więc chętnie tego austrjackiego ablegierka.

Rozmowa ta zaniepokoiła mnie jednak. Społeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim nie wypowiedziało się dotychczas w kwestji szkodliwej dla Polski akcji t. zw. Naczelnego Komitetu Narodowego w Krakowie, wzywającego do zespolenia naszych losów z losami Austrji i organizującego jakieś formacje ochotnicze, ale tegoż dnia przeczytałem z dużem zadowoleniem komunikat do prasy rosyjskiej, podpisany przez Wielopolskiego, Dmowskiego, Harusewicza, Szebekę, Skirmunta, Święcickiego, Dymszę i kilku innych; w komunikacie tym działaczy N. K. N-u nazwano nieświadomymi obrońcami germanizmu, wrogiego Polsce i całej Słowiańszczyźnie. Polska Partja Postępowa wydała również odezwę tego samego charakteru.

* * *

4 września dowiedzieliśmy się oburzających szczegółów o katastrofie 2 armji pod Działdowem. Winę ponosi tu całe naczelne dowództwo, poczynając od gen. Żylińskiego i jego dowódcy sztabu, gen. Oranowskiego; nie dali oni odpowiednich dyrektyw armjom 1 i 2, nie utrzymywali z niemi łączności, nie po-

trafili zmusić dowódcę 1 armji, Rennenkampfa, do energicznego natarcia.

Również niefortunnie sprawili się dowódcy armji: bezczynność Rennenkampfa miała wyraźny charakter zdrady, dowódca 2 armji, Samsonow, znany epikurejczyk, zrobił karjerę na osobistych stosunkach, jego szef sztabu, Postowskij — również. Z całego tego towarzystwa poniósł karę tylko jeden Samsonow i to z własnej ręki — skończył na miejscu samobójstwem.

Przyjechał do mnie jen. Bałanin, niby dla inspekcji, ale na front nie poszedł, słabo się interesował moim meldunkiem, zato trajkotał bez przerwy o sobie. Próbowałem się czegoś dowiedzieć o sytuacji ogólnej na teatrze wojny, ale zbył mnie paroma ogólnikami; gdym wreszcie spytał, kiedy przejdziemy do akcji zaczepnej, odpowiedział żartobliwą uwagą: „Jak to panu pilno do złotej szabli". Wszystko więc tłumaczy osobistemi powodami.

5 września przeszliśmy nareszcie do akcji zaczepnej. Na moim odcinku nie wzmocniono mnie, wypadło więc działać w granicach własnych środków. Natarcie nie było łatwe, przeciwnik był dobrze okopany, przygotowanie ataku przez polowe działa słabe, a obrona dzielna; w ciągu doby brygada sforsowała zaledwie czołowe okopy i jeden lasek, poczem utknęła, spotkawszy silny opór Austrjaków. Drugi lasek, którego posiadanie decydowało o utrzymaniu atakowanego frontu, został również przez 6 pułk zdobyty, ale energicznym kontratakiem przeciwnik wyrzucił strzelców zpowrotem, nim nadbiegła rezerwa, wysłana zbyt późno przez dowódcę pułku; to częściowe niepowo-

dzenie kosztowało pułk paruset zabitych i rannych; ustaliłem, że winę ponosił pułk. Ganenfeld, który wybrał sobie zbyt daleki punkt obserwacyjny. Zapowiedziałem więc, że powtórzenie takiej omyłki wywoła odebranie pułku; widziałem, że moja nagana wpłynęła na winnego pułkownika, zbladł i zmienił się wprost na twarzy. W liczbie ofiar znalazł się zabity pułkownik 8 pułku, a mój ulubieniec, kap. Maksimow, ciężko ranny.

Po raz pierwszy wypadło mi dowodzić w nowoczesnych warunkach bojowych znaczniejszym oddziałem. Sprawdziłem wkrótce, że obecnie położenie dowódcy jest o wiele trudniejsze. Dawniej trzymał on do pewnej chwili skupione masy w ręku, widział prawie całe pole bitwy, teraz, gdy oddziały rozproszkowują się w terenie, a zajmują o wiele większe przestrzenie, starszy dowódca kieruje niemi przy pomocy sieci telefonów; nie powinien znajdować się zbyt blisko frontu, by zabezpieczyć siebie od bezpośrednich wrażeń boju na jednym odcinku, a swą centralę telefoniczną od rozbicia, obiera więc swój punkt obserwacyjny w odległości 2 — 3 klm. od linji walki, widzi mało, orjentuje się przy pomocy telefonów i odgłosów z frontu.

Najgorsze chwile napięcia nerwowego przeżywa się od chwili, gdy pułki są już nacelowane, a wskazówki zegarka zbliżają się do naznaczonej godziny; w miarę rozwoju bitwy zaczyna coraz bardziej dokuczać przymusowa bierność w oczekiwaniu wypadków, rośnie niewiara do bałamutnych często meldunków telefonicznych, pragnienie osobistego sprawdzenia wydawanych rozkazów. Opuścić punkt obserwacyjny wol-

no jednak dowódcy tylko w wyjątkowych wypadkach dla sforsowania decyzji, od której zależy powodzenie boju.

Nikłe wogóle rezultaty mego natarcia wysunęły jednak moją brygadę tak daleko przed front armji, że nakazano mi wstrzymać czasowo dalsze działania; bardzo mi to dogadzało, bo miałem poważne straty, walka toczyła się prawie bez pomocy artylerji, która wobec polowych okopów jest bezsilna. Osobiście pragnąłem również odpoczynku, odprężenia nerwów, oderwania myśli od ciężkich wrażeń. Strzelcy bili się wogóle doskonale, były jednak wypadki niespełniania rozkazów, słabości charakteru, kłamliwych meldunków, wypadło więc parę razy wkroczyć ostro, nawet srogo, sytuacja nie pozwalała na umiarkowanie i wyrozumienie.

Pogodę w czasie boju mieliśmy złą, padał duży deszcz, zabłocił pola, napełnił okopy wodą. Gdy nastała przerwa w działaniach, zaczęły się porządki; nie przeszkadzano sobie wzajemnie, bo u przeciwnika było to samo. Ja też wysunąłem swe locum bliżej naszego frontu. Jestem spokojniejszy, gdy słyszę stale odgłosy jego, wtedy lepiej wyczuwam puls życia brygady.

* * *

6 września został zajęty przez gen. Brusiłowa Lwów. Była to poważna rekompensata za porażkę w Prusach Wschodnich; zbliżała ona teren walki ku Węgrom, szachowała prawe skrzydło i tyły armij austro-niemieckich, operujących w Lubelszczyźnie. Opanowa-

nie Lwowa dokonało się po trzech dniach uporczywej walki. Austrjacy bronili zacięcie dostępu do miasta 5 korpusami, zostali jednak rozbici.

* * *

Niedobrze natomiast działo się na froncie zachodnim. Francuzi, zaskoczeni obejściem ich prawego skrzydła przez Belgję, odrzuceni w Alzacji i Lotaryngji, przegrali bitwy nad Sambrą i pod Charleroi. Rozpoczęli odwrót na południe, pod nieustającym naciskiem Niemców, tylko armje w Wogezach stały twardo. Paryż był zagrożony, rząd wyjechał 2 września do Bordeaux. Strasznie mściło się na Francuzach niezrozumienie charakteru narodu niemieckiego; nie liczy się on z żadnemi traktatami, o ile one nie są poparte siłą materjalną. — „Noth hat kein Gebot“ — to ich hasło przecie.

* * *

Musiał się jednak zmęczyć i przeciwnik. 8 września nie strzelał zupełnie do nas przez cały dzień, tylko od wschodu dochodziły dalekie echa grzmotów armatnich; pogoda była śliczna, wyjechałem więc pod wieczór na spacer, pragnąc uspokoić nerwy czarem gasnącego dnia jesiennego.

Nieznacznie minąłem linję moich okopów i znalazłem się w „no man land'zie“, ale nawet w zupełnie spokojnym człowieku pokutuje jakiś przekorny chochlik, który mu każe kusić los wbrew rozsądkowi, popycha do zajrzenia śmierci w oczy. Pojechałem więc otwartem polem wzdłuż okopów, odprowadzany nieco zdziwionemi oczyma wyglądających z za nasypu moich strzelców. Nie padł jednak ani jeden wystrzał z tamtej

strony, może i tam zasłuchano się w uroczystą ciszę zapadającego wieczoru, tylko niepokój konia, płoszącego się przy mijaniu leżących w zbożu trupów, psuł mi nastrój. Wkrótce nasunęły się stratowane łany gryki, wydeptane kartofliska, a za niemi pusta, ogłuchła wieś. Martwo spoglądały ku drodze czarne oczodoły wybitych okien, nie dochodził żaden odgłos życia, wiało zewsząd cmentarną ciszą. Wracałem do domu po księżycu przez pola, przesłonięte srebrzystą poświatą księżycową, i gdyby nie łuny kilku pożarów, rumieniące niebo, ogarnąłby mnie całkowicie czar tej cudnej nocy.

* * *

Nazajutrz przed wieczorem zaatakowali mnie Austrjacy z ogromną brawurą, wyparli 6 pułk z lasku zajmowanego i usadowili się w nim mocno; wszelkie kontrataki nie udawały się, rezerwy były wyczerpane, faktycznie przeciwnik rozciął mi front i zagroził wyjściem na tyły. W tej ciężkiej sytuacji wysłał mi na pomoc dowódca korpusu pułk z rezerwy ogólnej, mógł on jednak nadejść dopiero za dwie godziny, musiałem więc zyskać na czasie, łatałem miejsce przerwane, czem się dało, walka trwała wciąż.

Późno wieczorem zatelefonował do mnie dowódca pułku P., meldując, że dokucza mu bardzo rana, otrzymana przy oblężeniu Portu Artura (przed dziesięciu laty!), prosi więc o udzielenie mu urlopu; nie wierząc uszom własnym, zapytałem raz jeszcze, o co chodzi. Pułkownik potwierdził swą prośbę i otrzymał twardą replikę, że rozkazuję mu naprzód uporządkować sprawy

bojowe pułku, a potem zająć się swem szanownem zdrowiem.

Koło północy wyjechałem na spotkanie niecierpliwie oczekiwanego pułku; w chwili, gdy się ze mną zrównała grupa jeźdźców, jadących na czele pułku, spytałem:

— Co to za pułk?

— Głodny — brzmiała odpowiedź z szeregów, przy zupełnem milczeniu prowadzących pułk oficerów.

Wstrzymałem natychmiast kolumnę, przywołałem dowódcę i udzieliłem mu surowej nagany za to, że nie zareagował natychmiast na bezczelne odezwanie się żołdaków. Pułk kazałem uszykować w bataljonowych kolumnach tak, bym mógł być przez wszystkich żołnierzy słyszany.

Póki się to przegrupowanie przy świetle księżyca odbywało, próbował mi dowódca pułku, noszącego dźwięczną nazwę „buzułukskiego", tłumaczyć, że pułk jest świeżo sformowany, posiada żołnierzy w starszym wieku i, nie mając kuchni polowych, gotuje strawę w kotłach, nie zdążono więc, przy nagłym wymarszu, nakarmić ludzi.

Nie przekonało mnie to. Pułkownik był widocznie niedołęgą, a pułk nie miał potrzebnej karności; wjechałem więc pomiędzy uszykowane bataljony, wywołałem oficerów przed front, skomenderowałem „na baczność" i donośnym głosem opowiedziałem, jak mnie czoło pułku spotkało; wkońcu, dodając odpowiedni epitet w stylu czysto rosyjskim, rozkazałem:

— Pułk odbierze, zajęty przez wroga, lasek; jeżeli się zawaha, skartaczuję tchórzów; atak rozpocznie się za pół godziny.

Wśród grobowej ciszy wyjechałem z czworoboku, za mną wysunął się pułkownik i zalęknionym głosem prosił o bliższe instrukcje.

— Atakować zwartemi kompanjami, wprost przed siebie, bez wystrzału i manewru, trzymać mocno łączność wewnętrzną — brzmiała wskazówka.

W pół godziny później pułk poszedł do ataku, a parł z taką furją, że jednem uderzeniem z małemi stratami wyrzucił Austrjaków z lasku; dla zatrzymania rozpędu musiałem nawet posłać rozkaz wstrzymania pościgu.

O rannym brzasku ustaliła się nareszcie zpowrotem linja frontu, zatelefonowałem więc do pułk. P., że może jechać na urlop.

— Kiedy ja się czuję teraz dobrze... — brzmiała odpowiedź.

— Być może — odparłem — ale ja się czuję źle, nie mogąc liczyć na pańskie zdrowie w ciężkiej chwili, żegnam więc i proszę więcej nie wracać.

Po przejściach nocy ubiegłej zasnąłem jak zabity, nie zważając na muchy i gwar; przebudzenie nie było jednak przyjemne. Z frontu meldowano, że na dwóch odcinkach pozycji austrjackiej zauważono po raz pierwszy druty przed okopami. Czyżby przeciwnik myślał trwać na zajmowanych stanowiskach mimo odwrotu lwowskiego i wzmocnił w tym celu obronę?.. Postanowiłem sprawdzić to osobiście i udałem się w samo południe na wywiad; meldunek okazał się rzeczywiście słuszny: w słońcu błyszczały druty. Trochę mi się wyciągnęła twarz, zapowiadało to bowiem, przy ponowieniu, ataku

duże straty. Sztab korpusu również przyjął tę wiadomość poważnie.

Po obiedzie wybrałem się znowu do okopów, na lewe skrzydło. Postawiono tam sławetny pułk buzułukski, miałem więc poważne wątpliwości co do przygotowania bojowego odcinka. Dojście tym razem nie było łatwe, Austrjacy uwzięli się jakoś na mnie i poczęli prażyć szrapnelami raz po raz, sprawdzając celownik granatami; wypadło więc manewrować przebiegle, zapadać w różne dołki, wyczekując dogodnej chwili do dalszego biegu.

Sprawność pułku nie zadowoliła mnie; żołnierze, jeden w drugiego stare, zmęczone chłopy, oficerowie pościągani z całej Rosji, zupełnie niewyrobieni bojowo. Wypadło pokazywać w każdej kompanji organizację obrony; ciemno już było, gdym opuścił okopy. W pół drogi spotkał mnie szef sztabu z pilnym meldunkiem: patrole podsłuchowe dały znać, że przeciwnik nagle znikł. Kazałem sprawdzić na całym froncie: odpowiedź ta sama. Widoczne było, że się rozpoczął odwrót i to przed chwilą, słyszałem przecie pół godziny temu głosy w austrjackich okopach. Prosiłem więc dowódcę korpusu o pozwolenie ścigania czołowemi oddziałami (łatwo było wywołać w tych warunkach u przeciwnika panikę), otrzymałem jednak rozkaz rozpoczęcia pościgu dopiero o czwartej rano.

Austrjacy odchodzili pośpiesznie, ale w zupełnym porządku; oprócz połamanych gratów, nic nie pozostawili za sobą. Po drodze zboczyłem do ich okopów, by się przekonać, jak wygląda zbliska zaobserwowane dnia poprzedniego odrutowanie; w rzeczywistości nie

przedstawiało się ono groźnie: naciągnięto na słupkach jeden rząd ogrodowego drutu gładkiego. Taką przeszkodę wziąłby z łatwością lada cielak, a nam zdaleka wydawało się to bardzo poważnie. Wiadomo — strach ma wielkie oczy! Dla niepoznaki okopy były dobrze zamaskowane słomą; pole dokoła usiane blaszankami od konserw, tekturowemi pudełkami, kawałkami papieru, za frontem parę krzyżyków na samotnych mogiłkach...

Drogi ożywiły się odrazu; od południa ciągnęły tabory z wywiezionym dobytkiem, kobietami i dziećmi, szli chłopi, niosąc w workach i tobołkach uratowane mienie, wracała widocznie do swych zagród, usunięta przez Austrjaków przemocą ze strefy przyfrontowej, ludność wiejska. Nasz chłop opuszcza swą chatę dopiero wtedy, gdy mu strzecha nad głową stanęła w ogniu, lub pod przymusem.

Nasunęła się pierwsza wieś, nie dotknięta klęską wojny; oko z lubością zatrzymywało się na wyglądających z za drzew białych ścianach schludnych chat, dokoła których krzątały się ubrane barwnie kobiety; nad stawem dokazywała gromadka dzieci, pod krzyżem, przystrojonym wstążkami i kwiatami, zawodził stary dziad, a otwarte drzwi kościołka zapraszały do wejścia na pacierz.

Na polach stały żółte stogi słomy, czerwieniły się kopy gryki a wokoło rozpoczęto już jesienną pracę. Orzą, bronują i sieją pracowici gospodarze... Tu powróciło święte prawo pracy pokojowej.

A najeżony bagnetami, nie mieszczący się w granicach horyzontu, wąż ludzki pełzł wolno od świtu do

mroku poprzez niziny i pagórki na południe, ku swemu przeznaczeniu, zostawiając za sobą po obu stronach drogi wyślizgane pasy twardego gruntu.

ROZDZIAŁ IV.

Dziwny charakter miało ściganie przeciwnika; wyglądało to tak, jakgdyby naszemu dowództwu zależało na spokojnem odejściu Austrjaków. Codziennie robiliśmy tyleż wiorst, co i oni; zwykle koło czwartej godziny po południu moja przednia straż dochodziła do miejsca nakazanego noclegu; wtedy przeciwnik znajdował się o cztery — pięć wiorst od nas. Można więc było łatwo nacisnąć go i zdezorganizować mu odwrót, przecie ruch jego tamowały ciężkie tabory, ciągnące przodem. Prosiłem parę razy o pozwolenie wysunięcia się w tym celu poza naznaczony mi punkt noclegu i stale otrzymywałem odmowę. Nie rozumiałem również, co się stało z jazdą rosyjską, której było chyba dość; powinna była kąsać przeciwnika od strony jego skrzydeł. Miałem więc na froncie tylko drobne starcia ogniowe; moralnie czułem się doskonale: wymiatało się wrogów z Kongresówki. Miałem nadzieję, że zmusi się ich do opuszczenia Małopolski; z dużą pociechą obserwowałem również, że południowa część ziemi lubelskiej nie była zniszczona przez wojnę.

14 września kolumna moja skrzyżowała się z 18-tą dywizją na popasie; gen. Bałanina zastałem przed le-

śniczówką. Opowiedział mi on, że o parę wiorst dalej ciągnie lasem duża kolumna austrjacka w kierunku wsi Lipa niedaleko Sanu, i że zapewne dziś jeszcze przeciwnik przeprawi się za rzekę.

Zdarzała się doskonała okazja uderzenia na przeciwnika w krytycznej dla niego chwili, zaproponowałem więc generałowi wspólną akcję.

— Ani myślę — odparł — droga idzie cały czas lasem, nie chcę więc wciągać dywizji w ryzykowny bój leśny, który uniemożliwia prawidłowe kierownictwo. Zrób to pan na własną rękę; od prawego skrzydła naszego prowadzi tam leśna dróżka, która również kończy się w Lipie.

Bardzo mi to przypadło do usposobienia, prosiłem tylko Bałanina, by ze swej strony nacisnął również przeciwnika od tyłu, gdy usłyszy u mnie strzały. Zgodził się na to; nim odjechałem, wydano dowódcy brygady, gen. Michajłowowi, odpowiedni rozkaz.

Poprzedzona przednią strażą, ruszyła brygada po krótkim wypoczynku w las; na wąskiej drożynie wlekliśmy się niesłychanie wolno, wysforowałem się więc stopniowo ku czołowym kompanjom. Po dwóch godzinach spokojnego marszu zauważyłem, że las zaczyna przeświecać a z lewej strony poprzez drzewa wyjrzało otwarte pole. Przeszło jeszcze kilka minut, i moja przednia straż rozsypała nagle tyraljerę bez wystrzału i, maskowana wciąż drzewami, przesunęła się w lewo na skraj lasu. Spojrzałem w tym kierunku: w odległości może kilometra posuwała się ku południowi długa kolumna piechoty; głowa jej ginęła w rozległej wsi,

ogon tkwił gdzieś w lesie; widoczne było, że nie domyślano się dotychczas naszej obecności na skrzydle.

Chciałem doczekać nadejścia brygady i uderzyć wtedy na przeciwnika, ale zabrakło mi na to czasu. Z lasu wysunął się ku nam boczny oddział zabezpieczający, musiał on wkrótce zdradzić nasze incognito, postanowiłem więc wyzyskać narazie czynnik zaskoczenia.

Zagrzmiały pierwsze salwy, widać było padających ludzi, w kolumnie wszczęło się zamieszanie, jacyś konni pocwałowali przez pole, rozległa się bezładna strzelanina. Trwało to jednak zaledwie parę minut; widocznie dowództwo opanowało energicznie zarodek paniki. Od kolumny pobiegła ku nam długa, gęsta tyraljera, zapadła szybko w kartoflach i prysnęła gęstym ogniem. Bzyknęły pierwsze kule, za niemi nadleciały całe roje, ale widocznie celowniki były ustawione za wysoko; siekły więc kule gałązki w koronach sosen, a gdy która trafiła w drzewo, ukazywał się biały obłoczek, rozlegał się lekki syk rozlatujących się cząstek metalu; widocznie strzelano przeważnie kulami eksplodującemi. Wkrótce jednak bzykanie kąśliwych os koło uszu zrobiło się dokuczliwe, chociaż straty były wciąż minimalne: strzelcy byli dobrze ukryci za drzewami.

Po pewnym czasie przemówiła i artylerja austrjacka, haubice zarzuciły skraj lasu granatami i przytłumiły nieco ogień naszej tyraljery. Skorzystał z tego przeciwnik i, podparty nowemi falami, pognał ku lasowi, zapadając niekiedy w nizinkach; grząski teren utrudniał jednak ruch o tyle, że prawie zwarte linje rozbiły się wkrótce w szereg nieskoordynowanych grup.

W natarciu tem nie widziałem nic groźnego. Austrjacy byli w pełnym odwrocie, chcieli więc tylko odpędzić mnie, by zabezpieczyć sobie spokojną przeprawę przez San. Narazie jednak położenie moje nie było świetne: w linji bojowej miałem zaledwie jeden bataljon, w rezerwie nic, a starcie wręcz już się zaczęło. Otaczając moich strzelców z obydwóch skrzydeł, zaczęto ich spychać w głąb lasu, a artylerja austrjacka przeniosła ogień na moje tyły. Wybuchy bomb, trajkotanie kulomiotów, trzask łamanych drzew, krzyki, przekleństwa napełniły piekielnym hałasem cały las, a kłębiące się grupy walczących posunęły się ku mnie tak blisko, że dobyłem szabli.

Ale w ostatniej prawie chwili nadbiegł z głębi lasu bataljon strzelców z pułk. Ganenfeldem na czele. Wskazałem mu ręką na nacierającą ciżbę, odsalutował szablą i rzucił się na czele strzelców w sam wir walczących. Wszystko się skotłowało, widziałem jednak, jak ogromny Austrjak przewrócił bagnetem Ganenfelda, a ciżba żołnierzy nakryła ich natychmiast. Strzelcy stopniowo brali górę, wypierali zwolna przeciwnika ku skrajowi lasu, skierowałem więc dwie ostatnie kompanje pułku na lewe skrzydło, gdzie położenie było najcięższe.

Nareszcie nawinął się lekarz z sanitarjuszami; kazałem mu zaraz znaleźć rannego pułkownika, sam zaś zająłem się nadjeżdżającą baterją mych haubic. Strzelać w lesie nie mogły, przeszkadzały mi tylko; huk pękających dokoła pocisków płoszył konie, przewróciły się dwa działa, połamały dyszle. Cofnąłem więc z trudem baterje w spokojniejsze miejsce.

Pułk. Ganenfelda znaleziono; był ciężko ranny w brzuch, nie stracił jednak przytomności i prosił, by go do mnie przyniesiono.

— Czy spełniłem dzisiaj mój obowiązek — spytał z lekkim uśmiechem na zbielałej twarzy.

Skinąłem głową, nie mogąc przemówić słowa ze wzruszenia.

— Zmazałem więc swą winę, pożegnaj mnie, generale, ja umrzeć muszę.

Ucałowałem z ciężkiem sercem biedaka; w parę godzin później umarł.

Położenie moje było jednak wciąż poważne; przeciwnik otrzymał posiłki i długo nie dawał się wyprzeć z lasu. Dopiero nadejście 7-ego pułku pozwoliło ustalić pewną równowagę, ale przez jakiś czas musiałem osobiście wprowadzać do walki przybywające kompanje. Gdy się więc dowódca pułku nareszcie ukazał, zrobiłem mu uwagę, że trzyma się zbytnio na tyłach; odpowiedź wypadła dla mnie niezbyt przyjemnie.

— Jeździłem po rozkazy do Waszej Ekscelencji — odparł ostro — szukałem jednak pana za sobą, a nie w tyraljerze.—Na tę replikę nie znalazłem odpowiedzi; zdaje się, że pułk. Suchotin miał rację.

Wkońcu nadeszły pułki 5-ty i 8-my; wtedy wyparto Austrjaków ostatecznie z lasu, na skraj wytoczono na rękach baterję haubic, a ogień jej okazał się wkrótce bardzo skuteczny. Przeciwnik począł się zwolna cofać. Postanowiłem więc przejść do decydującego natarcia; tyraljery moje natarły ostro, impet szybko wzrastał, rozległy się miejscami okrzyki „hurra“ i prawie nagle nastąpił przełom. Austrjacy zerwali się do

ucieczki, grzęznąc raz po raz w bagnistej łące, wślad za nimi biegli strzelcy i grzęźli również; ogień prawie ustał.

Dla przyśpieszenia rozwiązania kazałem szarżować sztabowej sotni kozackiej. Dońcy poszli z miejsca ostro, ale ustali szybko, konie zaczęły zapadać się po brzuchy. Ja z dwoma oficerami sztabu jechałem drogą na skrzydle ataku, zajęty przebiegiem walki, i nie zauważyłem nawet, że minąłem własną tyraljerę oraz pierwszą falę austrjacką; opamiętałem się, gdy już było za późno i dokoła siebie widziałem tylko granatowe kurtki.

Odwrót miałem odcięty, słyszałem jednak, że Austrjacy nawoływali się po polsku; wstrzymałem więc konia i zacząłem wołać:

— Chłopcy, zbierajcie się do mnie na drogę, już po bitwie, jesteście otoczeni.

Polska mowa i pozorny mój spokój zasugestjonowały żołnierzy; wszystko zaczęło się złazić ku mnie, i po kilku minutach byłem otoczony gromadą spoconych, czerwonych twarzy, nie objawiających żadnych złych zamiarów. Strzelcy moi byli jednak jeszcze o jakie trzysta kroków, trzeba było zyskać na czasie; spytałem więc żołnierzy, z jakiego są pułku; odpowiadało mi po kilku naraz, że są z 4-ech pułków i sami Polacy, a jeden duży chłop z pyzatą gębą począł się zaklinać, że „ja do was nie strzelałem, nic mi po tem, bom piekarz". Odpowiedziałem mu na to, że jest gałgan, bo skoro został żołnierzem, powinien był spełnić obowiązek żołnierski; uwaga moja podobała się żołnierzom.

— A widzisz — wołali — żeś dureń, sam pułkownik moskiewski potwierdził to!

Tymczasem doszło już do okalającego mnie pierścienia austrjackiego kilkudziesięciu moich strzelców, dalsza rozmowa była więc niepotrzebna; kazałem jeńcom złożyć broń i odejść pod eskortą kozaków na tyły.

Narazie zostałem w miejscu. Słońce już zachodziło; po całem polu zbierały się grupy rosyjskich i austrjackich żołnierzy, łączyły się w doskonałej komitywie i ściągały, gwarząc, ku drodze; wystrzały ustały zupełnie. Zebrała się również i moja niefortunna sotnia, skonfundowana trochę nieudałą szarżą. Od zachodu słychać było jednak silny ogień karabinowy. Posłałem tam kozaków dla wywiadu, a za moim przeciwnikiem skierowałem przednią straż; zbiórkę brygady naznaczyłem w Lipie. Zebraliśmy się dopiero o zmroku; zameldowano mi wówczas o zdobyciu 23 kulomiotów i dużej ilości jeńców. Ilu wzięto, nie wiedział nikt; zbierano ich po bagnach i lasach i kierowano partjami wprost do sztabu korpusu. Zorganizowane oddziały przeciwnika znikły jednak gdzieś, a moja przednia straż nie mogła się wysunąć nad San, gdyż walcząca na zachód ode mnie 37-ma dyw. piechoty prowadziła silny ogień karabinowy aż do późnej nocy, tamując mi dostęp do Sanu. Wywiad strzelców stwierdził, że w tym kierunku niema nikogo; dałem więc o tem znać dowódcy dywizji, by nie marnował na darmo amunicji, walcząc z próżnią.

Nocleg — wiązkę słomy przygotowano mi w jakiejś chacie. Pomimo dużego zmęczenia nie mogłem jednak usnąć; wyobraźnia nasuwała mi coraz to inny

obraz stoczonej bitwy. Dała mi ona zwycięstwo, zostawiła jednak uczucie pewnego niezadowolenia z samego siebie, zadrasnęła boleśnie duszę.

Jako żołnierz i oficer, nie miałem sobie nic do zarzucenia; nie doznałem uczucia strachu, może dlatego, że ciążyła na mnie zbyt duża odpowiedzialność za życie tysięcy ludzi, nie straciłem również ani razu głowy. Gorzej było z mojem dowodzeniem; można było wytłumaczyć moją obecność w czołowym bataljonie w czasie boju przypadkowym charakterem jego, ale udział w szarży sotni kozackiej, wysforowanie się przed własną tyraljerę mogło z łatwością wywołać zupełnie zbędną śmierć moją. Zachowanie takie nie odpowiadało powadze mego stanowiska, dałem się unieść temperamentowi, wolałem więc o tem nie opowiadać nikomu; puściłem nawet mimo uszu parę zjadliwych aluzyj mego szefa sztabu. Noc miałem ciężką; w miarę, jak mijało podniecenie nerwowe, rosło w duszy uczucie przygnębienia. Przecie musiałem walczyć przeciwko braciom z za kordonu, przelewać ich krew i nic na to poradzić nie mogłem; obyśmy się więcej nie spotykali...

18-sta dywizja nie pomogła mi nic. Gdy gen. Michajłow usłyszał kanonadę na mym odcinku, zatrzymał brygadę w lesie, okopał się, wystawił dwie baterje i wszczął ogień wprost przed siebie—„na vivat" chyba.

Ledwie dniało, wstałem z barłogu; chciałem czem prędzej uporządkować brygadę. Nocowała oczywiście w zupełnym nieładzie, nie z własnej zresztą winy.

Walkę prowadzono frontem na wschód, przeciwnik cofnął się na południe, dostęp do Sanu odcięła

swym ogniem 37-ma dywizja, a ciemna noc uniemożliwiła orjentację; zamieszanie zwiększyły tabory, które nadeszły późno i stanęły tam, gdzie im było wygodniej, a wypadło to pomiędzy przednią strażą a głównemi siłami.

Przy raporcie dowódców pułków doszedł nas od strony Sanu odgłos kilku wybuchów. Przypuszczaliśmy, że Austrjacy wysadzili w powietrze mosty, ale w parę minut później wybuchy poczęły się zbliżać i wkrótce ukazały się pędzące w dzikim popłochu od strony rzeki wojskowe wozy, luźne konie i pojedyńczy ludzie. Ledwieśmy zdążyli uskoczyć na płot, zapełniła się ulica uciekającymi taborytami; to austrjacka ciężka baterja namacała ich i wywołała panikę.

Nie uległy jej jednak oddziały brygady, stanęły w ciągu paru minut pod bronią, a pułk 6-sty wysunął swą tyraljerę nad San. Wymarsz do rejonów, wyznaczonych oddziałom, odbył się w zupełnym porządku; oddziały dla zmniejszenia możliwych strat szły w rozwiniętym szyku. Gdym siadał na koń, pękł pocisk pomiędzy kulbaczącymi konie mymi ordynansami, mnie ogłuszyło nieco, ale utrzymałem się w siodle, dwóch kozaków rzuciło o ziemię, z trzeciego nie zostało prawie nic, konie zaś pokaleczyło.

Jechałem przy jednej z kompanij. Pociski kładły się dziwnie regularnie przed lub za nami. Przykre bardzo jest uczucie, gdy nadlatuje „ciężki przedmiot“: ucho łowi zbliżający się zdaleka a coraz przenikliwszy skowyt, gdy pocisk leci nad głową, wyje wprost groźnie metalicznym głosem, potem następuje błysk, huk, wytryska z ziemi olbrzymia fontanna ziemi, zmieszanej

z płomieniami, dymem i odłamkami pocisku; wtedy następuje odprężenie, ginie cień śmierci, która musnęła żołnierza swem skrzydłem. Ani jeden pocisk nie trafił jednak w nas, odeszliśmy spokojnie na wyznaczone biwaki.

Przypuszczałem, że przeciwnik miał dobry punkt obserwacyjny na wieży smukłego kościołka za Sanem; jeżeli się to spostrzeżenie potwierdzi, będę go musiał stamtąd wykurzyć.

Doba minęła, nim nadeszły od dowódcy korpusu dalsze rozkazy: miałem sforsować przeprawę przez San. Dodano mi jeszcze trzy dywizjony artylerji, dwie brygady piechoty i park pontonowy, miałem więc razem 24 bataljony czyli prawie korpus; ale nikt ze starszych generałów nie kwapił się do objęcia komendy, woleli ustąpić mi wątpliwe laury. Warunki przeprawy nie były łatwe. Miałem jej dokonać na szczupłym odcinku Sanu, nie mając miejsca dla manewru demonstracyjnego; musiałem uderzać wprost przed siebie na przeciwnika, zajmującego stanowisko tuż za rzeką, nie posiadającą brodów. By w tych warunkach przerzucić most na drugi brzeg, należało przedewszystkiem odeprzeć Austrjaków. Mogła to uczynić jedynie artylerja; nim się jednak ustawiło baterje, poprawiło drogi i przygotowało park mostowy, minęła jeszcze doba. Tymczasem wysunąłem skrycie na brzeg rzeki do okopów jedną brygadę piechoty, dla ewentualnej akcji ogniowej.

Mieliśmy więc dwa dni względnego wypoczynku. Działa grzmiały coprawda, ale głównie w celu wstrzeliwania się. Nadeszła nareszcie dawno oczekiwana poczta: Niemcy cofnęli się z pod Radomia, dobrze więc, że mnie zabrano z Dęblina, przykro byłoby zna-

leźć się na tyłach w takiej wojnie. Zauważyłem z rozmowy telefonicznej ze sztabem korpusu, że mam tam trochę życzliwych, którzy chętnie dzielą się mem powodzeniem; między nimi był i Bałanin. Niech mu służy, ja walczę nie o to, co go pociągał Nadjechał z tyłów mój automobil, przywieziono go czwórką koni, nie może bowiem ruszyć przez miejscowe piaski i trzęsawiska.

* * *

Przeprawa poszła mi gładko. Skoncentrowany o świcie ogień wszystkich bateryj wypłoszył przeciwnika z okopów i zmusił go do szybkiego odwrotu. Przypuszczam zresztą, że Austrjacy nie zamierzali bronić uporczywie przejścia przez San, ich artylerja strzelała mało; straty miałem minimalne. Pod osłoną przerzuconego na łodziach oddziału, postawiono w ciągu dwóch godzin solidny most pontonowy. Tegoż dnia otrzymałem nagrodę za pomyślne dokonanie przeprawy — dowódca korpusu wyraził zdziwienie, że tak dużo na nią zużyłem pocisków, a szczególnie granatów, nie wskazał mi jednak innego sposobu sforsowania rzeki, gdy nie mogłem zastosować czynnika zaskoczenia.

* * *

Włączono nasz korpus do 9-tej armji; dowodził nią gen. Leczyckij. Okazało się, że marsz nasz na południe miał na celu odrzucenie przeciwnika ku Wiśle, ale operacja nie udała się z powodu marnych dróg i marudzenia lewego skrzydła frontu. Dankl uszedł względnie spokojnie za San.

* * *

W nocy otrzymaliśmy radosną, długą depeszę: Francuzi odnieśli nad Marną ogromne zwycięstwo. Miało ono olbrzymie znaczenie. Katastrofa wisiała w powietrzu, a wtedy cała kampanja byłaby przegrana. Porażkę Niemców wywołało bezpośrednio przerzucenie paru korpusów z prawego skrzydła ich frontu do Prus Wschodnich; doprowadziły one coprawda do zniszczenia 2-giej armji rosyjskiej, ale zato zabrakło sił we Francji w chwili stanowczej, gdy na Niemców uderzyła znienacka od strony Paryża 10-ta armja gen. Maunoury. Wtedy nastąpiły ciężkie zmagania, aż nareszcie ogólny kontratak na całym froncie zmusił wroga do odwrotu.

Należy tu podkreślić z najwyższem uznaniem niezłomny duch armji francuskiej, którego nie zachwiał trzytygodniowy odwrót. Wiadomo przecie, że nic tak nie demoralizuje żołnierza, jak długi odwrót, który zaszczepia w nim stopniowo przekonanie o wyższości przeciwnika. Taki hart posiadają tylko armje narodów o wysokiej kulturze. Może nastąpi teraz punkt zwrotny kampanji.

ROZDZIAŁ V.

Szybko przeprawiła się brygada po moście i ruszyła na Rozwadów. Po drodze widziałem porzuconą przez Austrjaków baterję haubic; była to pierwsza oznaka rozpoczynającej się dezorganizacji marszu odwrotowego; przeciwnika nie było. W obawie rabunków ruszyłem z przednią strażą; droga prowadziła obok

rezydencji ks. Lubomirskich; gdym dojeżdżał do parku, zauważyłem ciągnące od pałacu w różne strony sznury niby pracowitych mrówek: byli to chłopi i chłopki, objuczeni tobołami z łupem, zdobytym w pałacu.

Wszedłem do środka; widok był niesłychanie przykry, rabunek ohydny, meble połamane, obrazy zdeptane, rozrzucone po podłodze razem z podartemi książkami z bibljoteki; drzwi w szafach wyłamane, zawartość zrabowana; tylko piękna zbrojownia myśliwska była nietknięta. Ze słów służby dowiedziałem się, że tu przez dwa dni gospodarowali austrjaccy żołnierze a potem chłopi; dopiero przed godziną nadjechali kozacy i dobrali się do piwnicy. Wypłoszyłem ich natychmiast nahajami, jeden tylko zdążył się spić do utraty przytomności. Zauważyłem, że oficerowie moi patrzyli łakomie na piękną broń, zapowiedziałem więc, że zabranie czegokolwiek uważałbym za grabież, pociągającą za sobą sąd wojenny. Pomogło to tyle, że broń tę podzielili między siebie oficerowie sztabu korpusu.

Dalszy marsz mieliśmy naznaczony za 37-ą dyw. piechoty, ruszyliśmy więc dopiero o zmroku, ale w Rozwadowie zajęły nam drogę jakieś nadprogramowe kolumny; stanęliśmy więc na długie godziny. Miasteczko, rozgrabione przez Austrjaków, zostało podpalone przez rosyjskie pociski. Mieliśmy więc bezpłatną iluminację, którą gasił tylko litościwy deszcz; ludność, wyłącznie Żydzi, pochowała się po piwnicach lub rozbiegła po okolicy.

Znudziło mi się nareszcie moknąć beznadziejnie, zaszedłem więc do najbliższego domu; jakiś stary Żyd

zaświecił nam kaganek. Trafiłem nieświetnie: dach był rozbity pociskiem, w suficie czerniała duża dziura, mieszkanie było zasłane połamanemi meblami; znalazłem jednak suche miejsce i mniej więcej całe krzesło. Siedziałem tak parę godzin. Ruszyliśmy dopiero późno w nocy, ale za miastem zajechały nam znowu drogę tabory sąsiedniego korpusu; nowa przeszkoda, a tu rozigrała się burza z piorunami, deszcz lał jak z cebra. Szukając ochrony przed ulewą, trafiłem wreszcie na porzucony przez Austrjaków szpital, ale pełen był chorych zakaźnych; nowe poszukiwania, i nareszcie spocząłem na jakiejś kanapce, uzyskanej groźbą w stojącym na uboczu domku. Niedługo jednak spałem, o świcie ruszyliśmy dalej. Chaos ubiegłej nocy zmęczył mnie jednak, a tabory nasze ugrzęzły gdzieś, nie jedliśmy więc całą dobę i nie mogliśmy zmienić przemoczonej bielizny. Sztab korpusu nocował u Lubomirskich i w braku czegoś lepszego najadł się książęcych konfitur.

Nazajutrz wyszliśmy nareszcie z bagien, piasków i lasów smutnej doliny Sanu. Okolica poczęła nieco falować. Austrjacy nie stawiali oporu. Po drodze leżało trochę porzuconych wozów, jaszcze z amunicją, ciężkie działa, padłe konie. W końcu przemarszu dogonił mnie jakiś generał i przedstawił się jako Jabłoczkin, mianowany dowódcą 2-iej brygady strzelców. Zrobił on na mnie bardzo niemiłe wrażenie, może dlatego, że mnie nieoczekiwanie wysadził z siodła. Przyzwyczaiłem się do brygady, a ona do mnie, ale nie było rady, pożegnałem się z pułkami i wróciłem natychmiast do dywizji.

Zastałem sztab w prymitywnych warunkach; pięciu oficerów siedziało w ubogiej chacie tak niskiej, że głowa moja sięgała sufitu, a okienko pasa. Zresztą w namiocie byłoby jeszcze gorzej, mżył drobny deszczyk, pogoda była zgniła, mgła przenikała do kości; pocieszaliśmy się więc jak najgorętszą herbatą w dużych ilościach.

W dwa dni później nastąpiła nowa zmiana. Bałanin dostał korpus, mnie zaś rozkazano objąć etatowo 18-ą dywizję. Z tej nominacji byłem zasadniczo zadowolony, bo znałem pułki z poprzedniej służby. Przed wyjazdem Bałanina mieliśmy pewne divertissement: gdy 1 brygada zbliżała się do wsi, gdzie był naznaczony nocleg, spotkał ją silny ogień karabinowy i armatni; ja z Bałaninem jechałem przed głównemi siłami, zaproponowałem więc zajęcie punktu obserwacyjnego na wzgórzu obok stodoły. W kilka minut później nadleciał pierwszy pocisk, potem drugi, trzeci i jeszcze kilkanaście; musiał nas widocznie ktoś z tamtej strony dojrzeć, chociaż konie zostały na drodze. Wycofaliśmy się więc na spokojniejsze miejsce w oczekiwaniu na przebieg wypadków; nie wypadło nawet długo czekać. Austrjacy, zagrożeni obejściem, cofnęli się pośpiesznie. Straty mieliśmy nieduże, zginął jednak jeden pop pułkowy, gdy z sanitarjuszami zbierał rannych; żałowaliśmy go, jako wyjątkowo porządnego człowieka.

Zamieszkaliśmy u księdza. Postój miał trwać dwie doby; bardzo to nam dogadzało, gdyż kwestja posiłków i noclegów była ostatniemi czasy zupełnie zaniedbana. Po kolacji Bałanin w świetnym humorze opowia-

dał, powołując się na mnie, w jakiem niebezpieczeństwie znaleźliśmy się niedawno; nie oponowałem z grzeczności, ale w duchu stwierdziłem, że ludzie komentują sobie napięcie niebezpieczeństwa nader rozmaicie.

Dalsza droga prowadziła na poł.-zachód, ku Wisłoce. Pogoda psuła się coraz bardziej, padały często deszcze, słońce wyziębło, czuć było w powietrzu październik. Stosunek ludności wiejskiej do wojska był spokojny, niekiedy życzliwy. Grabieży stanowczo nie dopuszczałem, przeciwnie, eksploatowano nas ciągle; o lada drobiazg robili nam kmiotkowie takie piekło, że płaciło się im wielokrotny koszt poniesionej straty. Gniewałem się tylko i groziłem, gdy pomstowano o słomę; mieli jej bardzo dużo, a noce zimne, wilgotne, nic więc dziwnego, że się żołnierze zakopywali w nią. Obywatele i Żydzi wyjechali, bali się ryzyka.

Nie śpieszyliśmy się zbytnio; trzeba było podciągać i uporządkować tabory, zorganizować piekarnie; będziemy więc jedli świeży chleb, suchary są niby smaczne, gdy się je rozmoczy w herbacie, ale przy innym akordzie kulinarnym wymagają za dużo pracy szczęk. Zawiadomiono mnie urzędownie, że nominację moją poparł już dowódca armji, musi ją jednak zatwierdzić naczelne dowództwo. Na moje miejsce został mianowany fligiel-adjutant Żytkiewicz, mój dawny kolega, elegancki, piękny mężczyzna; bojowych zalet jego nie znałem. Jeden nocleg wypadł mi w leśniczówce; gospodarz uciekł, zabrawszy najcenniejsze rzeczy, i pozostawił nam puste izby. Czego nie wywiózł, zakopał w ogrodzie, a uczynił to tak niezręcznie, że w otwar-

tych dołach widać było materace, puste kufry i inne graty; zostawił również furaż, braliśmy go darmo, bo nie było komu płacić.

23 września zajęła moja awangarda m. Mielec nad Wisłoką. Austrjacy ustąpili bez walki, ostrzeliwali tylko jakiś czas dalekim ogniem centrum miasta, głównie kościół; moja artylerja pogadała też trochę, ale kazałem zaprzestać, szkoda pocisków. Pamiętając o losie Rozwadowa, mianowałem zgóry komendanta miasta z najsroższemi instrukcjami co do utrzymania porządku; dzięki temu zarządzeniu nie było ze strony dywizji żadnych nadużyć. Z inteligencji pozostał w mieście tylko aptekarz, który był jednocześnie burmistrzem; trochę mu było z początku niejako, ale wogóle robił, co do niego należało, porządnie. Moja poprawna polska mowa dodała mu otuchy. Dla uniknięcia grabieży wydałem krępujące nieco ludność, ale niezbędne przepisy. Tu zobaczyłem niewidziane oddawna szyny kolejowe, wspomnienie życia w warunkach kultury. Cała inteligencja uciekła z miasta. Rozumiem, że musiały to uczynić rodziny wojskowych i urzędników, ale dlaczego wyjechali ludzie niezależnych profesyj, nie rozumiem.

Komendant zameldował mi, że w godzinę po zajęciu miasta przyjechało powozem dwóch oficerów sztabu 37-ej dyw. piechoty; zajechali do składu wina i zabrali najlepsze gatunki, nie płacąc za nie. Rozgniewało mnie to, pojechałem więc natychmiast autem do dowódcy tej dywizji, gen. Zajączkowskiego (Rosjanina); gdym mu powiedział, poco przyjeżdżam, zmieszał się nieco, niby zdziwił, i wycedził przez zęby, że tę kwestję zbada. Poprosiłem go z naciskiem, by się pośpie-

szył, bo właśnie jutro złożę meldunek o przebiegu zajęcia miasta. Zrozumiał, że sprawy tej nie pozwolę zbagatelizować, i obiecał mi dzisiaj jeszcze dać wyjaśnienie, żegnając się zaś, przypomniał sobie nareszcie: „Rzeczywiście, coś o tem słyszałem, zresztą wino było zupełnie marne".—To zakończenie było paradne; wieczorem odesłano cały transport z wyjątkiem kilku butelek.

Most na Wisłoce był spalony, prom zniszczony, a cały nurt na miejscu przeprawy zarzucony budulcem i gałęziami. W przewidywaniu dalszego marszu kazałem postawić most pontonowy. Gdy saperzy zaczęli wyciągać drzewa, nastąpił wybuch, który jednemu z żołnierzy urwał głowę; cały prąd okazał się podminowany. Zastosowując niezbędne ostrożności, wyciągnięto z wody dwadzieścia ładunków; niektóre wybuchły, ale bez dalszych nieprzyjemnych skutków; ostatecznie most stanął, i wywiad poszedł za rzekę, nie spotkał jednak w odległości dziennego marszu przeciwnika.

Przypadkiem podsłuchałem telefoniczną rozmowę o sobie dwóch szefów sztabu, dawnego i obecnego; ten dawny ostrzegał co do mej osoby nowego:

— Bardzo gorący, trzymaj go pan za poły, ciągle prze naprzód.

Zapamiętałem to sobie jako wskazówkę na przyszłość.

* * *

Przyprowadzono mi trzech kadetów z Połocka w wieku 17—18 lat; przyszli piechotą z Lublina, nie

mieli palt i zapasowej bielizny, błagali o przyjęcie ich jako ochotników; z korpusu uciekli bez wiedzy rodziców i władzy szkolnej. Przydzieliłem ich narazie do artylerji, niech pracują przy telefonach, a rodzicom dałem znać.

Zamieszkałem w „pałacu“ hr. Oborskiej; naturalnie, po kurnych chatach było mi tu bardzo wygodnie, zasadniczo jednak raziło dziwnie tandetne urządzenie rezydencji, liche umeblowanie; łazienka istniała, ale wanna była przerdzewiała, niezdatna do użytku. Urządzono mi więc kąpiel w mieszkaniu opuszczonem przez właściciela, adwokata. Z ogromną przykrością obszedłem pokoje. Jacyś maruderzy zakradli się tu przed naszem wejściem i „oporządzili“ je w sposób ohydny: szafy opróżniono, wyrzucając ubranie i bieliznę na podłogę, szuflady wyłamano, papiery rozrzucono; fortepian postradał jeden klawisz, szafa ogniotrwała była rozbita. Poprzednio mieszkanie to musiało być poprostu cackiem, ogniskiem kultury; piękne, stylowe meble, cenne szkło w kredensie, ładne lampy, obrazy wartościowe, interesująca bibljoteka, miły pokój dziecinny. Przejrzałem nuty: Szopen, Beethoven... w gabinecie fotografja ładnej, rasowej kobiety i dwojga dzieci.

Na biurku zauważyłem wśród druków kwitarjusze zbiórki na rzecz strzelców galicyjskich; zniszczyłem je w obawie, że mogą się dostać do rąk rosyjskiej żandarmerji, co w przyszłości mogło mieć dla właściciela mieszkania nieprzyjemne skutki. Tak mi było żal tego zamarłego ogniska domowego, że poleciłem je specjalnej opiece burmistrza. Po raz drugi dotknąłem się w tej wojnie jej ohydy — rozpasania bestji ludzkiej, i to nie w okresie

podniecenia bojowego, ale niweczącej dorobek ludzki na zimno.

Wrócił nareszcie przez Sandomierz do macierzystej dywizji pułk tulski; przetrzebiono go znacznie, zginęło kilku najlepszych oficerów z zastępcą dowódcy pułku, Petropawłowskim, na czele. Zginął ten dzielny, prawy żołnierz, jak bohater, prowadząc pułk do ataku. Ceniłem go bardzo, jako człowieka dobrej kultury.

Czasu wolnego miałem dość, spacerowałem więc po miasteczku, opustoszałem bardzo. Ładne — na krańcach kilkanaście sympatycznych will, stojących obecnie pustkami. Mielec ucierpiał jednak sporo wskutek bombardowania na ślepo przez austrjacką artylerję, gdy w mieście nie było jeszcze ani jednego żołnierza rosyjskiego.

Z Karpat nadleciał silny, zimny wiatr. Przyjemnie po przechadzce zasiąść pod dachem przy ogniu; kominek był, ale „na niby".

Na linji Wisłoki skończyła się operacja galicyjska; armje rosyjskie stanęły, a przeciwnik dokonał odwrotu do zachodniej Małopolski z dużemi stratami, ale w pewnym porządku nawet, bez pościgu jazdy, której nota bene Rosjanie mieli dużo. Przypuszczam, że na tę bezczynność wpłynął głównie brak generałów kawaleryjskich o prawdziwie zaczepnym duchu. Poważne rezultaty dała ta operacja w dziedzinach terytorjalnej i politycznej, skróciła również front rosyjski, nie dokonała jednak głównego zadania strategicznego — rozbicia armji austrjackiej, która wykazała dużą bitność i umiejętne, energiczne kierownictwo.

Na tyłach nowego frontu rosyjskiego w Galicji pozostała pierwszorzędna twierdza — Przemyśl, posiadająca dwa pierścienie nowożytnych fortów i liczny garnizon. Naczelny wódz frontu, gen. Iwanow, nakazał rozpocząć jej oblężenie, które było właściwie tylko blokadą, bo brakło Rosjanom ciężkiej artylerji; zmudną tę operację poruczono gen. Seliwanowowi, któremu przydzielono w tym celu całą armję, złożoną wyłącznie z pospolitaków.

We Wschodniej Małopolsce utworzono generał-gubernatorstwo z hr. Bobryńskim na czele. Był to człowiek dobrych form, ale rusyfikator i krzewiciel prawosławia, łatwo było więc przewidzieć, jaki nastrój wśród polskiej ludności wywoła jego działalność, której trzema apostołami będą: czynownik, pop i żandarm.

* * *

Na zachodzie nie udało się Francuzom wyzyskać zwycięstwa nad Marną; opór Niemców wstrzymał ich ofensywę i zmusił do wojny pozycyjnej. Tylko we Flandrji kotłowało się jeszcze, Niemcy rozpoczęli gwałtowne natarcie na szerokim froncie w celu odcięcia frontu francusko-niemieckiego od morza w Calais i Boulogne.

* * *

Nadszedł październik; smutno na świecie, chmurno, dżdżysto, wietrzno; słońce ukazywało się rzadko, świeciło blado. Od pięciu dni nie słyszałem huku armat; możnaby było zgnuśnieć, gdyby nie praca administracyjna i gospodarcza. Dowóz ztyłu był ciężki, drogi pia-

szczyste lub błotne, ciągle mi było brak mąki i soli; trudno również o suchy furaż dla koni, a miałem ich przeszło dwa tysiące.

Pędziłem jednak zbyt „komfortowe“ życie, dla odmiany więc „z progów sterczących dumnie“ wysunięto mnie wraz z dywizją o dzienny marsz za rzekę. Rezydencję wypadło wybrać w izbie, gdzie nas się gnieździło pięciu; trudno było przejść przez pokój, by kogo nie potrącić. Powietrze zresztą mieliśmy świeże, bo przez dziury w ścianach wiało doskonale; trochę tylko było ciemno, w samo południe ledwo widziałem przy oknie, co piszę; nastrój jednak dobry.

Korzystając z dobrej szosy, nie należącej, niestety, do naszej linji komunikacyjnej, jeździłem autem do Sandomierza; przechodził on parokrotnie z rąk do rąk, ucierpiał jednak mało, bo biła się tu głównie piechota. Walczył tu również pułk tulski. Zwiedziłem cmentarz: smutnie wyglądają szeregi nagich, niepielęgnowanych mogił, jedna duża — braterska kryje zwłoki 158 żołnierzy. Austrjacy z cmentarza zrobili redutę, rozkopując groby. Już to wojna nie szanuje nawet spokoju zmarłych! Opowiadano mi w mieście, że w resursie miejscowej ogłoszono po raz pierwszy od dłuższego czasu, iż obiad będzie „z chlebem“; taki specjał jadali obecnie mieszczanie nie codzień, wojsko niszczyło wszystko, jak szarańcza.

W drodze powrotnej zatrzymałem się w sztabie armji; wypadło przedstawić się dowódcy armji, gen. Leczyckiemu. Przyjął mnie przychylnie, interesował się bardzo stanem dywizji; generał jest synem popa z Grodzieńszczyzny, odznaczył się jako dowódca pułku

w wojnie japońskiej i zrobił nadzwyczajną karjerę pomimo braku wyższego wykształcenia.

Od zachodu sunęły nowe chmury. Niemcy zgromadzili na Śląsku silną armję, Austrjacy po raz trzeci zajęli Kielce; nie może więc nieszczęsna Kongresówka uwolnić się w żaden sposób od tych najmniej pożądanych gości. Armja miała już wiadomość, że w. książę postanowił wobec zgromadzenia dostatecznych sił bronić Warszawy, która w obecnych warunkach strategicznych stała się dla rozwoju akcji zaczepnej w zachodnim kierunku punktem ogromnej wagi, a była jednocześnie dużem ogniskiem politycznem.

* * *

Rennenkampf odznaczył się znowu, został rozbity nad jeziorami mazurskiemi, stracił cały XX-y korpus i to wyłącznie dzięki zupełnej bierności akcji. Ta druga zbrodnia uszła temu zdrajcy również bezkarnie.

* * *

Porażki armji rosyjskiej w Prusach Wschodnich pogorszyły bardzo ogólną sytuację na polskim teatrze wojny. Póki nad prawem skrzydłem armji, operującej w zachodnim kierunku, wisiała groźba kontrakcji od strony Prus Wschodnich, nie można było myśleć o żadnej operacji w kierunku Berlina; fatalnie również odbywały się te katastrofy na psychice wyższego dowództwa rosyjskiej armji, zmuszonego do stwierdzenia wyższości armji niemieckiej pod względem dowództwa, zdolności do manewrów, inicjatywy i napięcia woli.

* * *

Przyprowadził mi podjazd kozacki jeńca austrjackiego, Polaka; w braku lepszego zajęcia badałem go osobiście: poza numerem swego pułku, nie wiedział zresztą nic; siedział w „dekungu", służył w „glidzie", a dowodził nim „hauptman".

* * *

7 października otrzymałem rozkaz, nakazujący odwrót na linję Sanu; przysłał mi również poufnie gen. Gutor szczegółową orjentację ogólną:

Na lewym brzegu Wisły przeszli Niemcy do natarcia na szerokim froncie i w końcu września zajęli front—Łask, Włoszczowa, Pińczów, łącząc się z Austrjakami, którzy operowali w Kieleckiem.

Dla przeciwdziałania nowemu zalewowi Królestwa, postanowiło Nacz. Dowództwo przerzucić armje 4-tą i 9-tą na linję Wisły, pomiędzy Dęblinem a Sandomierzem, a armjami 2-gą i 5-tą zaatakować od Warszawy lewe, odkryte skrzydło Niemców; ponieważ Przemyśl krępował bardzo działania, próbowano opanować go wstępnym bojem, ale atak dla braku ciężkiej artylerji udał się tylko częściowo, zrezygnowano więc nawet z blokady.

Cała ta olbrzymia operacja miała być dokonana prawie bez pomocy kolei żelaznych, po rozjeżdżonych drogach gruntowych, przy złej pogodzie jesiennej i braku mostów na Sanie, zniesionych przez powódź; mściła się teraz, zwalczana stale przeze mnie w sztabie generalnym, zasada zaniedbania środków komunika-

cyjnych w południowej części Królestwa, zaniechania idei akcji zaczepnej.

* * *

Moja dywizja szła w arjergardzie; przeciwnik znajdował się o dwa dni marszu, naciskał mnie lekko tylko od strony prawego skrzydła, mogłem więc bez dużego wysiłku zmienić przy odwrocie front na południe. Gros dywizji przeszło bez przeszkód na nową linję frontu już pierwszego dnia. Szliśmy błotnistemi lasami, niekiedy w bród przez bagna i rzeczki, po pierwotnych drogach polowych; przemarsz zabezpieczała 2-ga brygada, rozrzucona szeroko dla zmylenia przeciwnika co do naszych sił.

Drugiego dnia marszu przeciwnik zaczął moją arjergardę naciskać; ponieważ tabory jeszcze nie doszły do Sanu, kazałem zatrzymać Austrjaków do nocy. Zajęła więc brygada obronne stanowisko, opierając prawe skrzydło o Dzików, majątek hr. Tarnowskiego. Badając teren, zajechałem przed pałac; piękna ta rezydencja, nietknięta dotąd żagwią wojenną, znalazła się nieoczekiwanie na froncie bojowym; zabezpieczyć jej całkowicie nie mogłem, groziło niebezpieczeństwo od ognia działowego przeciwnika, mogli tu się zakraść jacy maruderzy przyfrontowi; poleciłem więc brygadjerowi wysunąć linje okopów jak najdalej przed park a w pałacu umieścić punkt opatrunkowy. Położenie rezydencji wytłumaczyłem jakiejś czarno ubranej damie, która wyszła na me spotkanie.

Na szczęście, bój nie miał uporczywego charakteru, natarcie Austrjaków zostało bez wielkich wysił-

ków zatrzymane; pałac więc ocalał, a brygada cofnęła się w nocy ze stratą kilkudziesięciu ludzi; zginął jednak doskonały oficer, ppułk. Romanienko.

Początek starcia zastał mnie w tyraljerze. Gdy świsnęły pierwsze kule, wydało mi się, że świat nagle pociemniał; głowy żołnierzy pochyliły się niżej nad okopami, ręce mocno ścisnęły karabiny... pierwszy ranny wywołał jakiś odruch wśród strzelców, twarze przybladły, a głos podoficera, wskazującego celownik, stracił barwę. Rozkaz rozpoczęcia ognia wywołał w nastroju widoczną ulgę; odjechałem zwolna na tyły, odprowadzony paroma szrapnelami, a gdym się znalazł za pagórkiem, ogarnęło mnie przyjemne uczucie bezpieczeństwa.

Noce miałem przykre. Austrjacy właściwie nie lubią nocnej roboty, ale właśnie po północy otrzymywałem zwykle meldunki o ruchu moich i nieprzyjacielskich oddziałów; musiałem więc natychmiast oceniać sytuację i wydawać odpowiednie rozkazy, które oddziały powinny były otrzymać przed wschodem słońca.

Od dowódcy korpusu otrzymałem zadanie bojowe: „Zabezpieczyć przeprawę korpusu przez San na froncie pomiędzy Pilchowem a Majdanem Zbydniewskim". Linja ta przewyższała właściwie o wiele siły dywizji. Dla lepszej orjentacji spytałem, na jak długo obliczona jest operacja przeprawy, czy się już zaczęła, i kto będzie mymi sąsiadami; odpowiedź była lakoniczna: — „Czas trwania przeprawy nie da się obecnie obliczyć, a sąsiadów nie będzie".

Mało mi to wyjaśniło sytuację, skorzystałem więc z wolnej chwili i pojechałem do dowódcy korpusu po

wyraźniejsze wskazówki; sztab znalazłem wyjątkowo zaledwie o 3 wiorsty poza mną — zwykle trzymał się odległości 10 wiorst; zastałem generała w złych kondycjach, był srodze zafrasowany, a otoczenie bez humoru. Mieli zresztą do tego słuszne racje; armja cofała się za San, ale dla XIV-ego korpusu zabrakło nietylko parku mostowego, ba, nawet pojedyńczej łódki. Budowano więc naprędce most *na beczułkach od piwa;* był już wykończony, ale w nocy San wezbrał nagle i zniszczył całą robotę. Na naprawę trzeba było czekać jeszcze dobę, mogła się więc przeprawa rozpocząć dopiero nazajutrz. Nadomiar złego ściągały ku przeprawie różne oddziały tyłowe innych korpusów, nie należących nawet do naszej armji, które nie trafiły na swoje mosty; nie można było zatem nawet w przybliżeniu obliczyć, kiedy moje zadanie będzie skończone.

Teraz zrozumiałem wszystko: cały plan zmiany kierunku operacyjnego był źle przygotowany, a koszta niedbalstwa miał zapłacić XIV-ty korpus, ściślej mówiąc— moja dywizja; zrozumiałem również, czemu sztab korpusu tkwił tak blisko frontu: nie mieli na czem się przeprawić. Gdym się żegnał, ucałował mnie serdecznie Żylińskij i przeżegnał, mówiąc: „Oby pana św. Mikołaj uratował". Wzmocniło mnie to bardzo na duchu, ale zrozumiałem dobrze, że tu na ziemi nikt mi nie pomoże, muszę więc liczyć tylko na samego siebie.

Zająłem pozycję półkolem w promieniu 6 wiorst, opierając skrzydło o rzekę; wewnątrz, bliżej Sanu, wyznaczyłem dwa również półkoliste, bardziej zwarte i krótsze stanowiska, które dywizja miała zająć tylko na mój wyraźny rozkaz; hasło ogólne brzmiało: „Po-

cisków i nabojów nie żałować, stać twardo, kontrataki krótkie".

Koło 4-ej po południu ukazał się przeciwnik przed prawem skrzydłem i centrum; przyjęty na szerokim froncie silnym ogniem, posuwał się powoli, prowadził nieduży ogień artyleryjski, badał widocznie stanowiska nasze. Ja stanąłem ze sztabem wpobliżu frontu w Zbydniowie.

Dzień był pochmurny, przepadywał deszcz, chmury wlokły się nisko nad ziemią, zapadł więc wkrótce zmrok. Ogień armatni ustał, trajkotały tylko kulomioty, trwała strzelanina karabinowa, jasne jednak było, że nie nadeszła jeszcze chwila walki decydującej; w ciężkim, naprężonym nastroju położyłem się w pustej izbie na wiązce słomy, nasłuchując odgłosów z frontu.

Nagle przed domem zadźwięczały kopyta końskie. Ktoś wymienił moje nazwisko; po chwili wszedł do izby ks. Tumanow, dowódca 13-tej dywizji jazdy; przywitałem go z dużem zdziwieniem, kawalerja miała być już od dwóch dni za Sanem.

— Przesłaniałem front — objaśnił mnie książę — i otrzymałem spóźniony rozkaz odwrotu; o ile wiem, wszystkie przeprawy na Sanie z wyjątkiem pańskiej są już w ręku przeciwnika, proszę więc o przepuszczenie mojej dywizji po swoim moście.

Prośba była nie do przyjęcia; most miał być gotowy dopiero za 14 godzin, a przeprawę powinny były dokonać naprzód tabory dwóch korpusów, różne obce oddziały, które się znalazły przypadkowo w moim rejonie, tabory 18-tej dywizji, jej artylerja, 2-ga brygada piechoty, mająca obsadzić stanowiska na prawym brzegu

Sanu. Dopiero wtedy mógłbym pozwolić przejść jeździe, o ile 1-a brygada potrafi przetrzymać przeciwnika jeszcze kilka godzin zdala od mostu.

Moja decyzja stropiła bardzo Tumanowa; rozumiał on jednak dobrze, jako oficer sztabu generalnego, że nie mogłem puścić na most ani jednego kawalerzysty przed wymienionemi oddziałami. Poradziłem mu więc, by szukał przeprawy w Brandwicy wpobliżu Rozwadowa, gdzie dzisiaj w południe przeciwnika jeszcze nie było, a istniał stary most. Książę zdecydował się pójść za moją radą, wątpił jednak, czy jazda, bardzo zmęczona, będzie mogła dokonać nowego marszu nocnego.

Gdy się dobrze ściemniło, kazałem cofnąć się swojej dywizji w zupełnej ciszy na drugie stanowisko, o wiele lepsze taktycznie; na pierwszem pozostały tylko komendy strzeleckie, miały one zaznaczać swą obecność silnym ogniem. Nowe stanowisko zostało zajęte bez zwrócenia uwagi przeciwnika o godz. 1-ej w nocy. Zaraz po przemarszu wyjechałem ku przeprawie; tam robota kipiała, saperzy obiecywali, że o świcie most będzie gotów; nie doczekał go się jednak gen. Żylinskij, przeprawił się wraz ze sztabem jakąś łódeczką.

Nazajutrz o 7-ej rano ocknął się Austrjak, rozpoczął bombardowanie mego opuszczonego stanowiska z dużej ilości dział; dywizja odpowiadała słabo, rezerwując zapas dnia dzisiejszego dla piechoty; nieszkodliwa dla nas strzelanina trwała ku wielkiemu zadowoleniu dywizji ze trzy godziny, wybieg mój udał się zatem; potem nastąpiło natarcie, ostrożne, metodyczne; trwające na pierwszem stanowisku komendy

strzeleckie ostrzelały przeciwnika gęstym ogniem karabinowym i, nie czekając na jego zbliżenie, cofnęły się śpiesznie ku swoim.

Łatwe opanowanie pierwszej linji ośmieliło bardzo przeciwnika; dalsze natarcie zostało poprowadzone energicznie kilkoma falami tyraljery, przy dłuższem milczeniu obrońców. Gdy jednak Austrjacy znaleźli się w odległości dobrego strzału, przyjęto ich celnym i gęstym ogniem tak skutecznie, że w szeregach atakujących wszczęło się zamieszanie: żołnierze rozsypali się po polu, szukając ukrycia po dołkach, a dalsze fale ukryły się za chatami; atak ustał.

Nastąpiła parugodzinna pauza, umilkła nawet austrjacka artylerja. Koło 10-ej rano otrzymałem z korpusu telefonogram, że most jest gotów i przejdzie po nim nawet ciężka artylerja. Rzeczywiście rozpoczęto przeprawę, a co godzina meldowano mi, ile wozów przeszło. Sprawa posuwała się jednak tak wolno, że pojechałem podpędzić opieszałych; na widok mostu zdumiałem: był poprostu filigranowy, pomost wyginał się przy przejściu każdego wozu w szereg wznoszących się i opadających bałwanów; most mógł utrzymać tylko jeden ciężki lub dwa lekkie wozy, puste jaszczyki przewożono na rękach, pociski przenoszono, konie przeprowadzano po jednemu, o przeprawie haubic nie mogło być nawet mowy. A tu rzeka przybierała wciąż, pędziła zgóry jakieś bale i deski! Rozgniewany tem, posłałem kap. Baumgartena do sztabu korpusu z cierpkim raportem. Przyjęto go spokojnie: „Widocznie wprowadzono nas w błąd, a haubice wypadnie stracić". Konferencję zakończył Żylińskij mę-

skiem oświadczeniem: „Nie spałem już dwie doby, ale dzisiaj będę spał, choćby mnie miano zastrzelić".

Bohaterską tę decyzję powziął generał, znajdując się za rzeką o kilka wiorst, w zupełnie bezpiecznem miejscu. Tymczasem na froncie zawrzał ponownie bój; Austrjacy nacierali z wzrastającą energją coraz większemi siłami; na lewem skrzydle pułk tulski został dwukrotnie przerwany, ale kontratakiem odrzucił przeciwnika zpowrotem. Parę razy pytali mnie brygadjerzy, czy dywizja rozpoczęła już przeprawę, gdyż utrzymanie frontu staje się coraz trudniejsze, żołnierze nie spali już dwie doby, nie jedli gorącej strawy, a w okopach stoi woda. Nie miałem innej odpowiedzi, jak rozkaz: „Trzymać się do ostateczności".

Nastała druga straszna noc; liczba przeprawianych taborów zwiększała się zwolna; Austrjacy doskakiwali tu i owdzie, nie prowadzili jednak na szczęście jednoczesnego ataku na całym froncie. Odpierano ich z powodzeniem, dywizja stała twardo na stanowisku; w półkolu, przez nas zajętem, zapalały się wciąż jedna po drugiej chaty po wsiach, a pękające na tle ciemnego nieba szrapnele wydawały się ognistemi kulami, sypiącemi deszczem iskier. Doskonale się sprawiał w boju pułk. Żytkiewicz; meldunki jego były zawsze spokojne, rzeczowe; raz jeden w trakcie rozmowy telefonicznej zameldował on, że musi ją przerwać na parę minut, gdyż pali się nad nim dach, przenoszą więc telefon w bezpieczniejsze miejsce.

I ta noc minęła bez poważniejszej zmiany sytuacji, przesunął się również i dzień cały, chyba najgorszy. Przeciwnik napierał coraz silniej, lazł uparcie na

okopy pomimo dużych strat. Dywizja walczyła bohatersko; niekiedy uginali się obrońcy, ale wsparci rezerwą przechodzili do kontrataku; w wielu miejscach walczono na bagnety, często dochodziły mnie okrzyki „hurra"; telefony dzwoniły bez przerwy, rezerwy topniały coraz bardziej.

Pod wieczór od strony Sandomierza nadleciały ciężkie pociski, ale wszystkie rozrywały się poza naszemi okopami; nie do pojęcia było, czemu Austrjacy nie skierowali chociażby częściowo ognia armatniego na stłoczony w półkolu „wagenburg", liczący tysiące wozów; panika wśród taborów mogłaby spowodować katastrofę. Ku nocy zacząłem nareszcie przeprawę lekkiej artylerji, a ciężkie haubice udało się przewieźć, dzięki silnemu prądowi, na zaimprowizowanych sprytnie promach-samolotach. Równocześnie cofnąłem front bojowy na trzecią linję. Zbliżała się jednak chwila krytyczna, ostatnie rezerwy znalazły się na froncie; wycofałem zato najbardziej zmordowane bataljony, kierując je wprost na górujące nad doliną rzeki stanowiska prawego brzegu Sanu; o północy rozpocząłem zwijać front na bardziej spokojnych odcinkach, a o 5-ej rano miałem już szczęśliwie całą dywizję za rzeką. Prawie w ostatniej chwili przerwał się szarżą na nasze lewe skrzydło szwadron ordeńskiego pułku dragonów z dywizji Tumanowa, który nie zdążył się przeprawić w Brandwicy.

O 7-ej rano nastąpił generalny atak — w próżnię; Austrjaków spotkano tak silnym ogniem z prawego brzegu rzeki, że całe szeregi kładły się pokotem. Nie mogłem jednak utrzymać dłużej wylotu mostu; prze-

biegł więc szybko bataljon, ochraniający go, na prawy brzeg, a saperzy wysadzili tę parodję przeprawy w powietrze; za rzeką nie zostawiono jednak ani jednego wozu, przeniesiono też wszystkich rannych.

Spadł mi z duszy duży ciężar; przeżyłem trzy doby bez snu, przy szalonem napięciu nerwów, w sytuacji, która lada chwila groziła ostateczną zagładą. Straty moje wynosiły jednego pułkownika, 18 oficerów i przeszło 600 żołnierzy.

Z radosnem uczuciem spełnionego dobrze, ciężkiego zadania rozciągnąłem się na łóżku u proboszcza w Żabnie, spałem jednak niedługo; o 8-ej rano obudził mnie donośny grzmot dział. Klnąc w duchu przeszkadzających mi spać, spytałem, czemu paskudzą pociski, skoro zastrzegłem, by strzelano tylko do poważnych celów; odpowiedziano mi, że ich jest aż za dużo i to w odległości dobrego strzału.

Trudno, wypadło się samemu przekonać. Poszedłem więc nad rzekę, gdzie na wyniosłym pagórku zajął stanowisko bataljon pułku riazańskiego; z przykrością zauważyłem, że wzgórze jest cmentarzem, a kilka mogił, przy kopaniu rowów, rozkopano. Większość żołnierzy spała w okopach snem kamiennym. Przeciwnika widziałem z góry jak na dłoni: płynęły drogami długie kolumny piechoty, szeregi jaszczyków, kręcili się konni, myszkowali po polach sanitarjusze. Strzelano gęsto i z tamtej strony, co chwila na stoku wzgórza wylatywały w powietrze fontanny piasku. W pułku nie spało tylko paru oficerów dyżurnych z przemęczonemi twarzami i zaognionemi oczyma; jeden z nich wspomniał z akcentem zazdrości w głosie, że dowód-

ca jego bataljonu urządził się „jak w pałacu". Zwiedziłem po chwili tę rezydencję: był to murowany grób, jedyny na tym cmentarzyku wiejskim; u wejścia siedział na zydelku kapitan i przyglądał się z lubością dymiącemu samowarowi; dwie trumny ze zwłokami dotychczasowych lokatorów zostały wyniesione do kapliczki cmentarnej na szczycie wzgórza. Skryła się ona wśród gaju, ale odnalazły ją w jakiejś poprzedniej bitwie wraże pociski, przebiły dach w paru miejscach, poczyniły w ścianach olbrzymie wyrwy, zasypały podłogę rumowiskami; ołtarze były potrzaskane, obrazy święte podziurawione jak sito kulami, organy rozbite, dokoła pomniki poszczerbione; teraz przyszli inni burzyciele pokoju, wyrąbali drzewa, poruszyli mogiły, zniweczyli cześć należną zmarłym. A to wszystko dokonały przecie armje, mające odwagę nazywać się chrześcijańskiemi!

Dowódca brygady artylerji, gen. Kuczyn, przynaglał jednak do powrotu; pociski padały coraz gęściej, a do Żabna należało przejść z wiorstę zupełnie otwartem polem. Kołując nieco dla bezpieczeństwa, wróciliśmy do domu; zastałem tam bagaże spakowane i osiodłane konie; pułk. Sytin zameldował, że plebanja jest silnie ostrzeliwana, pokazał nawet ślady kilku karabinowych kul w ścianach; uważał więc, że nie jest to odpowiednie miejsce do kwatery sztabu. Miał rzeczywiście rację, chciałem tylko pożegnać proboszcza, ale nie udało się to — siedział od świtu w piwnicy.

Wyjazd był nieco skomplikowany; wypadało kluczyć, by uniknąć zbyt silnego ognia. Taborek nasz poszedł inną drogą, dostał dobrą porcję pocisków

i rozleciał się na wszystkie strony; waleczni taboryci uciekli nareszcie z wozów do rowów i pełzli niemi aż do lasu, gdzie się potrochu pozbierali. Mój ordynans został jednak ranny, a wierzchowiec zapasowy zabity.

Zamieszkaliśmy u nadleśnego w dużym lesie; dom posiadał wygodne meble, było nawet trochę książek. Z frontu dochodził przez cały dzień huk armat. Austrjacy zaznaczali swą irytację: pewna przecież zdobycz wywinęła się im z rąk. Cały sztab rozkaszlał się jak owce; parudniowy kontredans na słocie i w błocie dał się wszystkim we znaki. Drogi tu haniebne; kazałem wymościć bierwionami 8 wiorst leśnej drogi, gdyż transporty nie mogły przejść, a zaczynało być głodno, brakło chleba i cukru.

Przeczytałem o przejściach Polaków, zaskoczonych przez wojnę w Sopocie; obchodzono się z nimi jak z nierogacizną, wypędzono przez Szwecję. Sprawa ta nie budzi we mnie współczucia; stosunek przedwojenny z Niemcami zakazywał wprost wyjazdu do „badów“ niemieckich już ze względów moralnych, słusznie więc zostali ukarani rodacy za lekkomyślność.

ROZDZIAŁ VI.

Dziwiło mnie nieco, że dowództwo nie podziękowało mi za tak pomyślnie dokonaną przeprawę, ale podziękowanie nadeszło 11-go października: „Rozkazem Najwyższym został mianowany dowódcą 18-tej dyw.piechoty dymisjonowany gen. Papengut“, a ja znowu zostałem

na koszu; stało się to wbrew woli sztabu, ale Papengut miał duże plecy w „Stawce", wyjednał więc sobie tę nominację. Naturalnie, rozgoryczyło to mnie ogromnie, gdyż brygada, nota bene niesamodzielna, coraz mniej odpowiadała moim aspiracjom, ale co miałem robić; zresztą mówią, że „niema tego złego, któreby nie wyszło na dobre".

15-go października przyjechał Papengut. Znałem go dawniej, jako eleganckiego sztabowca i ślicznego mężczyznę, teraz była to ruina; przepraszał mnie bardzo za uczynioną mi mimowoli krzywdę, zaznaczając, że dla niego samego nominacja ta była jakoby niespodzianką; jako emeryt od paru lat prosił tylko o brygadę pospolitego ruszenia, moje zaś papiery nie zdążyły jeszcze nadejść do N. Dowództwa. Oświadczenie to dało mi pewną moralną satysfakcję. Wkońcu zaproponował mi Papengut, bym nie obejmował brygady i pozostał narazie w sztabie dywizji, gdyż wkrótce otrzymam na pewno odpowiednią nominację.

* * *

Tymczasem pod Dęblinem toczyły się walki; pruskie korpusy posunęły się ku twierdzy i bombardowały ją; natarli również i Austrjacy; rosyjskie korpusy — grenadjerski i XVI-ty — pod naciskiem przeciwnika musiały się przeprawić zpowrotem na prawy brzeg Wisły pomiędzy Puławami a Kazimierzem, niszcząc za sobą mosty. Bardzo ucierpiała brygada strzelców gwardji, wysunięta samotnie, niewiadomo poco, pod Opatów; oskrzydlono ją z obydwóch stron, zmuszając również do odwrotu na prawy brzeg Wisły. Niemcy

stanęli na lewym brzegu, ograniczając się do bombardowania przez rzekę; nasza armja tymczasem trwała nad Sanem, mając przeciwko sobie Austrjaków; ostatnie walki z nimi wykazały, że przyszli oni po doznanych porażkach do równowagi. Sprawdziło się przysłowie: „Las niedocięty odrasta szybko".

Nieprzyjemnie było czytać notatki „Kurjera Warszawskiego" o przyjeździe z Piotrkowskiego, Radomskiego i Kieleckiego do Warszawy znacznej liczby osób; była też wzmianka o uciekających bryczkami i wozami z Grójeckiego, Piaseczna i Tarczyna. Walki musiały się zatem posunąć aż pod Grójec, słyszała je więc Warszawa. Serce się krwawiło, że kraj tak będzie zniszczony.

Sytuacja w Warszawie musiała być ciężka; władze pozwoliły na utworzenie milicji obywatelskiej, a ruch na kolei wiedeńskiej wstrzymano; obrona Warszawy miała być doprowadzona do najwyższego natężenia. Wierzyłem w to — wobec wezwania w. księcia Mikołaja armja rosyjska winna była bronić stolicy kraju aż do ostateczności.

17-go października dowiedziałem się, że pod Dęblinem Niemcy dostali tęgie „wały" przy próbie przeprawy przez Wisłę. Widzieli również nasi oficerowie, prowadzoną z pod Annopola, czterotysięczną kolumnę jeńców niemieckich; cenna to była wiadomość: wyczerpywali się więc i Niemcy uporczywą walką dotychczasową, ale do końca jeszcze daleko, zmobilizowali oni przeszło cztery miljony ludzi.

Nie robiłem nic, chodziłem do lasu na długie godziny, lżej mi było w samotności; czekałem z niepokojem wieści

z pod Warszawy: trwożnie biło teraz serce Polski, drapieżny potwór wyciągnął ku niej swe ostre szpony; na huczące niedaleko armaty przestałem zwracać uwagę.

18-go października, gdym wracał ze spaceru, spotkał mnie Sytin frazesem: „Gratuluję wymarszu i to jutro". Rzeczywiście, nadszedł rozkaz przemarszu armji na front pomiędzy Sandomierzem a Kazimierzem, 4-ta armja miała zająć linję Wisły w prawo od nas; kazano nam maszerować forsownie.

Z przyjemnością opuszczałem niegościnne okolice doliny Sanu wraz z jej bagnami, piachami, lasami. Maszerowaliśmy przez zachodnią część Lubelszczyzny. Przeszła przez nią nawałnica wojenna. Spotykaliśmy dużo wsi popalonych, bezludnych; sterczały nagie kominy, stosy gruzu; pola były zryte pociskami, pełne głębokich wyrw, nawpół rozwalonych okopów, zarzucone skorupami pocisków, tysiącami nabojów niewystrzelonych, łusek miedzianych; przy rowach strzeleckich leżały drzwi powyrywane z domostw, resztki mebli, ładownice. Częste mogiłki z krzyżykami z dwóch patyków, sznurkiem związanych, trafiały się też większe kopce, kryjące zwłoki całych gromad zabitych żołnierzy; dokoła kopców ziemia zasłana była wprost listami, pocztówkami, kopertami, pisanemi po niemiecku, węgiersku, były i polskie; trudno je było odczytać, deszcz spłókał atrament, ziemia zabłociła. Pisały je przeważnie kobiety, troskliwe, czułe, pełne niepokoju serdecznego o los bliskiego człowieka...

Wśród tej pustki można było niekiedy dojrzeć samotnego chłopa orzącego, ale nigdzie śladu pasącego

się bydła lub ptactwa domowego. Być może zresztą, że ludność pochowała resztki inwentarza przed szarańczą wojskową. Ileż to pracy czekało lud, nim się odbudują domy i zagrody, zarówna grunt, usunie piasek i żwir, wyrzucony przez brutalne pociski z wnętrza ziemi na powierzchnię. Wyprzedzaliśmy często ogromne tabory wojskowe: obok przepisanych furgonów jechały chłopskie wozy z Lubelszczyzny, telegi rosyjskie z Kostromy, kołymagi mołdawskie z Besarabji. Od strony Wisły dochodziło często echo wystrzałów armatnich.

* * *

Nadszedł komunikat z dn. 13-go października; podawał on, że na całym froncie od obwodu Warszawy, wzdłuż Wisły, Sanu aż do Przemyśla i dalej po Dniestr rozwinęły się starcia wojenne; rozpoczęli więc przeciwnicy akcję zaczepną na olbrzymim froncie, liczącym 400 wiorst, i to już trzecie natarcie wroga, tym razem głównie od Śląska i Krakowa. „Kurjer" pisał, że odgłosy dalekiej kanonady pociągają ciekawych w kierunku Alei Jerozolimskich. Wyobrażałem sobie uczucia, jakie przeżywała polska część ludności Warszawy w te dni krytyczne; można je było wymiarkować z opisu przejścia przez stolicę syberyjskich pułków: panie obdarowywały żołnierzy kwiatami i żywnością, mężczyźni papierosami; w kawiarniach zbierano składki na papierosy; starsze kobiety dawały żołnierzom medaliki z Matką Boską Częstochowską, przyrzekając modlić się za wojaków...

Tu, w zachodniej części Lubelszczyzny, nastroje były inne, być może pod wpływem zniszczenia, któ-

remu uległa wieś. Stawaliśmy przeważnie po dworach, nie doznając żadnej gościnności. Wypadało jakoś zawsze, że gospodarze nie ukazywali się nam pod różnemi pozorami, administracja zaś, skora niezmiernie do skarg na najdrobniejsze nadużycia żołnierzy, kazała sobie za wszystko słono płacić. Naturalnie zżymałem się na tę politykę, która w pewnych warunkach mogła się okazać dla obywateli wprost niebezpieczna; byłem przekonany, że postępowano inaczej z Prusakami, którzy z miejsca teroryzowali wszystkich. Papengut unikał rozmowy o tem, ale starał się widocznie nie widywać nikogo z domowników; w stosunku do mnie zachowywał się bez zarzutu.

W Opolu dowiedzieliśmy się, że Niemców przetrzepano pod Warszawą, zmuszając ich do odwrotu; odchodząc niszczyli oni koleje i szosy w sposób gruntowny. Ucieszyło mnie to niesłychanie, niebezpieczeństwo, grożące Warszawie, przygnębiało mnie niesłychanie, myśl o zwycięskim Prusaku na ulicach Warszawy doprowadzała wprost do wściekłości. Pomyślny przebieg walk pod Warszawą zawdzięczaliśmy energicznej interwencji w. księcia Mikołaja, który rzucił tu wszystkie swe rezerwy.

* * *

Gdyśmy wkraczali do Opola, ofiarował mi adjutant żydowską chałkę; od dwóch miesięcy prawie nie widziałem świeżego pieczywa, zjadłem ją więc, nie złażąc z konia, wprost łapczywie. W ciągu dni ostatnich mieliśmy fatalną pogodę, zwaną niewiadomo czemu „psią"; deszcz padał ciągle, dął przejmujący

wiatr, zawodząc wśród gałęzi drzew przydrożnych; powietrze nasiąkło wilgocią jak gąbka. Smutnie wyglądały wtedy długie kolumny żołnierzy w szarych, namokniętych szynelach, milczące i ciężkie, obłocone tabory, zapadające się co chwila po osie w głębokich wybojach. Obok urzędowej drogi ciągnął się przez ścierniska, podorywki i niewykopane kartofle drugi szlak, wydeptany nogami żołnierzy, kopytami końskiemi, naznaczony trupami padłych szkap ze wzdętemi brzuchami i sterczącemi nogami; przy każdym gromadka zdziczałych psów, wydzierających mięso z padliny, stado głodnych wron, obwołujących ucztę złowrogiem krakaniem. Jakże tęskniło się w taki dzień za suchym, ciepłym kątem, szklanką gorącej herbaty!..

Wkrótce jednak pogoda złagodniała; ukazało się promienne, ciepłe słońce, błękit nieba, wystąpiła w pełnej krasie jesień; nacieszyć się jej cudnym rozkwitem mogłem raz jeden w jakimś parku pałacowym, w długiej alei klonowej, pełnej zadumy, ciszy, nastroju, wśród przepychu gorących barw i szelestu spadających liści.

* * *

Do Puław doszliśmy późnym wieczorem po długim, całodziennym marszu. Przeciwnik trzymał się jeszcze pod Dęblinem, ostrzeliwał silnie forty, ale do cytadeli trafiły tylko dwa pociski, nie wyrządzając poważniejszych strat. Kazano nam przejść nazajutrz o świcie po moście pontonowym na drugi brzeg Wisły i uderzyć na prawe skrzydło Niemców, wspierając korpus grenadjerów, któremu działo się nienajlepiej. Nie warto było rozkładać bagaży, zajęliśmy się więc

herbatą i czytaniem gazet. Niemcy bombardowali Warszawę z aeroplanów, zabili przeszło pięćdziesiąt osób wyłącznie cywilnych mieszkańców miasta. Wzdychałem pobożnie, bym się mógł dostać na terytorjum pruskie, zapłaciłbym szczodrze za Kalisz i Warszawę.

Papengut zaproponował mi objęcie dowództwa 2-ej brygady, która miała iść na czele; rozkaz wymarszu otrzymaliśmy jednak dopiero o 7-ej rano, szkoda więc było zmarnowanej, bezsennej nocy. Przejeżdżałem przez rejon koszar pułku bielowskiego z uczuciem mimowolnego żalu za spokojnym okresem mego życia przedwojennego, który zahaczał o Puławy; gospodarował tu ktoś po wyjściu pułku, drzwi i okna w barakach znikły, zewsząd wyglądała pustka i zniszczenie. W miasteczku rojno było jednak, żydki kręciły się po ulicy, sklepiki handlowały zawzięcie, sprzedając żołnierzom papierosy i bułki.

Z za Wisły dochodziły odgłosy coraz silniejszego ognia artyleryjskiego, bój jednak toczył się widocznie dość daleko, gdyż nie widać było na niebie obłoczków pękających szrapneli; tylko nad rzeką krążyły wysoko dwa niemieckie aeroplany. Jeden z nich musiał zauważyć naszą kolumnę, gdyż poleciał na zachód; po chwili otrzymaliśmy bukiet granatów i szrapneli, ale nie zrobił nam żadnej krzywdy, poczciwa Wisełka pochłonęła pociski bez śladu; jeden tylko trafił w dach domu, obok którego przejeżdżałem, ogłuszył mnie trochę i zasypał odłamkami dachówki.

Dalsze serje pocisków zastały nas na moście; taka przeprawa pod ogniem w ściśniętych szeregach,

bez możności zareagowania w jakikolwiek sposób, nie należała do przyjemnych. Trafiono jednak kulami szrapnelowemi zaledwie kilku żołnierzy, spokojnie więc zebrałem brygadę na skraju doliny Wisły koło Góry Puławskiej; tu miałem znowu czekać na dalsze rozkazy. Wyżej na wybrzeżu, wśród zieleni dużego ogrodu bielały mury jakiegoś dworu wiejskiego; kazałem tam założyć moją centralną stację telefoniczną, spodziewając się, że dostanę cokolwiek do zjedzenia, od wczoraj nie miałem nic w ustach. Dwór jednak był opuszczony, przeszła nad nim burza wojenna; mieszkańcy musieli uciekać w popłochu. Całe urządzenie pozostało na miejscu; nie było ono szablonowe, musieli tu mieszkać ludzie o wyższej kulturze duchowej. W salonie stały dwa fortepiany, pianola, fisharmonja, bibljoteka zawierała dobór książek w paru językach; wszystko to było jednak bardzo nowe, niepolskie, brakło patyny, którą wytwarzają zwolna tylko szeregi pokoleń. Ale i te nowe rzeczy wyglądały rozpaczliwie, pociski rozbiły, pogruchotały wnętrze, zasłały podłogi rumowiskami, a ludzie-szakale podarli książki, nuty, potłukli szkło... Dwór ten należał do donatarjusza rządowego, tem się tłumaczyła ucieczka „dziedzica"; obywatelstwo nasze zostało na swych posterunkach.

Nie mając narazie co robić, kazałem jednemu z telefonistów usunąć z fortepianu rumowiska i pograłem trochę przy akompanjamencie pękających wpobliżu jakichś zabłąkanych pocisków; dałem jednak prędko pokój, byłem trochę głodny i jakiś wykolejony, ciążyła po bezsennej nocy głowa. Wkrótce otrzymałem rozkaz wzmocnienia lewego skrzydła bojowej linji,

wysłałem więc tam pułk tulski, pozostawiając bielowski w rezerwie, a telefony swe przeniosłem na skraj lasu. Na froncie kanonada słabła. W pewnej chwili ujrzałem jadącego ku mnie dużym kłusem oficera; siedział doskonale na koniu, prowadził go pewną ręką, przypuszczałem więc, że to oficer łącznikowy od jazdy; zdziwiłem się jednak, gdy jeździec zeskoczył zręcznie z konia i zameldował się, stając w zgrabnej pozycji służbowej:

— Doktór Ostaszewski prosi o wskazanie miejsca na punkt opatrunkowy.

Z przyjemnością pogawędziłem z dziarskim lekarzem; był Polakiem, synem obywatela z Ukrainy, nauczył się jeździć dobrze konno w domu rodziców.

Odgłosy walki cichły coraz bardziej, ale mnie zaczęła silnie boleć głowa, wystąpiły objawy mdłości, które przybrały wkrótce zupełnie określoną formę; po chwili zauważyłem, że mój adjutant oddaje się temu samemu zajęciu, i zrozumiałem, iż musiała nastąpić u nas, przy wybuchu granatu koło mostu, lekka kontuzja powietrzna.

Sytuacja ogólna pozostawała jednak wciąż niejasna. Pułk tulski przedzierał się zwolna przez gęsty las, nie napotykając przeciwnika, a ze sztabu dywizji nie komunikowano mi żadnych poważniejszych wieści. Walka na froncie skończyła się wreszcie z zachodem słońca na niczem; moja brygada nie wzięła w niej udziału. Postanowiłem przenocować tym razem w sztabie dywizji, gdzie łatwiej było o jakiś kąt; znalazłem dowództwo w szkole gminnej. W toku rozmowy z Papengutem zauważyłem dużą zmianę w tonie na gorsze, a wzmiankę

mą o doznanej kontuzji przyjął z uśmiechem niedowierzania; urwałem więc krótko meldunek i usunąłem się na strych, gdzie mi ppor. Prokofjew przygotował posłanie na słomie. Męczyłem się jednak całą noc.

Nazajutrz rano po krótkiej rozmowie z pułk. Sytinem, który poinformował mnie, że Papengut robi na nim od wczoraj wrażenie pomylonego, pojechałem do pułku bielowskiego, gdzie postanowiłem się zainstalować i unikać wszelkiego osobistego stosunku z mym „pryncypałem".

* * *

W ciągu nocy przeciwnik rozpoczął odwrót z pod Dęblina na całej linji: pierwsi odchodzili Prusacy w kierunku zachodnim, przed nami była tylko jazda węgierska, kontaktu z nią nie mieliśmy, odchodzili również Niemcy i z pod Warszawy. Rosjanie zaś zajęli zpowrotem Łowicz, Skierniewice, Rawę.

Miałem ochotę wpaść na parę godzin do Dęblina, ale szybki wymarsz na południe uniemożliwił mi wyjazd. 9-ta armja miała wyjść na front Opoczna, Opatowa i Sandomierza. Szliśmy początkowo przez kraj zupełnie zrujnowany i częściowo opuszczony; pól nie uprawiono, bo brakło koni, bydło zabrano a gospodarzy wcielono do wojska; ludność spotykała nas jak zbawców. Bardzo im dokuczyli Węgrzy.

Pierwsze dwa dni pościgu szliśmy spokojnie wpobliżu Wisły. Węgrzy wyprzedzili nas znacznie. Z rozkazu Papenguta utrzymywałem zupełnie zbędną stałą łączność ze sztabem dywizji, zapomocą kabla, niesionego przez żołnierzy; obowiązkowy meldunek

co godzina i przerwy ruchu, nie do uniknięcia przy tak długiej linji, wstrzymywały w znacznym stopniu marsz.

Nocowałem, gdzie się dało, najczęściej jednak w myśl wskazań Jana Jakóba Rousseau'a bliżej natury; godziłem się więc z kartoflami, zajmującemi kąty mej rezydencji, z rozkosznym szczebiotem prosiaków za przegródką. Raz jeden miałem rzetelną przyjemność noclegu we dworze u młodego małżeństwa; jadłem więc przy stole, nakrytym serwetą, bardzo chudy barszczyk z kartoflami, rozmawiałem z miłą młodzieżą, ciesząc się widokiem zapalonej lampy; coprawda paliła się ona ex re wybawienia od Węgrów, bo we dworze goniono resztkami nafty, a świec już nie było. Nareszcie wyleżałem się wspaniale na kanapie, chociaż spałem niedługo, wciąż jęczały telefony. Pragnąc się wywdzięczyć za serdeczną gościnność, ofiarowałem gospodarzom piękne dary: funt świec, ćwierć funta herbaty i „Kurjera" z d. 18 października.

Stopniowo zaczęliśmy naciskać na przeciwnika; straż przednia codziennie toczyła potyczki i brała jeńców, przeważnie Bośniaków w fezach. Ładne to chłopy, doskonale zbudowani; nie martwili się zbytnio z powodu swej niewoli. Poważniejszą potyczkę na dwa fronty wypadło stoczyć pod Janowcem nad Wisłą. Droga po wyjściu z lasu ciągnęła się otwartem płaskowzgórzem aż do ruin zamczyska, skąd zawracała na zachód. Gdy czoło kolumny wyszło w pole, spotkał je silny ogień artyleryjski od zachodu, z odległości paru wiorst; kazałem więc przechodzić ostrzeliwane miejsca tyraljerą, co nieco wstrzymało szybkość mar-

szu, a do walki z ogniem przeciwnika wezwałem dwie baterje. Po przejściu ostrzeliwanego pasa, czołowe bataljony zmieniły front i natarły na Węgrów. O sytuacji telefonowałem do sztabu, ale wkrótce kabel uszkodzono i łączność została zerwana, nie miało to zresztą znaczenia, gdyż pomocy nie potrzebowałem, a sztab dywizji winien był prędko dojść do miejsca walki.

W trakcie organizacji natarcia nadjechał adjutant z rozkazem od Papenguta, bym natychmiast jechał do sztabu. By nie tracić czasu, pogalopowałem naprzełaj polem otwartem, silnie ostrzeliwany przez Węgrów; zastałem sztab na polanie w lesie. Nie pytając o sytuację, Papengut spotkał mnie wymówką, że nie spełniam jego rozkazów i nie nadsyłam mu terminowych meldunków telefonicznych, co jest niedopuszczalne, szczególniej ze strony oficera sztabu generalnego.

Zareagowałem natychmiast ostro, że stawiane mi wymagania co do łączności są często technicznie niewykonalne, szczególniej w czasie walki, gdy pociski rwą kabel; mój sztab składa się z jednego oficera, który ma w gorętszych chwilach tyle do roboty, że jest rzeczą konieczną, by o łączności pomyślał sztab dywizji, liczący kilku oficerów, nie mających w danej chwili nic do roboty.

— A ja nastaję na ścisłe spełnienie mych rozkazów — odparł mi Papengut.

— Spełniam je ściśle i bez pańskich napomnień — zareplikowałem — a teraz wracam na stanowisko, gdzie jestem potrzebniejszy niż tu.

W toku tego miłego dialogu nie spytał mnie nawet generał, co się na froncie dzieje. Mijając moje

baterje, dowiedziałem się, że ogień przeciwnika ustaje; rzeczywiście rozpoczął on dalszy odwrót, nie czekając na wynik natarcia piechoty; widocznie chodziło mu tylko o zyskanie na czasie i celu swego dopiął. Ciągle dawał się we znaki brak jazdy, któraby łaskotała Węgrów, a że łatwo było dokuczyć przeciwnikowi, stwierdziłem zaraz następnego dnia.

Podjazdy doniosły mi w końcu dziennego marszu, że na górzystych stokach za Ćmielowem w odległości czterech kilometrów ciągnie długa kolumna piechoty i tabory. Postanowiłem ją trochę nacisnąć i wysunąłem szybko dwie baterje na otwarte stanowisko. Skutek ich ognia okazał się natychmiast: w kolumnie powstało zamieszanie, a sporo wozów uciekło z drogi w pole. Jednocześnie dwie czołowe kompanje mojej awangardy zaatakowały honwedów, zajmujących stanowisko za rzeką; natarcie było tak gwałtowne, że pomimo silnego ognia artyleryjskiego i kulomiotowego przeciwnik poniósł porażkę; większość honwedów uciekła, reszta walczyła jednak po domach i w opłotkach aż do godziny 21-ej. Wobec ciemnej nocy i górzystego terenu, nie nakazałem pościgu.

Nocowałem u robotnika fabrycznego; wrażenia walki przestraszyły bardzo gospodarzy, przyjęli mnie jednak gościnnie, poczęstowali nawet żurkiem z kartoflami. Wkrótce przyprowadzono pół kompanji honwedów z oficerem o czysto semickim typie. Gdym go spytał o narodowość, nazwał się Węgrem. Nazajutrz byłem świadkiem zabawnego dialogu pomiędzy jeńcem, typowym rudym żydkiem, a niemniej typowym żołnierzem rosyjskim. Przypatrywał się on uważnie,

z rękami w kieszeniach szynela, swemu mężnemu przeciwnikowi, i naraz na głupiej jego gębie błysnął cień myśli, roześmiał się do niej radośnie i, dotykając palcem piersi swego vis à vis, spytał:

— Ziemlak, ziemlak, a przecie ty jesteś Żydem?

— Ny, Ungar — brzmiała odpowiedź.

Przekonałem się później, że w Austrji Żydów w wojsku nie było; wszyscy do nich podobni, okazali się autentycznymi Węgrami.

W samą północ przyszedł Austrjakom głupi koncept do głowy: rozpoczęli na ślepo strzelaninę z dział do osady. Kobiety zaczęły lamentować, dzieci wrzeszczeć, a ja nie mogłem spać. Przyprowadzono również w nocy jeszcze paruset jeńców i przywieziono dwa działa.

Gospodarz pokazał mi fotografję Wacława Sieroszewskiego, tak wysoko przeze mnie cenionego autora powieści syberyjskich. Uczyniła ona na mnie przykre wrażenie; Sieroszewski sfotografowany był w mundurze szwoleżera z ogromną czapą na głowie i szabliskiem przy boku; z powodu małego wzrostu pisarza i jego zupełnie niemilitarnej postawy, wywierała fotografja wrażenie dziwaczne. Autor przyjechał tu dla agitacji wśród robotników na rzecz powstania przeciwko Rosji, nie miał jednak powodzenia, gdyż, jak twierdzili robotnicy, dawał im zamiast Moskala — Prusaka.

Stoczona pomyślnie bitwa — minjaturka zrobiła ze mnie solenizanta; winszowano mi osobiście i telefonicznie „odniesionego zwycięstwa". Robiło to trochę zabawne wrażenie, boć cały ten bój, rzeczywiście

wykonany precyzyjnie, był tylko drobiazgiem w porównaniu z poprzedniemi walkami, stoczonemi przeze mnie pomyślnie, a których nie winszował mi nikt. Straty miałem minimalne, dzięki impetowi ataku ubyło mi zaledwie 2 oficerów i 27 żołnierzy.

W ciężkiem wogóle życiu pochodowem okresu obecnego, niemałą pociechą był dla mnie mój ordynans, Piotr Szejka, Ukrainiec z pochodzenia; potrafił on zawsze zapewnić mi maximum wygód na noclegu i możliwą strawę. W Ćmielowie miałem z nim następujący dialog. Godzina 7-a rano — ukończyłem właśnie tualetę poranną i wołam: „Piotrze, daj mi herbaty!"

„Słucham, ale naprzód musimy zjeść obiad".

No i musiałem naprzód zacząć od spożycia obiadu z dnia poprzedniego, przywiezionego w nocy. Moja pedantyczna „niania" przestrzegała pilnie ustalonego porządku.

Dalszy wymarsz nastąpił dopiero po południu. Mijając jakiś dwór, zobaczyłem przed bramą grupę pań i panów, rozdających żołnierzom chleb, sól i gorący krupnik; byli to moi znajomi z Warszawy. Zapraszali serdecznie do siebie, skorzystałem więc z krótkiego przemarszu i wróciłem wieczorem do dworu; spragniony polskiej mowy, kulturalnego towarzystwa, spędziłem tu przemile kilka godzin, ogrzałem wyziębioną przejściami wojennemi duszę. Wczoraj miał nocować we dworze generał austrjacki; wypakowywano właśnie jego bagaże, gdy nastąpiło moje natarcie; generał wybiegł na podwórze, kazał ładować wozy i w *kwadrans* wymiotło ich doczysta.

31-go października znaleźliśmy się wpobliżu Opatowa. Przede mną przeciwnika nie było, ale w prawo 45-ta dywizja napotkała silny opór; wkrótce kanonada rozszalała się do tego stopnia, że uważałem za potrzebne wysłać z marszu pułk bielowski, dla zabezpieczenia lewego skrzydła walczących, o czem zameldowałem dowódcy dywizji. Przyjął to jak najgorzej, twierdząc, że popełniłem poważny błąd, gdyż potrzebował on właśnie na 1 listopada tego pułku na naszem lewem skrzydle. Zaprotestowałem stanowczo przeciwko niesłusznemu zarzutowi, ponieważ moja decyzja nie krzyżowała jego zamiarów: pułk w ciągu paru godzin miał być zpowrotem. Rzeczywiście, Bielowcy wrócili na nocleg przed północą, udziału bezpośredniego w boju nie brali, ale obecność ich pozwoliła dowódcy dywizji wprowadzić do walki ostatni pułk swej rezerwy. Za pomoc w chwili krytycznej dziękowano pułkowi gorąco. Na dzień 1 listopada otrzymałem rozkaz bojowy, głoszący, że przeciwnik zajął stanowisko obronne na linji Włostowo—Kurowo; ja z pułkiem tulskim miałem atakować jego lewe skrzydło, pułk bielowski odchodził do dyspozycji dowódcy dywizji. Bardzo mi nie przypadła do gustu ta decyzja; miałem przed sobą dobrze przygotowaną do obrony cukrownię włostowską i tylko jeden pułk do ataku na froncie przeszło dwóch wiorst; ciężko mi było również spędzić w chaosie bitwy dzień święta umarłych, gdy dusza wraca ku przeszłości, dąży do zespolenia z tymi Najdroższymi, co już odeszli.

Dwa i pół dnia trwała nader uporczywa walka; po silnem ostrzelaniu haubicami cukrowni, zdobyłem

ją dwukrotnie i tyleż razy zostałem z niej wyrzucony; przy powtórnym kontrataku ogień przeciwnika był tak morderczy, że musiałem przywarować z rezerwą w rowie przy szosie, o paręset kroków od stanowiska przeciwnika, i tu czekać na nadejście zmroku. Pogoda była ohydna, ostry wiatr mroził dotkliwie, a leżeć w rowie było wilgotno; nie było jednak rady, bo kto tylko podniósł głowę, zostawał zabity; ciągle słyszało się nad sobą świst lecących gromadnie kul karabinowych i pocisków armatnich. Dokoła leżało tylu rannych, że w chwilach względnego spokoju zdawało się, iż jęczy całe pole; nie można było jednak ich ratować. Dla rozrywki wypaliłem wtedy pierwszego papierosa od czasu wyjścia z gimnazjum; smakował mi niebardzo, ale ogrzał trochę nos.

Nareszcie powstał od ziemi upragniony zmrok, umilkły zwolna dokuczliwe kulomioty; szyły tylko ukośnie niemiłe granaty, zaczepiając nas tu i owdzie. Cichutko wstały kompanje i popłynęły jak długie cienie wtył, przyśpieszając stopniowo kroku dla rozgrzewki.

Zająłem kwaterę we dworze obywatelskim i z niekłamaną przyjemnością rozsiadłem się w ciepłym pokoju na wygodnym fotelu. Telefony nie były pomyślne: odrzucono nas na całej linji, ale Tulscy, cofając się po walce wręcz, brali sporo jeńca. Oficerów kazałem przyprowadzić do dworu; przyjąłem ich życzliwie, miny, narazie rzadkie, uspokajały się stopniowo; wszyscy pytali się, dokąd będą wysłani. Byli to przeważnie Niemcy z domieszką Węgrów. Każdą nową grupę przybywających witano okrzykami: „A więc żyjesz, mówiono, żeś zabity!“. Miny rozjaśniły się zupełnie, gdy

zaprosiłem całe towarzystwo na kolację; nie była ona wykwintna, zawszeć jednak podano kartofle ze słoniną, boczek, dużo chleba i herbatę. Zmieciono wszystko w przyśpieszonem tempie; żałowali tylko moi goście, że niema wódki, ani piwa.

Noc miałem niespokojną. Chociaż przeciwnik zachowywał się biernie, ale w dwudniowej walce stopniały rezerwy, a nie mogłem nic prawie wyciągnąć z linji bojowej; pułk z trudnością utrzymywał front. Wczesnym rankiem ponowiłem bój, ale tym razem nie traciłem dużo czasu na przygotowanie ogniowe i pchnąłem z miejsca cały front do ataku; spotkał nas z szańców słabszy opór, cukrownia i dwór zostały opanowane jednym rozpędem. Austrjacy cofnęli się w nieładzie, pozostawiając w naszych rękach 36 oficerów, 1300 żołnierzy, 9 dział i 4 kulomioty. W ostatniej chwili zaskoczyłem osobiście baterję haubic na wsiadanem; poddali się bez oporu, a ja dostałem od dowódcy baterji w nagrodę rewolwer Steyra; była to prawdziwa „okazja", gdyż zwykle rewolwery i lornety nie dochodziły do rąk wyższych szarż. Krótki opór w trzecim dniu walki tłumaczył się nietylko wyczerpaniem przeciwnika, ale i pomyślnem natarciem pułku bielowskiego od strony naszego lewego skrzydła, dokonanem z rozkazu dowódcy dywizji. Dziwnie wyglądały rozsiane po polu ciała zabitych żołnierzy: wielu z nich leżało nawznak z rękami wzniesionemi ku niebu, jakgdyby je wzywali na świadka ludzkich zbrodni.

Mieszkańcy Włostowa wylegli na nasze spotkanie, wyciągając ku nam ręce i płacząc z radości; dali się

im Węgrzy we znaki, ograbili doszczętnie i maltretowali.

Cukrownia była ciężko uszkodzona memi pociskami, w pałacu wybito trochę szyb, obito sporo tynku. Właściciel, szambelan M. Karski, przywitał mnie w podwórzu radośnie; źle się im działo w ciągu ostatnich dni; Węgrzy więzili ich wraz ze służbą i dwojgiem księży w piwnicy pałacu, nie pozwalając nawet palić światła; za pożywienie służyły tylko gotowane kartofle, brane rękami z garnka, gdyż w piwnicy było zupełnie ciemno. Goście nieproszeni brali z pałacu, co im się żywnie podobało, rozbili piwnicę z winem i wciąż grozili, że wystrzelają wszystkich za rzekome sprzyjanie Rosjanom.

Szambelan zaprosił mnie na obiad; był bardzo chudziutki, gdyż dwór ogołocono ze wszystkiego. Gdyśmy o zmroku siedzieli z p. Karskim w salonie, podeszła do niego córeczka, śliczna dziewczynka lat dwunastu, i coś mu szepnęła do ucha, zerkając na mnie; sprawa była rzeczywiście ważna, miałem zdecydować, czy wolno zapalić lampę w pokoju (za austrjackiej okupacji wszelkie ognie były surowo zakazane). Naturalnie, nie robiłem żadnych przeszkód. W ciągu bitwy śledzono we dworze jej przebieg, nasłuchując z piwnicy dochodzących odgłosów; słysząc dwukrotnie w ciągu pierwszych dwóch dni walki silne „hurra“ moich żołnierzy, był p. Karski pewien, że zwyciężamy, a jednak za każdym razem omylił się; dzisiejsze słabiutkie względnie okrzyki nie zrobiły więc żadnego wrażenia a ukazanie się nasze było zupełną niespodzianką. Gwałtowność ataku zmusiła nawet austrjac-

kiego generała do pośpiesznej ewakuacji, a jako pamiątkę po sobie zostawił on duży, czerwony automobil z przestrzelonym zresztą radjatorem.

W ciągu dnia zameldował się u mnie dowódca dywizjonu haubic, pułk. Krasnopierow. Gdym mu dziękował za doskonałą służbę dywizjonu, pułkownik ukląkł przede mną i, składając błagalnie ręce, wygłosił: „Ekscelencjo, upraszam pokornie o podarowanie nam zdobycznych koni baterji, którą pan osobiście wziął". Pomijając farsowy charakter jego wystąpienia, musiałem przyznać, że wiedział, o co prosi. Konie były rzeczywiście nadzwyczajnej wartości, same olbrzymie trakeny. Podarowałem je więc dywizjonowi z wyjątkiem jednego, należącego do p. Karskiego a „wypożyczonego" przez Austrjaków; wzamian za „Murzyna" (tak się zwał olbrzym) otrzymał Krasnopierow dobrego, folwarcznego konia.

Przykrym momentem była skarga szambelana na żołnierzy, rabujących melasę w cukrowni. Kazałem ich otoczyć i przyprowadzić do dworu; znaleźli się tu przeważnie amatorzy z 45-ej dywizji, było sporo i moich. Całe zacne towarzystwo liczyło 47 ludzi. Poleciłem więc zebrać natychmiast sąd; gdy się p. Karski dowiedział, co grozi winnym, zaczął prosić o darowanie kary; nie chcąc go martwić, zgodziłem się na to pozornie. Sprawa została rozstrzygnięta nazajutrz zdala od Włostowa; miłosierdzia tu stosować nie wolno było, chociażby dlatego, że nic tak nie demoralizuje żołnierza, jak bezkarność grabieży.

ROZDZIAŁ VII.

Austrjacy opuścili Sandomierz, Kielce też były wolne; wyparto również arjergardy niemieckie z Koła i Przedborza. Armja nasza zmieniła front; maszerowaliśmy teraz na zachód; wszystkiemi drogami popłynęły potężne potoki ludzi, dział i wozów. Kończyliśmy więc wymiatanie wroga z Królestwa. Sprawiało mi to olbrzymią satysfakcję, wiedziałem, że za Wisłą i w Poznańskiem też jest Polska, która powinna do nas wrócić, ale była mi ona o wiele dalsza, niż zabór rosyjski.

Pogoda cudowna, wróciła jesień i darzyła nas ostatniemi uśmiechami; drzewa przystroiły się w złoto, bronz i czerwień, powietrze było prawie ciepłe. Na tle jasnego błękitu nieba widziałem przez dwa dni klasztor świętokrzyski. Okolica falowała ładnie. Przeciwnik był nieobecny, wypoczywałem więc po trzech bezsennych nocach. Miałem cudowny nocleg w domu pp. Psarskich; cieszyłem się gościnnem przyjęciem gospodarzy, dobrym fortepianem, wziąłem nawet kąpiel.

* * *

6-go listopada dotarliśmy do Solca, i znowu trafiłem doskonale. Ulokowano mnie w domu doktora Daniewskiego, którego znałem poprzednio; mogłem mu nawet wyświadczyć pewną przysługę. Jakiś gałgan zadenuncjował go do władz wojskowych, ale poręczenie moje zażegnało możliwe nieprzyjemności. Wogóle od kilku dni opływałem w dostatki, jadałem smacznie, sypiałem wygodnie, miałem nader miłe towarzystwo

w osobach życzliwych, przeważnie znajomych gospodarzy; jedyne „ale“ to codzienna zmiana locum.

Wczoraj w ciągu marszu dogonił mnie Papengut i winszował z niezmiernie słodką miną powodzenia pod Włostowem, nadmieniając, że za to zwycięstwo przedstawił mnie do orderu św. Jerzego; jednocześnie przyznał, że miałem rację, wysyłając pułk bielowski pod Opatowem dla pomocy sąsiadom. Do pięknej przemowy mego „pryncypała“ dołączył pułk. Sytin pocichu komentarz, że zostałem przedstawiony do nagrody naskutek rozkazu dowódcy korpusu, który mój atak na Włostów nazwał „szalonym“, w dodatniem znaczeniu.

Za Połańcem droga nasza zbliżyła się do Wisły; musiano nas jednak dostrzec z drugiego brzegu, gdyż przywitano kolumnę gęstym ogniem z dobrze zamaskowanej baterji. Przewidywałem tę niespodziankę, szybko więc zwekslowałem na inną, nieco dłuższą, ale bezpieczną drogę, i tylko tabory, jak zwykle, spłoszyły się i pognały gdzieś polem, a ja na noc zostałem bez rzeczy. Nieoczekiwany ogień wywołał jednak pewną konsternację wśród wyższych instancyj, które obrały sobie kwatery w ładnych rezydencjach nad Wisłą, zmieniły jednak zamiar wobec niemiłego sąsiedztwa bateryj i przeniosły się dalej od rzeki.

Odziedziczyłem przeto starożytną rezydencję hr. Skórzewskich, datującą się od r. 1439. Piękny to pałac z zarania Odrodzenia, nieco zaniedbany jednak; obecna właścicielka, ks. Ogińska, zaglądała tu rzadko. Urządzenie wewnętrzne było późniejszej daty, ale piece liczyły przeszło 300 lat; w pałacu widziałem ładną bibljotekę, sporo rzadkich książek; zachowały się również

stare obrazy, piękne bronzy, śliczne odrzwia rzeźbione. Ostatnio gościli tu Austrjacy; stary lokaj opowiadał, że bardzo się im tu podobało, wzięli więc na pamiątkę sporo złotych i srebrnych rzeczy z gablotek i dywany, wypróżnili również kosztowną piwnicę z wiekowem winem. A byli to wyżsi oficerowie! Co za paskudztwo!

Rozpęd nasz skończył się narazie. Austrjacy cofnęli się z za Nidy na prawy brzeg Wisły, oddali jednak sporo jeńca i wozów. Nie poszliśmy za nimi, mieliśmy maszerować nadal na zachód; od dwóch dni staliśmy jednak na miejscu, zapanował bezruch, martwa cisza. Pierwszy zwiastun zimy — przejmujący wiatr północny hulał po pustych polach, otrząsał z drzew resztki uschniętych liści. Od wczoraj nie słychać było ani jednego, nawet najdalszego echa wystrzału armatniego. Wypoczywałem na całego, wysypiałem się tak, że aż mi oczy od snu zapuchły; odrabiałem tylko nieznośną pisaninę. Nie zamieszkałem w pałacu, tam trudno się było dopalić; rezydowałem wygodnie u rządcy: ciepło, czysto, miałem nawet fortepian i trochę nut. Wrodzony jednak człowiekowi instynkt niszczycielski wywołał z mej strony odruch barbarzyński. Napotkałem wśród *Pièces de salon* słynną ongi a nienawistną mi od dziecka „Prière d'une vierge par M-me Bądarzewska", i nie wytrzymałem — porwałem ją na drobne kawałki. Niech się dziewica martwi...

Byłem na smacznym obiedzie u proboszcza, ks. Kempa, który wbrew swemu powołaniu nakłonił mnie do grzechu obżarstwa, usprawiedliwionego poniekąd siłą pokus kulinarnych, zademonstrowanych przez go-

spodarza, i porą roku. Zima wysuwa właśnie na pierwszy plan konieczność zabezpieczenia fizjologicznych potrzeb ciepła, potrzeby ducha mają wtedy znaczenie wtórne.

Mieszkałem z doktorem Ostaszewskim; polubiłem go, jako dzielnego żołnierza, dobrego fachowca i kulturalnego kompana; pozatem posiadał on pierwszorzędny talent intendenta, dzięki któremu jedliśmy nawet prosiaka z kaszą. Z wieży pałacu obserwowałem codziennie, co się na prawym brzegu Wisły dzieje; stale siedziało za wałem paru piechurów przy ognisku, niekiedy przesuwał się wdali patrol konny, a cały krajobraz przedstawiał się we mgle jesiennej smutnie i sennie.

* * *

Sytuacja strategiczna w Kongresówce poprawiła się; w. ks. Mikołaj, zebrawszy duże siły, rozkazał 21-go października rozpocząć natarcie ogólne, ale Niemcy, jak zwykle, byli dobrze poinformowani o zamierzeniach Rosjan; ocenili trafnie niebezpieczeństwo projektowanego przez w. księcia uderzenia na ich otwarte lewe skrzydło pod Łowiczem i rozpoczęli 20-go października w nocy odwrót, niszcząc gruntownie koleje i szosy.

Pościg w tych warunkach był trudny. Niemcy stawili poważny opór w rejonie Rawy i nad Pilicą, ale został on przełamany, i front niemiecki zmuszono do szybkiego odwrotu na Łódź, Piotrków i Kielce.

* * *

13-go listopada ruszyliśmy nareszcie naprzód w kierunku zachodnim. Przeciwnika przed nami nie było, rozkaz nie podawał również żadnych danych o sytuacji na froncie; prywatnie komunikowano, że prawdopodobnie będziemy działać czynnie przeciwko Krakowowi. Możliwość ta byłaby dla mnie nadwyraz ciężka, przecie w mieście tem ześrodkowały się relikwje naszej przeszłości historycznej; czyżby artylerja rosyjska mogła bombardować Wawel, kościół Marji Panny?...

Maszerowaliśmy szybko, po 40 wiorst na dobę; wychodziliśmy o rannym brzasku, co mi się wcale nie podobało, chociaż nie spałem właściwie już od 3-ej rano. Gdy przynoszono rozkazy, trzeba było je odpowiednio przerobić, co wybijało naturalnie ze snu. Pogoda była śliczna; w chwili wymarszu zorza poranna zaledwie poczynała rumienić niebo, przymrozek srebrzył trawy, powietrze było jędrne, ożywcze. Mało jednak odczuwałem te piękności, bo mi się zawsze o tej porze chciało spać. Okolica falowała coraz bardziej; widoki mieliśmy malownicze, niekiedy ukazywały się nawet szczyty tatrzańskie; niektóre spadki były tak gwałtowne, że musieliśmy zsiadać z koni. Noclegi wypadały kontrastowo: pałace, chaty, puste budynki; ograniczaliśmy więc nasze potrzeby do dwóch podstawowych wymagań: ciepła i posiłku. Ludność tu była bardzo wyniszczona rekwizycjami; po wsiach życie ledwie się kołatało, ludzie rozmawiali niechętnie i tylko o swoich kłopotach, ale twarze zmęczone jakby zastygły w rezygnacji; co się dzieje na szerszym świecie, nie wiedział nikt, nawet miasteczka były odcięte od kraju.

Dziwnie składała się dla nas marszruta; minęliśmy szereg miasteczek: Pacanów, co do którego istnieje dziwne podanie, że tam jakoby kozy kują, Stopnicę, Wiślicę, Miechów i ani razu nie wypadł nam przemarsz przez które z nich lub nocleg wpobliżu. Moja młodzież postękiwała trochę, zawsze miała ochotę do kupna czegokolwiek, ale taka możliwość była złudzeniem; obecnie w sklepach można było dostać chyba tylko szuwaksu lub gwoździ.

Przeczytałem w komunikacie urzędowym, że 10-go października wkroczył za Niemcami do Łodzi oddział strzelców galicyjskich; komenda ich rozpoczęła natychmiast wydawać odezwy agitacyjne i konfiskować pisma warszawskie, sprzedawane po ulicach; ładne metody „argumentacyjne".

Telefonował mi pułk. Sytin, że wstrzymanie marszu było w związku z zamierzoną blokadą Krakowa, do której miały być użyte ciężkie baterje z fortecznej artylerji Brześcia; nadmienił również, że miasto miało być bezwzględnie wyłączone od bombardowania. Strułem się swoją drogą tą wieścią. Nazajutrz jednak sytuacja się polepszyła; armji kazano natrzeć na stanowisko, zajęte przez wojsko niemiecko-austrjackie, na froncie Częstochowa — Olkusz. Decyzja ta dogodziła mi ogromnie, poczucie żołnierskie i głęboka niechęć do sprawców wojny — Niemców, ciągnęły w kierunku głównych starć.

Natarcie nasze nastąpiło 16-go listopada. Wróg zajął dobre stanowisko na skalistych wzgórzach, oplótł się kolczastym drutem, wykopał szachownicę wilczych dołów, najeżył dojście zawałami drzewnemi, założył

nawet fugasy. Atak korpusu rozpoczął się o g. 4-ej po południu; moi zdobyli po walce na bagnety pierwszą linję okopów, wzięli 3 kulomioty i nieco jeńców, ale musieli się zatrzymać, gdyż sąsiedzi nie mieli powodzenia.

O zmroku miałem przykry wypadek: obserwowałem ze skały, gdy nagle pękł wpobliżu granat i ogłuszył mnie tak silnie, żem się mimowoli cofnął i spadł; czepiałem się naturalnie, czego się dało; nagle poczułem w pachwinie tak ostry ból, że mnie zamroczyło na chwilę; przytomność wróciła zaraz, ale tępy ból pozostał. Na noc brygada została w zdobytych okopach, ja nocowałem w domu leśnika; na sublokatorów przyjąłem pięciu oficerów, którzy nie mieli się gdzie podziać. Przeciwnikiem naszym był korpus tyrolski, świeżo przywieziony na nasz front; jeńcy przedstawiali się jako pierwszorzędni żołnierze.

Nazajutrz trwały tylko lokalne walki, mające na celu polepszenie zajętego stanowiska; biegło ono skrajem wysokopiennego, rzadkiego lasu, przecinało zagajniki i nagie wzgórza, najeżone wapiennemi skałami.

Zameldował mi się na ochotnika niejaki Genke, liczący 58 lat, nauczyciel języka francuskiego w Ługańsku; krok swój tłumaczył pragnieniem służenia swej matce — Alzacji. Do ostatnich dni był on tłumaczem w sztabie armji, gdzie zebrał kolekcję listów, znalezionych przy zabitych Niemcach. Przytoczę parę wyjątków:

„Ten, co siedzi na s... w Poczdamie, niech nie myśli, że my dla jego fantazji będziemy przez całą zimę marzli w okopach i przymierali głodem; nas,

socjal-demokratów, jest w armji moc, gdy się nam naprzykrzy, obrócimy nasze bagnety w kierunku Berlina i przebijemy się do naszych ognisk domowych...“

Były i takie perełki, w których się maluje „szlachetność“ kobiecej duszy niemieckiej:

— Pamiętaj, ukochany, jeżeli złapiesz kozaka, zniszcz go jako gada, inaczej ja, matka twa, wyrzeknę się ciebie...

— Złap, ukochany, ze czterech kozaków i przyślij mi ich, ja im pokażę, co może uczynić niemiecka dziewczyna...

Pragnąłbym gorąco, by mi los pozwolił pogawędzić z niemieckimi „bürgerami“ na miejscu.

A tymczasem walki trwały ze zmiennem natężeniem. Tyrolczycy bili się znakomicie, strzelali celnie; miałem też duże straty; moje ataki spotykały się z gwałtownemi kontratakami, nieraz wdzierano się do naszych okopów, zresztą przeważnie po pijanemu, co zmniejszało ich impet.

Pierwsze cztery dni walki spędziłem przeważnie w domu leśnika; obok rozłożył się w lesie bataljon rezerwy. Nie mogłem bronić żołnierzom rozniecania ognia, bo było bardzo zimno, dym jednak zdradzał miejsce naszego pobytu; granaty i szrapnele przylatywały często, mordując sporo ludzi. Obserwowałem przez okno dziwny przypadek: stała tuż obok dwukółka z wyprzężonym koniem i siedziało przy ognisku trzech żołnierzy; nadleciał granat, przebił konia i wybuchł przy nogach żołnierzy; gdy się rozwiał tuman dymu, ujrzałem drgającego w przedśmiertnej męce konia a obok żołnierza z urwanemi nogami, dwom

innym nie stało się na oko nic. Druga scenka była mniej tragiczna: o trzy kroki od paru siedzących żołnierzy pękł na drodze granat, nad głowami ich przeleciał rój odłamów, a oni nie poruszyli się nawet.

Sąsiedniej, 75-ej dywizji działo się gorzej, spychali ją potrochu Austrjacy wtył. Opowiadał mi oficer łącznikowy, że dowódca dywizji, Stegelman, i szef sztabu uganiali się osobiście z dobytemi szablami po polu, zatrzymując uciekających żołnierzy; słaba to wogóle dywizja (do składu jej weszły głównie starsze roczniki z okolic Dęblina), ognia artyleryjskiego nie wytrzymywali zupełnie; ich zachowanie utrudniało bardzo moją sytuację, bo ja już byłem wyczerpany. Pogoda ładna, mroźna, w nocy mieliśmy kilka stopni mrozu, spadł nawet nieduży śnieg.

* * *

Rezerwa moja naskutek artyleryjskiego ognia Austrjaków topniała coraz bardziej, rósł więc szybko cmentarzyk przy obozowisku. Ze zdrowiem mojem nie było dobrze, bolało mnie coraz bardziej w pachwinie, chodzić mogłem mało, szkodziło mi zapewne złe odżywianie; jedliśmy tylko kartofle i suchą kiełbasę; dowieźć coś lepszego ztyłu było trudno, zbyt skutecznie ostrzeliwano dojazd. W nocy też nie było spokoju: spało nas w małej izdebce sześciu, telefony tuż, a za przegródką płakało dziecko, męczyła się chora na cholerę żona leśnika. Gdy nareszcie umarła, nie można było z powodu ognia przez kilka godzin wynieść trupa z chaty.

Wyprowadziłem się więc piątego dnia walk na skraj miasteczka Pilicy i nareszcie miałem lepszą noc, telefony się nie liczyły, od nich nie było ratunku. Ku wielkiemu zdziwieniu otrzymałem tu list od znajomego inżyniera, p. Arkuszewskiego, zapraszający mnie do jego zamku, który przylegał do miasteczka. Skorzystałem więc z pewnego uspokojenia na froncie i pod wieczór pojechałem z wizytą; zastałem w zamku oprócz gospodarza panią domu i trochę młodzieży. Kolację jedliśmy w obszernych podziemiach, dokąd się pp. Arkuszewscy, wobec kanonady artyleryjskiej, przenieśli.

Papengut, który ani razu przez czas dowodzenia dywizją nie pokazał się na froncie, zaczął mi znowu dokuczać, czepiając się papierowych drobiazgów. Miałem już jego dość, pojechałem więc do sztabu dywizji i zrobiłem generałowi poprostu awanturę, ostrzegając, że nadal nie ręczę za siebie. Papengut stchórzył natychmiast, zaczął mnie przepraszać, całować, skarżyć się na swój sztab, który składał mu rzekomo fałszywe raporty. Stosunki u nich ułożyły się rzeczywiście oryginalnie: dowódca dywizji nie przyjmował meldunków od szefa sztabu, a wierzył jedynie kapelmistrzowi (!), któremu dyktował rozkazy.

Uważałem jednak, że dalsza służba w dywizji przechodzi moje siły, zameldowałem więc, że czuję się chorym i muszę jechać się leczyć. Moja decyzja przestraszyła wprost Papenguta, odwołał się do mego poczucia obowiązku, wskazał na krytyczną sytuację, zaklinał, bym nie odjeżdżał jeszcze. Zapowiedział nareszcie, że, jak tylko nastąpi odprężenie na froncie,

odeśle mnie autem do najbliższej stacji kolejowej. Musiałem więc odłożyć mój wyjazd, chociaż uprzedzano mnie stale, że mój szef czyha na pierwszą okazję dokuczenia mi; bardzo go raziły moja samodzielność i parokrotne powodzenie bojowe.

Nazajutrz pojechałem na front dopiero po południu; w połowie drogi ujrzałem grupę jeźdźców i kilkudziesięciu pieszych żołnierzy 75-ej dywizji; dowiedziałem się od nich, że dywizja została ostatecznie zepchnięta wtył i cofa się za m. Pilicę, nie uprzedziwszy nas nawet. Ruch ten obnażał moje prawe skrzydło, tyle, że przeciwnik mógł w każdej chwili zająć tyły. Nie było chwili do stracenia; mimo bólu, popędziłem na front, zawiadomiłem sztab dywizji oraz brygadę o sytuacji i rozpocząłem odwrót na przygotowaną zgóry drugą linję okopów, o 2 wiorsty od pierwszej. Austrjacy nie zauważyli odejścia, przeszliśmy więc ku wieczorowi niepostrzeżenie.

Przeciwnik opatrzył się dopiero nazajutrz i od rana rozpoczął natarcie, przygotowane silnym ogniem artyleryjskim. Byłem już tak chory, że nie mogłem stać na nogach; noszono mnie więc zgiętego w kabłąk na krześle. Walka ogniowa trwała kilka godzin, Austrjacy, wstrzymani naszym ogniem, nie zdołali dokonać ataku; zamek jednak znalazł się w tak zwanym przez Anglików *no men land*'zie, t. j. strefie, położonej pomiędzy walczącymi, niszczonej zatem przez obydwie strony. Współczując niedoli pp. Arkuszewskich, kazałem narazie oszczędzać możliwie zamek od obstrzału artyleryjskiego, ale warunki mogły się z łatwością w toku walki zmienić; posłałem więc tam adjutanta

z radą, by mieszkańcy nie wychodzili z podziemi. Oficer zastał panią na podwórzu, gdzie zapędzała pod dach indyki, zwrócił się więc do niej z uprzedzeniem, wskazując na dwa pękające nad zamkiem szrapnele. Inżynierowa kazała mi podziękować za radę, a na zakończenie dodała: — Niech generał robi, co do niego należy, a ja będę robiła swoje, bo mi pomordują indyki — i wróciła do swego zajęcia.

Doba następna była jednak względnie spokojna. Bardzo mi to dogadzało; byliśmy przemęczeni, żołnierze przez osiem dni leżeli w okopach, nie mogąc się nawet rozgrzać; na oficerów żal było patrzeć: twarze mieli opuchnięte, oczy gorączkowe, ręce zgrabiałe, nie myli się przez cały czas, ciepłego kąta nie widzieli oddawna. Na opuszczenie oddziału bez konieczności nie pozwalałem. Żyłem stosunkowo znośnie w chłopskiej chałupie z doktorem Ostaszewskim i dwoma oficerami; za przegródką rodzina gospodarza, drobne dzieci, dużo krzyku, ale było ciepło i nie odczuwaliśmy głodu. Starał się o to dzielny kompan — doktór. Wychodziłem mało, a gdy leżałem, nie bolało mnie nic. Często przychodzili do mnie pułkownicy: moja choroba trapiła ich widocznie. Wzruszał mnie grubas, pułk. Bielajew, wpatrywał się ciągle we mnie, powtarzając: „Co my będziemy bez pana robili...“

Minęło jeszcze sześć dni; przestaliśmy się nawet przepychać, pułki zakopały się głęboko na stanowiskach, wymościły okopy słomą, żołnierze odpoczęli i ogrzali się partjami. Bolały mnie głównie straty w oficerach; były ogromne.

W „Kurjerze“ wyczytałem korespondencję o nastroju społeczeństwa polskiego w Poznańskiem, która mnie bardzo pocieszyła; panowała tam wogóle duża rezerwa i zrozumienie naszego położenia politycznego.

W innym artykule przeczytałem, że niejaki Gorczyński organizuje „Legjony Wschodnie“ w Warszawie. Szkodzić interesom Polski to nie mogło, ale było zbędne; społeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim, stanowiące gros narodu, wypowiedziało się jasno przeciwko Niemcom, nie potrzebowaliśmy więc manifestować raz jeszcze naszego stanowiska politycznego.

Zresztą nie słychać było nic, by rząd rosyjski przystąpił do realizacji obietnic w. księcia, lepiej więc było zachować rezerwę.

* * *

Groźba, wisząca nad moją brygadą w ciągu ostatnich dwóch tygodni, przesłoniła mi prawie zupełnie dalsze horyzonty, a tymczasem pomiędzy Częstochową a Wisłą rozegrały się olbrzymie walki. Niemcy zgromadzili prawie niepostrzeżenie pod Toruniem dużą armję Mackensena i natarli energicznie w kierunku Włocławka. Wskutek ponownej zbrodniczej bezczynności Rennenkampfa, mającego ochraniać prawe skrzydło 2-ej armji, udało się im przerwać czterema korpusami front pomiędzy Wisłą a Łodzią, zagrozić Łowiczowi i otoczyć 2-gą armję, mającą ośrodek w Łodzi, od północy, wschodu i południa. Niebezpieczeństwo powtórzenia manewru niemieckiego, tak bezczelnie wykonanego we wrześniu w Prusach Wschodnich, narastało z dniem każdym; ale tym razem Naczelne Dowództwo rosyjskie było inne i nie straciło głowy. W Łowiczu

zgromadzono naprędce rezerwy i uderzono na Niemców, otaczających Łódź od północo-wschodu; jednocześnie natarły na nich od poł.-wschodu i południa korpusy 5-ej armji, dowodzonej przez dzielnego gen. Plewego. Półtora korpusu Niemców i 2 dywizje ich jazdy znalazły się w samotrzasku; osaczono je ze wszystkich stron, zwycięstwo zdawało się pewne, ale niedołęstwo 6-ej dywizji syberyjskiej, która nie zabezpieczyła swego noclegu, pozwoliło wrogowi przerwać otaczający go pierścień i cofnąć się z dużemi stratami na zachód. Dokonali oni tego w nader ciężkich warunkach: zadymka, mróz, przeciążenie artylerją i taborami, ogień ze wszystkich stron. Udała się więc Rosjanom operacja strategicznie, zawiodła taktycznie, przysłużyła się jednak w każdym razie sojusznikom, odciągając w okresię trudnych walk o Dünkirchen we Flandrji 4 korpusy niemieckie i kilka dywizyj jazdy.

2-go grudnia zluzowała nas na stanowisku 2-ga brygada strzelców gwardji. Patrzyłem z przyjemnością na tych dobranych, rosłych, barczystych żołnierzy, doskonale wyszkolonych i prowadzonych przez świetnych oficerów. Nasza dywizja miała przejść pod Łódź. Chętnie opuszczałem ładne okolice, tu rozwiały się moje marzenia o marszu do Prus, a zdrowie me doznało poważnego szwanku.

Przemarsz był spokojny, pogoda ładna, mroźna, okolica falista, malownicza, drogi niezłe. Wpobliżu Opoczna, po otrzymaniu urlopu, opuściłem dywizję; naturalnie zapomniał Papengut o swej obietnicy wysłania mię autem, dojechałem więc z pewnym trudem konno.

ROZDZIAŁ VIII.

Warszawa wywarła na mnie przykre wrażenie; ulice były przepełnione żołnierzami, ginęły nieraz prawie wśród przechodniów sylwetki osób cywilnych, rzadko spotykało się elegancko ubraną kobietę; porządek zewnętrzny był słaby. W zachowaniu publiczności zauważyłem, w stosunku do wojskowych pewną zmianę: nie odwracały się już oczy od munduru, przeciwnie, spoglądano na wojskowych z pewną sympatją, a niekiedy i z uśmiechem; rozumiałem jednak dobrze, że, wobec świeżo zażegnanej grozy wkroczenia do stolicy Prusaków, wybierali narazie warszawiacy „z dwojga złego mniejsze".

Sztab frontu kwaterował w Siedlcach. Otrzymałem tam szereg niepocieszających informacyj: brakło pocisków i karabinów, rosyjskie fabryki nie mogły nadążyć potrzebom, a zagranicą nie dało się czegokolwiek zamówić — inne państwa uprzedziły Rosję; nielepiej stały sprawy osobowe, oficerowie fachowi wyginęli prawie, w oddziałach liczono łącznie z rezerwowymi zaledwie 30% oficerów, brakło również podoficerów i wyszkolonych żołnierzy, niektóre pułki liczyły po 1200 bagnetów zamiast 3000, rekruci przybywali na front po dwumiesięcznem przygotowaniu nawpół surowi.

W Warszawie spędziłem wbrew woli parę dni; chciałem jechać na operację do Kijowa, ale nie chciano mi na to pozwolić, gdyż pod względem etapowym należeliśmy do okręgu mińskiego; zrezygnowałem więc z pozwolenia i na własne ryzyko wyjechałem do Kijowa.

Rodzinę zastałem zdrową i mieszkającą wygodnie w polskim hotelu „François". Zaraz po przyjeździe uzyskałem, bez żadnych tarć, u komendanta miasta miejsce w szpitalu chirurgicznym dr. Zajcewa; okazał się on żydowskim. Szpital posiadał doskonałego chirurga, Bychowskiego; znalazłem tu staranną opiekę i wzorową czystość; operacja udała się doskonale i po dwóch tygodniach przewieziono mnie na rekonwalescencję do hotelu.

Życie w Kijowie upływało bardzo przyjemnie, życzliwych mieliśmy dość, odwiedzali mnie również koledzy. Dowiedziałem się od nich, że, pomimo powodzenia strategicznego w łódzkiej operacji, Naczelne Dowództwo cofnęło front na lewym brzegu Wisły, zajmując linję rzek Bzury, Rawki i Nidy.

Bilans kampanji roku 1914 dał Niemcom poważne zyski: opanowali oni prawie całą Belgję, kilka najbogatszych departamentów Francji, prawie połowę Kongresówki, a oddali tylko skrawek Prus Wschodnich.

Coprawda, pragnęli oni o wiele więcej; nie udało im się opanować Paryża i zmusić Francję do oddzielnego pokoju, przeciwnie, armja angielsko-francuska przeszła do natarcia; dalej — pierwsza ofensywa w Królestwie załamała się, a druga stanęła na martwym punkcie; nareszcie — zawiodła operacja odcięcia Królestwa od Ukrainy, przeciwnie, Rosjanie opanowali Małopolskę Wschodnią i Bukowinę, i wyparli Austrjaków z Królestwa.

Ton prasy niemieckiej nie był już tak zadzierzysty, zaczęli mówić o pokoju, choćby „nie spełnił on *narazie* marzeń duszy niemieckiej".

* * *

Dowiedziałem się, że za walki nad Sanem nagrodzono mnie złotą szablą. Sprawiło mi to dużą przyjemność — była to rycerska nagroda!

* * *

Zdawało się, że przed wiosną nie należy oczekiwać większych wydarzeń. W Naczelnem Dowództwie rosyjskiem ścierały się dwie koncepcje strategiczne: jedna proponowała prowadzić operację zaczepną w kierunku Berlina — serca Koalicji; druga wysuwała zyski polityczne, wynikające z natarcia na Wiedeń. Pierwszy kierunek obiecywał decydujące rozwiązanie, ale miał dużo przeciwników, (droga na Berlin prowadziła przedewszystkiem przez Prusy Wschodnie, które trzykrotnie odegrały rolę kolczastego jeża i dotkliwie pokłuły nacierających); wybrano więc, za namową dowódcy frontu południowego, Iwanowa, kierunek wiedeński. Przeciwnik, poinformowany jak zwykle o zamiarach Rosjan, uprzedził jednak uderzenie, przerzucił z lewego brzegu Wisły i z frontu zachodniego znaczne siły niemieckie, wcielił je dywizjami, w charakterze umacniających kontrforsów, pomiędzy austrjackie korpusy i w drugiej połowie stycznia sam zainicjował natarcie. W końcu stycznia stanął w ogniu cały front karpacki, rozpoczął się szereg walk spotkaniowych; na froncie Mezö - Laborcz - Dukla brali górę Rosjanie, na wschodzie odrzucono ich na linję Seretu.

Rozpaliło się również ognisko walk nad Bzurą. Niemcy wykonali tu szereg zaciętych ataków, zastosowując po raz pierwszy gazy trujące; ataki zostały

odparte, ale rezerwy rosyjskie przytrzymano na miejscu. Walczono również zacięcie na froncie litewskim.

Gdym już mógł wychodzić na ulicę, zwróciłem uwagę na szalony kontrast pomiędzy nastrojami na froncie a życiem dużego miasta: tam — skupiona powaga, prywacje, niebezpieczeństwo, krew i śmierć, tu — nieustające wesele, beztroska, oświetlone à giorno, bogate sklepy, barwny, roześmiany tłum, pełne restauracje, kina, teatry. Wojskowych mundurów dużo, ale jakieś inne, cudaczne; była to przeważnie młodzież, „dekująca się" masowo przed służbą w szeregach po różnych organizacjach społecznych, pracujących dla armji na tyłach. I nikt nie ganił ich zachowania, przeciwnie, cieszyli się zdecydowaną sympatją płci pięknej. Obrazki te nasuwały niewesołe horoskopy na przyszłość: jeżeli lud jest ciemny jak tabaka w rogu, a inteligencja obojętna na niebezpieczeństwo, zagrażające ojczyźnie, na kim się oprze armja walcząca, kto doda jej hartu moralnego w strasznych przejściach na froncie?

Te same zjawiska obserwowali inni w Petersburgu i Moskwie. Nie udało się wytworzyć w społeczeństwie odpowiedniej psychologji wojennej. Bierność i niezadowolenie inteligencji z polityki rządowej, olbrzymie przestrzenie, słaby rozwój komunikacji — sparaliżowały szybko pierwszy poryw, pozostała apatja lub chęć użycia; tylko armja pierwszego okresu wojny spełniła chlubnie swój obowiązek.

* * *

W połowie lutego wyjechałem do dywizji. Korpus nasz zajmował stanowisko bierne nad Nidą.

W Warszawie zatrzymałem się na parę dni, odwiedziłem gen. Świdzińskiego, któremu polecono organizację polskiej ochotniczej formacji wojskowej; generała znałem od lat wielu, jako oficera sztabu generalnego, w którym Polacy byli tylko rzadkim wyjątkiem, niezbyt mile widzianym. Nie wpłynęło to nic a nic na zachowanie się Świdzińskiego; swą godność narodową, przywiązanie do religji cenił on wysoko, ciesząc się powszechnym szacunkiem i sympatją. Osobiście miałem jeszcze dla staruszka uczucie serdecznego przywiązania. Wojna zastała go jako emeryta w Kijowie, gdy mu jednak zaproponowano objęcie akcji formacji polskiej, zgodził się natychmiast, pomimo posuniętego wieku i nieuleczalnej, dotkliwej choroby.

Świdziński przyjął mnie nadzwyczaj serdecznie i wtajemniczył w sprawy formacji: stały one źle; antypolskie czynniki rządowe, chcąc sparaliżować akcję, postarały się o przeniesienie jej z rąk władzy wojskowej do ministerjum spraw wewnętrznych, które w Warszawie reprezentował generał-gubernator, ks. Engałyczew.

Hamował on systematycznie całą pracę, zamienił nazwę „legjonu“ na „drużyny“, a szwadron został „sotnią“; komenda miała być rosyjska, a oddziały przydzielone do dywizyj linjowych; zabroniono nawet prasie polskiej pisać cokolwiek o legjonie i składać nań ofiary pieniężne. Nic dziwnego więc, że wogóle nieduży zapał do tych formacyj gasł w społeczeństwie, że ten i ów zaczął się nawet z nich wycofywać.

Opowiadał mi o tem gen. Świdziński z dużą goryczą, skarżył się, że mu brak już sił do walki z biu-

rokracją rosyjską, zaproponował nareszcie, bym objął kierownictwo; zgody ks. Engałyczewa był pewien. Odmówiłem wręcz, nie chciałem bowiem brać udziału w akcji zasadniczo źle postawionej. Milczenie rządu w doniosłej sprawie obietnic Naczelnego Wodza wskazywało aż nadto wyraźnie na złą wolę w stosunku do Polski; należało więc społeczeństwu wrócić do postawy ścisłej rezerwy.

Nastrój Warszawy w porównaniu z jesiennym zmienił się znacznie na gorsze, miejsce powagi zajęło przygnębienie, bieda zajrzała całej inteligencji w oczy.

W korpusie gen. Żylińskij przyjął mnie po koleżeńsku i oznajmił, że przydziela mnie do 45-ej dywizji, gdyż nie mogę pozostawać u Papenguta; szef sztabu zakomunikował mi dodatkowo, że tego pana uważają za tchórza, łgarza i obłudnika. Czemuż jednak nie wyrzucą go z armji?

W doskonałym nastroju wyjechałem na nowe miejsce. Dowódcą dywizji był gen. Nikołajew, mój kolega z Akademji, człowiek solidny i inteligentny. Poprzednie stosunki moje z nim były życzliwe. Gdym się jednak zameldował, zauważyłem w tonie rozmowy ze mną pewien odcień wyższości; zanotowałem to sobie natychmiast i zamknąłem się w ramkach oficjalnych. Widocznie służba w sztabie petersburskim i godność generała świty cesarskiej uderzyły koledze trochę do głowy.

Sztab mieścił się w skromnym dworze obywatelskim, którego właściciele wyjechali. Zamieszkałem w jednym dużym pokoju z szefem sztabu, kulturalnym, miłym oficerem; mieliśmy kominek, fortepian,

ciepły kąt, wprost idealne warunki bytowania na froncie. Od paru tygodni spadły ogromne śniegi, zasypały dwór i ogród puszystym, białym całunem.

Nikołajew prosił, bym „podciągnął" brygadę i wszystkie instytucje dywizyjne, które, jego zdaniem, utraciły należytą sprawność; sam wychodził ze swego pokoju rzadko, jadał u siebie i zdradzał usposobienie mizantropijne. Bywałem u niego tylko na zaproszenie co parę dni; przyjmował mnie zawsze winem i pod jego wpływem stawał się rozmownym. Głównym tematem naszych dyskusyj były naturalnie wypadki wojenne: Nikołajew oceniał położenie z pewną rezerwą, ale krytycznie, nie wierzył w możliwość zwycięstwa sprzymierzonych, zaznaczał ciągle wyższość organizacji armji niemieckiej i jej zalety, umiejętność przygotowania wszechstronnego do wojny; naturalnie, zwalczałem jego argumentacje, zgadzałem się jednak, że główne rozwiązanie nastąpi chyba na froncie zachodnim.

Pewnego wieczora w toku ożywionego sporu oponent mój pod wpływem większej ilości kieliszków wina rozkrochmalił się i wybuchnął:

— Cała polityka nasza jest głupia, pocośmy wleźli w tę nieszczęsną wojnę, wielki czas wycofać się i zawrzeć z Niemcami pokój odrębny.

Cynizm tego oświadczenia oburzył mnie, z trudnością zachowałem panowanie nad sobą, ale po chwili ciężkiego milczenia dałem ostrą replikę, kwalifikując odrębny pokój z Niemcami za wyraźną zdradę przymierza z Francją, niegodną wielkiego państwa; wspomniałem również o wezwaniu w. księcia Mikołaja do

Polaków, obiecującem im wolność i zjednoczenie. Nikołajew roześmiał się ironicznie:

— Obietnice! A kto upoważnił w. księcia do dawania ich, opinja publiczna jest im przeciwna, byłoby dla Rosji lepiej ofiarować Polsce w granicach etnograficznych niepodległość, a nie jakąś autonomję; próbowaliśmy już to zrobić przed stu laty i skończyło się wojną; zresztą niech Jego Wysokość spróbuje odebrać Poznańskie Niemcom, a Galicji Wschodniej my sami nie damy.

Przerwałem dalszą dyskusję, była bezcelowa. W słowach generała świty „Jego Cesarskiej Mości" dosłyszałem echa nastrojów, panujących na dworze cesarskim w germanofilskiem otoczeniu cesarzowej, zgodnych zresztą z czarną reakcją nacjonalistyczną, nie znoszącą „inorodców", a przedewszystkiem Polaków.

Roboty miałem sporo; pułki poddałem szczegółowej inspekcji; stan osobowy oficerów i żołnierzy był już dopełniony do etatów, ale wszystko to była niedoszkolona i nieostrzelana surowizna, wymagająca dużej pracy instrukcyjnej. Nie dostrzegłem jej jednak przeważnie: obydwaj dowódcy byli na urlopie kuracyjnym i podobno nie odznaczali się zaletami służbowemi; w pułku windawskim znalazłem taki nieład, żem zajął się bliżej osobą pułkownika i sprawdziłem, iż był on alkoholikiem, nienawidzonym przez pułk za brutalność i kłamliwość. Gdy więc indywiduum to ukazało się na horyzoncie, zaproponowano mu natychmiastowy i bezpowrotny wyjazd; próbował protestować, ale, otrzymawszy ad oculos parę dokumentów, zrezygnował i wyjechał ku wielkiej radości podkomendnych.

Ta pierwsza operacja ułatwiła mi bardzo służbę; karność w brygadzie wzrosła, a wkrótce pozbyliśmy się i drugiego pułkownika. Dowiedziawszy się o charakterze i wyniku mych inspekcyj, wolał on nie wracać zupełnie i usunął się do rezerwy.

W pułkach kazałem prowadzić codzienne szkolenie w rezerwie. Raz jeden, gdym nadjeżdżał do ćwiczących dwóch kompanij, byłem świadkiem, jak „gołąbek niemiecki", Taube zwany, rzucił na nie dwie bomby; wybuch nie trafił w nikogo, ale całe bractwo rozbiegło się po polu w panice. Kazałem je zebrać, uformować i przeszedłem, milcząc, wzdłuż frontu; na twarzach większości żołnierzy zauważyłem przestrach, w oczach oficerów zmieszanie, postanowiłem więc dać im nauczkę.

— Za mną, kolumną pochodową! — rozkazałem, kierując marsz ku czołowym okopom na otwarte pole. Gdyśmy się znaleźli tuż przy froncie, postawiłem kompanje w rozwiniętym szyku, frontem do dobrze widocznych okopów niemieckich.

— Prezentuj broń! — padła komenda; wykonano ją tak precyzyjnie, że aż szczęknęły karabiny, szeregi stanęły, jak wryte; wytrzymałem je w tej pozycji przez parę minut.

— Pp. oficerowie przed front, ćwiczenie sprawności chwytów broni, przygotować rewolwery do strzału, jeżeli który żołnierz drgnie, palić mu prosto w łeb.

Krótkie, twarde słowa komendy zdawały się rozcinać ostre, mroźne powietrze, a sprawność chwytów była wprost idealna; kwadrans może trwało ćwiczenie i dziwnym trafem nie padł ze strony niemieckiej ani jeden strzał.

Kazałem więc przerwać ćwiczenie i zakończyłem je surową naganą, udzieloną oficerom za dopuszczenie do paniki; na przyszłość rozkazałem uspokajać ludzi użyciem broni.

Innym razem chciałem sprawdzić, ile postąpiły roboty przy sypaniu nowego węzła oporu, ale dowodzący pułkiem odradzał mi ten spacer bardzo poważnie: „Tam nie można się w biały dzień pokazać, zasypują wprost ogniem, zresztą teraz odwilż, błoto będzie po kolana...". Podziękowałem pułkownikowi za radę, ale oświadczyłem, że jednak pójdę i to w jego towarzystwie; bawiłem na robotach przeszło godzinę i przez ten czas wybuchł niedaleko zaledwie jeden granat. Zato wykonanie węzła było dalekie od rzekomego wykończenia; nie w smak więc poszły moje grzeczne, ale twarde uwagi; pułkownik przyjmował je skwapliwie, prężył się ciągle z ręką przy daszku czapki a w duchu życzył mi zapewne jakiego przykrego wypadku.

* * *

Na froncie nastała cisza prawie absolutna, pod wieczór tylko słychać było pojedyńcze wystrzały karabinowe — t a k u, t a k u, lub daleki grzmot armat. Zakopaliśmy się w ziemię jak krety; nad powierzchnią jej nie zaznaczało się prawie nic, nawet jaszczyki artyleryjskie i konie pochowano w podziemnych galerjach. Na polach odkrytych wyrosły rzadkie sosnowe gaje; pozornie nie przedstawiały one nic ciekawego, ale przyjrzawszy się bliżej, można było zauważyć, że z pod korzeni drzew kłębi się dym, błyszczą dyskret-

nie zamaskowane szybki okienek: tu kryły się mieszkania jaskiniowców, troglodytów wojskowych, chroniące nietylko przed granatami, ale i przed jastrzębiem okiem „Tauby", tu również urządzono łaźnie; nieraz słychać było z pod ziemi dźwięki harmonijki. Naturalnie większość drzew, rosnących na tych podziemnych grodach, tkwiła bez korzeni w piasku, wyłącznie jako maska.

Pogoda wciąż była śliczna, mróz ustąpił, mieliśmy prawie przedwiośnie; nastały bajeczne noce księżycowe. Mój towarzysz, młody pułkownik, był ciągle markotny, wolałby marzyć we dwoje w poświacie księżycowej, niż siedzieć tu w dziurze wiejskiej, czekając na bitwę ze Szwabami.

Dużym kontrastem w porównaniu z naszą bezczynnością nad Nidą były zacięte walki na skrzydłach olbrzymiego frontu wschodniego. Na Litwie odrzucili Niemcy Rosjan ostatecznie z Prus Wschodnich, w Galicji trwały w Karpatach walki bez rezultatu, tylko pod Przasnyszem osiągnęli Rosjanie duże powodzenie lokalne, ale nie mogli go wyzyskać dla braku amunicji.

3 marca otrzymałem telegram, że jestem przedstawiony na stanowisko dowódcy 13-ej dyw. piechoty. Nominacja ta dogodziłaby mi nadzwyczajnie, dywizja miała doskonałe tradycje, była bitna i kwaterowała stale w Krymie. Nikołajew przypuszczał, że mi ją jednak odbije jaki protegowany kandydat, gdyż dywizja pełniła stałą służbę w rezydencji cesarskiej w Liwadji, a pułki jej miały jako szefów wielkich książąt; gen. Żylińskij miał również różne wątpliwości tego samego rodzaju i przyznawał, że chętnieby zamienił swój

korpus na tę dywizję. Wobec tego czekałem na rezultat ostateczny z niepokojem, chociaż teraz byłem już pewny, że w każdym razie dostanę nareszcie samodzielne stanowisko.

Spadły znowu ogromne śniegi, wrócił mróz. Powitałem powrót zimy bez najmniejszej przyjemności, gdyż byłem już nastrojony na wiosenną nutę; z irytacji paliłem cały dzień na kominku — drzewa w lesie skarbowym było dość.

4 marca ocknął się Niemiec ze snu zimowego i począł strzelać zapamiętale z ciężkich dział, bez rezultatu prawie; nasza artylerja odpowiadała mało. Wieczorem miałem możność obserwować wspaniały a groźny fajerwerk, podszyty grzmotami pękających na tle ciemnego nieba pocisków. Przysłano nam z dowództwa frontu ciekawą notatkę: 15 lutego przeciwnik wyrzucił na m. Smolnik w Karpatach 660 bomb z ciężkich dział, które zraniły 1 żołnierza. My również prowadziliśmy statystykę: w ciągu ostatnich dwóch dni Niemcy wypuścili 217 bomb i 130 szrapneli, straty — 6 rannych.

Bito się trochę w sąsiedniej 4-ej armji; poszło tam o jakąś wieś, a raczej jej ruiny, które się podobały obydwom stronom; zginął przytem w pułku tulskim pułk. Bukowski, Polak, powołany ze stanu dymisji, znacznie więcej wartościowy, niż jego dowódca.

Trafił mi do rąk listopadowy numer tygodnika rosyjskiego „Zemszczyna" z dodatkiem muzycznym, zatytułowanym „Hej, Słowianie!"; melodja bardzo ładna i u nas dość znana, za jej śpiewanie pakowano na-

wet przez dłuższy czas do ula, a brzmiała ona po polsku „Jeszcze Polska nie zginęła!".

Tempora mutantur — ale i w r. 1870 pod Gravelotte, wygrywały ją niemieckie kapele poznańskim pułkom, idącym na śmierć... To też trzeba pamiętać!

Zresztą romantykami będziemy chyba zawsze. Czytałem niedawno o bohaterskiej walce polskiego oddziału Bajończyków pod Arras: 9 maja runął on jak burza na bagnety z *rozwiniętym sztandarem,* zdobył trzy linje okopów niemieckich, wymościł własnemi ciałami drogę do zwycięstwa Francuzom, ale nikt nie poszedł za Polakami; silny ogień niemiecki wybijał pokolei bohaterów, odeszli stopniowo, pokazując zęby, a Niemcy nacierali, ale zdaleka. W pięknym tym porywie mężnych romantyków zginęła większość oddziału, zraniono pięćdziesięciu kilku, *zdrowych pozostało trzydziestu;* zabito również dowódcę, ppor. Malcza.

W wojnach doby obecnej sztandar — ten symbol honoru i sławy pułkowej — nie skupia już dokoła siebie w chwili decydującej żołnierzy, walczą oni prawie do ostatniej chwili w rozproszeniu, a sztandar przechowuje się przy taborach. Opierałem się temu w początku wojny, ale ustąpiłem wreszcie, bo nie miałem racji; sztandarowy pluton wybijano w ciągu kilku minut.

Jeździłem w sprawach służbowych do dowódcy 2-ej brygady, gen. Sławoczyńskiego; mieszkał on na plebanji obok kościoła, którego wieża służyła często za cel Niemcom. Znać to było po niej! Przyjazd mój uczcili sąsiedzi kilkoma bombami. Generał, człowiek

w podeszłym wieku, był dawniej gubernatorem w Kutaisie; robił wrażenie dobrego i skromnego, starego żołnierza. Wiedziałem, że jest Polakiem, ale w ciągu rozmowy nie udało mi się wykrzesać w nim iskry porozumienia narodowego ze mną, trzymał się do końca urzędowo.

11 marca zamianowany zostałem dowódcą 13-ej dyw. piechoty; skończył się nareszcie mój przydługi „wikarjat". Dywizja stała gdzieś w Karpatach, należała do armji gen. Brusiłowa. Z wyjazdem nie zwłóczyłem i, pożegnany serdecznie przez Żylińskiego, a dość oficjalnie przez Nikołajewa, wyjechałem przez Kijów do Lwowa.

ROZDZIAŁ IX.

Lwów również zmienił swój charakter: nie widać tu było bezpośrednich śladów wojny, ale znikła dawna elegancja. Wszędzie pospolity tłum, podszyty soldateską; ulicami ciągnęły nieskończone sznury wojskowych furgonów; w kawiarniach i restauracjach brudno, jedzenie liche, pełno zato uzbrojonych od stóp do głów urzędników intendentury, poczty, kontroli oraz innych rycerzy tyłów. Pozostał ten sam tylko cmentarz Łyczakowski, nie dotknęła go newroza wojenna, znalazłem tam dawną powagę i kult zmarłych.

Sztab 8-ej armji stał w Samborze. Gen. Brusiłow przyjął mnie uprzejmie, prawie serdecznie; przed wojną był on moim dowódcą korpusu; ceniłem go

za stanowczy charakter i duch żołnierski; za zwycięstwa galicyjskie został generał-adjutantem. Moje powinszowanie przyjął Brusiłow z widocznem zadowoleniem i zaprosił na obiad; odmówiłem jednak, gdyż było mi pilno do dywizji, prosiłem tylko o informacje co do sytuacji na froncie. Dał mi je szef sztabu, gen. Łomnowskij, doskonały oficer sztabu generalnego.

Sytuacja na froncie nie wyglądała źle. Armja wgryzła się głęboko w przełęcze karpackie, opanowała część szczytów, ale żołnierz był już wyczerpany, i nic dziwnego — operacja sforsowania czołowego tak poważnego łańcucha gór, bez możności zastosowania manewru oskrzydlającego, nie miała w historji wojennej przykładu.

Tylko co otrzymano wiadomość o poddaniu się Przemyśla z załogą, liczącą 2500 oficerów, przeszło 100 tysięcy żołnierzy i 900 dział; odzyskano również 4150 jeńców rosyjskich — w tej liczbie około 4000 Żydów. Działa, pociski, karabiny, kuchnie polowe Austrjacy zepsuli, forty wysadzili w powietrze; w magazynach zostało jednak dużo mąki oraz innych zapasów żywności, brakło tylko mięsa; ostatnio jedzono konie, a pozostałe wystrzelano. Twierdza poddała się na rozkaz cesarski, opiewający, że „jest ona czasowo dla operacyj strategicznych zbyteczna". Ciekawa strategja! Jako curiosum przytoczę, że armja oblegająca liczyła mniej bagnetów, niż garnizon; nietęgo widocznie bronił twierdzy gen. Kusmanek.

Treść rozkazu cesarskiego nie odpowiadała jednak właściwym intencjom strategicznym Austrjaków, gdyż

pierwszem zadaniem ofensywy ich przez Karpaty, po Nowym Roku, była właśnie odsiecz Przemyśla. Zaczął ją Boreovič przez przełęcz Dukielską, ale napotkał na tak gwałtowny opór, że przerzucił wszystkie siły w okrąg gór Baligrodu, skąd prowadziła najkrótsza droga do Przemyśla; ale i tu atak załamał się, stopniowo wypierano ich za Karpaty.

Sztab armji Brusiłowa był bardzo przejęty zajęciem Przemyśla, przeceniał jednak jego znaczenie. Sprowadzało się ono właściwie w obecnej sytuacji do uzyskania przemyskiego węzła kolejowego, wzięcia do niewoli dużej ilości jeńca i zwolnienia dla operacyj w polu dwóch korpusów wątpliwej wartości.

Kontrakcja rosyjska w Karpatach miała na celu przerwanie centrum przeciwnika siłami 3-ciej a głównie 8-mej armji. Gen. Łomnowskij nie był jednak zachwycony osobą nacz. wodza frontu, gen. Iwanowa, zakutego artylerzysty bez wyższego wykształcenia; charakteryzował go jako człowieka mało zdolnego, przetrawiającego myśl strategiczną z trudnością, ale upartego i dążącego wytrwale do celu, często nie licząc się ze zmianą warunków.

* * *

W dalszej drodze utknąłem pod Przemyślem na jakiejś stacyjce; spotkałem tu pociąg, wiozący partję austrjackich oficerów; zastałem ich przy obiedzie. Przywitali mnie sprężystym ukłonem, zachowywali się swobodnie, wesoło, a ubrani byli elegancko — jak z igły. Stosunek do nich dowództwa rosyjskiego był rycerski: oficerom pozostawiono oręż i swobodę ru-

chu w obrębie miasta; zaznajomili się więc ze swymi zwycięzcami o tyle, że zaszły wypadki przekazania następcom różnych „Schatz'ów".

* * *

Sądząc z pism lwowskich, zmienił się zasadniczo nastrój rządu austrjackiego i ludności niemieckiej państwa do Polaków: „Die Polen haben uns verrathen" — mówiło się w Wiedniu powszechnie. Zdrada ta polegała przedewszystkiem na tem, że wbrew oczekiwaniom niemieckim nie wybuchło w Królestwie powstanie przeciwko Rosjanom, a potem oburzało c. k. władze spokojne zachowanie się ludności polskiej w Galicji Wschodniej wobec okupacji rosyjskiej.

„Słowo Polskie" podało również, że trzeci pułk legjonowy rekrutowany był przez starostwa. Szczególniej rzucano się na b. legjonistów wschodnich po rozpuszczeniu legjonu w Mszanie, na Sokołów i członków Drużyn Bartoszowych, które miały również wejść do legjonu; dawano im do wyboru: internowanie lub służbę w legjonach.

* * *

Wieczorem stanąłem w sztabie korpusu. Dowódcę, gen. Dragomirowa, znałem poprzednio; był to zdolny oficer, ale podobno odziedziczył po ojcu zamiłowanie do kieliszka. Szefem sztabu był gen. Wianowskij, mój dawny podkomendny z Mandżurji, człowiek o niepewnej etyce, ale zdolny fachowiec.

Sztab dywizji 13-tej stał w Baligrodzie. Dojechałem szosą dobrem autem; zaledwieśmy się zatrzymali,

przywitały mnie z dużym hałasem dwa granaty: Austrjacy nie lubią automobilowego ruchu na szosie.

Pierwsze wrażenie było niemiłe. Mój tymczasowy zastępca, gen. Piłkin, elegancki i przystojny mężczyzna, przywitał mnie sucho, z rezerwą; drugi brygadjer, gen. Lichaczew, typ starego oficera linjowego, małomówny, patrzył zpodełba; szef sztabu, bardzo siebie pewny, również był nastroszony. Wypadnie widocznie wziąć w silne ryzy dywizję — nie przestraszało to mnie nic a nic.

Dywizja przed paroma dniami ukończyła uporczywe walki, zajęła poważny grzbiet górski i urządzała się na nowem stanowisku. W kilka godzin po mym przyjeździe zameldował się dowódca pułku brzeskiego, Karniejew; i ten również nie podobał mi się, pomimo dobrych warunków zewnętrznych, za dużo objawiał ciekawości co do mej osoby a za mało orjentował się w szczegółach sytuacji własnego pułku.

Miasteczko przedstawiało się opłakanie; nawałnica wojenna przeszła tędy cztery razy, postrącała wiele dachów, podziurawiła ściany, powybijała okna i drzwi; szczęśliwym trafem został nietknięty dom aptekarza, w którym rezydowałem z częścią sztabu. Miałem w pokoju trochę mebli mocno zresztą sfatygowanych, ale na jednym fotelu można było bez dużej przykrości „sprężynowej“ wysiedzieć; było nawet tremo, ulubione miejsce wywczasu szeregu pokoleń muszych, a ze ściany patrzyła na mnie reprodukcja „Fryne“ Siemiradzkiego. Samo miasteczko było szalenie brudne i zabłocone. Przekazałem sprawę uporządkowania miejscowym żydkom, a ponieważ nie mieli koni, wywozili wszystko „własnemi środ-

kami". Z powodu stwierdzonej sygnalizacji latarkowej w kierunku naszego przeciwnika, ludności cywilnej wolno było wychodzić na ulicę tylko pomiędzy 10 a 15 godz. Baligród leży w dolinie wśród gór. Skrył się od południa świeżo zajętym przez dywizję grzbietem, niektóre dalsze szczyty wyzierały jednak ciekawie poprzez bliższe góry ku dolinie i pozwalały obserwować szosę, łączącą sztab z tyłami. Dywizja stała przed głównym grzbietem.

Nazajutrz miałem rozpocząć wizytację frontu, ale spaliło na panewce — otrzymałem rozkaz dalszego natarcia na przeciwnika. Nie poszedł mi on w smak, nie znałem bowiem terenu, brakło mi praktyki w wojnie górskiej, nie zaznajomiłem się z dywizją i składem jej dowództwa, ale nie było rady. Akcję rozpocząłem o g. 3-ej w nocy, by ochronić oddziały ciemnością w okresie zbliżania się do stanowisk austrjackich. Przez osiemnaście godzin trwała ciężka walka prawie bez pomocy artylerji, gdyż nader urwisty i skomplikowany teren nie dawał jej możności dobrego strzału; duży śnieg utrudniał ruchy, przeciwnik bronił się umiejętnie i mężnie. Udało się nam zająć tylko część zboczy gór najbliższych. Nie przypuszczałem nigdy, by austrjacka armja, rozbita przed paroma miesiącami, mogła okazać taki opór na całym froncie Karpat; każdy szczyt, każdą przełęcz zdobywaliśmy potokami krwi i hekatombą ciał ludzkich; poddawał się tylko landszturm, najlepiej walczyli Węgrzy i Niemcy.

Wyczerpanie żołnierzy zmusiło mnie do przerwania natarcia prawie na dobę. Skorzystałem z pauzy, by przeprowadzić osobisty wywiad terenu przy po-

mocy kilku dzielnych oficerów; był on fizycznie bardzo wyczerpujący, ale pozwolił przyjść do wniosku, że, o ile nie poprę czołowego ataku manewrem obejścia stanowisk przeciwnika, rozbiję dywizję, a celu nie osiągnę; manewr ten był jednak nader trudny. Wyprowadzić na tyły Austrjaków mogła tylko jedna kozia ścieżka, zasypana śniegiem, nader stroma i skalista; widocznie uważał ją przeciwnik za niedostępną dla wojska, gdyż nie była ona broniona.

W trakcie omawiania manewru, ukazał się znowu w sztabie pułk. Karniejew. Przywitałem go sucho, pytając, co go znowu do nas sprowadza; zameldował, że przyjechał poinformować się o sytuacji. Dałem mu krótką odpowiedź: „Sytuację wytwarza front, tam więc można najlepiej się poinformować, dziwię się więc, że pan znajduje czas w tej chwili do tak częstych wizyt w sztabie".

Wyniósł się jak zmyty. Później dowiedziałem się, że system służby Karniejewa polegał głównie na częstych odwiedzinach sztabu i staraniach nad utrzymaniem z nim miłych stosunków.

Zadanie oskrzydlenia przeciwnika poruczyłem pułkowi litewskiemu, z 1 górską baterją pod dowództwem gen. Lichaczewa. Powodzenie zależało od zaskoczenia przeciwnika, gdyż jedna kompanja, broniąca perci, mogłaby wstrzymać marsz dużego oddziału. Kolumna wyruszyła z nastaniem zmroku, a nazajutrz o świcie rozpoczął się atak czołowy; rozwijał się on ciężko, wciąż meldowano mi z frontu o wyczerpaniu ludzi, zmęczonych bezsennością, zimnem i brakiem ciepłej strawy; naciskałem jednak śrubę coraz bardziej, pragnąc sku-

pić całą uwagę przeciwnika na działaniu czołowem. Lichaczew posuwał się wolno, a nad ranem odesłał juczną baterję, która nie mogła przejść po urwiskach. Pułk brzeski miał najłatwiejszy teren, i właśnie od jego dowódcy dochodziły mnie stałe lamenty telefoniczne. Zniecierpliwiony nareszcie, uprzedziłem go, że, o ile nie może sobie poradzić z pułkiem, zastąpię go osobiście ze wszystkiemi konsekwencjami tego; uspokoił się wreszcie.

Po południu usłyszeliśmy od wschodu dalekie strzały karabinowe, wzmagające się stopniowo, a przed nami zaznaczył się u Austrjaków jakiś ruch; widocznie połaskotał ich Lichaczew zboku. Wzmocniłem więc energję natarcia z dużem na ten raz powodzeniem; przeciwnik znikał szybko i cofał się na dalsze pasmo gór.

Powodzenie było duże; opanowaliśmy dobrze umocnione pasmo górskie, biorąc do niewoli 40 oficerów i 2 tysiące żołnierzy; wpadło nam również do rąk 5 dział, 8 kulomiotów i moc skrzynek z nabojami. Udany manewr gen. Lichaczewa zadecydował o zwycięstwie; dokonał on go z dużym trudem: pułk gramolił się przez całą noc po pas w śniegu. Straty mieliśmy wielkie, jak to bywa zwykle przy szturmie górskiej pozycji, gdy nie może pomóc artylerja; po górach leżały setki zabitych i rannych; pomimo wytężonej pracy sanitarjuszy, zmarzło wielu na śmierć. Pogoda była fatalna; w nocy lał deszcz, nad ranem spadła mgła, a potem srożyła się zadymka; zwycięzcy i zwyciężeni, umazani w błocie od stóp do głów, wyglądali po bitwie opłakanie.

Dowódca korpusu dziękował mi telegraficznie za zwycięstwo, które nazwał wybitnem, kazał jednak wstrzymać dalsze natarcie — wysunąłem się zanadto w stosunku do sąsiadów; i znowu popełniono stałą pomyłkę: zamiast podpędzać opieszałych, zrównano według nich front.

Gen. Piłkin prosił o dwutygodniowy urlop, skarżąc się na wyczerpanie nerwów. Pozwoliłem mu odjechać, chociaż w okresie natężonych walk wyglądało to dziwnie; pożegnałem również bez żalu szefa sztabu: chciał występować zbyt samodzielnie i potknął się odrazu o mą zdecydowaną wolę osobistego dowodzenia. Został mi więc do pomocy jedynie podkapitan Lubimow, inteligentny, zdolny oficer o fałszywych zresztą oczach; nie martwiłem się jednak exodusem tuzów sztabowych, nie lubiałem bowiem mieć przy sobie niechętnych współpracowników a praktykę sztabową posiadałem dostateczną.

W czasie bitwy zdarzył się zabawny epizod: pocisk trafił w róg szopy, w której znajdował się mój adjutant, i przewrócił ją. Przypuszczaliśmy, że z pod rumowiska wydobędziemy trupa, a tymczasem nic się oficerowi nie stało; zdążył w chwili krytycznej rzucić się pod auto, stojące w szopie, i uniknął zmiażdżenia.

Dywizja posunęła się o dwa kilometry w głąb Karpat. Musiałem jednak zostać w Baligrodzie, gdyż bliżej frontu nie było ani jednej chaty a nawet szopy; spalono wszystko.

Dowódca mego korpusu, Dragomirow, odszedł na stanowisko szefa sztabu frontu, a na jego miejsce mianowano gen. Bałaszowa. Była to nominacja przy-

padkowa, gdyż przed wojną nie chciano mu dać nawet dywizji, pomimo że był oficerem sztabu generalnego. Wojna poprawiła jego reputację o tyle, że awansował nawet szybko na dowódcę korpusu.

* * *

Po krótkiej przerwie bitwa zawrzała znowu; spychaliśmy zwolna przeciwnika na szerokim froncie. Rezultaty miałem dobre, 3 kwietnia opanowaliśmy nowe pasmo górskie; było ich tu stanowczo za dużo, a mapa austrjacka wyglądała wciąż deprymująco czarno. W nocy udało się otoczyć dwa węgierskie pułki — 67-my i 70-ty, większość wykłuto, resztę z dowódcą pułku i 12 oficerami wzięto do niewoli; zdobyliśmy również 11 kulomiotów. Jeden z wziętych do niewoli oficerów 67-go pułku zadecydował: „Damit ist Schluss, das Regiment ist kaput gegangen".

Drugiego dnia bitwy zauważyłem oryginalny korowód; ze strony frontu, na ścieżce górskiej, ukazały się długie sznureczki rannych żołnierzy, idących o własnych siłach; większość miała obwiązane zakrwawionemi szmatami dłonie prawej ręki. Wydało mi się to podejrzane, skierowałem więc cały prąd do dywizyjnego punktu opatrunkowego; tam stwierdzono, że większość żołnierzy, chcąc uniknąć gorszej ewentualności, przestrzeliła sobie ręce z własnych karabinów. Naturalnie nakazałem energiczną kurację: każdy z „bohaterów" dostawał po opatrunku pięćdziesiąt batów i wracał pod specjalną eskortą z odpowiednią kartką na front; egzekucje trwały przez cały dzień, ale nazajutrz zabrakło kandydatów, gdyż żaden żołnierz, zra-

niony w rękę, nie chciał opuszczać kompanji, o ile nie dostał kartki, stwierdzającej okoliczności otrzymania rany. Wśród tych tchórzów znalazło się kilkudziesięciu żołnierzy sąsiedniej 15-tej dywizji; odesłałem ich z wyjaśniającem pismem do dowódcy dywizji, gen. Kryłowa, i otrzymałem odpowiedź: „To niemożliwe, u mnie wszyscy są bohaterami...“ Odpowiedź ta była typowo reklamiarska i niesmaczna; moja dywizja biła się doskonale, musiała jednak posiadać pewien procent tchórzów, których można było trzymać w ryzie tylko grozą.

Warunki terenu były ciągle nader ciężkie, pogoda fantastyczna, a wahania temperatury — od zera do 20 st. mrozu; srożyły się duże zadymki, ale, ledwie zdążono okopać się w śniegu, nadchodziła odwilż, zalewała okopy wodą i przesłaniała okolice mgłą. Żołnierze przez ostatnie dwie doby nie jedli nic, prócz sucharów, byli przemoczeni do nitki, ale chorych było mało, duch był dobry. Dużo mi pomagał gen. Lichaczew; był to twardy, stanowczy żołnierz.

Przykrzyło mi się bardzo skrępowanie osobiste w czasie bitwy; oplątany telefonami i telegrafem, nie mogłem się ruszyć dla sprawdzenia sytuacji na miejscu. Walka w górach daje ogromną samodzielność dowódcom poszczególnych oddziałów a uniemożebnia kontrolę, co niezawsze wychodzi sprawie na dobre. Dzisiaj nareszcie zdobyto nad ranem chałupę na moje locum; upatrzyłem ją sobie już od wczoraj i kazałem oszczędzać artylerji.

Przyjechał do mnie japoński attaché; gramolił się ciągle z jednego odcinka na drugi, notując swe spostrzeżenia. Spytałem go w czterech językach, jak ma-

my rozmawiać; odparł po namyśle, że po rosyjsku, co mu zresztą niebardzo szło. Pobyt jego u mnie był wskazówką, że tu skupiało się obecnie główne ognisko akcji bojowej.

Dużo kłopotu mieliśmy z trupami, leżało ich po górach przeszło dziesięć tysięcy, a mój oddział dezynfekcyjny był zbyt słaby na taką ilość zabitych. A co będzie, gdy słońce przygrzeje? Posiadałem dwa wzorowo zorganizowane oddziały Czerwonego Krzyża: „ziemstwa“ besarabskiego i Głównego Zarządu; na czele ostatniego stał hr. Kankrin, młody, wytworny i miły człowiek. Oddziały te pomagały mi bardzo w akcji ratownictwa. Przypadkiem znaleźli sanitarjusze na trudno dostępnym szczycie dwa opuszczone, austrjackie działa; posłana ze sztabu komenda nie zdołała ich jednak sprowadzić z urwiska.

Dowódca pułku brzeskiego został zraniony w rękę, gdy przed swą ziemianką pił poranną herbatę; rana była lekka, ale przejęła bardzo pułkownika, prosił więc o pozwolenie odejścia. Udzieliłem je chętnie, nie lubię bowiem kombinatorów, którzy swój osobisty udział w bitwie tylko markują, pilnując głównie szacownego zdrowia.

W noc wielkanocną pojechałem do cerkwi unickiej na rezurekcję. Odprawiał nabożeństwo pop dywizyjny, wobec szczupłej garstki oficerów i kilkunastu żołnierzy; radosna wieść o zmartwychwstaniu Chrystusa nie obudziła jednak echa w duszach obecnych. Poza nami w półmroku cerkiewki leżało kilkadziesiąt zabitych żołnierzy, którzy czekali ranka, by spocząć w obcej ziemi; zebrało się ich tak dużo, że trudno było przy

przejściu nie potknąć się o ciała, zalegające podłogę. Noc była pogodna, gwiaździsta; na froncie panowała cisza ogromna, ogarnęło mnie jednak wielkie przygnębienie — przecie tych zabitych i tysiące innych posłałem na śmierć, ja, wyznawca nauki Chrystusowej, głoszącej miłosierdzie i przebaczenie wrogom! Czyż miałem prawo po tem, com uczynił, modlić się w kościele, wiedząc zgóry, że i nadal będę ludzi mordował?

W sztabie zastałem przygotowane święcone: jajka, szynkę, placki, ale jeść nie mogłem nic, chciałem jak najprędzej pozostać sam z memi myślami. Zasnąłem dopiero nad ranem; o dużym dniu obudziłem się w lepszym nastroju, rzeczywistość wzięła górę nad refleksją. Lubimow zameldował mi, że przed świtem dwa bataljony pułku litewskiego z własnej inicjatywy wzięły szturmem najbliższą przełęcz, by „dowódcy dywizji ofiarować ją w darze, zamiast jajka wielkanocnego". Pierwszy raz w życiu otrzymałem tak oryginalny prezent; nadeszły również z Rosji inne dary: 42 tysiące jajek, 5 tysięcy placków; najedzą się zatem moi żołnierze zacnie.

Pierwszy dzień Wielkanocy był śliczny; na tle szafirowego nieba nasunęła się blisko w przezroczystem powietrzu ściana Karpat z ośnieżonemi szczytami; płynął przez doliny ciepły, łagodny powiew, zaszemrały, zbiegające po górskich stokach, pęczniejące z każdą godziną — strumyki.

W południe zaczęła się jednak bitwa na nowo. Obecnie znajdowaliśmy się już przed ostatniem pasmem gór; jeszcze jedno uderzenie, i staniemy na Węgrzech. Przeciwnik widocznie słabnął; wkrótce za-

meldowano mi, że Węgrzy zaczynają się cofać. Minęło jeszcze pół godziny — dźwięczy jeden telefon za drugim: szczyty opanowane, wróg broni się tylko miejscami, główne siły uchodzą.

Nareszcie! Skończyły się sześć dni walk tytanicznych wśród niesłychanych trudów i cierpień, prawie bez snu i odpoczynku. Nie byłem już więźniem telefonu, kazałem więc sobie podać konia i pośpieszyłem z adjutantem na front. Szosa wiła się pomiędzy górami, wspinała po stromych stokach wśród pięknego lasu świerków, pokaleczonych przez pociski, oplecionych drutem kolczastym, przekopanego parupiętrowemi okopami; gdzie tylko była polanka, leżały gromadki zabitych żołnierzy rosyjskich i austrjackich; dużo ciał spadło do rowów szosy. Spiętrzone jedne nad drugiemi, góry utrudniały orjentację. Dopiero teraz zrozumiałem, jakiego wysiłku dokonał żołnierz... byleby nie został on zmarnowany!

Wkrótce dojechałem do nawpół spalonej osady górskiej, Cisny. Z za sąsiedniej góry wydobywały się kłęby dymu; przyszło mi więc do głowy, że to chyba pali się stacja kolejki wąskotorowej, oznaczonej na mapie. Dojazd tam był jednak trudny; stacja znajdowała się za górską rzeczką, płynącą w głębokim parowie, a most był spalony; przedostaliśmy się więc na drugi brzeg pieszo przy pomocy lekkiej ekwilibrystyki.

Stacja, obłożona na wysokość człowieka skrzynkami z amunicją artyleryjską, płonęła jak pochodnia; paliły się również, stojące tuż na torze, dwa parowozy, zawalone drzewem; dokoła ani jednej żywej duszy. Pragnąc ratować drogocenne dla nas parowozy, odrzu-

ciliśmy od nich palące się bale i polana; inne niebezpieczeństwo groziło im jednak od wybuchu setek pocisków, które zdążyły już rozgrzać się nieprzyjemnie. Na szczęście, złapałem pięciu „łazików“ z sąsiedniej dywizji; pomogli nam oni usunąć nabok niebezpieczne skrzynki. Wypadało jeszcze odprowadzić w bezpieczne miejsce lokomotywy, płonący bowiem budynek musiałby się na nie zawalić. Manipulacje przy hamulcach nie dały jednak rezultatu przedewszystkiem dlatego, że nie można ich było dotknąć ręką—były zbyt rozpalone. Parę uderzeń polanem pomogło teoretycznie, ale siły siedmiu ludzi nie wystarczały przecież do poruszenia maszyn. Rozwiązał wreszcie kwestję pomysł taranowania jej naładowaną i rozpędzoną platformą; parowóz ruszył zwolna, a wspólny wysiłek naszej drużyny przyśpieszył jego bieg w pożądanym kierunku.

Dawno nie użyłem tak gorączkowego wysiłku fizycznego, odpoczywałem jednak krótko, pilno mi bowiem było sprawdzić wartość naszej zdobyczy. Na torze stał długi pociąg, przygotowany do odejścia, naładowany ciężkiemi haubicami, skrzynkami z amunicją, beczkami i furgonami; na ostatniej platformie umieszczono nosze: leżał tu zabity sztabowy oficer węgierski. Widocznie ostatni atak zaskoczył Austrjaków, nie zdążyli więc wywieźć cennego ładunku.

W drodze powrotnej nasunęły mi się jednak pewne wątpliwości co do mego postępowania: porzuciłem na dwie godziny kierownictwo dywizji dla sprawy bądź co bądź drugorzędnej, gdy bój nie był jeszcze skończony; w ciągu mej nieobecności nie stało się zresztą nic złego, ale właściwie postąpiłem, ulegając

wrażeniu chwili, nieodpowiednio i to po raz drugi. Poczucie to zepsuło mi zadowolenie z pomyślnie dokonanej operacji górskiej.

Nocleg miałem w domku unickiej popadji, której męża i syna uprowadzili Austrjacy. Była ona bardzo biedna i przestraszona. Skupiliśmy się w dwóch pokoikach, a rozmowy telefoniczne zatruły mi całą noc; ze specjalną złością słuchałem, jak wymieniano raz po raz moje nazwisko. Telefoniści mieli do wysłania szereg telefonogramów z moim podpisem i uważali za stosowne skandować go dobitnie i starannie. Japończyk był wciąż ze mną. Sztab ochrzcił go „Tarasem Maksymowiczem", co ma przypominać właściwe imię jego i szanownego papy; przyjął to, jak zresztą wszystko, z dyskretnym półuśmiechem.

Okres niebezpieczny minął, zaczęli mnie więc odwiedzać różni bohaterowie „odtylcowi"; przyjeżdżali po materjał do opowiadań, na tle których mogła się zdarzyć łatwa okazja do zdobycia krzyża z mieczami, gdyż „znajdowali się w ogniu". Ponieważ sztab siedział w kupie, uprościłem ceremonjał wzajemnych przywitań, sprowadzając go do ukłonu głową; za podanie ręki płaciło się rubla kary. W ciągu pierwszych dwóch dni rygoru zebrano 19 rubli; przeznaczono je na rzecz sierot po żołnierzu austrjackim, zabitym na wojnie, a których matkę rozdarła nasza bomba. Otrzymałem kilka meldunków o sygnalizowaniu latarkami w kierunku przeciwnika; za każdym razem poszlaki wskazywały, że czynili to ludzie, mieszkający wpobliżu frontu. Kazałem więc wysiedlić ich w stronę Węgier, zabraniając powrotu. Jużto faktów organizacji szpiegostwa

przez przeciwnika zebraliśmy dużo, zato kulał na obydwie nogi nasz wywiad. Wiadomości o stronie przeciwnej otrzymywaliśmy wyłącznie od jeńców, oni również dostarczali nam czytelne, oryginalne mapy kraju; drukowane w Rosji kopje były marne, psuły tylko oczy.

* * *

Gdym stanął po raz pierwszy na szczycie Karpat, ogarnęło mnie uczucie dumy; zrozumiałem, że dywizja dokonała wielkiego czynu i to głównie pod naciskiem mej niesłabnącej woli, którą potrafiłem natchnąć wykonawców. Potężna rubież górska, przedzielająca nas od Węgier, została przekroczona. Patrzyłem na falujące coraz niżej, coraz bardziej błękitniejące stoki węgierskie, na ginącą gdzieś daleko na południu linję horyzontu; pierś oddychała szeroko, oko pieściło się bezmiarem dostrzegalnej przestrzeni. Przypuszczałem, że po krótkiej chwili wytchnienia stoczymy się jak lawina na równinę węgierską i przeniesiemy nareszcie pożar wojny na obcą ziemię...

ROZDZIAŁ X.

Ostatniego ataku musieliśmy dokonać bez pomocy artylerji, której nie można było dowieźć, gdyż Austrjacy zniszczyli wszystkie mosty na drodze. Chciałem jednak wyzyskać chwilę depresji u przeciwnika i poryw własnych żołnierzy, parłem więc samą piechotą zapamiętale i nie omyliłem się; szczyty Beski-

dów zostały zdobyte ostatecznie bez dużych strat tym razem. Dalsze natarcie napotkało jednak na silny opór świeżych sił węgierskich, które zajęły dobrze umocnione stanowisko o cztery kilometry dalej na niższem pasmie górskiem. Zdobyć je tym samym rozpędem bez udziału artylerji nie mogłem, wstrzymałem więc dalszy pochód. Tym razem przeciwnik odchodził w dużym nieładzie; po stronie węgierskiej porzucono dziesiątki wozów, skrzynki z nabojami, ciężkie pociski, zwoje drutu kolczastego, przy drodze leżały liczne konie padłe.

Miałem nadzieję przeniesienia sztabu na stronę węgierską, ale nie znalazłem możliwego locum. Zamieszkaliśmy więc w Ciśnie, w domu doktora; uciekł on na Węgry, zostawił trochę gratów a na ścianie w moim pokoju portret damy o dużym nosie, dużym kapeluszu, dużych pretensjach i małej urodzie. Przypuszczam, że była to małżonka doktora, i nie dziwię się, że czuły małżonek pozostawił nam tę pamiątkę. Ładne miał szczęście w zakątku! Dom jednak strasznie był wyziębiony; pierwszej nocy zmarzłem na kość, chociaż spowinąłem się w kołdrę jak mumja. Na wierzchołkach gór mróz trzyma jeszcze, ale słońce wzięło się energicznie do roboty, śniegi topnieją szybko. 6 kwietnia ujrzałem na szczycie ze wzruszeniem, przebijające się do życia i słońca, złote pierwiosnki.

* * *

Po trzech ślicznych, prawie wiosennych dniach wielkanocnych, nastała znowu słota i mgła. Front uspokajał się zwolna; raz jeden próbowali Węgrzy za-

skoczyć nas nagłym atakiem, ale zostali odparci, pozostawiając w naszych ręku cały bataljon, w którym znalazł się spieszony szwadron dragonów. To dobrze! Brak widocznie przeciwnikowi koni. Mieliśmy przed sobą coraz to inne pułki; poprzednie przeważnie wyginęły lub zostały wycofane na tyły; na lewem skrzydle mieliśmy Niemców.

W pierwszych dniach kwietnia skończyło się ogólne natarcie rosyjskie w Karpatach. Gros 3-ciej armji i centrum nasze znalazły się po węgierskiej stronie; lewe skrzydło 8-mej armji ugrzęzło przy Koziówce, której Niemcy nie oddali. Ofensywa została zatrzymana z powodu coraz to wzrastającego oporu przeciwnika, któremu przybyły znaczne posiłki niemieckie, poważnych strat poniesionych, zmęczenia wojska i dużych roztopów w dolinach. Trzeba było doprowadzić do porządku oddziały, zorganizować dowóz i doczekać się skompletowania.

Wstrzymano zatem akcję zaczepną wtedy, gdy potężna przeszkoda — Karpaty zostały nareszcie sforsowane, i dalsza ofensywa mogła się odbywać w warunkach terenu o wiele łatwiejszych. Przecie zdobycie gór nie było ostatecznym celem operacji, stwarzało tylko dogodną odskocznię do opanowania Węgier i marszu na Wiedeń; nie wyzyskano jej dla przyczyn, o których powyżej wspomniałem. Cały więc poryw i wysiłek zostały właściwie zmarnowane, narażając operujące armje na olbrzymie straty i rozbicie ostateczne ich kadrów. Poprawić sytuację mogło wyłącznie nadejście świeżych sił, któreby przedewszystkiem zaszachowały Niemców, operujących nad Dniestrem,

i wzmocniły 8-mą armję dla wznowienia energicznego natarcia przez otwarte już bramy karpackie.

* * *

Przeglądałem codziennie pułki na froncie; zaciekłe parotygodniowe walki górskie dały się im we znaki; w dywizji pozostało zaledwie 6 tysięcy bagnetów; na każdym kroku widziałem oznaki wyczerpania. Jeżeliby kazano obecnie znowu natrzeć, możnaby było z dywizji wykrzesać jeszcze jeden poryw, ale kosztem utraty reszty kadry; zabraknie drożdży do nowego wypieku. Stąd wniosek—dywizja winna była być ściągnięta na parę tygodni z gór dla odpoczynku, skompletowania i przeszkolenia. Zameldowałem o tem dowódcy korpusu, który podzielił mój pogląd, ale zaznaczył, że to samo ujawniło się na całym froncie, a świeżych sił do zamiany nie było; tymczasem nieprzyjacielowi przybywały coraz więcej z pomocą oddziały niemieckie. Widoczne więc było, że czeka nas bierna obrona.

* * *

11 kwietnia wróciła po raz trzeci zima, mroźna i śnieżna; drzewa uginały się pod ciężarem spadłego śniegu, dokoła było biało, aż oczy bolały. Nasze główne zajęcie polegało obecnie na odkopywaniu się od śniegu. Od kilku dni nie zmieniałem miejsca pobytu, zagospodarowałem się więc w swym pokoiku, kazałem nawet wynieść wizerunek „pięknej pani". Jeden z „łobuzów" sztabowych zaproponował, by portret wieszać nad łóżkiem tego z oficerów, który coś

przeskrobał; dama miała wisieć tak aż do czasu, póki nie wpadnie następny. Słyszałem nieraz przez drzwi, jak śmiała się młodzież, przewieszając portret nad łoże kolejnego delinkwenta.

Spacerowałem sporo po reglach, zmieniły się jednak bardzo nastroje, które niegdyś wywoływała we mnie przyroda Beskidów, tak pokrewna zakopiańskiej. Przed wojną szukałem w Tatrach odpoczynku duchowego wśród braci zakordonowych, zespolenia z naturą, sportu; teraz urwiska gór, czarne lasy, zaśnieżone szczyty, przecięte okopami, oplecione zdradliwym drutem, wydawały się ponure, groźne, kryły niebezpieczeństwo i śmierć.

Przybył nowy szef sztabu, pułk. Lebiediew, mój dawny podkomendny z Chabarowska. Wrażenie wywarł dobre, ale wziął trochę ton dur, wypadnie go zmiękczyć na moll. Co drugi dzień spędzałem na froncie. Było to połączone z dużym wysiłkiem fizycznym; naprzód wypadało jechać powozem kilka kilometrów ohydną szosą, potem konno, zapadając się często po brzuch koński w zaspy śnieżne lub błoto; ostatni etap na piechotę z alpejskim kijem w ręce. Na krótką metę jest to najmilszy sposób podróżowania, wymaga tylko muskularnych nóg, dobrych płuc, pewnej ręki i sporo zręczności, bo wypada się posuwać po stromych, śliskich zboczach, wśród rozpadlin i wyrw, skokami; po paru godzinach takiej gimnastyki zaczyna się ona mniej podobać, ale zato nabiera się dużej wprawy. Przeciwnik nie przeszkadzał zwykle mym spacerom, miał jednak parę uprzywilejowanych miejsc, gdzie nie znosił żadnego ruchu; ja zaś znowu

nie miałem ochoty nakładać drogi. Przechodziło się więc niepewną polankę lub mostek szybko, po jednemu, i natychmiast szust wbok, byle prędko, bo już nadlatywało parę celnych szrapneli, szczęściem zawsze za późno.

Znalazłem się nareszcie na szczycie 651 m., gdzie urządzono dobrze zamaskowany punkt obserwacyjny baterji; skromnie wsunąłem się do kryjówki, przykrytej balami, ziemią i śniegiem, i przestudjowałem bezpiecznie przez dobrą lunetę stanowisko przeciwnika. Widziałem je, jak na dłoni: przedewszystkiem siedział, jak bielmo na oku, szczyt 922, opasany czterema pasami drutów i rogatek kolczastych, broniony piętrowemi okopami; miejscami zbliżały się one do naszych stanowisk o czterdzieści kroków, wtedy zasieki kolczaste między niemi były z konieczności wspólne. Kilka strzałów armatnich do okopów przeciwnika stwierdziło, że baterja jest dobrze wstrzelana.

W jednym z okopów wdałem się w pogawędkę z jakimś prostodusznym żołnierzem; dał on mi dosadną charakterystykę gen. Lichaczewa:

— On, sukin syn, nie boi się zupełnie śmierci; kule dokoła koszą, a on idzie za żołnierzami i pogania ich kijaszkiem.

W pułkach było za mało oficerów, szczególniej w kompanjach, za dużo ich siedziało w sztabach pułków. Zrobiłem więc redukcję, znosząc bezwzględnie wszelkie tymczasowe przydziały. Sporo również oficerów tkwiło w szpitalach i nie śpieszyło się bynajmniej zpowrotem; wydałem rozkaz zwolnienia do rezerwy armji tych, których nieobecność przekraczała czas dwóch

miesięcy. Wogóle duch korpusu oficerskiego osłabł znacznie. W jednej z walk lokalnych zaszedł nawet fakt oddania się do niewoli porucznika pułku wileńskiego, chociaż nikt nie zauważył, by go zraniono, a nie było go również wśród zabitych. Ponieważ przysięga nakazuje żołnierzom walczyć, póki można utrzymać w ręku oręż, poleciłem nadal przeprowadzać, w razie zniknięcia oficera w czasie walki, ścisłe dochodzenie, w jakich warunkach zginął; po ewentualnym powrocie zaginionego do pułku, sąd honorowy miał ustalić jego odpowiedzialność.

Otrzymałem od dowódcy korpusu propozycję przeniesienia się do w. Roztoki pod główny szczyt, gdyż sztab korpusu chciał zająć Cisnę; odpowiedziałem prośbą o zmianę Roztoki, gdzie nie było ani jednego dachu, na Orosz Ruska po stronie węgierskiej, ale na to nie zgodziła się znowu „władza", gdyż wieś ta znajdowała się na zupełnie odkrytem zboczu, o 2 km. od stanowiska przeciwnika, nie chciano zatem narażać nas bez potrzeby. Pozostałem więc w miejscu, co mi dogadzało głównie ze względu na doskonałe, sprężynowe łóżko.

Ze szczytu 922 zaglądano mi zanadto do garnków. Korzystając ze zmiany garnizonu (Niemców zamienili Węgrzy), udało się nam nagłym atakiem zdobyć ten szczyt, ale od tego czasu nie mieliśmy spokojnej chwili; honwedzi chcieli go za wszelką cenę odebrać; zasypywali huraganem pocisków, a potem pędzili do szturmu. W ciągu dwóch dni odparto ze dwadzieścia ataków na krótki dystans, ale bataljon pułku białostockiego trzymał się mocno; nareszcie

udało się jednak przeciwnikowi, dzięki załamaniu się sąsiada z 14-ej dywizji, wedrzeć do skrzydłowych okopów na szczycie, pod noc wyrzucono go jednak zpowrotem, biorąc sporo jeńca, wyłącznie z 13-go pułku honwedów. Zdaje mi się, że moje 922 nie było gorsze od słynnej, codziennie reklamowanej w komunikatach „Koziówki", ale w meldunkach byłem bardzo powściągliwy. Mam głębokie przeświadczenie, że wszelka reklama jest poniżej godności żołnierskiej.

Zdarzył się przykry wypadek: przysłano nam do wypróbowania granaty, które miały być wystrzeliwane ze zwykłego karabina na odległość 60 kroków. Wybrałem więc odpowiednie miejsce, chcąc przeciwnikowi urządzić „siumpryzeczkę", i kazałem dokonać próby w mej obecności; granat wybuchł, jednak zaraz po wystrzale zabił instruktora oraz żołnierza, poranił mnie, szefa sztabu, dwóch adjutantów i kilku żołnierzy. Ranni twierdzili, że nastąpiły właściwie dwa wybuchy prawie jednocześnie, bo w tej samej chwili pękł tuż granat austrjacki; ja tego jednak nie zauważyłem. Najgorzej ucierpiał Lebiediew, odłam pocisku trafił go bowiem w pierś; ja straciłem narazie przytomność, ale szybko przyszedłem do siebie, odłamy żelaza trafiły mnie w brew, lewą rękę i w pierś.

Noc miałem nietęgą, gorączkowałem nieźle, bardzo bolała mię głowa, piersi, ręka, przy kaszlu krwawiłem trochę; lekarz przypuszczał, że odłam musiał zaczepić płuco. Lebiediew miał się gorzej; wypadło go ewakuować. Ja wolałem zaczekać, gdyż wogóle nie czułem się tak źle, postanowiłem nawet pełnić narazie służbę, nie opuszczając naturalnie łóżka. Po

dwóch dniach gorączka spadła, krew przestała się pokazywać, ale leżeć musiałem jeszcze czas jakiś. Było mi trochę nudno, znosili mi więc oficerowie książki do czytania, przeważnie jakieś ramoty; zajęła mnie prawdziwie tylko jedna, odebrana niemieckiemu oficerowi, pod tytułem: „Dokumente zur Geschichte des Krieges zur Verbreitung der Wahrheit und zur Entlarvung der Gegner". W książce tej, obok luźnych artykułów, mów Wilsona i kanclerza, znalazły się różne łamańce literackie, mające udowodnić, że Niemcy to baranki niewinne, sprowokowane przez ententę; każdy ustęp był zręcznie skonstruowany z prawdy i fałszu, a całe „dzieło" miało na celu urobienie opinji wewnątrz kraju. Mądra polityka! Przysłano mi również broszurę austrjacką ze wskazówkami o rosyjskiej armji; wywierała ona wrażenie humorystyczne: pisało się w niej o rosyjskiej perfidji, szpiegostwie, a ludność, ho, ho! to same szpiegi, podpalający własne domy w celu sygnalizowania...

17 kwietnia pomagałem w zdobyciu góry, która nie przeszkadzała mi nic a nic, ale dokuczała bardzo sąsiadom; sprawa się udała, ale znowu ubyło sporo żołnierzy, w tej liczbie dowódca pułku wileńskiego, pułk. Szostakowskij, zraniony w głowę. Straty byłyby mniejsze, gdyby sąsiad, gen. Kryłow, nie dał mi fałszywych danych co do ugrupowania przeciwnika. Jeden mój bataljon został całkowicie wykoszony przez ukryte gniazda kulomiotów. Akcją kierował z mego ramienia gen. Lichaczew, ja byłem jeszcze przykuty do łóżka; wzięliśmy do niewoli

14 oficerów i 650 żołnierzy, zdobyto również 2 kulomioty.

Podczas walki zaklinał mnie parokrotnie telefonicznie gen. Kryłow, aby oddziały moje atakowały energiczniej, gdyż jego dywizja wyprzedziła je o wiele i ma bardzo trudną sytuację. Pytałem natychmiast Lichaczewa, czy to prawda, i otrzymałem kategoryczne zaprzeczenie: „Bezczelne kłamstwo, nasi są na połowie zbocza, sąsiedzi grzebią się u podnóża". Wielokrotnie już obserwowałem zjawisko oglądania się na sąsiada, by za jego kołnierzem osiągnąć łatwiejsze powodzenie; wogóle mogłem sobie wyrobić o gen. Kryłowie niezbyt pochlebne pojęcie, był złym sąsiadem, nie uważał nawet za stosowne podziękować mi telefonicznie za skuteczną pomoc.

19 kwietnia wstałem nareszcie; lekarz usunął bandaże, wyjął z brwi drobny kawałek żelaza, reszta tkwiła, ale prawie nie dokuczała, ręka jeszcze była na temblaku; zakazano mi również kaszlać. Pojechałem trochę na spacer i podpatrywałem budzącą się wiosnę. Na słońcu było dość ciepło, śniegi znikały szybko, przed domem widziałem nawet dwa pączki tulipanów i słyszałem ku największemu zdziwieniu nieśmiałą piosnkę słowika; one tu chodzą chyba w kożuchach.

Przyjechali goście i to na dłuższy czas: hr. Szuwałowowa ze swym punktem opatrunkowym. Niebardzo mnie to ucieszyło: hrabina (z domu ks. Bariatyńska) należała do najwyższej arystokracji rosyjskiej, była zaprzyjaźniona z rodziną cesarską, należało zatem oczekiwać przesadnych żądań, fumów, a tu nie miałem dla niej żadnego przyzwoitego locum. Dałem paniom dom

szkolny, ale tam piece były rozwalone, brak mebli, brudno. Zaraz po przyjeździe, złożyła mi hrabina wraz ze swą pomocnicą, bar. Mejendorf, wizytę. Urządziłem paniom wersalskie przyjęcie w mych apartamentach: funkcje nieobecnych foteli pełniły skrzynki z makaronem, zato herbata z autentycznemi sucharkami kijowskiemi była wyśmienita. Wogóle panie podobały mi się, szczególniej hrabina, rozmawiała z dużą prostotą i humorem, prosiła tylko o jedno — trochę wapna do pobielenia ścian, i zapowiedziała, że będzie oczekiwała mej wizyty w Petersburgu, po zawarciu pokoju.

* * *

Chirurg wyjął mi nareszcie z ręki dwa kawałeczki żelaza; ugrzęzły w mięśniu i stopniowo przesuwały się przez ramię na drugą stronę; co do ranki w piersi, istniało przypuszczenie, że coś tam siedzi w płucach, ale sprawdzić to mogła tylko rentgenizacja, której na miejscu nie mieliśmy; wypadło z tem poczekać, kłuło mnie coraz mniej, może się zakapsluje. Nie mogąc jeszcze łazić po górach, pędziłem życie próżniacze, siadywałem godzinami nad górskim potokiem, słuchając szumu wody, pędzącej po skalistem łożysku, składałem światowe wizyty. Byłem u hr. Kankrina; przyjął mnie po królewsku: poczęstował trzema szklankami mleka. Od miesiąca już nie próbowałem tego specjału: nie było zupełnie krów z braku paszy; obiecywał mi jednak intendent dywizyjny, że autentyczna krowa dla mnie jest już w drodze. W pułku brzeskim zaszedł ohydny fakt: dwóch żołnierzy chciało zdezerterować do przeciwnika, przyłapano ich jednak na pół

drogi, jednego zabito w pościgu, drugi wrócił, ale tylko poto, by go z wyroku sądu doraźnego rozstrzelano.

W braku roboty zajął się mój adjutant statystyką: obliczył, że dywizja wzięła do niewoli w ostatnich walkach 134 oficerów i 6250 żołnierzy.

* * *

Gazety komunikowały, że Niemcy przewożą do zachodniej Galicji duże siły; uderzenie z tej strony mogłoby zagrozić tyłom karpackiego frontu. Nie rozumiałem jednak, czemu tak długo Rosjanie nie wznawiali natarcia; było chyba dość czasu, by nadeszły świeże siły do energicznej akcji zaczepnej na naszym froncie.

Nareszcie wyjąłem rękę z temblaka i ruszyłem na szczyty; postanowiłem wdrapać się na trzy wierzchołki głównego pasa, obejmujące stanowisko jednego pułku. Śnieg na stokach północnych trzymał się jeszcze jako tako, ale od strony południowej znalazłem formalną bryndzę, często jedno kolano zapadało się w śnieg bez końca, a drugie jechało pod brodę; w każdej rozpadlinie szumiały kaskady lub wodospady, przez które przełaziliśmy po zmurszałych, oślizgłych pniach; strome zbocza były tak śliskie, że przewracałem się częstokrotnie, łącząc niezmiennie tę przyjemność z jazdą nadół; bez kija alpejskiego nie dałbym sobie rady.

Ze szczytu Babiej Skały (1195 m.) miałem wspaniały widok na olbrzymią połać Beskidów z ośnieżonemi jeszcze wierzchołkami, lśniącemi w słońcu dziewiczą białością śniegów na tle ciemnych zboczy gór,

zarosłych gęstą szczotką świerków. Większość stanowisk nieprzyjacielskich widziałem jak na dłoni, rozpoznawałem ich linje nawet wśród lasów po niebieskich dymkach dyskretnie ukrytych ognisk. Moje stanowiska obronne były niesłychanie mocne, teren nader dogodny, zakopaliśmy się w ziemi, jak troglodyci, a odrutowali tak misternie, jak najlepszy druciarz. Spacer ten trwał dwanaście godzin, zmęczył mnie trochę, zaniepokoił nawet serce; prosiłem więc nazajutrz dowódcę korpusu, by mi pozwolił zamieszkać w Orosz Ruska, gdzie miałem do linji frontu o wiele bliżej; zamiast odpowiedzi, zapowiedział Bałaszow swą wizytę.

Przyjechał rzeczywiście i podobał mi się w obejściu; posiadał dużo prostoty i grzeczności. Zachciało mu się zobaczyć moje stanowisko ze szczytu 1014; pókiśmy jechali konno, było dobrze, ale potem wypadło gramolić się na piechotę. Po dziesięciu minutach zaczął generał pytać, czy to jeszcze daleko, a mieliśmy jeszcze trzy kwadranse drogi; zwątpił więc, czy zajdzie, i rzeczywiście, po kilkunastu krokach usiadł, mówiąc: „basta". Nie dałem jednak za wygraną, naładowałem jego ekscelencję na silnego konia od jucznego kulomiotu i dostawiłem na szczyt. Tu generał spojrzał trochę przed siebie, wysłuchał z pewnem roztargnieniem początku mego meldunku i przerwał go pytaniem: „A może dostanę herbaty?" Naturalnie, zjawiła się natychmiast i to z konjakiem, co Bałaszowa wprawiło w doskonały humor. Na tem skończyła się inspekcja. Przenieść się na węgierską stronę generał nie pozwolił. „Siedź pan, gdzie siedzisz, i nie szukaj zbędnego guza, w dywizji zupełny

porządek". Nazajutrz przeczytałem w rozkazie do korpusu wielkie pochwały pod moim adresem za wzorowe dowodzenie dywizją.

Zwrócił się do mnie mój sąsiad z lewej strony, dowódca 14-tej dyw., gen. Sokołow, z prośbą o pomoc; chciał on poprawić swe stanowisko. Udzieliłem mu jej naturalnie i dopomogłem, ale niewiele; przeważnie sam sobie dał radę. Po ukończeniu operacji otrzymałem od Sokołowa telegram z podziękowaniem i odpisem raportu do armji, w którym zaznaczył skuteczność mej pomocy; był więc stosunek koleżeński z tej strony o wiele uczciwszy. Wzięliśmy do niewoli dwustu szeregowych i paru oficerów; żołnierzy zostawiłem na czas jakiś w dywizji dla naprawy niegodziwej szosy, chociaż kłóciło się to zresztą z mym osobistym interesem. Dzięki obecnej ślicznej pogodzie, miałem częstych gości wysokich szarż, specjalistów od występów gościnnych, pragnących ujrzeć Węgry z najwyższego szczytu, który jak na złość wlazł do mego rejonu. Zabierali mi więc ci panowie sporo czasu i benzyny. Wciąż nie miałem ani szefa sztabu, ani adjutanta sztabu generalnego; jeden ukazał się na krótko, ale nie podobał mi się w służbie, zbyt lubił wygody i uciechy życiowe; nacisnąłem go więc o tyle, że zrezygnował, zachorował i wyniósł się.

Z hr. Szuwałowową stosunki ułożyły się wcale dobrze; nie prosiła o nic, zajmowała się czynnie opieką nad rannymi i zdrowymi żołnierzami i sprowadziła ogromne ilości bielizny, butów i konserw, które rozdawała szpitalom i poszczególnym żołnierzom. Przez wdzięczność woziłem hrabinę autem na główną przełęcz

po drodze rozmawialiśmy dużo o sztuce włoskiej i o stosunkach przy dworze cesarskim. Zwróciłem jednak uwagę, że często brak było p. Szuwałowowej słów rosyjskich, a wymowa jej posiadała akcent cudzoziemski — młodość swą spędziła głównie we Włoszech. Przed paru dniami specjalny urzędnik przywiózł jej z Głównego Zarządu Czerwonego Krzyża rozkaz, przydzielający jej oddział do innej dywizji; hrabina rozgniewała się i ostro wypaliła posłańcowi:

— Niech pan powie wszystkim tam na górze, że nie pojadę nigdzie i słucham rozkazów wyłącznie mego dowódcy dywizji..., — no i została, bo jej się wszyscy bali.

* * *

Z końcem kwietnia dywizja wzmocniła się o tyle, że odzyskała zdolność do poważnej akcji zaczepnej; przysłane skompletowanie było dobre, oficerowie dopytywali się, kiedy pójdziemy naprzód. Dochodziły jednak wieści, że Naczelne Dowództwo rosyjskie gromadzi gros sił we Wschodniej Galicji, co wskazywało na zamiar skierowania głównego uderzenia na Munkacz. Kierunek ten nie dawał żadnych poważniejszych korzyści strategicznych; przeciwnika w razie powodzenia odrzucało się na jego tyły. O wiele lepsze rezultaty obiecywało natarcie na froncie Dukla-Roztoka, zabezpieczone ze strony Krakowa; ten kierunek rozcinał front austro-niemiecki w centrum i wyprowadzał bezpośrednio armję rosyjską na drogę do Wiednia.

Być może zresztą, że wybór dla dalszych operacyj terenu Wschodniej Galicji był wywołany względ-

dami nietyle strategicznemi, ile polityką rusyfikacyjną, pragnącą jak najprędzej oczyścić od Austrjaków ten „iskoni ruskij kraj", by się w nim mogli zagospodarować wygodnie działacze w guście wielebnego archireja Eulogjusza.

* * *

Zaczęły latać nad nami często „ptaszki", ale nie zrzucały żadnych „confetti", obserwowały tylko. Wypadło zaimprowizować artylerję przeciwlotniczą z dział polowych, ustawionych na spreparowanych z bali podstawach; rezultatów namacalnych nie mógł, naturalnie, dać taki prymityw, ale zmuszał aeroplany do wysokiego lotu.

ROZDZIAŁ XI.

W pierwszych dniach maja nadeszła wiadomość, że Niemcy rozbili dwa rosyjskie korpusy pod Gorlicami, zmuszając je do odwrotu, ale posiłki już nadchodziły.

W dwa dni później otrzymałem lakoniczny rozkaz przygotowania się do ewakuacji Karpat. Przypuszczałem narazie, że cofniemy się tylko na główny grzbiet Beskidów, ale w kilka godzin nadeszło hiobowe wyjaśnienie: miałem w ciągu doby odesłać szpitale i tabory o trzy dni marszu, zniszczyć składy w Ciśnie, zburzyć kolejkę, a po dokonaniu tego rozpocząć odwrót. Rozkaz ten zdruzgotał mnie poprostu — mieliśmy więc bez walki oddać zpowrotem Beskidy, zdobyte tak szalonym wysiłkiem i ofiarami?

Ileż tysięcy trupów usłało przy ich zdobywaniu zbocza i szczyty?! Oburzenie i wstyd żarły mi wprost duszę, nie wiedziałem nawet, kto zawinił, i przypuszczałem, że zawdzięczamy to dowódcy 3-ej armji, Radko Dmitrijewowi, człowiekowi zaciętemu a niesłychanie upartemu.

Kolejka zdążyła zaledwie wywieźć rannych, chorych i najcenniejsze rzeczy; reszta — dwadzieścia pięć tysięcy pudów mąki, suchary, zapasy owsa, konserw, bielizny — została oblana naftą i spalona; zginęły również olbrzymie zapasy, zwiezione przez hr. Szuwałowową; jednocześnie spalono budynki stacyjne i mosty kolejowe.

* * *

Rozpocząłem odwrót. Przeciwnik narazie nie zauważył mego ruchu; zsunąłem się z gór w nocy w ciszy ogromnej, a nad ranem zająłem stanowisko na następnym grzbiecie. Wróg w ciągu dnia próbował nacisnąć, ale pokazałem zęby, uspokoił się więc. Wieczorem nadszedł nowy rozkaz: cofnąć się o 20 klm.; zapowiadało to ostateczną utratę Karpat. Nastrój wśród oficerów stawał się coraz bardziej podniecony, sarkano prawie głośno, że zmarnowano nasze zwycięstwo. Zebrałem więc na noclegu starszyznę i nakazałem zastosować jak najdalej idące środki dla utrzymania w szeregach karności i zaprzestania wśród oficerów wszelkiej krytyki wydarzeń i dowództwa.

Dwie doby spędziłem bez snu, potrzeby odpoczynku prawie nie odczuwałem, podniecała mnie gorączka i niepokój o losy dywizji. Kazano mi cofać

się w arjergardzie korpusów 8-go i 9-go; był to prawie wyrok zagłady. Musiałem przepuścić przed sobą po bardzo złych drogach parę tysięcy wozów i pięćdziesiąt tysięcy ludzi; drugi raz już wypadło na mnie w tej wojnie tak przykre zadanie. Początkowo inne dywizje pchały przed sobą swe tabory, ale stopniowo dawały za wygraną, przyśpieszały odwrót, wyprzedzając własne treny; liczyły widocznie na to, że obroni je ten, kto idzie ostatni.

Miałem też początkowo trochę kłopotu z grupkami dezerterów, którzy zostawali za swemi oddziałami dla grabieży; zastosowałem do nich środek radykalny: komendy podoficerskie dywizji, pod dowództwem dzielnego ppłk. Kuchina, idąc przy arjergardzie, przetrząsały tyraljerą wszystkie wsie i zarośla, każdy, napotkany poza szeregami, żołnierz zostawał natychmiast zastrzelony. W ciągu pierwszych dni marszu strzelanina do tej zwierzyny była tak gęsta, że chwilami miałem wrażenie ogniowej walki z przeciwnikiem; pomogło to jednak nadzwyczajnie, dezerterzy poczęli zmykać przed dywizją tak starannie, że znikły na drodze naszej wszelkie ślady rabunku.

Napór ze strony Austrjaków był w ciągu pierwszych trzech dni nieduży; gdy mnie naciskano, przechodziłem natychmiast do natarcia i odrzucałem na krótki dystans natrętów. Taktyka ta nie wstrzymywała zupełnie marszu: tabory; wlokące się przede mną, hamowały go stale, a oskrzydlenia nie czułem zupełnie.

Po drodze spotkaliśmy parę opuszczonych przez właścicieli dworów obywatelskich, i raz jeden nocowałem we wsi Buchlowie, w wygodnym, szlacheckim

dworku. Właściciel uciekł widocznie zawczasu, gdyż wywiózł nawet meble; cały dom pełen był jakiejś rozpaczliwej, martwej ciszy, życie zamarło tu całkowicie, tylko w ogrodzie zauważyłem dwie niemłode kobiety o wyglądzie inteligentnym, szukające czegoś na grządkach zeszłorocznych. Spojrzały na mnie nieufnie, ale polska mowa uspokoiła je; panie te należały do rodziny rządcy, głodującej wprost w oficynie z powodu zupełnego wyczerpania żywności; ostatnie dnie żywiły się wykopanemi w sadzie, zmarzniętemi jarzynami. Odwiedziłem biedaczki, znalazłem tam również staruszka-emeryta z żoną i dwiema dorosłemi córkami; rad byłem przysłużyć się tym wykolejeńcom paroma workami mąki i kaszy, połciem słoniny, cukrem, herbatą i odrobiną pieniędzy austrjackich.

Gdym wrócił z przechadzki, zameldowano mi dyrektywę telefoniczną, otrzymaną ze sztabu korpusu: kazano mi niszczyć przy odwrocie wszystko, cokolwiek mogłoby się przydać przeciwnikowi, innemi słowami — zostawić za sobą ziemię i niebo. Przypomniała się widocznie Rosjanom strategja Scytów, stosowana z powodzeniem w roku 1812.

Rozgniewałem się ogromnie na tak dzikie rozporządzenie i rozkazałem surowo niszczyć przy odwrocie wyłącznie objekty, mające znaczenie czysto wojskowe: mosty, państwowe składy żywności, tory kolejowe, budynki techniczne na stacjach; własność prywatna miała być szanowana pod karą śmierci. Naturalnie przypuszczałem, że spotkają mnie z tego powodu duże nieprzyjemności, nie mogłem jednak spełnić tak nieludzkiego polecenia.

W Lisku nastała dla dywizji chwila krytyczna: na Sanie mieliśmy do dyspozycji tylko dwa mosty, jeden pod miastem, drugi o 12 km. poniżej, stłoczyły się więc ku nim oddziały dwóch korpusów, a ja musiałem zająć stanowisko obronne przed rzeką i trwać tu aż do rozkazu.

Dla wyjaśnienia sytuacji pojechałem do sztabu korpusu; zastałem go na wsiadanem. Bałaszow ucieszył się bardzo, gdym mu zameldował o stanie liczebnym moich bagnetów, gdyż inne dywizje miały znacznie mniej; gdym jednak spytał, kiedy będę zluzowany, odpowiedział sentencją z Ewangelji: „Komu dużo jest dane, od tego dużo się wymaga". Jużto moja władza objawiała stale usposobienie religijne...

Dowiedziałem się nareszcie, co zaszło pod Gorlicami. Niemcy zgromadzili w Zachodniej Galicji, zupełnie niepostrzeżenie dla Rosjan, olbrzymie siły, wyposażone w potężną, ciężką artylerję i nieprzebrane zapasy pocisków. 1-go maja nastąpiło czterogodzinne, gwałtowne bombardowanie rosyjskich stanowisk, pomiędzy Tarnowem a Gorlicami; zniosło ono zupełnie okopy i druty, wybiło znaczną część obrońców. Potem nastąpił atak, dokonany olbrzymiemi falangami. Rosjanie, którym przedewszystkiem brakło pocisków, nie wytrzymali, front został przerwany, a poważniejszych rezerw wpobliżu nie było; nastąpił więc odwrót, który mógł odciąć korpusy, tkwiące w zachodniej części Karpat.

Głównym winowajcą katastrofy był gen. Iwanow; on to wyciągnął na prawem skrzydle 3-cią armję jak nitkę, przerzucił jej główną masę za Karpaty, nie zabezpie-

czył prawego skrzydła frontu odpowiedniemi rezerwami, przeciwnie, gromadził je we Wschodniej Galicji; on zresztą nie wiedział, co się u niego przed frontem działo.

Wieści te były bardzo niepokojące, dłuższy odwrót mógł zaważyć na losach Królestwa. Narazie mieliśmy się zatrzymać na linji Sanu, trzymając mocno Przemyśl; narzekał jednak Bałaszow na aljantów, że stoją bezczynnie, pozwalając Niemcom przerzucać bezkarnie na wschód najlepsze siły. Rzeczywiście, fakt nieskoordynowania działań na frontach był jawny, brakło jednej woli, kierującej całokształtem operacyj; nawet zachodni front podlegał trzem wodzom.

W Lisku zastałem panikę. Ludność rusińska uciekała, bojąc się represyj za życzliwość, okazywaną Rosjanom; w mieście pozostawiono jednak przy odwrocie dwa szpitale wojskowe, liczące przeszło pięciuset rannych i chorych. Wszyscy błagali, by ich zabrać, poleciłem więc lekarzom wybrać zdrowszych, ale wozów do przewozu zebrano zaledwie osiem, i oto stanęliśmy przed dylematem, jak wywieźć stu czterdziestu chorych, którzy otoczyli nas ciasnem kołem. Napchano tych biedaków, strasznych, wychudzonych, o błędnych, gorączkowych oczach, na wozy, ile się dało, otulono ich kołdrami i chustami, ale większość nie znalazła już miejsca. Kazałem więc wyrzucić z taboru sztabowego zapasy żywności, zsadziłem z kozła wszystkich taborytów, a jednak wielu nieszczęśników zostało, żegnając odjeżdżających jękiem, krzykiem i przekleństwami.

Na froncie nie zastałem poważnych zmian. Przeciwnik naciskał zwolna, obawiałem się tylko o moje lewe skrzydło, skąd odchodziła dalsza droga mego

odwrotu: miała się z tej strony znajdować 14-sta dywizja, ale od rana utraciłem z nią łączność, odeszła widocznie w nocy. Dla zabezpieczenia się z tej strony postawiłem na dobrze zamaskowanem stanowisku dwa bataljony z baterją, mające przed sobą paręset kroków otwartej przestrzeni i prąd Sanu.

O zachodzie słońca zauważono za rzeką ruch nieprzyjacielskich wywiadowców, badających bród, a po chwili ukazały się dążące z lasu ku rzece gęste tyraljery niemieckie i austrjackie. Narazie z naszej strony nie padł ani jeden strzał, i czołowym kompanjom pozwolono przeprawić się głębokim brodem na prawy brzeg rzeki; gdy jednak główna masa znalazła się w wodzie, zagrały kulomioty, zionęły ogniem karabinowym kompanje, prysnęły kartaczami działa. Wrażenie było piorunujące. Pierwsze szeregi rzuciły się do ataku, ale były po paru minutach wybite do nogi, dalsze próbowały ratować się ucieczką przez rzekę, skłębiły się w wodzie z napierającemi jeszcze ztyłu oddziałami, i tu rozstrzeliwano miotającą się panicznie masę, jak stado gęsi; niewielu uciekło do lasu. Z uczuciem mściwej radości patrzyłem na dziesiątki ciał, płynących z prądem; jeńców nie brano.

Ku nocy przeciwnik zbliżył się na całym froncie, ale miałem już pozwolenie na dalszy odmarsz; nakazałem więc odwrót za San, poczem wysadzono most w powietrze. Zapadł już wieczór, byłem bardzo wyczerpany, pojechałem więc autem, wyprzedzając awangardę; zaraz za miastem ostrzeliwano mnie ogniem karabinowym z drugiego brzegu Sanu, jechaliśmy więc jakiś czas ze zgaszonem światłem.

Marzyłem o dobrem wyspaniu się, ale skończyło się na dwóch godzinach wypoczynku; obudzono mnie wieścią nieprzyjemną, że dalsza droga na przełęczy jest zupełnie zatarasowana taborami i nie będzie wolna przed południem. Wypadło więc wydać dyspozycje do zajęcia arjergardą bojowego stanowiska; dla ochrony tak niebezpiecznych pod względem paniki taborów, kazałem je wyciągnąć możliwie jak najdalej i ukryć grupami w przydrożnych dolinkach, a cały sztab z pułkiem rezerwy wziął od świtu udział w przyśpieszeniu ruchu wozów przez długą i stromą przełęcz. Trwało to przeszło osiem godzin. Przeciwnik, przywitany ogniem, nie kwapił się zbytnio do natarcia; może nie poszła na marne wczorajsza nauczka.

Gdym nareszcie wjechał na szczyt, sprawdziłem, że udała się nam dość trudna sprawa; miałem z przełęczy widok na kilka kilometrów wstecz, gdyby więc przeciwnik ostrzeliwał ją z paru dział, nie przeszedłby tędy ani jeden wóz.

Południe minęło oddawna, znowu powstały marzenia o wypoczynku, ale ponownie spotkało mnie dotkliwe rozczarowanie. Oficer sztabu wręczył mi rozkaz co do dalszego marszu, z wskazaniem godzin przejścia przez pewne punkty; a były one obliczone tak sprytnie, że miałem maszerować bez odpoczynku prawie jeszcze dobę, aż do Dobromila. Naturalnie zirytowałem się na dowództwo, gdyż spodziewałem się nareszcie zmiany w ciężkiej służbie arjergardy, a tymczasem kazano mi wykonać nader forsowny marsz.

Poleciłem więc zameldować gen. Bałaszowowi, że przedewszystkiem wstrzymam marsz dywizji na

trzy godziny dla odżywienia ludzi i odpoczynku, poczem ruszę stosownie do rozkazu, nie jestem jednak w możności trzymać się wskazanych godzin. Marsz wykonaliśmy bez przeszkód; przeciwnik nie mógł za nami nadążyć. Pod Dobromilem zatrzymałem się jeszcze raz na dwie godziny; żołnierze byli tak wyczerpani, że nie chcieli jeść i zasnęli pokotem, gdzie stanęli, nie schodząc nawet z drogi. Gdym mijał baterje, zwróciłem uwagę na ich niezwykły wygląd; wszystkie działa i jaszczyki były wprost oblepione kobietami i dziećmi, a chłopi szli obok; był to akt litości artylerzystów dla uchodzącej ludności rusińskiej. Twarde musiały być wojskowe rządy austrjackie! Wpobliżu miasta droga prowadziła przez teren naftowy; obawiając się, by jaki „patrjota“ nie podpalił szybów, poruczyłem dozór nad niemi, aż do przejścia arjergardy, ppułk. Kuchinowi.

Do Dobromila przyjechałem koło północy; ledwie zlazłem z konia, nie mogłem jednak położyć się odrazu, należało wydać rozkaz na dzień następny. Nie było to łatwe zadanie, gdyż oficerowie sztabu zasnęli natychmiast snem kamiennym, siedząc na krzesłach; z największą trudnością udało mi się obudzić dyżurnego i podyktować mu rozkaz. Co to jednak za przyjemność była rozciągnąć się potem na doskonałem łóżku naczelnika powiatu, który przed dwoma dniami uciekł do Przemyśla! Kazałem się obudzić dopiero o 7-ej rano, należało mi się to po trzech dobach bez snu prawie, ale już od świtu naruszyły mój spokój wybuchy: saperzy wysadzali w powietrze stację kolejową i most. Dywizja w ciągu nocy przeszła przez miasto, ale arjergarda była jeszcze daleko, postanowi-

łem więc spać dalej, aż nadejdzie, mając błogą nadzieję, że nastąpi to nie tak prędko; zawiodłem się i tym razem, gdyż o 8-ej godzinie wpadł do mego pokoju adjutant z meldunkiem, że od strony Chyrowa widać zbliżającą się stokami wzgórz tyraljerę nieprzyjacielską. Z tej strony nie oczekiwałem, prawdę mówiąc, żadnej wizyty, ale gości było narazie niedużo; pod ręką miałem tylko jedną kompanję szkoły podoficerskiej, sotnię kozaków i dwa opancerzone auta, rzuciłem więc całą tę zbieraninę na spotkanie, gdyż nie mogłem dopuścić, by przeciwnik wlazł mi pomiędzy główne siły i arjergardę. Przebieg wypadków widziałem doskonale przez okno, mogłem się więc zająć jednocześnie tualetą i śniadaniem; kulomioty aut sprawiły się gracko: wystraszyły tyraljerę, nim się zaznaczyło natarcie mojej piechoty i kozaków; niedobitki przywarowały po dołkach i zaniemówiły.

Od Dobromila zmieniliśmy znowu kierunek na północ i szliśmy dobrą szosą ku Przemyślowi, niszcząc za sobą mosty; palono je, gdyż materjały wybuchowe były już wyczerpane. By sprawdzić gruntowność roboty, zatrzymałem się przy jednym z podpalonych mostów: arjergarda przeszła już, bale i deski płonęły na dobre; nagle wśród dymu i ognia wyłoniły się dwie niesamowite postaci w szlafrokach szpitalnych, idące jak zahipnotyzowane wśród płomieni, nie zwracając na nic uwagi. Byli to dwaj ranni żołnierze ze szpitala w Lisku, którzy nie znaleźli już miejsca na wozach, poszli więc pieszo za dywizją. Jak oni wytrzymali ten ogromny marsz, który nas zdrowych tak wyczerpał, nie rozumiem wprost; wziąłem naturalnie

biedaków do mego auta, napoiłem po drodze mlekiem i odesłałem do szpitala w Przemyślu.

Nie dochodząc 15 km. do twierdzy, droga nasza skręciła znowu na wschód, i wreszcie stanęliśmy, zajmując przeznaczony nam odcinek frontu, na południe od wsi Balic. Skończył się więc narazie ciężki wysiłek mej woli, nerwów i ciała, mordowanie dywizji.

ROZDZIAŁ XII.

Stanowisko nasze na poł.-wschód od Przemyśla wchodziło w linję nowego płotu strategicznego, mającego wstrzymać napór Niemców, a płot ten liczył 1400 km. długości, przerwać go więc gdziekolwiek było nietrudno. Zresztą choćby się nawet ostał, to stanie za nim nie mogło dać zwycięstwa, a o przeciwnatarciu nie słychać było nic.

Nie uszło jednak bezkarnie 3-ciej armji przerzucenie trzech korpusów za Karpaty; — gdy pod Gorlicami załamała się armja, nie zdążyła wyjść z gór dywizja 48-ma, zajęto jej tyły, otoczono i przeważnie wybito; dowodził nią dzielny generał Korniłow, który ranny dostał się do niewoli.

* * *

Na zachodnim froncie zaznaczył się nareszcie jakiś ruch: natarli pod Le Bassé Francuzi a pod Arrasem Anglicy; rezultaty były niby pomyślne, ale nie odciążyły nic na froncie wschodnim, gdzie liczba niemieckich dywizyj wzrosła z 9-ciu do 40-stu. Doszły

nas również wieści, że Niemcy zaczęli używać w Królestwie gazów trujących, ucierpiał od nich poważnie jeden pułk syberyjski, gdy wiatr napędził nań jadowity tuman, ale, jak się bronić, nie wiedzieliśmy, brak nam było całkowicie masek ochronnych.

* * *

Spokojnie spędzona doba przywróciła mi siły, uspokoiłem się nieco i mogłem już myśleć bez wstydu o wypadkach ostatniego okresu walk; sumienie nie wyrzucało mi nic, nawet tych wyroków śmierci, które musiałem wydawać. Ponieśliśmy klęskę niełatwą do powetowania, czułem jednak w sobie siły do ponownego natarcia, byle nie forsować Karpat.

Dywizję przyprowadziłem w zupełnym porządku, zachowałem w szeregach karność, nie straciłem ani jednego wozu, zabrałem wszystkich chorych i rannych, oprócz tych, co byli trafieni w głowę lub brzuch; często sytuacja była taka, że musiałem postępować wbrew otrzymanym rozkazom, które się krzyżowały, wzajemnie zaprzeczały; parę razy przekonałem się, że panika wybuchała, ale wyłącznie w taborach lub wyższych sztabach.

* * *

Warunki terenu na mem stanowisku były dobre, obstrzał miałem duży, miejscowość za linją frontu maskowała ruchy wojska i łączność z tyłem; nie było jednak nic przygotowane do obrony, dałem więc dywizji dobę dobrze zasłużonego odpoczynku, poczem przystąpiliśmy z ogromną energją do sypania okopów.

Dla lepszego dozoru zamieszkałem w namiociku przy froncie; musieli to również uczynić wszyscy pomniejsi dowódcy.

W połowie trzeciego dnia zbliżył się przeciwnik — Niemcy. Byłem z tego zadowolony, gdyż pragnąłem spotkania z nimi; dywizję miałem pewną, jednocześnie obawiałem się jednak przewagi ich artylerji, stwierdzonej w walkach pod Gorlicami; wyjednałem więc, że przysłano mi dwie ciężkie baterje z dużą ilością pocisków, ale trzeba je było przywieźć zdaleka.

Niemcy nie zwlekali długo, nasunęli się blisko na nas, okopali sprawnie i 18-go maja uderzyli bez dużego nawet przygotowania artyleryjskiego na cały mój front i styczność z sąsiednią dywizją; po parogodzinnej walce udało im się przerwać nas na punkcie styczności, skąd zaatakowali mnie również gwałtownie zboku. Raz po raz pchałem tam rezerwy, odrzucałem przeciwnika, prowadziłem sam kontrataki w innem miejscu, ale Niemcy wciąż wracali, rzucając do ataku coraz to nowe oddziały, biegnące ku okopom w zwartych masach. Niektóre baterje niemieckie prowadziły zaciekły bój artyleryjski z otwartych stanowisk. Trzask ognia karabinowego, trajkotanie kulomiotów, huk armat zlewały się w jakąś piekielną symfonję nienawiści i grozy; zdawało się, że ziemia dygocze.

Prawie półtorej doby trwała bitwa, położenie moje było wciąż ciężkie, przeciwko mnie walczył już cały korpus, ale i mnie podparto trzema pułkami z rezerwy ogólnej. Sytuacja zmieniła się jednak na lepsze z chwilą, gdy nareszcie zagrały moje ciężkie baterje; po kilku minutach miałem wrażenie, że po stronie

przeciwnika zapaliła się w kilku miejscach ziemia. Stojące na widocznych stanowiskach baterje niemieckie milkły jedna po drugiej i zaczęły uciekać, ale goniły je i rozbijały ciężkie bomby; widziałem, jak po jedną baterję zajechały automobile, ale po chwili uciekły wraz z artylerzystami, rzucając działa. Jednocześnie piechota moja, zachęcona osłabieniem artyleryjskiego ognia przeciwnika, odparła świeży atak i wykosiła kulomiotami nadbiegające fale; załamały się one przed samemi okopami i odpłynęły, pozostawiając pole, zasłane trupami. Dywizja była jednak tak wyczerpana, że nie mogło być mowy o pościgu.

Nastała cisza, ale długo jeszcze wibrowały nerwy; czułem w sobie ogromną moc zwartą i uczucie zadowolenia, żem zadał groźnemu i przemagającemu liczbą przeciwnikowi porażkę. Naturalnie dopomógł mi dużo brak u Niemców, na południe od Przemyśla, ciężkich bateryj—przysłużyło mi się zburzenie mostów na szosach. Cel uporczywych ataków niemieckich był jasny: gdyby dywizję moją przerwano, musiałby upaść Przemyśl i zostałaby odcięta linja odwrotu na wschód korpusom, walczącym nad Sanem, (zajmowałem stanowisko frontem na południe, pod kątem prostym do bardziej na północ walczących oddziałów). Naturalnie, powodzenie na jednym odcinku nie przesądzało bynajmniej ogólnego rezultatu, jakeśmy się niedawno na własnej skórze przekonali.

* * *

Przyszły względnie spokojniejsze dnie. Niemcy próbowali jeszcze parę razy spoistości mego frontu,

ale, odrzucani energicznie, cofali się. Zaczynało mi jednak brakować pocisków, piechota oczekiwała zawsze skutecznego współdziałania artylerji, a ja musiałem oszczędzać coraz więcej, gdyż dowozu ztyłu prawie nie było. Przeniosłem moją rezydencję do Balic, o dwa i pół kilometra za okopami; miałem poprzednio zbyt bliski kontakt z frontem, zmuszał on mnie mimowoli do brania udziału w drobnych zdarzeniach i starciach i utrudniał syntetyczne ujęcie wypadków.

Wrócił nareszcie szef sztabu; nie podobała mu się nasza skromna rezydencja — duża szopa, zaproponował mi więc zmianę lokalu. Na drugim końcu wsi rozsiadł się wygodny dwór szlachecki, otoczony parkiem; gospodarzy nie było, zainstalowałem się więc tam ze sztabem, zajrzałem nawet z przyjemnością do parku; zaraz za nim stała kapliczka a obok niej domek, zamieszkany przez dwie siostry zakonne, prowadzące ochronkę; krucho było u nich pod względem żywności, posłałem więc im trochę produktów.

Pierwsza doba „komfortu“ minęła bardzo przyjemnie, ale nazajutrz w porze obiadowej nadleciało nieoczekiwanie kilkanaście ciężkich pocisków; jedna bomba trafiła w stajnię, zabijając sześć koni, druga pękła pod mojem oknem i rzuciła mi na stół wraz z ziemią dwa kwitnące krzaki fiołków. Był to właściwie bardzo ładny gest, żałowałem jednak, że przytem zasypało mi piaskiem oczy, ogłuszyło trochę, a wszystkie szyby wyleciały. Wkrótce siedliśmy do obiadu, ale że się coś ciągle dokoła nas rwało i grzmiało, humory nie były świetne; przy pieczystem nastąpił „Knalleffekt“: bomba pękła na ganku, i jeden odłam zabił

ordynansa, podającego właśnie półmisek. Wywołało to naturalnie pewne zamieszanie, nastrój zepsuł się zupełnie. Bombardowanie trwało potem przez całą noc i skrupiło się głównie na koniach; straciliśmy ich 34, ludzi 3. O świcie ogień ucichł, zasnąłem więc z dużą przyjemnością; obudził mnie jednak wcześnie Lebiediew, prosząc o pozwolenie ponownej zmiany kwatery, gdyż Niemcy zbyt dobrze wstrzelali się do dworu. W zasadzie miał pułkownik rację, ciężkie pociski przebijały doskonale mury, pozostanie tu groziło nam generalnem wybiciem; zastrzegłem sobie jednak, że zmieniam rezydencję po raz ostatni. Cały ten epizod był mi niemiły przedewszystkiem dlatego, że stwierdził nadejście niemieckiej artylerji ciężkiej.

„Z progów sterczących dumnie“ przenieśliśmy się do chat na drugim końcu wsi, ale i tu nie trwał długo spokój; tegoż dnia namacali nasze locum Niemcy i rozpoczęli „dębić“ ciężkiemi przedmiotami. Znaczną część ich przenosiło jednak na pobliskie zbocze, ale były takie, co trafiały, i coraz to ktoś „ubywał z szeregu“. Wypadło więc wykopać rowy i odsiadywać w nich przy dużem natężeniu ognia; ponieważ bombardowanie nie przerywało się, spaliśmy w nich również. Nie było to znowu tak przykre, bo noce były śliczne, ciepłe.

Szef sztabu przypuszczał, że ktoś ze wsi sygnalizuje na tamtą stronę, i kierował podejrzenia na zakonnice; podobno jeden z pisarzy widział chłopca, wymykającego się chyłkiem w kierunku frontu z domku, przez nie zamieszkanego. Nie chciałem temu wierzyć, ale dla zabezpieczenia się od ewentualnych przeszpie-

gów kazałem uprzedzić mniszki o naszych podejrzeniach.

Straciłem ordynansa, podoficera kozaków kubańskich, noszącego dźwięczne nazwisko „Portka"; zachorował poważnie, musiał więc iść do szpitala. Lubiłem go, bo był to dobry, sprawny kozak, już niemłody. Przy pożegnaniu zaczął się mazać, co mnie trochę rozczuliło, bo przypuszczałem, że mu tak przykro opuszczać swego generała; wyprowadził mnie jednak z błędu, narzekając, że ogromnie go boli rozstanie z koniem. Czysto kozacki sentyment!

Znacznie spokojniej było obecnie na froncie, ogień artyleryjski prowadzili Niemcy z dużemi przerwami.

Ostrzeliwali oni sztaby celowo, dla teroryzowania organów kierowniczych. Obserwując me otoczenie, musiałem przyznać im pewną słuszność. Na froncie mieliśmy raz jeden divertissement: chciano nas wytruć; siedząc w okopie, usłyszałem, jakgdyby ktoś wypuszczał parę z kotła, a po chwili ukazały się od strony przeciwnika kłęby gęstego dymu; dym ten gęstniał stopniowo, wznosił się do góry, formując długi wał wysokości kilku metrów, koloru żółtawo - brudnego; lekki wiatr wiał ku nam i nasuwał zwolna ścianę tumanu; przegrodziła mu jednak drogę niska, mokra łączka, zatrzymał się na niej, kołysząc, a u góry wykwitły jakby drzewa o fantastycznych kształtach. Zjawisko to trwało z pół godziny i stopniowo rozwiało się w powietrzu. Do nas dochodził tylko chwilami lekki zapach gazu; patrzyliśmy na to bezradnie, gdyż nie mieliśmy jeszcze masek, kazałem tylko wszystkim mieć wpogotowiu namoczone wodą szmatki, dla zawiązania ust i nosa.

16-go maja wybuchła znowu burza. Niemcy zwalili się na mnie i tylko na mnie. Dwie doby przeszło trwał bój zaciekły; ciężka artylerja przeciwnika zasypywała dywizję huraganem pocisków od świtu do późnej nocy; cały front spowity był stale w kurz i dymy, z których strzelały do góry płomieniste języki; okopy i schrony rozbito docna, całe kompanje ginęły w pełnym składzie, ale ich miejsce zastępowały inne, wkopywały się w gęstą sieć lei i przyjmowały z niesłabnącem męstwem coraz to ponawiane ataki. Część pocisków, rzucanych przez Niemców, zawierała trujące gazy; powodowały one zawrót głowy, wymioty, omdlenia. Wywołało to wśród moich żołnierzy taką wściekłość, że nie chcieli oni brać jeńca, mordując wszystkich; zresztą Niemcy niebardzo się poddawali.

Dobrze pracował gen. Lichaczew, spokojnie, odważnie, ale, gdy nastawała przerwa, gasł w oczach; nurtowała go śmierć żony, która zmarła niedawno. Przed dwoma dniami otrzymałem również telegram, że zabito na froncie jego syna; telegram ten ukryłem narazie, bałem się katastrofy, zbyt bowiem pokumaliśmy się tu ze śmiercią.

18-go maja zelżało trochę: musieli się i Prusacy zmęczyć. Skorzystałem z antraktu, by uprzątnąć o zmroku pole od rannych i trupów, ciepło było na świecie, następował więc szybko rozkład ciał, wiatr donosił często z przed pola straszny zaduch. Mój sztab dostał również w czasie walki za swoje: Niemcy przysłali mu dużą porcję ciężkich bomb bez zwykłej systematyczności; pociski leciały pojedyńczo, parami, po kilka w różnych odstępach czasu, zabijano więc nas

w nader urozmaiconej sytuacji — przy posiłku lub pisaniu, podczas toalety albo też odpoczynku. Zginęło w ten sposób trzynaście osób i moc koni.

Przybył nowy dowódca pułku białostockiego, pułk. Sytin; przyjąłem go życzliwie, gdyż dobry to, opanowany oficer. W czasie rozmowy wypadło nam kilka razy rzucić się na ziemię, lub skoczyć za drzewo, by uniknąć lecących odłamów; Sytin zniósł to stoicznie, ale, wstając z oczyma pełnemi piasku, spytał wreszcie, czy dawno już trwa ta zabawa; poinformowałem go, że serja ostatnia zaczęła się przed paru dniami.

— No, to rozumiem — zauważył — czemu w sztabie korpusu poradzili mi, bym zaraz napisał testament.

A dokoła wiosna, cudna, rozsłoneczniona; jabłonie okryły się obłoczkami śnieżnej białości, po niebie płynęły srebrzyste chmurki, natura cała dyszała radością życia. Jakiż kontrast ze stanem dusz naszych, targanych nienawiścią, żądzą zagłady, oczekiwaniem śmierci! Dopiero, gdy nastawała chwila ciszy, nerwy odprężały się trochę, i przypominały się cudne słowa, wypowiedziane ustami Franceski da Rimini w „Inferno“ dantejskiem:

„Nessun maggior dolore che ricordarsi del tempo felice nella miseria“.

Przeniosłem się na letnie mieszkanie; postawiono mi w ogródku, wśród kwitnących drzew, zdobyczny namiot. Dobrze było mi w nim: pod nogami miałem zielony dywan z kwiatami, na stoliku pachniał bukiet bzu.

Pociski leciały dnia tego przeważnie ponad naszemi głowami i nie było ich dużo. Lichaczew za-

mieszkał również w namiocie, postawił obok stół, nakryty białą serwetką, postawił dymiący samowar i zaprosił mnie na herbatę z konfiturami. Dawno nie miałem tak miłych wrażeń! Dopiero koło drugiej godziny nad ranem zaczęło prusactwo okrutną strzelaninę wszelkiego rodzaju i wkrótce poszło do ataku; odrzucono je wyłącznie ogniem. Hałas ten trwał jednak do 7-ej rano, zepsuł mi więc zupełnie noc.

Przysłali mi nareszcie maski, zabezpieczające od trujących gazów. Próbowałem włożyć takie paskudztwo na głowę, ale zdarłem je szybko, nie mogłem wprost oddychać, a jednak wypadnie się przyzwyczaić do tego.

* * *

Miałem temi dniami dwa oryginalne zatargi z gen. Brusiłowem. Niemcom udało się po zburzeniu okopów opanować stanowisko bataljonu pułku brzeskiego, który cofnął się nieco po zaciętej walce na bagnety, z dużemi stratami. Żołnierze walczyli tak mężnie, że nie zrobiłem im naturalnie żadnej wymówki; przeciwnik brał niekiedy górę nad nami wyłącznie dzięki swej przemocy artyleryjskiej. O przebiegu walki złożyłem meldunek i przystąpiłem natychmiast do wypierania Niemca. Wkrótce ze sztabu korpusu nadesłano mi telefonogram z rezolucją Brusiłowa: „Wstyd pułkowi, który pozwolił się pobić nieprzyjacielowi". Rozgniewało mnie to bardzo, przecie dywizja walczyła tyle czasu bez zarzutu, gdy inne rozsypywały się przy pierwszem silniejszem uderzeniu, jak kruche szkło; zatelefonowałem więc do gen. Bałaszowa, że gen. Brusiłow odwoła jutro swą naganę, poczem pojechałem

do pułku, by osobiście kierować kontrakcją. Udała się ona po ciężkiej walce na bagnety. W parę godzin nadszedł telefonogram: „Gen. Brusiłow dziękuje pułkowi i przeznacza na każdą kompanję 40 medali św. Jerzego"; takiej ilości nagród nie przeznaczono dotąd nikomu.

Ale nie koniec na tem: w lewo ode mnie zajmowała stanowisko doskonała 4-ta dywizja strzelecka, którą dowodził gen. Denikin, dzielny, energiczny i zdolny; przeciwnik przerwał ją w punkcie styczności ze mną, narażając bardzo i moje lewe skrzydło. Ostatecznie dywizja wyparła Niemców przy pewnej pomocy mojej, ale w meldunku do władzy Denikin zwalił część winy za przerwanie na nas, twierdząc, że nie pomogłem mu, co było wierutnym fałszem, gdyż poparłem go wszelkiemi sposobami.

I znowu pisze Brusiłow surowy rozkaz o braku solidarności, grozi karami i t. d. Sztab mój trząsł się wprost z oburzenia; kazałem więc przygotować odpisy mych rozporządzeń, szkic przebiegu walki i posłałem cały materjał bez wszelkich tłumaczeń do dowódców korpusu oraz armji. Odpowiedź od Brusiłowa otrzymałem bezpośrednio na moje nazwisko, pomijając korpus: „Dziękuję panu i dywizji za robotę 19-go maja i przeznaczam po 10 medali za waleczność na kompanję"; miałem więc zupełne zadośćuczynienie. Brusiłow był gorączka, ale miał odwagę przyznać się do pomyłki i naprawić ją.

* * *

Dowiedziałem się, że Włochy wypowiedziały wojnę Niemcom. W ówczesnej sytuacji był to ogromny plus, mogli oni przerzucić część swej armji do Francji i zaatakować Niemców od strony Alzacji; przecie front włoski był bardzo krótki. O ileby się ta operacja udała, wojna powinna się była skończyć jeszcze w tym roku; na głód u prusactwa liczyć nie należało, żniwa były niedaleko, a w Kurlandji zrabowali Niemcy sporo.

24-go maja zaatakował znowu przeciwnik odcinek Sanu pomiędzy Jarosławiem a Przemyślem, opanował prawy brzeg rzeki i odrzucił Rosjan za Lubaczówkę, a następnego dnia rozszerzył przerwę jeszcze bardziej; dokonane przy pomocy świeżych posiłków kontrataki nie udały się. Pewnie zmarnowano je, posyłając w bój pakietami. Czyżby zatem nasze wysiłki, utrzymujące twardo front południowy, miały pójść na marne, czyż tam biją się inni żołnierze, inne dowództwo?

* * *

Nie zostawili Niemcy i nas w spokoju, ale skierowali tym razem główne uderzenie na 4-tą dywizję, którą przed atakiem zarzucili wprost ulewą ciężkich pocisków; zaczepiono również i moje lewe skrzydło. Myśmy się oparli, ale 4-tą dywizję przerwano na szerokim froncie, co pozwoliło Niemcom uderzyć na mnie z dwóch stron. Wściekły bój na bagnety trwał do późnego wieczora, Niemcy zostali ostatecznie odrzuceni, zachowali jednak jeden pagórek, w który się wprost wżarli. Zmusiło mnie to w porozumieniu z 4-tą dywizją do odsunięcia naszych wewnętrznych skrzydeł o kilometr, skracając w ten sposób front. Wierzyłem, że nie damy się przerwać,

byle tylko nie zabrakło pocisków, których mieliśmy coraz mniej, a potrzebowaliśmy, w miarę wyczerpania sił naszego żołnierza, coraz więcej.

Pogodę mieliśmy wciąż upalną, deszczu brak, noce jednak były chłodne. Czekałem z niecierpliwością na rozpoczęcie działań na granicy włoskiej. Chyba ruszy teraz i Rumunja?

Zaczynałem się zrażać do mego szefa sztabu: unikał wyjazdów na front, wolał wisieć przy telefonie, który łgał jak z nut i był doskonałą tarczą dla tchórzów. Stale stwierdzałem przy meldunkach telefonicznych przesadę lub kłamstwo. Np. przed paru dniami, przy ściganiu uchodzących Niemców, kompanja pułku litewskiego zdobyła dwa działa, ale nie zdołała ich narazie wywieźć; kazałem więc przyciągnąć je do nas po bitwie. Nie widząc z czołowego punktu obserwacyjnego wykonania rozkazu, spytałem nareszcie telefonicznie pułkownika, co się u niego dzieje; odpowiedź brzmiała, że dwie kompanje wyszły już z okopów, (pułkownik przypuszczał, że telefonuję ze sztabu dywizji, skąd terenu przed frontem nie było widać). Wyczekałem więc jeszcze pół godziny i ponowiłem zapytanie; odpowiedziano mi: „Kompanje nie mogą się dostać do dział z powodu silnego ognia przeciwnika". Było to bezczelne kłamstwo, gdyż, przeciwnie, ogień był nieduży, a kompanje siedziały w miejscu. Naturalnie, powiedziałem pułkownikowi parę przykrych słów i tegoż dnia usunąłem go ze stanowiska do rezerwy.

28-go maja nastała tak pożądana cisza. Nie można było jednak odpocząć, pracy było dużo, należało zreorganizować zdekompletowane pułki, zmniejszyć liczbę

bataljonów i kompanij, ulepszyć okopy. Dzisiaj nadeszły z północy lepsze wieści; natarcie wszędzie wstrzymane, niektóre korpusy przechodzą do kontrataku. Może i my wkrótce ruszymy?

Wczoraj słyszałem huk dział prawie ze wszystkich stron, tylko północo-wschód był spokojny; dzisiaj zamilkła północ, a łuny pożarów przesunęły się na północo-zachód. To dobry znak! Cięciwa łuku niemieckiego zdawała się rozprężać, oby wkrótce pękła! Fizycznie czułem się zdrowym, duchowo silnym i, jak zwykle, zupełnie samotnym. Stwierdzałem często słuszność aforyzmu Nietschego, że silnym może być tylko człowiek samotny. Raz jeden jednak, w czasie ciężkiego zmagania się z Niemcami, opanowała mnie depresja i tęsknota za spokojem, chociażby za największą cenę; znowu nasuwał się w pamięci fragment z epitafjum na pomniku Dantego w Ravennie:

„Grato me il sonno e piu esser di sasso"
„Mentre che la vergogna dura!..."

Zasnąć lub zamienić się w kamień, póki światem rządzi nienawiść, cóż mogło być lepszego!...

* * *

W końcu maja wytworzyła się dziwna sytuacja. U mnie i w bliższem sąsiedztwie panowała względna cisza, ale ogólne położenie nie musiało być dobre; otrzymywaliśmy strzały zprzodu, z prawego skrzydła i ztyłu; niekiedy nie wiedzieliśmy, skąd przylatywał pocisk. Na północ od Przemyśla tłuczono się zapamiętale, w walce brały udział olbrzymie masy. Znowu słyszałem grzmot kanonady artyleryjskiej za plecami.

Na rozkaz dowódcy korpusu zmieniłem ponownie kwaterę. Przypuszczam, że postarał się o to pocichu Lebiediew; był on coraz bardziej zdenerwowany i twierdził, że w danych warunkach niepodobna pracować. Rzeczywiście, ostatniemi dniami Niemcy uwzięli się, by nie dać sztabowi nawet pół godziny spokoju. Wywiad ustalił, że zawdzięczamy to szpiegowskiej organizacji, którą ostatecznie przyłapano i wzięto pod klucz. Należała do tego młoda szwaczka z Husakowa, dużej wsi, znajdującej się przed frontem; przychodziła ona do mnie z prośbą o pomoc dla rodziny, która w Balicach głodowała i chorowała w jakiejś pustej szopie; posłałem im lekarza, dałem żywność i pieniądze; okazało się jednak, że to nie rodzina, ale znajomi, sama zaś panna przychodziła na przeszpiegi i uciekła w krytycznej chwili.

Przenieśliśmy się do dworu w Trzcieńcu, niezinwentaryzowanego zupełnie, należącego do nadporucznika De Lenyi Jounga; w domu zostało trochę mebli w dobrym stylu, w salonie stał ładny fortepian Boesendorfa, przy domu był duży, ale młody ogród. Nie spotkałem w nim żywej duszy, nawet szczekanie psa nie ożywiało przykrej ciszy. Trawa poczęła już zarastać ścieżki, na klombie kwitły wspaniałe, purpurowe róże, niepotrzebne nikomu, chyba temu promieniowi słońca, który je pieścił.

* * *

3-go czerwca Niemcy przerwali ostatecznie linję Sanu. Wywołało to konieczność ponownego odsunięcia frontu. Przemyśl został ewakuowany, kazano odejść i nam;

moja dywizja miała zmienić front na zachód, zająć stanowiska na wzgórzach przed Mościskami; przemarsz rozkazano rozpocząć dopiero po przejściu wszystkich dywizyj, które znajdowały się bliżej Przemyśla. 4-ta dywizja strzelców zmieniała również front po mojem odejściu. Cały manewr należało wykonać w nocy.

* * *

Na pożegnanie podano mi wykaz strat w materjale technicznym: parotygodniowe walki uporczywe spowodowały duży ubytek, szczególniej broni palnej, zato łopat zginęło mało; żołnierze pilnowali ich o wiele staranniej, niż karabinów; instynkt samozachowawczy nauczył ich skuteczności szybkiego okopywania się w czasie walki ogniowej.

Przebywając często na froncie, miałem wielokrotnie możność stwierdzenia, jak odmiennie reaguje indywidualność dowódcy na osobiste niebezpieczeństwo, zależnie od warunków, w jakich się znajduje. Gdy oddział walczy, musi kierownik skupić do najwyższego napięcia swą myśl i wolę ku wykonaniu wytkniętego celu, z najmniejszem narażeniem krwi i życia swych żołnierzy; wtedy milknie prawie instynkt samozachowawczy, znieczulony poczuciem ogromnej odpowiedzialności moralnej. Nieraz jednak wypada w okresie biernego przebywania oddziału w okopach przejść polem otwartem pod silnym ogniem na front; wtedy trudno panować o tyle nad sobą, by nie przyśpieszyć kroku, nie zerkać w kierunku pękającego pocisku, zachować pozorną obojętność, rozmawiając z otoczeniem, uspokajać się myślą, że pole jest przecie duże, człowiek w porównaniu

z niem mały, a pocisk jeszczem mniejszy, dlaczegóż więc mają się koniecznie spotkać. Wszystkie te objawy wywołane są jednak najsilniejszem uczuciem duszy ludzkiej — pragnieniem życia, którego stróżem zapobiegliwa natura uczyniła — strach..

Nosi go w sobie bohater i tchórz. Jest to uczucie tak potężne, że wywołuje nieraz w organizmie, w chwili napięcia, ogromne zaburzenia natury moralnej i fizycznej. Mówi się jednak i pisze o strachu mało, prawie nic, milczą zwykle nawet ci, którzy opanowali to ohydne uczucie; zupełnie uzasadniony wstyd wstrzymuje żołnierzy wszystkich stopni od wyznania doznawanych załamań ducha, przez strach wywołanych.

W dziedzinie ducha strach jest czynnikiem destrukcyjnym, przecenia niebezpieczeństwo, podpowiada motyw oszczędzania krwi ludzkiej, chociażby za cenę zmarnowania zwycięstwa, obawia się ryzyka, nieuniknionego na wojnie, zabija wolę, posługuje się kłamstwem, gasi sumienie, wkrada się nareszcie w rozumowanie o wojnie, głosi idee pacyfizmu, internacjonalizmu. Strach zamienia wojsko w stado, ulegające z łatwością popłochowi, tak nieobliczalnemu w bitwie a zgubnemu w skutkach.

ROZDZIAŁ XIII.

Z nastaniem zmroku wysłałem podjazdy kozackie na szosę, którą miało ciągnąć wojsko z Przemyśla, i do sąsiedniej w prawo dywizji; wytknąłem również

marszruty dla każdego pułku, a na skrzyżowaniach dróg stanęli wywiadowcy; rozpocząć odwrót miano kolejno na mój rozkaz.

Nastała ciemna noc, odeszły nasze bagaże, częściowo baterje, sztab zawisnął przy telefonach; mijały godziny, szosa była wciąż zajęta, a prawy sąsiad nie ruszał się. Koło północy dostałem telefon od pułk. Sytina, zajmującego centrum stanowiska, że pułk otrzymuje karabinowe strzały ztyłu, prosił więc o pozwolenie rozpoczęcia odmarszu; naturalnie zabroniłem mu ruszać się z miejsca, by nie wywoływać zamieszania. Przypuszczałem, że przez jakąś lukę dostał się z lewej strony na tyły dywizji niemiecki oddział wywiadowczy, co nie groziło poważnem niebezpieczeństwem wobec ciemnej nocy i falistego terenu, uniemożliwiających prawie szerszą akcję bojową; niepokoiłem się jednak, czy zdążę dokonać manewru przed nastaniem brzasku, który w czerwcu zaznaczał się już po 2-ej godzinie. Wkrótce otrzymałem meldunek, że 4-ta dywizja nie dotrzymała terminu i odeszła, nie czekając na mnie, ona więc otworzyła drogę niemieckiemu wywiadowi, który włóczył się gdzieś na moich tyłach.

Z coraz to rosnącem zdenerwowaniem oczekiwałem chwili wyzwolenia. Nadeszła ona nareszcie o 1-ej w nocy, musiałem jednak zmienić marszrutę dwóch lewych pułków, gdyż tyły ich rzeczywiście zdążyli zająć Niemcy; wypadło więc jednej brygadzie przejść początkowo wzdłuż frontu dwa kilometry na zachód, zwrócić się potem na północ, odginając stopniowo na wschód, i stanąć ostatecznie frontem na zachód. Cały ten złożony marsz został dokonany w zupełnym po-

rządku, bez żadnych prawie przeszkód; o 4-ej rano zajęła dywizja nowe stanowisko, a pułki wsiąkły szybko w zalesione wzgórza. Gen. Bałaszow określił mój manewr: „Michaelis wywinął dywizję jak rękawiczkę podszewką do góry“. Z rozmowy z mym dowódcą odniosłem wrażenie, że miałem zostać kozłem ofiarnym, gdyż nie miano dużych nadziei, bym się wydobył pomyślnie z trudnego położenia.

Ponieważ zajęte stanowiska nie były poprzednio zrekognoskowane, ani umocnione, pojechałem wczesnym rankiem na front i zastałem literalnie całe dowództwo pogrążone w słodkim śnie; obudziłem je w sposób ostry i zrobiłem według orzeczenia mego szefa sztabu „sądny dzień na froncie“. Mało kto nie oberwał tym razem, ale uważałem każdą opieszałość w danej sytuacji za zbrodnię; dla podpędzenia opieszałych kazałem wszystkim meldować mi o postępie robót co dwie godziny przez cały dzień.

Nurtował mnie niepokój o losy Królestwa i Warszawy; tam teraz bawiła moja rodzina. Przypuszczałem jednak, że udział Włoch zmieni poważnie sytuację na naszą korzyść i zmusi przeciwnika do odciągnięcia części sił na południe. Nasze odejście od linji Sanu odezwało się silnie we Francji, istniała podobno obawa, że nie przetrzyma ona drugiej zimy. Nacisk na Rumunję nie dawał dotychczas żadnych rezultatów; stawiała ona przesadne wymagania i w każdym razie nie chciała wystąpić, póki się nie poprawi położenie na wschodnim teatrze wojny. Nazywa się to grą „na pewniaka“.

* * *

Nazajutrz, 5-go czerwca, spotkała mię duża przyjemność, która miała jednak pewne cechy ludożercze. Byłem na froncie, gdy Niemcy poczęli naciskać lewe skrzydło dywizji. Szli gęstemi szeregami bez zwykłych środków ostrożności, przypuszczali chyba, żeśmy się cofnęli; by lepiej zaskoczyć śmiałków, zabroniłem strzelać bez mego rozkazu, chciałem dopuścić natarcie jak najbliżej, drżałem jednak z obawy, że padnie jaki wystrzał i ostrzeże wroga. Żołnierze zrozumieli jednak moje intencje i martwa cisza panowała w dobrze ukrytych okopach; gdy nareszcie pierwsze fale nasunęły się na upatrzoną przeze mnie odległość, ożył na dany sygnał front, zagrzmiały działa, zatrajkotały karabiny, wykwitły nad linjami atakujących dymy i błyski, a od ziemi powstała ogromna kurzawa.

Widziałem, jakie zamieszanie powstało w szeregach atakujących; jedni się przewracali, inni biegli wtył, ale dalsze szeregi wstrzymały ich i pociągnęły za sobą, na krótko jednak; szrapnele i granaty szerzyły w gęstej masie ogromne spustoszenie, kosiły kulomioty i kładły coraz więcej ciał ludzkich po polu; fale szybko zwalniały biegu, wstrzymały się nareszcie i przywarowały; gorączkowo poczęły pracować łopaty, ale nie dałem im chwili wytchnienia. Po kwadransie może ziemia była dobrze usiana trupami i rannymi, i tylko gdzie niegdzie widać było uciekających pojedyńczo żołnierzy; z tej mordowni nie wyszedł chyba cało ani jeden pluton. Zużyłem na to ogromną ilość pocisków, ale sprawiłem sobie za to rzetelną przyjemność, której nie zmniejszył nawet „monit“ z góry za „zbytnie szafowanie amunicją“.

*

Nie wskórali u mnie nic Niemcy, zwrócili się więc do sąsiadów z rozmaitem powodzeniem. Stąd miałem ciągle niepokój; dywizja zajmowała stanowisko w wierzchołku trójkąta, gdy się zatem ktokolwiek obok mnie zachwiał, miałem odrazu obawę już nie o skrzydła, ale o tyły. Ciągle więc siedziałem na froncie i zżyłem się ogromnie z pułkami.

Dla rozrywki urządziliśmy sobie raz jeden „divertissement". Zauważyłem, że przez tamę na przedpolu, odgraniczającą staw od mokrej łąki, przebiegają po jednemu Niemcy; zaproponowałem więc żołnierzom rubla od sztuki, która się przewróci; amatorów znalazło się sporo, rubli nie żałowałem, zabrakło jednak wkrótce zwierzyny.

Wróciła do dywizji hr. Szuwałowowa. Nie widziałem jej od chwili odwrotu z Karpat, i bardzośmy się sobą ucieszyli; hrabina opowiadała mi, że dla orjentacji jeździła do Nacz. Dowództwa frontu, ale „tam wszyscy są durnie, wolę pracować z panem". Zajeżdżała potem do Brusiłowa, który mnie bardzo chwalił i z uśmiechem nazwał „groźnym".

Przeciwnik nie próżnował jednak, nacierał wciąż to w jednem, to w drugiem miejscu. 6-go czerwca próbowali mnie na zmianę ukąsić Austrjacy, nazajutrz ukazali się ponownie Niemcy; odrzuciłem ich również z poważnemi dla nich stratami. Miałem dobre stanowisko, dostałem jednak i sam nieźle po skórze; przeciwnik nawiózł moc ciężkiej artylerji na automobilach, była więc ona bardzo ruchliwa, a posiadała nieprzebraną moc pocisków; częstowano nas również trującemi gazami. Przeciwstawić im mogłem tylko moje „polówki", z coraz to rosną-

cą nędzą pociskową, wszystko więc skrupiało się na skórze żołnierza. Czytałem w pismach rosyjskich, że znać już na Niemcach wyczerpanie, szkoda, że nie wiedzieliśmy gdzie, my tego bynajmniej nie zaobserwowaliśmy. Zato czułem je na sobie, ucichło nawet uczucie buntu, jakie opanowało mnie przy opuszczeniu Karpat, znikło podniecenie, nastąpiła rezygnacja i zwężenie horyzontów myśli do granic najskromniejszych. Trudno—głową muru nie przebiję, robiłem, co mogłem.

Korzystając z zakrytego terenu, jeździłem często konno; raz jeden zauważyłem, że dokoła mostu na szosie pękło kilka pocisków. Chcąc się przekonać, co tak przyciąga ogień, pogalopowałem w tym kierunku i zobaczyłem hrabinę w sanitarnem aucie, przyglądającą się przez face à main pękającym wpobliżu pociskom; nieco opodal stały jeszcze trzy sanitarne auta.

— Co pani tu robi — spytałem ostro — przecie auta znalazły się na linji strzałów.

— Czy to pękł przed chwilą szrapnel, czy granat? — była odpowiedź uśmiechniętej damy.

Tego było mi już za dużo; nie odpowiadając hrabinie, krzyknąłem na szoferów: „Precz stąd natychmiast!“

Wykonali rozkaz z największą ochotą, a hrabina umilkła, trochę zdetonowana.

* * *

Zbałamuciłem widocznie moją zwierzchność; robiła mi ona zarzut, że nie brałem jeńców pomimo ciągłych lokalnych walk. Ale zwykle nie dochodziło do walki na bagnety, a do kontrataków nie miałem ochoty, nie

widziałem celu; operacja była przegrana, żołnierz mój bardzo zmęczony, poco więc miałem marnować siły i życie ludzi. Ograniczałem się więc do odpierania ataków przeciwnika.

* * *

Zwiedziłem dywizyjny szpital, po trudnym dniu na froncie, i ujrzałem formalną rzeźnię: wszędzie krwawiące mięso ludzkie, porzucone pod ścianą ucięte ręce i nogi, zaduch krwi, jęki i rzężenie rannych, a pośrodku stół operacyjny z leżącą kolejną ofiarą; przy niej dwóch lekarzy w zakrwawionych fartuchach i hrabina, operująca maską usypiającą. Jeden z lekarzy zauważył półgłosem, że ta kobieta, nawpół odurzona wyziewami chloroformu, pracuje tak stale, aż do zupełnego wyczerpania. Wobec tego poszedłem do niej wieczorem ze specjalnem podziękowaniem; przyjęła je z dużem zadowoleniem, wetknęła mi jednak szpileczkę ex re naszego spotkania na szosie.

— Na mnie nie krzyczałby cesarz tak ostro, jak pan.

Przeprosiłem ją więc za ton, zaznaczając, że zasadniczo miałem przecie rację, i rozstaliśmy się w najlepszej zgodzie.

Dzień następny wykazał, że miałem rację, nie angażując zbytnio w ostatnich walkach dywizji. Mieliśmy się znowu cofać, tym razem szerokim frontem, nie będę więc w arjergardzie.

Organizacja takiego marszu, o ile się ma przeciwnika bezpośrednio przed sobą, jest rzeczą trudną; ma się do dyspozycji tylko jedną drogę, i każda instytucja, do dywizji należąca, musi się na niej

znaleźć w swoim czasie i na odpowiedniem miejscu; często jednak formują się zatory, czas leci, a noc letnia jest krótka, łatwo więc o panikę w taborach, o ile wozy po świcie dostaną się pod obserwację i bomby z aeroplanów. Za taborami wysuwają się cichutko z frontu oddziały jeden za drugim i w samym końcu dopiero, przed tylną strażą, dowódca dywizji. O ile przeciwnik nie naciska, można w ciągu marszu wyprzedzić nieco maszerujące oddziały, by na miejscu nowego postoju zdążyć wydać odpowiednie rozkazy.

Szef sztabu pomagał mi mało, i zaczynałem go mieć dość, wypadnie się z nim rozprawić; od wysiłku bolała mnie ciągle głowa, przypominała mi się często odrobina metalu, którą miałem w skroni.

Zaczynaliśmy nabierać rozpędu w odwrocie; zatrzymując się tylko dla odpoczynku dziennego, maszerowaliśmy stale co noc w kierunku północno-wschodnim. Przeciwnik naciskał umiarkowanie, nie mogłem jednak prawie zupełnie spać, nerwy były zbyt naprężone a czasu mało; musiałem codziennie spędzić po kilka godzin w pułkach, dowództwo z każdym dniem obojętniało, uważało wojnę za przegraną, stąd opieszałość w służbie, którą karciłem w sposób coraz bardziej przykry. Zwiększało to naturalnie moje osamotnienie, bo każdy wolał zejść mi z oczów.

Zatrzymaliśmy się nareszcie na linji Gródka, na północo-zachód od Lwowa, na stanowiskach ufortyfikowanych zawczasu. Widocznie mieliśmy tej linji bronić. Mijając nową linję frontu, zwróciłem uwagę na staranne przygotowanie okopów, posiadających nawet daszki,

chroniące od kul szrapnelów, i doskonałe rowy komunikacyjne; nie było jednak tak już popularnych drutów kolczastych, zamiast nich urządzono gęste zasieki z powalonych drzew. Zamieszkałem w klasztorze unickim, w pięknej, zalesionej dolinie. Przeor ustąpił mi swoje dwa pokoje, mnisi cofnęli się gdzieś w głąb klasztoru i w rozmowie byli niesłychanie ostrożni. Chciałem tu odpocząć parę dni, ale wątpiłem, czy to się uda.

Zaraz po zakwaterowaniu pojechałem obejrzeć pozycje. Przegląd ten wywołał moje najwyższe zdumienie; dywizji, liczącej cztery i pół tysiąca bagnetów, dano do obrony sześć kilometrów t. j. dwa razy więcej, niż w wojnie pozycyjnej zajmuje dywizja normalnego składu, licząca dwanaście tysięcy bagnetów. Naturalnie moje nikłe kompanje i bataljony rozpłynęły się literalnie w tych okopach. Kazałem więc zająć tylko pewne odcinki skupionemi bataljonami, utrzymując między niemi łączność obserwacyjną. Cała dywizja stała w lesie, obstrzał sięgał zaledwie trzystu kroków i to nominalnie, gdyż ogromne drzewa, powalone bez ładu przed okopami, maskowały najbliższe dojścia, a za niemi stał gęsty, wysokopienny las; artylerja nie miała tu nic do roboty. Natychmiast zatelefonowałem o mych spostrzeżeniach do dowódcy korpusu i otrzymałem odpowiedź, że armja nie posiada rezerw, i mam sobie radzić we własnym zakresie; wogóle rozmowa z Bałaszowem świadczyła o dużej utracie równowagi w sztabach wyższych: z zupełną obojętnością przyjęto do wiadomości, że sytuacja dywizji jest krytyczna, a zadanie otrzymane przewyższa jej siły.

Korzystając z ciszy na froncie i dobrej szosy, pojechałem autem do Lwowa. W życiu miasta odczuwało się duże naprężenie; rosyjskie polityczne elementy, żerujące tu, wycofywały się wraz z episkopem Eulogjuszem do Rosji. Spotkałem na skwerze mego dawnego pułkownika, obecnie generała Suchomlina, pomocnika lwowskiego generał-gubernatora; opowiadał mi on z całym spokojem, że właściwie głównem zajęciem jego jest kontrola ruchu młodych kobiet na placu Mickiewicza, innej pracy nie może wykonywać wobec gałgańskiej polityki, prowadzonej wbrew intencjom Bobryńskiego przez zgrają popów i czynowników. Wracać do armji czynnej w danej chwili uważał za duże ryzyko: można się było łatwo skompromitować. Było to charakterystyczne rozumowanie porządnego zresztą Rosjanina — własny interes stawiał on wyżej ponad sprawy ojczyzny, patrjotyzm spał i tu na dobre.

Nader ujemna ocena zajmowanego stanowiska znalazła wymowny wyraz nazajutrz. Niemcy rzucili się na mego prawego sąsiada, który miał również zadanie nad siły, przełamali go szybko i zwrócili się wtedy ku mnie, powtarzając stale swój ulubiony manewr — obustronnego oskrzydlenia. Walki ogniowej prawie nie było, walczono głównie na bagnety; były godziny, gdy koniec dywizji zdawał się bliski, przeciwnik otaczał mnie coraz ciaśniejszą podkową, a z góry brzmiał wciąż rozkaz: „stać!"

Spełniłem go jednak nie dosłownie; w krytycznej chwili cofnąłem pułki o kilometr na następną rubież leśną; widoczne było jednak, że sprawa jest przegrana. Najciężej ucierpiał pułk wileński. Pułk. Szewcow

meldował mi o pięknym czynie dowódcy bataljonu, kpt. Nikitina, otoczonego przez Niemców, trwającego jednak na stanowisku do końca; ostatni jego telefon brzmiał: „Niemcy biegną do ataku, są o pięćdziesiąt kroków, moje okopy pełne trupów i rannych, rozbijam telefon" — w parę minut później zginął bohatersko na niemieckich bagnetach.

Po zachodzie słońca nadszedł nareszcie rozkaz odwrotu; polegał on właściwie na wyciąganiu kawałkami dywizji z nowej podkowy, co się jakoś nadspodziewanie udało. Miałem zająć nowe stanowisko pod Żółkwią, drogę wskazywała olbrzymia łuna; o pierwszej godzinie po północy wjechaliśmy do miasta. Palił się pałac Żółkiewskich; na placu widno było, jak w dzień i zupełnie pusto, tylko pośrodku stała grupa ludzi, przyglądających się pożarowi; byli tak zajęci widowiskiem, że nie zauważyli, gdym nadjechał, usłyszałem więc głośny śmiech i urągliwą uwagę: „Po nas Austrjacy nie pożywią się". Krew uderzyła mi do głowy, spiąłem konia i rzuciłem się na stojącego najbliżej, bijąc go steck'em po głowie; był to czynownik, zatoczył się, spadła mu mundurowa czapka, upadł wreszcie, a ja tłukłem zapamiętale wijącego się przy nogach końskich potwora. Sztab poszedł za moim przykładem, i po chwili zgraja „obrusitieli" uciekała w panice, smagana nahajami przez oficerów i kozaków.

Obicia tych łotrów dokonałem z mściwością, do słusznego bowiem oburzenia za spalenie historycznego pałacu przyłączyła się wieloletnia nienawiść do tych dręczycieli polskiego życia w Polsce. Rady z pożarem dać sobie jednak nie mogłem; olbrzymi czworobok

budynków palił się od fundamentów aż do szczytów, a miejscowa straż ogniowa uciekła z miasta, umiejscowiłem więc tylko pożogę.

W mieście zastałem bezrząd, próbowano już rabować, ale po paru doraźnych egzekucjach uspokoiło się wszystko; postawiłem własną straż i kazałem otworzyć sklepy, co uczyniono z pewną niechęcią. Zwiedziłem ładne kościoły, podumałem trochę przed pomnikiem króla Jana III, tempora mutantur!... Wśród ludności była przewaga Żydów, jak wszędzie.

W szpitalu, gdzie leżało paru rannych żołnierzy, zwróciłem się z jakiemś zapytaniem do krzątającej się wśród chorych kobiety; nie odpowiedziała mi nic, tylko spojrzała niechętnie i wyszła. Po chwili zjawił się lekarz, z którym omówiłem możliwości wywozu rannych, wkońcu spytałem, kto to jest ta niegrzeczna dozorczyni chorych; doktór zmieszał się i z pewnem wahaniem odpowiedział, że to jego córka.

— Ale ona nie znosi rosyjskiego munduru...

Wobec tego zaproponowałem, by panna ta nie ważyła się pokazywać w szpitalu, póki my tu jesteśmy, bo ją każę zamknąć.

W Żółkwi odnalazła mnie hrabina; potwierdziła znowu, że mam w sztabie armji opinję okrutnika. Rzeczywiście, nie znałem litości, ale tylko dla tchórzów i łgarzy, których w armji było dość, np. w jednej z ostatnich bitew dowódca pułku, przydanego mi z rezerwy ogólnej armji, zwiał z frontu do taborów, oddałem go więc natychmiast pod sąd polowy, niestety, nie dywizji, lecz armji; groziła za to kara śmierci, ale Brusi-

łow osłabł widocznie, skręcono więc sprawie kark i ograniczono się do wypędzenia tchórza z armji.

* * *

Przełamanie rosyjskiego frontu w naszym rejonie wywołało opuszczenie Lwowa; nastąpiło to 22-go czerwca. Wogóle gen. Iwanow zwątpił o możliwości utrzymania się w Galicji i nakazał ogólny odwrót ku granicom Ukrainy; na decyzje jego wpłynęły podobno uporczywe domagania dowódców armij, którzy z dużą słusznością wskazywali na coraz gorszy stan wojska. Przeto położenie Królestwa stawało się groźne, i należało oczekiwać odwrotu aż na linję Bugu.

Nie popasaliśmy też długo w Żółkwi; po niedużem starciu ogniowem, poszła dywizja dalej na wschód. W naszych przejściach zauważyłem pewną okresowość, biliśmy się co drugi dzień, sypiałem więc odpowiednio do antraktów, a jedynem marzeniem mojem było, bym mógł dospać do rana; zawsze jednak budziłem się z uczuciem niepokoju co do wypadków, oczekiwanych w dniu bieżącym. Sytuacja była zła, a miała być jeszcze gorsza! Dużo mi dokuczały rozklekotane nerwy otoczenia; walka z tem była coraz trudniejsza, ciągle słyszałem narzekania na bezczynność sojuszników: „Anglo-Francuzi odrabiali systematycznie swoje sto pięćdziesiąt metrów tygodniowo, Włosi dreptali od paru tygodni na sześćdziesięciu km. pogranicznu". Coprawda, i ja nie rozumiałem sytuacji na zachodzie; przecie stale znajdowało się przy zabitych Niemcach dokumenty i mapy, wskazujące, że walczyliśmy z coraz to innemi pułkami, przywożonemi z Francji; to samo potwierdzali jeńcy.

A przecie było chyba aż nadto jasno, że sami nie poradzimy, a gdy będziemy ostatecznie rozbici, przyjdzie kolej na front zachodni.

* * *

Codziennie losy zsyłały mi innych sąsiadów, i zawsze miałem wrażenie, że ci są gorsi od poprzednich, bardzo zresztą marnych; widocznie rozprężenie rosło. Przewidywania moje, że aczkolwiek było już źle, ale należy oczekiwać jeszcze gorszej sytuacji, sprawdziły się 27-go czerwca.

Zatrzymano mnie znowu na stanowisku ogromnie zalesionem, dając mi front o wiele przenoszący moje możliwości jego obrony; w centrum miałem nader gęsty las, ciągnący się głęboko w kierunku przeciwnika, obstrzału żadnego, prawe skrzydło przesłaniały liczne gaje. Gdym objeżdżał stanowisko, zabłądziłem na własnej linji frontu; naturalnie, zameldowałem o tem dowódcy korpusu i otrzymałem uspokajającą odpowiedź:

— Kto tam na pana pójdzie, brak wam nawet porządnej drogi, same chaszcze...

Musiałem więc oprzeć me działania najbliższe na strusiej taktyce: schowany byłem w lesie, może więc mnie nie znajdą. Jednak wieczorem naciśnięto na moje lewe skrzydło, i przeciwnik opanował prawie znienacka stanowisko jednego bataljonu; kontratak kazałem poprowadzić gen. Lichaczewowi. Bój się rozpalił, pojechałem więc sam na miejsce walki; pułk litewski nacierał ostro, chociaż od strony prawego skrzydła przeciwnik szył szrapnelami wzdłuż frontu natarcia w bardzo nie-

przyjemny sposób; Lichaczew szedł za tyraljerą i poganiał laską opieszałych.

Zorjentowałem się natychmiast, że nawet zupełne powodzenie ataku nie da poważniejszych korzyści, a teren pozwala na odsunięcie zagrożonego skrzydła wtył; poszedłem więc za Lichaczewem, by mu dać odpowiednie rozkazy. Gdym go dogonił, pękły w tej chwili nad głowami dwa szrapnele, brygadjer stanął i przeżegnał się szybko, powtarzając raz po raz „Hospody, pomiłuj". Kule posypały się dokoła, nie czyniąc generałowi krzywdy; ulżyło mu to widocznie, bo, zwracając głowę w stronę przeciwnika, dodał: „Łżesz, łżesz, nie trafiłeś!" Walka tak go zaabsorbowała, że z trudnością zrozumiał, o co mi idzie.

Wieczorem kazałem zdjąć dzwony z cerkwi unickiej w pobliskiej wiosce i zakopać je tajnie,—wiedziałem, że w Niemczech odczuwają głód miedzi; by ludność mogła je odzyskać, zrobił sztab szkic sytuacyjny miejsca schowania, złożony w archiwum.

W nocy próbowali Niemcy nacisnąć w centrum; nieomal do świtu trwał leśny bój bez kierownictwa prawie, dzielność oficerów i żołnierzy utrzymała jednak front, i przeciwnik cofnął się. Przypuszczam zresztą, że Niemcy robili właściwie tylko wzmocniony wywiad dla orjentacji. Spałem zaledwie parę godzin.

O 8-ej rano zaalarmował mnie pułk. Sytin, że od strony prawego skrzydła wyszły z pobliskiego lasu ogromne masy Niemców i natarły na punkt styczności z sąsiednią dywizją; atak był tak gwałtowny, że w parę minut później zaczęła się walka na bagnety. Sąsiad cofnął się szybko, a pułk białostocki został po dwóch

godzinach uporczywego boju prawie doszczętnie zniesiony. Sytuacja dywizji stała się odrazu krytyczna; w rezerwie miałem tylko dywizyjną komendę podoficerską, a droga odwrotu prowadziła właśnie od prawego skrzydła na jedyny most przez rzekę Bug, mógł zatem przeciwnik przycisnąć nas do rzeki.

Pchnąłem natychmiast komendę na zagrożony odcinek, rozkazałem pułkowi litewskiemu śpieszyć z lewego skrzydła na pomoc, sam zaś pogalopowałem na front; po drodze nawinął mi się szwadron ułanów, prowadzący wywiad, wziąłem go więc z sobą. Z pobliskiego wzgórza ujrzałem ciągnące spokojnie od zachodu gęste linje piechoty; ucieszyłem się bardzo, przypuszczając, że to idzie pułk białostocki, wysłałem jednak przez ostrożność ułanów dla sprawdzenia. Poszli rozwiniętym szykiem rysią, ale jechali niedługo: nadciągająca piechota przywitała ich gęstym ogniem i zmusiła do szybkiego odwrotu. Prysło złudzenie, byli to Niemcy.

Kazałem komendzie podoficerskiej rozwinąć się szeroko w tyraljerę i zatrzymać ogniem przeciwnika w miejscu, nie cofając się bez mego rozkazu, sam zaś z jednym adjutantem pocwałowałem na górę Lipową za w. Batiatycze, skąd widać było okolicę, jak na dłoni. Drugi oficer zawiózł bliższym baterjom rozkaz skupienia ognia na nacierającej piechocie, dalsze miały śpieszyć na prawe skrzydło.

Przeciwnik ocenił szybko znaczenie mego punktu obserwacyjnego, zasypał go wprost granatami i szrapnelami; szczyt był jednak zarośnięty gajem, mogliśmy więc kryć się za drzewami, chociaż trudno było wytrzymać w tem piekle. Dokoła rwały się co chwila

granaty, z góry leciały lotki pękających szrapneli, sypały się urwane kulami gałęzie, waliły z łomotem ścięte pociskami konary drzew; pień lipy zakrywał mnie trochę, miałem jednak wrażenie, że stosunkowo do mej tuszy jest on stanowczo za cienki. W pewnej chwili, idąc za przykładem adjutanta, skoczyłem do jakiegoś wykrotu, gdzie było bezpieczniej, ale znalazłem na dnie gęste błoto i nie widziałem, co się w polu dzieje, wróciłem więc za me drzewo; ledwom dobiegł, śmignęło mnie coś po nodze: był to nieduży kawałek granatu, który przebił but i utkwił w łydce. Po chwili poczułem dojmujący ból, ciepła krew popłynęła wzdłuż nogi, ale nie miałem możności zajęcia się tą sprawą, przyklęknąłem tylko, bo stać już nie mogłem.

Ogień naszej słabej tyraljery, złożonej jednak z doborowego żołnierza, wstrzymał Niemców o tyle, że sprawili szyk bojowy i rozpoczęli metodyczne natarcie. Wobec olbrzymiej przewagi liczebnej przeciwnika, pozwoliłem ppułk. Kuchinowi cofać się zwolna na górę Lipową, ale nie mógł on tego dokonać, ogień artyleryjski Niemców i ich manewr oskrzydlający spędzały stopniowo komendę w lewo; groźba odcięcia dywizji od mostu zaczynała nabierać realnych kształtów, a tu pułk litewski był jeszcze daleko.

Naraz dopadł mnie piechotą oficer huzarów, meldując, że brygada jazdy jest do mej dyspozycji, kazałem więc czterem spieszonym szwadronom zająć natychmiast tyraljerą górę aż do zluzowania przez piechotę; dwa szwadrony nadbiegły wkrótce i obsadziły wskazane stanowisko, ale Niemcy przywitali ich tak zabójczym ogniem, że po paru minutach huzarzy ze-

rwali się nagle i pobiegli wtył. Krzycząc wśród trzasku i huku nieludzkim głosem, kazałem rotmistrzowi zatrzymać szwadrony, ale on odwrzasnął mi, że kawalerja takiego ognia nie wytrzymuje, i pobiegł za swoimi; zostałem więc znowu sam w kole ognia i dymu, a zraniona noga, jakby nalana ołowiem, dręczyła mnie coraz bardziej. Posłałem więc adjutanta po dowódcę brygady lub pułku huzarów, nie pokazali się jednak; może w pół godziny dopiero ujrzałem jakiegoś oficera ułanów z ordynansem. Nie zwracając uwagi na morderczy ogień, jechał on spokojnym kłusem, zsiadł z konia o kroków dwadzieścia, poprawił na sobie frencz i miarowym krokiem skierował się ku mnie; z uczuciem ogromnego uznania patrzyłem na śliczne zachowanie się tego młodzieńca, na którego piersi bielił się piękny krzyż oficerski św. Jerzego; niestety, zuch nie doszedł do mnie, ciężki pocisk zwalił na niego duże drzewo, druzgocząc młodego bohatera na śmierć.

Dotarli nareszcie do mnie dwaj dowódcy bateryj, meldując, że baterje na nowych stanowiskach są gotowe do strzału, kazałem im natychmiast podpalić wieś Batiatycze, szeroko rozsiadłą przed mojem prawem skrzydłem, by zatrzymać nieco Niemców, zbliżających się do niej; udało się to nadspodziewanie prędko, po kilku wystrzałach stanął pomiędzy mną a przeciwnikiem długi mur ognia. Wreszcie dobiegła do wzgórza moja piechota, okopała się szybko i zahamowała ogniem kulomiotów impet natarcia, szybko też wyrosły wśród pól liczne kretowiska, kryjące Niemca; ogień karabinowy wzmógł się, ale uspokoiły się znacznie armaty.

Nie było jednak czasu do stracenia, stanowisko moje na dłuższą metę było nie do utrzymania, nadchodzącej nocy bałem się wprost, nakazałem więc odwrót za Bug, poczynając od lewego skrzydła. Nie mogłem jednak poruszyć się z miejsca, zniosło mnie więc dwóch żołnierzy; znalazł się wkrótce jakiś felczer, rozciął mi cholewę i zzuł but. Dużo krwi zebrało się w nim, łydka nabrzmiała, dokoła ranki uformował się siny obwód; skaleczenie nie było poważne, porcja jodyny i bandaż zrobiły mi dobrze. Przy moście zastałem pułk. Lebiediewa, wydającego spokojnie dyspozycje co do kolejności przejścia oddziałów przez most; nieobecność swą przez cały czas boju na froncie tłumaczył mi on koniecznością zarządzeń w sztabie. Ograniczyłem się tylko do cierpkiej uwagi, ale tego pana wypadnie mi się pozbyć; narazie nie chciałem zaostrzać sytuacji, rad byłem, żem wyszedł względnie cało z ciężkiej opresji.

Natarcie Niemców słabło stopniowo, nadszedł i pułk. Sytin; z pułku jego zrobiły się dwie kompanje, nie mogłem mu jednak robić żadnych zarzutów, w danych warunkach zaskoczenie było nieuniknione. Wyprowadziłem dywizję za Bug w zupełnym porządku, wysadziłem most w powietrze i zająłem prawy brzeg rzeki.

ROZDZIAŁ XIV.

Zamieszkałem w leśniczówce na skraju lasu. Zasłaniał nas od przeciwnika kochany Bug — przegroda,

wyłączająca zaskoczenie; po smutnych przejściach leśnych walk, łaknąłem przestrzeni przejrzystych. Nizina rzeki była piaszczysta, nudna; z tamtej strony rozsiadło się miasteczko. Przywieziono mi z frontu otulonego w płaszcz, nagiego młodzieńca ze złotą bransoletą na ręce; skłonił się zgrabnie i przedstawił, jako sztabs-rotmistrz huzarów iziumskich; odcięto go z podjazdem od mostów, huzarzy rozbiegli się, a on salwował się wpław przez rzekę, trzymając ubranie na głowie, walcząc jednak z prądem, utracił je.

Zaraz po przeprawie miałem telefoniczną utarczkę z szefem sztabu korpusu; wyraził on zdziwienie, że dywizja cofnęła się za Bug po tak małym oporze; odpowiedziałem mu ostro, że dziwię się jego zdziwieniu, a jeszcze bardziej temu, że postawiono dywizję niewiadomo w jakim celu przed rzeką w lesie, gdzie mogła ją łatwo spotkać zagłada.

Przeciwnik zachowywał się biernie, strzelała tylko artylerja jego i to dość celnie; ułatwiał jej strzał doskonały punkt obserwacyjny na budującej się wieży kościoła ewangelickiego w Kamionce Strumiłowej. Górowała ona nad całą okolicą o tyle, że wprost zaglądała nam do garnków; zmusiło mnie to do ostrzelania wieży z haubic; piętnaście bomb trafiło, rozbiło część rusztowań, przebiło dach kościoła i wieżę, nie zburzyło jej jednak. Sądzę, że Niemcom odechciało się tego punktu obserwacyjnego.

Nie robiłem nic, chodzić narazie nie mogłem, leżałem więc lub siedziałem na fotelu przy oknie. Lato było w pełni rozkwitu, powietrze nagrzane owiewało mnie balsamiczną wonią lasu, nasuwało pragnienie

skąpania się w ożywczym zdroju rozkwitłej natury, ale nie mogłem oderwać myśli i nastroju od ciężkiej rzeczywistości. Wróg nacierał na froncie między Wieprzem a Bugiem i zagrażał już Lublinowi; wyglądało to na początek końca całej operacji, której celem było Królestwo, i to wszystko osiągnęliśmy po tak strasznych ofiarach i cierpieniach...

Nie widywałem nikogo, wypoczywałem fizycznie, starałem się odespać zaległości, ale moralnie ciężko mi było bardzo; nie miałem nic do czytania, poczta uciekła daleko, nie mieliśmy więc i gazet, pozostały komunikaty, jak zwykle mętne lub kłamliwe. Raził mnie nawet śmiech i żarciki, które słyszałem nieraz przez okno; to sztab zabawiał się i przekomarzał z młodem pokoleniem naszych gospodarzy. Lebiediew jeździł kilka razy do sztabu korpusu, starał się o inny przydział, a jednocześnie próbował uszyć mi buty; doszły mnie drogą uboczną wieści, że „gady“ sztabowe na szczytach syczą, zarzucając mi bezwzględność w stosunku do podkomendnych, zestawiając ją złośliwie ze „słabością“, okazywaną ludności polskiej, dochodzącą nawet do ignorowania rozkazów wyższej władzy. „Słabość“ ta polegała na zakazie rujnowania kraju. Urzędowego zapytania co do mego postępowania nie otrzymałem jednak, widocznie Brusiłow był innego zdania.

* * *

Szerzyła się na tyłach agitacja przeciwko dowódcom o niemieckich nazwiskach, a takich posiadała armja rosyjska chyba połowę i to na wyższych stanowiskach — Ewert, Plewe, Szajdeman, Flug i t. d.;

byłoby chyba słuszniej poszukać tych wrogów wewnętrznych w otoczeniu cesarzowej.

Rana goiła się doskonale; chodziłem już o kiju na skraj lasu, kładłem się pod drzewem i słuchałem godzinami, spływającego z błękitu nieba, słodkiego śpiewu skowronka o słońcu i radości życia; a wietrzyk z lasu donosił dyskretne fragmenty symfonji leśnej, wykonywanej przez zgraną orkiestrę ptactwa, owadów i szumiących koron smukłych sosen. Wtedy chwilami traciłem poczucie rzeczywistości, płynąłem myślą z wysokim obłokiem srebrzystym, zespalałem me życie z trawką, kołyszącą się dokoła, z promieniem słońca, przesuwającym się po czerwonej korze drzewa.

* * *

Niedługo jednak trwały moje wakacje, musiałem wrócić przy pierwszej możności do pracy nad reorganizacją bardzo osłabionej dywizji i przeszkoleniem słabo przygotowanego skompletowania; z miejsca sprawdziłem, że moje „nastroje“ marzycielskie znalazły wdzięczne echo w dywizji, szef sztabu pisał sobie jakieś papierki, a w pułkach zastałem generalne dolce far niente, które musiałem przerwać w sposób stanowczy; okopy były nie wykończone, zajęć nie prowadzono nigdzie.

Wizyty na froncie zacząłem od pułku wileńskiego; punkt obserwacyjny dowódcy pułku znajdował się o kilometr za linją okopów, ale nie pomyślano o połączeniu go z frontem rowem łącznikowym, chociaż teren był zupełnie odkryty, komunikowano się więc

tylko nocą, co wpływało fatalnie na służbę w okopach i normalne żywienie żołnierzy.

Zrobiwszy cierpką uwagę pułkownikowi, powiedziałem mu, że nie mam zamiaru czekać z przyczyny jego opieszałości do nocy i pójdę do okopów zaraz, jemu zaś zostawiam wolną wolę; zmieszał się trochę i zameldował, że pójdzie ze mną. By się mniej narażać, poszliśmy osobno; pierwszy strzał karabinowy padł, gdyśmy przeszli połowę drogi, za nim rozległ się drugi, trzeci, kule świsnęły gdzieś wpobliżu, widocznie wzięto nas na cel; zmieniłem więc charakter ruchu, zacząłem się posuwać biegiem, zapadając co kilkadziesiąt kroków w brózdy, ale i to nie podobało się przeciwnikowi. Ilość karabinów, polujących na nas, zwiększyła się, zaczął gdakać nieznośny kulomiot; zaciąłem się jednak i, klucząc wężowo przy przebiegach, posuwałem się coraz bliżej do okopów przy akompanjamencie dość gęsto bzykających dokoła kul; żadna jednak nie drasnęła mnie.

Dotarłem nareszcie do celu bez szkody na zdrowiu, ale zupełnie zgrzany i wyczerpany, gdyż dzień był bardzo gorący; miałem jednak dużą satysfakcję, patrząc na rozradowane miny żołnierzy, którzy obserwowali moją tyraljerę solo przez dłuższy czas. Pułk. Szwecow znikł gdzieś. Wynagrodzono mnie na miejscu dwiema szklankami herbaty z sokiem żórawinowym. Noga moja w tym biegu z przeszkodami sprawiła się znakomicie, jednak od tej chwili nabyłem wiele współczucia dla zająca, pędzonego naganką na linję myśliwych. Pułk. Szwecow nadszedł wraz z moim adjutan-

tem drogą okrężną w godzinę później; obydwaj mieli miny bardzo rzadkie.

Pozostałem w okopach do wieczora z dużym pożytkiem dla sprawy, częstując dowództwo sporą dawką gorzkich pigułek; odchodząc, zapowiedziałem, że za trzy dni odwiedzę znowu pułk, ale nie mam zamiaru ryzykować raz jeszcze życia, z winy dowództwa. Skutek był doskonały, na całym froncie wykopano w ciągu dwóch dni rowy łącznikowe; zbyt nerwowego adjutanta odesłałem jednak do pułku, by się nieco przyzwyczaił do świstu kul.

* * *

9-go lipca nadeszły z Królestwa lepsze wieści: natarcie Niemców na Lublin zatrzymano po ciężkich walkach, może więc ominie nas gorzka chwila oddania Polski niemieckiemu zalewowi.

* * *

Okres lepszej nadziei na froncie panował niedługo. Niemcy otrzymali świeże posiłki i ponowili gwałtowne natarcie w Lubelszczyznie; 17-go lipca, po ciężkiej walce, oddano Krasnystaw; wróg zagroził Lublinowi.

Nielepiej działo się na lewym brzegu Wisły. 2-ga armja rosyjska, po uporczywych walkach nad rz. Iłżanką, została odrzucona na front Białobrzegi — Opole, a 4-a cofnęła się na linję Błonie — Grójec; nad Warszawą zawisła bezpośrednia groźba.

Walczono również uporczywie w ziemi płockiej i łomżyńskiej. 17-go lipca podeszli Niemcy do Modlina, Pułtuska, sforsowali dolną Narew. Jasne było, że dal-

sze trwanie w Królestwie jest dla armji rosyjskiej niemożliwe; miałem nawet pewne wątpliwości, czy nie zostaną odcięte armje 2-a i 4-ta, operujące jeszcze na lewym brzegu Wisły.

Modlina miano bronić, zaopatrzono go w duży garnizon, liczący cztery dywizje rezerwowe słabej struktury; komendantem był gen. Bobyr, człowiek o dużem wykształceniu i doświadczeniu służbowem; czy posiadał on jednak dość charakteru, by sprostać ciężkiemu zadaniu, nie wiedziałem, a wiadomo, że duszą obrony twierdzy jest komendant, nieograniczony władca rejonu fortecznego. Celu obrony twierdzy w danych warunkach nie rozumiałem; nie było najmniejszej nadziei, by Niemcy zostali wyparci z Królestwa przed upływem kilku miesięcy, a tyle czasu Modlin, z nieukończonem przygotowaniem bojowem, nie wytrzyma.

Przegrała zatem armja rosyjska pierwszorzędną operację strategiczną a poza tem zdezorganizowała się na dłuższy czas. Małopolska i Królestwo zostały stracone; od miesiąca przygotowywałem się do tego nieszczęścia, a jednak dotknęło mnie ono głęboko, czułem się upokorzony, jako żołnierz, a jednocześnie silnie zadraśnięty, jako Polak. W ostatnim okresie wojny przestałem wierzyć w realizację całkowitą obietnic w. księcia, nosiłem jednak w sobie okaleczone marzenie, że, o ile dzielnice polskie zjednoczą się pod panowaniem rosyjskiem, będziemy już tak silni, iż damy sobie radę z reakcją rosyjską na drodze pokojowej; teraz i ta nadzieja rozwiała się...

ROZDZIAŁ XV.

Z dużem zadowoleniem przyjąłem rozkaz o wycofaniu dywizji z frontu dla wypoczynku i reorganizacji; jednocześnie mieliśmy wrócić do macierzystego, 7-go korpusu. Objąłem więc zpowrotem dywizję i po krótkiem przygotowaniu rozpocząłem kolejne wyciąganie pułków na tyły. Pierwszy nocleg wypadł nam niedaleko za frontem, na skraju lasu; ja zająłem pustą szkołę. Zadowolenie było ogólne, wszyscy pragnęli odetchnąć innemi wrażeniami; po długiej niewoli okopowej rozkoszowali się żołnierze swobodą, łazili po polach, leżeli na słońcu. Mieliśmy ruszyć dopiero nazajutrz po południu; uczucie fizycznego zadowolenia zaczęło się udzielać, wbrew dręczącym myślom, i mnie, roiłem nawet o urlopie do Kijowa, dokąd już wróciła rodzina z Warszawy.

Gen. Lichaczew wyjechał do Symferopola z zamiarem ożenienia się; dałem mu pisemne zezwolenie in blanco bez podania imienia oblubienicy, którego nie znał jeszcze sam. Oryginalność projektowanego małżeństwa polegała na tem, że generał chciał się ożenić z jedną z sióstr zmarłej żony, trwających w staropanieństwie, dla zapewnienia im emerytury po sobie; napisał więc do nich odpowiednie oświadczyny, zaznaczając, że wszystko mu jedno, która za niego wyjdzie, miały to załatwić polubownie bez jego udziału.

Wieczorem nadeszła poczta, która rozwiała natychmiast nastrój beztroski; otrzymałem od szefa sztabu armji rozkaz wymarszu o świcie na północ, do Choło-

jowa, gdzie miałem przejść do dyspozycji dowódcy 28-go korpusu, gen. Kasztalińskiego; zrozumiałem, że oznacza to powrotne wyciągnięcie dywizji na front, przekreśla marzenia o wypoczynku i reorganizaji, z dużą więc niechęcią wydałem odpowiednie rozkazy.

Marsz był nieprzyjemny; spadł duży deszcz i przemoczył nas do nitki. Kasztalińskij zaznaczył, że przy ataku Sokala, projektowanym na jutro, pokłada na mej dywizji duże nadzieje; odpowiedziałem, że duch w oddziałach jest dobry, ale ogromne straty w oficerach i podoficerach osłabiły bardzo wartość bojową dywizji. „A jednak nie mam wyboru“ — westchnął generał — z trzech danych mi do dyspozycji dywizyj — pańska jest najlepsza“.

Odcinek frontu dostałem o dwa razy za duży, ale lewe zalesione skrzydło było zabezpieczone rz. Bugiem; poruczyłem je więc pieczy dywizyjnej komendy podoficerskiej, nakazując markowanie w stosunku do przeciwnika swej obecności i utrzymanie łączności z sąsiednią 14-tą dywizją; w centrum i na prawem skrzydle szeroki pas lasu zabezpieczał wnętrze pozycji od artyleryjskiego ognia przeciwnika i maskował wewnętrzne przesunięcia oddziałów w okresie zbliżania się do frontu. Przeciwnikami naszymi byli Austrjacy, co mi w danej sytuacji bardzo dogadzało; mieli oni, w porównaniu z Niemcami, mniej inicjatywy i zaciętości, posiadali zaś cenne dla nas przymioty oszczędzania pocisków i niechęci do kontrataków.

Pierwsze natarcie dokonał w centrum znienacka pułk wileński. Austrjacy zostali odrzuceni jednem uderzeniem na drugą linję okopów, ale silny ogień arty-

leryjski z za Bugu wstrzymał dalszy rozwój powodzenia; wzięto do niewoli zaskoczony bataljon jegrów, wraz z jego dowódcą. Przyprowadzono go do mnie; zaprezentował się, jako ppułk. Stoessel, nadmieniając, że jest bratankiem „von Ihrem berühmten General Stoessel"; źle był widocznie poinformowany co do charakteru „sławy" swego portarturskiego stryjaszka, tchórza. Jednak przykry wypadek dostania się z bataljonem do niewoli wywołał w p. pułkowniku niemiłe refleksje, gdyż parokrotnie wracał do tego tematu i żałośnie powtarzał: „Das ist unerhört".

Oba skrzydła napotkały silny opór i posuwały się naprzód zwolna. Noc przerwała bitwę; nazajutrz o świcie rozpocząłem ją na nowo. Austrjacy parokrotnie prowadzili kontrataki, ale bez należytej energji, załamywały się więc one w ogniu obrony; po południu telefony, łączące mnie z centrum, zostały zerwane, a tymczasem ogień tam grzmiał coraz silniej. Posłałem więc na front adjutanta a w godzinę później drugiego, żaden jednak nie wracał, wypadło zatem pójść samemu. Dowódcę pułku litewskiego, pułk. Wadzyńskiego (Rosjanina), znalazłem przy telefonie w głębokim blindażu, skąd nie widział nic, co się w pułku dzieje, a o przebiegu boju orjentował się jedynie przez telefon; poprosiłem go stanowczo o zmianę punktu obserwacyjnego bliżej frontu, uprzedzając, że w drodze powrotnej będę go szukał przy pułku. Ociągając się bardzo, poszedł pułkownik, wlokąc za sobą telefon. Nie działo się tu zresztą nic ciekawego, przeciwnicy ostrzeliwali się tylko zawzięcie; bardziej energicznej akcji spodziewałem się na lewem skrzydle.

Kule karabinowe świszczały coraz bardziej, jedna trafiła mi w obcas buta, wywołując wrażenie potknięcia się. Na skraju jakiejś wioski zobaczyłem obydwóch, wysłanych przeze mnie oficerów; nie poszli dalej, gdyż wypadło iść otwartem polem, silnie ostrzeliwanem przez artylerję. Na oko wyglądało to niezbyt zachęcająco, ale dotrzeć do pułku musiałem; poszedłem więc, zabierając obydwóch oficerów z sobą, ze względów pedagogicznych; nic się nam zresztą po drodze nie stało, wypadło tylko kilkakrotnie przytulić się pośpiesznie do matki ziemi.

W zgiełku walki nie zauważył mego nadejścia nikt. Zobaczyłem ppułk. Andguładzego, stojącego przed leżącym bataljonem; wydawał mu właśnie rozkaz do ataku i sam poprowadził pierwszą falę. Austrjacy leżeli o paręset kroków, przywitali atak gęstym ogniem, wreszcie rzucili się do kontrataku; zwarły się rychło dwa tłumy, zakotłowało mrowisko ludzkie, poszły w ruch bagnety i kolby, ucichł nawet austrjacki ogień działowy, ale przeciwnik zachwiał się wkrótce, z masy skłębionej poczęli się wymykać ku rzece pojedyńczy ludzie, później grupy; goniono ich aż do Bugu i wzdłuż rzeki na północ.

Gdy się pułk zebrał na polanie za gajem, a napięcie walki osłabło, przyjąłem raport od Andguładzego: prawy brzeg Bugu był oczyszczony od przeciwnika, jeńców wzięto kilkuset. Dziękując podpułkownikowi za dzielne zachowanie się w boju, przeprosiłem go przed pułkiem za niesłusznie okazywane mu poprzednio niedowierzanie i nadmieniłem, że dzisiaj jeszcze wyślę do dowódcy korpusu telegram, z prośbą o zatwierdze-

nie Andguładzego na stanowisko dowódcy pułku, a w najbliższym czasie przedstawię go do orderu św. Jerzego.

Późno wieczorem wróciłem na nocleg i zastałem szefa sztabu przy szklance herbaty, czytającego spokojnie gazety. Gdym go spytał o sytuację na innych odcinkach frontu, nie dał mi ścisłej odpowiedzi, czekał jeszcze na meldunki; zaproponowałem mu więc, by natychmiast opuścił dywizję, bo ja takiej pomocy nie potrzebuję. Mało się tem zmartwił i wyjechał w godzinę później, widocznie przewidywał, że go wyproszę, i przygotował sobie zgóry odwrót.

Trzeci dzień bitwy nie przyniósł rozwiązania; resztki dywizji przepychały się zwolna naprzód, szło to jednak ciężko, ospale, raz jeden tylko doszedł mnie z frontu w ciągu dnia drobny, ale rzeźwiący powiew. Kompanja pułku brzeskiego, atakowana trzykrotnie, przeszła samorzutnie do kontrataku, pognała ostro przeciwnika i przyprowadziła kilkudziesięciu jeńców. Wszyscy należeli do świeżo przybyłej, austrjackiej dywizji, która zastąpiła Niemców, wezwanych śpiesznie na północ. Ponieważ falisty teren ułatwiał ruchy na prawem skrzydle, postanowiłem próbować szczęścia w tym kierunku; manewr miał prowadzić pułk litewski, który zachował się liczbowo względnie najlepiej. Wykonanie rozkazu szło jednak tak ospale, że zagroziłem pułk. Wadzyńskiemu przykremi konsekwencjami, o ile nie zmusi opieszałych do posłuchu bezpośrednią obserwacją i ewentualnem osobistem wkroczeniem.

Wieczorem wypadło mi wracać z frontu, świeżo zajętego, na punkt obserwacyjny. Noc była dość ciem-

na, walka prawie ucichła, umilkły działa, ale nie nastała cisza: przemówiło pole jękiem i przekleństwami rannych, wzywających pomocy; jeden z leżących poznał mą sylwetkę po chodzie i wstrzymał mnie okrzykiem: „Panie generale, ratunku". Był to znany mi podoficer, miał strzaskaną nogę; przyśpieszyłem więc kroku, by prędzej wysłać sanitarjuszy, i w najbliższem wklęśnięciu gruntu napotkałem grupę tych panów, odpoczywających przy ognisku; energiczne zaklęcie i porcja kijów na miejscu wywołały odpowiednie wyładowanie energji. Przed świtem ranni byli uprzątnięci, zabici pochowani.

Noc spędziłem na punkcie obserwacyjnym; nie warto było wracać pociemku przez bagnisty las na leśniczówkę, gdzie zresztą od brzasku uniemożliwiały sen roje niezliczone much.

Na froncie ucichło zupełnie, mogłem więc bez przeszkód zrobić co do swej osoby pewien rachunek sumienia. Czy miałem prawo opuszczać wielokrotnie w ciągu walk ostatnich mój punkt obserwacyjny i brać czynny udział w poszczególnych momentach starć? Pozornie wyglądało to na zaniedbanie ogólnego kierownictwa, po pewnym namyśle rozgrzeszyłem się jednak. Przeciwnik okazywał wciąż bierność, strzelał zapamiętale, ale występował czynnie tylko na drobnych odcinkach frontu i na krótką metę, nie było więc niebezpieczeństwa ogólnego przejścia do kontrataku; z drugiej strony, oddziały, złożone przeważnie z młodzieży, posiadające tylko resztki zawodowych oficerów, były bardzo niepewne, dowódcy pułków, z wyjątkiem ppułk. Andguładzego, zniechęceni; na moje telefoniczne

rozkazy reagowano słabo, dawano wykrętne tłumaczenia, musiałem więc osobistem wkroczeniem podniecać gasnącą energję. Poza tem w zakamarkach mózgu błąkała się płochliwa myśl, że rozbicie wschodniej osłony przeciwnika może zaszachować tyły armji niemieckiej, maszerującej na Chełm, i wpłynąć na zmianę sytuacji na głównym teatrze operacyj. Przecie często porażkę od zwycięstwa dzieli nieuchwytna wprost granica.

Zaczął się czwarty dzień walki. Niepokoił mnie trochę brak wszelkiego współdziałania sąsiada na mem prawem skrzydle; miał on atakować Sokal od północy i nie ruszał się zupełnie. Łączności telefonicznej nie było, wybrałem się więc osobiście na styczność dwóch dywizyj i dość spokojnie doszedłem do bataljonowej rezerwy sąsiada; dowódca bataljonu, trochę zdziwiony mą wizytą, zameldował szczegółowo, że ich dywizja jest zupełnie wyczerpana, niezdolna do ataku, broni się nawet słabo, gdy przeciwnik naciera; na dowód pokazał mi kapitan, posuwający się w stronę przeciwnika, spory tłum żołnierzy jego pułku, którzy się przy natarciu Austrjaków poddali. Wpobliżu zajmowała stanowisko moja baterja, kazałem więc natychmiast ostrzelać silnym ogniem stado tchórzów; rozbiegła się zaraz ta hołota po polu, ale wytłuczono ich sporo.

Korzystając z telefonu miejscowego, rozmówiłem się z dowódcą dywizji, gen. Januszewskim (Rosjaninem), moim starym kolegą; wyraził on wielkie zadowolenie z tak mu miłego sąsiedztwa, dziękował za likwidację bataljonu, który rozstrzeliwałem, oburzał się na niedołęstwo swych pułkowników, nie kwapił się

jednak na pole walki dla osobistego wkroczenia i siedział o pięć kilometrów od linji frontu; na zakończenie otrzymałem telefoniczny pocałunek „w cukrzane usta".

Przekonałem się, że pomocy z tej strony nie dostanę, a i na lewem skrzydle sprawy stały nielepiej; tu dowodził dywizją gen. Sokołow, również kolega, dzielny, szczery żołnierz. Uprzedził on mnie jednak zgóry, że tylko markuje natarcie, o czem zameldował dowódcy korpusu, mogłem zatem liczyć tylko na siebie.

Piątego dnia bitwy walki skupiły się na odcinku pułku litewskiego; przez kilka godzin sytuacja była dobra, ale później coś się zahaczyło, meldunki telefoniczne straciły przejrzysty charakter. Na me naglące zapytanie odpowiedział mi nareszcie adjutant pułkowy, że nie może nic więcej wyjaśnić, gdyż pułkownik jest przy pułku; bardzo mi się to podobało, a ponieważ walka na innych odcinkach szła słabo, poszedłem zorjentować się, co pułk litewski robi. Na pułkowym punkcie obserwacyjnym zastałem tylko adjutanta; zmieszał się widocznie na mój widok i bardzo niepewnym głosem wyjaśnił kierunek, w którym udał się pułkownik; nie było to daleko, znalazłem go o dwieście kroków bliżej frontu, za grubem drzewem. Tak wyglądała obecność Wadzyńskiego „przy pułku".

Przypuszczam, że wolałby on zobaczyć djabła, niż mnie, nie pozwoliłem mu jednak tłumaczyć się, pytając twardo, co robi pułk; naturalnie nie wiedział nic, walka toczyła się dość daleko za grzbietem górskim, a telefony jak zwykle kłamały.

Hamując narastający we mnie gniew, kazałem pułkownikowi iść za mną, by pokazać „gdzie się powinien znajdować dowódca pułku w czasie walki".

Poszedł jak obity pies, a gdyśmy dochodzili do szczytu góry, za którą walczono, odezwał się płaczliwym głosem:

— Panie generale, nie idźmy dalej, zabiją pana i mnie, i co będzie z tego za pożytek...

Nie odpowiedziałem nic, ale znacząco podniosłem „stick" w kierunku twarzy tchórza.

Na szczycie, przeoranym okopami, leżało kilkunastu zabitych i rannych żołnierzy pułku, po lejach i rowach kryli się inni, zdrowi, ruchu nie było żadnego. Przeciwnik zauważył natychmiast naszą grupę i po paru pojedyńczych strzałach działowych, uderzył salwą z kilku dział; zdążyłem jednak rzucić się na ziemię, i muzyka świszczących odłamów przeleciała nade mną; ocalał również mój ppor. Czupryna. Otrząsając z siebie piasek, wstałem, ale nigdzie nie dojrzałem pułkownika; nie odezwał się również na moje wołanie. Znaleźliśmy go dopiero leżącego w okopie w stanie okropnego przestrachu z błędnym wzrokiem i drżącą twarzą.

Cierpliwość moja skończyła się, postawiłem tchórza brutalnie na nogi, potrząsnąłem nim silnie i krzyknąłem:

— Precz stąd, łotrze, wypędzam cię! Jeżeli za godzinę nie znikniesz z dywizji, zastrzelę jak parszywego psa!

Nędznik nie odpowiedział ani słowa, zawrócił i szybko pobiegł za górę.

Rozglądając się dokoła, ujrzałem nareszcie oficera; był to porucznik Slusarew, człowiek już starszy, po-

wołany z rezerwy. Będąc wyznawcą Tołstoja, opuścił on służbę wojskową przed laty i pracował jako dorożkarz w Symferopolu; był to typ nielada, z wyglądu zbój, w boju dzielny i spokojny. Z jego meldunku dowiedziałem się, że dalszy atak utknął, żadnego kierownictwa niema, gdyż większość oficerów zginęła, a ci, co pozostali, potracili głowy; kompanje się przemieszały, a żołnierze pochowali się po różnych dziurach, gdzie śpią zmożeni tylodniową walką; przeciwnik nie rusza się, ale zasypuje pociskami za każdą najmniejszą oznaką ruchu.

— Kiedy na szczycie zaczęło się bardzo kotłować — zakończył dobrodusznie — myślę, kogo tam djabli niosą, a tu idzie dowódca dywizji...

Przy pomocy Slusarewa, który argumentował przeważnie ciężką lagą, udało się wprowadzić pewien porządek i wznowić natarcie; wkrótce ukazały się nawet grupy jeńców, uciekające galopem od własnych pocisków ku nam. W chwili pożegnania z dzielnym Slusarewem zaszedł przykry wypadek, pocisk rozszarpał młodego chorążego Łapczyńskiego, gdy, otrzymawszy ode mnie rozkaz, odchodził od nas.

Na moim punkcie obserwacyjnym zameldował mi się pułkownik sądowy, przysłany przez gen. Brusiłowa dla przeprowadzenia śledztwa w sprawie „poddania się wczoraj bataljonu 13-ej dywizji". I znowu opanował mnie gniew niepohamowany. Jasne było, że zawdzięczam tę wizytę donosowi koleżki „całującego mnie w cukrzane usta", który hańbę bataljonu swojej dywizji scedował na mój rachunek; nie przebierając więc w wyrażeniach, wyskandowałem pułkownikowi:

— Powiedz pan Brusiłowowi, że, skoro nie było raportu od dowódcy 13-ej dywizji o poddaniu się jego bataljonu, to znaczy, że takiego faktu nie było; wczoraj wystrzelałem za tę zbrodnię bataljon dywizji gen. Januszewskiego, wskazany mi przez kapitana tejże dywizji; śledztwa u siebie prowadzić nie pozwolę.

Widząc me podniecenie i obrazę, zaczął mnie pułkownik uspokajać i perswadować, że to widocznie nieporozumienie, nie nastaje więc na prowadzenie dochodzenia i zamelduje o rzeczywistej sytuacji gen. Brusiłowowi. Przypuszczam, że, czekając przez parę godzin na mnie, musiał słyszeć o mym osobistym udziale w rozgrywających się walkach, i to go dobrze do mnie usposobiło.

W nocy nadeszła wiadomość, że wczesnym rankiem nadejdą posiłki; bardzo mi to dogadzało, gdyż dyszałem ostatkami sił a jednocześnie miałem pewność, że jedno dobre pchnięcie przewróci przeciwnika zupełnie. Prędko jednak nastąpiło rozczarowanie; przysłano mi cztery bataljony świeżo uformowane z marszówek, zupełnie nieostrzelane, pod komendą chorążych tej samej wartości; zaledwie paru oficerów było poprzednio w ogniu. Taka banda była do niczego, postawiłem ją więc w lesie poza doniosłością strzałów artyleryjskich, by mi się nie rozbiegła.

Szóstego dnia ranek rozpoczął się jak zwykle ogniem, w którym stale dużą przewagę miał przeciwnik. Postanowiłem dopomóc pułkowi litewskiemu, wysuniętemu znacznie naprzód, uderzeniem od strony lewego skrzydła na w. Poturzyńce, gdzie przeciwnik zdawał się najsłabszym i leżał niedaleko od pułku bia-

łostockiego; mijały jednak godziny, a natarcie nie rozpoczynało się. Meldunek telefoniczny Sytina brzmiał stale: „Piekielny ogień, niepodobna wyjść z okopów".

Zniecierpliwiło mnie to nareszcie, poszedłem więc skrajem lasu wzdłuż frontu do pułku; wkrótce usłyszałem wzmożony trajkot kulomiotów, widocznie atak się rozpoczął, a rezultaty jego ujrzałem wkrótce. Od strony przeciwnika biegł tłum moich żołnierzy, liczący może dwustu ludzi, popędzanych słabym ogniem szrapnelowym; zatrzymałem bandę na skraju lasu, dałem im wytchnąć parę minut, wywołałem przed front oficera i wszystkich podoficerów, kazałem zorganizować kompanję i przerobić dla obudzenia uczucia karności kilka chwytów broni.

Zrobiono wszystko sprawnie, poleciłem więc porucznikowi poprowadzić kompanję powtórnie do ataku na tę samą górkę, z której zwiali; gdy tyraljera ruszyła, zauważyłem ironiczne spojrzenie porucznika pod moim adresem. Wydało mi się, że czytam w jego oczach: „Zostałeś bezpiecznie w lesie, a nas posyłasz na śmierć!" Nie wytrzymały tego moje nerwy, podbiegłem szybko do oficera, i poszliśmy razem. Falisty teren ukrywał kompanję w pewnej mierze, niebardzo zatem dokuczały pociski, a ogień karabinowy górował ogromnie; gdyśmy zbliżyli się ku okopom przeciwnika o trzysta kroków, pożegnałem porucznika słowami: „No, chyba do roboty bagnetem nie jestem panu potrzebny". Skłonił się nisko i po chwili cała kompanja pobiegła z krzykiem do ataku. Austrjacy nie wytrzymali i uciekli, mając na karku atakujących.

Ale główna robota moja była na lewem skrzydle, poszedłem więc naprzełaj w tym kierunku; w połowie drogi natknąłem się znienacka na okop, w którym siedziało może sześćdziesięciu austrjackich żołnierzy z dwoma oficerami. Moje ukazanie się od strony ich tyłów wprawiło cały okop w osłupienie, niebardzom się ucieszył i ja, ale nadrobiłem miną, wywołałem oficerów i zakomunikowałem, żeśmy już zajęli ich główne stanowisko, oni zaś są odcięci, pójdą więc do niewoli. Mój spokój zaimponował widocznie, może i z tego względu, że byłem uzbrojony tylko w „stick" i lornetkę. Kazałem więc moim jeńcom pozostawić broń w okopie i pójść za mną. Po drodze starszy z oficerów prosił mnie usilnie, by go prędko opatrzono bo został kontuzjowany w ramię; rzeczywiście mundur na ramieniu miał zupełnie poszarpany.

Dostrzegli nas jednak Austrjacy i poczęli popędzać granatami; wypadło więc biec do lasu dobrym kłusem; tu poruczyłem moich jeńców dwom napotkanym sanitarjuszom, sam zaś ruszyłem dalej nie bez pewnych skrupułów, że znowu wdaję się nie w swoje rzeczy, ale widoczne było już, że cała walka rozbiła się na nieskoordynowane epizody, bez możliwości jednolitego kierownictwa.

W pułku białostockim było gorzej, dokuczał nietyle ogień armatni, ile liczne kulomioty; kompanje, mające szturmować, schowały się z głowami na dno okopów, a dowódcę bataljonu, ppułk. Nikitina, znalazłem za trawersem w bardzo niewyraźnym stanie. Zapowiedziawszy mu, że go wyrzucę z dywizji, namyślałem się, co dalej robić, gdy nagle z okopu

austrjackiego wstała długa tyraljera i pobiegła wtył, ciągnąc za sobą dwa kulomioty. Skoczyłem prawie odruchowo na okop, krzycząc: „Naprzód! Austrjacy uciekają!". Kilkudziesięciu żołnierzy wyskoczyło za mną, przebiegliśmy jednak może sto kroków, a zagrał kulomiot. Jak kręgle w kręgielni, zaczęli się przewracać żołnierze; kto zdążył, zapadł w brózdy, ja stanąłem za samotnem drzewem, jednak zauważył mnie Austrjak i począł kuć z kulomiotu w pień, jak dzięcioł. Po raz drugi już w krótkim czasie wydało mi się, że drzewa w Małopolsce są w stosunku do mojej tuszy za cienkie, ale na szczęście kucie ustało po chwili, a ja chyłkiem wróciłem do okopu.

Ruch wsteczny przeciwnika nie ustawał jednak, chociaż wciąż nie posiadał cech ogólnego odwrotu, kazałem więc skupić ogień najbliższych bateryj na tym odcinku i poprowadziłem osobiście ostatni, względnie silny bataljon do ataku; miałem moralne prawo uczynić to, gdyż wygrywałem moją ostatnią kartę, a szansa powodzenia była duża.

Zmieniając tempo ruchu, doszliśmy prawie bez strat aż pod druty kolczaste, a były one wogóle słabe, cięli je więc żołnierze z łatwością. Przeciwnik prawie nie strzelał, duże grupy uciekały na tyły, byłem więc prawie pewny powodzenia, gdy nagle zatrajkotały kulomioty; jakby świst kosy przeciął powietrze, coś mnie zwaliło z nóg, ale bólu nie poczułem. Spojrzałem dokoła — żołnierze padali szeregami, jakieś drobne grupy uciekały, dokoła leżały gęsto ciała zabitych i rannych; gdy się który poruszył, uspokajano go paroma kulami. By mnie nie dobito, leżałem bez

ruchu z przymkniętemi oczyma, patrząc na pykający rytmicznie wylot dobrze zamaskowanej lufy kulomiotu, za którym cieniała sylwetka operującego nim strzelca. Uczucie gorąca w lewej nodze zastąpił coraz to wzrastający, piekący ból; lekko poruszyłem palcami nogi, działały, kość więc nie była strzaskana.

Nie mogłem się zdecydować, co robić dalej; jeżeli dam znak życia, dobiją mnie zapewne, a w najlepszym razie wezmą do niewoli; pierwszego nie chciałem, drugie byłoby ohydne, a tymczasem leżeć do wieczora było niebezpiecznie, południe ledwie minęło, mogłem więc spłynąć krwią. Wrażeń zewnętrznych odbierałem niedużo: widziałem, jak strzelec przy kulomiocie zajadał chleb i zapijał czemś, potem wyglądał przez okop, rozmawiał z drugim żołnierzem, znikł nawet na chwilę; nad głową przelatywały w różne strony pociski, pękały bliżej lub dalej; gdzieś daleko zaczynała się niekiedy bezładna strzelanina karabinowa. Godziny wlokły się nieznośnie, noga ścierpła i ciążyła niezmiernie; słońce piekło, twarze zabitych poczęły czernieć, niekiedy traciłem świadomość.

W pewnej chwili w prawo ode mnie wzmogła się strzelanina; widziałem, jak z ambrazury okopu zabrano tak nieprzyjemny dla mnie kulomiot, słyszałem coraz to powtarzające się wpobliżu ujadanie drugiego, którego dostrzec nie mogłem. Jakiś ruch wśród zabitych zwrócił jednak moją uwagę: z rozpadliny, którą przed paru godzinami przeskakiwałem, ukazały się parokrotnie i znikły dwie brodate twarze; błysnęła myśl, czy nie są to moi żołnierze, gdy się więc jakaś głowa znowu

pokazała, podniosłem nieznacznie rękę, dając znak, że żyję.

Zrozumiałem, że w tej chwili rozstrzyga się mój los; uwaga przeciwnika zwrócona była widocznie w inną stronę, spróbowałem więc odpełznąć do rozpadliny, ale przy pierwszym ruchu ostry ból w nodze zamroczył mnie natychmiast. Pomoc jednak była już bliska; pomiędzy trupami czołgało się ku mnie czterech żołnierzy; pełzli wolno, z przestankami, znaleźli się nareszcie tuż, przesunęli mnie ostrożnie na nosze, złapali zgodnie za drążki i pobiegli co tchu zgóry. Nim padł pierwszy strzał, byliśmy w rozpadlinie i gnaliśmy wcwał, odprowadzeni dwoma pożegnalnemi szrapnelami.

Ogarnęły nas nareszcie opiekuńcze sosny lasu, skończył się bieg forsowny; leżąc na ziemi, jęczeli ze zmęczenia moi zbawcy, a ja narazie osłabłem zupełnie z bólu i wysiłku. Cud, że mnie w czasie tej skocznej rejterady nie wytrzęsiono z noszy, chociaż trzymałem się ich kurczowo.

Zbawcami mymi byli sanitarjusze pospolitego ruszenia, typowe kacapy; ratowali mnie z własnej inicjatywy. Leżąc na skraju lasu, widzieli mój atak i jego niepowodzenie, a jeden z ocalonych żołnierzy objaśnił ich, gdzie ja zapewne leżałem. Podziękowałem serdecznie zuchom, obiecując im dwadzieścia pięć rubli. „To rzecz dobra“ — zauważył najstarszy — „ale nam się należą medale św. Jerzego, za uratowanie swego generała“. Przyrzekłem im i tę nagrodę.

Gdym nieco przyszedł do siebie i napił się wody, odniesiono mnie na punkt opatrunkowy najbliższej baterji, gdzie się mną zajął lekarz. Cholewę od buta

miałem zupełnie poszarpaną przez kule, w nodze lekarz ustalił trzy postrzały—dwa lekkie po kości i trzeci gorszy przez podbicie; zalano mi wszystko jodyną i dano szklankę wina na pokrzepienie, mogłem więc wracać na noszach na punkt obserwacyjny.

Przywitano mnie tam z wielkiem zdziwieniem, uważany byłem „za przepadłego bez wieści", o czem wysłano do wyższej władzy telegram; stanowisko me objął tymczasowo Sytin. Nikt się jednak nie troszczył o organizację ewentualnego ratunku dla mnie, gdyby więc nie poczciwi brodacze, zamarłbym może od upływu krwi. Sytuacja na froncie okazała się niby niezła, nasze bezładne natarcia osiągnęły jednak pewien skutek, przeciwnik wynosił się coraz bardziej za Bug; kazałem więc naciskać w dalszym ciągu, popierając akcję piechoty możliwie silnym ogniem artyleryjskim.

Ledwie skończyłem wydawanie rozkazów, nadeszła zadyszana hr. Szuwałowowa z hr. Kankrinem; dowiedziała się w sztabie dywizji o mej rzekomej śmierci, która, jak zwykle, miała „paru naocznych świadków", pośpieszyła więc na front, brnąc przez duże bagno, by sprawdzić tę wieść. Widząc mnie we względnie dobrem zdrowiu, ucieszyła się zacna kobieta bardzo i wzruszyła mię wprost swą troskliwością; starałem się jednak wyprawić ją zpowrotem jak najprędzej, gdyż błąkało się tu sporo przypadkowych kul, a jedną ofiarę ich ukryto przed chwilą za krzakami.

Po zachodzie słońca bój skończył się Phyrrusowem zwycięstwem. Wyparłem przeciwnika całkowicie z jego stanowisk, wziąłem sporo jeńca, ale ścigać go nie mogłem. Na apelu wieczornym naliczono w dywizji,

bez szkoły podoficerskiej, 13-tu oficerów i 564-ech żołnierzy; naturalnie, zebrało się jeszcze w ciągu nocy sporo maruderów, ale dywizja skończyła się na czas dłuższy.

Powrót do sztabu odbyłem wygodnie na noszach; w nocy zaczęła się naturalnie gorączka i majaczenia męczące na temat przeżyć dnia ubiegłego. Wyczerpało mnie to bardzo. W ciągu dnia następnego bój dogasał tylko, mogłem więc pełnić służbę, leżąc w łóżku; otrzymałem od dowódcy korpusu i armji telegramy nader pochlebnej dla mnie treści z wyrażeniem radości, że żyję. Lekarze zbadali moje rany i ustalili, że tylko jedna kość jest poważniej nadwerężona, nogę zatem można uratować, będę jednak nieco kulał; ewakuacja do Rosji była konieczna, gdyż kuracja mogła trwać ze dwa miesiące.

Pod wieczór odwiedziła mnie hrabina, ofiarowała mi swój samochód sanitarny dla przejazdu do Brodów, proponowała również, bym po kuracji odpoczął w Jałcie u jej siostry, ks. Bariatyńskiej, wkońcu wypowiedziała oryginalną prośbę, bym jej podarował dla muzeum wojennego poszarpany przez kule but.

Następna noc była lepsza, gorączka zmniejszyła się, i obudziłem się z uczuciem pewnej zoologicznej radości życia; dawała mi ją świadomość, że przez kilka tygodni nie będę się szarpał beznadziejnie w tem piekle i będę mógł żyć w warunkach bytu kulturalnego. Wracała chwilami uparta myśl, że jednak okres wojny o Polskę jest przegrany i rozwiązanie nastąpi w innej płaszczyźnie, ale odsuwałem od siebie wszelkie smutne refleksje, wiedziałem, żem spełnił uczciwie swój żołnierski obowiązek do końca; żyłem oczekiwaniem spę-

dzenia pewnego okresu czasu z rodziną, życiem dla siebie, możliwością zapomnienia strasznych wrażeń walk ubiegłych. A utkwiły one silnie w mózgu i nerwach, wyobraźnia wywoływała wciąż wizje męczące, szczególnie zaś dokuczało wspomnienie kośby kulomiotów. Straszna to broń! Nie obchodzi jej już jednostka indywidualna, niszczy całe oddziały. Widziałem, jak kładły się pokotem długie, falujące linje strzelców, niby dojrzałe kłosy zboża, ściętego automatycznym ruchem kosy.

Temperatura była znośna, wyjechałem więc w dobę później do Brodów; po drodze zatrzymał mnie na szosie gen. Kasztalińskij w otoczeniu sztabu i w serdeczny sposób dziękował za służbę ofiarną. „Niestety“ — dodał — „nikt za panem nie poszedł“.

W Brodach umieszczono mnie w szpitalu wojskowym na kilka dni. Odwiedził mnie w tym czasie gen. Brusiłow. Z natury rzeczy rozmowa nasza skupiła się dokoła przyczyn katastrofy na froncie wschodnim: poza faktem ogromnej niższości wyposażenia technicznego armji rosyjskiej, nader ujemny wpływ na przebieg operacyj, zdaniem Brusiłowa, wywarł brak jednolitego kierownictwa na wszystkich frontach i wynikająca stąd niemożność zharmonizowania akcji; potrzeba współdziałania ujawniała się przeważnie w sposób naglący, tymczasem zorganizowanie pomocy na szerszą skalę wymagało często kilku a nawet więcej tygodni, zatem zwykle zjawiała się ona poniewczasie. Ze swej strony, wskazałem na jedną z przyczyn niepowodzeń—niefortunny często skład dowództwa wykonawczego i brak osobistego wpływu na przebieg walk starszych kierowników; dzięki telefonom, wisieli oni

przeważnie przy słuchawkach o kilka kilometrów od frontu, byli stale okłamywani i nie wyczuwali zupełnie rytmu i napięcia walki.

— Chyba pan nie ma siebie na myśli — wtrącił z uśmiechem Brusiłow — życzliwi twierdzą, że pan powozisz, siedząc stale na dyszlu, w czem widzę trochę racji. Zresztą przedstawiam pana do orderu św. Jerzego, ale posiadam raport porucznika pułku litewskiego, Slusarewa, który opowiada szczegółowo o spacerach dowódcy dywizji w tyraljerze.

Przyznałem generałowi połowiczną słuszność, ale zaznaczyłem, że w danym wypadku zsunąłem się z kozła na dyszel tylko dlatego, że ogólne kierownictwo, wobec bierności przeciwnika, nic na tem nie traciło.

Przy pożegnaniu spytałem Brusiłowa, czy był wydany ogólny rozkaz niszczenia kraju przy odwrocie; zaprzeczył, ale przyznał, że wyższa władza patrzyła na to przez palce, używały też poszczególne oddziały, ile chciały, szczególniej w Królestwie. Losy Warszawy były przypieczętowane, lada dzień miała nastąpić jej ewakuacja.

Przykrzył mi się niesłychanie ten postój w Brodach; z nudów czytałem, co się dało. Przyniesiono mi również rosyjską gazetę „Kijowska Myśl“ z opisem bitwy pod Sokalem; przeczytałem korespondencję z pewnem zażenowaniem, przesada wyłaziła z każdego wiersza. Dowiedziałem się np., że już po zranieniu prowadziłem osobiście atak, niesiony na noszach przed szeregami i t. d. Przypomniały mi się z „Omyłki“ Prusa bohaterskie czyny sekretarza magistratu, który dokonał cudów waleczności na jednem skrzydle, jako

kawalerzysta, a na drugiem, jako strzelec. Przypuszczam, że charakter ten nadano korespondencji dla podniesienia ducha ogółu, zgnębionego ciężkiemi przejściami. Komunikat urzędowy był skromniejszy i zupełnie rzeczowy. Do żony wysłałem nazajutrz po wypadku telegram wyczerpujący, byłem więc spokojny, że nie uwierzy bredniom gazeciarskim.

ROZDZIAŁ XVI.

Nareszcie wyprawiono mnie sanitarnym pociągiem do Kijowa. Na stacji oczekiwała mnie żona; bardzo ją wzruszył widok męża, wlokącego się o kulach, wogóle jednak trzymała się dobrze. Ulokowano mnie w szpitalu cywilnym, ale rany goiły się tak dobrze, że pozwolono wkrótce na dalszą kurację w hotelu; fizyczne zdrowie wracało szybko, ale w atmosferze wieści z frontu zginęło jeszcze prędzej uczucie radości istnienia.

* * *

4 sierpnia odeszły arjergardy rosyjskie z lewego brzegu Wisły pod Dęblinem, niszcząc mosty na Wiśle i Wieprzu, a 5 sierpnia opuszczono Warszawę; myśl ta tkwiła mi wciąż w mózgu, truła każdą jaśniejszą chwilę, chociaż próbowałem sobie perswadować, że nastąpiła tylko zmiana jednego najeźdźcy na drugiego. Była to racja, ale zawszeć Prusak był o wiele gorszy i niebezpieczniejszy.

Opowiadała mi żona, że zaraz po ogłoszeniu komunikatu o bitwie pod Sokalem przywitał ją znany publicysta, Władysław Rabski, słowami:

— Nie wiem, czy mam pani wyrazić kondolencję, czy też powinszować...

Innym razem jeden z generałów winszował żonie moich powodzeń wojskowych, krytykował jednak moje zachowanie:

— On ciągle wyłazi naprzód, co jest zupełnie zbędne, a psuje nam (t. j. generałom) sprawę.

Wkrótce kupiłem sobie wygodne kule i przy ich pomocy chodziłem do ogrodu Kupieckiego, gdzie się cieszyłem wspaniałym widokiem cudnego Dniepru, dali zadnieprzańskiej i koncertami symfonicznemi doskonałej orkiestry.

Próbowałem nie czytać gazet, ale nie mogłem dać sobie rady z pokusą. Armje rosyjskie cofały się szybko za Bug; dla Polski było to nawet lepiej, gdyż przy takim odwrocie bez uporczywych walk mniej niszczono kraj; oburzała mnie jednak przymusowa emigracja ludności wiejskiej na wschód. Czemu ją nakazano, trudno zrozumieć; przeciwnikowi nie szkodziło to wiele, obarczało zato Rosję koniecznością żywienia nieszczęśliwych uchodźców, a iluż zginęło w czasie tej opłakanej wędrówki, ile rodzin zrujnowano!

W połowie sierpnia padł Modlin. Fakt ten przypieczętował poniekąd przegraną w Polsce kampanję; z punktu widzenia wojskowego potwierdził on raz jeszcze, że w obecnem stadjum rozwoju techniki beton nie może się mierzyć z bombą. Niemcy wyzyskali naturalnie zdobycie Modlina dla podniesienia nastroju

w kraju, chwalili się, że twierdzę zdobyła szturmem landwera niemiecka; nie było to znowu tak świetne zwycięstwo, wobec przewagi artylerji atakującego i niedołęstwa garnizonu, składającego się wyłącznie z pospolitaków rosyjskich, ciemnych, niewyszkolonych chłopów, ubranych w mundury; słabym również okazał się komendant, gen. Bobyr, chociaż w czasie pokoju prezentował się doskonale, nie potrafił on jednak zginąć z honorem lub przynajmniej walczyć do ostateczności.

* * *

Wkrótce wyjechaliśmy na Krym i zamieszkaliśmy w Jałcie w hotelu „Helena". Było tu więcej niż dobrze: cudowny klimat, wygodny byt, widok z balkonu na lazurowe, lśniące morze. Zaraz po przyjeździe odwiedził mnie generał-gubernator obwodu Jałty, gen. Dumbadze; towarzysko robił on i jego rodzina zupełnie miłe wrażenie, z przekonań był zaciętym, reakcyjnym monarchistą, nie znosił socjalizmu, tępiąc bezwzględnie najmniejsze objawy opozycyjne; zapewne cechy te spowodowały, okazywane mu przez rodzinę cesarską, spędzającą często lato w pobliskiej Liwadji, względy wyjątkowe.

Tu również poznałem emerytowanego gen. Witmera, b. profesora Akademji Sztabu Generalnego, wybitnego pisarza wojskowego, człowieka, pomimo podeszłego wieku, pełnego radości życia i zapału. Interesował się on nadzwyczajnie psychologją wojny, prowadziliśmy więc z nim na ten temat długie, bardzo interesujące dyskusje; bogata bibljoteka specjalna dawała

dużo materjału do naszych sporów, wynikających z różnicy usposobienia: ja byłem wyznawcą strategji metodycznej, on — daleko posuniętego ryzyka.

Wojny w Jałcie nie czuło się prawie, zjazd gości był spory, dużo żądnych zabawy i flirtu strojnych pań, otoczonych młodzieżą; nie psuli nawet wrażenia wesołego dosytu połamańcy wojenni o kulach, łażący po bulwarach; zamarło tylko na oko nocne życie. Z obawy przed wizytą niemieckich krążowników, Emdena i Breslau, nie zapalano wieczorem w mieście latarni, a okna, zwrócone ku morzu, zasłaniano szczelnie; nie wolno było nawet używać na ulicy ręcznych latarek elektrycznych. Bawiono się zatem zwykle do świtu.

* * *

Ustąpił minister wojny, gen. Suchomlinow, zdolny, wykształcony, ale lekkoduch, leniuch i kobieciarz; zastąpił go gen. Poliwanow, solidny, pracowity, zdolny administrator, niestety tylko teoretyk.

A na froncie bojowym pożar szerzył się jeszcze; na terenie Litwy Niemcy opanowali 17 sierpnia twierdzę Kowno, głównie wskutek niedołęstwa komendanta, gen. Grigorjewa, który, mając rok czasu, nie potrafił zorganizować i wzmocnić obrony. Dziwnie nierozważnie postępował sztab generalny, mianując komendantami trzech najważniejszych twierdz — Modlina, Kowna i Brześcia — generałów jazdy, których rodzaj służby nie urobił zupełnie do zadań natury uporczywej obrony, i dużo zawiniło również dowództwo frontu, nie dając twierdzy żadnej pomocy, co nie było nawet

trudne, gdyż Kowno było najmocniejszym odcinkiem frontu i nie traciło z nim łączności ani na chwilę. Mieli obecnie Niemcy otwarty kierunek operacyjny na Petersburg.

Nielepiej działo się na sąsiednim froncie. Armje ewakuowały bez walki twierdzę Osowiec, otoczoną od południa; spełniła ona zresztą swe zadanie przez dłuższy czas. Opuszczono również Białystok, Bielsk, wreszcie twierdzę Brześć; zlikwidowana została więc bez poważniejszego oporu cała linja frontu, który według zasadniczego planu obrony miał być zasadniczą podstawą operacyj armji rosyjskiej.

Pisma rosyjskie starały się pomniejszyć katastrofę i twierdziły, że właściwie przeciwnicy zdobyli tylko dużą połać terenu, nie rozbili jednak armji, która cofnęła się wporę i posiadała oparcie w olbrzymich przestrzeniach rdzennej Rosji. Rozumowanie to nie wyglądało poważnie: oddano Niemcom cały teatr wojny, przygotowany strategicznie, wraz z jego twierdzami i siecią komunikacyjną, armja zaś została uratowana tylko częściowo — duch w niej nadłamał się, znikła wiara w zwycięstwo, a kadry stopniały tyle, że nie można było myśleć o ponownej ofensywie przed upływem kilku miesięcy, tem bardziej, że zaopatrzenie techniczne i materjalne ucierpiało w wysokim stopniu.

* * *

5-go września cesarz objął osobiście naczelne dowództwo, a w. książę Mikołaj został przeniesiony na front kaukaski. Zmiana ta, wywołana intrygami cesarzowej, wrogiej w. księciu, była fatalna. Cesarzowi brak było wykształcenia fachowego, doświadczenia bojowego

i woli, całą nadzieję skupiała więc armja dokoła osoby nowego szefa sztabu, gen. Aleksiejewa, znanego mi dobrze jeszcze z czasów akademickich. Był to dobry fachowiec, bez nadzwyczajnych zresztą zdolności, niesłychanie pracowity, skromny, brzydzący się intrygą, nie miał on jednak silnej woli, pochłaniał ją w znacznym stopniu, tak właściwy najlepszym charakterom rosyjskim, mistycyzm — „szukanie Boga".

* * *

Na froncie ukraińskim wbrew mym oczekiwaniom polepszyło się. Niemcy i Austrjacy zostali 8-go września rozbici pod Tarnopolem, zadano im również porażkę pod Trembowlą; wywołało to szybki odwrót przeciwnika, zdobycie wielu tysięcy jeńców i licznej artylerji. W połowie września walki ustały nad rz. Strypą, Styrem i Dniestrem.

* * *

Prosił mnie parokrotnie gen. Witmer, bym mu przytoczył bardziej wybitne, bohaterskie czyny moich żołnierzy, obserwowane osobiście. Po skrupulatnem przejrzeniu mego archiwum pamięciowego, podyktowałem generałowi zaledwie kilka pięknych czynów męstwa, nie dlatego jednak, by ich nie było, ale z powodu trudności ich obserwacji.

Psyche ludzka objawia się w wojnie tegoczesnej w warunkach niesłychanie ciężkich. Dawniej żołnierze szli do boju w kolumnach, strojni w mundury galowe, z powiewającemi sztandarami, przy dźwiękach kapeli;

zwyciężano lub umierano w obliczu kolegów, w uroku bohaterstwa. Szły później do kraju wieści o czynach wspaniałych, stwarzano o nich legendy, które dawały natchnienie poetom, muzykom. Kto u nas nie zna reduty Ordona, lub poloneza fis-moll Szopena?

Dzisiaj jest inaczej. Wojna utraciła piękno widoczne, blask, barwy, podniety zewnętrzne; żołnierz pędzi przeważnie krecie życie w okopach przez długie okresy, wytrzymuje przez szereg godzin wstrząsający całym systemem nerwowym i psychicznym, straszny ogień swojej i obcej artylerji i potem dopiero prowadzi parogodzinny bój śmiertelny, w formacjach rozproszkowanych w terenie, w głębokich, mrocznych okopach, lub w cieniu nocy. O czynach nadludzkiej odwagi, woli żelaznej, wiedzą zwykle tylko najbliżsi koledzy, którzy za chwilę padną również. Giną więc bez echa bohaterowie, umierają nawet bez tej skromnej pociechy, że potomność uwieńczy ich grób skromnym wawrzynem, że rodziny przechowają z dumą legendę o dokonanym przez ich członka czynie bohaterskim. Właściwie nie istnieje obecnie sława indywidualna żołnierza, lub nawet oficera średnich szarż; pożarła ją mordercza technika, unicestwiła liczba walczących.

Inaczej również wygląda obecnie zwykła odwaga żołnierska. W ubiegłych wojnach wystarczało okazanie męstwa w czasie bezpośredniej walki; obecnie nie wystarcza to, gdyż śmierć czyha na żołnierza stale: czai się podstępnie pod wodą, by jednem uderzeniem zatopić statek, spada jak piorun z błękitnego nieba, zabija nagłym wybuchem miny z pod ziemi, niewidzialna a niepokojąca stoi ciągle przy żołnierzu.

1907

Wrzesień dobiegał połowy, rany zagoiły się, chodziłem już przy pomocy laski wcale dobrze, kończyły się zatem moje wakacje. Opuszczałem Krym z pewnym zawodem. Był on dla mnie, dzięki przedewszystkiem Mickiewiczowi i Moniuszce, krainą wymarzoną, pięknym akordem natury, z gór i morza złożonym. W rzeczywistości nie potrafiłem odczuć głębiej otaczającego mnie piękna; zapewne miałem duszę zbyt zmąconą wizjami ciężkich przejść wojennych. Wyjeżdżałem więc bez żalu, sprzykrzyła mi się bezczynność, pragnąłem wrócić do pracy, a zapowiadała się ona w nowych formach. Armje stanęły za nieskończonemi płotami strategicznemi.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

		Str.
Przedmowa		7
Rozdział I.	Sytuacja polityczna w r. 1914. Twierdza Dęblin. Wybuch wojny	9
„ II.	Wzmacnianie twierdzy. Bezplanowość zarządzeń. Powołanie rezerw. Pierwsi jeńcy. Powołanie na front	14
„ III.	Sytuacja na froncie. 2-ga brygada strzelców. Iluminacje. Walki. Odwrót Austrjaków	33
„ IV.	Marsz pościgowy. Bój pod Lipą. Przykry ranek.	53
„ V.	Sforsowanie Sanu. Nocny marsz. Nowe stanowisko. Zajęcie Mielca. Odwrót	64
„ VI.	Nowy dowódca. Przemarsz na Puławy. Pościg Austrjaków. Bitwa - minjaturka. Bój pod Włostowem.	87
„ VII.	Nastroje w Kieleckiem. Marsz na zachód. Kijów. Bitwa pod Pilicą. Choroba. Walki pod Łodzią. Wyjazd	108
„ VIII.	Warszawa. Wyjazd do Kijowa. Operacja. Legjon Wschodni. W 45-ej dyw. piechoty. Nominacja na dowódcę 13-ej dyw. piechoty	122
„ IX.	Lwów. Gen. Brusiłow. Kapitulacja Przemyśla. W Baligrodzie. Wznowienie walk. Zranienie. Zdobycie Cisny. Opanowanie Karpat	135
„ X.	Na stronie węgierskiej. Wyniszczenie kadrów. Przyjazd hr. Szuwałowowej. Wiosna. Walki	151
„ XI.	Katastrofa pod Gorlicami. Odwrót. Surowe zarządzenia. Lisko. Zasadzka. W Dobromilu	166

Str.

Rozdział XII. Koniec odwrotu. Walki pod Przemyślem. Pierwszy huragan. Gazy trujące. Nowe locum. Ewakuacja Przemyśla 176

„ XIII. Stanowisko pod Mościskami. Strzelanie konkursowe. Strach. Odwrót. Walki. Pożar w Żółkwi. Opuszczenie Lwowa. Krytyczna sytuacja. Zranienie. Odejście za Bug 192

„ XIV. Spokój na froncie. Walki w Lubelszczyźnie. Tyraljera w pojedynkę. Wywczasy. Wyrok na Królestwo 210

„ XV. Wycofanie na tyły. Powrót na front. Walki pod Sokalem. Dezorganizacja dywizji. Zranienie. Wyjazd. 217

„ XVI. W Jałcie. Nastroje. Przymusowa ewakuacja Królestwa. Upadek Kowna i Brześcia. 237

E. DE HENNING-MICHAELIS
Generał W. P.

BURZA DZIEJOWA

PAMIĘTNIK Z WOJNY ŚWIATOWEJ
1914 — 1917

TOM II

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Zakł. Graf. Straszewiczów, Warszawa, Leszno 112.

1928

ROZDZIAŁ I.

Wrzesień kończył się już, gdym jechał na front. Wracałem do szeregów bez zapału, ale z uczuciem głodu pracy i pewnego zrównoważenia duchowego; okresy buntu i zniechęcenia minęły, nastał spokój, podszyty rezygnacją; spłowiałem poprostu.

Głębsze wniknięcie w przebieg spraw wojennych wyrobiło we mnie przekonanie, że wojna na froncie wschodnim jest nie do wygrania. Niemcy górowały nad Rosją nietylko techniką wojenną, nieporównanym składem oficerów, wykształconych, energicznych, zaciekłych w wykonaniu postawionych im celów, ale i duchem narodu; armja zaś tkwiła głęboko swemi korzeniami w ziemi ojczystej, czerpała z niej siły moralne, żądzę zwycięstwa. Przypuszczałem więc, że zadania strategiczne armji rosyjskiej ograniczą się do przetrzymywania przed sobą maximum sił niemieckich, czyli obrony czynnej, główna zaś akcja zostanie rozegrana na froncie zachodnim. Jako Polak, wolałem to nawet; dość niszczących fal wojennych przewaliło się już przez polską ziemię...

Sprawy wojenne na zachodzie przedstawiały się zresztą niezbyt pomyślnie; front stopniowo zasklepił się od zimy beznadziejnie, manewry i starcia armij na-

brały cech ruchu molekularnego; duch narodu francuskiego i jego sprzymierzeńców utrzymywał się nadal na wysokim poziomie, ale techniczne zaopatrzenie szwankowało wciąż, wskutek opanowania przez Niemców najbardziej przemysłowych okręgów Francji. Nie liczyłem więc na prędkie i zdecydowane zwycięstwo aljantów w polu otwartem; należało oczekiwać tu gry na wyczerpanie, która dla mocarstw centralnych, blokowanych coraz ściślej, była bardziej niebezpieczna, niż dla ich przeciwników, mających w odwodzie przemysł i zasoby żywności całego świata.

VII-my korpus, do którego wróciła nareszcie 13-ta dywizja, zajmował odcinek frontu na Wołyniu; sztab korpusu rezydował w historycznym zamku Wiśniowieckich. Spotkanie z dowódcą korpusu, gen. Ekkiem, było prawie serdeczne; znałem go dobrze z Warszawy, ceniłem zawsze, jako człowieka dobrego, o dużej, europejskiej kulturze, zdziwiła mnie jednak osoba szefa sztabu, gen. Łazarewa; był on ruiną z powodu ciężkiej choroby nóg i nie nadawał się zupełnie do służby na froncie. Armją naszą dowodził gen. Szczerbaczew, dobry strategik i dżentelman. Warunki służby zapowiadały się zatem dla mnie pomyślnie.

Moja dywizja zajmowała odcinek frontu długości dwudziestu wiorst, wzdłuż rz. Ikwy, od Komarynia do Roztoki i dalej na południe do Horyńki; sztab dywizji gnieździł się we wsi Zaleście, zajmując pustą szkołę na skraju dużego wąwozu, w którym skryła się wieś. Mój zastępca, gen. Piłkin, zachorował natychmiast po moim przyjeździe i wyjechał; miałem wrażenie, że nie dogadzała mu rola „wikarego“ — trudno,

nie dorósł jeszcze do probostwa. Drugi pomocnik, gen. Lichaczew, rozkleił się nerwowo do tego stopnia, że nie nadawał się zupełnie do pracy; nie posłużyło widocznie staruszkowi świeżo zawarte małżeństwo. Szefa sztabu jeszcze nie było, chociaż posada wakowała od dwóch miesięcy; Ekk wspomniał mi z miłym uśmiechem, że paru kandydatów odmówiło z powodu „ostrego charakteru dowódcy dywizji". Naturalnie, opinję tę wyrabiał usunięty przeze mnie, niefortunny pułk. Lebiediew. Faktycznie znalazłem się więc bez pomocników. Inspekcję frontu zacząłem natychmiast. Miejsce sztabu dywizji było źle obrane, do lewego skrzydła miałem szesnaście wiorst okolicą falistą, po złych i bałamutnych drogach; przy pierwszym wyjeździe zabłądziłem po nocy pomimo pomocy spotkanego popa dywizyjnego, który znał niby drogę, kazałem więc na skrzyżowaniu dróg postawić drogowskazy.

Nasze vis à vis — kochane Austrjaki leżeli od nas przeważnie o wiorstę i zachowywali się grzecznie, tylko od klasztoru Poczajowskiego dolatywały często zupełnie zresztą nieszkodliwe pociski. Na prawem skrzydle przedzielała nas od przeciwnika rz. Ikwa i dwa jeziorka, jadałem więc często szczupaki i karpie; na mocy niepisanego, obustronnego układu nie strzelało się do idących po wodę lub łowiących ryby.

Miałem dwóch nowych dowódców pułku; niebardzo mi się podobali. Jeden — pułk. Tarbiejew robił wrażenie kulturalnego człowieka, ale musiał być łagodny i był stanowczo za gruby, nie mógł więc być ruchliwym; drugi — pułk. Wasiljew wydał mi się odrazu kombinatorem, nie posiadającym żadnych cech

rycerskich, ani poczucia odpowiedzialności; sprawdziłem to wkrótce przy zwiedzaniu stanowiska pułku.

Uderzyło mnie, że przed jednym z odcinków sterczał pagórek, skracający ostrzał do dwustu kroków, stąd zatem można było zawsze oczekiwać jakiej niemiłej niespodzianki. Spytałem więc Wasiljewa, czemu nie wysuwa okopów na szczyt, ale pułkownik uznawał to za niemożebne, gdyż Austrjacy trzymali to miejsce stale pod artyleryjskim ogniem krzyżowym; nie dowierzając meldunkowi, postanowiłem sprawdzić osobiście sytuację na miejscu. Naturalnie pułkownik zaczął mi wymownie odradzać ze względu na rzekome niebezpieczeństwo, ale próbowano mnie poprzednio tyle razy straszyć, że nie uwierzyłem; w asyście wywiadowcy, dobrze znającego teren, wysunąłem się spokojnie za druty i dopiero wpobliżu wierzchołka wypadło nieznacznie wciągnąć się, leżąc, na sam szczyt.

Dostrzeżono nas jednak natychmiast i przywitano dwoma granatami, zapadliśmy więc w jakimś leju, ale ogień nie ustawał i pociski zwarły się dokoła; miałem oczy pełne piasku a płuca dymu, położenie stawało się zupełnie przykre. Nagle mój wywiadowca wyskoczył z leja na otwarte miejsce i pobiegł lekkim truchcikiem wzdłuż wzgórza, ciągnąc za sobą ogień przeciwnika; jasne było, że poświęcał siebie, by mnie uratować, śledziłem więc z największym niepokojem ruchy dzielnego żołnierza. Nareszcie upadł i zniknął mi z oczu; czy go zabito, pozostało dla mnie narazie pytaniem bez odpowiedzi, ale nie miałem czasu na dłuższe odruchy sercowe, skorzystałem więc z dywer-

sji, by przejrzeć przedpole, i po kilku minutach zsunąłem się, tym razem niepostrzeżenie, na zakryte zbocze.

Powrót do okopów był zupełnie spokojny. Zauważyłem, że miny żołnierzy, obserwujących mój manewr, wyrażały sympatję i uznanie, zato pułkownik był zupełnie skonfundowany; nie dając mu przyjść do słowa, kazałem opanować w ciągu najbliższej nocy wzgórze, gdyż z niego otwierał się doskonały ostrzał na dolinę rz. Ikwy, zaznaczyłem również, że zwykle największe trudności stwarza brak inicjatywy u dowódcy. Ku wielkiej mej radości wrócił po chwili wywiadowca; nie zraniono go nawet, ukrył się w najgorszej chwili w jakimś leju. Podziękowałem serdecznie zuchowi za mężny czyn i obiecałem mu order św. Jerzego. Gefrejter ten nazywał się Piekarz, był rodem z Homla a z pochodzenia Żydem. Nazajutrz meldowano mi wczesnym rankiem, że wzgórze zostało zajęte i jeden bataljon okopuje się na niem pod silnym ogniem przeciwnika.

* * *

Po parodniowych spacerach wzdłuż frontu urządziłem sobie święto obcowania z naturą. Jesień złota była w pełnym rozkwicie, do okna mego zaglądały krwawe grona jarzębiny, a na dnie wąwozu mieniła się w słońcu wieś jaskrawemi barwami sadów; pogoda była śliczna, niebo głębokie, niebieskie, w powietrzu cisza zupełna i upajająca słodycz; z pagórka sąsiedniego oko biegło ku zachodowi przez rozległą, falistą okolicę aż ku potężnemu klasztorowi Poczajowa, a dalej jeszcze zatrzymywało się na strzelającej wy-

soko ku niebu wieży katolickiego kościoła w Podkamieniu. Dwa światy — dwa kontrasty.

* * *

Wsie poza linją bojową nie były wyludnione, uciekła tylko administracja i duchowieństwo prawosławne. Zareagowałem na tę nikczemność w odpowiedniem piśmie do władzy, wprowadziłem swoją policję a pułkowym popom kazałem odprawiać nabożeństwa po cerkwiach wiejskich, co bardzo dogodziło chłopom.

* * *

Dywizja liczbowo była silna, miała nawet sporo oficerów, ale wszystko to było jeszcze półfabrykatem, wypadło więc zabrać się energicznie do gruntownego przeszkolenia żołnierzy i mniejszych jednostek bojowych. Zaznajamiając się bliżej ze sprawami pułków, natrafiłem na parę podłostek, popełnionych w czasie mej nieobecności dla wyróżnienia, niezasługujących na to, faworytów sztabu korpusu, który protegował specjalnie najgorszy w dywizji pułk litewski ze względów natury prywatnej, przy życzliwej tolerancji Ekka. Naturalnie zepsułem tym panom nieczystą grę; nie znoszę protekcji i protegowanych.

* * *

W drugiej połowie września obudzili się aljanci na zachodzie. Postanowili oni przerwać niemiecki front, uderzając w podstawy łuku, zagrażającego Paryżowi na północ od Arrasu i na wschód od Reimsu; zgromadzono więc olbrzymią artylerję, ulepszono ko-

munikację, przygotowano wreszcie natarcie kilkoma miljonami pocisków. Atakowały Niemców dziesiątki najlepszych dywizyj, a jednak po trzech dniach walk przerwano front zaledwie na przestrzeni 25 km., dalsze natarcie zaś zatrzymały korpusy niemieckie, przewiezione szybko z rosyjskiego frontu. Operacja ta wykazała raz jeszcze znakomitą sprawność niemieckiej sieci kolejowej i fatalne skutki nieskoordynowania działań aljantów na obydwóch frontach.

* * *

W początku października zaprosił dowódca korpusu mnie i dowódcę 34-ej dywizji, gen. Gutora, na dyskusję informacyjną; okazało się, że w północnej części naszego frontu, nad rz. Styrem, gromadzili Niemcy duże siły, czyto w przewidywaniu ewentualnego natarcia Rosjan na Kowel, czy też w celu zaatakowania 8-ej armji w kierunku Równego. Ostatnie przypuszczenie wydało mi się wątpliwe, pora roku była już spóźniona, a wołyńskie drogi potrafią zahamować jesienią wszelki rozpęd. My mieliśmy stać w miejscu.

Po śniadaniu zainterpelowałem Ekka co do zaprojektowanych w czasie mej nieobecności awansów i nagród oficerów mojej dywizji, prosząc o wstrzymanie decyzyj aż do mego wyjaśniającego raportu, gdyż dopuszczono się paru niesprawiedliwych wyróżnień; moje zastrzeżenie zaskoczyło nieprzyjemnie generała, spochmurniał i stracił zwykłą uprzejmą rozmowność, a gen. Łazarew bez słowa wyszedł natychmiast z pokoju. Nic to, wolałem odrazu postawić kwestję ja-

sno — w dywizji chciałem być samodzielnym gospodarzem.

Wywiadowcy złapali przed frontem austrjackiego żołnierza, podrzucającego paczki proklamacyj, podburzających moich żołnierzy; kolporter został natychmiast rozstrzelany, o czem zawiadomiono przeciwnika pismem w trzech językach pisanem. Oręż ten wyłączam z liczby broni godziwej w walce orężnej.

* * *

Roboty było bardzo dużo, dywizja ogromnie zaniedbana, brak odpowiednich pomocników w pułkach. Dobrym dowódcą był tylko Andguładze, spędzałem więc co drugi dzień w oddziałach; zmuszałem wszystkich do wytężonej pracy, poprawiałem, uczyłem, monitowałem. Raziło mnie poprzednio, gdy określano żołnierzy jako „materjał ludzki", obecnie zrezygnowałem z wysokich aspiracyj, gdyż poziom duchowy rosyjskiego chłopa, ledwie obciosanego w kadrach, był niesłychanie niski, nie mieliśmy więc żadnej możności uczynić go tu na froncie żołnierzem uświadomionym patrjotycznie. Kładłem więc przy szkoleniu główny nacisk na przygotowanie fachowe i żelazną karność.

Bezpośrednia komunikacja z frontem była ciągle przykra, wypadało dochodzić krętemi, długiemi przekopami. Ukrywały one z głową, zapewniały bezpieczeństwo, ale przykrzył się ogromnie spacer po takich szparkach, nie widząc nic dokoła, a gdy spadł deszcz, miało się pod nogami gęste, lepkie błoto; wtedy najczęściej nie wytrzymywałem i szedłem naprzełaj.

Przeciwnik zwykle nie zwracał uwagi na samotnego przechodnia, uchodziło mi to więc bezkarnie.

* * *

Z początkiem października zamyśliła się przyroda, niebo zbladło, słońce było jakieś roztargnione, drzewa poczęły otrząsać z siebie jaskrawy strój jesienny; barwne kobierce zaległy ścieżki i trawniki, pola opustoszałe ogłuchły i tylko mgła włóczyła się po ścierniskach. Niejasna tęsknota zajrzała do duszy. Wkrótce zaczął mżyć typowy kapuśniaczek, zabłocił drogi do niemożliwości i uwięził mnie w domu; odrabiałem z furją nienawistną mi, papierową robotę, można było od niej wprost dostać niestrawności. Należało to właściwie do szefa sztabu, ale nie było go wciąż. Dla urozmaicenia prowadziłem pedagogiczne rozmowy telefoniczne z pułkami.

Przyjmowałem gościa, oczekiwanego bez najmniejszego zachwytu; był to archirej miejscowy, nie byłem więc bardzo pewny, o czem tu rozmawiać z takim duchownym dygnitarzem. Spotkał mnie jednak miły zawód, gość mój spędził poprzednio dwa lata w Rzymie, jako proboszcz cerkwi poselskiej; mówiliśmy zatem dużo o Wiecznem Mieście. Ode mnie pojechał archirej do sąsiedniej dywizji, gdzie doznał nader niegościnnego przyjęcia od dowódcy dywizji — Rosjanina!

Był u mnie również inspektor artylerji korpusu, gen. Romiszewski, dla wyjaśnienia nieporozumienia. Przed paru dniami zwiedzał on stanowiska mojej artylerji, krytykował i dawał wskazówki obowiązujące,

które następnie streścił w niedość grzecznem piśmie, do mnie skierowanem; zareagowałem natychmiast ostro, zaznaczając, że przyjmuję wskazówki tylko od właściwych dowódców, do których inspektor artylerji się nie zalicza; dzięki uspokajającej polityce dowódcy korpusu, incydent skończył się jednak zupełnie pokojowo.

Dano mi do przejrzenia list żołnierski, w którym znalazł się następujący ustęp: „Kłaniam się Wam, Marjo Michajłowno, i naszemu gospodarzowi, Wasylowi Pantolejmonowiczowi, całuję Was w niebieskie oczki, ciemne brewki, małe rączki"... I pomyśleć, że zdobył się na taki liryzm chłop od pługa wzięty, żonaty od lat dziesięciu; „gospodarzem" był synek sześciomiesięczny.

Z Kijowa nadeszła od żony sążnista reprymenda, że „chodzę pod szrapnelami, jak po Kreszczatiku..." „Nabujał" o tem pułk. Sytin i to podwójnie — Austrjacy strzelali teraz wyłącznie granatami, a zresztą Sytin wyjechał na urlop w dwa dni po moim przyjeździe i nie chodził ze mną zupełnie po okopach.

Pogoda znowu piękna; w słońcu było tak ciepło, że jadaliśmy obiad na powietrzu; w nocy jednak mieliśmy 2° mrozu. Włóczyłem się po całych dniach; przeciwnik chyba zasnął, nie słychać było nawet dalekich strzałów, wobec tego wylazłem „na całego" z katakumb i chodziłem spokojnie obok okopów, tym razem jakgdybym spacerował po Kreszczatiku. Panowała zresztą i u nas senna atmosfera, postanowiłem więc ożywić trochę nudę i sprawdzić sprawność mojej linji bojowej. Wywiad mój wypatrzył przez lunety, dokąd jeżdżą stale u Austrjaków ordynansi, wywnio-

skowaliśmy więc, że tam stoi sztab; w tym kierunku wstrzelono trzy baterje, ale nieznacznie, by nie wzbudzić niepotrzebnej czujności; a gdy nadeszła noc, zagrały nagle austrjackiemu sztabowi moje armaty; jednocześnie piechota, nie wychodząc z okopów, symulowała ogniem kompanijnym atak.

Po paru minutach rozigrały się żywioły. Austrjacy omal nie poszaleli, baterje ich poczęły kropić salwami na ślepo w przestrzeń, zagrały dziesiątki kulomiotów, myślano widocznie, że to początek ataku; kule szły tak wysoko, że słyszało się ich roje, lecące wysoko nad głowami. Przypuszczam, że sztaby, rezerwy i tabory przeciwnika miały się nieźle, bo nie żałowałem pocisków, których tym razem miałem dość. O 1-ej w nocy wstrzymałem pseudoatak, ale przeciwnik strzelał jeszcze ze dwie godziny. Moje straty — 2 zabitych i 16 rannych. Nazajutrz pojmany Austrjak zeznał, że w ciągu nocy wzmocniono ich front o półtora pułku — to dobrze, gdzie indziej będzie ich mniej!

Nazajutrz uśmiałem się serdecznie z figla, urządzonego samorzutnie przeciwnikowi przez moich żołnierzy: w nocy przywiązali oni mocno podwójny drut do austrjackich drutów kolczastych, drugi koniec jego namotali na koło niefunkcjonującego młyna wodnego i puścili je w ruch; drut zaczął się stopniowo nawijać na koło i wyciągał palik po paliku, aż póki się nie urwał. Austrjacy początkowo byli zdziwieni, strzelili nawet parę razy, słysząc jednak w naszych okopach wybuchy śmiechu, dali pokój, ograniczając się do przyjacielskiego wygrażania pięścią.

Praca w pułkach posuwała się dobrze, żołnierze wyglądali zuchowato, patrzyli wesoło, dywizja wzmacniała się z dniem każdym. Schowałem więc narazie do lamusa me „grzmoty Jowiszowe“ i chętnie uśmiechałem się do moich zuchów. Polubiłem bardzo odkomenderowanego do dywizji podkpt. Djakonowa, sapera, który, pragnąc dzielić niebezpieczeństwo z bratem, oficerem pułku wileńskiego, porzucił spokojne stanowisko w Sweaborgu i przyjechał do mnie.

Ale gdzie są światła, muszą być i cienie. Oddałem pod sąd porucznika Lebiedińskiego, który po pijanemu nie spełnił rozkazu dowódcy bataljonu; groziła mu kara śmierci i został na nią skazany, ale gen. Iwanow zastąpił ją degradacją na szeregowca. Słaba kara!

Przyjechał do dywizji gen. Ekk, chwalił bardzo przeszkolenie oddziałów i spytał na pożegnanie, ile bojowych nagród posiadam; odpowiedziałem, że otrzymałem dotychczas tylko jedną — złotą szablę. Wywołało to zdziwienie mego pryncypała i komentarz, że wynikło to widocznie z powodu parokrotnego przerzucania dywizji z jednego korpusu do drugiego. Nazajutrz zakomunikował mi Łazarew, że zajęto się tą sprawą; podziękowałem naturalnie, ale bez wielkiego zapału, bo poza orderem św. Jerzego mało mi zależało na innych dekoracjach.

W połowie października odwiedziła mnie hrabina; było to prawdziwe poświęcenie, wypadło jej jechać do mnie półtorej godziny, po nader wyboistej drodze przez pagórki i wąwozy. Przyjechała z interesem; zbliżało się Boże Narodzenie, zamierzała więc zacna dama obdarować prezentami całą dywizję i radziła się, co ma ku

pić. Naturalnie na pierwszem miejscu postawiłem orkiestrę, złożoną z bębenka, harmonji i bałabajki; słuchając przez czas dłuższy takiego zespołu, można dostać abominacji do muzyki, ale w okopach ujdzie i taka kakofonja. Ponieważ prezenty liczyć się będą na tysiące, będzie to kosztowało ofiarodawczynię kilkadziesiąt tysięcy rubli, ale ma ona na to, jest najbogatszą kobietą w Rosji i to — bezdzietną.

* * *

Znany publicysta Władysław Rabski wyjechał do Szwecji, na pewno w celach politycznych. Przypisywałem temu głębokie znaczenie; z kruchych wiadomości, podawanych w pismach rosyjskich i listach prywatnych, można było wywnioskować, że Warszawa w ostatnich dniach przed wejściem Niemców nie była zupełnie zasmucona. Odezwało się to we mnie przykrym zgrzytem, bo nie mogłem sobie wyobrazić bardziej ciężkiej sytuacji, niż obecność zwycięskich Prusaków w samej stolicy; z drugiej strony, przyznać należało, że ten nastrój Warszawy został wywołany przez ohydną reakcję, toczącą rząd rosyjski. Szaloną omyłką a nawet zbrodnią była zwłoka w ogłoszeniu autonomji Polski; postarał się o to ekstrakt rosyjskiej przewrotności biurokratycznej, któremu na imię — Goremykin. Naturalnie próbowały wyzyskać tę sytuację w Polsce elementy zaustrjaczone...

* * *

Pod Czartoryskiem, niedaleko Słucka, przetrzepano przeciwnika, zmuszając go do pośpiesznego od-

wrotu. Jeżeli na miejscu były świeże siły do ścigania, możliwe było dalsze posunięcie się naprzód, jak daleko — chi lo sa?!

* * *

Trzy tygodnie minęło od czasu mego powrotu do dywizji, a sytuacja była wciąż bez zmiany. Gdy była pogoda, krążyłem po froncie, w czasie słoty odrabiałem w domu papierowe „godzinki". Wrastaliśmy coraz bardziej w ziemię, wzmacnialiśmy się w głąb; myśl o wojnie „błękitniała" jednak, bo u nas panował głęboki spokój, niekiedy tylko błysnął, jak iskierka w ciemni, jakiś drobny epizod bojowy. Np. wydawało mi się, że się przed nami przeciwnik zmienił, kazałem więc urządzić zasadzkę; wpadło w nią kilku Węgrów, bronili się jednak zaciekle; w czasie walki schwycił węgierski podoficer za karabin mego żołnierza, ten trzymał go tylko jedną ręką, gdyż w drugiej miał ręczny granat z trzonkiem, i walił Węgra tym granatem po głowie, aż póki go nie ogłuszył. Dziwne jednak, że nie nastąpił wybuch, zostałyby z obydwóch walczących tylko strzępy.

ROZDZIAŁ II.

20-go października mieliśmy u dowódcy korpusu naradę. 34-ta dywizja chciała natarciem na przeciwnika ulepszyć swe stanowisko; na mnie wypadło zadanie drugorzędne: zabezpieczyć czynnie prawe skrzydło atakujących i przytrzymać na swym froncie rezerwy au-

strjackie. Wymagało to naturalnie energicznego współdziałania, miałem więc okazję sprawdzenia rezultatów pracy nad przeszkoleniem dywizji.

W pierwszym okresie walki niepokoiłem tylko przeciwnika artyleryjskim ogniem i pozornemi ruchami piechoty na mem prawem skrzydle; z chwilą jednak, gdy 34-ta dywizja przełamała pierwszą linję okopów austrjackich, rzuciłem do ataku na swem lewem skrzydle trzy bataljony pułku wileńskiego. Uderzenia dokonano z wielką brawurą, przerwano dwanaście rzędów drutu kolczastego i opanowano wieś Łopuszno; do walki wręcz doszło tylko miejscami, przeważnie Węgrzy nie dotrzymali i zbiegli; zapalczywy pościg zapędził jednak moich żołnierzy za daleko, dostali się nareszcie w kleszcze, z których wyszli z trudem. Skromny ten epizodzik dał nam jeńca w ilości 12 oficerów i 800 żołnierzy; zdobyto również 2 minomioty i 4 bombomioty; pułk stracił 300 ludzi. Opanowanie Łopuszna ulepszyło mi znacznie obstrzał. 34-ta dywizja zajęła potrzebną jej linję i wzięła do niewoli 5 tysięcy jeńca oraz 2 bombomioty.

Nazajutrz poszedłem obejść zdobyty teren, i znowu wbrew opinji pułk. Wasiljewa, że tam „piekło"; nasłuchując przez kilka minut, sprawdziłem, że strzelają rzeczywiście, ale daleko było nawet do czyśćca, powiedziałem więc Wasiljewowi, iż nie widzę dużego niebezpieczeństwa *dla siebie*, jemu zaś pozwalam zostać. Zdetonował się i poszedł ze mną, ale w polu otwartem odsadził się zaraz wbok o jakie trzysta kroków. Wbrew rannemu meldunkowi, teren nie był jeszcze uprzątnięty; gęsto leżały trupy, setki karabinów,

skrzynki z amunicją, partje ręcznych granatów, zwoje drutu kolczastego, a w zdobytych okopach natrafiłem na jakieś dwa nabite dziwolągi. Zniecierpliwiło mnie to nareszcie i spytałem pułkownika, czy nie widzi czasem pewnego rozdźwięku pomiędzy złożonym meldunkiem a rzeczywistością; z przykrością skonstatowałem raz jeszcze, że każdego nowego pułkownika muszę uczyć elementarnych zasad dowództwa. W Łopusznie znalazłem dużo budulca, papy, cementu, widocznie Austrjacy mieli zamiar urządzić się tutaj wygodnie na zimę; tu również pokazano mi bardzo już posuniętą ku nam, wykończoną galerję minową, z gotową komorą wybuchową. Po drodze otrzymaliśmy pod naszym adresem zaledwie kilka szrapneli.

Po powrocie zademonstrowano mi zdobyte minomioty. Prawdę mówiąc, nie wiedział nikt z nas, co to jest — niby krótki, prymitywny moździerz o długim pocisku, sterczącym z lufy; drogą rozumowania zdecydowaliśmy, że to są właśnie minomioty. Przed paru dniami rzuciły one do naszych okopów parę ogromnych nabojów, które leciały tak wolno, że je żołnierze widzieli; wybuch ich wywołał olbrzymie leje.

Po bitwie zaznaczył się pewien niemiły sąsiedzki zgrzyt: gen. Gutor podał w swym raporcie, jakobym nie dał mu odpowiedniej pomocy; naturalnie udowodniłem z największą łatwością, że to fałsz a meldunek był lekkomyślny; uznał to Gutor i przyjechał przeprosić mnie osobiście, zaś Ekk wydał rozkaz z podziękowaniem nam obydwom za energicznie prowadzoną walkę i wzajemne poparcie.

* * *

Niedaleko Łopuszna znajdują się historyczne błonia, zroszone dwukrotnie krwią polską. Tu w końcu piętnastego wieku garstka polskich rycerzy została zniesiona przez Tatarów, tu w dwadzieścia lat później hetman Kamieniecki i Konstanty Ostrogski rozgromili Tatarów krymskich.

* * *

Przeniosłem się do Rydomla; siedziałem teraz w centrum dywizji, łatwiej mi więc było dowodzić, orjentowałem się tu również lepiej w odgłosach z frontu. Miałem nawet w swoim pokoju w oknach wszystkie szyby, w Zaleściu zabrakło ich, jakiś przelatujący figlarz wybił nam bombą wszystko szkło; w Rydomlu zamieszkałem również w szkole, a utensylja miejscowe, szafy i tablice, znalazły zastosowanie jako stoły kancelaryjne.

W dniu przenosin ocknęli się Austrjacy i zapragnęli odebrać terytorjum zdobyte. Narazie sąsiad, na którego skierowano główne uderzenie, zmieszał się nieco, ale wkrótce opanowaliśmy sytuację, wyrzucając zpowrotem nieproszonych gości. Pozostawili nam do pochowania paręset trupów, moje straty były nieznaczne. Przekonałem się raz jeszcze o dziwnym instynkcie kruków i wron: zjawiają się one zawsze w dużej ilości na parę dni przed walką w oczekiwaniu żeru i znikają natychmiast po oczyszczeniu pola bitwy.

* * *

Natężenie pracy zmiejszyło się, wszystko już obejrzane, odpowiednie wskazówki zrobione, trzeba

było teraz dać czas oddziałom wcielić je w życie; miałem więc obecnie tylko udrękę papierową, którą mnie raczył sztab, sanitarjat, intendentura, ale zato żołnierz był dobrze zaopatrzony na zimę i syty.

Brak mi było bardzo samotności, przez drzwi mego pokoiku słyszałem każde słowo, wypowiedziane w ogólnej sali, gdzie się mieścili moi oficerowie. Póki wrzała praca myślowa, nie było czasu na refleksje duchowe, ale w okresach odpoczynku powstawały w duszy różne męczące zgrzyty, uciekałem więc w pole, błąkałem się po ścierniskach aż do zmęczenia, ale nie uspokajało mnie to. Natura usnęła, zimny wiatr tylko hulał nad ziemią. Wolałem spacery przy księżycu; mieliśmy teraz pełnię, ślicznie srebrzyły się w poświcie księżycowej, okryte białym szronem, zagony, cicho płynęły poza lekką pajęczynką powietrzną pierzaste obłoczki, ale i tu psuła mi nastrój myśl, że w taką noc żołnierze pracujący są więcej narażeni; przeniosłem więc roboty bliżej świtu.

* * *

Dzień Wszystkich Świętych i Zaduszki spędziłem smutnie; napróżno czekały w tym roku drogie mogiły w kraju na zwykłe dowody pamięci i czci; odczytywałem po raz nie wiem który, cudny opis Zaduszek na wsi z „Chłopów“ Reymonta. Zwiedziłem urządzony przez hr. Kankrina cmentarzyk wojskowy, gdzie każdy zmarły miał własną mogiłę i krzyż z nazwiskiem; na takie zbytki można sobie pozwolić tylko w okresie spokoju na froncie; zamiłowanie do opieki

nad grobami nadało hrabiemu i mnie również przezwisko: „croque mort'ów".

Przyniesiono mi starą gazetę „der Tag", znalezioną przy zabitym oficerze; przeczytałem w niej artykuł jednego z filarów katolickiej partji centrowej w Niemczech, Erzbergera, w którym nawoływał on do prowadzenia wojny z największem okrucieństwem, gdyż w systemie tym tkwi zasada największej humanitarności; zburzenie całego Londynu, zdaniem autora, jest bardziej ludzkie od pozostawienia jednego Niemca na polu walki bez pomocy; następstwem zastosowania tak radykalnych środków byłoby prędkie zawarcie pokoju; za każdy pochwycony okręt niemiecki należy zburzyć jedno miasto angielskie, wszystkie środki do osiągnięcia zwycięstwa są dobre... I ten potwór nazywał się chrześcijaninem-katolikiem!

* * *

Jak zwykle po pełni, przyszła odmiana; po niebie rozwlekły się ciężkie, ołowiane chmury, ukryły szczelnie słońce, ściemniał świat, nadleciały zimne wiatry, zaczęły prószyć śniegiem lub na odmianę dokuczliwym deszczykiem; ku nocy wyśpiewywała wichura w kominie takie symfonje, że zdawały się one nieraz wyciem zbliżającego się ciężkiego pocisku. W okopach musiało się jednak dziać nietęgo; poszedłem sprawdzić: rzeczywiście, w pułku wileńskim nie zrobiono dla żołnierza od czasu mojej ostatniej bytności prawie nic, w rowach komunikacyjnych było takie błoto, że musiałem kilkakrotnie iść naprzełaj polem, to samo robili i żołnierze, narażając się bez potrzeby.

Naturalnie zmęczyłem się bardzo, poczęła nawet krwawić noga, dostał więc pułkownik ostry „monit"; przyjechał nazajutrz z wizytą pokutną, ale nie przyjąłem go, za dużo kondemnatek zebrało się na tym panu. Plotka sztabowa doniosła mi, że Wasiljew nazwał mnie w irytacji „sentymentalnym tygrysem", dobrze, że nie gorzej; język rosyjski jest w tym zakresie bardzo urozmaicony i soczysty.

Wyjechał się leczyć gen. Łazarew, zastępował go szef sztabu 34-ej dywizji, bardzo wrażliwy na sytuację taktyczną tej dywizji; ciągle im coś groziło, wciąż mieli za mało własnych sił, kurczyli więc swój front, a rozciągali mnie do niemożliwości; nareszcie przebrali miarę, i warknąłem tak ostro, że mi dali spokój.

* * *

5-go listopada mieliśmy niepożądane urozmaicenie: przeciwnik przemówił dobitnie huraganem ciężkich pocisków, skierowanych na stanowisko jednego bataljonu; okopy jego zostały zrównane z ziemią, zasypano sporo ludzi, ale bataljon wytrwał na stanowisku, odpędził ogniem nacierających Austrjaków i odkopał większość zasypanych żołnierzy. Kosztowało to nas jednak przeszło sześćdziesięciu ludzi. W końcu bombardowania znalazłem się na zagrożonym odcinku; atak już był odparty, wrzała gorączkowa robota przy naprawie rozrzuconego okopu; felczerzy pracowali nad cuceniem odkopanych żołnierzy; w czasie huraganowego ognia obrońcy ukrywali się w głębokich, krytych schronach, stłoczeni w ciemni w niesłychanym zaduchu, słuchając pękających nad okopem ciężkich po-

cisków, z których każdy mógł zawalić schron, zagrzebując wszystkich w lochu. Pomimo nader powściągliwego meldunku mego o zaszłym epizodzie, władza wydała komunikat „o bezprzykładnem męstwie", nadesłano telegramy i zrobiła się literatura; ma to podgrzewać korzystnie nastroje w kraju.

* * *

Jeździłem do hrabiny. Pogoda była fatalna, błoto szalone; nie dojeżdżając do wsi, spotkałem p. Szuwałowową na poobiednim spacerze; była obłocona od stóp do głowy, bo się przewróciła w jakiejś głębokiej wyrwie, znajdowała jednak, że taka przechadzka jest bardzo higjeniczna i przyjemna — wyjątkowa kobieta! W toku rozmowy dowiedziałem się, że Ekk przyznaje mi duże zalety służbowe, zaznacza jednak, że jestem szalenie zazdrosny o swoją władzę.

* * *

Duchowieństwo wciąż nie wracało do swych parafij; pisałem o tem powtórnie do archireja miejscowego; odpowiedział, że nie wie nawet, dokąd wielebni ojcowie uciekli. Niesłychanie przykre wrażenie wywierała cerkiew we wsi Roztoce na przedpolu; parę ciężkich, austrjackich pocisków zrujnowało ją bardzo, widziałem wśród rumowisk rozbitego ikonostasu starożytną ewangelję, pogruchotane świeczniki, kadzielnice, obrazy. Pop uciekał tak szybko, że zabrał tylko swój osobisty majątek. Kazałem wszystkie rzeczy kultu zebrać i umieścić w cerkwi zaleścińskiej.

14-go października mieli Austrjacy nowy atak wściekłości; wyrzucili w nocy na front naszego korpusu kil-

kadziesiąt tysięcy pocisków; fajerwerk był wspaniały, oddzielnych wystrzałów nie można było odróżnić, grzmiał, przewalał się wzdłuż frontu jeden potężny grom. Straty w ludziach były nieduże, ale ucierpiały sporo roboty okopowe. Korpus odpowiedział zaledwie ośmioma tysiącami pocisków. Każda strona uważała ten pojedynek artyleryjski za wstęp do ataku, ale nie było go; nie przeszkodziło to zapewne wyższym władzom w wysłaniu telegramów o udaremnionym ataku. Zamiast podziękowania otrzymaliśmy z góry nosa za rozrzutność pocisków, trudno było jednak milczeć w takim wypadku: piechur czeka zawsze z utęsknieniem na pomoc swej artylerji.

Następną noc spędziłem na froncie; ostatnie bombardowanie odsłoniło oprócz szkód pewne braki w planie umocnień, trzeba je było natychmiast usunąć.

* * *

Robota nocna dokonywa się poomacku i w zupełnej ciszy, ale przeciwnik wie, że okopy żyją dopiero w nocy, szpieguje więc je silnemi reflektorami; coraz to tryśnie z dali snop długich, zimnych promieni, ślizga się po polach, prześwietla podejrzane miejsca, a gdy się do pracujących zbliża, pada wszystko na ziemię i zamiera w bezruchu, aż póki nie nastanie zbawcza ciemnica.

Praca wre gorączkowo, żołnierze pragną wkopać się jak najprędzej w ziemię, zasłonić się nią od czyhającej śmierci, nasłuchują nerwowo przedzwaniających w drutach, kąśliwych os stalowych. Niekiedy rozdziera mrok krwawy błysk pękającego wpobliżu gra-

natu, oświetli na chwilę szeregi pochylonych ku ziemi, ciemnych sylwetek ludzkich i zgaśnie, a wtedy ciemnia wydaje się jeszcze gęstsza.

Przed świtem kończy się denerwująca praca, żołnierz wraca do swej wilgotnej, ciasnej nory, by zapaść w sen ciężki, przerywany, gorączkowy, pełny nieraz przerażenia podświadomego a mało pokrzepiający; tak mijają dnie i tygodnie życia żołnierskiego w okopach, tępieje wrażliwość, słabnie sprawność służbowa, konieczne więc jest luzować kompanje czołowe jak najczęściej, by w zajęciach i przebywaniu na świeżem powietrzu przywrócić żołnierzowi energję życiową.

* * *

Przyprowadzono mi jeńca, Włocha z Trentynu; badałem go osobiście i spytałem, czemu się poddał; bardzo go to pytanie przestraszyło, zaczął się więc tłumaczyć, że nie może się bić, bo jest chory i dowiedzie tego bez trudu, gdy go zbada lekarz; biedakowi musiały się widocznie pomieszać jakieś klepki w głowie, bał się kary za to, że nie chciał się z nami bić.

* * *

Przyjechał nareszcie nowy szef sztabu, ppułk. Malewanow i zrobił sympatyczne wrażenie; znałem go niegdyś jako korneta ułanów w Nowomińsku. Opowiadał mi on, że w Naczelnem Dowództwie zastał wszystkich w najlepszym nastroju, zato w Petersburgu wybitni działacze, jak gen. Hurko i Guczkow, byli bardzo pesymistycznie usposobieni co do przebiegu wypadków wewnętrznych i zachowania się Dumy, któ-

ra stawała się coraz bardziej lewicową; stanowisko ministra wojny, Poliwanowa, było zachwiane, szkoda byłoby jednak, gdyby odszedł, gdyż potrafił on myśleć państwowo. Wieści te potwierdziła hrabina, odczytując mi list hr. Benkendorfa, zaznaczającego, że nastrój w Petersburgu jest „très sombre et abbatu", ale głównie z powodu węzła bałkańskiego, który z takiem powodzeniem rozwiązują dla siebie Niemcy; „Sacha est aussi très affairé"; (Sasza to brat hrabiego — poseł rosyjski w Londynie). Pisał on, że Anglicy uważają szach na Bałkanach, jako groźbę dla ich panowania w Egipcie, i robią jakieś nadzwyczajne przygotowania do wypędzenia Niemców ze szkody... Może to i lepiej, taki bodziec zrobi Anglikom dobrze, przy swej wytrwałości potrafią oni rozwinąć olbrzymie środki.

* * *

Sformowano u nas nową armję, przeznaczoną do Bułgarji, która wystąpiła po stronie Niemiec; dowództwo jej objął gen. Szczerbaczew, mój pryncypał, zastąpił go gen. Sacharow. Niefortunna zamiana, Sacharowowi brak było powagi, wiedzy i taktu.

* * *

U nas panowała przeważnie martwa cisza; mieliśmy pewne dane, że Niemcy wzięli stąd na front zachodni dwanaście dywizyj pierwszego powołania, widocznie niebardzo się nas obawiali. Austrjacy rozrzedzili też swe armje i wzmacniali wytrwale swe stanowiska. Tylko nad Dźwiną był ruch, lokalny zresztą;

znaleziono tam przy jednym z zabitych niemieckich oficerów dokumenty, stwierdzające, że mocarstwa centralne na rok bieżący postawiły sobie następujące cele: zgniecenie Serbji, połączenie z Turcją i zdobycie linji Dźwiny; pierwsze i drugie udało się im, trzecie było narazie wątpliwe.

Jesień na froncie zachodnim przeszła w ciągłych walkach; głównem ich ogniskiem była Pikardja. Francuzi występowali wciąż zaczepnie i wypierali stopniowo wroga z jego stanowisk; w ciągu trzech miesięcy uporczywego zmagania odzyskano teren głębokości od 3 do 12 km., czyli posuwano się naprzód z szybkością 4 km. na miesiąc; jeżeli energja natarcia nie ustanie, armja francuska dojdzie do granicy, odległej o 70 km., za 18 miesięcy.

ROZDZIAŁ III.

20-go listopada spadł ogromny śnieg. Osobiście lubiałem go bardzo, ale jako dowódca mniej — na białem tle pól odznaczały się wyraźnie sylwetki żołnierskie, stąd większe straty. Mrozu jednak nie było, drogi strasznie zabłocone, nie mogłem się ruszyć z domu. Wpłynęło to fatalnie na nastrój, którego nie mógł poprawić nawet gramofon, namiętnie eksploatowany przez mój sztab, ale, niestety, głównie w kierunku pseudosentymentalnej cygańszczyzny, którą znoszę z trudnością. Trudno — są gusta i guściki! Dopiero w końcu miesiąca nadeszła prawdziwa zima, zaczęła

się nawet srożyć przy dużym mrozie gwałtowna, parodniowa zadymka.

1-go grudnia zmieniłem znowu rezydencję, zająłem w Rydomlu dwór hr. Rzyszczewskiej; dom mieszkalny był znośny, ale ogromnie zrujnowany, większość mebli ukryto w lochach, naturalnie, nie kazałem ich ruszać. Otrzymałem prawem starszeństwa salonik; było w nim dość miejsca do biegania, były klawicymbały z bibljoteczką nut, a na ścianach dwa portrety; dużą zaletą mego pokoju było odseparowanie go od sztabu, który zajął boczne skrzydło, miałem więc nareszcie upragnioną samotność i ciszę.

Pierwsza noc była jednak bardzo przykra; okna były nieopatrzone, w ścianach szpary, piece zaniedbane, zmarzłem więc rzetelnie. Gdym medytował rano nad koniecznością wstania z łóżka, przyjrzałem się portretowi hr. Rzyszczewskiej: była to dama z połowy zeszłego wieku w balowej tualecie, z dekoltem i krynoliną; wyraz twarzy — mróz podbiegunowy, i jak tu miało być ciepło w pokoju, gdzie rezydowała taka lodowata pani? Przywrócił mi jednak ciepło i dobry humor długoletni przyjaciel — poczciwy samowar, buchający parą.

Gdym nareszcie wstał, zawrzała robota; opatrzono okna, skasowano i zabito zbędne drzwi, naprawiono piece; już w dobę później chodziłem po pokoju bez futra. Fortepian zmartwił mnie: okazał się strasznym klekotem, chociaż była do niego przywiązana legenda, że grał na nim niegdyś Liszt; zresztą, według podań miejscowych, mistrz grał na wszystkich fortepianach, posiadanych przez obywateli w Galicji

Wschodniej. Zato nuty — śliczne: Szopen, Schumann, Beethoven, Czajkowski, Rubinsztein, Weber, Moszkowski. Podobno grał artystycznie brat hrabiny. Pokusa była zbyt silna, i kazałem szukać w pułkach stroiciela; znalazł się szczęśliwie i z wielkim trudem doprowadził staruszka do względnego porządku.

* * *

Dotknęła mnie przykro wiadomość, że kapituła orderu Św. Jerzego zwróciła moje przedstawienie do orderu „dla dopełnienia zaświadczenia mi świadków"; miało to podstawę tylko w stosunku do młodszych rang. Świadczyć mogą koledzy, bezpośredni przełożeni, ale dowódca dywizji jest najwyższą instancją, która przyjmuje (i to niekiedy) udział bezpośredni w bitwie; o jego czynach wiedzą tylko podkomendni. Powoływanie się na nich uważałem więc za niedyscyplinarne i odmówiłem stanowczo wymieniania kogokolwiek, tem bardziej, że wszyscy uczestnicy ostatniego ataku, oprócz mnie, zginęli. Ekk nie dał jednak za wygraną i kazał bez mej wiedzy przepytywać się o moich czynach. Przypomniano sobie, że do dywizji mojej dodano w pewnej chwili pułki piechoty miński i wołyński, i pytano ich na ten temat; dowódca pułku mińskiego stwierdził, że, idąc na czele bataljonu pułku wołyńskiego, z „nadludzkiem męstwem" otwarłem drogę pułkowi mińskiemu; naturalnie, w opisie tym znalazło się dużo przesady i koloryzowania.

* * *

Opowiadała mi hrabina zabawną anegdotę z życia dworu. Minister dworu, hr. Fryderyks, był tak

stary, że często zapominał się; otóż, siedząc przy obiedzie naprzeciw cesarza, pyta go naraz: „A ty jak się tu dostałeś?“ Cesarz uśmiechnął się i odpowiedział: „A no, przyszedłem“. Po chwili Fryderyks pytał dalej: „Przecie dawniej nie zapraszano ciebie na obiady niedzielne?“ Odpowiedź brzmiała: „Tym razem jednak zaproszono...“ Staruszek wziął cesarza za swego synowca, ale nie został wyprowadzony z błędu.

* * *

W pierwszych dniach grudnia wstrzymano osobowy ruch kolejowy i zakazano dawania urlopów, zostaliśmy więc odcięci od świata; naturalnie, wywołało to domysły i plotki, powodów tej całkowitej kwarantanny nie rozumiał nikt. Przypuszczałem, że ruch pociągów został zawieszony z powodu przewozu wojska ku granicom Rumunji, ale co to miało do urlopów...? Zakazano nawet wysyłać oficerów w celach służbowych; wyglądało to na chęć ukrycia czegoś do czasu przed armją. Czy czasem nie było gdzie poważniejszych rozruchów na tle lewicowem?

Zima rozpanoszyła się na dobre, mróz dochodził do 16 stopni; dął przeraźliwy wicher i śniegi spadły tak duże, że przez kilka dni nie chodziłem do okopów, czekając, aż wydepczą ścieżki; trwało to jednak niedługo, północno-zachodni wiatr przyniósł odwilż. Bałem się jej bardzo ze względu na obfitość śniegu, ruszyłem więc zaraz na front, by sprawdzić sytuację; zastałem miejscami tak duże zaspy, że wypadło szorować często czystem polem, słysząc nad uchem niemiłe bzykanie kul; w okopach już było mokro, nikt

jednak nie pomyślał, co się stanie w razie silniejszego tajania śniegu, chociaż uprzedzałem o konieczności urządzenia drenów. Naturalnie zareagowałem odpowiednio pod adresem dowódców odcinków i wypędziłem całą dywizję na nocną robotę; pomimo tego mieliśmy w dobę później w wielu okopach wodę po pas; walka z zalewem frontu trwała przez cztery doby, wkońcu kazałem wyłożyć dno okopów matami, plecionemi z gałęzi. U Austrjaków było nielepiej, pławili się też w wodzie; wytworzyło to pewną wzajemną solidarność, przestano zupełnie strzelać do żołnierzy, pracujących nad osuszaniem rowów.

Dowódca armji wydał przykre zarządzenie: defensywa rosyjska ustaliła, jakoby ukraińska ludność przyfrontowa pomagała niejednokrotnie szpiegom niemieckim, rozkazano więc wysiedlić ją masowo z rejonu armji. My na froncie nie zauważyliśmy nic podobnego, ale rozkaz wypadło spełnić; wykonałem go, oszczędzając możliwie biedaków, zakupiłem u nich po wysokich cenach zbędne im zapasy, wziąłem pod opiekę według opisów wszystkie siedziby, chociaż dozór będzie wymagał sporo ludzi. Gen. Sacharow przyjeżdżał do mnie, ale nie interesował się zupełnie frontem; rozdał żołnierzom krzyże, zjadł śniadanie i wyjechał.

* * *

Doszły przez Szwecję wieści, że Niemcy pozwolili na otwarcie w Warszawie polskiej politechniki i uniwersytetu. Co za dziwne pogmatwanie! Gdyby nie zalew Polski przez jej najgorszych wrogów, nie mielibyśmy jeszcze wyższych polskich uczelni i sie-

działaby w kraju pasorzytnicza szarańcza czynownicza; wiedziałem, że potrafilibyśmy ostatecznie przeforsować i bez Niemców otwarcie naszych wyższych szkół od obecnego, czy przyszłego rządu rosyjskiego, znacznie jednak trudniej byłoby pozbyć się obcej zarazy urzędniczej; zagnieździła się ona u nas mocno, posiadała w rządzie możnych protektorów, nie pozwoliłaby zatem dać się wyrugować z lukratywnych posad bez uporczywej walki, a współpraca z nią, chociażby w granicach autonomji, byłaby wprost niemożliwa i zatrułaby nam na długie lata życie.

* * *

Hrabina wyjechała do Petersburga po prezenty dla dywizji; brak mi było jej towarzystwa, tylko z nią mogłem rozmawiać bez zwykłej rezerwy. Z dowódcą korpusu stosunki mogłyby się ułożyć doskonale, gdyby potrafił się oprzeć nie znoszącemu mnie sztabowi. Ekk był dobroduszny i kulturalny; np. parę dni temu prowadziłem ostrą dyskusję w jego obecności z intendentem, marną figurą pod każdym względem; gdy się trzygodzinny turniej skończył, a intendent wyszedł, odezwał się Ekk dobrodusznie: „No, dzięki Bogu, nie będzie pan teraz spoglądał na mnie tak srogiemi oczyma". Naturalnie rozbroił mnie tem powiedzeniem zupełnie, i zaczęliśmy się obydwaj śmiać; Sytin, który pełnił teraz chwilowo obowiązki szefa sztabu korpusu, twierdził niby poważnie, że ja obchodzę się z władzą zbyt surowo.

* * *

Miałem w Rydomlu damską wizytę; przyjechała z Wiśniowca w odwiedziny hr. Rzyszczewska i nie zastała mnie, prosiła jednak, by ją oprowadzono po dworze. Umeblowanie mego pokoju nie podobało jej się, poleciła więc przynieść z lochów potrzebne meble; z wyboru mego Pietrka otrzymałem fotel i etażerkę, bo już posiadałem polowe łóżko, stolik i taburet, nie licząc historycznego fortepianu; miałem więc już zupełny komfort.

* * *

19 grudnia był ciężkim dniem, ale nie z powodu jakichkolwiek walk, nic się u nas na froncie właściwie obecnie nie działo, ale miałem jednego dnia aż trzy roczne „prażniki“ i to na krańcach dywizji, przy zabłoconych do niemożliwości drogach. Pierwszą wizytę złożyłem baterji, gdzie wysłuchałem nabożeństwa przy akompanjamencie kanonady artyleryjskiej; baterja miała właśnie pojedynek z artylerją austrjacką. Po krótkiem śniadaniu bez alkoholu, z którym potykam się zacięcie, wyjechałem do pułku wileńskiego; dwie godziny walki z błotem, i znalazłem się przed pułkiem, uszykowanym w czworobokach bataljonów dokoła polowego ołtarza; nabożeństwo urozmaicił nam i tym razem przeciwnik — usłyszał zapewne dźwięki orkiestry i zaczął nas szukać pociskami — bałem się więc trochę, że buchnie taki „prezent“ w gąszcz ludzki i narobi bigosu, a tu jak na złość popa ogarnęło natchnienie i zaczął nam opowiadać dzieje Mikołaja Cudotwórcy Mirlikijskiego, cieszącego się zresztą opinją dobrego

strategika — (parokrotnie przekazywała mnie jego opiece w krytycznych wypadkach moja władza). Otóż dowiedziałem się, że św. Mikołaj zaopiekował się rodziną pewnego starca, posiadającego córki na wydaniu, nie mające jednak posagu; naturalnie sytuacja była rozpaczliwa, ale od czegoż święty — wyposażył je kolejno jedną po drugiej; dobrze jeszcze było, że starzec zdobył się tylko na trzy dziewice, gdyby ich było więcej, nie skończyłby pop do wieczora; ostatecznie wydały się wszystkie panny zamąż, a my poszliśmy na obiad do podziemnego kasyna. Nie rozumiałem właściwie, na czem jednak polegał cud świętego, tak wymownie nam opowiedziany, ale wolałem się w dysputę nie wdawać, ze względu na małą znajomość tajników prawdziwego prawosławia, kwestja więc pozostała otwarta. Obiad trwał krótko, bo czekano na mnie jeszcze u saperów, dokąd wyjechałem po odpowiedniem „wykaczaniu" w drodze do powozu. Przy takiej operacji człowiek nigdy nie wie, czy go w zapale nie upuszczą przy wzlotach na ziemię, zato ma zupełną pewność, że mu połowy guzików w ubraniu zabraknie.

Saperzy wystąpili godnie, oświetlili miejsce przyjęcia dwoma reflektorami, po sto tysięcy świec każdy, i poczęstowali mnie herbatą, winogronami oraz ciastem.

* * *

Przyjechał z Petersburga gen. Piłkin i opowiadał o wielkiem zwątpieniu, panującem w społeczeństwie, o stosunkach wewnętrznych. Zwołanie Dumy nie zmieniłoby nic, kurs na prawo stał tak mocno, że znany prawicowiec, Synadino, orzekł: „Za parę miesięcy

w Dumie poza Markowem i Zamysłowskim (znani czarnosecińcy) nie będzie już prawicy". Dwa specyficzne kwiatki biurokratyzmu — Goremykin i Szczegłowitow byli w pełni rozkwitu, a wszechwładzę w sferach dworskich posiadał szarlatan, „starzec" Rasputin. Np. kuzynka Piłkina zwracała się do ministerjum wojny z prośbą o przeniesienie jej brata z korpusu żandarmów do artylerji, gdzie poprzednio służył, i otrzymała kategoryczną odmowę; zwróciła się więc do Rasputina, mówiąc: „Wy możecie wszystko"... Trzydziestoczteroletni starzec wycałował ją i rzekł: „Racja, ja mogę wszystko"; i rzeczywiście żandarm znalazł się wkrótce w artylerji.

* * *

Szefem sztabu naszego frontu został gen. Klembowskij, doszczętnie zruszczony Polak, o niesłychanie zimnym charakterze i przeciętnych zdolnościach strategicznych. Minister wojny Poliwanow miał ustąpić, bo „lubi go Duma"; motyw przekonywający!

* * *

22-go grudnia zostałem awansowany na generał-lejtnanta ze starszeństwem z dn. 1 kwietnia; bardzo mnie to ucieszyło, bo wzmacniało znacznie me stanowisko służbowe, wzrastała również poważnie emerytura. Z powodu awansu urządził Lichaczew szopkę: przywitano mnie w sztabie marszem sprowadzonej orkiestry, winem szampańskiem i rozczulającą mową; przyjemnego nastroju starczyło jednak na krótko, nie lubiłem nigdy urzędowych uroczystości.

Zaraz po tych fetach zachorowałem; przypuszczano narazie, że to tyfus, sprowadzono aż trzech esku-

lapów, ale szczęśliwie wytrzymałem ich, wytargowawszy sobie influencę. Siedziałem więc u siebie w pokoju i nie potrzebowałem dzielić wspólnych obiadów, nużących à la longue; wtedy wszyscy liczyli się z moją obecnością i każde wypowiedziane przez kogoś zdanie obliczone było na moją obecność; rozumiałem to dobrze, skracałem więc zwykle nasze, smaczne zresztą, uczty do minimum.

Mieliśmy kolejno śnieg z mrozem lub mgłę z odwilżą, bielał więc krajobraz lub ciemniał co dni kilka. Ponieważ obecne warunki walki nakazywały stosować możliwie ściśle prawo mimikry, wynikały więc z tego zabawne „gaffy"; gdy spadł śnieg, bieliło się skwapliwie baterje, by się nie wyróżniały na tle zaśnieżonych pól; zdarzało się jednak, że szybka odwilż spędzała z pól śnieżną powłokę w ciągu jednej nocy, i rano na tle ciemnej roli ukazywała się uśnieżona baterja; wtedy oskrobywało się ją nagwałt. To samo robili i Austrjacy.

* * *

Dzisiaj wypadła Wigilja, już druga na wojnie; święto wspomnień radosnego, beztroskiego dzieciństwa, święto miłości rodzinnej. Spędziłem dzień ten w zupełnej samotności, nie chciałem widzieć nikogo; nie wierzyłem w przychylność otoczenia. Przecie nic nie przemawia w człowieku silniej, niż instynkt samozachowawczy; on rodzi tchórzostwo i nierozłączne z niem kłamstwo i obłudę; przecie każdy z mych oficerów rozumiał, że mogę go skazać zupełnie legalnie na śmierć, dając mu rozkaz straceńczy!

Tym razem nie dała mi jednak tak zawsze miła samotność uspokojenia, opanowały duszę wspomnienia dalekiej przeszłości, gdy wierzenia me religijne wydawały się opoką z granitu; ohyda wojenna wyżłobiła w nich jednak głębokie rysy, zachwiała wiarą w Opatrzność, a nawet w samą ideę miłości chrześcijańskiej. Przecie nie mogę miłować tych, którzy czyhają w sposób jak najbardziej podstępny na moje życie; nie kochają mnie oni również, bo robię to samo. Morduję, by nie być zamordowanym, a jeżeli mi się to dobrze uda, idę do kościoła i wysłuchuję mszy dziękczynnej z powodu odniesionego zwycięstwa.

Nie mogłem wysiedzieć z memi myślami w domu, wolałem błąkać się z niemi po zaśnieżonych polach. Dął silny wiatr, sypał drobnym śniegiem, szarpał i giął bezlistne, oszronione gałęzie drzew przydrożnych; czarny las huczał ponurym rozgwarem, niekiedy wśród białego mroku zabłysło światło w małem okienku chaty; tam byli ludzie, cieszyli się ciepłem i rozmową. Ruch i mróz uspokajały mnie stopniowo; zrezygnowałem wreszcie z dociekań rozumowych, zajmowały się niemi bez skutku przez wieki całe najpoważniejsze umysły ludzkie. Wiara musi być ślepą!

Gdy zabłysła pierwsza gwiazda, wróciłem do mej samotni; parę odegranych kolęd ożywiło zbłękitniałe już wspomnienia dzieciństwa, pełne uroku i ciepła rodzinnego; niepokój duszy ustał... Suty ogień w piecu, reymontowski opis świąt Bożego Narodzenia na wsi — przywróciły mi duchową równowagę.

Nazajutrz przyprowadzono mi dwóch jeńców; przyszli wczoraj o zmroku do naszych okopów z pre-

zentami od swego dowódcy kompanji (musiał być też sentymentalny!); wzięto ich jednak do niewoli. Wojna obecna obfitowała w takie podejścia, że nie wierzyło się nikomu a szczególniej tym zprzeciwka.

Czytałem, że mój następca w Dęblinie, gen. Szwarc, został komendantem Karsu. Żywiłem do tego człowieka dużą niechęć za barbarzyńskie zniszczenie twierdzy; rozumiałem, że powinien był wysadzić w powietrze forty, a nawet mosty, ale poco zburzył cerkiew, piękne kasyno, rezydencję komendanta i historyczny pałac w Dęblinie? Tak mógł postąpić tylko dzikus! Zresztą słyszałem, że po moim wyjeździe wróciły do twierdzy usunięte z niej panie, a wino szampańskie na tle ciągłych hulanek miało duży odbyt; naturalnie płaciła za to Grecja... Słaby bardzo był poziom moralny całej tej kompanji, a szczególniej tego, który obowiązany był świecić przykładem cnoty żołnierskiej — komendanta.

* * *

Zakomunikowała mi żona, że w Kijowie zaczynał wzrastać niespokojny nastrój, wywołany poczęści budową linij obronnych za Dnieprem, co zdaniem strategików kijowskich domowego wyrobu miało wskazywać na dalszy odwrót armji rosyjskiej; był to naturalnie nonsens, nie rozumiałem celowości strategicznej takich prac w obecnej sytuacji, sądziłem, że właściwym powodem ich był apetyt różnych hien, żerujących bezwstydnie na potrzebach armji a popartych przez zainteresowane czynniki biurokratyczne.

* * *

Kwarantana została nareszcie zawieszona, i zwolniłem dużo oficerów na święta st. st.; dla wielu będą one ostatniemi w życiu.

Powodem naszej izolacji był przewóz wojska na granicę Bukowiny, gdzie się zaczęła akcja zaczepna, bez wielkiego powodzenia narazie; przeciwnik trzymał się mocno, odpierał energicznie ataki, zła pogoda, deszcz, mgła, błoto — utrudniały natarcie.

* * *

Przyjeżdżał do mnie Ekk, niby prywatnie w odwiedziny, ale ze skorpjonem w zanadrzu: z góry przyszło pismo, w którem wyrażano życzenie, by w sztabach oddziałów i wyżej, których dowódcy nosili cudzoziemskie nazwiska, nie mianowano sztabowców nie-Rosjan. Nazwałem to pismo podłem i zameldowałem, że odpowiedzią mą będzie nominacja jutro na adjutanta dywizji kpt. Kielmana, Niemca z pochodzenia; Ekk przyjął to do wiadomości spokojnie, widocznie sam był bardzo urażony. W sprawie tej odczułem rosnący wpływ brudasów moralnych z „sojuszu Michała Archanioła".

Wspomniał mi również dowódca korpusu, że dochodzą do niego skargi, jakobym był bardzo surowy przy nagradzaniu żołnierzy orderem św. Jerzego, w przeciwieństwie do gen. Gutora, który nie żałował swoim żołnierzom nagród; odpowiedziałem, że widocznie sąsiad mój jest hurtownikiem, ja zaś detalistą, badam więc starannie każdy wniosek. Przypuszczam, że donos ten był dziełem któregoś z „batiuszków", których nie przedstawiałem do orderów z mieczami, bardzo przez nich

upragnionych, bo byli faktycznie tchórzami, i musiałem ich pędzić do okopów siłą.

* * *

Kończył się rok 1915; dla spraw koalicji nie był on dobry. Rosja przyjęła na siebie cały ciężar letnich operacyj, doznała szeregu dotkliwych niepowodzeń, utraciła przygotowany zawczasu polski teatr wojny, została zmuszona do cofnięcia się daleko w głąb swego terytorjum, z armją ciężko osłabioną moralnie i materjalnie; na zachodzie operacje nie udały się aljantom, udział Włoch nie dał żadnych pomyślnych rezultatów; na Bałkanach Serbja została prawie doszczętnie rozbita, operacja Dardanelska nie miała powodzenia, krótko mówiąc, Niemcy byli górą na całej linji.

ROZDZIAŁ IV.

Nadeszły święta st. st.; z konieczności ukazałem się „narodowi“ i spędziłem wieczór wigilijny ze sztabem; po kolacji zaprosiłem wszystkich do siebie i skombinowaliśmy koncert. Jeden z oficerów improwizował na skrzypcach, drugi śpiewał, ja grałem na fortepianie, produkował się również chór oficerski; było więc bardzo gwarno, chociaż bez kieliszka alkoholu, ale odetchnąłem z ulgą, gdy goście sobie poszli. Nazajutrz asystowałem przy nabożeństwie uroczystem i usłyszałem po raz pierwszy, jak mnie pop wypominał przy ołtarzu, życząc „boliarynu Ewgenju“ długich lat życia;

czemu się z tem wyrwał, nie wiem, zdaje się, że takie wypominki są przywilejem tylko najgrubszych „ryb".

Pogoda była straszna, zgniła, mgła zasłoniła cały świat, nie mogłem więc wychodzić z domu, noga nie była zdolna walczyć z tak dużem błotem; strach było pomyśleć, co się działo w okopach (wskutek podmywania usuwała się tam ciągle ziemia). Dni dłużyły się niesłychanie; nadchodziła wreszcie apatja, przestawała pracować wyobraźnia, zasnuwała się mgłą najbliższa przeszłość; nie budziły nawet do życia listy ze świata, przynosiły one wieści jakby z innej planety, mówiły o życiu, w które przestałem wierzyć.

* * *

Przysłano mi urzędowe dane o polskich legjonach, walczących po stronie mocarstw centralnych:

„Legjony liczą 3 brygady po 2 pułki, razem 8 tysięcy ludzi, poza tem 3 szw. ułanów i 3 baterje; na czele stoi gen. Durski (austrjacki oficer), brygadami dowodzi gen. Piłsudski, ppłk. Haller i Roja, ułanami — pułk. Belina. Najbardziej popularny jest Piłsudski; ma być ideowcem, walczącym o niepodległość Polski. Młodsi oficerowie przeważnie słabi, szeregowcy początkowo wyłącznie Galicjanie; ideowców między nimi mało, poszli do legjonów, bo inaczej wzięliby ich do wojska austrjackiego albo pruskiego; moralność wśród żołnierzy nietęga, bo dużo pochodzi z miejskich wykolejeńców, Żydów 2% — 3%. W Piotrkowie zwerbowano 1000 ludzi, w Lublinie — 1500, w Łodzi — 2000, w Warszawie — 900; ostatniemi czasy dopływu nowych ochotników niema".

„Karność oparta na postrachu, dezerterów dużo".

„Zachowanie się ludności w Królestwie względem legjonistów jawnie wrogie; gdy wychodzili z Warszawy, wołały kobiety do nich: — „Idziecie na swoich".

Nie przypuszczałem jednak, aby w Królestwie znalazło się wiele ochotnika do legjonów, ochotnika dobrowolnego, nie szukającego w nich ucieczki od branki rządowej; rzeczywistość w zupełności potwierdziła moje przypuszczenia.

* * *

Nowy Rok st. st. musiałem znowu odcelebrować, przyjmować powinszowania „nowego szczęścia". Niechby już się obyło bez „starego nieszczęścia", wystarczy mi i to! Otrzymałem naturalnie stos telegramów, których nie czytałem; całą tę literaturę obrządkową załatwił wraz z odpowiedzią szef sztabu.

Miałem oryginalny kłopot z pułk. Tarbiejewem: przed dwoma tygodniami zrobiłem mu uwagę za szereg uchybień służbowych, musiałem to jednak uczynić zbyt ostro, gdyż pułkownik chodził odtąd stale z miną przerażoną; przy spotkaniu nie mógł wprost z siebie wydobyć głosu, chociaż obchodziłem się z nim wogóle zupełnie łagodnie; by uspokoić trochę biedaka, zaproponowałem mu urlop, o który mu nawet bardzo chodziło, i przestraszyłem go jeszcze bardziej, bo po otrzymanym „monicie" uważał to za wstęp do usunięcia ze stanowiska.

W początku stycznia przyjechała hrabina, a z nią wagony z prezentami; ja dostałem ładny zegarek podróżny. Przy obiedzie zeszła rozmowa na proponowane

mi przez Witmera kupno willi w Jałcie za czterdzieści tysięcy rubli, płatnych ratami; był to doskonały interes, ale brakło mi zupełnie pieniędzy. „To fraszka“ — zauważyła hrabina — „ja panu pożyczę całą sumę“; naturalnie odmówiłem z serdecznem podziękowaniem.

* * *

Stosunki nasze ze sztabem armji były nietęgie; nasyłano nam rozkazy i instrukcje, które przeważnie nie nadawały się do wykonania, brak było w nich zrozumienia metod walki obecnej, było zato dużo biurkowej zarozumiałości. Protestowaliśmy często jednogłośnie, ale bez wielkiego powodzenia. Nadszedł nakoniec rozkaz zaatakowania bez zwłoki stanowisk austrjackich na całym froncie korpusu; mieliśmy tem dopomóc kulejącej wciąż na Bukowinie akcji.

Tego było jednak już za dużo — atak silnie umocnionych stanowisk bez pomocy ciężkiej artylerji, odebranej nam przed paru tygodniami, wyglądał na szaleństwo i doprowadziłby niechybnie do rozbicia korpusu; rozgniewało mnie również, że Ekk przyjął rozkaz bez protestu, poprosiłem go więc do telefonu i dyskutowałem z coraz to narastającem napięciem przeszło pół godziny; widząc wreszcie, że skutku niema, urwałem frazesem: „Rozkaz spełnię, nie oszczędzę ani dywizji, ani siebie, ale przewiduję katastrofę, odpowie zaś za nią ten, kto nie liczy się ani z siłami, ani z warunkami, a poddaje się biernie takim rozporządzeniom“.

Obecny przy rozmowie pułk. Malewanow zauważył: „Teraz rozumiem, dlaczego pan nie robi karjery“. Niemniej jednak w godzinę później rozkaz został cof-

nięty, a wieczorem telefonował Sytin w imieniu Ekka, bym się uspokoił, bo wszystko zrobiono stosownie do mych życzeń.

Na Trzech Króli struto mnie drobnym, ale paskudnym faktem: warta, złożona z siedmiu żołnierzy, wyłącznie Rosjan, uciekła na tamtą stronę; wywiadowcy zdążyli zabić tylko jednego dezertera, a drugiego przyprowadzili zpowrotem, naturalnie tylko poto, by go rozstrzelano. Dezercję tę można było wytłumaczyć wyłącznie ciemnotą rosyjskiego ludu, i obawą śmierci. Obcy mu jest patrjotyzm, nie czuje się obywatelem państwa, wojna go nie obchodzi, bo „ja jestem z tulskiej gubernji, do mnie Niemiec nie dojdzie, daleko!". Trzymało się więc całe to armatnie mięso wyłącznie surową karnością; zapowiedziałem, że będę oddawał pod sąd polowy całe kompanje, w których się podobne zbrodnie powtórzą, o ile same nie rozstrzelają natychmiast uciekających.

* * *

Wyczytałem w „Regiments - Kommando - Befehl'u" ustęp o nagrodzeniu za męstwo medalami czterech żołnierzy; dowódca pułku zaznaczał, że winszuje dekorowanym tem bardziej, ponieważ medale przypiął im osobiście następca tronu. Nie zauważyłem podobnych objawów dynastycznego zachwytu w rosyjskiej armji.

* * *

Przedłużono mi znacznie front na południe, musiałem więc zmienić rezydencję i przeniosłem sztab 12-go stycznia do Iwanczan, gdzie zamieszkałem we dwo-

rze, mało dotkniętym zawieruchą wojenną; ulokowałem się w dużym pokoju, posiadającym sprężynowe łóżko, lustro i szafę, miałem zatem wyjątkowy komfort; całość psuły krzesła, dotknięte in gremio „kozińcem"; podginały się więc im stale nóżki przy siadaniu, wywołując zawsze ten sam skutek — przeniesienie się siadającego na podłogę.

Wieś Iwanczany rozsiadła się na skraju wysokiej płaszczyzny, pomiędzy Brodami, Złoczowem a Zbarażem; tu przechodzi rozdział wód pomiędzy północą a południem, stąd więc płyną do Bałtyku rz. Bug, Ikwa i Horyń, a ku morzu Czarnemu — Styr.

Ustaliła się znowu aura, mróz stężał, po dwóch dniach zadymki wróciła ładna, zimowa pogoda. W wigilję Nowego Roku st. st. pozwoliłem urządzić w sztabie przyjęcie, nawet z winem; zaproszony był in gremio Czerwony Krzyż, grała kapela gramofonowa, wynudziłem się jednak serdecznie.

Korzystając z dobrej szosy, łączącej Iwanczany ze Zbarażem, pojechałem autem do historycznego grodu, pamiętnego przez wspaniałą, czterdziestodniową obronę dziesięciu tysięcy polskiego rycerstwa przeciwko dwustu tysiącom kozactwa i ordy; pozostawiwszy asystę w mieście, poszedłem na zamek, obszedłem z bijącem sercem jego mury i wały, odtwarzałem wyobraźnią obrazy stoczonej tu walki bohaterskiej, wyśnioną przez genjalnego pisarza polskiego, wspaniałą postać rycerza bez skazy — Skrzetuskiego. Mimo zupełnie odmiennych warunków, pamięć o tym niezłomnym żołnierzu krzepiła mnie nieraz w chwilach krytycznych. Dziś zamek był tylko

ruiną bez okien i dachu, wszędzie pustka, a nad nią ponure krakanie wron. Obecnym właścicielem był jakiś żydek.

* * *

Anglicy opuścili Gallipoli; nieudolnie prowadzona operacja zawiodła, nadzieje Rosji na otwarcie morza Czarnego zawiodły; pozostaje daleka, trudna droga przez Białe Morze.

* * *

Przydzielono mi do dywizji kilka „drużyn“ pospolitaków; w jednej z nich znalazł się znany dobrze Warszawie dyrektor opery, Metaxian, w charakterze tytularnego podpułkownika, może zaśpiewa mi przy okazji swą popisową „Chryzantemę“ i pieśni cygańskie.

Wpraszał się do mnie na adjutanta bar. Pistolkors, oficer kawalergardów; matka jego była teraz żoną w. księcia Pawła. Nie wziąłem go jednak, bo nie dowierzałem dworskim „bażantom“, tem bardziej, że już się zastrzegano, bym gagatka zbyt „nie narażał“; zrobiłbym naturalnie przeciwnie i w razie wypadku miałbym kram.

* * *

15-go stycznia przesunięto dywizję do rezerwy; znalazłem się we wsi Gniezdzicznie, niedaleko Wiśniowca. Bardzo mi to dogodziło: żołnierze odpoczną w ciepłych chatach, umyją się, poczują radość bezpiecznego spaceru poza okopami; będą naturalnie i tu zajęcia, ale tylko pięć godzin dziennie. Ja i mój sztab za-

mieszkaliśmy we dworze, będącym w posiadaniu jakiegoś łyka; gnieździł się on z rodziną w dwóch pokoikach, pozostawiając cały dom na pastwę opuszczenia; zastaliśmy wszędzie brud, w oknach brakło szyb, drzwi nie domykały się; przez całą dobę szorowano, myto, zasłaniano okna kartonem, restaurowano jakieś inwalidy meblowe. Ostatecznie udało się ustalić minimalny komfort polowy, mogłem więc bez niechęci siedzieć w domu, słuchać wycia wiatru w kominie i nie interesować się odgłosemi z frontu.

Otrzymałem dla dywizji kilka orderów angielskich, dla udekorowania oficerów według mego uznania; wywołały one sporo zawiści i zawiedzionych nadziei. Nie rozumiałem zupełnie tej orderowej manji, wyłączając z niej jednak order św. Jerzego. Jeden z orderów otrzymał por. Slusarew, ów „bosiak" tołstojowski, o którym wspominałem poprzednio ex re bitwy pod Sokalem; miał on dziwną minę w chwili dekoracji.

Urlopy zostały znowu zakazane, czemu, nie rozumiał znowu nikt, bo na całym froncie panował spokój; zarządzenie to było nieludzkie, drażniące a zupełnie zbędne.

Z Petersburga otrzymałem ciekawy list od żony kapitana marynarki, młodej kobiety, która mi okazywała w Jałcie trochę sympatji; cytuję z niego wyjątek:

„Dużo, dużo niezwykłego a nawet zagadkowego chciałabym zrozumieć i rozwiązać... mam wielkie łaski u Rasputina, *mogę dużo zrobić,* ale nie wiem, czy potrafię?!.."

Wkońcu proponowała mi korespondentka swą pomoc w jakiejkolwiek sprawie; naturalnie, potrakto-

wałem ten list humorystycznie i napisałem biednej histeryczce, że pragnąłbym otrzymać wakujące obecnie stanowisko oberprokuratora świątobliwego Synodu, bez zmiany wyznania jednak, przypuszczając, że przy tak wysokiej protekcji da się to osiągnąć; odpowiedzi nie otrzymałem.

* *
* *

24-go stycznia skończyły się wakacje dywizji, wysunięto ją znowu na front; zajęliśmy zpowrotem, poszerzony znacznie, stary odcinek; ja wróciłem do Rydomla, chociaż mogłem obrać lepszą kwaterę, ale tęskniłem za mymi przyjaciółmi podwórzowymi. Rzeczywiście, wszystkie trzy psy przywitały mnie w podwórzu entuzjastycznie, zaznaczając swą radość ogromną ilością błota na mej bekieszy, a staruszek fortepian, wogóle dość milczący, zaprosił mnie zaraz do zagrania paru etjud szopenowskich; nawet zamrożona biała dama z portretu patrzyła na mnie teraz z pewną wyniosłą życzliwością. Umeblowanie posiadłem bardzo urozmaicone; Pietrek mój, przy każdej zmianie mieszkania, zabierał z sobą coś z miejscowego umeblowania na nową gospodarkę, o czem dowiadywałem się zwykle za późno na nowych leżach; próżne były wszelkie dąsy, mój leporello dowodził stale, że: wszystko jedno zginie to, bo właścicieli nigdzie niema. Znalazłem więc w mym pokoju po powrocie z wycieczki okrężnej kanapkę z Zaleścia, etażerkę z Iwanczan, stolik z Trzcińca, fotelik z Cisny, a wszystko to było warte razem z 5 rubli; zostawię ten inwentarz w Rydomlu, ucieszy się hr. Rzyszczewska, gdy wróci do majątku.

Na froncie było spokojnie; każda odwilż wywoływała faktyczne zawieszenie broni, ustawał nawet zupełnie ogień karabinowy, a żołnierze łazili dokoła okopów, przekopywali rowy, odprowadzali wodę, palili papierosy i przypatrywali się sobie wzajemnie. Ja też chodziłem swobodnie, studjując umocnienia przeciwnika. Tylko artylerja psuła niekiedy harmonję. Słyszałem frazes, wypowiedziany przez jednego z mych żołnierzy pod adresem strzelającej baterji: „I czego ona strzela, przecie Austrjak jej nie rusza". Walka z zalewem była wciąż nader trudna i bardzoby się nam byli przydali hydrotechnicy, bo okopy tworzyły naturalne dreny, zbierające wodę, a były nie zniwelowane zupełnie; w czasie odwilży spacery na froncie były dla mnie uciążliwe, zużywałem zwykle na obejście pięciu kompanij osiem godzin i wracałem do domu zmordowany i oblepiony błotem od stóp do głowy.

Austrjacy szukali jednak z nami styczności; przed paru dniami puścili do nas kota z przywiązaną u szyi odezwą, nawołującą do zawarcia pokoju; innym razem wystawili na słupku przed swemi drutami kolczastemi deskę z napisem: „Cetynje nase". Dużo z tego nie zrozumieli moi ciemni komilitoni, ale ja odpowiedziałem grzmiącemi argumentami artyleryjskiemi, skierowanemi na przypuszczalne kwatery ich sztabów, chciałem im trochę zepsuć dobry nastrój. Swoją drogą nie rozumiałem zupełnie strategji włoskiej: posiadając miljonową armję, krótki front i względnie słabego przeciwnika, nie potrafili oni, czy nie chcieli obronić Czarnogórza, znajdującego się tuż. Przecie ks. Mikołaj był ojcem królowej włoskiej!

* * *

W końcu stycznia otrzymałem zawiadomienie, że urlopy będą wkrótce przywrócone, co mnie bardzo ucieszyło, bo poza innemi względami przykrzyła się konieczność ciągłego celebrowania, które prześladowało mnie wszędzie, nawet w łaźni. Wolnego czasu miałem dużo i wysypiałem się do tego stopnia, że mi aż oczy puchły; dla rozrywki asystowałem raz jeden przy wyjściu na wywiad komendy wywiadowczej. Pola były zaśnieżone, włożyli więc żołnierze na szynele białe giezła; gdy się tak przekradali po nocy bez najlżejszego szmeru za linję drutów kolczastych, robili wrażenie korowodu cieniów Erebu. Trudno jednak było złapać teraz języka, bo Austrjacy za swe druty nie wychodzili i oświetlali je coraz to wzlatującemi na przedpole zielonemi rakietami; nastrojowo wyglądało to ładnie, ale praktycznie nie było bardzo miłe, bo przy najlżejszem podejrzeniu nadlatywał rój kul.

Adjutant mój ofiarował mi kilka fotografij o tematach z życia dywizji. Jedno ze zdjęć ubawiło mnie bardzo: przedstawiało ono oficerów baterji przy stole, ugarnirowanym kilkoma butelkami jakichś spirytualij; ponieważ oficerom znany był mój wstręt nieprzezwyciężony do alkoholu, zażartowali sobie ze mnie i ubrali się w maski gazowe, bym ich rzekomo nie poznał. Stosunki z artylerją były doskonałe, oficerowie byli to ludzie wykształceni, kulturalni i pracowali bez zarzutu; łatwiej im było coprawda, niż ich kolegom z piechoty, gdyż straty ponosili o wiele mniejsze, posiadali więc stałą, doświadczoną kadrę.

* * *

1-go lutego zameldował mi dowódca pułku białostockiego, że patrol podsłuchowy słyszał w nocy jakieś głuche odgłosy, dochodzące z pod ziemi, należy więc przypuszczać, iż przeciwnik prowadzi pod nasze okopy sztolnię minową. Z konfiguracji terenu wydało się to możliwe, kazałem więc natychmiast ewakuować zagrożone miejsce, wyłączając je z systemu obrony, a o północy zasiadłem na podsłuchy; po pewnym czasie doszły mnie rzeczywiście wśród głębokiej ciszy nocnej przytłumione, podziemne szmery, ustające co kilka minut; gdym przykładał ucho do ziemi, odgłosy były tak bliskie, że dochodziły jakby z pod okopu. Naturalnie, wyobraźnia nie próżnowała i szeptała do ucha, że ładunek jest już na pewno zakładany, a za chwilę wypadnie wykonać nagły wzlot ku niebu z przyśpieszonym powrotem na ziemię; perspektywa była bardzo nieprzyjemna, z pewnym więc wysiłkiem wysiedziałem potrzebny czas na czatach. Nazajutrz kazałem poprowadzić kontrminę, by się podkopać pod przeciwnika. Krecia to, przykra robota: minerzy coraz to przerywają pracę i nasłuchują, by odgadnąć kierunek i miejsce, w którem znajduje się głowa sztolni przeciwnej; zwycięży ten, kto się prędzej zorjentuje, przygotuje ładunek i w dogodnej chwili spowoduje wybuch, grzebiąc pod ziemią zaskoczonych partnerów. Po trzech dniach roboty moi minerzy doszli do galerji austrjackiej: była pusta, niezakończona i zawalona od strony przeciwnika ziemią i bierwionami; widocznie zmieniono zamiar.

5-go lutego wyjechałem na urlop do Kijowa.

ROZDZIAŁ V.

Spędziłem trzy tygodnie w Kijowie, odpocząłem nieco w kółku rodzinnem od męczących wrażeń zimowego frontu, trułem się jednak beznadziejną lekkomyślnością rosyjskiego społeczeństwa, które coraz mniej rozumiało, o jak poważną stawkę walczyła Rosja; zestawiałem bezmyślność miejscową z nastrojami o wiele mniej zaangażowanej w wojnie Anglji, gdzie na każdym rogu ulicy olbrzymie afisze pytały obywatela:

„What are you doing to guard the honour of England?"

Wątpiłem coraz bardziej o zwycięstwie Rosji, a w duszy wbrew najistotniejszym pragnieniom błąkało się pytanie, czy nie należy szukać rozwiązania naszych losów w ustroju federacyjnym z Austrją, chociaż oznaczało to jednocześnie wyrzeczenie się na długo nadziei połączenia z zaborem pruskim.

Wracałem do dywizji chętnie; wiedziałem, że tam ja mogę stwarzać nastroje, postanowiłem więc zmienić częściowo dotychczasową taktykę odosobnienia, zbliżyć się do oficerów, wpływać na ich ducha i patrjotyzm. Skoro społeczeństwo nie mogło pomóc armji, należało sobie radzić we własnym zakresie.

Droga powrotna nie była łatwa; pod Zmierzynką pociąg utknął w zaspach na kilka godzin, przyjechaliśmy więc do Wołoczysk z ogromnem opóźnieniem; dalsza jazda autem była jeszcze gorsza, zamieć zasypała szlak do tego stopnia, że raz po raz zakopywa-

liśmy się literalnie w pagórkach śniegu, wypadło więc szukać przejazdu przez pola po grudzie, jechać przez mosty, zbudowane „na niby“, drogami nieprowadzącemi nigdzie, błądzić, nawracać, przełazić przez rowy. Trzydzieści kilometrów do Zbaraża jechaliśmy pięć godzin; napiłem się w miasteczku cykorji z mlekiem, słuchając orkiestry, posiadającej pełny temperamentu, ale niesforny trombon, i dojechałem do domu już sankami, zmordowany i zmarznięty.

W dywizji zastałem wszystko po staremu, uraczono mnie tylko ogromną porcją papierowych spraw, konserwowanych specjalnie aż do mego powrotu; Malewanowa zwolniłem jednak zaraz na urlop, bo prosił o to gorąco z powodu rodzinnych spraw.

Z Łazarewem nastąpiło z miejsca starcie; poskarżył się mi na mego szefa sztabu ex re papierowych wykroczeń i miał rację, ale posunął się do wyraźnej groźby pod adresem winnego; odpowiedziałem ostro, że Malewanow jest odpowiedzialny wyłącznie przede mną, a moim zwierzchnikiem jest tylko dowódca korpusu, o czem proszę stale pamiętać. Ponieważ Ekk podlega bardzo wpływom sztabu, nastąpiło pomiędzy nami ponownie duże oziębienie; przypuszczam, że szybki wyjazd Malewanowa wywołany był chęcią uchylenia się od wyładowania pierwszych a zatem najsilniejszych objawów mego niezadowolenia.

Musiałem teraz osobiście odrabiać za niego zaległości. Sztab miałem nietęgi, obsadziłem go przeważnie połamańcami, chorowali więc ciągle; jeden leżał z wysoką temperaturą, bo mu się rana otworzyła, drugiemu spuchły nogi, trzeci kaszlał i krwawił, wła-

ściwie ja jeden byłem zdrowy; nie miałem więc zupełnie czasu jeździć na front, byłem tam w ciągu pierwszego tygodnia po powrocie zaledwie raz jeden i to dorywczo; zresztą mieliśmy okres dużego spokoju.

W pierwszych dniach marca pogoda stała się „marcowa"; śnieg i deszcz, zadymka, mróz, odwilż na zmiany, a jak wygląda słońce, zapomnieliśmy; widok dokoła był rozpaczliwy, brudne splamione błotem pola, sczerniałe chaty a nad nami mętne niebo, po którem włóczyły się wrony. Chodziliśmy wszyscy jak struci, stęsknieni za skrawkiem niebieskiego nieba, na złość spacerowałem jednak codziennie dla higjeny o „zachodzie słońca" (w przenośni).

Od tygodnia nie złapaliśmy ani jednego jeńca, a były oznaki, że u przeciwnika zaszły zmiany, poleciłem więc Tarbiejewowi przyprowadzić mi kilku Austrjaków; pułkownik zmartwił się trochę, wybąkał coś o niemożliwości, ale otrzymał suchą replikę, że nie wydaję nigdy niemożliwych rozkazów. Rzeczywiście, nocy następnej wybrani wywiadowcy, korzystając z ohydnej pogody, przecięli druty austrjackie w dwóch miejscach, wtargnęli znienacka do okopów, wykłuli kilkunastu Austrjaków i wycofali się bez strat z trzema jeńcami oraz dwudziestoma karabinami zdobycznemi. Przewidywania nasze były słuszne: na mem lewem skrzydle znalazła się świeża węgierska dywizja.

* * *

21-go lutego ocknął się front zachodni; armja kronprinca zaatakowała twierdzę Verdun po niesłychanie gwałtownem przygotowaniu artyleryjskiem; pierwsze

uderzenie oddało Niemcom w ręce forty Vaux i Douaumont, ale na tem utknęli. Francuzi okazywali zacięty i coraz silniejszy opór, walka trwała już od dwóch tygodni i nabrała charakteru rzezi; Niemcy rzucali wciąż do ataku olbrzymie masy ludzi. Nie rozumiałem, czemu wybrali oni właśnie Verdun; twierdza ta posiadała do obrony znakomite warunki terenowe, była doskonale ufortyfikowana i przedstawiała najsilniejszy punkt francuskiego frontu. Walki te wskazywały jednak, że rachuby na wyczerpanie Niemców zawiodły dotychczas całkowicie, duch przyrodzonej im ofensywy nie osłabł bynajmniej, a technika była na najwyższym poziomie rozwoju.

* * *

Mieliśmy w sztabie lokalną sensację: por. Zmieścyn nie wstawał z powodu choroby przez dwa tygodnie z łóżka; gdy nareszcie wyzdrowiał, poszedł się przejść; nagle poczuł, że mu się coś na głowie rusza, złapał za papachę i znalazł w niej młodą myszkę; po powrocie zbadał swe nakrycie głowy i odkrył tam jeszcze cztery myszki, które zamieszkiwały widocznie stale w ciepłem ukryciu barankowem.

21-go marca ukazało się po kilku chmurnych tygodniach słońce; musiało chyba ciężko chorować, bo było blade, bezsilne, ale po kilku dniach zmagania z ustępującą niechętnie zimą wzmogło się na siłach, promienie jego nabrały mocy i nastąpił tak upragniony przełom pogody ku wiośnie. Śnieg znikł z pól prawie nagle, przyczaił się tylko po ciemnych wyrwach, zaszemrały strumyki, wysoko w błękicie nie-

ba zadzwonił swój słodki hymn do słońca skowronek, zatańczyły pod wieczór w promieniach słońca roje efemeryd, rozpoczęły swe koncerty a capella chóry bardzo muzykalnych żab, zamieszkujących okoliczne bagna.

Przyleciały „Wojtki", moi starzy przyjaciele, na dzierżawione przez siebie mokre łąki i przeglądały swe moczary z nader pociesznemi minami. Drogi przeschły, mogłem więc rozpocząć konne harce; niestety, zamieniały się one stale w karne ekspedycje; zawsze musiałem wpaść na jakiś nieporządek i sprawować sądy; do okopów jeździłem mało, bo mi delegowano w świat obydwóch brygadjerów, musiałem więc pilnować gospodarstwa na miejscu.

Szef sztabu wrócił, dostał poważny „monit" i wziął się na serjo do pracy, ale wyż barometryczny trwał niedługo; w jednym z pułków poczęstowano pułkownika tak dokumentnie, że wrócił mocno zawiany. Widocznie posiadał on rozpowszechnioną u Rosjan wadę, lubił kieliszek „w kompanji". Gdy winowajca oprzytomniał, sprawiłem mu ciężkie „wały" moralne uprzedzając, że wyleci jak z procy ze stanowiska przy powtórzeniu się czegoś podobnego. Zauważyłem wogóle że ostatniemi czasy oficerowie zaczęli się bawić zbyt nio kieliszkami i kartami, zakazałem więc ponownie wszelkiego alkoholu i hazardownych gier. Wódeczkę produkowali na miejscu poczciwi wieśniacy; moja policja przyłapała domową gorzelnię u zamożnego chłopa, zwolnionego z wojska z powodu choroby, przyłapano też przy okazji organizację szpiegowską.

Jeździłem do hrabiny; przeniosła się ona do Wiśniowca, gdzie się urządziła bardziej niż skromnie w żydowskim domku, w ciemnym, wilgotnym pokoiku, którego okien otwierać nie można było z powodu zaduchu, panującego na uliczce. Hrabina Szuwałowowa uważała jednak, że mieszka „doskonale". Ta kobieta, to fenomen pomiędzy arystokratkami.

Zresztą przechorowała już poważnie przeniesienie do tych apartamentów i była tak osłabiona, że musiała wyjechać na parę tygodni do Jałty. Spotkanie nasze, jak zwykle, było bardzo serdeczne; dowiedziałem się natychmiast, że dowódca korpusu po mojem przejściu z Łazarewem narzekał, jakobym nie liczył się z niczyjem zdaniem i był w stosunkach ze sztabem stale kańciastym; ledwośmy skończyli z tym tematem, ukazał się i sam Ekk. Zmroziło mnie to, wolałem więc wynieść się wkrótce, chociaż robiliśmy we troje Wersal; na pożegnanie zostałem nawet zaszczycony osobistem podaniem mi palta przez mego pryncypała; wolałbym mniej grzeczności, a więcej stanowczości w stosunku do otoczenia.

* * *

Pomimo zaciekłości Niemców, manewr ich pod Verdun wyradzał się stopniowo; urwali jeszcze parę kawałków terenu, nie mających znaczenia, ale ponieśli olbrzymie straty. Upór ich można było tłumaczyć albo ciasnotą umysłu kronprinca, nie mogącego się w swej zarozumiałości pogodzić z porażką, albo chęcią podniesienia nastroju wewnątrz państwa dla przeprowadzenia nowej dwumiljardowej pożyczki.

* * *

Dla ulżenia Francuzom prowadzili Rosjanie na froncie dźwińskim szerokie natarcie, nota bene w czasie wiosennych roztopów, przy zupełnem bezdrożu; akcji tej brakowało jednak większego rozmachu. Niemcy ustąpili bez poważnej walki dwie pierwsze linje swych stanowisk a potem przeszli do szeregu silnych kontrataków, według zwykłej zresztą niemieckiej metody, skończyło się więc na paru lokalnych powodzeniach. Wogóle operacja ta była źle przygotowana, generałowie - wykonawcy nie sprawdzili planu działania w swym zakresie na miejscu i kierowali bitwą wyłącznie przy pomocy telefonu.

Zwykle jednak takie zachowanie starszych dowódców uchodziło dotychczas bezkarnie; całego szeregu generałów, faktycznie nieudolnych, nie usuwało się, bo cesarz tego nie lubiał, był zbyt łagodny, doszło wreszcie do tego, że poszczególne operacje kierowało się niezawsze w kierunku najkorzystniejszym strategicznie, ale według zaufania, które wzbudzał ten lub ów generał, stojący chociażby w gorszych warunkach operacyjnych.

Komunikaty urzędowe o tej operacji były, jak zwykle, mętne, pełne niesmacznej blagi; napisano całe rozprawy na temat zdobycia marnych wioseczek, z których nota bene przeciwnik potem Rosjan wyrzucił. Trafiały mi niekiedy do rąk komunikaty włoskie, orjentowały one doskonale co do warunków meteorologicznych na włoskim froncie, poza tem niewiele się z nich można było dowiedzieć.

Ujawniło się świeżo jedno ze źródeł doskonałych informacyj Niemców o planach rosyjskiego do-

wództwa; w Berdyczowie, gdzie rezydował sztab naszego frontu, stał na czele telegrafu iskrowego kpt. Karnegi. Otóż żandarmerja ustaliła, że rozmawiał on stale z Berlinem i Lwowem; ptaszka zamknięto, ale uciekł i zniknął bez śladu.

Gazety petersburskie podały, że minister Poliwanow ustąpił; był to cios, zadany armji i państwu: wraz z w. księciem Mikołajem był Poliwanow tą siłą ożywczą, która pozwoliła armji podźwignąć się po klęskach roku zeszłego. Przyczyną usunięcia była opozycja ministra przeciwko objęciu naczelnego dowództwa przez cesarza, co się cesarzowej bardzo niepodobało. Następcą został gen. Szuwajew, były główny intendent, staruszek, nie posiadający odpowiednich horyzontów myślowych, mało znany w armji. Nasz front otrzymał gen. Brusiłow, pozbyliśmy się nareszcie Iwanowa.

* * *

Przysłano mi z Petersburga dwie gwiazdy z mieczami — św. Stanisława i Św. Anny; słabo zareagowałem na to szablonowe odznaczenie.

Stosunki moje z duchowieństwem dywizyjnem były naprężone, traktowałem je, ze względu na me pochodzenie, ostrożnie, ale bez zbytniej pobłażliwości; żądałem od „batiuszków“ stałego obcowania z żołnierzem, głównie w okopach, gdzie wojsko stało w obliczu śmierci. Nie podobało się to, bo większość duchownych osób była zbyt nerwowo usposobiona w stosunku do ognia przeciwnika; dla dodania im animuszu miewałem z nimi rendez-vous tylko na fron-

cie. Jednocześnie bardzo pragnęli wielebni ojcowie ozdabiać swe piersi orderami z mieczykami, dawanemi wyłącznie za bojowe zasługi; wychodząc z założenia, że mieczem duchownym jest Krzyż Chrystusowy, nie zatwierdzałem żadnego przedstawienia tego rodzaju; naturalnie, wywoływało to wśród zainteresowanych głuchą niechęć i narzekania na „prześladowanie prawosławja przez inorodca". Miałem również otwarty zatarg z dywizyjnym „błagoczynnym"; pragnął on wysadzić z siodła popa artyleryjskiego, by go zastąpić swoim kandydatem, naskarżył więc na niego naczelnej władzy duchownej w sekrecie przede mną; dowiedziałem się o tem z rozporządzenia „protoprezbitera", usuwającego Bogu ducha winnego i lubianego popika, zareagowałem więc stanowczym telegramem wzwyż, i ostatecznie niewinna ofiara pozostała w dywizji, a z intrygantem porachuję się przy okazji.

Pogoda była piękna, słoneczna. Jeździłem czółnem na kaczki, których na Horyniu jest dużo; spędziłem na wodzie miłych pięć godzin; ofiarami naszych instynktów morderczych było pięć kaczek i... jeden szczupak, który nieostrożnie ukazał się na powierzchni wody. W domu zastałem drobną niespodziankę: w portret białej damy trafiły dwie zabłąkane kule karabinowe, wleciały przez otwarte okno, ocalały więc szczęśliwie szyby, o które bardzo trudno. Od paru dni zaczęli mi dokuczać Austrjacy; co rano i po południu ostrzeliwali sztab pociskami różnych kalibrów, przysłali nawet parę dwunastocalowych prezentów; jeden zarył się pod fundamentem mego pokoju i na szczęście nie eksplodował, gdyby nastąpił wybuch,

rozniósłby on całe skrzydło domowe. Straty mieliśmy małe, zginęło trzech żołnierzy i kilka koni.

Postanowiłem się odwdzięczyć. Obserwacja ustaliła, że o czternastej godzinie zjeżdża sporo jeźdźców do kompleksu budynków wpobliżu Poczajowa: przypuszczalnie mieściło się tam kasyno oficerskie. Na tę odległość nie mogła moja artylerja strzelać ze swych stałych stanowisk, kazałem więc przenieść potajemnie w nocy do okopów frontowych dwie haubice i zamaskować je starannie. Nazajutrz przyjechali o zwykłej godzinie panowie Austrjacy, prawdopodobnie na obiad, a wtedy zagrały moje haubice z dobrym skutkiem; jeden z domów zapalił się po kilku minutach, a prawie jednocześnie widzieliśmy odjeżdżających w przyśpieszonem tempie kikunastu jezdnych. Obserwowałem cały epizod, siedząc na dachu swego domu, z pewną przyjemnością. Rewanż poskutkował, od tego dnia przestano mnie niepokoić.

Zbliżająca się wiosna kazała przewidywać ożywienie akcji na wszystkich frontach; u nas nastąpi to nieco później niż na zachodzie: prymitywne drogi ukraińskie schną powoli. Zgóry można było przewidywać, że operacjom roku bieżącego będzie brakło rozmachu lat poprzednich. Armje stanęły za silnie umocnionemi płotami strategicznemi, ciągnącemi się na setki kilometrów, rozwinęły obronę głęboko wtył, tworząc potężne rejony umocnione; opanować czoło takiego rejonu można było tylko po przygotowaniu ataku setkami tysięcy ciężkich pocisków, które literalnie musiałyby przeorać całą przestrzeń atakowanego frontu, ale nawet udane natarcie byłoby niechybnie wstrzy-

mane kontratakiem rezerw lub następną, nietkniętą linją obronną, a takich linij przygotowali przeciwnicy na zachodzie kilka. Stoczenie walnej bitwy było w tych warunkach niemożliwe, nadszedł więc okres gry na wyczerpanie nerwów materjału ludzkiego i technicznego. W zmaganiu tem mieli jednak większą przewagę aljanci — tyłem ich był cały świat; centralnym mocarstwom było o wiele gorzej, były one osaczone; tłumaczyło to poczęści zaciekłość niemieckich ataków na Verdun.

W porównaniu z zachodem był wschodni front nędzarzem w technice, posiadał zato olbrzymie zapasy materjału ludzkiego i niezmierzoną przestrzeń na tyłach; mogli Niemcy, dzięki swej wspaniałej armji, zepchnąć raz jeszcze Rosjan wtył, ale jak daleko? Moskwy nie zajęliby, Kijów nie miał znaczenia, pozostawał chyba Petersburg, ze względnie dogodną linją operacyjną przez terytorjum w pewnym stopniu zniszczone, sąsiadujące z morzem, na którem Niemcy panowali. Naturalnie będą walki i na Ukrainie, ale Austrjacy, nawet z pomocą niemiecką, nie byli zdolni do poważnej akcji zaczepnej.

Otrzymałem propozycję wyjazdu na front zachodni, w charakterze przedstawiciela rosyjskiej armji przy Anglikach; propozycja ta z punktu widzenia egoistycznego była bardzo ponętna, obiecywała wygodne i bezpieczne istnienie do końca wojny, ale po namyśle odmówiłem: bierne przyglądanie się wypadkom nie odpowiadało memu usposobieniu, nie chciałem również rozstawać się z rodziną.

* * *

Zauważyłem, że spacery na linji rezerw z nastaniem zmroku przedstawiały pewne ryzyko: o tej porze aż do północy wartownicy austrjaccy, chcąc okazać swą czujność, zaczynali strzelać na ślepo w przestrzeń; leciały więc osy wysoko nad okopami i pogwizdywały na tyłach w poszukiwaniu jakiego pechowca. Znalazł się taki i u nas: zabłąkana kula zabiła na podwórzu sztabu żołnierza — ojca ośmiorga dzieci; coprawda, taki wypadek nie wzmacniał wiary w Opatrzność. Kilka razy pokazywał mi Pietrek z niemym wyrzutem, że przynoszę w fałdach palta dziury po kulach, które otarły się nieznacznie o mnie.

10-go kwietnia spadł śnieg, temperatura obniżyła się znacznie, i naturalnie mieliśmy szalone błoto. Właśnie zachciało się dowódcy korpusu zwiedzić okopy a głównie t. zw. „lisie nory“, wykopane głęboko pod ziemią dla zabezpieczenia żołnierzy od ciężkich pocisków; właściwie nie widzieliśmy jednak nic, maximum uwagi wypadło skupić na uciekające wciąż w różne strony, w śliskiem błocie — nogi. Ekk zmęczył się do tego stopnia, że zrezygnował nawet z lisich nor. W drodze powrotnej zajechaliśmy do mego sztabu na herbatę i oskrobywanie z błota, pokrywającego nas od stóp do głów. W toku przyjacielskiej pogawędki zaproponował mi wreszcie Ekk, bym, ze względu na stałe niebezpieczeństwo, zagrażające sztabowi w Rydomlu, przeniósł się do Chotowic, ukrytych za wzgórzami o dwa kilometry dalej od frontu. Nie dogadzało mi to, bo na miejscu orjentowałem się doskonale dźwiękowo w życiu na froncie, byłem więc moralnie spokojniejszy; pryncypał nie dał jednak za

wygraną, napomknął lekko, że mój upór bierze wiele osób za brawurę, narażającą bez potrzeby również i sztab; rozbroił mnie nareszcie uwagą: „Jeździłem do hr. Rzyszczewskiej i otrzymałem pozwolenie przeniesienia fortepianu do Chotowic"; zgodziłem się więc na zmianę locum, ale dopiero z nastaniem ciepła.

Czytałem w pismach o nowym sympatycznym objawie współczucia kobiety francuskiej dla żołnierza: przyjął się tam obyczaj „matek chrzestnych". Żołnierz, pragnący doznać opieki kobiecej, ogłaszał w pismach swą prośbę oraz przydział i znajdował z łatwością „mateczkę", która przyjmowała na siebie obowiązki opiekunki i zapobiegała potrzebom duchowym oraz materjalnym przygarniętego przez siebie „poilu". Naturalnie nie obchodziło się bez flirtu na odległość, a może przy bezpośredniem spotkaniu, sama idea jednak była nader sympatyczna, gdyż zsyłała biednemu troglodytowi promyk słońca do mrocznego okopu. Na froncie rosyjskim było to jednak niemożliwe; małe uświadomienie narodowe kobiety rosyjskiej czyniło ją niezdolną do poświęcania się nieznanemu żołnierzowi.

Istną plagą dla mnie było ciągłe fotografowanie się, prawdziwa manja ogarnęła sztab i oddziały, nie można się było nigdzie pokazać bez pozowania solo lub w jakimkolwiek zespole. Przed paru dniami uwieczniono mnie w inny sposób: wpadłem przypadkiem na grupę oficerów, zaśmiewających się z jakiegoś rysunku, wykończanego przez por. Cygemkę; moje przyjście wywołało popłoch, a rysownik zbladł jak ściana. Zainteresowało mnie to, poprosiłem więc o pokazanie mi obrazka i ujrzałem na nim siebie w natchnionej pozie przy

fortepianie, zapatrzonego w sufit; sens satyryczny polegał na tem, że w głębi pokoju widać było wybuchającą bombę, której w zapamiętaniu muzycznem nie zauważyłem. Ponieważ w karykaturze nie było nic obraźliwego, zacząłem się śmiać, co ogromnie ucieszyło wszystkich, autorowi rysunku naznaczyłem jednak karę za wyśmiewanie władzy, polecając mu przedstawiać mi co tydzień humorystyczny epizod z życia dywizji, możliwie z moim udziałem.

W tych dniach została wzięta przez Rosjan Trebizonda nad morzem Czarnem. Rewanżując się za „Cetynje", zawiadomiłem o tem Austrjaków plakatami, kazałem również krzyczeć w okopach „hurra"; w odpowiedzi otrzymaliśmy kilkadziesiąt pocisków, które zresztą nie zrobiły nam nic złego. W czasie bombardowania byłem właśnie w okopach, gdy taki „kuferek" wpadł do nas, sypnął piaskiem, ale nie wybuchnął; przyglądaliśmy się mu przez parę chwil podejrzliwie, ale poczciwiec leżał cicho; wyniesiono go jednak na wszelki wypadek w nocy na przedpole, by się tam wyleżał.

W końcu kwietnia nadeszły Święta Wielkanocne, a z niemi wróciła wiosna; pąki na jabłoniach nabrzmiały i czekały tylko na trochę gorących promieni słońca, by się rozwinąć. Wobec szczupłości cerkwi, postanowiłem wysłuchać rezurekcji wraz z rezerwą dywizyjną w polu; w otwartej altanie ustawiono ołtarz, w niej również stanęła starszyzna, a bataljony uszykowano w czworobokach dokoła.

Ledwie zapłonął ołtarz świeczkami świateł, lunął ulewny deszcz, a wichura pogasiła świece; nabożeństwo

poszło galopem, byle prędzej, i prysnął wszelki nastrój. Nim się ulewa skończyła, przemokli żołnierze do nitki; w domu nikt nie miał ochoty do uczty wielkanocnej, chybili również prawie wszyscy zaproszeni goście, byli i tacy, co pociemku nie trafili i błąkali się do świtu po rozmokłych drogach.

2-go maja przeniosłem się wraz z umeblowaniem do Chotowic, gdzie zamieszkałem w domu zbiegłego popa. Zastałem tam wiosnę, obdarzyła mnie ona bukietem dziewiczo białych narcyzów, oczarowała widokiem czereśni, osypanej srebrnym kwiatem, zaglądającej mi do okna; najbliższymi sąsiadami mymi były dwa bociany, zamieszkujące w gnieździe na szopie. Vis à vis domu przytulił się do zbocza cmentarzyk; zajęli w nim moi żołnierze całą dzielnicę, a poczciwy Kankrin upiększył im miejsce wiecznego spoczynku; ciasno jednak stłoczyły się tu groby i zdawały się spychać nawzajem. Nie spodziewał się snać cmentarzyk tylu mieszkańców! Było mi tu właściwie dobrze, ale jakoś niewyraźnie, bo nie słyszałem zupełnie karabinowych wystrzałów na froncie, gorzej się więc orjentowałem w sytuacji, której mi łgarz-telefon nigdy prawdziwie nie wyjaśnił. Swoją drogą Ekk miał rację, odsuwając mnie dalej od frontu; w parę minut po moim wyjeździe ciężki pocisk omal nie pozabijał w podwórzu domu personelu Czerwonego Krzyża.

* * *

Podzielili się znowu z nami Austrjacy zapomocą plakatu swą radością z powodu poddania się w Mezopotamji Kut el Amara, gdzie Turcy wzięli do niewoli

trzynaście tysięcy Anglików; cyfra ta była zapewne przesadzona, ale fakt podobny do prawdy. Poco jednak Anglicy tam wleźli — nie rozumiałem, za daleko stamtąd do Konstantynopola. Katastrofa była przewidziana i nie była poważna, zneutralizowała jednak wrażenie utraty Trebizondy i dodała ducha Turkom.

* * *

Wiosna roztaczała dokoła całą swą krasę; zakwitły na łąkach kaczeńce, wpatrywały się w słońce złociste oczy narcyzów, zamyślone bratki fioletowe, z tlejącą w ośrodku iskrą pożądania pocałunku motyla, kwitnąca wiśnia posyłała mi z każdym podmuchem wietrzyka delikatną woń swego kwiecia, a wysoko dzwonił w błękicie srebrny głos skowronka.

Pod ciągłą obserwacją miałem sympatyczną parę „Wojtków" skrzydlatych na stodole; żyło to stadło wogóle bardzo zgodnie: boćkowa stała przykładnie na straży domowego gniazda, bociek przynosił skrzętnie produkty, zdobyte na sąsiedniej łące; gdy nadlatywał przed wieczorem, witała go zwykle małżonka radosnem klekotaniem, z zarzuconą na plecy głową, potem małżeństwo oglądało uważnie złożoną w gnieździe zdobycz, załatwiało się z nią i, stojąc obok siebie, trawiło w błogim spokoju spożyte specjały. Niema jednak wiecznej harmonji na świecie. Raz jeden wrócił po dłuższej nieobecności „Wojtek", manifestując swą radość paroma pięknemi skokami na dachu i przyjemnem klekotaniem; spotkał go jednak srogi zawód, „Wojtkowa" nie odpowiedziała na powitanie, zerwała się nagle, rozczapierzając skrzydła, z gniazda i poczęła grzmocić

męża ostrym dziobem; zaskoczony ptak odskoczył na drugi koniec dachu i tu zamierzał przeczekać burzę domową, ale połowica, oburzona jego zimną krwią, przeszła znowu do akcji zaczepnej i zmusiła pana domu do odlotu z gniazda szczęścia rodzinnego. Zdaje się, że „nieporozumienie" wynikło na tle niedostarczenia małżonce potrzebnej ilości żabek.

Na wiosnę budzi się człowiek zwykle do życia nowego, wracają porywy, nadzieje, pogłębia się wrażliwość, pragnienie zespolenia z naturą. Tym razem jednak nie mogłem całkowicie ulec czarom zmartwychwstania natury, wiedziałem, że skończył się okres zimowych wywczasów i nadchodzi nowa fala ciężkich zmagań, masowych mordów, nienawiści i nieszczęść; myśli te rwały wciąż rodzące się podświadomie nastroje.

* * *

Żona moja obdarowywana była stale masą kwiatów, salonik jej wyglądał nieraz jak buduar artystki operetkowej po benefisie. Bardzoby mnie to wzruszało, gdyby dary te nie pochodziły prawie zawsze od osób, którym „generał może być potrzebny". Ludzki sentyment jeździ na bardzo interesownym koniu. Przysłał również plenipotent p. Karskiego, któremu w Włostowie zburzyłem w czasie bitwy cukrownię, piękną bombonjerkę; oczywiście wyglądało to w owej chwili paradoksalnie. Nawiasem jednak mówiąc, właściciel rychło uzyskał od rządu rosyjskiego odszkodowanie za poniesioną stratę.

* * *

Korzystając z ładnej pogody, spędzałem dużo czasu w pułkach na zajęciach. Zimowe życie w okopach osłabiło żołnierza ogromnie fizycznie i moralnie, zmniejszyło jego sprawność a nawet karność do tego stopnia, że nie nadawał się on wprost do poważnej akcji bojowej; nakazałem więc częstą zmianę oddziałów na froncie, by usilną pracą w rezerwie przywracać im sprawność żołnierską. Stosunki me z dywizją wyrównały się zupełnie, wszyscy pracowali tak chętnie, że nie miałem okazji do chmurzenia się; przypatrując się oddziałom, miałem niekiedy wrażenie, że wojny jakby nie było, takie to wszystko było wymusztrowane i wesołe. Wśród młodzieży poznałem bliżej porucznika konnej artylerji gwardji, Chitrowa, który porzucił po rycersku uprzywilejowany a mało narażany rodzaj broni i przeszedł do piechoty, pełniąc wzorowo obowiązki dowódcy kompanji.

Myszkując po dywizji, wpadłem na punkcie obserwacyjnym jednej z bateryj na dwóch telefonistów, bardzo ładnych chłopców; mimowoli przyjrzałem się im wyraźniej i zauważyłem, że obydwaj zarumienili się pod moim wzrokiem po same uszy; zorjentowałem się natychmiast, kogo mam przed sobą — były to dwie panny z lepszych sfer, które zgłosiły się do artylerji na ochotnika. Kazałem je natychmiast przebrać w kobiece szaty w Czerwonym Krzyżu i odesłać z podoficerem do Kijowa. Naturalnie otrzymali poważny „monit“ dowódca brygady i baterji. Wogóle przebywanie młodych kobiet w rejonie armji demoralizuje żołnierza; Joanny d'Arc i Emilje Platerówny rodzą się rzadko, wszelkie zaś inne, szczególniej, jeśli posiadają

urodę, są czynnikami, rozkładającemi wolę i energję męską, a zatem szkodnikami.

Właściwie byliśmy już przygotowani do poważnej akcji zaczepnej, ale nie słychać było jakoś nic o zamiarach „góry"; parokrotnie proponowali wyżsi dowódcy na froncie wykonanie jakiego śmiałego a dobrze przemyślanego planu operacji, obiecującej duże korzyści ale wymagającej naturalnie sporych środków technicznych. „Władza" zrazu wpadała w zachwyt i przedstawiała plan wraz ze swą aprobatą wyżej; nowe zadowolenie, połączone z nakazem natychmiastowego rozpoczęcia przygotowań. Potrzebne środki techniczne napływały jednak powoli i w nader skromnym zakresie, zato papierowe rady sypały się jak z rogu obfitości, „władza" zaś dziwiła się, że wykonanie idzie powoli.

Pilno jej było bardzo a orjentowała się słabo w sprawach, wymagających drobiazgowego przygotowania technicznego, chociażby dla oszczędzania życia tysięcy żołnierzy. Nareszcie wszystko było gotowe, można było zaczynać, wtedy wysokie sfery poczynały namyślać się, bo to przecie ryzyko, może się nie udać, a kto weźmie na siebie odpowiedzialność. Oglądał się więc jeden na drugiego, następowała cisza, wreszcie odwrót generalny. Tak było już parę razy, będzie zapewne i nadal; wychowano za dużo giętkich ludzi z dobrym nosem, tacy nie nadawali się do czynu.

Typowym przedstawicielem ich był gen. Suchomlinow. Wsadzono go obecnie do więzienia i wytoczono sprawę o zdradę stanu; byłem pewny, że nie popełnił on świadomie żadnej zdrady, był to jednak

lekkoduch bez podstaw moralnych, potrzebujący dużo pieniędzy dla kobiet, które w jego wieku były naturalnie ogromnie kosztowne, czerpał więc pełną garścią ruble z bardzo podejrzanych źródeł.

Austrjacy zaatakowali na Isonzo Włochów i odrzucili ich na Assiago, biorąc do niewoli dziesięć tysięcy żołnierzy. Komunikat o tem był naturalnie nader powściągliwy; nie mogłem się pogodzić ze stałem fałszowaniem prawdy, wszystkie mocarstwa prześcigały się wprost pod tym względem, podawały fantastyczne cyfry swych zdobyczy lub przemilczały własne porażki. Np. Niemcy zataili wprost przed własnem społeczeństwem przegraną bitwę nad Marną.

Oglądałem punkt obserwacyjny, zbudowany przez inżyniera korpusowego, gen. Hłaskę, dla dowódcy korpusu; był to blokhauz o charakterze zabytków cyklopowych, oparty na potężnych bierwionach, żelazie i betonie, z wąskiemi strzelnicami do wypatrywania przebiegu wypadków, rozgrywających się w odległości 12 — 16 km.

Wstyd wprost, że ci panowie odtylcowi robili z tragedji szopkę, przecie nie było tu widać nic, i możnaby było w czasie boju urządzić spokojnie piknik z paniami, z absolutnem pominięciem jakichkolwiek ostrożności.

Korzystając z obeschnięcia dróg, poprawiałem je, pogłębiałem i maskowałem od niedyskretnych oczu austrjackich; oni robili to samo. Zauważyliśmy, że droga, prowadząca z Poczajewa na wschód, obecnie była na znacznej przestrzeni przesłonięta sztucznemi krza-

kami. Mogłem podjeżdżać do frontu autem znacznie bliżej; sąsiad mój, gen. Gutor, robił to samo, ale brawurował zbytnio i dostał, jadąc w samochodzie, silny postrzał szrapnelowy.

16-go maja krzyczeli bardzo Austrjacy radosne „hurra", musiało się nam widocznie przytrafić jakieś paskudztwo; oczekiwałem więc zwykłego plakatu, ale nie było go, dopiero nazajutrz złapaliśmy Węgra, i wyśpiewał, jakoby Włosi prosili o pokój — to chyba kłamstwo!

* * *

Spadł znowu śnieg i oziębiło się nagle. Taką zmianę pogody odczuwaliśmy bardzo nietylko dlatego, że na wsi żyło się bliżej z naturą, ale i ze względu na siedzibę naszą, istny domek z kart, z dachem podziurawionym przez kule szrapnelowe, gdy więc na dworze padał deszcz, miałem go i w pokoju; paliło się nawet w piecu, co nie przeszkadzało marznąć pod kołdrą. Szaruga trwała na szczęście tylko trzy dni.

Miałem znowu urzędowy festyn w pułku brzeskim; przez cztery godziny siedziałem przy stole obok Ekka, toastów było ze trzydzieści, ale tylko z odrobiną alkoholu, którego nie znoszę. „Wałkowano" pomyślność, sławę i zwycięstwo na wszelkie sposoby, przeważnie szablonowo, bez cienia inwencji; musiałem toastować i ja, zebrałem odrazu do kupy w trzech zdaniach obydwie cesarzowe, wraz z następcą tronu, ale dobry przykład nie poskutkował. Opowiadano mi, że w konnej brygadzie artylerji gwardji święto uroczyste trwało pół-

torej doby, i wypito tysiąc butelek szampana. To skandal a zarazem niegodziwość, ładna wojna!

* * *

Polecono mi wysłać do Francji kompanję żołnierzy; wybrałem z każdego pułku po jednej i zrobiłem przegląd; był to właściwie balet, każdemu chciało się jechać, wyłazili więc ze skóry, by się lepiej pokazać; ostatecznie wybrałem trupę pułku litewskiego z pułk. Tarbiejewem na czele; będzie tam dowodził zbiorowym pułkiem rosyjskim.

* * *

Gości odtylcowych miałem za dużo. Korzystali oni z ciszy na froncie i przyjeżdżali z różnemi poruczeniami bez znaczenia; panom tym szło o uzyskanie zaświadczenia, że byli „pod ogniem", z perspektywą otrzymania orderu z mieczykami. Nie znosiłem tych bażantów, przyjmowałem ich więc bardzo sucho. Ostatnio zameldował się prezes komitetu giełdowego z Petersburga, Bylinkin; ten przynajmniej przywiózł kilkadziesiąt pudów prezentów. By mu się odwdzięczyć, zawiozłem go na mój punkt obserwacyjny i kazałem sprowokować Austrjaków kilkunastu pociskami; udało się to znakomicie: trysnęły na szerokim froncie promienie kilku reflektorów, błysnęły setki zielonych rakiet, a po chwili zagrzmiały działa z akompanjamentem szycia kulomiotów. Trwało to przeszło godzinę, wrażenie odniósł gość przejmujące.

Zainteresował się czegoś w ostatnich dniach przeciwnik dworem w Rydomlu, nie było dnia, by go nie ostrzeliwano; dach został w paru miejscach przebity, a owocowy ogród ogromnie zniszczony; strat żadnych nie mieliśmy, bo we dworze rezydowała tylko „biała dama". Amunicja austrjacka była obecnie znacznie gorsza, dużo pocisków nie wybuchało.

Opowiadano mi, że w sąsiedniej dywizji prostaczkowie rosyjscy, w czasie świąt, wyszli na zaproszenie Austrjaków z okopów; nastąpiło poznanie, wymiana grzeczności oraz prezentów, nareszcie część żołnierzy, zwabiona zapewne wódeczką, poszła do okopów austrjackich, gdzie ich gościnnie zatrzymano na stałe. Co za perfidja z jednej strony, a naiwność z drugiej! Gdzie jednak byli oficerowie? W 34-ej dywizji wymieniano też chleb na wódkę; jeden z rosyjskich żołnierzy, czując się pokrzywdzonym, pobił się z Austrjakami, ale rozstano się zgodnie. U mnie dozór był ostry, wymieniano więc tylko kule i granaty; zresztą moi żołnierze mieli swoją rozrywkę na miejscu, po wsiach. Pop w Zwiniaczach wynalazł sobie ex re tego nadetatowy dochód: liczył za każdego przybysza o niepewnym ojcu dodatkowe 3 ruble. Moim „Wojtkom" urodziły się też cztery obiecujące latorośle.

U mnie w dywizji nastąpił szereg zmian. Gen. Lichaczew dostał samodzielną brygadę; rad byłem, żem się go pozbył, bo, pomimo poważnych zalet bojowych, przykrzyło mi się jego chamstwo, zrażał również niepoprawny stosunek do mnie — miał on ciągłe konszachty z nienawidzącym mnie sztabem

korpusu. Poszedł również gen. Piłkin na inspektora artylerji, co mnie także nie zmartwiło, bo bez powodów był mi stale niechętny. Nareszcie odjechał i mój szef sztabu, Malewanow, obrażony na pewne rozporządzenie dowódcy korpusu; dałem mu chętnie urlop — był to leniuch i lekkoduch, rządził się wrażeniem, a nie głową; i bawić się lubił bardzo, stąd miał mało powagi w dywizji. Zastąpił go kpt. Gonczarenko, solidny sztabowiec i poważny człowiek.

Ponieważ pogoda była ładna, latały często nad nami „ptaszki“ o martwych skrzydłach i zrzucały nam hałaśliwe „confetti“; jeden odwiedził Wiśniowiec i cisnął parę bomb: zabiły one trzy osoby, a pokaleczyły piętnaście. Wywołało to wśród Żydów nadzwyczajne poruszenie, nie bez cech komicznych. Wybuch jednej bomby nastąpił wpobliżu apteki, gdzie powybijał szyby; naturalnie zebrała się tam żydowska gromada, krzycząc wniebogłosy. Zniecierpliwiło to prowizora, stanął więc na progu i wrzasnął: „Sza, nie krzyczeć, ja też jestem ranny“, i pokazał zadrapaną kawałkiem szkła rękę. Inny żydek biegał przez godzinę, eskortując rannych do lazaretu, nareszcie przyjechał sam na noszach z wywróconemi oczyma; na pytanie, co mu jest, odpowiedział zbolałym głosem, że jest ciężko ranny, wątpi nawet, czy będzie żył. Przy opatrunku znaleziono u niego dwa lekkie zadraśnięcia na ramieniu. Zresztą sztab korpusu nie okazał również nadzwyczajnego męstwa i po pierwszej bombie ewakuował pośpiesznie pierwsze piętro.

Na tych „gołąbków“ nie mieliśmy właściwie rady. Ogień karabinowy nie szkodził im nic a nic, bo

trzymały się na wysokości trzech tysięcy metrów nad ziemią, zniżając się tylko niekiedy poniżej tysiąca metrów, by wywołać ogień armatni i rozpoznać stanowisko naszej artylerji. Pilnowały ich specjalne plutony dział przeciwlotniczych i zawzięcie pudłowały do lecących aeroplanów. Jedyną bronią przeciwko nim był właściwie tylko samolot, dobrze uzbrojony, zwrotny i szybki, ale mieliśmy ich tylko na lekarstwo.

* * *

Na zachodzie toczyła się wciąż walka o Verdun. Niemcom udało się jednak odebrać powtórnie fort Douaumont; sam przez się znaczył ten fort mało, był doszczętnie zrujnowany. Sądziłem, że Kronprinc połamie sobie tam zęby; wogóle nie rozumiałem obecnej taktyki Niemców: to paromiesięczne a prawie bezskuteczne kucie w twierdzę dało im w wyniku parę kilometrów terenu, za cenę olbrzymich strat w ludziach i materjale technicznym. Naturalnie cierpieli i Francuzi, ale w walce na wyczerpanie słabszymi byli blokowani zewsząd Niemcy, niż ich adwersarze.

„Graphic" podawał, że Anglicy nazywają Niemców Hunnami, a szczurów, których w okopach była moc: „the little brother of the Huns". Czytałem również, że prasa włoska nawołuje Rosję do dania Włochom pomocy, gdyż prowadzą oni od wiosny akcję zaczepną. To chyba żarty! Mieli oni armję, przenoszącą o wiele siły przeciwnika, walczącego przeciwko nim, i nie ruszali się prawie z miejsca.

* * *

Przysłali mi pierwszą partję bombomiotów ojczystej fabrykacji; wyglądały na oko paskudnie, zro-

biono je chyba z rur kanalizacyjnych. Próbowałem w nocy zepsuć niemi sen Austrjakom i próba wypadła fatalnie; przy wystrzale ukazywał się u wylotu lufy duży płomień, który zdradzał odrazu miejsce, skąd strzelano, cała zaś maszyna podskakiwała tak silnie, że obsługa, podpaliwszy lont, musiała kryć się czem prędzej za trawersem, a pociski koziołkowały w powietrzu. Trzy bombomioty wypowiedziały po pierwszych strzałach służbę; musiał jakiś patrjota zarobić sporo na tem gałgaństwie...

Stosunki sąsiedzkie zaczynały się psuć. Austrjacy wywiesili jakiś plakat, popełzli więc po niego w nocy moi żołnierze; zauważyli jednak, że od drążka, na którym plakat był przytwierdzony, spuszczał się ku ziemi sznurek, który łączył się z fugasem; przy pociągnięciu drążka nastąpiłby wybuch. Wywiadowcy wykopali ostrożnie cały aparat i przynieśli go do okopów wraz z nowinami, które się zaczynały od słów: „Hallo, Moskale"!...

ROZDZIAŁ VI.

1-go czerwca wzywał mnie dowódca korpusu i poinformował poufnie, że zamierzona jest wkrótce akcja zaczepna na szerokim froncie, od Łucka aż do Dniestru; jednocześnie mieli uderzyć na Austrjaków i Włosi.

5-go czerwca po południu nadszedł telegram z rozkazem natychmiastowego natarcia „w celach demonstracyjnych", nie dopuszczając jednak do walki wręcz;

mieliśmy widocznie przytrzymać na miejscu rezerwy austrjackie.

W godzinę później zagrzmiała moja artylerja, a ja udałem się na punkt obserwacyjny. Widok miałem imponujący, a hałas piekielny, bo do silnego ognia artyleryjskiego dołączyło się namiętne ujadanie kulomiotów, których Austrjacy mieli moc.

Wkrótce rozpoczęły czołowe bataljony natarcie na szerokim froncie; kompanje manewrowały znakomicie, napływały coraz bliżej ku okopom przeciwnika; Austrjacy denerwowali się widocznie, widziałem, jak od tyłów biegły całe bataljony naprzełaj, smagane ogniem mojej artylerji.

Ku zachodowi słońca cel został osiągnięty, teren zamierzony zajęty, bój ucichł, zaczęła energicznie pracować łopata; trzeba było zakopać się dobrze i przygotować rowy dobiegowe. Straciłem w tym dniu sześciu oficerów i czterystu trzydziestu żołnierzy. Z nastaniem zmroku przeszli Austrjacy, w ulewny deszcz, do kontrataku w trzech miejscach, odrzucono ich energicznie; ograniczyłem się jednak do biernego odparcia, miałem za duży front, dywizja wyciągnięta była jak struna.

Akcję sąsiadów zakrojono na szerszą skalę: korpus od prawego skrzydła przerwał trzy linje okopów i bardzo poturbował Austrjaków, a na granicy Bukowiny wzięła wczoraj 9-ta armja 3.000 jeńca i 14 dział. Zdawało się, że zajdą poważniejsze wypadki wojenne.

Moje zadanie nie podobało mi się zupełnie, jako czysto bierne; niełatwo było wytłumaczyć żołnierzom, którzy tym razem wykazali doskonały duch zaczepny,

dlaczego przerwano atak — natarcie nie znosi przerywania; z drugiej strony jednak, miałem prawdziwe wątpliwości, czy wobec braku ciężkiej artylerji potrafimy przebić się przez niezliczone linje przeszkód. Dlaczego jednak kazano mi atakować, bez uprzedzenia mnie chociażby o parę godzin i wyjaśnienia ogólnego celu operacji, nie wiedziałem.

Noc miałem przykrą, odbyłem rachunek sumienia, który wypadł nieszczególnie: zima odhartowała mi widocznie nerwy, w czasie walki ostatniej zwracałem za dużo uwagi na straty w ludziach, a na punkcie opatrunkowym zniosłem z ogromnym wysiłkiem widok cierpień operowanych rannych. Jednak dowódcy nie wolno się rozmazgajać, ludzie przy wykonywaniu operacji wojennej są tylko materjałem, inaczej być nie może! Niespokojnie również było na froncie, Austrjacy prowadzili pomimo deszczu silny ogień wszystkich typów i oświetlali wciąż przedpole bukietami rakiet; myśmy też nie próżnowali, a wywiadowcy, leżąc bezpośrednio przy drutach, zarzucali okopy przeciwnika ręcznemi granatami. Nad ranem ujrzałem wdali olbrzymi snop ognia, wytryskujący ku niebu, a po chwili doleciał mnie potężny grom: zapewne wyleciał w powietrze skład materjałów wybuchowych w Podkamieniu; był to jakby decydujący akord, po którym zaczął się front uspokajać. Zaniepokoił on jednak Ekka o tyle, że mi zaproponował przysłanie rezerwy korpusowej; odmówiłem, w takiej ciemni trudno było oczekiwać poważniejszego wystąpienia. Nadszedł również telegram, że na całym froncie, od Prypeci do Bukowiny akcja zaczepna posuwa się dobrze, miejscami prze-

rwano trzy — cztery linje okopów, wzięto do niewoli dużo jeńca, działa, kulomioty; kazałem podać tę wieść natychmiast aż do czołowych okopów.

6 i 7 czerwca nie miałem się ruszać, a tymczasem w łuckim rejonie natarcie rozwijało się potężnie; wróg oddawał tysiące jeńców, dziesiątki dział. Nastrój w dywizji miałem cudowny, wszystko rwało się naprzód, musiałem gwałtem trzymać za poły, bo za lada pretekstem chcieli żołnierze pędzić do ataku; naturalnie, nie opuszczałem ani na chwilę frontu. Miałem wrażenie, że mój poprzedni sceptycyzm nie miał dostatecznych powodów, zwycięstwo może być jeszcze wywalczone. Przykrym zgrzytem odezwał się Petersburg; zakomunikowano mi, jakoby przeważały tam coraz bardziej intencje zawarcia oddzielnego pokoju z Niemcami. Nie pogodziłoby się chyba z taką ohydą nawet mało wyrobione społeczeństwo rosyjskie...

Zbliżenie z przeciwnikiem było tak wielkie, że kilka bataljonów miało wspólną z nim sieć drutów kolczastych; wytwarzało to naturalnie stały niepokój na froncie i lokalne starcia. Wywiadowcy pułku brzeskiego przy cięciu drutów zostali przywitani silnym ogniem; nie zraziło to ich jednak, przerwali dwa kolczaste pasy i dobrali się do trzeciego; tu jednak czekała ich straszna niespodzianka: który tylko dotknął się drutu, padał jak rażony piorunem. Linja była naelektryzowana prądem ogromnego napięcia; pierwsi śmiałkowie zwiśli na drutach, następni próbowali ich ściągnąć i też ulegli temuż losowi, nieznaczna część tylko przedostała się i przez tę piekielną przeszkodę, wpadła do okopów, wymordowała jej obrońców i wróciła z dziewię-

cioma jeńcami. Sąsiednie dwie kompanje posłyszały odgłos walki i samorzutnie zaatakowały, wpadły jednak jeszcze gorzej, bo natrafiły na pole podminowane; kilkudziesięciu żołnierzy wyleciało w powietrze, reszta wróciła do okopów. Nie wpłynęło to nic a nic na nastrój, wszyscy wołali: „iść naprzód".

Austrjacy bili się rozmaicie: na froncie naszej armji walczyli dzielnie, przechodzili często do kontrataków, dawali się przełamywać z największą trudnością; pod Łuckiem duch ich ostygł, poddawali się masami, oddali Łuck i umocnioną linję Styru. O wzrastającem z dniem każdym powodzeniu komunikowaliśmy naszym vis à vis codziennie zapomocą plakatów; tym razem nie reagowali na nie zupełnie.

8-go czerwca uciszyło się o tyle, że pojechałem na poświęcenie pomnika, postawionego przez hr. Kankrina na braterskiej mogile kilkudziesięciu żołnierzy; przyjechał tam również i dowódca korpusu. Po ceremonji zaprosił on mnie do swego auta dla omówienia pewnej sprawy, uprzedzając: „Będzie się pan bardzo na mnie gniewał".

Po tym wstępie, przeszliśmy na język angielski, ze względu na szofera, i dowiedziałem się, że nakazano z góry zatrzymać narazie moją akcję zaczepną, gdyż dywizja znajdowała się prawie na osi manewru oskrzydlającego Austrjaków od północy; racja to była słuszna, nie oponowałem więc. Zdziwiło to a nawet ucieszyło Ekka, miał on mnie widocznie za człowieka o wygórowanej ambicji.

W drodze powrotnej pojechałem do pułku brzeskiego podziękować za mężne zachowanie żołnierzom

i rozdać im krzyże; auto moje zauważyli jednak Austrjacy i poczęstowali mnie serją szrapneli bez żadnego jednak skutku. Z prawdziwem zadowoleniem patrzyłem na nagrodzonych żołnierzy: byli przeważnie pokaleczeni, zabandażowani, w poszarpanych przez kolce szynelach, ale twarze były srogie, a w oczach płonął ogień; pułk. Andguładze potrafił swe bohaterstwo wszczepić żołnierzom.

Po ceremonji poczęstowano mnie szklanką herbaty; ledwieśmy usiedli, nadleciał pocisk i pękł wpobliżu, po nim zjawił się drugi, i jeszcze parę; jeden wybuchnął w środku kompanji, idącej na front, zabił dziesięciu i zranił szesnastu żołnierzy. Przypuszczam, że Austrjacy usłyszeli muzykę, którą mnie witano, zestawili to z jadącem autem i uświetnili na swój sposób naszą „uroczystość". W drodze powrotnej szofer mój wziął ze strachu na wyboistej drodze tak szybkie tempo, że omal nie wyleciałem na pierwszej dziurze, kazałem mu więc zwolnić szybkość i zatrzymać się przy najbliższej kompanji dla pogawędki z żołnierzami; bałem się, że mój przyśpieszony odjazd może wywołać wrażenie rejterady z niebezpiecznej strefy.

Do 15-go czerwca staliśmy bez ruchu, ale na Wołyniu kotłowało się wciąż; rozpęd armji rosyjskiej zwalniał jednak wobec rosnącego oporu, braku u Brusiłowa dostatecznych rezerw i wprowadzenia do akcji niemieckich posiłków. Odwrót przeciwnika trwał jednak. Gazety rosyjskie przesadzały naturalnie w ocenie uzyskanego powodzenia, posiadało ono w każdym razie duże znaczenie przedewszystkiem moralne: było to pierwsze zwycięstwo, odniesione przez

armję rosyjską po tylu porażkach i klęskach; poza tem zdobyto stanowiska ogromnej siły, umacniane w ciągu dziewięciu miesięcy betonem i żelazem. Drugiej takiej linji obronnej nie posiadał przeciwnik na naszym froncie na tyłach, o ile zatem akcja zaczepna Rosjan będzie trwała, nie spotka ona silnych przeszkód w terenie i pozwoli odzyskać w krótkim czasie znaczną połać kraju z Łuckiem, Równem a może i z Czerniowcami. Poważne straty miał przeciwnik w żywej sile — liczono je na dwieście tysięcy ludzi; dostały się również w ręce Rosjan ogromne zapasy wszelakiego materjału bojowego.

Naturalnie, odbiło się to poważnie na innych frontach, osłabiło napór wroga pod Verdunem i na granicy włoskiej, gdzie zaczynało się robić niedobrze.

* * *

Wiedziałem jednak, że i mój dzień przyjdzie, postanowiłem więc osobiście zbadać siłę i charakter oszańcowań przeciwnika, ogień obustronny i zachowanie wojska; udałem się przed świtem do kryjówki patrolu alarmowego, mającego dobry widok, i spędziłem tam cały dzień aż do nastania wieczoru, kierując telefonicznie ogniem mojej artylerji i demonstracyjną akcją wypadową piechoty na różnych odcinkach. Na drugim punkcie obserwacyjnym leżał kpt. szt. gen. Gonczarenko, uzupełniając mój wywiad. Nazajutrz powtórzyłem to samo na innym odcinku. Zebrany materjał pozwolił mi ustalić rejon przyszłego natarcia i jego charakter; na próby te zużyłem cztery tysiące pocisków, których teraz miałem dość. Oso-

biście dla mnie wywiad nie był łatwy: wypadło dwukrotnie leżeć przez osiemnaście godzin bez ruchu, by niczem nie zwrócić uwagi przeciwnika, cierpła więc ogromnie zraniona noga, a że słońce prażyło bez litości, męczyła bardzo spiekota, rosło zmęczenie i morzył sen.

15-go czerwca otrzymałem nareszcie rozkaz natarcia celem poparcia sąsiedniego, od prawego skrzydła, korpusu, który opanował pierwszą linję okopów austrjackich, ale dalej posunąć się nie mógł. Ataku postanowiłem dokonać w nocy, nastroju moich żołnierzy byłem pewny; wybrany przeze mnie odcinek do natarcia był najtrudniejszy na dwudziestu kilometrach mego frontu, ale zdobycie go obiecywało największe korzyści.

O 19-ej godzinie zacząłem artyleryjskie przygotowanie lekkiemi haubicami i polówkami, ciężkich bateryj nie miałem; dla zderutowania Austrjaków przerywałem parokrotnie ogień. Godziny oczekiwania wlokły się niesłychanie, nareszcie nadeszła noc pogodna, ale dość ciemna.

O 21-ej dałem telefoniczny rozkaz rozpoczęcia ataku, a po paru minutach rozpętało się przed memi oczyma istne piekło; stanowisko atakowane stanęło w ogniu od setek wybuchających pocisków i kolorowych rakiet, a bijące raz po raz pioruny armatnie zlewały się chwilami w jeden potężny akord; grzmot strzałów był tak silny, że w odległości 8 km dzwoniły w oknach szyby, a drzwi drżały w zawiasach.

Moja piechota i saperzy szybko podbiegli do drutów i, nie odpowiadając na ogień, zaczęli wycinać

przejścia, posuwając się niemi krok za krokiem. Wreszcie koło północy rozległy się okrzyki „hurra", podchwytywane szybko na coraz szerszym froncie; las za okopami zapłonął setkami rakiet, rozbrzmiał wybuchami ręcznych granatów. By moje baterje nie biły w swoich, kazałem piechocie, w miarę posuwania się naprzód, wypuszczać snopy rakiet; po pewnym czasie zauważyłem, że ognie odsuwają się coraz bardziej do wnętrza lasu, a z niemi i okrzyki walki; gdzieś na tyłach wybuchły pożary, niebo zarumieniło się krwawą łuną.

Wkrótce zdobyto i północny skraj lasu, za którym ciągnęła się błotnista dolina Ikwy, zabezpieczająca wtórne stanowisko Austrjaków; z rozpędu opanowano je również, ale Austrjacy poprowadzili na zdezorganizowane walką oddziały silny kontratak świeżemi siłami, uderzając na nie zboku. Przewidziałem to jednak i przywitałem przeciwnika dwoma bataljonami rezerwy, a jednocześnie baterje me zarzuciły Austrjaków najsilniejszym ogniem pocisków; dwa kontrataki zostały odparte, parokrotnie dochodziło do walki na bagnety. O świcie byliśmy już panami na całej linji; wtargnąłem w głąb na 8 km, zerwałem 70 km frontu.

Dwie kompanje pułku litewskiego, wysłane dla zdobycia Poczajowa, spóźniły się; klasztor został opanowany samorzutnie przez grupę kilkudziesięciu żołnierzy tegoż pułku z różnych kompanij, którzy wysforowali się naprzód pod dowództwem chorążego, zaatakowali dwie kompanje Bośniaków, stanowiących tylną straż, i odrzucili je, tracąc pięciu ludzi zabitych.

Do niewoli wziąłem 650 Węgrów, zdobyliśmy również dużo kulomiotów i bombomiotów oraz moc materjału technicznego, w tej liczbie kilka aparatów do puszczania gazów trujących; mała liczba jeńców tłumaczyła się niechęcią Austrjaków do walki wręcz i złą sytuacją na północy, cofali się więc przeważnie, nim ich atakujący dopadł.

Ze wschodem słońca ruszyły znowu naprzód uporządkowane oddziały, ale dalsze walki nie miały poprzedniego impetu; żołnierze byli zmęczeni, ograniczyłem więc narazie natarcie do wyjścia na dogodną linję obronną, gdyż chciałem przeprowadzić artylerję na nowe stanowiska. Austrjacy bronili się słabo i bez pomocy artylerji (wycofała się ona zapewne, zaniepokojona impetem nocnego ataku, za daleko), zająłem więc dobre wypadowe stanowisko bez trudu, przeciwnik zaś zatrzymał się na trzeciej umocnionej linji. Była ona jednak znacznie słabsza, niż zdobyte już przez nas, postanowiłem więc, po zajęciu przez moją artylerję nowych stanowisk, przejść natychmiast do dalszego ataku, by wyzyskać ducha moich żołnierzy i niewątpliwą depresję nieprzyjaciela.

Zamiar ten udaremnił mi jednak dowódca korpusu, odbierając mi jeden pułk dla zabezpieczenia rzekomo zagrożonego prawego skrzydła, a ponieważ już jeden pułk mój był również unieruchomiony na lewem skrzydle, pozostałem z jedną brygadą, nie miałem więc sił, by dokonać ostatecznego pogromu nieprzyjaciela.

Próbowałem przekonać Ekka, że nie grozi nam nic od strony prawego skrzydła, na dowód czego przytoczyłem łatwe i samorzutne opanowanie Poczajowa,

uparł się jednak generał, musiałem więc usłuchać i dokonać przegrupowania, które zajęło sporo czasu i zgasiło zapał; straciłem okazję jechania na plecach przeciwnika.

Przykra bardzo była sytuacja moja osobista z chwilą opanowania głównego stanowiska przeciwnika; łączność została zerwana, przestałem więc faktycznie dowodzić dywizją i obawiałem się, że rozproszone przy forsowaniu przeszkód oddziały mogą się spotkać z jaką nieprzyjemną niespodzianką; postanowiłem czem prędzej przenieść mój punkt obserwacyjny bliżej nowego frontu.

Przeprawa przez szeroki na pół kilometra pas przeszkód była dość trudna; w wyrwach, utworzonych przy ataku w drutach kolczastych, utworzyły się chaotycznie skłębione zwoje, przegradzające na każdym kroku drogę, raniące ręce, czepiające się ubrania; niemniej uwagi należało zwracać na grunt pod nogami: w trawie ukryte były sieci druciane z kolcami, które wpijały się w ciało, gęsto leżały jeże żelazne z haczykami, a pod ziemią kryły się fugasy, wybuchające przy dotknięciu główki nogą. Jakim cudem przedostali się przez to piekielne pole, wśród ciemnej nocy, moi żołnierze, nie rozumiałem; ja osobiście, nim je w biały dzień ostrożnie przeszedłem, nie będąc niepokojony przez przeciwnika, zgrzałem się ogromnie.

Do zdobytych okopów przeciwnika zajrzałem tylko, przeprawiając się przez nie: były imponujące, trupów leżało w nich mało, parę razy widziałem oderwane głowy lub członki ludzkie, trafiłem nakoniec na przykrytego kołdrą, ciężko rannego w głowę, majora

węgierskiego; w braku na miejscu sanitarjuszy, zabrano go na wóz ze zdobycznemi karabinami.

Za linją okopów dostałem się na puste pole; miał tu znajdować się gdzieś pułk wileński, rzeczywiście, natrafiłem na dowódcę pułku, ale wiedział on tylko tyle, że mu się pułk rozlazł, i nie był jeszcze zebrany; był to naturalnie błąd ze strony pułk. Wasiljewa, gdyż powinien był po zerwaniu łączności telefonicznej z pułkiem wznowić ją przy pomocy komendy wywiadowców.

Wypadło nam, aż do wyjaśnienia sytuacji, zatrzymać się w jakimś dołku, gdzie otworzyliśmy stację telefoniczną; przeciwnik był niedaleko, a ochraniał nas jedynie wysłany naprzód telefonista. Pogoda była obrzydliwa, przy zimnym wietrze padał z przerwami ulewny deszcz; komicznie musieli wyglądać trzej zwycięzcy, siedzący w polu plecami do pluchy, niby zmokłe kury. Niewyraźna sytuacja trwała z godzinę, ale mój sztab pracował tym razem doskonale, dopomógł mi więc szybko do opanowania sytuacji.

Nazajutrz zaatakowałem ponownie przeciwnika; pułk litewski, po zaciętej walce ogniowej, dotarł aż do drutów, przerwał je w paru miejscach, ale zaplątał się za niemi w sieci kolczastej; wtedy z okopów lunęły na żołnierzy potoki nafty płonącej. Po chwili ujrzałem biegające po polu ludzkie pochodnie; wrażenie to było tak wstrząsające, że żołnierze znieruchomieli z przerażenia i widocznie stracili ducha; na prośbę dowódców pułków wstrzymałem atak i kazałem okopać się na zajętym terenie, mając zamiar wyzyskać nazajutrz ogólny nastrój żołnierzy — strach, wywołany piekielnym prysznicem naftowym,

przerodził się u nich szybko w żądzę zemsty, meldowano mi zewsząd, że postanowiono nadal nie brać jeńców.

Wyższa władza była jednak innego zdania i, opierając się na urojonych wątpliwościach, kazała mi wstrzymać dalszą akcję zaczepną; nie został więc wyzyskany odpowiednio zapał do końca, a kosztował on sporo ofiar. Straciłem prawie dwa tysiące żołnierzy, sporo oficerów a pomiędzy nimi mego ulubieńca, podpor. Wołkowa, prawie dziecko, zawsze uśmiechniętego i pogodnego; odczułem bardzo śmierć tego chłopca.

Zająłem się więc organizacją mego nowego stanowiska; korzystając z ogromnych zapasów materjału technicznego, zdobytego na przeciwniku, ogrodziłem w ciągu jednej nocy cały front gotowemi rogatkami drutu kolczastego.

Zdobyty teren zwiedziłem szczegółowo; umacniali go pruscy inżynierowie, którzy stworzyli arcydzieło najnowszej polowej sztuki fortyfikacyjnej. Moje stanowisko, uważane za wzorowe, nie umywało się nawet do tego modelu; okopy, głębokie na sześć metrów, posiadały trzypiętrowy ogień frontalny i flankowy z bastjonów, wzmocnionych kazamatami betonowemi, krytemi szynami; wewnątrz wszystko było oplecione wicią, dno okopów wyłożone chodnikami, a poniżej urządzono wygodne schrony dla całego garnizonu; punkty obserwacyjne były również betonowane i zaopatrzone w pyszne stalowe pancerze ochronne; znaleźliśmy także trzy gotowe i już nabite galerje minowe, przeprowadzone pod nasze okopy.

Od linji okopów prowadziły w głąb stanowisk kolejki wąskotorowe z dużym zapasem wagonów; wogóle tyły były urządzone wygodnie, oficerowie mieli miłe domki, dobrze ukryte przed naszym ogniem, a pułkownicy wille o nazwach węgierskich; wszędzie ogródki i sady warzywne, cmentarzyki, starannie utrzymane, z nazwiskami poległych — u nieznanych z nazwiska napis był „pro patria"; oficerowie chowani byli osobno. W jednym z domków leżał na łóżku ładny pies w rodzaju lisa; gdy mnie zobaczył, ułożył się poddańczo na brzuchu i czekał na dalsze wypadki; pogłaskałem go, psisko wpadło w dobry humor i poszło za mną chętnie, ale w pewnej chwili drapnęło. Widziałem również ładną fontannę betonową z basenem; miała nazwę — „K. K. Franz Joseph".

Bardzo ciekawa była instalacja elektryczna, przeprowadzona w okopach przez ogrodzenie kolczaste; dawała ona również światło w barakach i t. d. Zdaje się, że był to pierwszy wypadek zdobycia przez Rosjan takiego stanowiska, gdyż przyjechał specjalnie dla wystudjowania urządzeń profesor Instytutu Technologicznego, Chatelaine; wiele z przyrządów, stosowanych przez przeciwnika, profesor nie znał i uznał je za bardzo ciekawe. Wśród zdobyczy znalazły się skafandry dla puszczających gazy duszące i zapas masek przeciwgazowych; na terenie przedpola widziałem również dekoracje teatralne — sztuczne krzaki, osłaniające wysunięte placówki.

Jednak pułki moje przedostały się przez linje tych piekielnych wynalazków, teoretycznie niemożliwych do przebycia.

Klasztor Poczajowski nie ucierpiał prawie, gdyż nie ostrzeliwałem go zupełnie; Austrjacy przystosowali tylko gmachy do celów praktycznych, np. urządzili w refektarzu kinematograf, a w stołowym pokoju mnichów „menażę“ oficerską, ozdabiając jej ściany kilkoma malowidłami o charakterze kabaretowym; w klasztorze znaleźliśmy tylko dwóch staruszków-mnichów, dziewięciu odesłano na Bukowinę. Wręczono mi w klasztorze list następującej treści:

„P. p. Moskale, odchodzimy, ale za cztery dni wrócimy, proszę wtedy zdać nam wszystko w porządku“. Piszący miał widocznie dobry humor; wypisał także ktoś na ścianie czerwonym ołówkiem obwieszczenie: „Achtung, die Russen kommen“!

W trzy godziny po opanowaniu Poczajowa nadeszli od północy sąsiedzi z pretensją, że im sprzątnięto z przed nosa klasztor; byli nawet tak bezczelni, że meldowali władzy o zdobyciu Poczajowa przez nich. Prawda została jednak z łatwością wyświetlona, a potwierdziły ją ostatecznie mogiły pięciu żołnierzy pułku litewskiego, pochowanych obok cerkwi.

Została się również w klasztorze rosyjska siostra miłosierdzia, zagarnięta przez Austrjaków jeszcze jesienią; że ją tu Rosjanie zostawili, nie dziwiłem się, ale nie rozumiałem, jak z tą kobietą tyle czasu wytrzymali Austrjacy. Był to straszny typ, wystrzeliwała na minutę więcej słów, niż najsprawniejszy kulomiot kul; z tego huraganu zapamiętałem jednak cośniecoś: Austrjacy obchodzili się z siostrą dobrze, żywili jak oficera, miała więc pół funta chleba dziennie, niekiedy szczyptę masła, rano i wieczór czarną kawę, na obiad —

zupę cieniutką, plasterek gotowanego mięsa i trochę kartofli; raz była na obiedzie u generała, menu było to samo, z pewnemi dodatkami — kawałkiem cielęciny i słodką bułeczką — „buchtą", oblaną syropem; cielęcinę odchorowała, bo pochodziła z cielaka, który się jeszcze nie urodził. Dowódcą korpusu był Czech, gen. Krupa; otrzymał on polecenie wysadzenia w powietrze wieży kościelnej, ale nie uczynił tego.

Gdy Austrjacy mieli wkroczyć do miasteczka, wysiedlili Żydów do Radziwiłłowa; teraz chcieli oni wracać, ale ludność chrześcijańska nie puszczała ich zpowrotem. Dokoła klasztoru była moc sadów i ogrodów; przeciwnik liczył widocznie na zbiór jarzyn, zjadaliśmy je obecnie za zdrowie plantatorów.

Po pięciu dniach marnego życia na deszczu i wichurze, a niezbyt miłych, chociaż krótkich noclegów na słomie, pojechałem do Rydomla, by się wyspać, ale wystraszyły mnie natychmiast mirjady much, które ostatni lokatorzy hodowali chyba na eksport. Po drodze spotkałem tabory chłopskie, ciągnące radośnie ku odebranym wsiom—znajdą tam jednak przeważnie zgliszcza...

Noc spędziłem w Chotowicy. „Wojtków" zastałem w dobrem zdrowiu, młode miały szalenie głupie miny ze swemi rozdziawionemi dziobami, u ojców objawił się nowy ceremonjał powitania: gdy papcio zlatywał na dach, mamusia, stojąc we wdzięcznej pozie, klekotała dolce, małżonek stawał vis à vis i odpowiadał fortissimo; po tym wstępie połowica odrzucała głowę na plecy i nuciła coś klekotando, słodko, papcio wtórował pieszczotliwie; pantomina kończyła się prze-

stępowaniem z nogi na nogę i wymachiwaniem skrzydłami; zresztą ostatni akt mógł być wywołany szczerym ziąbem, który zmusił mnie do napalenia w piecu. Czekała na mnie również miła niespodzianka: jakaś subtelna dusza postawiła mi na stoliku słoik z kwiatami — były tam aksamitne irysy, zamyślone bratki, ciche a tak urocze...

* * *

W rejonie Kowla i Włodzimierza zagotowało się znowu, Brusiłow ponowił natarcie w łuku łuckim, odrzucił przeciwnika, ale na krótką metę; nadeszły tu poważne posiłki niemieckie i wstrzymały rozpęd rosyjski.

Na Bukowinie akcja rozwijała się pomyślnie, Czerniowce padły, możliwe było odcięcie armji gen. Pflanzera od Galicji; wtedy pozostałaby mu tylko jedna droga do odwrotu, przez górzyste Karpaty na Węgry. Może to przyśpieszy decyzję Rumunji!

* * *

Jeździłem po raz drugi do Poczajowa, tym razem, jako turysta autem. Klasztor ten związany jest z naszą przeszłością, zbudował go M. Potocki, starosta kaniowski, w r. 1771 dla OO. bazyljanów; gmach rozsiadł się na wzgórzu, posiada wybitnie barokowy charakter, klasztor słynie z cudownego obrazu Bogarodzicy, przywiezionego w końcu XVI wieku z Carogrodu. Piękna całość oszpecona jest wzniesioną obok ostatniemi czasy ciężką, niesmaczną cerkwią w rozpaczliwym stylu bizantyjskim.

* * *

Nastrój odniesionego zwycięstwa minął szybko, wypadło zająć się zgrzytami wewnętrznemi, nie wszyscy bowiem spełnili w czasie bitwy ostatniej swój obowiązek do końca, poczynając od dowódcy brygady artylerji, Gurżina. Pozwoliłem mu, po wydaniu rozkazów o zmianie stanowisk bateryj, obejrzeć zdobyte okopy; pojechał i wrócił po czterech godzinach, bo znalazł tam „niesłychanie ciekawe książki niemieckie z dziedziny ogrodnictwa", do którego miał pasję, a tymczasem ja robiłem jego robotę. Naturalnie, dałem mu ostrą odprawę, chodził więc z miną nadętą i pracował niechętnie; usunę go przy pierwszej okazji. Słabo również dowodził dowódca pułku wileńskiego; „potrząsnąłem" nim dwukrotnie, przypomniał więc sobie złamane niegdyś żebro i wyjechał, zachęcany życzliwie, by nie wracał.

Wybuchła również wojna papierowa z Ekkiem; obraziła go wzmianka w mym meldunku o bitwie, w której zaznaczyłem, że rozwojowi operacji zaszkodziło bardzo odebranie mi w decydującej chwili całego pułku do rezerwy korpuśnej. Wyzyskali to moi „przyjaciele", by podburzyć Ekka, że ja chcę mu dawać lekcje strategji; napomknął mi więc delikatnie, że on również ukończył Akademję, uważa więc moją uwagę za niesłuszną i nie zgadza się z mojem zbyt wygórowanem zdaniem co do znaczenia odniesionego zwycięstwa. Nie pozostałem w odpowiedzi dłużnym, gdyż rzeczywiście pryncypał mój był nabakier ze strategją, był więc obecnie nabakier i ze mną.

Dywizja odpoczywała, miałem zatem dość czasu na czytanie gazet i irytację: nie znoszę kłamstwa a nawet przesady tam, gdzie się leje krew i giną tysiące młodych ludzkich istnień, tymczasem korespondenci używali na całego i między innemi bajeczkami opowiadali o druzgoczącem działaniu rosyjskiej artylerji na umocnienia przeciwnika, gdy w rzeczywistości posiadane kalibry nie ukąsiły żadnych betonów, nie rozwaliły labiryntów drucianych, nie przekopały szerokich pól minowych; wszystko to musiała przezwyciężyć skromna piechota swą piersią, artylerja pomagała tylko walczyć z żywą siłą przeciwnika i osłabiała jego ducha. Obserwując wiele razy bohaterskie czyny moich piechurów, przypominałem sobie cyniczne określenie rosyjskiego żołnierza, wypowiedziane przez znanego gen. Dragomirowa: „Święte, szare bydło".

Struły mnie też ogromnie wyczytane w pismach projekty szanownego premjera, co do powrotu do „Kraju Przywiślańskiego", po ewakuacji Niemców, rosyjskich czynowników; nie czytał widocznie ten pan manifestu o nadaniu Polsce autonomji. Przypuszczać należało, że walka z Niemcami wewnętrznymi, do których przedewszystkiem należał Borys Stürmer, będzie ciężka i zepsuje nam jeszcze dużo krwi; jego projekt urządzenia Polski był marny, biurokratyczny, minister spr. zagr., Sazonow, projektował lepiej: nie chciał przeprowadzać granicy celnej pomiędzy nami a Rosją (zadusiłaby ona nasz przemysł), a kwestja granicy politycznej miała zależeć od plebiscytu w Suwalszczyźnie i ziemi Chełmskiej.

* * *

Pogoda w końcu czerwca zepsuła się zupełnie. Bardzo mi to utrudniało komunikację z dość oddalonym frontem, bo przy tutejszej glinie wystarczały dwie godziny deszczu, by się auto zataczało. Przyjeżdżała do mnie hr. Rzyszczewska z księdzem, niby w odwiedziny, ale szydełko wylazło wkrótce z worka; plenipotent jej podał mi horrendalny rachunek za wyrządzone w majątku przez dywizję straty (okazało się, że wpakowano nam wszystkie minusy poprzedniej gospodarki austrjackiej), ale spaliło to na panewce, gdyż przy objęciu dworu kazałem sporządzić inwentarz.

Z dowódcą korpusu nastąpiła słomiana zgoda, fajki pokoju nie wypaliliśmy, ale zamiast niej przywiózł mi Ekk osobiście nadaną mi gwiazdę orderu św. Włodzimierza z mieczami; miałem więc już całą konstelację.

Opowiadała mi hr. Szuwałowowa, że pryncypał mój skarżył się na mnie słowami: „Avec ce général on ne sait sur quel pied danser"... Prosiłem, by mu powiedziała, że będzie to bardzo łatwo, o ile zechce pamiętać aforyzm, że „Mon verre est petit, mais je bois dans mon verre"... Bawiliśmy się znowu w Wersal...

W antraktach pomiędzy deszczami jeździłem konno łąkami niekoszonemi od roku; porosły one wspaniałym kwiatem, pachnącym aż do odurzenia, oko cieszyło się jego widokiem, ale w sercu było głucho, nie było oddźwięku, coś niewyraźnego a ciemnego czaiło się wciąż w duszy i nie pozwalało obudzić się radości życia. Chwilami zdawało się, że zamiera ona pod wpływem grozy wojennej, której końca nie widać, chwilami jednak błyskał w głębi serca nikły płomyk

nadziei — contra spem, że wróci jednak radość i że zmartwychwstaniemy.

* * *

Przeciwnik mój zachowywał się biernie, ale nerwowo, kłopotu z nim miałem mało. W Kowelskiem nastąpiło duże zahamowanie rosyjskiej akcji zaczepnej, bez utraty inicjatywy jednak; to samo i na południu naszego frontu. Zmarniała zupełnie w obecnych warunkach strategja, manewru właściwie nie było, natarcie polegało na przepychaniu się od jednego odrutowanego pasa obronnego do drugiego. Nastąpi zatem decyzja dopiero wtedy, gdy przeciwnikowi zbraknie żywej siły i środków technicznych do obsadzenia kolejnej linji obronnej, mogła przeto taka akcja trwać jeszcze długie miesiące. Jeden z rachunków za nią zapłaciła hr. Szuwałowowa: zrujnowali jej majątek Dubno; straty wynosiły półtora miljona rubli, których właścicielka nie zamierzała ściągać od rządu. Radziłem, by pieniądze te zażądała i oddała na cele społeczne.

Miałem w tych dniach dużą przykrość a potem radość: zobaczyłem w lazarecie żołnierza z przestrzeloną głową; był zupełnie przytomny, ale stracił wzrok, niebieskie, ładne oczy patrzyły jak osłupiałe wprost przed siebie, a na twarzy zastygł wyraz strasznego przerażenia. Nadzieja odzyskania oczu była nikła, gdym jednak po paru dniach odwiedził znowu szpital, ucieszyłem się ogromnie — żołnierz przejrzał i uśmiechnął się do mnie przyjaźnie. Operacja usunięcia potrzaskanej kości uratowała wzrok, a ja pozbyłem się dręczącego mnie przez parę dni koszmaru tych niewidzących oczu.

9-go lipca pozwolono posunąć się nieco naprzód dla opanowania dwóch potrzebnych mi wsi, a raczej ich ruin; natarcie urządziłem znienacka, i planik został wykonany wzorowo. Austrjacy stawili krótki opór, większość uciekła, kilkudziesięciu skłuto, tyluż dostało się do niewoli; straty moje wynosiły dwudziestu ludzi. O potyczce tej zameldowałem w sposób bardzo powściągliwy, a w kilka godzin później otrzymałem ze sztabu armji telegram z podziękowaniem za dokonany piękny czyn bojowy, podany w oficjalnym komunikacie z bardzo smacznym, gdzieś na wyżynach spreparowanym, sosem. W porównaniu z poprzednią, tak pomyślną bitwą, która dała wyniki natury strategicznej, epizodzik ostatni był poprostu niczem, a jednak za tamten czyn nie podziękował mi nikt... Dziwnemi szlakami kroczy łaska pańska! Ze sztabu korpusu proszono mnie o bardziej wyczerpujące sprawozdania z walk, gdyż moje raporty były zbyt suche, władza zaś życzyła sobie więcej soczystych opisów, recte blagi. Nie dostaną jej jednak...

12-go lipca zostałem nagrodzony orderem św. Jerzego; ucieszyłem się bardzo, order ten bowiem nadawany był rzadko, a wymagał decyzji kapituły, po nader surowem badaniu. W szeregach utarło się nawet zdanie, że, by zostać kawalerem oficerskiego krzyża św. Jerzego, należy naprzód otrzymać drewniany krzyżyk, chociażby z dwóch patyczków skonstruowany; rzeczywiście, order ten przyznawany był przeważnie zabitym.

Otrzymałem trzy egzemplarze orderu — jeden urzędowy, drugi od sztabu dywizji, a trzeci artystycz-

nej roboty firmy Fabergé od hrabiny; ona również zajęła się naszyciem wstążki orderowej na palto. Miałem wrażenie, że się ta zacna kobieta więcej ucieszyła, niż ja sam. W liczbie telegramów był również jeden od giełdy petersburskiej. Ex re odznaczenia zorganizował sztab „une folle journée": przez cały dzień przyjeżdżali goście, na kolacji miałem trzydzieści osób, była muzyka, szampan, toasty. Uroczystości trwały dwa dni, musiałem więc cały czas celebrować, co mnie serdecznie znudziło i zmęczyło. Dziwni są jednak ludzie! Chodzono teraz dokoła mnie z pełną atencją, patrzano jak na raroga, tylko dlatego, że na mej piersi błyszczał biały krzyż. A przecie o fakcie zasługi otoczenie me było doskonale uświadomione już od roku, wiedziało również, że i poprzednio byłem przedstawiony do tej nagrody; nie imponowało to im jednak, potrzeba było dopiero widocznego symbolu.

* * *

Działania wojenne na froncie wschodnim trwały, ale natarciami oddzielnemi, bez metodycznego związku; bardzo tu wpływał ujemnie słaby rozwój sieci kolejowej w rejonie południowym, uniemożliwiający szybkie przerzucanie rezerw i dowóz materjału wojennego.

Zato na zachodzie nastąpiło z początkiem lipca dawno oczekiwane natarcie aljantów. Niemcy zostali zaatakowani na froncie czterdziestu kilometrów nad Sommą przez dwie armje francuskie i jedną angielską; dzięki starannemu przygotowaniu i umiejętnemu zachowaniu tajemnicy, natarcie w pierwszym okresie walki powiodło się, aljanci opanowali na trzeci dzień

bitwy dwie linje umocnień, ale na tem skończył się rozpęd, gdyż Niemcy oparli się o dalsze nieuszkodzone stanowiska. Wznowiono walkę dopiero po dwóch tygodniach mozolnych przygotowań, odebrano jeszcze szmat ziemi francuskiej, zamieniony na pustynię, ale zwycięstwa decydującego nie uzyskano.

Przysłano mi z góry instrukcje do walki pozycyjnej, przyjęte na zachodzie; miałem je stosować u siebie. Trudno było zrozumieć, jak mogły władze nasze proponować nam coś podobnego wobec zupełnie odmiennych warunków bytu wojska i bojowych.

Tam — żelazo i beton. Kanalizacja, wodociągi, elektryczne oświetlenie, głębokie galerje podziemne, żelazne łóżka; trzy szeregi artyleryjskich stanowisk, góry pocisków, tysiące ciężarowych aut, dowożących materjał techniczny oraz aprowizację, a odwożących rannych; tam przed atakiem kuto setkami tysięcy pocisków ciężkich w wybrany punkt, by wytworzyć przerwę i rzucić w nią trzy dywizje, uszeregowane jedna za drugą, dla zdobycia czterech kilometrów terenu przy ogólnym froncie, liczącym 400 km.

Tu — 2500 km frontu, ziemia i drzewo, barłogi ze słomy, wilgoć, woda, brak drutu, brak ciężkiej artylerji i pocisków, komunikacja słaba, niemożliwość wyprowadzenia na tyły oddziałów przemęczonych dla odpoczynku, atak pojedyńczemi dywizjami na froncie 20 km, poparty zaledwie lekką artylerją.

Lepiejby więc było, by instrukcje te pozostały w biurkach na szczytach, tu na froncie wywołały tylko zgorszenie i wskazywały wyraźnie, że za braki techniczne trzeba płacić dziesiątkami tysięcy młodych

istnień ludzkich. Z drugiej strony — w takich wskazaniach znajdowały słabe dusze poszczególnych dowódców oparcie; twierdzono, że natarcie w naszych warunkach nie może się udać, czemu stale przeczyła rzeczywistość, gdyż przeciwnik na froncie wschodnim był słabszy duchowo i materjalnie, niż na zachodzie.

* * *

U nas panował idylliczny spokój, mieliśmy więc czas na opowiadanie sobie różnych „kawałów". Np. żona dowódcy armji, Sacharowa, była siostrą miłosierdzia; jeden z żołnierzy, ewakuowanych ze szpitala, spytał ją przy pożegnaniu, co jej mąż robi; odpowiedziała, że jest na froncie. „Bodajby został feldfeblem za twoją opiekę nade mną" — życzył jej odjeżdżający. Inny znowu, ewakuowany na tyły, ofiarował jej jeden z czterech, noszonych w kieszeni, umorusanych kawałków cukru: „Podcukrz się, siostrzyczko, za twe starania".

Z inicjatywy hrabiny posłałem cesarzowej matce trzy stołowe wazony do kwiatów, roboty czeskiej fabryki Skody, ozdobione datą otrzymania ich drogą powietrzną w dywizji; wazony te, proste w rysunku, posiadały jednak pierwszorzędny ciężar — lżejsze ważyły po 8 funt., cięższy — 35.

Miałem ciekawy zatarg ze Sztabem Głównym w sprawie chor. Wiazmitinowa; przedstawiłem go do orderu, a sztab odmawiał, bo przecie kandydat mój został już dawno zabity. Obstawałem przy swojem, miał się on wcale dobrze i bynajmniej nie wyglądał na nieboszczyka, ale, wobec powtórnego kategorycznego twierdzenia wysokiej instancji, zaczynałem wąt-

pić, czy Wiazmitinowi wypada właściwie uważać się za żyjącego *).

* * *

Z początkiem lipca zaatakowali Rosjanie Niemców w rejonie białostockim; spóźnione to natarcie wywołało tylko mordercze przepieranie się bez rezultatu. Nad Styrem miał Brusiłow poważne powodzenie taktyczne. Niemcy zostali odrzuceni za Stochód. Ogólne natarcie rosyjskie w czerwcu, na froncie od Łucka do Dniestru, ocaliło od katastrofy armję włoską, zagrożoną od strony Tyrolu, gdyż zmusiło Austrjaków do ściągnięcia wszystkich rezerw na front rosyjski, zahamowało więc akcję na froncie włoskim.

* * *

Czytałem artykuł Maeterlincka o starożytnych bohaterach. Zbliska wyglądali oni dość mizernie, deklamowali zawzięcie, toczyli bitwy z dużym krzykiem a małym przelewem krwi, doznawali, według Homera, objawów jawnego strachu, a gdy który padł, wszczynał się popłoch w szeregach, i wszystko rzucało się do ucieczki, nie wywołując nawet żadnego potępienia.

ROZDZIAŁ VII.

W końcu lipca ocknął się nasz front, w rejonie Brodów zaczęły się zawzięte walki, a po paru dniach

*) Ostatecznie Sztab Główny miał jednak rację, Wiazmitinowa zabito, ale dopiero w czerwcu.

przełamano przeciwnika. Następnej nocy zameldowali mi wywiadowcy, że austrjackie okopy są puste, rzuciłem więc natychmiast do pościgu nieduże a zwarte oddziały piechoty, o świcie zaś wyruszyłem z głównemi siłami dywizji.

Z chwilą wyjścia z więzów okopowych w otwarte pole ogarnęło mnie niedoznawane oddawna wrażenie swobody, wolnej przestrzeni, napłynęła fala energji, pożądanie ruchu, manewru bojowego, walki.

Niedługo jednak trwało to uczucie podniecenia, nadszedł rozkaz, bym wstrzymał marsz dla wyrównania frontu, stanąłem więc po przejściu dwudziestu kilometrów, mając arjergardę przeciwnika o dwa kilometry zaledwie. Na postoju słyszałem fragment rozmowy moich adjutantów z córką miejscowego prawosławnego parocha; zaznaczyła ona szczerze, że przyjście Rosjan nie cieszy jej bynajmniej, bo ludność rusińska czuje się pod panowaniem Habsburgów bardzo dobrze.

Nazajutrz znaleźliśmy się przed nową obronną linją przeciwnika, za rz. Seretem; skończył się więc nasz marsz na jednym skoku i dwóch zmarnowanych nocach, gdyż wszystkie rozkazy otrzymuje się i wydaje po północy.

Zwiedziłem piękny klasztor w Podkamieniu, na który patrzyłem tyle czasu od wschodu. Jest to imponujący gmach z XIII stulecia, rezydują w nim dominikanie, a w kościele znajduje się cudowny obraz Bogarodzicy. Byłem na mszy w kościele i słuchałem z podniosłym nastrojem dawno niesłyszanych organów; na nabożeństwie były same kobiety, mężczyzn zabrali z sobą przy odwrocie Austrjacy. Z klasztoru

roztaczał się wspaniały widok na okolicę; wpobliżu widziałem olbrzymi głaz kulistego kształtu. Miasteczko u stóp wzgórza było prawie wyludnione, Żydzi uciekli, trochę tylko biedoty kryło się po kątach; przede mną była tu jazda i gospodarowała po swojemu, żołnierze popili się i rabowali, zastałem ich przy końcu roboty, i załatwiłem się z maruderami krótko — armji ubyło trochę gałganów.

Rezydencję obrałem sobie w jednym z najmniej zniszczonych domów; gospodarowano i w nim po zbójecku, wyłamano w biurkach szuflady, ścięto na meblach skórę, zdemolowano posadzkę, ale została wygodna otomana do spania, leżał na podłodze duży dywan, bibljoteka nie była rozbita, a w sali stał znośny fortepian i zachowały się nawet nuty, zresztą — poza Mozartem — lichota. Właścicielem majątku był Polak o dziwnem nazwisku, Garapich, widocznie dość zamożny. Sądząc z napisów na porzuconych kopertach, stał tu sztab austrjackiego korpusu. Wieś przy dworze była pusta, zrujnowana, w chatach nie było ani jednego okna, całą ludność uprowadzili z sobą Austrjacy.

2-go sierpnia kazano mi uderzyć na wystający klin stanowiska przeciwnika, bez realnej potrzeby nawet, gdyż stałem taktycznie doskonale; bój ten, pomyślny zresztą, kosztował mnie sporo ofiar, spełniłem więc rozkaz niechętnie. Pomiędzy zabitymi znalazł się porucznik Rychter, człowiek dużej kultury, literat z powołania, z którym dyskutowałem parokrotnie o sztuce włoskiej z dużem zainteresowaniem. Dowódcy pułków, oprócz Andguładzego, byli wciąż słabi, musiałem więc sie-

dzieć ciągle na froncie, nota bene przy obrzydliwej pogodzie; deszcz z wiatrem padał po trzydzieści chyba razy na dobę, drogi rozmokły do tego stopnia, że wolałem nie wracać na noc do sztabu i nocowałem byle gdzie i byle jak.

Nazajutrz po niepotrzebnej rzezi przesunięto mnie o dwadzieścia kilometrów na południe, do rezerwy armji. Po drodze miałem chwilę irytacji; nad kolumną czołowego pułku ukazał się niemiecki aeroplan, leciał niewysoko, skusił więc jedną baterję; odprzodkowała bez rozkazu i rozpoczęła gwałtowny ogień do góry. Zły przykład zaraził sąsiednią piechotę, żołnierze również zaczęli bezładnie strzelać, wywołując zamęt w ruchu; porządek ustalili oficerowie przy pomocy nahajek, a dowódcę baterji usunąłem od komendy. Stanęliśmy na nocleg za prawem skrzydłem VI-tego korpusu, który dnia tego atakował stanowisko przeciwnika pod Załoźcami za Seretem; przez cały dzień dochodziły nas odgłosy okrutnej strzelaniny, a wieczorem otrzymałem wiadomość, że atak został odparty z dużemi stratami; zrozumiałem, że się to skrupi na nas.

W nocy nadszedł rozkaz wejścia w linję bojową w prawo od VI-tego korpusu. Dzieliła mnie od przeciwnika rz. Seret i jej odkryta, bagnista dolina, szerokości przeszło kilometra; mój brzeg był wzniesiony i zalesiony, ukrywał więc dobrze stanowisko dywizji. Wieczorem kazałem zbadać przedpole i otrzymałem złe wieści: płytkie bagno zajmowało prawie całą dolinę, nigdzie więc nie mógł żołnierz przy natarciu odpocząć lub wyrzucić przed siebie jaki kopczyk; czo-

łowy atak był zatem niesłychanie trudny a manewr uniemożliwiony ciasnotą danego mi frontu. Jednak o północy nadszedł rozkaz zaatakowania przeciwnika ze świtem; dodatkowo poinformował mnie Ekk telefonicznie, że ogólna sytuacja na froncie wymaga koniecznie zatarcia wrażenia porażki VI-tego korpusu i że moją dywizję wybrano na specjalne żądanie dowódcy armji, jako „uderzeniową". Nie było więc rady, prosiłem tylko, by sąsiedzi pomogli mi demonstracjami i ogniem artylerji. Zebrałem natychmiast dowództwo i zakomunikowałem im otrzymany rozkaz; został on przyjęty przez pułkowników nader powściągliwie, wszyscy, oprócz Andguładzego, uważali atak za niemożliwy. Mało nadziei miałem i ja sam, ale na dyskusję nie było czasu, przerwałem ją więc słowami, że rozważania o przeszkodach dopuszczam tylko dla wyjaśnienia sposobów ich usunięcia, poza tem atak będzie wykonany w terminie wskazanym.

Pierwszy dzień walki był straszny. Biedni żołnierze brnęli po kolana w bagnie, siadali w niem dla odpoczynku lub zanurzali się dla bezpieczeństwa po szyję; rzadkie kępy suchej ziemi i polowa droga przez dolinę były ogólnie pożądane, tu więc przewieziono kulomioty — główne oparcie ogniowe natarcia; artylerje stron obydwóch pracowały z natężeniem, moja okresami brała górę, ale przez cały dzień nie mogłem dojść do ataku wręcz, parokrotnie wybijano mi tyraljery prawie doszczętnie i z nastaniem zmroku byłem nie o wiele bliżej od celu, niż w chwili rozpoczęcia walki.

Wieczorem, wobec zmęczenia żołnierzy, przerwałem bój i wyciągnąłem ich z bagien,pozo stawiając

na miejscu tylko grupy, zajmujące kępy; zamierzałem dać odpoczynek przez trzy godziny i uderzyć ponownie przed świtem. Następny dzień nie przyniósł zasadniczych zmian, wciąż nie mogłem przedostać się na drugi brzeg, zasłona ognia zdawała się nie do przebycia, a sąsiedzi ograniczyli swą pomoc tylko do ognia działowego.

W sztabie zapanowało pewne przygnębienie, nie dałem jednak za wygraną i postanowiłem zaatakować raz jeszcze w nocy, możliwie znienacka. W czasie wydawania rozkazu zaproponował mi kpt. Baumgarten, by połączyć atak czołowy z uderzeniem od prawego skrzydła, kierując je przez rejon sąsiedniego korpusu, do czego formalnie nie miałem prawa; rada była dobra, a treść ważyła więcej niż forma, posłuchałem więc mądrej propozycji, nie meldując naturalnie mych zamiarów władzy, by mi nie przeszkodziła.

Skrzydłowe uderzenie poruczyłem pułk. Andguładzemu; wykonał on je świetnie i jednym gwałtownym wysiłkiem przedostał się na drugi brzeg rzeki, gdzie go nie oczekiwano. Tu zawrzała zacięta walka wręcz, honwedzi bronili się mężnie, zewsząd rzucały się do kontrataku nadbiegające bataljony, zwolna więc posuwał się naprzód półkolem pułk brzeski; dopiero przeprawa innych pułków na froncie, dokonana pomyślnie dzięki dywersji Andguładzego, zadecydowała o zwycięstwie. Stanowisko przeciwnika było opanowane o 11-ej rano; tworzyły go trzy linje okopów, usypanych amfiteatralnie, kolczastych drutów nie było; nie przypuszczano widocznie, by atakujący mógł przezwyciężyć ogniową zaporę. Długotrwała walka podnie-

ciła żołnierzy do tego stopnia, że przez pewien czas nie można było zmusić ich do oszczędzania jeńców; po raz pierwszy widziałem okopy zawalone literalnie szychtami trupów.

Dywizja wzięła do niewoli 200 oficerów i przeszło 5 tysięcy żołnierzy, wyłącznie Węgrów, zdobyto również sporo kulomiotów. Przeciwnik cofnął się poza doniosłość moich strzałów, a ja go ścigać nie mogłem z powodu wyczerpania dywizji, sąsiedzi zaś — jeden obserwował i nie robił nic, drugi namyślał się a ruszył dopiero w dobę później, po moich mostach, przez zrobiony przeze mnie wyłom, nie przekraczając linji mego frontu. Po raz nie wiem który zostało więc zmarnowane zwycięstwo z powodu braku zorganizowanego pościgu; kierownictwo z góry starało się serdecznie przeszkodzić mi w prowadzeniu bitwy swemi radami, ale puściłem je wszystkie mimo uszu z dużą korzyścią dla sprawy.

Sforsowanie Seretu wywołało konieczność przesunięcia frontu za rzekę, co trwało dość długo, gdyż wypadło przeprawić artylerję po jednej bagnistej drodze. Miałem więc dość czasu, by obejrzeć spokojnie już pole bitwy: zboża dojrzały, chyliły się pod ciężarem kłosów, czekały na kosę, tymczasem przyszła inna pani, ta, co kosi kosiarzy, i zebrała obfite żniwo; przez dwa dni zwożono trupy, układając je w długie szeregi, jedni z zabitych zastygli w gwałtownym a przerwanym ruchu; inni jakby cicho usnęli z wyrazem zapatrzenia, może ujrzeli w chwili śmierci ojczysty kraj, ukochane twarze. Na zboczu kilkudziesięciu jeńców wykopało długie, braterskie mogiły, każda na

setkę zabitych, a leżało ich po polach tylu, że koń mój płoszył się ciągle i boczył, wymijając trupy. Na krzaku leszczyny zauważyłem wiszącą rękę, ze złotą bransoletą, a obok urwaną głowę i strzępy ciała; resztki te należały do starszego wiekiem oficera, a w bransolecie był medaljon z portretem młodej kobiety i napisem węgierskim; kazałem go zdeponować w sztabie dla zwrotu po zawarciu pokoju.

Na leśniczówce znalazłem bohaterskiego pułk. Andguładzego, schroniła się tam również garstka rozbitków z pobliskiego miasteczka, wysiedlonych przez Węgrów w czasie walk ostatnich nad Seretem; wśród nich znalazło się parę zakonnic, trochę sierot i staruszek ksiądz, b. powstaniec z r. 1863, który przed laty był zesłany na Syberję do głuchej wsi Tunki w Sajanach. Spytałem księdza, czy nie znał tam zesłańców politycznych Fijałkowskiego i Jankowskiego; bardzo się zdziwił staruszek, usłyszawszy, że znam te okolice, i chętnie wszczął rozmowę o swem zesłaniu.

Jak zwykle po zwycięstwie, czułem przez pierwszych kilka godzin pewne podniecenie i naprężenie nerwów, fizycznie jednak byłem u kresu wytrzymałości; trzy doby bez snu, przy silnem naprężeniu woli, wywołały stan podgorączkowy, oczy miałem przekrwione, usta spieczone. Objawy te ustąpiły prędko, pozostał tylko ból ucha i szczęki, wywołany strzałami jednej baterji, która umieściła się za moim punktem obserwacyjnym i głuszyła mnie przez dwie doby.

Dowódca korpusu dziękował mi gorąco za odniesione zwycięstwo i spytał, jaką nagrodę wolę — Krzyż św. Jerzego III-go stopnia, czy Białego Orła;

pierwsza nagroda była nader ponętna, miało ją w miljonowej armji zaledwie kilku generałów, z drugiej strony — nęcił mnie Biały Orzeł, zawszeć to polski order o ślicznem godle naszem, wolałem go zatem.

Narazie odpoczywaliśmy, zająłem się więc reorganizacją dywizji, ogromnie przerzedzonej w ostatniej bitwie. Brakło bardzo oficerów i podoficerów, ale duch był wciąż dobry; dużą przykrość osobistą odczuwałem z powodu śmierci kilku najlepszych oficerów. Zamieszkałem w kolonji oficerskiej, zbudowanej przez Austrjaków w brzozowym gaju; baraki były miłe, czyste, posiadały klomby i ławeczki ogrodowe. Moja willa nazywała się „Sznups“ i stała na uboczu, mogłem więc cieszyć się miłą samotnością, cudną nocą księżycową i podwójnemi koncertami — jeden dawał chór żab, grający w przysłoniętym srebrną mgłą stawie, drugi — oficerowie sztabu, śpiewający przy gitarze tęskne romanse rosyjskie. Nie mąciły nawet nastroju dalekie grzmoty artyleryjskiej kanonady; śmierć nie próżnowała u sąsiadów.

Niedługo trwała jednak bezczynność, drugiego dnia wywczasów otrzymałem rozkaz wymarszu nazajutrz o świcie na południe; dywizja, używana poprzednio jako taran, miała zostać nożem, tnącym zboku. Piękna to rzecz — dobra reputacja, ale przy tak forsownem użyciu stępieje nóż szybko: nie dawano zupełnie czasu na naostrzenie go.

Był mi więc ten rozkaz przykry, liczyłem na to, że mi dadzą trochę czasu na uporządkowanie oddziałów, ukryłem jednak me niezadowolenie, by nie odbierać ducha dowódcom pułków.

Mieliśmy zaatakować od północy słynne stanowisko Gładki-Worobjówka, o które rozbiły się kilkakrotnie dywizje rosyjskie; natarcie rozkazano mi dokonać przed wieczorem, po starannem przygotowaniu artyleryjskiem. Nie usłuchałem tego, pomimo nalegań Ekka — strona przeciwna miała tak olbrzymią przewagę w artylerji, że wolałem atakować w ciemności.

Uderzyłem w najczulsze miejsce — cztery gaje i opanowałem dwa z nich przed świtem; ułatwiło mi to ogromnie dalszą walkę. Przeciwnik walczył zacięcie, zdobyte laski bronione były przez honwedów, pozostałe miały garnizon niemiecki — dwa pułki piechoty pruskiej i dwa bataljony jegrów bawarskich, świeżutkie, prosto z igły; artylerja niemiecka górowała znacznie nad moją, były też i „grube Berty", których ogień regulował aeroplan, zapomocą białych rakiet. Naprowadził on go wkrótce i na mój punkt obserwacyjny, przez dłuższy czas otrzymywaliśmy co pięć minut bardzo ciężkie „przedmioty"; zapowiadały się one dalekim grzmotem, który stopniowo przesycał powietrze niesłychanie przykrym i coraz silniejszem wyciem, kończył się wreszcie z chwilą dotknięcia ziemi przez pocisk, ogłuszającym wybuchem; szczęśliwie jednak pękały wszystkie bomby przed lub za nami, i żadna nie eksplodowała bliżej, niż na sto kroków.

Po kilkunastu wystrzałach przestaliśmy zwracać na nie uwagę, cierpiały tylko moje bębenki, niezbyt uleczone po ostatnich przejściach; bardziej dokuczały nim cztery ciężkie baterje, ukryte gdzieś poza mem jarawem skrzydłem: szyły one dotkliwie wzdłuż atakowanego frontu.

Uporczywa walka trwała przez cały dzień, Niemcy czepiali się każdej górki i grupki drzew, cofali się dopiero po starciu wręcz. Od rana miałem do dyspozycji konny pułk zaamurski, dla ewentualnego pościgu; widocznie władza wyższa była już pewna powodzenia, chociaż sąsiedzi tańczyli wciąż piątą figurę kontredansa. Dowódca konnej dywizji, ks. Wadbolski, i brygadjer, ks. Tumanow, czekali u mnie na punkcie obserwacyjnym dogodnej chwili do szarży; niecierpliwili się kawalerzyści przewlekłością akcji, ale nie chciałem ich puszczać przed opanowaniem obydwóch linij kolczastych drutów, tymczasem kazałem saperom ulepszyć dla jazdy przejścia przez bagnistą dolinkę. Około godziny 17-ej zdobyto jeszcze jeden gaj i cały pas głównego stanowiska, nie chciałem się więc dłużej opierać naleganiom generałów, chociaż nie podobały mi się jakieś błyski, dostrzegane chwilami na skraju dalekiego pola: mogły to być jeszcze jakieś druty.

Szarżę poprowadził gen. Karnicki; obserwowałem ją doskonale, gdyż pułk siedział na siwkach. Pognali przez pole. Kłus przeszedł prędko w cwał, błysnęły szable, pochyliły się nad nastawionemi lancami pierwsze szeregi jeźdźców, a za niemi kłębił się i biegł tuman kurzu. Przeciwnik zauważył szarżę w parę minut po jej rozpoczęciu, przywitał ją zboku przyśpieszonym ogniem granatów i szrapneli, ale Zaamurcy wzięli już tak duży rozpęd, że wszystkie pociski rwały się za linjami atakujących.

Bez strat prawie wpadły szwadrony pomiędzy dwa laski, ale tu przywitało ich z kilku stron zajadłe ujadanie kulomiotów; pękła szybko w szeregach spoi-

stość, oddzielne grupy jeźdźców rozbiegły się po polu, jakgdyby szukając przejść, załamał się impet, kilku żołnierzy zleciało z siodeł, a konie ich pocwałowały luzem; atak wreszcie ustał, pułk zaplątał się w niedostrzeżonych poprzednio drutach, które sparaliżowały szarżę, i ściągnął potrochu w tył, bez spotkania wręcz.

Nieudany ten atak wywołał we mnie uczucie zawodu, chciałem chociaż raz jeden zobaczyć walkę na szable, najstarszy i najszlachetniejszy rodzaj broni, symbol rycerskości. Nawet w czasie ostatniej wojny, niektórym mężnym oficerom nieprzyjacielskiej armji, wziętym do niewoli, pozostawiano niekiedy szablę, jako oznakę szacunku; zresztą symbol ten w armji austrjackiej wyglądał marnie: słaba klinga, pogięta, blaszana pochwa i brzydka garda.

Moja artylerja sprawiała się dzielnie, szczególnie w ostatnim okresie walki, gdy piechota darła się już na bagnety; naskutek jej natarczywych próśb kazałem strzelać do ostatniej możliwości, chociaż własne pociski raziły nieraz atakujących, nie pozwalały zato Węgrom wysuwać głów ponad przedpiersia okopów; nie było to jednak wyjątkowym objawem, urzędowo stwierdzono, że w czasie walk francuska artylerja zabiła *dziesiątki tysięcy własnych żołnierzy.*

Pod wieczór zdobył Andguładze ostatni lasek, i wszyscy obrońcy jego, jegrzy, legli pod bagnetami, jeńca nie brano. W tym czasie rezerwy przeciwnika były już w odwrocie za rz. Strypę. Prawie w ostatniej chwili walk zaszedł na lewem skrzydle następujący epizod: z okopów przeciwnika zerwały się nagle trzy długie fale żołnierzy i pobiegły ku nam; oczeki-

wałem, że przywitają ich moi wzmożonym ogniem, tymczasem ogień po chwili ustał; zagadkę wytłumaczył telefon — poddały się trzy bataljony Czechów. Kazałem je jednak skierować do sąsiadów. Moje żołnierskie przekonanie nie godzi się z dezercją, szczególniej na polu bitwy, wolałem więc nie widzieć pobratymców w takich warunkach. Wogóle Czesi poddawali się chętnie, słyszałem od nich wielokrotnie: „Isme Cechy, ne chotim wojewatl my chcema żit"!...

Goniłem przeciwnika awangardą, ale tylko do Strypy, dalej nie mogłem, brakło sił. Zwyciężyłem raz jeszcze, ale było to zwycięstwo Phyrrusowe; dywizja wyzbyła się zupełnie kadry, pozostała zbieranina, niezdolna do żadnej poważnej akcji przed upływem kilku miesięcy. Odpowiedni raport wysłałem natychmiast, ale przyjęto go nieżyczliwie: biurkowi strategicy orjentują się słabo w prawdzie. Stwierdziłem raz jeszcze, że Niemcy biją się wyśmienicie, przyjmują stale uderzenia na bagnety i poddają się rzadko; zdobywając odcinki, bronione przez nich, miałem stale wrażenie, że wyrywam przeciwnikowi z trudem trzonowe zęby.

Z dużą przyjemnością objechałem pole bitwy, obficie ugarnirowane trupami Niemców; byli to przeważnie młodzieńcy, niektórzy mieli na głowie ciężkie, stalowe hełmy, widziałem też dużo czapek z trupiemi czaszkami zamiast bączka — walczyli tu widocznie „nieśmiertelni" huzarzy w pieszym szyku; w kilku miejscach leżało kilkadziesiąt zabitych w czasie szarży siwków pułku zaamurskiego, a przy nich porzucone lance; wzięliśmy dużo technicznego materjału, a na

stanowiskach bateryj całe stosy mosiężnych gilz po wystrzelonych pociskach.

Zamieszkałem pod Jackowicami u nadleśnego, Polaka; opowiadał mi on o pobycie u nich Prusaków. Stali tu całą zimę, odznaczali się butą i okazywali Austrjakom jawną pogardę; z rozwojem rosyjskiej akcji zaczepnej poczęła im mięknąć rura, a gdy przerwałem front między Ratyszczem a Załoźcami, powstała u nich panika, ale otrzymali posiłki i wrócili w dobę później. Drugi raz zapanował zamęt wczoraj, gdy moja dywizja atakowała główne stanowisko: tabory i baterje uciekały w cwał, a jegrzy wracali bardzo przerzedzeni i przybici na duchu, narzekając na duże straty. Żywiono żołnierzy kiepsko: każdy dostawał 150 gr. chleba dziennie, mięsa w zupie warzywnej 25 gr. i dwa razy czarną kawę.

W ostatniej bitwie zwycięstwo me otworzyło po raz drugi front 34-ej dywizji, która, walcząc obok mnie w identycznych warunkach, została bardzo poturbowana i naraziła moje lewe skrzydło; dopiero atak Andguładzego wywołał przełom i dopomógł sąsiadowi do powodzenia. W ostatnich dwóch bitwach wzięliśmy łącznie z 34-tą dywizją 268 oficerów i 13,000 żołnierzy austro-niemieckich do niewoli, nie licząc kilku tysięcy rannych.

Z siebie byłem tym razem zadowolony, panowałem przez cały czas nad swemi nerwami; zrozumiałem ostatecznie, że u wyższego dowódcy rozwaga powinna górować nad osobistą odwagą i że, narażając siebie bez konieczności, mogę dopomóc do pomyślnego rozegrania jakiegoś epizodu wojennego, ale jednocze-

śnie zaprzepaszczę dobro całej operacji; w pewnych warunkach zatem męstwo osobiste staje się błędem. Nie wypuściłem więc w ostatnich bitwach ani razu kierownictwa z rąk, trwałem wytrwale na punkcie obserwacyjnym i nie popełniłem żadnego błędu taktycznego. Zachowanie sztabu i dowództwa było dość dobre; wyjątek stanowił dowódca pułku litewskiego, Stachow: okazał się on małodusznym a jednocześnie brutalnym w stosunku do dzielnych oficerów; usunąłem go natychmiast do rezerwy. Zresztą w końcu tej serji bitew moi pułkownicy byli tak zmordowani nerwowo, że stępieli zupełnie, musiałem więc zmuszać ich do czynu wprost groźbą.

Władze wyższe przeszkadzały mi stale, kilka razy musiałem meldować, że danego mi rozkazu nie wykonam, gotów jednak jestem ponieść wszelkie konsekwencje, o ile nie spełnię ogólnego zadania, działając swoją metodą. Oceniając strategicznie ostatnie bitwy dywizji, streszczały się one w odebraniu stu km. frontu, łącznie z pamiętną Rosjanom pozycją Gładki — Worobjówka; zmusiło to 2-gą austrjacką armję do cofnięcia prawego skrzydła aż na linję Zborowa. Dezerterzy zeznali, że nadjechały tu ostatnio dwie świeże, niemieckie dywizje, które wzmocniły osłabiony front; do obrony Seretu przybyły one jednak za późno.

Na południe od Seretu zdobyła rosyjska armja Stanisławów i Nadwornę; przełęczy w Karpatach broniły zacięcie niemieckie oddziały.

Przy walce okopowej stwierdziliśmy raz jeszcze, że granat ręczny wziął górę nad bagnetem; jest bardziej poręczny, wymaga mniej wprawy i siły a działa

skuteczniej. Do pewnego stopnia ustąpił bagnet w ręcznym boju nawet kolbie, gdyż mało wyszkoleni żołnierze woleli nią młócić przeciwnika, jak cepem, niż dźgać go bagnetem. Wogóle gatunkowo żołnierz był coraz bardziej kruchy, dawał się zahartowywać zaledwie na parę uderzeń. Opowiadali mi lekarze, że na punktach opatrunkowych ranni w nogę lub rękę, bez strzaskania kości, są przedmiotem ogólnej i nieukrywanej zazdrości, gdyż mają w perspektywie kilka tygodni wywczasów gdzieś na tyłach i pewny urlop do domu; bardziej sprytni starają się potem dostać do kadry pułkowej, która faktycznie składa się z łazików, ozdrowieńców i chorążych. Wyciągałem ich potrochu na front, ale zawsze z ogromnemi trudnościami.

ROZDZIAŁ VIII.

Zatrzymaliśmy się nareszcie na dłuższy czas i wypuszczaliśmy potrochu nagromadzoną parę; ja osobiście czułem jeszcze przez dobę, że pali się we mnie co najmniej połowa kotłów. Cztery dni morderczych walk wywołały ogromne napięcie nerwów, nie odrazu więc nastąpiło odprężenie i nie chciał wrócić sen. Uspokajająco wpłynęło na mnie towarzystwo sześcioletniej córeczki nadleśnego. Początkowo boczyła się ona trochę na „Moskali“, ale, zachęcona moją polską mową i przekupiona paroma marmeladkami, rozchmurzyła się i poczęła mnie darzyć coraz to wzrastającą przyjaźnią, tyranizując nawet trochę;

chodziła ze mną na spacer, jeździła autem, jadała ze sztabem, nie pozwalając, by ktokolwiek usiadł na mojem miejscu, w razie mej nieobecności; sztab mój nosił wprost na rękach śliczną dziewczynkę. Raz jeden spytałem ją przy adjutantach, kogo najbardziej lubi — wskazała bez wahania paluszkiem na mnie; chcąc zgnębić ostatecznie mych konkurentów, pytałem dalej, dlaczego mnie wybrała; odpowiedź brzmiała: „Bo pan najstarszy i ma gramofon". To „bezinteresowne" uczucie wywołało ogólną wesołość.

Pogoda była śliczna, lato przełamywało się zwolna ku pogodnej jesieni, w słońcu stały pola i lasy; ziemia tu zdawała się nie wiedzieć o zniszczeniu wojennem, po sadach złociły się na jabłoniach i gruszach owoce, urodzaje były dobre. Liczyli na nie bardzo Austrjacy, siewy robiła ludność, pod dużym naciskiem, z nasienia, przez rząd dostarczonego. Męskiej ludności wiejskiej nie było prawie, wysiedlono ją niedawno na tyły, rusińska inteligencja a raczej półinteligencja, okazywała niedwuznacznie armji rosyjskiej swą antypatję. Austrjacy nie spodziewali się widocznie naszego natarcia, gdyż przygotowali sobie dużo baraków zimowych dla wojska, wraz z kasynem oficerskiem.

Miałem w rejonie szosę, dawno niewidzianą, i korzystałem z niej, by jeździć autem na front, niedaleko zresztą, bo przeciwnik był bardzo czujny; dojeżdżałem więc zwykle do granicy życia pokojowego, wyraźnie zaznaczonej zrujnowanemi chatami bez drzwi i okien, pogorzeliskami, martwemi drzewami wśród pustych pól lub zapomnianego zboża. Zwracały uwagę

częste leje, zalane wodą, i samotne mogiłki z prymitywnemi krzyżykami.

Poczta z Rosji nie dochodziła oddawna, czytywałem więc gazety niemieckie, których na każdym odcinku znajdowaliśmy sporo; dowiadywałem się z nich o olbrzymich stratach rosyjskiej armji i jej niepowodzeniach. Codzienne ataki Moskali były stale odrzucane, straty ich w danej operacji wynosiły co najmniej 750.000 ludzi... — a papier cierpliwy nie rumienił się. Przypominało mi to anegdotę o pewnym generale, który w meldunku o stoczonej bitwie powiększył kilkakrotnie rzeczywistą ilość zabitych nieprzyjaciół, a gdy mu zwrócono uwagę, że cyfra ta jest przesadzona, oburzył się i wykrzyknął: „Cóżto, ja będę ich oszczędzał"?! Komunikaty rosyjskie przesadzały stale momenty powodzenia, a tuszowały klęski, nie posuwały się jednak nigdy do tak bezczelnych kłamstw.

Moje przeżycia bojowe komunikowałem żonie w częstych listach, które, o ile nie były wysyłane przez okazję, pisałem z powodu cenzury bardzo oględnie. Np. nie wolno było podawać miejsca pobytu, zmusiło mnie to do posiłkowania się językiem Ezopowym, umówionym z żoną kluczem.

„Władza" zaniepokoiła się dużą ilością wypuszczonych przy ostatnich operacjach pocisków i przysłała nam dla zbadania przyczyn aż dwóch generałów; mnie tyczyło się to tym razem mało, bo walczyłem głównie nocami, ale skorzystałem z okazji, by gościom wypowiedzieć szereg impertynencyj pod adresem tych panów, co liczyli nam pociski, a nie

pytali, ile istnień własnych żołnierzy zostało uratowanych dzięki wydatkowi tych pocisków, oraz w jakim stopniu ułatwiły one zwycięstwo i w jakim stosunku jest ilość naszych strzałów artyleryjskich do olbrzymich ilości, wyrzucanych przez przeciwnika.

Hrabina była wciąż przy dywizji i pracowała z ogromnem poświęceniem. Jeździłem z nią autem na hulankę do Tarnopola: użyliśmy miasta, ile się dało, zachodziłem do kościoła, potem była kawa z pączkami, lody, spacer po prawdziwych chodnikach, powstał nawet projekt pójścia do kina, ale zrezygnowaliśmy — zaczynano zbyt późno. Wśród ludności zauważyliśmy kilka chrześcijańskich twarzy. Dziwiłem się wrażliwości hrabiny, cieszyła się ona z pobytu w tem brudnem gnieździe, jakgdyby widziała po raz pierwszy miasto. Zakupów nie robiliśmy prawie, bo panowała szalona drożyzna. W drodze powrotnej widziałem w Cebrowie pociąg roboczy w ruchu; pożegnałem go tęsknym wzrokiem.

Brak oficerów w pułkach zmusił mnie do osobistego dozoru nad szkoleniem młodzieży oficerskiej i żołnierzy. Spędzałem co drugą dobę w okopach i brałem udział w ich życiu. Zaczynało się ono właściwie z nastaniem zmroku — wyłaziło wtedy wszystko, co żyło a nie miało służby, z katakumb, łaziło po polu, rozkładało się grupami i konsumowało smaczny kapuśniaczek; od czasu, jak zacząłem jadać z żołnierzami, poprawiło się znacznie jedzenie i dochodziło na gorąco. Z umysłu nie ujawniałem zgóry, gdzie będę wieczorem, a kąsać za opieszałość potrafię.

Wrażenia w nocy miałem wciąż jednakowe; ciemnia nieprzenikniona, a na jej tle trupie błyski białych, czy

zielonych rakiet bezszelestnych nad linją okopów, zimne promienie reflektorów, przecinające mrok, a niekiedy krwawy wybuch granatu i skowyt lecących odłamów... chwila nasłuchiwania, czy kto nie jęczy, i znowu wraca ta cisza.

Przed świtem mieliśmy nieraz alarmy gazowe, wywoływał je zwykle jakiś szmer u przeciwnika lub mgły na nizinach. Dźwięczał wtedy dzwon, po nim drugi i dalsze, rozlegało się kilka wystrzałów, przemawiały telefony, wszyscy chwytali za maski i przetwarzali się po chwili w jakieś potworne maszkary; mijało jednak kilka minut, a gazów nie było, i padała komenda „zdejmuj maski". Przywidziało się widocznie któremuś z wartowników.

19-go sierpnia otrzymał dowódca korpusu rozkaz sforsowania stanowisk przeciwnika za Strypą; w odpowiedzi zameldował Ekk, że korpus z powodu ciągłych walk jest bardzo wyczerpany, potrzebuje więc dłuższego odpoczynku. Replika ta została przyjęta jak najgorzej, obwiniono korpus, że nie chce pozwolić armji zebrać owoców zwycięstwa, ale pryncypał uparł się i otrzymał nareszcie ze sztabu armji następującą rezolucję Sacharowa: „Dziwię się bardzo ogromnym stratom korpusu, który przecie nie miał dużych bitew, widocznie nie potrafiono walczyć umiejętnie".

Rezolucja ta, inspirowana przez szefa sztabu armji, Szyszkiewicza, nielubiącego Ekka, była oburzająca. W ubiegłej operacji oddziały nasze okazały dużo ofiarności i odniosły poważne zdobycze strategiczne minimalnemi środkami. Była więc taka ocena niesprawiedliwa a nawet szkodliwa, przecie najlepszy żołnierz

potrzebuje podniety moralnej. Pantoflową pocztą doszła mnie wiadomość, że Sacharow, którego znałem i szacowałem dość tanio, wbrew swej ocenie, w rozmowie z jednym z dowódców korpusu nazwał mą dywizję „korkociągiem", co miało znaczyć, że potrafimy wyciągać z butelki mocno tkwiące korki; bardzo to pięknie, ale na jakiś czas musimy tego poniechać.

* * *

Spotkałem hrabinę na „grzybobraniu": wobec spokoju na froncie jeździła ona z siostrami po polach bitew, zbierała porzucone naboje, wystrzelone pociski i t. d.; dziennie otrzymywałem od niej po kilkadziesiąt tysięcy nabojów. Dla dania lepszej opieki moim rannym, sprowadziła p. Szuwałowowa swój szpital z Kijowa do Tarnopola.

Nadeszły zaległe gazety; były znowu artykuły o kwestji polskiej: niegodziwe łamańce biurokracji petersburskiej mogły bardzo zaważyć na szali naszych losów, bo austrofile nie spali, a Niemcy z rozkoszą pragnęliby nas poróżnić z Rosją. Czytałem w Dzienniku Kijowskim, że umarł w Warszawie krytyk muzyczny, Poliński; mimowoli zdziwiłem się, czemu umarł, skoro tam nie walczono; ostatniemi czasy urobiło się we mnie pojęcie, że umiera się tylko na polu bitwy.

Przysłano mi w ostatnich dniach skompletowanie; podobało się ono bardzo Ekkowi, który się mu przyjrzał w sztabie korpusu i powinszował mi telefonicznie, że otrzymuję dwa bataljony „młodych orłów". W parę godzin później usłyszałem na tyłach kilka detonacyj, musiały niemieckie „gołąbki" (Taube) upu-

ścić kilka ciężkich „przedmiotów“ na kogoś, czy na coś; otóż tym ktosiem były „młode orły“. Gdy pociski pękły wpobliżu kolumny, nie raniąc nawet nikogo, rozbiegło się całe bractwo w panice po krzakach, gdzie ich zbierano później z godzinę; gdy więc bataljony stanęły przede mną, potraktowałem je dosadnie po rosyjsku, zapowiadając, że tchórze otrzymują w oddziałach kulą w łeb. Ekkowi zaś zakomunikowałem, że orły okazały się zmokłemi kurami, które będę musiał mocno potrząsnąć, by je wysuszyć.

30-go sierpnia powtórzył Sacharow swój rozkaz; tym razem miała atakować tylko 13-ta dywizja. Stanowisko przeciwnika, bronione przez Niemców i Węgrów, było dobrze umocnione, a dywizja bardzo słaba, podałem więc umotywowany raport o tem. Ekk potwierdził me wątpliwości i przesłał je do sztabu armji; odpowiedź brzmiała: „Zgadzam się zupełnie ze zdaniem dowódcy 13-ej dywizji, niemniej rozkazuję mu atakować“.

Opanował mnie gniew niepohamowany i oburzenie — miałem wysłać na rzeź tysiące ludzi ze świadomością, że zginą napróżno; zatelefonowałem więc raz jeszcze do Ekka. Był bardzo przybity i zakomunikował mi, że przed chwilą otrzymał polecenie przydzielenia mej dywizji na czas operacji do sąsiedniego korpusu, nie może więc nic poradzić. Pojechałem natychmiast przedstawić me racje nowemu dowódcy, uznał me dowody, wkońcu jednak wywnioskował z właściwym Rosjanom fatalizmem: „Niema rady, widocznie tak sądzono“.

Spędziłem straszną, bezsenną noc, chodziłem cały czas po moim pokoju, a w mózgu tłukła się myśl, że lepiej skończyć mękę samobójstwem. O północy przyjechała hrabina, wezwana zapewne przez mojego szefa sztabu, zaniepokojonego mym stanem; zacna kobieta objawiła chęć natychmiastowego wyjazdu do dowódcy frontu, Brusiłowa, dla poinformowania go, ale nie zgodziłem się na to stanowczo i jakoś przetrwałem najgorsze chwile wzburzenia.

Biliśmy się trzy doby, zajęliśmy pierwszą i część drugiej linji okopów, ale dalej ani rusz; przeciwnik walczył doskonale. Węgrów, zajmujących pierwszą linję, rozbiliśmy doszczętnie, ale druga broniona była przez jegrów niemieckich, mających rozkaz walczyć do śmierci. Bronili się więc uparcie o każdy lej lub trawers, a walka trwała wyłącznie na ręczne granaty i bagnety; nawet otoczeni, nie poddawali się Niemcy i ginęli mężnie. Od rannych dowiedzieliśmy się, że postanowienie moich żołnierzy niebrania jeńców było im znane. Zaciekłość była tak duża, że, leżący na stole opatrunkowym, mój ranny żołnierz, widząc wnoszonego na noszach Niemca, zeskoczył ze stołu i rzucił się mu do gardła.

Trzeciego dnia walk próbowałem przygotować dalszy atak przy pomocy polowej artylerji, chociaż wiedziałem, że działanie jej nawet na polowe umocnienia nie może być poważne, chciałem jednak dodać żołnierzom otuchy. W oczekiwaniu na rezultat, zajęły oddziały szturmowe okopy wypadowe wpobliżu drutów przeciwnika. Pobyt w takim okopie w czasie bombardowania był przykry, otrzymywało się ogień dzia-

łowy z dwóch stron, nie żałowali granatów Niemcy, i tuż rwały się nasze pociski, obrzucając częścią odłamów własne okopy; siedzieli więc biedni piechurzy na dnie okopów, przytuleni do przedpiersia, a na twarzach ich malował się przestrach i przygnębienie. Próbowałem ich uspokajać żartami, ale nie pomagało nic, nie rozumieli mnie prawie, a jeden młodziutki chłopak spojrzał na mnie błędnym wzrokiem i rozpłakał się nagle, wołając: „Boję się, wujaszku!“ (wiejska młodzież w Rosji nazywa zwykle starszych ludzi wujaszkami).

A takich młokosów miałem większość! Gdy nareszcie poszli do ataku, widziałem, jak na okop niemiecki wylazło kilkudziesięciu starszych Szwabów w kurtkach flanelowych, z fajkami w zębach, i, korzystając z przeniesienia ognia artyleryjskiego wtył, poczęło z dużym spokojem strzelać do nacierających. Jedna góra przechodziła w ciągu trzech godzin pięć razy z rąk do rąk, fale ludzkie przelewały się kilkakrotnie z jednej strony na drugą; ostatecznie rezerwy moje wyczerpały się, a Niemiec rzucał wciąż do walki nowe oddziały. Ogólne powodzenie boju było liche, półtorej dywizji, rozrzuconej szeroko, biło się, gdy gros sąsiedzkie czekało spokojnie, aż im otworzymy drogę; natarcie nasze nie udało się ostatecznie, poniosłem duże straty, zabito pułk. bar. Gillesema, zraniono śmiertelnie pułk. Pewnego, kontuzjonowano brygadjera, gen. Dżanniejewa; nie oszczędzałem się również tym razem.

* * *

Drugiego dnia bitwy widziałem kołujący nad polem korowód bocianów, liczący może sto kilkadziesiąt sztuk (przypuszczam, że był to odlot jesienny); ptaki krążyły nad nami ze dwie godziny, może wytrącił je z kierunku huk dział i wstrząs powietrza. Szczerze zazdrościłem kochanym „Wojtkom" powietrznej podróży do spokojnych jezior Tunisu, gdzie je obserwowałem nieraz w towarzystwie różowych flamingów. W nocy słyszałem kilkakrotnie w obłokach krzyk dzikich gęsi — ciągnęły na południe. Zaczęła się jesień, trzecia jesień dla mnie stracona. 3-go września umarł pułk. Pewny; był to doskonały oficer, o gołębiej duszy.

Walczyliśmy potrochu codzień, tracąc sporo ludzi, i wżarliśmy się głęboko w stanowisko przeciwnika; głównie szerzyły zniszczenie ręczne granaty. Władza wyższa była jednak z nas niezadowolona, nie potrafiliśmy ostatecznie rozgromić Niemców, chociaż mało kto zdziałał na naszym froncie tego lata tyle, co my.

Niepowodzenie w ostatnim okresie operacyj, w których ja przyjmowałem tylko wtórny udział, wywołało nieprzyjemny dla Ekka rozkaz do armji oraz list z wymówkami; Ekk obraził się i złożył podanie o zwolnienie ze stanowiska. Sprawa oparła się o Naczelne Dowództwo, które dymisji nie przyjęło, nastąpiła tylko zamiana z dowódcą XXV-ego korpusu, gen. Syczewskim. Bałem się, że „zamienił stryjek na siekierkę kijek"; nasz dotychczasowy pryncypał, przy wszystkich swych wadach, był zawsze dżentelmanem, o co teraz było bardzo trudno, Syczewskij zaś znany

był z obraźliwości i przeczulonych nerwów. „Dziwnym“ zbiegiem okoliczności złożyło się, że jednocześnie z zatargiem przedstawił Sacharow, jako kandydatów do stanowiska dowódcy korpusu, swego szefa sztabu, Szyszkiewicza, i kuzyna żony, gen. Stankorowskiego; jasny więc był cel kampanji przeciwko Ekkowi — „ôte toi pour que je m'y mette“ — VIII-y korpus był bardzo ponętną placówką. Szczęściem zrozumiał intrygę Brusiłow i odmówił stanowczo, gdyż żaden z tych panów nie dowodził dywizją i nie miał nawet do tego ochoty.

Wyjazd dowódcy korpusu wywołał szereg styp pożegnalnych; znużyły mnie one bardzo, bo były jak zwykle jałowe i przewlekłe. U mnie były przynajmniej tylko dwie mowy, powiedziałem cztery frazesy, Ekk odpowiedział również krótko, wszelkie inne upusty krasomówcze zaszpuntowałem szczelnie, ale na innych przyjęciach gadał, kto chciał, ile chciał, a każdy starał się przelicytować poprzedniego mówcę w wyrazach żalu, bólu, rozpaczy, targających „wątpia“; potem następował zwykle występ „piesienników“, których znoszę na krótko i tylko na otwartem powietrzu.

Zdawało się, że cała akcja zaczepna na froncie rosyjskim jest w tym roku ostatecznie zahamowana. Przeciwnik posiadał za dużą przewagę techniczną, a obecny żołnierz rosyjski, przygotowany naprędce, był materjałem kruchym i niezdolnym do uporczywej walki.

Prowadzenie operacyj było często niefortunne, jedni bili się ciągle, inni stali bezczynnie całemi miesiącami; brakło stale szerokiego oddechu i zrozumienia wysiłku. Marsz. Foch nie posyłał nigdy do dalsze-

go ataku tych pułków, które w danej operacji dokonały już jednego uderzenia; u nas rozbijano najlepsze oddziały, bijąc niemi bez wytchnienia w stanowiska przeciwnika.

* * *

Dywizja rozkleiła się zupełnie; by ją skonsolidować i doprowadzić do porządku, potrzeba było dwóch rzeczy — czasu i odpowiedniego dowództwa. Wakował u mnie pułk wileński, i chciano mi wpakować koniecznie na miejsce dowódcy pułk. Woronowa, brata p. Sacharowowej; sprzeciwiłem się temu stanowczo, nie życzyłem sobie bowiem protegowanych pułkowników, mianowano więc pułk. Dorofiejewa, mego szefa sztabu, a na jego miejsce dobrze mi znanego pułk. Niepienina, porządnego człowieka, ale „ciepłe kluski", przybędzie mi więc roboty.

Z hrabiną przemówiliśmy się nieco; dzięki jej wyjątkowym zaletom, urodzeniu, majątkowi i stosunkom, zbałamucili ją ludzie do tego stopnia, że wzięła za wysoki ton, i kilka razy słyszałem z jej ust frazes: „Nikt mi nigdy niczego nie odmawia". W dywizji wiedziano o serdecznym stosunku, łączącym nas, zaczęto więc udawać się do jej protekcji, gdy bano się odmowy z mej strony; celowali w tem głównie „batiuszki", ale trafiali jakoś niefortunnie, odmawiałem za każdym razem. Nareszcie hrabina docięła mi, że nie pamiętała wypadku, bym spełnił jej prośbę; odpowiedziałem, że w służbie protekcji nie znam i żałuję bardzo, iż parę razy zwracała się do mnie z nieuzasadnionemi życzeniami. Obraziła się trochę, i być może stracę jej przy-

jaźń, ale nie znoszę, gdy panie wtrącają się do spraw służbowych. Przy obiedzie opowiedziałem celowo, że, gdy kobieta chce u mnie protegować kogo, robię z zasady przeciwnie i nie mylę się zwykle. Będę zapewne wkrótce zupełnie osamotniony, opuszczała mnie bowiem i moja druga przyjaciółka — Dzidzia; wyjeżdżała z rodzicami za Seret — byli tu bardzo skrępowani. Z mniejszym żalem pożegnałem jej kilkomiesięcznego braciszka, koncertującego co noc za dzwiami.

* * *

27-go sierpnia przystąpiła nareszcie do koalicji Rumunja, ale zamiast natrzeć na żywą siłę przeciwnika, rzuciła się odrazu na Transylwanję — cel marzeń rumuńskich, pozostawiając bez ochrony swe skrzydła i tył. Może z tego wyniknąć bigos, jeżeli Niemcy znajdą siły do kontrakcji. W każdym razie wkroczenie Rumunji odciążało nas poważnie, gdyż przedłużało front przeciwnikowi o kilkaset kilometrów, a taką dziurę niełatwo zatkać.

* * *

Kulawa operacja bojowa trwała wciąż; podsycał ją szef sztabu armji Szyszkiewicz, skończony gałgan i marny strategik. Już to cesarz, jako naczelny wódz, nie zdradzał ani talentu ani woli, a one głównie mogły w danej sytuacji decydować.

W połowie września biliśmy się znowu, przeżyłem więc parę ciężkich dni, pełnych krwi i daremnych wysiłków. Napięcie nerwowe było tym razem mniejsze, bo z konieczności nadeszła rezygnacja — głową

*

muru nie przebije; nieraz miałem wrażenie, że wypadkami steruje wola, pozbawiona kierownika — rozumu, często nie mogłem sobie w żaden sposób wytłumaczyć logiki rozkazów.

* * *

Widziałem temi dniami kolumnę jeńców niemieckich na postoju: byli ubrani dobrze, ale wogóle wyglądali marnie. Rozgadałem się z jednym półinteligentem; twierdził on z pewną wyższością, że rosyjski ogień artyleryjski jest dość silny, ale wytrzymać go można swobodnie, siedząc w schronach, i naturalnie nie wytrzymuje porównania z ogniem Francuzów; od jeńca tego usłyszałem też oryginalne wyrażenie, przyjęte w niemieckiej armji: „Heimatsschuss"—oznacza to lekką ranę, umożliwiającą ewakuację do ojczyzny — bardzo przeto pożądaną przez wszystkich żołnierzy, nawet u nich.

Po ostatnich walkach pozwolono na urlopy; coprawda niebardzo miałem kogo zwalniać, bo mi wybito prawie wszystkich oficerów, pojechali więc przeważnie żołnierze. Po kilku dniach jednak kazano, by na 1-go października wszyscy byli zpowrotem; nie wynikało to zupełnie z sytuacji strategicznej, ale ze względów polityki wewnętrznej, w tym terminie zaczynały się bowiem wybory do Dumy, wolał więc „opiekuńczy" rząd, by urlopowani żołnierze, którzy dużo widzieli i nieco zmądrzeli, nie wywarli niepożądanego wpływu na wybory. Polityka ta obliczona była na krótką metę i przewali się, o ile nie będzie poważnych reform wewnętrznych; stanie się to jednak nieprędko, trzeba

poczekać, aż się stworzy w Rosji społeczeństwo, teraz były tylko wilki i barany.

Z hrabiną — pax; spełniłem jedną jej nieśmiałą prośbę, i była wprost uszczęśliwiona. Coprawda zrobiłbym to i bez jej wysokiej protekcji. W czasie rozmowy wspomniałem, że zachorował gen. Szyszkiewicz, na to p. Szuwałowowa z grandezzą, właściwą arystokratycznym damom, zauważyła: „A bodajby zdechł ten wściekły pies".

Przyjechał do mnie nowy szef sztabu, pułk. Niepienin, zupełnie zużyty, siwy człowiek; ręce mu się trzęsły, służby sztabowej nie znał, przez szereg lat zajmował się przewozem wojska. Zawitał również nowy dowódca korpusu, gen. Syczewskij, zachował się uprzedzająco, wspomniał o wspólnej służbie na Dalekim Wschodzie i zaznaczył, że do ukończenia obecnej operacji pozostanie tylko jej widzem. Charakter tych walk był jednak tak marny, że wyręczałem się często mym brygadjerem, gen. Dżanniejewem, dzielnym oficerem o dobrej kulturze. Wogóle przejścia kampanji tegorocznej bardzo się odbiły na mym systemie nerwowym; panowałem nad sobą z trudnością, i zauważono to, niestety, w dywizji; przypadkiem słyszałem, stojąc za trawersem, rozmowę dwóch oficerów o mnie: „On już nie jest taki jak dawniej, widziałem go wczoraj, gdy „wileńcy" szli do ataku, nie mógł się pohamować, mieniła mu się twarz"... Rzeczywiście, w ostatnim okresie walk musiałem walczyć z wizjami wyobraźni, najczęściej miałem przed oczyma głowę rannego oficera, któremu odłam granatu zniósł dolną szczękę; wzdrygałem się na myśl, że i ja mogę zostać tak okaleczonym, lepsza śmierć!..

3-go września opanowali Francuzi kilka niemieckich linij, przerwali również w parę dni później ich stanowisko pod Buxhavesnes, ale powodzenia nie wyzyskano; nie było na miejscu poważnych rezerw, gdyż znikła wiara w możliwość przerwania frontu nieprzyjacielskiego jakiem uderzeniem. Jedynym namacalnym rezultatem tych walk było zaniechanie półrocznych ataków niemieckich na Verdun — zabrakło Niemcom żywej siły. Skorzystali z tego Francuzi i przeszli do akcji zaczepnej, tocząc uporczywe walki o skrawki terenu.

Gorzej działo się w Dobrudży: w pierwszem większem spotkaniu zostali Rumuni rozbici przez Mackensena, i dwie dywizje poddały się. Była to dla nas przykra niespodzianka, przypuszczaliśmy, że na tym otwartym froncie pomyślne dla koalicji wypadki potoczą się z większem powodzeniem.

* *
* *

23-go września skończyły się nareszcie nasze walki, dywizja odpoczywała, reorganizowała się i umacniała zajęte stanowiska; sztab mój zmienił locum, zamieszkaliśmy w Olejowie u hr. Wodzickiego. Gospodarza jako zakładnika wywieziono do Rosji, dom pozostał nietknięty, ale mebli prawie nie było, nikt się również nie opiekował oranżerją z umierającemi roślinami; żyły jeszcze bardzo ładne palmy, i kazałem natychmiast naszym ogrodnikom zająć się ratunkiem chorych roślin. Na trawnikach w parku zastałem obozowisko baterji; wybuchłem natychmiast, bo nie znoszę soldateski, i wyrzuciłem wszystko w pole.

Zająłem gabinet, położony zdala od gwaru i telefonu, i rozkoszowałem się ciszą; miałem nawet kominek, palił się na nim od rana do nocy znicz. Skądciś zjawiło się nieco mebli, każda sztuka z innej parafji, wstawiono mi również nieznośnie twarde pianino. Park posiadał ładną aleję lipową z widokiem na zachód, a obok stary cmentarzyk. Zaczęła się jesień, zarumieniły się na murach dworu liście dzikiego wina, roznosił wietrzyk po polach srebrną pajęczynę babiego lata, rozwieszał ją po drzewach, rozpinał wśród traw; ranki były już chłodne, mgliste, ale w południe ginął tuman, ukazywał się piękny błękit nieba, a promienne słońce pieściło aż do zachodu zmęczoną ziemię.

W parku cisza była ogromna, ścieżki już zaczynał zaścielać zeschły liść. Wśród kępy drzew na uboczu przytuliła się mogiła z białym krzyżykiem; spoczął tu na wieki jakiś nieznany żołnierz, legł w ziemi bez trumny, prędzej więc obróci się w proch i wróci do matki natury; nad mogiłą słychać było poszumy drzew, odgłosy życia przyrody. Czyż taki pośmiertny spoczynek nie jest piękniejszy, niż odosobnienie w zimnej piwnicy, pod marmurowym sarkofagiem?

* * *

Przyjeżdżała się pożegnać hrabina, jechała na jakiś czas do Petersburga. Jak zwykle będzie mi jej bardzo brakowało.

1-go października przyjechał do mnie Syczewskij. Idąc do okopów, poleciłem adjutantom utworzenie odrębnej grupy, by nie zwracać uwagi przeciw-

nika; trafem nie padł w naszym kierunku ani jeden wystrzał.

Po ukończeniu inspekcji zaproponowałem ten sam sposób powrotu, spotkałem się jednak z uwagą sarkastyczną mego szefa, że chyba ostrożność ta jest zbędna, przecie tak spokojnie szliśmy tędy przed paru godzinami; oświadczyłem więc z zimną krwią, że mnie osobiście jest ta kwestja zupełnie obojętna. Poszliśmy więc całą grupą wśród zupełnej ciszy na froncie, droga szła pod górę.

„Może trochę odpoczniemy"—zaproponował Syczewskij — „takeśmy się nachodzili po okopach".

Usiedliśmy więc, gawędząc, ale wkrótce nadeszło pierwsze ostrzeżenie — pękł wpobliżu granat nieprzyjacielski; naturalnie nie widzieliśmy go zupełnie i, wytrzymawszy parę minut, ruszyliśmy dalej; prawie natychmiast zarył się przed nami drugi pocisk, a trzeci obrzucił nas ziemią i odłamkami.

„Zdaje się, że to strzelają do nas" — zauważył lekko Syczewskij.

„Zdaje się, że pan ma rację, bo innego celu wpobliżu nie widzę" — odpowiedziałem tym samym tonem, nie przyśpieszając kroku.

Czwarty granat był również nieprzyjemny, jak i trzeci, ogłuszył mnie nawet nieco.

„Możebyśmy zresztą zatrzymali się w jakim schronie" — wycedził mój „pryncypał".

„Owszem" — zauważyłem niedbale — „idziemy równolegle z dobiegowym rowem, możemy nim przejść na tyły".

Adjutanci nie czekali na dalsze wyjaśnienie i dali natychmiast nurka do rowu. Piąty pocisk nie zastał w otwartem polu i nas. Miały teraz sztaby temat do ostrzenia języków à propos wzajemnego stawiania się dwóch ekscelencyj.

Wpobliżu leżała w tym samym okopie kompanja rezerwy odcinka. Gdyśmy dochodzili do niej, przeleciał nad nami ciężki pocisk i pękł z ogłuszającym trzaskiem za najbliższym trawersem; prawie natychmiast wypadł z za niego okrwawiony żołnierz i padł zemdlony, uderzywszy o Syczewskiego. A za nasypem spotkał nas straszny widok — okop zalany był krwią, zawalony kawałami poszarpanego ludzkiego mięsa, drgającemi konwulsyjnie nogami i rękami, dymiły wyrwane serca i trzewia, patrzyły ze zgrozą w przestrzeń zamierające oczy; pocisk pękł wśród czołowego plutonu i rozszarpał jedenastu żołnierzy...

Syczewskij zbladł jak chusta, ale opanował się po chwili, powiedział parę słów współczucia dowódcy kompanji, mnie zaś poprosił, bym go dalej prowadził według mego uznania.

Zły byłem piekielnie, milczałem więc uparcie, chociaż generał coraz to zagadywał mnie w sprawie przykrego wypadku, nareszcie nie wytrzymałem i wypaliłem:

„Gdyby panu nie przyszła ochota urządzać turnieju odwagi, nie byłoby niepotrzebnych ofiar".

Syczewskij zamilkł, ale przy pożegnaniu uścisnął mi parokrotnie rękę, mówiąc półgłosem:

„Miałeś pan rację".

Wizyta ta była dla mnie ostatnim epizodem wojennym tej jesieni. Sprawy bojowe na froncie zamie-

rały, decydującego zwycięstwa nie osiągnięto, wyjechałem więc na sześciotygodniowy urlop do Kijowa. Przed wyjazdem udekorowałem jeszcze żołnierzy orderami św. Jerzego; wśród nich znalazł się podoficer Rozenblum, Żyd, nagrodzony już po raz czwarty. Stosownie do przepisów, czterokrotni kawalerowie, o ile posiadali możliwe warunki, awansowali jednocześnie na podchorążych, do których zwracano się na „pan"; istniał jednak drugi przepis, który zabraniał awansować Żydów nawet na podoficerów. Uważałem to za dużą niesprawiedliwość, przypinając więc order Rozenblumowi, podałem mu rękę ze słowami:

„Winszuję *panu* orderu i awansu na podchorążego".

Dekorowany poczerwieniał z nieoczekiwanej radości jak burak, a wśród asysty zaczęto szeptać, ale nie zwróciłem na to uwagi, kazałem tylko złożyć dowódcy korpusu umotywowany raport o przekroczeniu przeze mnie władzy. Odpowiedzią było milczenie, a „qui tacet consentire videtur".

* * *

Poważnych zmian w Kijowie nie znalazłem, zauważyłem jednak jeszcze większą obojętność w stosunku do działań wojennych a jednocześnie rosnące zainteresowanie sprawami wewnętrznemi. Walka Dumy z kamarylą cesarzowej, inspirowanej przez Rasputina, rozpalała się, rząd, złożony z figur zupełnie marnych, tracił coraz bardziej grunt pod nogami, ostrą krytykę wypadków wewnętrznych słyszano wszędzie, ton prasy nabrał akcentów zadzierżystych.

W Transylwanji Niemcy pobili Rumunów na głowę i odrzucili ich ku granicy, w Dobrudży Mackensen rzeczywiście przerwał front rosyjsko-rumuński, odrzucając sprzymierzonych na lewy brzeg Dunaju. Widocznie Rumunja nie była przygotowana do wojny, brak było również wspólnego dowództwa.

5-go listopada ogłosili Niemcy niezależność Królestwa Polskiego, nie podając jednak żadnych szczegółów, dotyczących ustroju jego i granic. Akt ten nie zrobił na Polakach po tej stronie frontu dużego wrażenia, byliśmy pewni, że w najlepszym razie nastąpi unja Kongresówki z Małopolską, Poznańskie zaś pozostanie pod panowaniem pruskiem. Cel ogłoszenia tej wątpliwej niepodległości był jasny: chciano pozbawić polskie społeczeństwo, orjentujące się przeważnie w kierunku porozumienia z Rosją, podstaw do niego, może liczono również na polskiego rekruta. W każdym razie jednak przypomniało nam to boleśnie paskudne i niepolityczne zwlekanie Petersburga z wyraźnem wypowiedzeniem się w sprawie polskiej.

21-go listopada umarł cesarz Franciszek Józef; był to zupełnie zniedołężniały staruszek. Wstąpił na tron Karol, niedoświadczony i podobno lekkomyślny młodzieniec, bez odpowiedniego przygotowania i wpływu na nastroje narodów Austrji; jego amnestja dla czeskich przywódców, pracujących jawnie przeciwko państwu, wywarła w Austrji jak najgorsze wrażenie i była ciosem dla siły rządowej i armji, która cierpiała nieraz z powodu zdrady oddziałów czeskich.

ROZDZIAŁ IX.

25-go listopada wróciłem do dywizji i zastałem wszystko w porządku. Walk w czasie mej nieobecności nie było, pułki konsolidowały się. Zamieszkałem w Jarczowcach, miałem duży pokój, ale meble były przeważnie nieobecne; znalazł się jednak fortepian, sztab najął go w Zborowie za 10 rubli miesięcznie, z obowiązkiem dostawy na miejsce. Grać jednak nie mogłem, brak było dwóch klawiszy. Widok z okien miałem niezbyt urozmaicony—stodoła, ociekająca wilgocią, krzak, poza tem błoto i błoto; nieco opodal kilka zmurszałych krzyży i pochylonych pomników na starym cmentarzyku, ot i wszystko.

Nazajutrz po moim przyjeździe odezwało się hałaśliwie vis à vis i iluminowało po artyleryjsku przedpole i nasze okopy, ale wszystko to dość nieszkodliwie; wróciłem do domu z pewnem uznaniem dla moich poczciwych Austrjaków.

28-go listopada nadszedł telegram, że korpus wyrusza koleją do Rumunji. Potrzebowała ona koniecznie zbrojnej pomocy Rosji; jej armja, operująca w Transylwanji musiała się cofnąć pod naciskiem gen. Falkenhayna od Kalimaneszti i Krajowej, a jednocześnie prawie Mackensen przeprawił się przez Dunaj pod Sistowem; operacje te skróciły przeciwnikowi front o kilkaset kilometrów i pozwoliły obydwom grupom połączyć się gdzieś na linji Olty dla akcji przeciwko Bukaresztowi.

Korpus nasz miał jechać przez Kamieniec, Nowosielicę i Czerniowce na Bukowinę.

Z wyjazdu byłem zadowolony osobiście i jako dowódca; lubię zmianę wrażeń, a tu, w Małopolsce nie zapowiadały się one przyjemnie, czekała nas znowu zima w katakumbach, krecia robota, a tyfus plamisty już się zaczął szerzyć. Rumunji nie znałem, a przypuszczać należało, że będziemy mieli wojnę manewrową, dającą o wiele prędsze rezultaty.

30-go listopada ściągnęliśmy ze stanowisk, i postawiono dywizję na krańcach Tarnopola. Na wyjezdnem wypadło się zająć rodziną księdza unickiego, mieszkającego w Jarczowcach, cierpiącą wprost głód, a liczyła ona, oprócz parocha, osiem kobiet i kilkoro dzieci; nie kryli się oni coprawda z antypatją do Polaków i Rosjan, byli bardzo niesympatyczni, ale tak biedni że o sentymencie osobistym wypadło zapomnieć. Dopomogliśmy im więc zapasami i pieniędzmi, poruczając dalszą opiekę naszym następcom.

Natychmiast po opuszczeniu frontu zarządziłem forsowne zajęcia w pułkach, dla przygotowania do wojny manewrowej. W szeregach brakło zupełnie oficerów zawodowych, kompanjami dowodzili przeważnie chorążowie bez doświadczenia i powagi wobec żołnierzy, wzrosło więc bardzo znaczenie dowódców bataljonów, których zresztą też brakło; cały ciężar spadł zatem na dowódców pułków, musieli oni brać bezpośredni udział w urabianiu ducha w pułkach i w wyszkoleniu kompanij i bataljonów.

* *
* *

1-go grudnia otrzymaliśmy wiadomość, że Bukareszt już jest zagrożony, a wypadki toczyły się tak

szybko, iż rozwiązanie mogło nastąpić, nim dojedziemy. Hindenburg wykonał swój plan świetnie i potrafił energicznie wziąć inicjatywę w swoje ręce.

W Tarnopolu zamieszkałem w hotelu z pewnym komfortem, posiadałem nawet w pokoju dwie hotelowe lampki elektryczne i własną naftową, bardzo zresztą potrzebną, bo elektryczność nie oświetlała nic, a tylko zaznaczała swą obecność. Pobyt tu nie należał do przyjemnych przedewszystkiem dlatego, że na oko to dawne przedmurze chrześcijaństwa jest czysto żydowskiem, brudnem miastem; obecnie przepełniło je jeszcze zdziczałe oficerstwo i brudne żołnierstwo. Prawdziwą męczarnią były posiłki, spożywane w restauracji — wszędzie tłum i „muzyka", a ta dokuczała najbardziej. W zarysie pierwotnym reprezentował ją tu artysta dramatyczny (!) bez engagement, improwizujący ze słuchu, bardzo zresztą prymitywnego, różne „kawałki" czegoś; forma bardziej złożona — to kwartet, utworzony ze skrzypiec, klarnetu, trombonu i basetli; skrzypce swawoliły rozkosznie, detonując lub zgrzytając, klarnet gęgał jak zdychająca gęś, basetla opóźniała się stale i flegmatycznie o ćwierć taktu, a trombon triumfował i ogłuszał wszystkich, bo pan jego miał zdrowe płuca; była nareszcie i orkiestra, składająca się z jedenastu artystów, o bardzo indywidualnym charakterze każdego instrumentu, wydzierającego się przemocą na pierwszy plan. Zrezygnowałem więc ostatecznie z artystycznych rozkoszy i wolałem jadać nawpół zimne jedzenie u siebie w pokoju.

Niejednokrotnie wypadło wpłynąć uśmierzająco na „artystyczne" zapały moich oficerów, którzy, za-

chwyceni pobytem w mieście, zapragnęli oddać się nieumiarkowanie jego uciechom i zbytnio przesiadywali po restauracjach, zapominając o żołnierzach; ale po burzy atmosfera się oczyściła, i dywizja pojechała w drogę ciepło ubrana, dobrze obuta i nieźle przeszkolona, konie zaś nie będą dzwoniły zębami w próżne żłoby. Wolałem zabezpieczyć się tu na miejscu, bo niebardzo liczyłem na środki rumuńskie i szybką organizację tyłów na nowym froncie.

Stosunki z dowódcą korpusu były zupełnie dobre, pokazywał się on rzadko, nie przeszkadzał pracować, nie chciał mnie uczyć i był małomówny; raz jeden jednak wyraził zdziwienie, że Ekk nie postawił dotychczas mej kandydatury na dowódcę korpusu. Ja przypisywałem to wyłącznie wpływowi sztabowej kamaryli.

5-go grudnia zawiadomiono mnie, że, z powodu dalszych niepowodzeń rumuńskiej armji, będziemy zapewne skierowani, zamiast do górzystej Bukowiny, w płaszczyzny Wołoszy; dotąd wiadomo, że dojedziemy koleją do Lipkan nad Prutem a stamtąd pójdziemy piechotą do Dorohoj w Rumunji, gdzie nas znowu zawagonują.

Opowiadano mi o pierwszym występie mego przyjaciela, gen. Dernowa, jako dowódcy dywizji; pracował on przez szereg lat w dziale komunikacyj wojennych i nie dowodził pułkiem, gdy więc objął dywizję, robił wrażenie ministra, odwiedzającego departament; mało będzie miała z niego pociechy armja, chociaż człowiek to bardzo porządny i dobry fachowiec w dziedzinie kolejnictwa.

Hrabina przyjechała z Petersburga i opowiadała mi o jednym z występów „starca“ Rasputina w Moskwie. Przyszedł on odwiedzić mieszkającą tam stale siostrę cesarzowej, w. ks. Elżbietę; bawiła u niej wtedy księżniczka Tatjana, panie jednak nie przyjęły „świątobliwego“ męża, oburzył się na to bardzo i wyrzekał głośno: „Lizka i Tańka nie chciały mnie wpuścić“.

Po bliższem przyjrzeniu się, znalazłem jednak w Tarnopolu sporo polskich dusz chrześcijańskich. Byłem na mszy żałobnej za duszę Sienkiewicza, duży kościół był prawie pełny; wogóle musieli tu ludzie modlić się żarliwie, obserwowałem bowiem stale z mego okna, że w kościele paliło się światło codzień do 8-mej godz. wieczorem.

W sali po kinematografie grali przygodni amatorzy po amatorsku „Żołnierza królowej Madagaskaru“; parter pełny był baranich czapek i szarych szyneli, miejscowa publiczność usunęła się przezornie na balkon.

Bawił u mnie przez dobę gen. ks. Tumanow; pobyt tego szlachetnego Gruzina, a mego serdecznego przyjaciela, był mi niesłychanie miły.

Zacząłem już wyprawiać koleją eszelony pułkowe, oglądałem każdy detalicznie przed zajęciem wagonów; skutki były doskonałe, wyekwipowanie coraz lepsze.

9-go grudnia wyjechałem nareszcie ze sztabem, jechaliśmy wolno, widocznie pośpiech nie był wskazany. Rzeczywiście, decydujący akord zagrał już Mackensen, trzeba było symfonję rumuńską zaczynać na nowo, po przestrojeniu instrumentów i wyborze nowego dyrygenta. Dywizja rozjechała mi się po linji

kolejowej tak daleko, że nie wiedziałem, gdzie się znajduje głowa a gdzie ogon, z telegrafu zaś rumuńskiego nie wolno było korzystać.

Zima nadeszła, mróz był leciutki, dnie zamglone, drzewa okryte puszystą okiścią. Kwestja naszej aprowizacji nabrała cechy indywidualnej; bufety na stacjach były nieczynne, zjadał więc każdy, co z sobą wziął. Ja żywiłem się przeważnie szwedzkim knekebrödem, piernikami i pomarańczami. Szef sztabu za niezorganizowanie wspólnej menaży dostał naganę, która nie wpłynęła jednak bardzo na zaspokojenie apetytów, bo naszą marszrutą przeszła zapewne przed nami szarańcza.

Po czterech dniach przykrej podróży, opuściliśmy w Lipkanach pociąg. Sztab ulokowano w domu obywatela Ditmara, który przezornie zabrał w początku wojny meble i uciekł do Odesy, zastaliśmy więc pustkę i przeraźliwe zimno. Dopiero pod wieczór udało się nagrzać mój pokój o tyle, że mogłem wyleźć z kożuszka i wojłokowych butów. Cały sztab wskutek zbytniego opalania wagonów kaszlał, kichał i zażywał aspirynę, jednak obiad, dzięki czterodniowemu postowi, zajadaliśmy wszyscy z nabożeństwem; po raz pierwszy jadłem rumuńską potrawę narodową — mamałygę; z ostrym serem jest ona jadalna, bez — ryzykowna w skutkach, bo „au naturel“ kamienieje w żołądku.

* * *

W dobę później pisałem do mej żony:

„Siedzę przy wygodnem biureczku, dobrze oświetlonem lampą elektryczną, w ładnym saloniku; z jednej

strony uśmiechają się do mnie śliczne oczki czarnej jak żuczek Mucki, z drugiej jasna Dżema zagląda mi przez ramię i udaje, że rozumie, co piszę; dziewczynki te — to córeczka i siostrzenica p. Florinescu, żony inżyniera w Dorohoju, która mnie przygarnęła z ogromną życzliwością; jestem tu dobę a czuję się jak u najbliższych; karmią mnie i poją cztery razy dziennie, ścielą pościel całym domem, chodzą dokoła mnie na palcach"...

Gdym wchodził do domu po raz pierwszy, przywitała mnie p. Florinescu polskim frazesem; zapamiętała go jeszcze od swojej babki, z domu Uhrynowicz. W porozumiewaniu się z inteligencją nie miałem zresztą najmniejszego kłopotu, wszyscy mówili doskonale po francusku, zacząłem jednak brać lekcje rumuńskiego u czarnuszki Mucki.

Poza bardzo przyjemnym osobiście pobytem w Dorohoju, miałem tu, jako wojskowy, bardzo przykre wrażenia. Rumuni byli zupełnie nieprzygotowani do wojny, przypuszczali widocznie, że wezmą udział w farsie, a trafili na tragedję; w ciągu kilku tygodni stracono połowę armji. W społeczeństwie zapanowało poprostu przerażenie, wszyscy pragnęli pokoju a czuli jednocześnie, że jest on nie do osiągnięcia. Przypuszczałem, że na tym froncie wypadnie nam przejść na parę miesięcy do obrony, by zreorganizować armję rumuńską, uporządkować komunikacje i t. d. O Niemcach powtarzano wciąż wkółko: „Ce sont des diables, il n'y a rien à faire". Całą nadzieję skierowało społeczeństwo rumuńskie na armję rosyjską i jej technikę, zasadniczo tak słabą, ale posiłki rosyjskie wobec fa-

talnej komunikacji były jeszcze w drodze, a Niemcy napierali z niesłabnącą energją.

Jasne było więc, że czynne wystąpienie Rumunji, które miało zaskoczyć centralne mocarstwa i przechylić szalę zwycięstwa na stronę aljantów, zamieniło się, wskutek słabości rumuńskiej armji i niemieckiej energji, w nader dotkliwą niespodziankę dla Rosji, na której barki spadło nagle olbrzymie zadanie podtrzymania rozlatującego się wprost wojskowo państwa.

W oddanej Niemcom Wołoszy pozostawiono olbrzymie zapasy cukru, benzyny, nafty i zboża. Bukareszt został ewakuowany, bo „szkoda było narażać to śliczne miasto na niebezpieczeństwo bombardowania"; wszystkie te informacje otrzymałem od miejscowych notablów, zaproszonych *ex re* mego przyjazdu przez gościnnych gospodarzy.

Gazety w Rumunji przestały wychodzić, znalazłem się więc poza wypadkami świata walczącego. Nie wiedzieliśmy nawet co trzeba żądać w monecie rumuńskiej za ruble, musiałem więc naznaczyć własny kurs — dwa lei i sześćdziesiąt bani za rubla — no i brano, ale kto kogo naciągał — nie wiedziałem. Żydów tu dużo, wyłącznie kupców; miasto niebrzydkie, zabudowane przeważnie oddzielnemi willami w ogródkach.

Przyjezdny oficer rumuńskiego sztabu generalnego opowiadał mi, że wodzem naczelnym rumuńskiego frontu zostaje król Ferdynand, a jego zastępcą gen. Ewert; obecny wódz, gen. Iljescu, nie miał dobrej opinji, jako teoretyk bez praktyki polowej, sta-

nowisko swe zawdzięczał zaś protekcji premjera Bratianu, który swego brata uczynił ministrem wojny.

Raz jeden Rumuni rozbili Bawarczyków, ale gen. rumuński Bujko, dawny oficer austrjacki, nie wyzyskał sytuacji, godząc się na sześciogodzinny rozejm; skorzystali z niego Niemcy, by ściągnąć artylerję oraz posiłki, z pomocą których zaatakowano Rumunów przeważającemi siłami.

* * *

Uczucia dynastyczne nie były bardzo rozwinięte w społeczeństwie rumuńskiem: królowę lubiano, bo była dobrą kobietą, ale stale wymieniano na czele jej zalet piękność; król stał się popularny dopiero po ogłoszeniu wojny, poprzednio posądzano go o germanofilstwo, a Niemców tu nie znoszono.

Kiedy wyruszymy dalej, nie wiedziałem, wogóle wieści znikąd, czułem się zupełnie izolowany, musiałem polegać na własnym takcie i sprycie. 19-go grudnia, z powodu imienin cesarza, celebrował kler miejscowy w katedrze solenne nabożeństwo; asystowały władze miejscowe, byłem i ja; rytuał nabożeństwa zupełnie prawosławny, ale śpiewy brzmiały często inaczej, bardziej egzotycznie, wykonano wkońcu bardzo dobrze rosyjski hymn. Naturalnie, mówiłem po nabożeństwie miejscowym notablom różne przyjemne rzeczy. Pogoda była dobra, dość ciepło, kazałem więc orkiestrze wojskowej dać przed merostwem poobiedni koncert; całe miasto wyległo na bulwar, a na zakończenie wykonano hymny czterech mocarstw, co wywołało duże ożywienie.

Robiliśmy się potrochu „międzynarodowcami", oficerowie uczyli się nagwałt po rumuńsku, lub odkurzali, zapomniane od czasów szkolnych, frazesy francuskie; ja robiłem w języku miejscowym małe postępy, bo zbyt chętnie mówili tu wszyscy po francusku. Oryginalnie brzmi po rumuńsku nazwa ministerjum spraw wojskowych: „Ministerul dei Razboi" — to określenie udało im się.

Dla spokoju trzymałem dywizję po wsiach, bałem się ekstrawagancyj alkoholicznych; zapieczętowano tu wszelkie spirytualja, ale od czegoż są żydki. Ze świata zaczęliśmy otrzymywać nader szczupłe radjogramy za pośrednictwem mej stacji telegrafu iskrowego; miałem więc radjo rosyjskie, francuskie i niemieckie, wszystkie bardzo ogólnikowe; przestali tylko Niemcy chwalić się swemi zwycięstwami, zapewne akcja ich została zahamowana.

Było mi w rodzinie Florinescu coraz lepiej, wieczory spędzałem stale w kółku rodzinnem, jak inni domownicy, i obawiałem się trochę, czym tu nie znalazł swej Capui. Przed rozejściem się do snu przynoszono na tacy szklanki z wodą, słoik z konfiturami i dużo łyżeczek; każdy na poczekaniu wjeżdżał łyżeczką do konfitur, zjadał odrazu, ile nabrał, kładł łyżeczkę na tacy i zapijał wodą; ja wolałem robić sobie limonjadę, i odtąd przynoszono mi przygotowaną zgóry kombinację.

Jeździłem autem do Czerniowiec, 30 km. doskonałą szosą, z oficerami sztabu; mieliśmy załatwić sprawunki, głównie kupić większy zapas cukierków, które, wobec surowo przestrzeganej prohibicji, odcho-

dziły masowo (jeden kpt. Gonczarenko prosił o 20 funtów). Okazało się jednak, że w sklepach nie wolno było nic sprzedawać bez pozwolenia komendy wojskowej, ale uzyskanie pomogło nam niewiele; część sklepów była zamknięta, a w otwartych było prawie pusto, i cukierków brakło zupełnie. Handel był przeważnie żydowski, a ceny na wszystko horrendalne; obiad jedliśmy postny — zupa z fasoli, kotlety kartoflane na oleju i omlet, a na deser naleśniki, a kosztowało to po cztery i pół lei od osoby. Dziwiono się bardzo, że nie pijemy wina.

Samo miasto robiło wrażenie umierającego; większość inteligencji wyjechała do Austrji, ruch na ulicy robili wyłącznie oficerowie i nietyle siostry, co kuzynki miłosierdzia. Część niehandlowa miasta ładna, bulwary dobrze zadrzewione, dużo domów w ogrodach, musiało tu być ślicznie w letniej porze; zwracał uwagę olbrzymi gmach prawosławnego pałacu metropolitalnego, kosztowny, pstry i nieharmonijny.

Miałem oryginalną rozmowę z numerowym w hotelu; narzekał on, że dzieje się źle, gdyż Neron zmartwychwstał. Spytałem go więc, skąd wie o Neronie; z odpowiedzi dowiedziałem się, że posługacz uczył się w gimnazjum, ale nie chciał kończyć i zostać urzędnikiem źle płatnym, wolał obecne stanowisko, zarabiał do 20 kor. dziennie, mógł więc wyżywić pięcioro swoich dzieci, „a wiadomo, że bogaci mają dużo pieniędzy, a biedni zato dużo dzieci".

Złapałem w Czerniowcach trochę gazet i dowiedziałem się, że Niemcy wyrażali chęć zawarcia pokoju. Sprytnie sobie poczynali, proponowali stale różdż-

kę oliwną po jakiejś pomyślnej dla siebie operacji; można było wtedy targować się o lepsze warunki. „Nowoje Wremia“ przytoczyła wyjątki z niemieckiej propozycji pokojowej:

„Niemcy prowadzą obronną wojnę, walczą o realne zabezpieczenie swych granic, wolność swego narodu, pragnącego mieć możność swobodnego rozwoju kulturalnych i ekonomicznych sił kraju“...

„Ponura przyszłość oczekuje Europę w razie dalszej walki, Niemcy pełni są współczucia dla nieszczęść, które spadły na europejskie narody z powodu wojny, gotowe są zatem zwrócić światu pokój“...

I taki dokument ośmielił się Wilhelm wysłać do Ojca Świętego oraz do prezydenta Wilsona!

W Dorohoju przyjęto mnie, jak marnotrawnego syna, okrzykami radości i opowiadaniem wszystkich pań naraz o wypadkach, zaszłych w czasie mej nieobecności, chociaż właściwie nie zaszło nic ciekawego. Cieszyła się nawet guwernantka Mucki — Niemka z Drezna, której w pierwszych dniach mego pobytu dokuczałem, mówiąc często bardzo przykre dla jej narodowego uczucia rzeczy; czyniłem to jednak mimowoli, bo nie znałem narodowości panienki, gdym się jednak poinformował, przestałem naturalnie poruszać przy niej drażliwe tematy i kilka razy rozmawiałem z nią po niemiecku — przyjęła to z dużą wdzięcznością.

Zastałem również wieści z frontu; mieliśmy jechać do miasta Fokszani a dalej maszerować na Rymnik; dowódcą naszej armji został zupełnie mi nieznany gen. Ragoza. Rosyjskie wojska zajęły już prawie cały front, Rumuni, z wyjątkiem dwóch dywizyj, zostali

odsunięci na tyły. Podobno przy oddaniu Niemcom Bukaresztu pozostawiono tam sto siedemdziesiąt parowozów, co wpłynęło naturalnie nader ujemnie na transport rosyjskich posiłków.

Zaobserwowałem tu, że służba sanitarna w Rumunji była niezorganizowana, większość szpitali zaimprowizowano w domach prywatnych, nie przydzielając im ani stałego lekarza, ani felczerów lub sanitarjuszy; ogólną opiekę nad pacjentami wykonywały panie-amatorki, bez przygotowania, lekarz miejski wpadał tylko na krótko, lekarstw i środków opatrunkowych często brakło. P. Florinescu, kobieta chorowita, spędzała w szpitalu całe dnie, nie wracając nieraz na obiad.

Rząd nakazał obecnie spożycie mamałygi dwa razy tygodniowo zamiast chleba, pszenicę sprzedano zawczasu Niemcom, cukru też było brak, bo cukrownie były w niemieckich rękach, gdy więc ogłoszono wojnę, cukrownicy zlikwidowali interesa, wysadzili w powietrze maszyny i bezkarnie wyjechali.

Dało się zauważyć pomiędzy inteligencją rumuńską a ludem ogromną różnicę: pierwsza była bardzo kulturalna i zamożna, drugi — ciemny i biedny, a jego mieszkania to niesłychanie ciasne lepianki bez stajen i przeważnie bez jakichkolwiek budynków gospodarskich.

ROZDZIAŁ X.

24-go grudnia urządziła Mucka dla mnie i swej guwernantki choinkę. Rumuni, jako prawosławni, obchodzą Boże Narodzenie o trzynaście dni później.

Smutno mi było bardzo, bo od dwóch tygodni nie miałem żadnych wieści od rodziny, i zanosiło się jeszcze na dłuższą przerwę komunikacyjną. Nazajutrz spędziłem ostatni wieczór przed wyjazdem w licznem kole znajomych pp. Florinescu; była muzyka, ładnie śpiewała francuskie piosenki panna Demetrju, dziewczynki na ten wieczór pozostały z nami do końca, a Mucka, popłakując potrochu, obiecała do mnie pisać dwa razy tygodniowo. Z żalem pożegnałem gościnnych gospodarzy, pobyt u nich ogrzał mi dobrze wyziębione serce.

Autem dojechałem dwadzieścia km. do Buczeczu, gdzie nastąpiło nudne, powolne ładowanie. Dostałem pulmanowski wagon, pamiętający lepsze czasy, o pojedyńczych szybach, nieopalony. Pogoda była ładna ale zimna, puścić parę do kaloryferu obiecali dopiero na następnej stacji, oświetlenia nie było też; uratowały nas dwie gromnice kościelne, na dwa łokcie długie, które adjutantura gdzieś zdobyła.

Dość prędko dojechaliśmy do Vereseti, gdzie silny parowóz dał nam nareszcie pary; zrobiło się ciepło, nawet za bardzo, ale biedni żołnierze w towarowych wagonach bez ławek i piecyków marzli bardzo. Liczyliśmy na zamówiony w Paszkanach obiad, ale potrochu zaczął on tracić kształty realne, gdyż staliśmy w Vereseti kilkanaście godzin, ratując się herbatą i przekąskami. Z nudów obserwowałem pociągi, przychodzące z południa: były dobrze obsadzone, nawet na dachach, w paru towarowych wagonach, zajętych przez żołnierzy, zauważyłem, że potrafili oni sobie radzić w walce z zimnem, pozakładali wprost pośrodku

wagonu ogniska — później zdarzało mi się spotkać wagony z wypalonemi w podłodze dziurami. Staliśmy do nocy, przyniesiono nam nareszcie po dwie świece na wagon, nieco większe niż choinkowe...

Noc była bardzo pracowita — wagon oziębił się prędko, woda w garderobie zamarzła, wiało zewsząd, cały czas byłem zajęty okrywaniem się wszystkiem, com miał przy sobie, bez osiągnięcia jednak pożądanej ciepłoty, drzemka więc była licha, a pociąg przeważnie stał. Ocknąłem się nareszcie o wielkim dniu, srodze zziębnięty, i zapytałem, czy Paszkany już były, odpowiedź brzmiała—będą za kilka godzin, ujechaliśmy więc w ciągu doby czterdzieści km. Zapewne zjadł ktoś nasz wczorajszy obiad, a może dostaniemy go dzisiaj na kolację.

Znowu stanęliśmy na kilka godzin, zimno w wagonie było dotkliwe, wspominałem więc ze współczuciem przejścia Nansena, gdy zimował na ziemi Franciszka Józefa. Herbata podtrzymywała ciepło zwierzęce, na zimne mleko patrzałem z przerażeniem; wagon mieli ogrzać dopiero w Paszkanach. Gen. Dżanniejew chodził spuchnięty na twarzy, złapał już fluksję. Nareszcie zajechał jakiś pociąg z ogromną lokomotywą, posłałem więc parlamentarza do zawiadowcy z prośbą, by nam maszyna użyczyła pary; odmówił, bo tego nie przewidywały przepisy. Powtórna prośba, poparta przyjemnemi argumentami, poskutkowała jednak, lokomotywa zajechała i wkrótce lube ciepło wkroczyło do wagonu, okrywając parą okna. Minął nas tu pociąg z marszową komendą — jechali od trzech dni bez chleba i drugą dobę bez pożywienia, zabrakło im nareszcie cierpliwości,

zrobili więc na poprzedniej stacji, w osadzie kolejowej, generalny porządek z drobiem i kukurydzą miejscową. Jechaliśmy cały czas szeroką, błotnistą doliną rzeki Seretu, otoczoną z obydwóch brzegów wysokiemi, lekko zaśnieżonemi górami, pogoda była słoneczna, i zimno słabe. Pociąg stopniowo zaczynał się zaludniać nadetatowymi pasażerami na dachach wagonu, a jeden przemyślny Rumun usadowił się na przednim balkoniku lokomotywy — wiało mu naturalnie bardzo w twarz, ale zato grzało ztyłu. Po paru stacjach zniknęła miłosierna lokomotywa, a jej nieobecność wywołała znowu polarne nastroje.

Oficer, jadący z frontu do Rosji, opowiadał nam, że nie mieli oni poczty od trzech miesięcy — dziwny nieład, do organizacji komunikacji w tak małym kraju wystarczało chyba kilka tygodni.

W ciągu trzech dni nie otrzymaliśmy ani razu pożywienia na stacjach, a żyliśmy żywnością, którą przezornie kazałem wziąć na drogę. Gazet żadnych nie było, gdy więc na stacji Bakeu chłopak roznosił jakieś druki, rzucono się na nie, myśląc, że to komunikaty, ale były to wiersze! Jedynem źródłem nowin — jadące od południa pociągi, przepełnione nota bene przeważnie wojskowymi wewnątrz i zewnątrz, włącznie z buforami. Nowiny te miały jednak stale charakter bajczarski. Widzieliśmy również, ciągnące równolegle z torem kolejowym na północ, długie kolumny wojska rumuńskiego.

29-go grudnia dojechaliśmy nareszcie do Fokszan. Od czasu opuszczenia stanowisk pod Tarnopolem minął miesiąc. Wprost ze stacji pojechałem autem do

dowódcy korpusu; zastałem go w fatalnym nastroju, wywołanym panującym nieładem i nieprzygotowaniem rumuńskiej armji. Posiadała ona mało telefonów, stąd utrzymanie łączności było nader trudne; oficerowie nie znali taktyki walki tegoczesnej, oddziały opuszczały często stanowiska bez okazania silniejszego oporu; artylerja była niezła, ale nie posiadała zupełnie przyrządów optycznych, nie mogła zatem prowadzić obserwacji rezultatów strzelania. Władza wyższa zabroniła jakoby zajmowania stanowisk wpobliżu miast, by ich czasem nie zbombardowano. Z mojej dywizji dojechał dopiero pułk wileński i został natychmiast rzucony na front; trzymał się dzielnie. Reszta miała nadjechać w ciągu trzech dni, i wtedy wejdę w linję frontu.

Zamieszkałem u adwokata, miałem wrażenie, że w Rumunji co trzeci inteligent wykonywa ten zawód; otrzymałem dwa pokoje umeblowane z dużym komfortem, przerażało mnie tylko olbrzymie łóżko, obliczone chyba na całą rodzinę. Miasto ładne, dużo domów w ogrodach, początkowo było tu bardzo tanio, ale kupiectwo miejscowe zrozumiało szybko sytuację i wyśrubowało ceny; kursu pieniądza w żaden sposób nie dało się ustalić, wahał się on między 2,1 — do 3,2 lei za rubla.

By nie być zaskoczonym przez wypadki, badałem nazajutrz wszechstronnie sytuację wojenną, mówiłem ze sztabem i dowódcami pułków, oficerami rumuńskimi; wyniki były niepocieszające, nieład wywołał ogólne zdenerwowanie, wszyscy skarżyli się jeden na drugiego, ale na tem się i kończyło. Nikt

nie myślał, by naprawić zło, ciągle były nieprzyjemne niespodzianki i oglądanie się za pomocą skądciś. Ubiegła noc była na froncie poprostu krytyczna. Terscy kozacy na rekonesansie popili się i zameldowali niestworzone rzeczy, a że w nocy strach ma wielkie oczy, zrobił się bigosik, szczęściem, nieszkodliwy w skutkach.

Wieczorem był u mnie gospodarz, senator Chirculescu, prosząc o radę; Fokszany były zagrożone, miał on ochotę wyjechać, gdyż, jako znany antagonista Niemców, obawiał się represyj, nie chciał również narażać swej licznej rodziny na ewentualny głód, zwycięzcy odbierali wszędzie żywność; z drugiej strony, wyjazd za Seret chybiał celu, gdyż wschodnia część Rumunji przepełniona była zbiegami z Wołoszy, nie było gdzie mieszkać i nieraz przymierało się głodem, mając nawet pieniądze. Poradziłem senatorowi, by się z decyzją zanadto nie śpieszył, a w razie potrzeby wyjechał na Ukrainę zadnieprzańską, gdzie było tanio i przestronno.

Niemcy przez szpiegów rozpuścili pomiędzy żołnierzami rumuńskimi wieść, że w razie zwycięstwa mocarstw centralnych będzie żołnierzom nadawana ziemia kosztem obywateli; propaganda ta miała duży posłuch, a nikt z nią nie walczył. Już to Niemcy odeszli chyba najdalej od pojęć wojny rycerskiej, nie było takiego gałgaństwa, któremby się chętnie nie posługiwali.

31-go grudnia przeniosłem się do Pepeszti na front i wczuwałem się w rytm jego życia. Moi bili się tylko na lewem skrzydle, pułk wileński odebrał Niemcom

stanowiska, ustąpione przez Rumunów, ale kosztem śmierci kilku dobrych oficerów; między innymi zginął por. Zentenis, doskonały oficer. Pamiętam dobrze jego zimne, stalowe oczy i zaciętą wolę — przed paru miesiącami był ciężko kontuzjowany w moich oczach.

Widziałem zdaleka wysoko wzniesioną ponad polem, nieruchomą postać, galopującą na koniu; przyjrzałem się jej przez lornetę i poznałem znajomego z akademji: był to gen. Suworow z bronzu, postawiony na miejscu sławnej bitwy, wygranej przez Rosjan na Turkach pod Rymnikiem. Brak czasu nie pozwolił mi przyjrzeć się bliżej posągowi, dziwnym zbiegiem okoliczności będzie on zapewne za dni kilka przyglądał się bitwie swych rodaków, na ten raz z Niemcami — czy tylko ocaleje sam?

Nie widziałem nigdy w mem życiu tyle kruków i wron, chmury całe tego ponurego ptactwa żerowały po polach, ogłaszając swem ohydnem krakaniem triumf śmierci; zdobycz miały obfitą.

Apartament mój składał się z izdebki o zakratowanych okienkach (zapewne była tu poprzednio koza); podłoga ubita nienajgorzej z gliny, ściany zdobiła fantazyjna mozaika z brudu, w powietrzu czuć było jakiś zapaszek, do którego wypadnie się zresztą przyzwyczaić. Główna „treść“ pokoiku — piec miał charakter trochę za prędki, rozgrzewał się szybko, ale jeszcze szybciej tracił wigor. Naturalnie różniło się nieco me locum od salonów senatorskich, ale zawszeć miałem dach nad głową, nie moczył więc deszcz, było mi mniej więcej ciepło i nie dokuczał wiatr, a właśnie po polach dęła zawierucha mokrym śniegiem.

Przez cały dzień dzwoniły mi szyby. Rumuni wysadzali w powietrze forty warownego obozu fokszańskiego, przygotowane starannie przez zmarłego króla Karola przeciwko Rosji; w razie odwrotu na wschód mogłyby one okazać się dla nas szkodliwemi przy kontrofensywie.

Sporo kłopotu dostarczało nam pijaństwo, szerzące się wśród wojska. Kraj obfitował w winogrona, znajdowały się więc w każdej wiosce olbrzymie kadzie, pełne czerwonego wina. Niepodobna było upilnować żołnierzy, by się do niego nie dorwali; upijali się więc wciąż aż do utraty przytomności, były nawet wypadki utonięcia pijanych w kadziach. Kazałem zatem bezwzględnie niszczyć wino, przebijając z kulomiotów kadzie, a wytryskujące z nich strumienie zarzucało się nawozem; często nie pomagało i to, amatorzy kładli się przy czerwonych kałużach i żłopali zanieczyszczoną ciecz. Wina wylewało się tak dużo, że powietrze przesycone było jego zapachem. Wczoraj popili się żołnierze rumuńscy wraz z chłopami, a że byli głodni, co im się zresztą stale przytrafiało, zrabowali ostatni magazyn rumuński, z którego miałem dostać dziesięć tysięcy bochenków chleba, i w rezultacie zaczęło go nam braknąć.

Pomnika Suworowa nie zobaczyłem zbliska, znalazł się on wkrótce w „no men land'zie". Doszedł nas dzisiaj rozkaz cesarza do armji, w którym znalazłem wielkie dla nas słowa — „Wolna Polska"... Szkoda, że wypowiedziano je tak późno, już po ogłoszeniu przez centralne mocarstwa aktu o niepodległości Polski; w każdym razie przypisywałem temu wypowie-

dzeniu się cesarza olbrzymie znaczenie: idea naszej wolności została uznana za jeden z dwóch celów wojennych Rosji (domagała się ona również Konstantynopola). Sądziłem, że deklaracja ta została ogłoszona w porozumieniu z sojusznikami; jakie wrażenie wywołała ona na szerokiem świecie, nie wiedziałem, gdyż żyliśmy wciąż poza nim.

Poznałem sąsiada, rumuńskiego generała Argilescu, wybitnego oficera bojowego, o silnym charakterze; mówiono mi, że potrafił on strzelać w łeb tchórzom. Bardzo bolał generał nad stanem rumuńskiej armji, pracował na swem stanowisku z zaparciem, ale rady dać nie mógł i już zachorował z przemęczenia. Zrozumieć nie mogłem, czemu zupełny brak przygotowania Rumunji i jej armji do wojny był dla aljantów, a szczególniej dla Rosji, taką niespodzianką; przecie posiadały tam państwa attachés wojskowych, którzy obowiązani byli studjować armję rumuńską oficjalnie i poufnie, przy pomocy wywiadu dobrze opłacanego; widocznie nie robiono pod tym względem w ciągu szeregu lat nic a nic, a obciążało to ciężko nietylko ostatnich kilku attachés, ale i sztaby generalne, obowiązane do kierownictwa i kontroli działalności wywiadu.

31-go grudnia było mi naturalnie smutno, starałem się o ile możności nie myśleć o przeszłych miłych uciechach Sylwestrowych. Wieczorem nadszedł telegram, nakazujący natychmiastowy odwrót — Rumuni załamali się znowu gdzieś w górach. Poczęły więc pracować ołówki i telefony, a nad ranem znalazłem się znowu w mym komfortowym apartamencie

w Fokszanach; nocny marsz wśród deszczu i błota ciężki był dla żołnierzy, zajęliśmy nasze stanowisko dopiero rano, ale na odpoczynek nie było czasu, gdyż wypadło natychmiast okopać się.

Zbliżenie dywizji do miasta wywołało w niem przerażenie, jeszcze pozawczoraj żyło ono życiem gorączkowem, gwarnem, a dzisiaj zamarło prawie; sklepy zamknięto i zabarykadowano, na ulicach znikli prawie cywilni przechodnie, tylko jezdnie były zapchane ciągnącemi bez końca taborami.

Rano zameldowała się u mnie delegacja notablów ze skargą, że moja artylerja ustawia baterje w granicach miasta, co mu zagraża bombardowaniem, a tymczasem władze rumuńskie zapewniły ich, że Fokszani nie będzie bombardowane; odpowiedziałem im na to, że nie mam zamiaru bombardować miasta, nie posiadam jednak żadnego wpływu na zamierzenia Niemców, bitwę zaś przyjmę tam, gdzie mi to nakazuje racja wojenna, która naturalnie stoi o wiele wyżej niż bezpieczeństwo mieszkańców; na zakończenie posłuchania wyraziłem zdziwienie, że prefekt pozwolił sobie dawać ludności nieziszczalne obietnice.

Moja stanowcza odprawa wywarła na delegatów deprymujące wrażenie. Tegoż dnia dużo osób wyjechało, a w mieście zaczęto śpiesznie przygotowywać piwnice do ukrycia się, wieszano tam nawet obrazy święte, z zapalonemi przed niemi lampkami; władze miejscowe wyniosły się również szybko, uciekła nawet tak potrzebna dla gaszenia nieuchronnych pożarów straż ogniowa, składająca się nota bene z rezerwowych żołnierzy, został tylko jej szef, który przy-

szedł do mnie z prośbą o radę; zameldowały się również cztery rumuńskie siostry miłosierdzia, porzucone przez jakiś lazaret, wreszcie przybiegli jacyś mieszkańcy, których ktoś ograbił. Niebardzo rozumiałem, dlaczego miałem się w mieście rozporządzać, skoro tu był dowódca korpusu i sztab 34-ej dywizji, z dowódcą starszym ode mnie w szarży, ale na refleksje nie było czasu, wysłałem więc patrole z rozkazem tępienia na miejscu zbrodni wszelakich maruderów, obszedłem dla kontroli parę dzielnic. Miasto wymierało coraz bardziej, wszędzie wyczuwała się trwoga i przerażenie wobec zbliżających się, tragicznych wypadków; tylko dzieci nie zwracały na nic uwagi i dokazywały ze śmiechem po ogródkach.

Dzień 2-gi stycznia spędziłem na froncie, kierując robotami przy umocnieniu stanowisk na terenie niewdzięcznym, nizinnym; ułatwiła nam pracę gęsta mgła, dzięki której pracowaliśmy cały dzień. Zaprezentowano mi rumuńskiego chłopa z wioski przyfrontowej, który w oczekiwaniu Niemców zawiesił na swej chacie białą flagę; dostał za swoją przezorność trzydzieści batów. Wylewanie wina trwało.

W mieście cała ludność w oczekiwaniu bombardowania siedziała przez ostrożność po piwnicach, chociaż ani jednego wystrzału do Fokszan jeszcze nie było. Gospodarz domu, w którym mieścił się nasz klub, załatwił kwestję bezpieczeństwa w sposób pomysłowy: dzisiaj rano znaleziono na stole list, w którym mężny obywatel prosił o opiekę nad domem, gdyż zmuszony jest wyjechać nagle z całą rodziną; wyjechał zaś — do własnej piwnicy w tym samym domu, gdzie się szczelnie zabarykadował.

Wieczorem był u mnie mer miasta ze skargą, że mu zrabowano młyn; pan ten od chwili, gdy się dowiedział, że miastu ewentualnie grozi niebezpieczeństwo, znikł na dwie doby prawie i pewnie siedział gdzieś w piwnicy. Pretensję jego potraktowałem odpowiednio i kazałem tchórzowi wynosić się, zaznaczając, że mnie bardzo cieszy jego strata. Porządek w mieście utrzymywałem z trudnością, gdyż wszystkie władze były nieczynne, a mętów nie brakowało; załatwiało się z nimi na miejscu przestępstwa, nie było bowiem czasu na zaludnianie więzień.

3-go stycznia zaatakował przeciwnik stanowisko 34-ej dywizji, ale został odparty; u mnie dotychczas panowała cisza, nasze vis à vis — Bawarczycy i Austrjacy. Dwa pułki moje jeszcze nie nadjechały, przybyło tylko sporo artylerji — jedenaście bateryj.

Niepokoiło mnie stale prawe skrzydło. Miałem tam Rumunów, jeździłem przyjrzeć się ich stanowisku i wróciłem pod przykrem wrażeniem: braki organizacji i wyszkolenia były nazbyt jawne, artylerja strzelała na ślepo, a dowódcy bateryj nie posiadali nawet punktów obserwacyjnych, intendentura była marna, żołnierze stale przymierali głodem.

Walka z alkoholem trwała; jak na złość, stałem w centrum produkcji wina. Codziennie wylewało się do rowów tysiące litrów, a w piwnicach stało wypuszczone wino nieraz na cztery stopy wysoko; najbardziej upijali się kozacy.

Okopaliśmy się wcale dobrze, mieliśmy moc armat, wątpiłem więc, czy nas potrafią stąd wykurzyć, o ile naturalnie który z sąsiadów się nie za-

łamie. Pogoda była przeważnie mglista i zgniła, dogadzało mi to jednak ze względu na przejrzystość terenu; gdy się zdarzył jasny dzień, odczuwały go zaraz moje baterje, których nie udało się dobrze zamaskować. Straty nie były jednak duże, przykro tylko dotknęła mnie śmierć podoficera artylerji, Wołkowa, ochotnika, liczącego siedemdziesiąt lat.

Z naszej „popotte'y" mieliśmy mało pociechy, miasto i okolica były ogłodzone, stąd menu składało się stale z kotletów, a urozmaicało się tylko formę. Bardzo się nam przysłużyli Anglicy, którzy skupili w tym rejonie wszystkie zapasy zboża i obecnie w przewidywaniu dalszego odwrotu jeździli po wsiach i palili wszystko, a ja sprzeciwić się nie mogłem, bo mieli upoważnienie.

Pułki potrochu ciągnęły od północy, jechały koleją i szły równolegle szosą; marsz ten miał tę wadę, że w pewnym rejonie drogi zbliżały się bardzo do frontu, obsadzonego przez tak łatwo załamujących się Rumunów. Śledziłem więc z cyrklem w ręce ruchy moich oddziałów nadchodzących, a ostatnie dwa marsze kazałem wykonać forsownie, by wyciągnąć jak najprędzej z niebezpiecznej strefy tabory, udało mi się to wreszcie.

6-go stycznia rankiem natarli na mnie Niemcy, być może demonstracyjnie, gdyż cofnęli się prędko pod moim ogniem artyleryjskim, ale o zmroku zaczęły gwałtownie dzwonić telefony. Rumuni znowu zostali przerwani i oddali piękne, górzyste stanowisko. Zagroziło to memu prawemu skrzydłu, rzuciłem więc w tym kierunku jeden pułk i zażegnałem doraźnie

niebezpieczeństwo, ale jeszcze jedna taka niespodzianka, a będę musiał się cofnąć, bo przeciwnik mógł mnie przycisnąć do Seretu na odcinku, gdzie nie było zupełnie mostów.

7-go stycznia rozhulała się od świtu gęsta zadymka; skorzystali z niej Niemcy, i po krótkim ogniu huraganowym uderzyli o 8-ej rano na sąsiadów — Rumunów. Zabezpieczyłem się z tej strony, urządzając za prawem skrzydłem stanowisko zapasowe, obsadzone przez pułk białostocki. Przewidywania moje sprawdziły się — Rumuni uciekali z frontu tłumami, a część ich pobiegła przez nasze okopy, wszczynając w nich zamęt i popłoch; do uciekających przyłączyły się dwie moje kompanje a za niemi pobiegli na ochotnika żołnierze z najbliższych odcinków; telefony umilkły, szalała zamieć śnieżna, kierownictwo stało się niemożliwe. Niemcy, oślepieni śniegiem, nie zauważyli jednak paniki i nacierali ostrożnie, udało mi się więc wstrzymać ich napór drugim pułkiem rezerwy, ale do wieczora nie mogłem zebrać pułku białostockiego; rozlazł się i rozbiegł po równinie, niewiadomo było również, gdzie przebywał dowódca pułku, Morozow.

W związku z ogólną rejteradą Rumunów, musiałem cofnąć front o piętnaście kilometrów na Mareszeszti, pozostawiając Fokszani własnemu losowi; wymarsz naznaczyłem wieczorem, policja moja miała wychodzić ostatnia, goniąc przed sobą maruderów, a miejscowa milicja, którą kazałem zorganizować w ostatnich godzinach, obejmowała natychmiast posterunki.

Żegnany z płaczem przez mych gospodarzy, siadłem przed północą na konia i odjeżdżałem z tylną

strażą. Widok miasta był przejmujący, jakby wymarło ono — martwem światłem oświetlały lampy elektryczne wyludnione ulice, a za zamkniętemi okiennicami wyczuwało się trwogę ukrytych po domach mieszkańców. Zadymka uspokoiła się, noc była jasna, pola zasłane śniegiem, widno było, jak w biały dzień; dokoła paliły się składy i fabryki, podpalone przez Anglików. Wyjeżdżając w pole otwarte, usłyszałem kilka wybuchów: saperzy wysadzali w powietrze stację kolejową i mosty. Ciężko było mi wydać rozkazy niszczenia przedmiotów kultury, ale w pewnych granicach musiałem to czynić.

Koło godziny 2-iej w nocy zajechaliśmy przed jakiś pałac, rzęsiście oświetlony; w hallu przywitał mnie przedstawiciel nieobecnego gospodarza, noszącego „geograficzne" nazwisko Negropontesa, i zaprosił na kolację. Z uczuciem dużego fizycznego zadowolenia usiadłem w pięknym pokoju stołowym do elegancko zastawionej uczty; cały dom zresztą urządzony był z wielkim, ale spokojnym komfortem. Zamieszkałem w dziecinnym pokoju, miałem łazienkę, centralne ogrzewanie, elektryczność, stylowe meble, fortepian, piękne obrazy. Gospodarz wyjechał przed kilku godzinami, opuszczał on wskutek zawieruchy wojennej już siódmy majątek; widocznie posiadał głębokie „tyły".

ROZDZIAŁ XI.

Zająłem stanowisko na rozległej równinie za rz. Putną, opierając lewe skrzydło o rz. Seret, na prawem miałem — Rumunów.

W Mareszeszti zastałem chaos i grabież; pijane żołnierstwo rosyjsko-rumuńskie, podniecone alkoholem, bawiło się bez żenady, kilku utopiło się znowu w kadziach z winem, a władze rumuńskie były nieobecne. Środkami silnie działającemi uspokoiłem szybko miasteczko. Znowu popłynęło wino rowami — u Negropontesa wypadło zniszczyć 27 olbrzymich kadzi tej cieczy; uformowały one stawek czerwony, który kazałem zawalić gnojem, oprócz tego postawiłem na kilka dni wartę.

Stacja kolejowa była w rozpaczliwym stanie, zgromadziło się tu 1500 wagonów, naładowanych żywnością, suknem, płótnem, skórami, amunicją i t. d.; cały ten olbrzymi majątek miał być zniszczony, gdyż sąsiednie stacje, zapchane pociągami, nie mogły go przyjąć. W tym celu zameldowali się u mnie dwaj Anglicy — pułkownik i kapitan. Pragnąc uratować, co się da, prosiłem ich, by poczekali do wieczora, gdyż zająłem dobre stanowisko i pragnę uratować trochę zapasów; zgodzili się na to po pewnem wahaniu. Kazałem więc wyładować z wagonów z największym pośpiechem najbardziej cenny materjał sanitarny i gospodarczy, jednocześnie zaś poleciłem sprawdzić, czy nie da się przesunąć części wagonów za Seret, gdzie było kilka kilometrów wolnego toru.

Wieczorem wypadło znowu przekonywać Anglików, by poczekali do następnego ranka, gdyż na froncie panował absolutny spokój; tym razem upierali się przy „auto da fe“ dłużej, ale ostatecznie odjechali. Tymczasem znalazł się energiczny kolejowiec, Rumun, który przy pomocy moich saperów zorganizował przez

noc ewakuację wagonów za rzekę, i o wschodzie słońca wywieziono już 300 wagonów. Gdy więc rano Anglicy przyszli ponownie, pokazałem im na stacji organizację pracy i jej rezultaty; milcząc, obeszli cały rejon, zanotowali kalkulację wywozu, odsalutowali i znikli. Po dwóch dobach natężonego wysiłku było wszystko za Seretem.

Ocalone zapasy należały do Rumunów, którzy, mając tak blisko ogromne zapasy żywności, wystarczające na miesiąc dla korpusu, nie zaopatrywali jednocześnie dostatecznie swej armji.

Widziałem na stacji ilustrację przysłowia: „Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta". Dwóch żołnierzy pobiło się o sztukę sukna z rozbitego wagonu, każdy szarpał ją od swego końca, porwali się nareszcie za łby. Przyglądał się temu kozak a w odpowiedniej chwili nachylił się z konia, porwał sukno, i umknął; dodatkowe „wały" otrzymali pozostali na placu ode mnie.

* * *

Dochodzenie w sprawie paniki w pułku białostockim poruczyłem gen. Dżenniejewowi, narazie usunąłem ze stanowiska dowódcę pułku, Morozowa, który okazał się głównym winowajcą; był on chory na astmę i w ciągu krytycznej doby nie pokazał się w pułku, nie uprzedzając nawet swego zastępcy. Nie bez winy byli również oficerowie, to też pójdą wszyscy pod sąd i będą zapewne rozstrzelani; tej samej karze należy dla przykładu poddać po kilku dezerterów z każdej kompanji. Węzła rozplątać nie było łatwo,

plątano go umyślnie, ale kara sroga być musi. Syczewskij ogromnie był zgnębiony całym wypadkiem, nie robił mi jednak żadnych wymówek.

Front nasz widocznie ustalał się na zajętej obecnie linji; od Seretu prowadziła ona przez równinę rz. Putny na północo-zachód w góry. Miałem nowego dowódcę pułku litewskiego, Lisycyna; wrażenie robił dobre, ale nie miał zupełnie doświadczenia bojowego, całą kampanję przesiedział w sztabie armji. Opowiadał mi on, że pomocnik nowego wodza, Sacharow, bardzo spochmurniał, ciężko mu było pracować z królem, który radził się parlamentu w sprawie każdego drobiazgu.

„Okazja" przywiozła mi miłą wiadomość; Rasputin został zabity przez ks. Jussupowa; łotra wciągnięto w zasadzkę, przygotowaną przez ośmiu sprzysiężonych arystokratów. Nie przypuszczałem, by Jussupow, który robił na mnie wrażenie człowieka delikatnego a nawet zniewieściałego, był zdolny do czynu bądź co bądź niepowszedniego; żoną jego była w. księżniczka Irena. Ciekaw byłem, czy go pociągną do odpowiedzialności; cesarzowa zapewne rozpaczała, a p. minister Protopopow umierał ze strachu.

W połowie stycznia ustaliła się nareszcie poczta, otrzymałem taką moc zaległych gazet, że ich czytać już nie mogłem. Pogodę mieliśmy przedwiosenną, było nawet pięć dni prawie wiosennych, poza tem mgła i wilgoć; błoto nie miało tu gdzie ściekać, bo równina dokoła jak stół. Chodzić do okopów było bardzo ciężko, a musiałem być codziennie na froncie, gdyż bez nacisku nie było należytej pracy.

Stosunek mój z gen. Syczewskim był dobry, ale żadnego oparcia w nim nie miałem; „pryncypał“ mój był wrażliwy jak mimoza, martwił się o lada co, często słyszałem od szefa jego sztabu: „Bardzo prosimy pana spełnić życzenie (!) dowódcy kopusu, bo inaczej będzie się bardzo martwił...“

Niemcy na froncie siedzieli cicho. Zdaje się, że w Rumunji doszli już do kresu, a zwrócą zapewne z nastaniem wiosny cały impet na Saloniki. Miałem czas na zajmowanie się sprawami wewnętrznemi i zrobiłem nareszcie porządek z pieniędzmi rumuńskiemi, których kurs był wciąż nieustalony, na czem naturalnie robili interesy detaliści, oszukując nas stale; kazałem więc doraźnie wybatożyć kilku kramarzy, i poskutkowało to doskonale.

* * *

Pułk. Morozow nie chciał czekać na sąd, któryby go bezwzględnie skazał, i zastrzelił się. Żałowałem go jako człowieka.

* * *

19-go stycznia wróciła zima i wzięła się do nas ostro, mieliśmy 9 st. mrozu, wiatr i zadymkę. Mnie w pałacu było ciepło, kaloryfery grzały doskonale, ale żołnierze w słabo zabezpieczonych schronach marzli tem bardziej, że w okolicy zupełnie nie było lasów. Sprowadzałem więc drzewo dla ogrzania biedaków zdaleka. Dziwnie się wydawało, przy ogólnym prymitywnym sposobie życia na wsi, że istniały tu w niektórych osiedlach wodociągi, nie było jednak w nich

stale wody; gdy jednak z pewnej wsi wyszedł mój bataljon, woda znalazła się natychmiast, widocznie nie chciano jej dawać sprzymierzeńcom. Posłałem tam pluton kozaków z nahajami, które odegrały rolę różdżki Mojżesza: woda wytrysła wszędzie. Zwróciłem uwagę, że każda chata na wsi posiadała w oknach kraty — zapewne musiało tu być dużo amatorów cudzej chudoby.

Armja rumuńska została wycofana całkowicie na tyły i miała być reorganizowana przez Francuzów. Bałem się, że wypadnie to robić nam, a posiadałem w szeregach zbyt mało wartościowych oficerów, bym się bez nich mógł przez dłuższy czas obyć; na szczęście, sprawa się rozbiła z powodu nieznajomości wśród rosyjskich oficerów francuskiego języka.

Hrabina wciąż chorowała w Jałcie, a bez niej Czerwony Krzyż mój zaczynał być wesoły. Rozegrał się w nim „un drame passionel": Julietta — z najlepszego towarzystwa, trochę doletnia, Romeo — urzędnik, posiadający żonę i dwoje dzieci. Pojawia się projekt rozwodu, następują zaręczyny, ale amor czuwa wciąż i wypuszcza na scenę rywala, dzielnego kapitana artylerji. Wywiązuje się konflikt, rywal zwycięża, a zrozpaczony Romeo idzie na lotnika, w myśl znanej anegdoty rosyjskiej: „Od dobrego życia nie polecisz"... — Sprawdzało się wciąż moje zdanie, że młode kobiety na froncie są elementem szkodliwym, wnoszącym niepokój i zamęt.

Co noc łapaliśmy jeńców; naturalnie, póki się nie wzięło jednego, który potrzebny był do wyśpiewywania „arjety" sytuacyjnej, tłukło się dodatkowo kilkunastu. Mieliśmy przeciwko sobie mieszaninę, zło-

żoną z Bawarczyków, Wirtemberczyków i Austrjaków. Dowódca armji ogłosił mi w rozkazie ciepłe podziękowanie za wzorową służbę wywiadowczą „sławnej dywizji", która pierwsza stwierdza stale na naszym froncie ukazanie się każdego pułku nieprzyjacielskiego. Konstatowałem jednak z przykrością, że Niemcy wyglądali wciąż dobrze, byli syci, dostatnio ubrani i pełni animuszu; często z kilku jeńców dochodził do naszych okopów tylko jeden, resztę wybijano, bo nie chcieli iść.

Przeciwnik zachowywał się wciąż biernie, a położenie dywizji polepszyło się, gdyż skrócono mi front od strony prawego skrzydła. Ja zostałem w Mareszeszti, co mi bardzo dogadzało, gdyż tak wygodnego locum gdzie indziej nie dostałbym. Śniegi spadły ogromne, było kopno, mróz doszedł 5 stopni. Bawił u mnie mój gospodarz, Negropontes, młody jeszcze, doskonale wychowany dżentelman - sportowiec, posiadający ładną stajnię wyścigową; dziękował mi ogromnie za staranną opiekę nad pałacem i w dowód wdzięczności ofiarował dwanaście humorystycznych grawjur angielskich, wiszących w hallu, które nieostrożnie pochwaliłem.

Mieliśmy w armji cholerę, wyniki śmiertelne były dość częste, ale walczyliśmy z epidemją skutecznie; jako środek profilaktyczny używaliśmy wina czerwonego, którego mimo mej niszczycielskiej roboty było wciąż za dużo. Po przestudjowaniu sprawy pułku białostockiego, przekonałem się, że więcej tam było niedołęstwa, niż tchórzostwa, przychyliłem się więc do życzenia dowódcy korpusu i złagodziłem kary —

nikt nie został na śmierć skazany, a główny winowajca, Morozow, sam sobie wymierzył sprawiedliwość.

Przeczytałem, że w Warszawie rządy dostały się w ręce radykałów: Piłsudskiego i Sikorskiego, i socjalistów.

ROZDZIAŁ XII.

W początku lutego przekrojono raz jeszcze front, co zmusiło mnie do zmiany rezydencji, przeniosłem się więc o dwa kilometry bliżej okopów, do cukrowni; miałem duży pokój, ciepły i widny, ale meble były chwilowo nieobecne, Pietrek pogubił bowiem gdzieś moje dawne umeblowanie. Zato widziałem z okna zachody słoneczne i dal.

Rumunów nie czuliśmy prawie, nie widać było administracji, nie było żadnych organizacyj społecznych, raził ogromny kontrast pomiędzy dobrobytem obywateli ziemskich, posiadających gros ziemi, a ogólną nędzą ludu; zaczynał on przymierać głodem, kazałem więc oddziałom karmić wszystkich, co się do kuchni żołnierskich zgłaszali, przychodzili jednak mało i wymierali potrochu z wycieńczenia.

Dochodziły mnie często wieści o bezwzględnem zachowaniu się niektórych oddziałów rosyjskich, szczególniej jazdy, w stosunku do wieśniaków; zachowywały się one, jak w kraju zawojowanym, odbierały nieraz ostatni zapas siana, przygotowany dla wołów na zimę; innym razem znowu żołnierze zaszlachtowa-

li świnię w salonie na dywanie; znalazł się nawet oficer, który po pijanemu czepiał się rumuńskiej dziewczyny, a gdy w jej obronie wystąpił ojciec, łotr zastrzelił go. Sąd skazał zbrodniarza na karę śmierci, ale niewiadomo, czy wyrok będzie wykonany, bo chłopaczek był nieletni. U siebie karałem wszelkie nadużycia poprostu okrutnie, miałem więc zupełnie poprawne stosunki, raz jeden tylko mieliśmy pewne starcie z popem-germanofilem, ale i w tym wypadku wina ciążyła na nim, a w dodatku okazał się łgarzem i tchórzem. *Ex re* nudużyć wojska wydał Sacharow surowy ale słuszny rozkaz, swoją drogą jednak współpraca z rządzącemi sferami rumuńskiemi była ciężka, gdyż przy doskonałych europejskich formach nie dotrzymywały one często danych obietnic.

Odwiedził dywizję w. ks. Jerzy, a z nim razem spadł deszcz orderów na żołnierzy. Przez trzy godziny rozdawał książę krzyże z ogromną wprawą; miał on rzeczywiście ogromną praktykę, gdyż czynił to po raz osiemdziesiąty. Dla zabezpieczenia spokojnego przebiegu uroczystości, postawiłem wpobliżu baterję przeciwlotniczą, a nad polem latały przez cały czas dwa aeroplany; wkońcu jeden z nich zaczął przewracać kozły, co było tak denerwujące, że książę odszedł szybko, obawiając się katastrofy.

Od gościa mego dowiedziałem się, że Stany Zjednoczone zerwały stosunki dyplomatyczne z Niemcami; była to nadzwyczaj pomyślna nowina — jeżeli Ameryka stanęła po naszej stronie, ustanie przedewszystkiem kontrabanda via Holandja i Danja, a wtedy „Michałek" prędzej schudnie. Na tem się jednak chyba

nie skończy — będzie na pewno przysłany silniejszy amerykański korpus ekspedycyjny.

11-go lutego zdezertowało do nas dwóch żołnierzy 333-ego pruskiego pułku piechoty; byli to ślusarze z fabryki Dietla w Sosnowcu, Polacy, poddani rosyjscy, których wzięto do niemieckiego wojska przemocą. Nie czekali więc Prusacy na fikcyjne ogłoszenie Królestwa i zaczęli wcielać gwałtem do swej armji naszą młodzież; z Sosnowca wzięto do stu chłopów i wcielono po kilku do różnych pułków, przeważnie na front francuski. Pokazywali mi również jeńcy fotografję czterech polskich robotnic z Suwalszczyzny w ubraniu męskiem; wzięto je przemocą do prac w Niemczech.

Sprawa żywnościowa przedstawiała się u nich nietęgo, żołnierz otrzymywał dziennie sto gr. mięsa, sto pięćdziesiąt gr. chleba, zupę z fasoli lub kukurydzy i kawę z pszenicy, kartofli nie dawano oddawna, to też z głodu bito psy i wrony. Wczoraj, gdy u nas w okopach grała muzyka, przysłuchiwali się jej i Niemcy, nareszcie dowódca kompanji, Ślązak, splunął i rzekł z oburzeniem: „Tam jedzą, piją, gra im muzyka, a u nas... do piekła z taką wojną"!

Pogodę mieliśmy śliczną, temperatura na słońcu dochodziła do 12 st. ciepła, a w cieniu mieliśmy 6 st. mrozu, sanna jednak była jeszcze. Wczoraj, wracając wieczorem z frontu, wlazłem w takie śniegi, że wypadło społem wyciągać sanki z zasp. Awansowano wreszcie na generała mego szefa sztabu, Niepienina, pozbędę się zatem tego niedołęgi; oryginalne było, że, pomimo swej szarży i stanowiska, nie posiadał

on ani jednego orderu z mieczami, który oficerom sztabu generalnego nadawano z największą łatwością. Nie przedstawiłem go również do nagrody bojowej i ja, bo nie było do czego się przyczepić.

Dowóz z Rosji był tak marny, że musiałem założyć własną garbarnię i warsztaty szewckie, by żołnierze nie chodzili boso; sprawa z bielizną była trudniejsza, gdyby hrabina była przy dywizji, potrafiłaby sforsować dowóz.

W połowie lutego robił przegląd pułku litewskiego dowódca armji, gen. Ragoza; pułk, świeżo ściągnięty z okopów, przedstawił się fatalnie, żołnierze wyglądali i ruszali się jak jaskiniowce. Wymagania generał postawił oryginalne, ale zupełnie celowe, dawno już nie doznałem tak miłego wrażenia, jak na tym przeglądzie. Powierzchowność Ragozy była surowa, brwi nawisły nad oczyma, a jednocześnie zachowanie cechowała nadzwyczajna wyrozumiałość, prostota i cierpliwość. Żegnając się, prosił, bym wskazówki jego przyjął do wykonania; odpowiedziałem z zupełną pewnością siebie, że następny przegląd wypadnie ściśle według otrzymanych zleceń. Na to Ragoza uścisnął mnie mocno za rękę, mówiąc: „Ogromnie pragnę, by u pana i ta strona wyszkolenia była w tak dobrym porządku, jak wszystko, co o dywizji wiem".

Przysłano mi poufny komunikat o nastrojach wojennych Rumunji, z którego przytaczam bardziej soczyste wyjątki:

„W armji rumuńskiej wszyscy pragną pokoju za jaką bądź cenę. Żołnierze głodni, obdarci, żebrzą po ulicach. Gen. Dambire podał projekt, by cofnąć rozpo-

rządzenie o rewizji ulgowych, wywołane tem, że większość ludzi zamożnych uchyliła się od służby przy pomocy pieniędzy. Ministerjum wojny — to stek łapowników, zastępca ministra, Burgeli, zajęty jest wyłącznie niebezinteresownem uwalnianiem od służby wojskowej... O ileby została ogłoszona ewakuacja Jass, całe ministerjum ukryje się i zostanie. Rada wojenna postanowiła, w razie konieczności odejścia za Prut w granice Rosji, pozwolić na to jedynie drobnej części wojska i niektórym urzędom państwowym, większość zaś armji ma pod różnemi pozorami zostać i poddać się Niemcom...

„Nastrój w kołach politycznych przybity, opozycja a nawet nienawiść do rządu wzrastają; zwolennicy Bratianu rozgłaszają, że premjer pocichu utrzymuje kontakt z Margilomanem, który pozostał w Bukareszcie..." (Innemi słowy, chcąc wzmocnić jego położenie polityczne, pomawiają go o zdradę stanu!)

„Ludność w Tekuczu i Galaczu zachowuje się względem Rosjan nadzwyczaj wrogo i mówi otwarcie o tem, że czeka z niecierpliwością na przyjście Niemców; szczególnie wrogi jest stosunek kolejowców, od których można oczekiwać różnych niegodziwości..."

Opis ten był naturalnie jednostronny, ale uwydatniał jaskrawo tarcia pomiędzy sojusznikami na froncie rumuńskim. Ja, poza paroma drobnemi wypadkami, nie miałem powodów do niezadowolenia z zachowania się ludności, miałem nawet dla niej dużo współczucia — głód szerzył się w masach coraz bardziej; bałem się, że na wiosnę, wobec braku jarzyn i kwasów roślinnych, pojawi się szkorbut. My również

upraszczaliśmy sobie coraz bardziej menu sztabowe; tłuszczów było mało, kapusty brak zupełnie, kartofle i buraki były na schyłku, zostały nam tylko kukurydza i fasola, a na deser marzenia o innych specjałach, które nie chciały nadejść. A jednak nie można było Rumunji pozostawić jej losowi, w końcu maja mieli mieć dużo zboża do sprzedania, nie powinni go więc byli dostać Niemcy.

Otrzymałem z góry podziękowanie za szybkie zwalczanie epidemji tyfusu, który począł się szerzyć w armji. 34-ej dywizji wytknięto wielką różnicę, na jej niekorzyść, w stanie sanitarnym. Ocena ta została przyjęta przez sztab korpusu nader nieprzychylnie, niechęć do mnie wzrosła tam jeszcze bardziej od chwili samobójstwa Morozowa, który miał wśród sztabowców kilku przyjaciół.

Pogoda była obecnie straszna, szalała zadymka przy silnym mrozie; nacierpiały się biedne żołnierzyska przy oczyszczaniu okopów ze śniegu i to już po raz siódmy tej zimy. Przeziębiłem sobie zranione płuco, pokazywała się krew, siedziałem więc w domu.

A co to będzie, gdy nadejdzie odwilż, która przychodzi tu nagle; popłyną wtedy w okopach potoki, którym nie będę mógł zapobiec. Mieliśmy tu kamienisty grunt, musieliśmy więc prawie wykuwać każdy rów w konglomeracie, a odpowiednich narzędzi nie posiadaliśmy; bombardowałem parokrotnie „górę“ o przysłanie kilofów i motyk, ale skutku nie było. Zato „władza“ rozpaczała, że tak mało umocnień zrobiono; odparłem na to, że przeciwnie jestem bardzo zadowolony dobrym

postępem robót, dokonanych wyłącznie polową łopatą. Naturalnie przyjęto moją replikę nienawistnie.

* * *

Pozwoliłem sztabowi urządzić wieczór tańcujący i asystowałem zabawie może pół godziny. Bawiono się zawsze lepiej, gdy mnie nie było — niech używają, do nich należy tylko wieczór dzisiejszy, jutro a może za dni kilka umrą ci, co się teraz cieszą i śmieją, i ani im to w głowie. Potężny jednak jest instynkt życia i złudne uczucie nadziei!

* * *

Wiosna tegoroczna opóźniła się już o dwa tygodnie, mieliśmy teraz ciągle mgłę, śnieg, błoto, a słońca nie było nawet na lekarstwo. W danej sytuacji dogadzało to nam, Niemcy spodziewali się żniw w Mołdawji w początku czerwca, a będą je mieli, o ile się ich stąd nie wyprze, dopiero w końcu miesiąca. Dobrze również przysłuży się Turkom odebranie im przez Anglików śpiżarni bagdadzkiej.

8-go marca wyjrzało słońce, powietrze ociepliło się znacznie, a po południu mieliśmy faliste trzęsienie ziemi, które szło na północo-zachód; w otoczeniu mem nie zwrócił nikt uwagi na chwianie się domu, przypisując je wystrzałom armatnim, ja zorjentowałem się natychmiast, gdyż posiadałem pewne doświadczenie z Irkucka, gdzie się trząsłem kilkakrotnie.

* * *

W „Dzienniku Kijowskim“ ukazywały się coraz częściej korespondencje polityczne z Warszawy. W przemówieniach miejscowych polityków mówiło się dużo o Polsce niepodległej i ani słowa o jej niepodzielności; bali się ostrożni politycy narazić prusactwu. Organizowało tam dowództwo Legjonów *czterotygodniowe szkoły dla przygotowania oficerów sztabu generalnego!* Czy nie za krótko? Znalazło się także u nas polskie pismo, „Ziemia Lubelska“, nawołujące do werbunku na rzecz polskiego korpusu posiłkowego dla Niemców. Przyznać należy, że podobną akcję popierało skutecznie zachowanie się obecnego rządu rosyjskiego, w którym takie potwory, jak Sztuermer i Protopopow, decydowały o przyszłym ustroju Polski.

ROZDZIAŁ XIII.

18-go marca nadszedł nieoczekiwanie telegram o abdykacji cesarza, zrzekł się on również tronu za swego syna.

W pierwszej chwili wieść ta oszołomiła mnie zupełnie, trudno mi było wprost uwierzyć, że w dziejach Rosji zaszedł tak olbrzymi przełom. Faktycznie dynastja potknęła się i upadła ostatecznie przez nawpół zwarjowaną bigotkę - cesarzowę, sekundowaną przez dwóch łotrów — Rasputina oraz Protopopowa.

Po pewnym czasie zaczął jednak wzrastać w duszy nastrój radosnego oczekiwania dalszego rozwoju wypadków, rewolucja rosyjska musiała przecież wpłynąć

pomyślnie na losy Polski i wprowadzić w Rosji ustrój konstytucyjno-monarchiczny; bardziej na lewo masa nie pójdzie przecież...

Konstytucja — to śmierć biurokracji, musiałaby ona zejść wówczas do roli wykonawczej, trzymać się nadal prawa i być pod kontrolą społeczeństwa, które chyba zorganizowałoby się teraz szybko. Cieszyło mnie niewymownie, że zginie jednocześnie przemoc żandarmów i czarnej masy duchowieństwa prawosławnego, że będą zlikwidowane wszelkie „ochranki“ i uwolni się duch obywatelski i religijny od okowów.

Czytałem listę ministrów i nie podobało mi się nazwisko Milukowa; to doktryner, nieprzychylny, w szerszym zakresie, sprawie polskiej; reszta, zdawało się, była odpowiednia, a Kierenskij był to człowiek bardzo śmiały — z ministrów chyba najlepszy. Co będzie jednak z wojną, trudno było przewidzieć...

W dywizji wśród oficerów wrażenie przewrotu wogóle było dodatnie, większość, szczególniej artylerzyści, nie ukrywała radości; inteligentniejsi żołnierze żałowali cesarza i mówili, że to był dobry człowiek, przypuszczali też, że teraz prędzej „zakatrupi się Niemca“; masa nie rozumiała nic, milczała; duchowieństwo było markotne, zwróciło się już do mnie z pytaniem, za kogo należy się teraz modlić przy nabożeństwie; kazałem narazie opuścić ogłaszanie „wielolecia“, trudno było przecie „wypominać“ Kiereńskiego lub Milukowa.

Podobno cała rodzina cesarska miała wyjechać z Rosji. Jedna z moich sióstr miłosierdzia, nota bene frejlina dworu, zauważyła: „Niech jadą z Bogiem, a nie

zapomną wziąć z sobą metropolity Pitirima z relikwjami Rasputina"; wogóle poza gen. Dżenniejewem nie zauważyłem w mem otoczeniu nikogo, ktoby żałował cesarza.

Jeżeliby się na tem rewolucja skończyła, możnaby ją było uważać za klasyczny przykład, jak należy dokonywać gwałtownych przewrotów; przelewu krwi prawie nie było, zresztą strona rządowa była bardzo osłabiona, gdyż cała armja była na froncie, a żandarmi wraz z policją, pomimo posiadanych kulomiotów, nie mogli dać rady ruchowi. Dopomogły mu bardzo pancerne auta, które przyłączyły się do rewolucji. Przypuszczałem, że przewrót będzie dla Niemców klęską, ich partja, oparta dotychczas na stosunkach dworskich, straci chyba wszelkie wpływy.

Syczewskij był przerażony, zaniemówił prawie; zapewne na pociechę przyjechała do niego żona i to na dłuższy czas; była to kobieta młoda, przystojna, z pochodzenia Gruzinka. Nie znosiłem młodych dam na froncie i wypowiedziałem to w formie oględnej p. Syczewskiej; przyznała mi rację, usprawiedliwiała się jednak tęsknotą za mężem, poza którym nie miała nikogo na całym świecie, zaznaczyła też, że uczyni się zupełnie niewidoczną, pracując w szpitalu, jako siostra miłosierdzia.

* * *

Na zachodzie uderzyli mocno Francuzi i mieli duże powodzenie. Wątpiłem, czy się nasz front w niedalekiej przyszłości ruszy, przedewszystkiem z powodu najmarniejszych pod słońcem kolei rumuńskich,

które paraliżowały ruchy obydwóch stron. Niemcy rozpoczęli jednak u nas akcję zaczepną na innem polu, drogą propagandy; słali nam codziennie radjogramy z opisem okropności rewolucji rosyjskiej, tysięcy zabitych w Moskwie... zrzucali z balonów proklamacje, piętnujące straszny czyn obalenia caratu, wywołany przez Anglików, głównych wrogów Rosji, starali się wogóle wytworzyć nastrój na swoją korzyść.

Przyszły pisma petersburskie — zaczęły się w stolicy areszty, uwięziono relikwję samodzierżawia, Goremykina (mogli mu właściwie dać pokój, był to starzec nawpół zdziecinniały); dostał się również pod klucz hr. Kleinmichel, znany pośrednik w stosunkach z Niemcami. Jużto w Rosji obowiązywało stale stare przysłowie: „Nie zarzekaj się więzienia czy torby żebraczej!“ Tylko nikczemny płaz, Protopopow, zmieniał nagwałt skórę, zaczynał kochać lud i rychło będzie pełzał na brzuchu przed zwycięzcami; ostatniemi czasy przed przewrotem miewał on widzenia „św. starca“ i na tym koniku jechał z powodzeniem aż do końca.

25 marca. Nadchodziły dalsze wiadomości z Petersburga; nie uspokajało się tam, przeciwnie, nastroje lewicowe krzepły. Zaczynało mnie to niepokoić, wyobraźnia nasuwała krwawe widziadła z rewolucji francuskiej, drażnił mnie powtarzający się wciąż „refrain“ — „rząd rewolucyjny“... Skoro przewrót już został dokonany i władza, zeń wyłoniona, uznana, była ona legalna i nie potrzebowała żadnych niepokojących etykietek.

Z dużem zdziwieniem i rozdrażnieniem dowiedziałem się, że utworzyły się dwa rządy naraz —

„dumski" i „komitet deputatów roboczych". Mieli naturalnie robotnicy prawo posiadać w rządzie swego przedstawiciela, ale nie rozumiałem potrzeby jakiegoś odrębnego rządu roboczego, który nota bene ani myślał słuchać władzy centralnej, ale przeciwnie kontrolował jej uchwały i prowadził swoją samodzielną politykę wśród mas i wojska; mógł z tego wyniknąć, w razie różnicy zdań, poważny konflikt, a stać się to mogło łatwo, gdyż rząd „dumski" będzie na pewno dążył do monarchji konstytucyjnej, roboczy zaś, mający na czele Kiereńskiego i Czcheidzego — do republiki; z ewentualnego rozdźwięku mogła skorzystać naturalnie ta trzecia — reakcja.

Drugi słaby punkt, to była agitacja robotników wśród żołnierzy, urządzanie jakichś związków żołnierskich. Była to rzecz bardzo niebezpieczna, musiała podkopać karność, a bez niej wojsko było niebezpiecznym, uzbrojonym tłumem, ulegającym łatwo agitacji pierwszego lepszego demagoga. Pewne niefortunne próby miały być przeprowadzone u nas, np. chciano znieść tytułowanie i t. d.; byłem przekonany, że, o ile środki te będą zastosowane, nastąpi załamanie karności, a wtedy koniec z akcją zaczepną, nic nie zmusi wtedy żołnierza, by poszedł na kulomioty. Uczucie uświadomionego patrjotyzmu drzemało u olbrzymiej większości żołnierzy, a instynkt samozachowawczy podpowiadał potężnie: „Nie idź, zabiją".

My tu żyliśmy o pięć dni poza biegiem wypadków, duży to był okres czasu przy tak szybkiem tempie wypadków. Zaczynały mnie trapić myśli o losie mej rodziny, bałem się rozpasania motłochu, co wo-

bec słabości rządu przejściowego było możliwe. Syczewskij przychodził do mnie raz po raz i zatruwał systematycznie swym pesymizmem; radosny nastrój wśród oficerów zgasł również, zaczynali się wszyscy zamyślać. Najlepiej czułem się na froncie, tam panowała jeszcze zdrowa atmosfera, żyło się wrażeniami bezpośredniemi, hamującemi lot myśli.

* * *

Noc jedną spędziłem poprostu dla wrażeń na odcinku, gdzie komendy wywiadowcze projektowały polowanie na jeńca. Było zimno, mglisto przy ziemi, czysto ku niebu, cisza panowała ogromna, tylko Putna, rozlana szeroko, szumiała po kamieniach, przypominając mi noce pełne grozy, spędzone w Karpatach; od strony przeciwnika wzlatywały raz po raz rakiety, oświetlały na chwilę upiornem, zielonkawem światłem spowitą w mgłę nizinę i gasły; niekiedy zagrzmiał pojedyńczy wystrzał karabinowy, zatrajkotał pośpiesznie kulomiot lub basem zahuczała mina powietrzna.

Oczekiwanie trwało ze trzy godziny, zdążyłem skostnieć z zimna, gdy nagle rozległy się okrzyki: „trzymaj, trzymaj" — i parę wystrzałów karabinowych. Ożyły natychmiast niemieckie okopy, trysnęły ku niebu dziesiątki rakiet zielonych, białych, czerwonych, przemówiły liczne kulomioty, a w powietrzu rozległ się świst kul karabinowych, lecących rojami; jeszcze chwila i zagrzmiały działa niemieckie, nasycając noc coraz to donioślejszym, groźnym grzmotem i oślepiającemi wybuchami pocisków.

Żołnierze moi przywarli do szańców, zastygli bez ruchu przy karabinach, nie oglądając się nawet na lecące nad okopami odłamy granatów. Zauważyłem przy błysku wybuchu na twarzy jednego strzelca osłupienie, spytałem go więc, czy się boi? „O tak" — odpowiedział mi — „to takie straszne, widzę to pierwszy raz".

Zagrała i moja artylerja, rozpoczął się duet, ukazały się złowrogie błyski nad okopami przeciwnika, pobiegły przez pola w mglistą przestrzeń ostre, zimne promienie reflektorów, na ciemnem tle nieba kreśliły ciężkim lotem błyszczące parabole — miny.

Pojedynek ogniowy skończył się dopiero o 5-ej godzinie, komendy wróciły jednak bez łupu. Przeszkodził im przypadek; jeden niemiaszek wylazł w sprawie osobistej przed swoje druty i zauważył podkradających się wywiadowców, nim go złapano, narobił krzyku i zaalarmował swoją placówkę — jedyną na naszym brzegu. Nie mogłem z niej wykurzyć Niemców, gdyż moje lekkie pociski nie gryzły solidnych umocnień, a ciężkich haubic nie miałem.

Następnej nocy przemówił przeciwnik, ale do sąsiada, bombardował go pięciokrotnie pociskami o gazach trujących, zatruł pięćdziesięciu ludzi, lecz nie śmiertelnie, zato hałasu było dużo, nie spaliśmy więc zupełnie.

Z niemieckiego radjo dowiedzieliśmy się, jakoby w. książę Mikołaj ustąpił, a wodzem naczelnym został gen. Aleksiejew.

Otrzymaliśmy z góry telegraficzny rozkaz mówienia żołnierzom „wy" i zaniechania tytułowania prze-

łożonych. Zaczęły się więc reformy, nie na czasie były one... Nakazano również wcielić do szeregów żandarmów i policjantów; nie zaszkodzi im to, nabaraszkowali się dość, a były to zdrowe chłopy.

Z dużym niesmakiem przeczytałem szczegóły o haniebnem opuszczeniu cesarza przez całe otoczenie, przyłączył się do rewolucji nawet konwój „Jego Cesarskiej Mości", a przecie składał się on z ludzi indywidualnie dobieranych i pieszczonych poprostu. Dziwnie upadlająco działała na ludzi atmosfera dworska... Z tonu pism wnioskowałem, że dynastja Romanowów zupełnie zbankrutowała, nawet „Nowoje Wremia" przystosowało się do nowych prądów, będzie zatem Rosja republikańska. Jest to najwyższy z ustrojów państwowych, gdyż tylko on uznaje obywateli a nie poddanych; to określenie napełniało mnie zawsze wstrętem, szczególnie w stosunkach rosyjskich, gdzie mówiono stale „wiernopoddany", co poniżało wprost ludzką godność.

Niemcy byli bardzo zaciekawieni nastrojami na froncie naszym, porzucili nawet zwykłą ostrożność i wysyłali nocami komendy wywiadowców, by złapać języka; wpadali jednak stale w zasadzkę. Złapane egzemplarze były dość wychudzone. Jeńcy zeznali, że mój nocny rekonesans z przed paru dni wzięto za szturm generalny, dlatego reagowano tak gwałtownie z dział. Przypuszczam, że Niemcy otrąbili odparcie moich wywiadowców jako duże zwycięstwo.

* * *

27-ego marca odbyła się przysięga na nowy ustrój państwowy; miała ona charakter religijny. Żołnierze stroili zabawne miny, mówiąc do mnie „panie generale", krztusili się wprost, a jeden na me przywitanie odpowiedział: „zdrowia życzę, panie generale... adjutancie". Przypuszczam, że tym dodatkiem chciał mnie pocieszyć po stracie tytułu.

Sądząc z pism ostatnich, wzburzenie umysłów w Rosji uspokajało się jednak, prawie cały system reakcyjny został już obalony, trzeba było teraz tworzyć nowe życie, a do tego potrzeba spokojnej myśli. Czytałem, że o formie ustroju państwowego miała decydować i armja, i nie miałem pojęcia, jak oni to zrobią; przecie wymagać to będzie zebrań, pewnej agitacji, a przed nami stał czujny wróg...

Przeglądając listę aresztowanych w Petersburgu, widziałem, że rewolucja potrafiła zebrać wspaniały bukiet biurokratyczny; cała śmietanka złodziejska siedziała pod kluczem. Rewelacje Kiereńskiego w sprawie polskiej były pocieszające, (ten chyba nie skrewi); zawsze podziwiałem jego dużą odwagę cywilną w mowach dumskich i cieszyło mnie, że nie chce on być Maratem. Powstała jednak u mnie pewna reakcja sui generis przeciwko „nowaljom" na froncie; protestowali osobiście ordynansi oficerscy, gdyż miano ich skasować i wcielić do szeregów, gdzie im naturalnie byłoby znacznie gorzej, szemrali więc głośno: „Takie rozkazy nie doprowadzą do dobrego".

Rozmowy z oficerami przekonały mnie, że jednak polityka zagnieździła się w szeregach. Udziału w wyborze delegatów do konstytuanty zaczynały pragnąć wszystkie bardziej inteligentne jednostki, ale

miała ona się odbyć dopiero w sierpniu. Długi to, zbyt długi okres dla interregnum, które nie mogło utrwalić wewnętrznej konsolidacji. Obecnie byłem już pewny, że Rosja zostanie republiką burżuazyjną, lub socjalistyczną, a pierwsze przypuszczenie było prawdopodobniejsze.

Przy nowych stosunkach zacznie się po wojnie olbrzymi exodus z armji starszych oficerów; większość nie zgodzi się z nowemi porządkami w wojsku — przy małej kulturze masy żołnierskiej nie będą one miłe. Na naszych tyłach spacerowały różne oddziały tyłowe z czerwonemi płachtami. Ja na to nie pozwalałem: czerwony sztandar — to emblemat rewolucji przeciw dawnemu rządowi; uznaliśmy rząd nowy, uważałbym więc takie wystąpienia za demonstrację rewolucyjną przeciwko nowej władzy. Wogóle w wojsku panował jednak zupełny spokój, dopomagała mu zresztą nasza izolacja od propagandy, wśród zupełnie obcej ludności.

Wiosna u nas posuwała się szybko, ciepło było zupełnie, mało jednak odczuwałem uroki budzącej się natury. Okolica była bardzo brzydka, jednostajna, spacerowałem więc głównie w kierunku frontu, gdzie stale czułem się najlepiej; panował tam godzinami taki spokój, że wychodziłem za druty i przechadzałem się po polu, usianem pierwiosnkami, nie słysząc nawet jednego wystrzału. Najczęściej zaczynali Niemcy prażyć z dział dopiero pod wieczór. Obserwowałem temi dniami, siedząc w oknie swego pokoju, jak ostrzeliwano z bardzo dalekiego dystansu stację Mereszeszti, obok której mieszkałem; wszystkie pociski leciały wzdłuż

naszego domu, prawie w stałej odległości kilku sążni, i pękały w obrębie stacji, wpobliżu lazaretu hr. Szuwałowowej. Skutek był natychmiastowy: lekarz wraz z intendentem siedli do bryczki i drapnęli, pozostawiając kobiety na łasce Opatrzności.

Pociski uszkodziły trochę budynki, ale żaden nie trafił do lazaretu. Wieczorem wrócili bohaterowie i prosili mnie natychmiast o przeniesienie szpitala w bezpieczniejsze miejsce; po wypowiedzeniu im paru słów prawdy, zgodziłem się na to w zasadzie „A czy nie można jeszcze dzisiaj, siostry się bardzo boją"... Uspokoiłem ich obawy stwierdzeniem, że *siostry,* o ile wiem, żadnych oznak strachu nie okazały, panowie zaś mogą się nie bać, bo Niemcy z powodu mgły nie strzelają nigdy przed dziewiątą godziną rano. Z tem tchórze poszli a w nocy emigrowali nagwałt, pomimo protestu sióstr, twierdząc, że czynią to na mój rozkaz. Naturalnie przejechałem się po nich dobrze nazajutrz. Gdyby hrabina tu była, dałaby ona tym jegomościom przykład męskiej odwagi.

31-go marca miałem następujący widok: wystrzałem z działa zapalono niemiecką kiełbasę, wiszącą prawie stale przed naszym frontem; widziałem, jak stanęła w płomieniach, w chwilę później urwała się gondola i dwóch Prusaków poleciało na ziemię, a nieco później osunął się zwolna nadół słup ognia i dymu. Kiełbasa ta dokuczyła nam nieraz, korrygując strzały niemieckiej artylerji. Przyniesiono do okopów rannego na przedpolu podoficera pruskiego; czytałem list jego żony w stylu lamentoso, co kilka wierszy jęczała baba: „Ach, mein lieber Mann — wojna się nie chce skoń-

czyć, a syna biorą do wojska i zabiją go na pewno"... O głodzie nie wspominała jednak nic...

Przyjeżdżał na zajęcia pułkowe gen. Syczewskij, miał zamiar rozmawiać z oficerami, gdy jednak usłyszał w odpowiedzi na swe przywitanie: „Zdrowia życzymy, panie generale" — skisł w jednej chwili i zapomniał języka w gębie. Jużto on nie potrafi się przystosować do nowego regime'u...

Zawezwano od nas delegatów do Petersburga, dla zaznajomienia się ze stanem spraw publicznych; dywizja posłała oficera i żołnierza. By nie jechali z pustemi rękami, zaproponowałem oddziałom przedyskutowanie siedmiu punktów, które mieli przedstawić rządowi: na pierwszem miejscu umieściłem sprawę utrzymania karności w wojsku. Ostateczną redakcję ustaliliśmy na posiedzeniu u dowódcy korpusu; zebranie nasze miało charakter meetingu socjalistów-rewolucjonistów, nasłuchaliśmy się dość nowinek reformatorskich, i dziwne uczucie miałem, dyskutując z delegatem-podoficerem, gdyż w granicach frontu bojowego wszelkie stosunki winny być regulowane wyłącznie rozkazem.

* * *

Nie dotarli dotychczas do nas agitatorzy, ale zaczęto podpalać armję od tyłów, rozwijał się tam coraz bardziej stan zapalny, wiecowano i dyskutowano, zamiast pracować. Podobno zaczęła się burzyć wieś rosyjska, chłopi palili dwory, było to do przewidzenia, wobec ciemnoty i biedy ludu, podjudzanego bezkarnie przez niesumiennych agitatorów.

Nowa władza wciąż nie objawiała żadnej siły; w armji „góra“ milczała lub dawała zagadkowe wskazówki, masa zaś oficerska była zupełnie bierna i nieprzygotowana. Zmusiło mnie to do ujęcia spraw politycznych dywizji w swoje ręce; codziennie więc miewałem zebrania pod niebem otwartem, stojąc w automobilu, przemawiałem do tłumów aż do utraty głosu, uświadamiałem żołnierza, tłumaczyłem im jakie obowiązki i prawa posiada wolny obywatel; unikałem naturalnie wszelkiego radykalizmu i argumentowałem dosadnemi porównaniami. Zdawało się, że sprawy u mnie szły dobrze, ale dotychczas byłem jedynym agitatorem. Sprzeciwu nie okazywał mi nikt. Osobistego życia nie miałem zato zupełnie, do fortepianu nie podchodziłem nawet.

5-go kwietnia. Doszło do nas hasło, puszczone wzdłuż frontu, od Rygi poczynając: „Ani kroku naprzód, ani kroku wtył!“ Byłoby to w danych warunkach bardzo dobrze, bo trudno było wierzyć, by przed ustaleniem silnego rządu i uzdrowieniem armji można było myśleć o jakiejkolwiek akcji zaczepnej; niestety, druga połowa hasła już osłabła — nad Stochodem uderzyli silnie Niemcy, zdobyli rosyjskie stanowiska i rozbili pięć pułków. Nic dziwnego — z dniem każdym armja rozpolitykowywała się coraz bardziej i wkrótce zapewne nie zechce zupełnie bić się, do czego pretekst znajdzie się bez trudu. Demokracja socjalistyczna nie uznaje wojen, dających zyski tylko burżuazji...

W Kronsztadzie wciąż było niespokojnie, nie uznawał on żadnej władzy, a niedaleko od nas,

w Besarabji, hr. Keller, dowódca korpusu jazdy, zajął zbrojną ręką m. Orgiejew, zabrał kasę, z której wypłacił zaległy żołd korpusowi, i rządził tam jak dyktator, nie uznając nowej władzy. Był to zakuty monarchista, człowiek ogromnej odwagi, nie rozumiałem jednak, na co on liczył.

7-go kwietnia otrzymał Syczewskij *billet doux*, z propozycją podania się do dymisji „z powodu zrozumiałego przemęczenia"; takie same „zaproszenia" otrzymali Sacharow i Ek. Armja miała być odmłodzona i możliwe było, że się dobiorą do mnie; za dużo lat nie miałem wprawdzie, ale radykali bali się kontrrewolucji, a wiedzieli, że olbrzymia większość starszych generałów nie współczuła reformom, ja zaś zawsze byłem „nieprawomyślnym", pozostanę też nim zapewne i przy nowych prądach. Dymisji się nie bałem, było mi coraz ciężej, dalsza walka z Niemcami a jednocześnie z rozkładem wewnętrznym armji przechodziła na dłuższą metę moje siły, dokoła zaś panowała zupełna bierność i „niesprzeciwianie się złu". Nie dadzą Niemcy Rosjanom utrwalić nowych form bytu... Widziałem Syczewskiego — promieniał i mówił, że narazie było mu przykro, ucierpiała miłość własna, ale po krótkiej depresji doszedł do przekonania, iż to drobnostka w porównaniu z odzyskaniem swobody ruchów; zamierzał wyjechać do Finlandji, a ja w razie dymisji uczynię zapewne to samo.

8-go kwietnia, w chwili największego ożywienia wiecowego, debatów i rozmyślań socjalno-demokratycznych, uderzyli Niemcy, po krótkiem przygotowaniu artyleryjskiem, przeważnie zatrutemi bombami, na moje

stanowisko; przeciwnik dotarł do pierwszej linji okopów, ale został wyparty. Straciłem dwóch oficerów i trzydziestu żołnierzy, gdyby nie maski, ofiary byłyby cięższe; wśród ludności gazy zatruły trzydzieści osób; kobiety wytrzymują zatrucie ciężej, poumierały więc; koni ucierpiało sporo, bojąc się maszkar ludzkich, nie dawały one sobie włożyć na głowę mokrych worków z sianem. Cel tego uderzenia był jasny: Niemcy próbowali tu i owdzie, czyśmy już po rewolucji skruszeli dostatecznie.

* * *

Pisała do mnie z Krymu hrabina, czuła się trochę lepiej, zachwycała się Kiereńskim, człowiekiem wyjątkowo silnym, śmiałym i uczciwym, dobrze też odzywała się o Korniłowie, który w Petersburgu wysunął się na czoło generałów. Początkowo przyjęto go w koszarach bezczelnie, na „towarzysz", na co on odparł, że tu jest tylko dowódcą; zaczęła się dyskusja, którą oponent poparł wymierzeniem rewolweru w Korniłowa, ale generał uprzedził argument, zastrzelił oponenta i wyszedł wśród grobowej ciszy. Nazajutrz przyjęto go okrzykami „hurra". Wśród bezwolnych Rosjan był ten generał wyjątkowym typem o silnym charakterze.

Z powodu porażki nad Stochodem, otrzymali dymisje — dowódca armji Lesz i korpusu — Januszewskij; dał nam o tem znać radjogram niemiecki. Musieli oni mieć wpobliżu naszych stanowisk podsłuchowe stacje telefoniczne; Francuzi stwierdzili, że Niemcy potrafili podsłuchiwać przy pomocy specjalnych aparatów, z odległości półtora kilometra, a wiadomo, że głównymi plotkarzami na froncie są telefoniści.

Opowiadał mi Negropontes, że w Jassach po wybuchu rosyjskiej rewolucji był ogromny popyt na czerwone materjały, Żydówki miejscowe wyprzedały za bajeczne pieniądze nawet swe stare spódnice. W dywizji nie widziałem dotychczas ani jednej czerwonej kokardki, i z punktu widzenia obecnej prawomyślności rzucało to na mnie pewien cień, ale nie odczuwałem tego; żołnierze salutowali mię wciąż starannie, patrzyli wesoło i życzliwie. Zwiększyłem jednak me starania o dobre wyżywienie dywizji, rozumiałem bowiem doskonale, że do psyche nowych obywateli trafię najlepiej przez żołądek.

* * *

14-go kwietnia. Dzisiaj wypadła wigilja Wielkanocy, nakazałem więc odprawić w nocy rezurekcję; gdyby nie moja interwencja, nie byłoby jej, chociaż święto to stawiali Rosjanie wyżej, niż Boże Narodzenie. Duchowieństwo prawosławne było jednak tak zderutowane rewolucją, że znikło prawie z widowni. Oficerowie również byli coraz bardziej chmurni i niespokojni, gdyż po chwilowem uspokojeniu zamęt w Rosji wzrastał, usposobienie inteligentnej części armji odbijało jaskrawo od entuzjastycznych, przesadnych artykułów prasy, ciągłych mów i manifestacyj, młodzież oficerska zaczynała kląć: „A do pracy, darmozjady, armji braknie pocisków, żywności"...

Gdy noc zajrzała mi w okna, wyszedłem na zwykły spacer w kierunku okopów; ani jeden wystrzał nie mącił ciszy, ale front nie spał, coraz to przecinały mrok błyszczące smugi rakiet, zakwitały na

chwilę srebrną gwiazdą i opadały zwolna w ciemność przyziemną. To już trzecia zkolei Wielkanoc na froncie — pierwsza była najlepsza, byłem w okresie zwycięstw, wiary w przyszłość, w drugim roku staliśmy spokojnie i mocno na Wołyniu, obecnie, wskutek rozkładu armji, grunt chwiał się pod nogami. Jeżeli Rosja przegra, zaważy to ciężko i na sprawie polskiej... Przypuszczałem, że Niemcy nie będą długo czekali i uderzą na front rosyjski z nastaniem wiosny, obiorą zapewne kierunek na Petersburg, zaczepią naturalnie i nas, a nie spotkają już silnego oporu. Jedyna nadzieja — to front zachodni...

15-go kwietnia. Miałem pracowitą noc i niełatwy dzień: celebrowałem — rezurekcja odbyła się w polu otwartem, noc była pogodna, zupełnie ciepła; po nabożeństwie zaczęła się praca, przyjmowałem powinszowania, pieczętowane pocałunkami tradycyjnemi, po trzy na sztukę, według następującego rachunku:

200 brodaczy z komendy sztabowej . .	600
80 oficerów rezerwy pułku litewskiego. .	240
15 oficerów sztabu	45
2 ordynansów	6
Razem pocałunków	891

To chyba, jak na jednego człowieka, dość! Dobre i to, że ani razu nie doleciał mnie zapach alkoholu... Potem mieliśmy święcone dość obfite a od południa serję wizyt, połączonych przeważnie ze śpiewem duchownych „kawałków" po 5 rubli od numeru.

Niemcy też zrobili nam prezent z dwóch swoich przedstawicieli, smażonych w benzynie: aeroplan francuski strącił Fokkera, a pasażerowie przy upadku

spalili się na śmierć. Jeździłem przyjrzeć się im: widziałem kupę pokręconego żelastwa, zmieszanego z miazgą ciała ludzkiego i poszarpanem ubraniem, na jednej z kurtek błyszczał Krzyż Żelazny.

W ciągu dnia grała orkiestra; wobec braku hymnu rewolucyjnego, produkowano kilkakrotnie Marsyljankę — zapewne będzie ona adoptowana po odpowiedniem przystosowaniu. Zauważyłem, że żołnierze wstawali za każdym razem z własnej inicjatywy. Rad byłem, gdy się nareszcie święto skończyło, najmilej było teraz spać, by się pozbyć dokuczliwych myśli. Dnie były coraz gorsze, od rana słyszało się beznadziejne biadolenie i złowróżbne krakanie... Rosjanie lubują się poprostu w negacji, nie mają tradycji, nic wiary, wytrwania, nadziei... Rewolucję zrobiła garstka entuzjastów, przy zupełnej bierności masy, a teraz nikt nie chciał nic robić i czekał z założonemi rękami na coś. Coraz mi więc było ciężej, dowódcy pułków byli słabi, musiałem znowu usunąć pułkownika pułku litewskiego, Liscycyna, za bezczynność; jużto pułk ten nie miał szczęścia — zmienił w ciągu trzech lat siedmiu dowódców.

* * *

Przyjeżdżał do dywizji gen. Ragoza. Poprzednie dobre wrażenie spotęgowało się we mnie jeszcze. W czasie narady odbył się turniej pomiędzy optymistą a skrajnym pesymistą — Syczewskim; każdy naturalnie został przy swojem zdaniu. Dowódcą 7-ego korpusu został gen. Szyszkiewicz, marna figura. Postano-

wiłem przeciwstawić mu się ostro i przejść do dymisji przy pierwszej okazji.

Złapaliśmy niemiecki radjogram następującej treści: „Na froncie zachodnim odbywa się bitwa, jakiej nie było od stworzenia świata, bronimy się zawzięcie, bez względu na postradanie całej artylerji". Po raz pierwszy od trzech lat czułem w komunikacie powiew prawdy, musiało być Niemcom rzeczywiście ciężko. W każdym razie pokój musi nastąpić w ciągu kilku miesięcy najdalej; my naturalnie będziemy pomagać „do ostatniej kropli krwi", ale tylko teoretycznie, na papierze.

Syczewskij wyjechał. Lubiałem go, ale truł mnie za bardzo, będę teraz spokojniejszy; na pożegnanie przyznał mi się, że szef sztabu, gen. Rustanowicz, mój dawny kolega pułkowy, z którym żyłem poprzednio dobrze starał się jątrzyć go przeciwko mnie, co czynił również i przy Eku.

Dżenniejew, wciąż nieprzejednany, z zaciekłością wyszukiwał i wyszydzał każdy fałszywy krok rządu tymczasowego; musiałem go mitygować, gdyż nie należało w danej sytuacji dyskredytować legalnej władzy.

Pogoda zepsuła się, szalała burza, było zimno, z okna widziałem na horyzoncie ośnieżone góry.

Niemcy nadesłali nam mapkę morza Bałtyckiego z wyjaśnieniem, że Anglicy zabierają Rosji wszystkie wyspy, zamykające wejście do Kronsztadtu oraz zatok, i mają je ufortyfikować. Fama głosiła, że w razie gdyby Rosja zawarła odrębny pokój z Niemcami, Japonja zajęłaby wybrzeże Oceanu Spokojnego z Wła-

dywostokiem; było to możliwe, gotował się ładny bigosik...

Dezerter austrjacki zeznał, czemu przed paru dniami baterje ich strzelały wtył ku swoim: — poskramiano bunt, który wynikł w dwóch pułkach.

Otrzymałem znowu list od hrabiny, tym razem w tonie minorowym — pałac jej w Petersburgu ostrzeliwano ze wszystkich stron bez powodów; bolało ją to zresztą mało, nie mogła jednak strawić chamstwa gazet i tłumu. Będzie tego jeszcze dość; w flocie bałtyckiej zginęło, wskutek rokoszu marynarzy, przeszło stu najlepszych oficerów.

ROZDZIAŁ XIV.

26-go kwietnia otrzymałem telegram o mianowaniu mnie dowódcą XXIX-ego korpusu; stał on gdzieś wpobliżu Dunaju. Byłem zadowolony z tej nominacji — odpocznę od ciągłego wiecowania z żołnierzami, które w obecnych warunkach było coraz trudniejsze, nie do pogardzenia również była sprawa finansowa; miłość własna zareagowała słabo, żal mi jednak było rozstawać się z gen. Ragozą, który podobał mi się coraz bardziej. Następcą moim został gen. Dżenniejew, nie wiedziała jeszcze widocznie „góra“ o jego reakcyjnych zapatrywaniach. Hr. Kankrin usunął się zupełnie z powodu choroby, a jego następca przedstawił mi się dzisiaj, jako „wypędzony“ b. gubernator kijowski, hr. Ignatjew; robił on wrażenie miłe, był obywatelem ziemskim na Ukrainie.

Otrzymaliśmy proklamację niemiecką z powodu ubiegłych świąt: „Szanując wasze święta, nie strzelaliśmy ani razu przez trzy dni, szukaliśmy nawet możności porozmawiania z Wami (rzeczywiście wychodzili z białemi flagami), ale nasze dobre zamiary były przez Was źle przyjęte (na mój rozkaz — granatami i szrapnelami); teraz święta skończyły się, jesteśmy zmuszeni do wznowienia działań wojennych, o ile Wy nie zmusicie Wasz rząd do zawarcia pokoju, tak potrzebnego Wam i nam".

Trzeba przyznać, że Niemcy potrafili sprytnie oddziaływać na wrodzony pacyfizm ciemnej masy rosyjskiego żołnierza; w sąsiednim korpusie chodziła do nich z wizytą cała kompanja i była gościnnie przyjęta, wojna wyradzała się...

Jeździłem do Berładu pożegnać się z Ragozą; spędziłem u niego kilka godzin na serdecznej pogawędce; opowiadał mi on przebieg konferencji dowódców armji z obecnym ministrem wojny, Guczkowem, w Jassach. Gdy się zaczęły debaty o kwalifikacjach poszczególnych generałów, pokazał Guczkow przywiezioną przez siebie listę starszych dowódców, opartą na ocenie pięciu generałów, którym wierzył bezwzględnie.

Była mowa o świeżo mianowanym dowódcy naszego korpusu, Szyszkiewiczu, którego Sacharow, jego najbliższy zwierzchnik dotychczasowy, bardzo chwalił. Guczkow zajrzał do listy i zawyrokował: „Nic nie jest wart, winien być usunięty"... Nadeszła moja kolej, Sacharow mówił o mnie dobrze, Ragoza również, zaznaczając, że posiada tylko wrażenie do-

datnie a nie zdanie, bo nie widział mnie w boju. Guczkow sprawdził znowu listę i powiedział: „Wszystkie pięć opinij są dobre, należy go awansować". Wybrano mi XXIX-ty korpus, Ragoza zaś prosił, by mi dano zwalniający się VII-my korpus, ale Guczkow przerwał debaty: „Nie warto o tem mówić, Michaelis nie będzie długo dowodził korpusem, mamy zamiar postawić go na czele polskiego wojska".

Okazało się więc, wbrew memu przewidywaniu, że papiery me stały dobrze. Formowanie polskich oddziałów, to początek realizacji mych marzeń o wolnej Polsce, a poza tem z naszym żołnierzem łatwiej trafić do ładu, niż z biernym Rosjaninem.

30-go kwietnia pożegnałem dywizję, było mi jednak ciężko. Przeszło dwa lata wspólnych powodzeń i klęsk, przelana kilkakrotnie w dywizji krew — przywiązały mnie bardzo do feralnej jakoby trzynastki. Zdaje się, że mnie tu żałowano, pożegnanie miało wszędzie bardzo serdeczny charakter, dokuczył mi tylko pułk. Dorofiejew, który wylał na mnie cały wodospad elokwencji godnej meetingu. Dywizja odchodziła na czas jakiś do rezerwy, będzie tam gorzej, rozagitują żołnierzy...

Do korpusu wyjechałem autem i po trzech godzinach byłem na miejscu, w Tudor Wladimirescu, dużej wsi, szeroko rozłożonej na równinie. Mieszkanie dowódcy korpusu w domu miejscowego parocha składało się z niskiego pokoiku o sześciu krokach średnicy i elementarnem umeblowaniu.

Szef sztabu, gen. Jabłonskij był chyba chory na rozmiękczenie mózgu, inspektor artylerji, gen. Dani-

łowskij, robił doskonałe wrażenie, inżynier korpusu, hr. Todtleben, śliczny mężczyzna, wydawał się trochę za spokojny; sztab był duży, ale za młody, i widocznie od dłuższego czasu nie miał sprężystego kierownictwa. Przyjemnie zdziwiła mnie obecność w sztabie nieetatowego kapelana katolickiego, ks. Syczewskiego, o inteligentnej, żywej twarzy.

Etat mój przewidywał dwóch osobistych adjutantów; zostali nimi porucznicy: hr. Tarło, znany mi z Warszawy, i Nieczajew, b. student politechniki.

Dowódcą 1-ej strzeleckiej dywizji był gen. Kotzebue, doskonały oficer, o wysokiem wykształceniu i europejskiej kulturze, 7-ą strzelecką dywizją dowodził również generał sztabu generalnego, Ziborow, z dobrem doświadczeniem bojowem, na czele 3-ciej kaukazkiej dywizji stał gen. Szczuckoj, skończony niedołęga, który nie wytrzyma długo ze mną. Nastrój w szeregach korpusu zastałem czerwono-wiecowy, politykowano na całej linji; w 13-ej dywizji było o wiele lepiej.

Inspekcję frontu rozpocząłem natychmiast. Korpus mój miał przed frontem rz. Seret, ale odcinek jednej dywizji przerzucił się za rzekę; w porównaniu z organizacją obrony w 13-ej dywizji zrobiono mało. Opowiadano mi, że mój poprzednik, gen. Lisowskij, bywał często na froncie, ale chodził jak lunatyk i nie widział nic; pozostawił on po sobie niedobre wspomnienie: był dość przykry i ponury; według własnej oceny „zwapniał zupełnie i liczył dwieście lat".

Bezpośredniego stosunku z żołnierzem nie miałem, roboty jednak było dużo, niełatwo bowiem było

obecnie nadać energiczny kierunek pracy korpusowi, liczącemu 87 tysięcy ludzi, dowodzonych przez trzynastu generałów, z których większość straciła grunt pod nogami i siedziała słabo w siodle.

Poza trzema dywizjami posiadał korpus oddziały awjacyjne, balonowe, ciężkie dywizjony artylerji, czołgi, oddziały sanitarne, etapowe, zakłady intendenckie, pocztę, telegraf, kasę i licho wie co jeszcze. Kiedy ja to wszystko obejrzę — nie wiedziałem.

Szefa sztabu usunąłem po paru dniach, los jego podzielili — gen. Szczuckoj, brygadjer Sergiejew, pułkownik Markow i jeden z szefów sztabu dywizji — dla sprawdzenia ich nieudolności wystarczyło pięć dni! Na tymczasowego szefa sztabu wziąłem dowódcę pułku, Darowskiego, pierwszorzędnego sztabowca, żałowałem, że tylko na krótko, gdyż nie ukończył on jeszcze „stażu“ pułkowego.

Przedstawiali mi się cywilni dygnitarze korpusu, a kasjer naczelny zagadał do mnie tak piękną ruszczyzną, żem go spytał po polsku: „Pan dobrodziej, to pewno z Korony?“ Zaniemówił na chwilę, nie spodziewając się takiego odezwania, nie doszła go widocznie wieść o mem pochodzeniu.

4-go maja przyjechał dowódca armji, gen. Curikow, przywitał mnie, jako starego kolegę z Warszawy, nader życzliwie; był miły i kulturalny, raziła mnie jednak bardzo, przypięta na piersi generała, czerwona kokarda, której nikt ze starszych wojskowych nie nosił.

Parę godzin spędziliśmy na budujących się na Serecie mostach, potem była dłuższa narada, a naza-

jutrz meetingi; te były widocznie osią, dokoła której skupiała się obecnie ogólna uwaga. Prusak i Bułgar, stojący na drugim brzegu rzeki, to były czynniki drugorzędne.

Curikow okazał się dobrym mówcą; stojąc na beczce, perorował przeszło dwie godziny przed tłumem żołnierzy, schlebiając im w sposób niesmaczny. Rozumiałem dobrze, że nie było w tem szczypty szczerości, generał bronił tylko własnej skóry, gdy więc skończył i wymusił na mnie, bym też przemówił, palnąłem mówkę pięciominutową o koniecznej karności w wojsku i łączności pomiędzy oficerem a żołnierzem, wzmocnionej wpólnie przelaną krwią. Wielkiego powodzenia oracja moja nie miała, tematy były zbyt niepopularne, ale wysłuchano mnie spokojnie. Potem znalazł się powtórnie na beczce Curikow i powiedział rzeczywiście ładnie o Polsce, witając mnie jako jej przedstawiciela; tym razem okrzyknięto przemówienie hucznem „hurra". Wspomniał również mój „pryncypał", że nominacja moja na dowódcę wojska polskiego jest bliska; jedyną przeszkodą była opozycja naszego stronnictwa demokratycznego w Moskwie, był to widocznie dalszy ciąg rozkładowej roboty lewicy.

W korpusie najlepsze wrażenie zrobiła na mnie 1-sza dywizja, znałem ją zresztą od roku 1883, znalazłem tam nawet dwóch starych kolegów — pułkownika i podpułkownika Lipczyńskiego, syna mego pierwszego dowódcy kompanji. W sztabie przypadł mi do gustu ks. Syczewski, odwiedzał mnie często, od niego dowiedziałem się, że miałem w oddziałach przeszło dwa tysiące żołnierzy Polaków, przeważnie z ziemi Piotr-

kowskiej, byli jednak między nimi i „mankietnicy“, o czem kapelan wspominał ze zgrozą.

* * *

9-go maja jeździłem do Besarabji. Naczelne dowództwo zebrało w Bołgradzie naradę starszych generałów, trwała ona kilka godzin, nie mogła jednak dać wyników realnych, gdyż zabrakło podstawy — autorytetu władzy, bez którego wszelkie zarządzenia miały tylko charakter pobożnych życzeń. Ogromnie podobał mi się dowódca naszego frontu, gen. Szczerbaczew, doskonale wychowany, sympatyczny i rozumny; mówiłem z nim dużo o Polsce, okazał on w stosunku do nas wiele współczucia.

Słuchałem również, jako gość, obrad zjazdu delegatów armji. Gen. Biskupskij prowadził posiedzenie zręcznie, ale czułem się dziwnie, ucho nie przyzwyczaiło się do słuchania mów esdeków i eserów, a oko raziło pomieszanie mundurów i szarż. W pewnej chwili podeszło do mnie dwóch pisarzy o bezczelnych gębach, jeden z nich spytał mnie arogancko, do jakiej „orjentacji ja należę“. Tupet pisarczyków oburzył mnie, ale pohamowałem się i odpowiedziałem spokojnie: „Do anarchistów-indywidualistów“.

— A jaką platformę ma ta partja?

— Robię to, co mi się podoba, a na inne partje pluję.

Mój ton oszołomił trochę polityków, odeszli z frazesem: „Bardzo dziwna partja“.

Bołgrad, to duża mieścina, szeroko rozrzucona na równinie, ludność — przeważnie Bułgarzy. Godzinę

przedwieczorną zarezerwowałem dla siebie i spędziłem ją w pięknym parku, spadającym tarasami ku tafli olbrzymiego jeziora, ożywionego ruchem zręcznych szalup i paru statków, prujących błyszczący nurt; patrząc w otwartą dal, miałem złudzenie jednego z włoskich jezior, a śpiew buduarowego śpiewaka-słowika, tremolującego nad wodą, wzmacniał jeszcze wrażenie pokoju i harmonji.

* * *

Tęskniłem ciągle za dywizją. Jaki tam był względnie idealny porządek! Z listu Dżenniejewa dowiedziałem się jednak, że zachwiał się już pułk wileński, w którym prowadził rozkładową propagandę jego dowódca — Dorofiejew, mój b. szef sztabu. Co za marna figura! Ogarniał mnie również coraz większy niepokój o losy mej rodziny, miałem zamiar wyprawić ją ostatecznie na Krym, gdzie nie było, poza Sewastopolem, żadnych ognisk rewolucyjnych.

Niesmacznie wyglądał protest „polskiej młodzieży akademickiej" w Petersburgu przeciwko wstępowaniu do wojska polskiego, przykre było to stałe rozdwojenie opinji u nas. Niemcy upewniali nas ciągle, że zachowują rozejm i strzelają wyłącznie w odpowiedzi na nasze strzały, które zresztą były tylko kontrolne.

Głoszone przez rewolucję hasła wolności przybrały w szeregach formy swoiste, a tak miłe duszy rosyjskiej. Zdecydowano, że głównem prawem jednostki jest *dolce far niente*, w okopach grano więc po całych dniach w karty, granoby i w nocy, ale brak było świec. Kto nie brał udziału w grze, spijał her-

batę lub wylegiwał się na słońcu; służbę spełniało się jak z łaski na tylko usilne i formalne prośby oficerów.

Korpus oficerski stanął wobec przewrotu zupełnie bezradny, nieprzygotowany do pracy społecznej; mało uduchowiony oficer nie potrafił przystosować się do nowych warunków, nie zajął się pracą nad uświadomieniem narodowem ciemnej masy żołnierskiej, znalazł się więc wkrótce poza biegiem wypadków, bez gruntu pod nogami.

Wśród oficerów zawodowych zaznaczyły się narazie dwie grupy: jedna próbowała nawiązać nić porozumienia z żołnierzem, ale nie znalazła wspólnego języka, gdyż mówiła o obowiązku względem ojczyzny, co stanowczo nudziło słuchaczy; druga — złożona z najgorszych elementów oficerskich, dawnych dręczycieli żołnierzy, kierowana instynktem samozachowawczym, zmieniła front i przeszła do gorących przyjaciół praw ludu, schlebiała najgorszym instynktom umundurowanego tłumu, próbowała nawet stosować bierny opór względem wszelkich uczciwych poczynań lepszych jednostek.

Grupa ta połączyła się wkrótce z przygodnymi trybunami ludu, przybranymi w odznaki oficerów rezerwy i uzyskała poważny wpływ na rozkład armji.

Ta rezerwa, złożona z nauczycieli ludowych, lekarzy, studentów i t. d., licząca w swym składzie narodowym dużą domieszkę Ormian i Gruzinów, objęła właściwą władzę, utworzyła oddziałowe komitety rewolucyjne, nawiązała szybko kontakt z ogniskami rewolucji i za pieniądze rządowe sprowadziła odpowiednią literaturę i agitatorów zawodowych.

Rozpoczęły się wiece za wiecami, a tłumy syte, wyspane i znudzone bezczynnością zbierały się chętnie, by posłuchać opowieści o krzywdach ludu i zbliżającym się raju socjalistycznym, w którym bez pracy otrzymają wszyscy wszelkie dobra doczesne; o zbędności wojny, potrzebnej tylko kapitalistom. O obowiązkach, przywiązanych do tytułu obywatela, nie mówił nikt, wiadomo było, że tego nikt słuchać nie będzie.

Przyjeżdżali również liczni przedstawiciele koalicji, perswadowali, przekonywali, każdy w swoim języku, przy pomocy tłumaczy, o konieczności dalszego prowadzenia wojny; patrzyły na nich tłumy ciekawe, jak na pajaców w cyrku; bawiły się nieznanym uniformem, dźwiękami języka nieznanego, ale nie rozumiały nic.

Najsmutniejszą rolę grali jednak dawni duszpasterze; lud, ubrany w kurtki żołnierskie, stracił nagle wszelkie uczucie religijne, okazywał przedstawicielom duchowieństwa prawosławnego głęboką niechęć; na nabożeństwa nie przychodził nikt, i wkrótce ustały one prawie zupełnie, a kler urzędowego wyznania znikł wprost z powierzchni wypadków.

Zprzeciwka przyglądano się bacznie procesowi rozkładowemu i pomagano mądrze i czynnie agitacji anarchistycznej.

Na froncie nastało faktyczne zawieszenie broni. Niemcy przestali zupełnie strzelać, przysyłali codziennie zręcznie redagowane pisma i broszury w języku rosyjskim, rozrzucali je na tyłach przez lotników, zawiązywali przy pomocy cygar i wódki przyjemne sto-

sunki sąsiedzkie. Czerń umundurowana chętnie ściskała wyciągniętą rękę Niemca, szczególniej, gdy w drugiej znajdowała się tak upragniona butelka wódeczki; zaczęły się wizyty i rewizyty, w okopach rosyjskich ukazały się jakieś dziwne figury, w kurtki żołnierskie ubrane, z odpowiednim programem rozmów.

Niektóre baterje rosyjskie, w których karność jeszcze nie znikła, próbowały strzelać do Niemców, pracujących jawnie nad ulepszeniem swych okopów, ale strzały te spotykały się z ogólnem oburzeniem piechoty i cichą skargą „kolegów niemieckich", którzy prosili kochanych sąsiadów przez delegatów, by poskromiono burzycieli pokoju; wysyłały więc komitety rewolucyjne do krnąbrnych bateryj groźne ostrzeżenia, zapowiadające rozniesienie nieposłusznych artylerzystów na bagnetach.

Zdarzały się jednak oryginalne wyjątki; w 3-ciej kaukaskiej dywizji strzelców, najsłabszej pod względem bojowym, porządek wewnętrzny utrzymywał się najwięcej dzięki wpływowi prezesa komitetu rewolucyjnego dywizji — b. ordynansa dowódcy baterji.

ROZDZIAŁ XV.

W pierwszych dniach maja zaproponował mi ks. Syczewski zorganizowanie w korpusie związku wojskowych Polaków. W warunkach służby przedrewolucyjnych znaliśmy się mało, łączenie się zaś w kółka narodowe było niepodobieństwem, władze rzą-

dowe zrobiłyby z tego spisek, zagrażający jedności państwa; spotykaliśmy się jedynie na mszy, odprawianej może raz do roku przez przyjezdnego ze sztabu armji księdza, a gdy się nabożeństwo ukończyło, wchłaniała Polaków na nowo szara masa rosyjskiego żołnierza. Zdawało się zatem, że w podobnych warunkach mało uświadomiony żołnierz-Polak ulegnie z łatwością ewangelji socjalistycznej, głoszącej równość absolutną, obiecującej wszelkie dary materjalne; zauważyłem jednak, że w składzie komitetów rewolucyjnych nie było zupełnie Polaków, z wyjątkiem jednego bardzo inteligentnego i sprytnego oficera, który potrafił walczyć zręcznie ze skrajnemi tendencjami rewolucyjnemi i uspokajać wybuchy pierwotnych instynktów tłumu.

Inicjatywę kapelana podjąłem zatem chętnie i poparłem ją całą powagą zajmowanego stanowiska. Korzystając z wolności urządzania zebrań, zwołaliśmy na dzień 13 maja pierwsze zebranie rodaków; z dalszych rejonów zwieziono ich końmi lub automobilami ciężarowemi; pomimo dużego rozproszenia zebrało się nas przeszło półtora tysiąca.

Rozpoczęliśmy zebranie od Mszy Świętej; po ukończeniu nabożeństwa zagaił otwarcie obrad w prostych i silnych słowach ks. Syczewski, wskazując, jako hasła przewodnie naszego związku — zjednoczenie na gruncie narodowym, bez domieszki polityki partyjnej, wzajemną pomoc moralną i materjalną, oświatę i obronę przed zgnilizną rosyjską.

Dalsze przewodnictwo objąłem ja i byłem szczerze wzruszony: po raz pierwszy w życiu mogłem przemó-

wić po polsku do gromady oficerów i żołnierzy. Obrady były bardzo ożywione, wśród obecnych narastał szybko nastrój serdeczny, przyjazny, w przemówieniach żołnierskich dźwięczała jednak najbardziej tęsknota za krajem, pragnienie powrotu do kraju.

Gdym po zebraniu wracał do domu, spotkałem korowód z czerwonemi flagami, maszerujący przy dźwiękach Marsyljanki; gdy mnie ujrzano, krzyknął ktoś z tłumu: „Niech żyje nasz dowódca korpusu, on zawsze idzie z nami!"

Zapanował niesłychany entuzjazm, złapano mnie na ręce i poczęto rzucać z wrzaskiem do góry, poczem poproszono, bym poszedł z korowodem; nie było rady, pociągnąłem więc ze stadem. Po chwili nowa pauza, znowu komplementował mnie jakiś inny towarzysz, naturalnie poleciałem kilkakrotnie ponad głowy tłuszczy, opadłem wreszcie szczęśliwie na ziemię, podziękowałem za zaszczyt i wymknąłem się chyłkiem. — *„Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas"*.

* * *

Jeździłem autem do Galaczu dla rozrywki. Piękne to miasto — nad Dunajem, z długą promenadą, zabudowaną ładnemi pałacykami i ślicznym parkiem; w parkowej kawiarni, nad jeziorem Bratyszem, delektowałem się tak dawno niewidzianym widokiem eleganckich pań rumuńskich. Dunaj był bardzo wezbrany, za rzeką widać było górzysty Babadag, z którego Bułgarzy ostrzeliwali od czasu do czasu miasto — właśnie bawili się tem dzisiaj i podpalili cysterny z naftą.

* * *

W połowie maja otrzymałem od Curikowa nakaz przewodniczenia na konferencji dowódców korpusów w kwestji poufnej, którą miał mi zameldować specjalny goniec. Sprawa okazała się nader przykrą. Naczelny wódz, gen. Aleksiejew, nie mając już siły do walki z rozkładową robotą w armji, prowadzoną przez Kiereńskiego i rady robotniczo-żołnierskie, zwrócił się z prośbą do starszych dowódców, by ogłosili w prasie protest motywowany, z podpisami; miał on być ostatnią próbą ratowania armji, a był właściwie tylko aktem rozpaczy, nic już bowiem nie mogło powstrzymać jej upadku. Jednocześnie protest ten był wyrokiem śmierci na tych, co go podpiszą — jasne było, że rewolucyjne komitety ogłoszą ich natychmiast za zdrajców rewolucji i wykonają wyroki w krótkiej drodze.

Zaczęły się więc gorące debaty, czy ofiara nasza może jeszcze uratować armję; trwały one dwanaście godzin i wyjaśniły przedewszystkiem, że nikomu nie chce się umierać, ale stopniowo poczęło brać górę u starych żołnierzy poczucie honoru, i wieczorem protest został podpisany przez pięciu obecnych dowódców korpusów. Wysłałem go natychmiast i wróciłem do domu z ciężkiem uczuciem nieuchronnej śmierci w sprawie bezwzględnie przegranej. Los jednak oszczędził nas tym razem, w dobę później przywiózł mi oficer list Curikowa z zawiadomieniem, bardzo ostrożnem, że Aleksiejew wyrzekł się swego zamiaru, należało zatem sprawę uważać za niebyłą i spalić odpowiednie dokumenty. Charakterystyczną było rzeczą, że w sprawach poufnych musiało do-

wództwo w warunkach obecnych porozumiewać się przez gońców — telefon czy telegraf były właściwie w ręku „towarzyszy“. Curikow okazał się jednak marnym tchórzem.

* * *

Wrócił z Petersburga oficer 7-ej dywizji i przywiózł trochę wieści o nastrojach stolicy. Rząd ustępował zupełnie wobec rady robotników i żołnierzy, ona rządziła jak szara gęś, a na jedno z jej posiedzeń przyjechał nawet ambasador angielski, Buchanan, z posłem japońskim; przyjęto ich bardzo ozięble, i wtedy Anglik oświadczył:

„Słyszeliśmy, że macie ochotę zawrzeć samodzielnie pokój z Niemcami, uprzedzam, że w tym wypadku wypowiemy wam natychmiast wojnę, a resztę dopowie mój kolega“. Japończyk potwierdził cichutko decyzję angielską, dodając, że Japonja ma przygotowaną w Korei silną armję i gotową flotę wojenną, ruszy więc natychmiast do Wschodniej Syberji i zajmie również wybrzeże Oceanu Spokojnego. Podobno wrażenie było bardzo silne.

Następne zebranie naszego związku odbyło się po paru dniach z dużą uroczystością i po raz pierwszy ukazała się nad głowami zebranych chorągiew z Białym Orłem, a orkiestra zbiorowa odegrała nasz hymn, przyjęty z niezmiernem uznaniem.

Zapisy na członków związku dały cyfrę przeszło dwóch tysięcy ludzi; na stanowcze żądanie żołnierzy utworzono prezydjum głównie z oficerów, a zebrani zaznaczyli, że pragną mieć na czele ludzi najbardziej

wykształconych; mnie obrano na honorowego prezesa związku.

W czasie przemówień odezwał się po raz pierwszy pewien zgrzyt; jakiś żołnierz zaatakował na mównicy burżujskie hasła ojczyzny i „białego ptaszka"; ledwie to powiedział, wybuchła burza, zahuczała gromada, wzniosły się groźne pięście i tylko szybka interwencja księdza zażegnała zajście, a niefortunny mówca zniknął wnet wśród ironicznych okrzyków żołnierzy.

Malkontent należał do istniejącej w korpusie grupy lewicowej, niechętnej głoszonym przez nas hasłom; składała się ona prawie wyłącznie z robotników łódzkich, w znacznej części marjawitów. Oburzali się oni na niedemokratyczność prezydjum, klerykalizm naszych zebrań, niechęć do haseł socjalistycznych; trafili jednak na zwartą opozycję wieśniaków, stanowiących większość; nikt nie chciał słuchać międzynarodówki.

Z każdem zebraniem rosło wzajemne zaufanie, nadeszły z Kijowa polskie elementarze, książki, pisma, uczono się zawzięcie czytać i pisać, geografji i historji; wzajemne obcowanie stawało się dla wszystkich potrzebą i radością; oficerowie odpoczywali tu od ciężkiego nastroju coraz to rosnących w oddziałach nienawiści i chamstwa.

Oficerowie-Rosjanie przyglądali się naszej robocie z zazdrością, a żołnierze obojętnie, z pewnym odcieniem podejrzliwości; raził ich uczucia proletarjackie przyjazny stosunek żołnierza do oficera, nie robili nam jednak żadnych wstrętów.

Postarali się o to — swoi.

Grupa lewicowa, zrażona niepowodzeniem swej propagandy, próbowała raz po raz zohydzić kierowników związku w oczach komitetów rewolucyjnych. Pamiętam, jak na jednem zebraniu rewolucyjnem Polak-żołnierz podał przyjezdnemu agitatorowi deklarację piśmienną z donosem, że dowódca korpusu i jego nieoficjalny pomocnik, ks. Syczewski, tworzą bandy imperjalistyczne w celach kontrrewolucji; deklaracja ta została odczytana na wiecu ogólnym, ale nie znalazła w tłumie żadnego oddźwięku. Szczególną nienawiścią otaczali malkontenci ks. Syczewskiego za jego ofiarną i skuteczną pracę narodową.

* * *

Do okopów jeździłem rzadziej, żołnierze słuchali chętnie, gdy przemawiałem, ale to wszystko był groch na ścianę, każdy robił to, co chciał i jak chciał, a najchętniej nic. Zato codziennie prawie pracowałem w związku i zauważyłem ostatniemi dniami, że wśród starszych żołnierzy otrzymałem nową szarżę — tytułowali mnie oni „dziedzicem", chcąc widocznie uczcić: na szczerej wsi polskiej pojęcie „dziedzica" jest przecie dotąd szczytem hierarchji społecznej.

W połowie maja doszły nas wieści, że w Petersburgu miał się odbyć zjazd przedstawicieli związków wojskowych Polaków i miał on rozważyć sprawę formowania odrębnego wojska polskiego; wiadomości o tem były jednak dość bałamutne, nazwiska inicjatorów nieznane, nie wysłaliśmy więc z korpusu nikogo.

Tymczasem za naszym przykładem poszły sąsiednie korpusy, i na uroczyste otwarcie jednego ze

związków otrzymałem zaproszenie. Pierwsze przemówienie wygłosił po rosyjsku świeżo mianowany dowódca korpusu, gen. Kotzebue; życzył związkowi rozwoju a Polsce zjednoczenia i niepodległości, złożył również na cele kulturalne poważną sumę pieniędzy, poczem, nie chcąc krępować swoją obecnością obrad, opuścił zebranie.

Zaproszono mnie, bym przemówił; uczyniłem to w krótkich słowach, podkreślając konieczność skupienia się w imię haseł narodowych i religijnych dla dalszej walki o prawa Polski do zjednoczenia i wolności.

Mowę mą przyjęto z dużym zapałem, stłoczono się dokoła mnie, ściskano i dziękowano. Następnym mówcą był lekarz, Nakoniecznikow; powiedział on mniej więcej to samo, co i ja, ale w innej tonacji, akcentując demokratyzację i prawa ludu, a zakończył okrzykiem:

— Ale my nie pójdziemy za carskimi generałami, naszym wodzem będzie Józef Piłsudski!

Rozległo się parę głosów potakujących, ale wśród ogółu zebranych zapanowało pewne zakłopotanie; widocznie wystąpienie lekarza zaskoczyło prawie wszystkich, spoglądano więc po sobie, szeptano i wzruszano ramionami.

Ja również byłem zdziwiony, bo nie rozumiałem, o jakim Piłsudskim mowa. Wiedziałem, że był Józef Piłsudski, który sformował legjon polski w Krakowie, bił się z jazdą rosyjską w r. 1914 w ziemi kieleckiej... ale przecie stał on po stronie wrogów koalicji, nie mógł więc w żaden sposób objąć dowództwa formacyj polskich, walczących po jej stronie; pytałem więc

oficerów, czy nie było czasem w armji rosyjskiej generała tego nazwiska, ale zapewniano mnie, że istniał tylko jeden działacz — Józef Piłsudski. Zainterpelować p. Nakoniecznikowa nie chciałem, ze względu na jego mało taktowny wyskok w stosunku do mnie - gościa, pozbawiony zresztą poważniejszego znaczenia.

Szanse formowania polskiej armji były jednak słabe, przeszkadzali przedewszystkiem nasi lewicowcy, nieprzychylne tendencje zaznaczyły się również i w sferach rządowych. Guczkow ustąpił, a polską dywizję, mającą być kadrą formacji, posłano na front.

* * *

Odwiedził mnie gen. Kotzebue i zakomunikował ciekawy szczegół z historji małżeństwa ostatniego cesarza. Ojcu generała, który był posłem rosyjskim w Hessen - Darmsztacie, poruczono szukać kandydatki na narzeczoną dla następcy tronu. Najbardziej nadawała się pewna księżniczka heska, która zgodziła się na to małżeństwo, mówiąc z humorem:

— Co mi tam, przecie nihiliści rzucają zwykle bomby na cara, a nie na carowę. — Powiedzenie to doszło do Aleksandra III i rozgniewało go, kazał więc szukać gdzie indziej. Wilhelm raił bardzo ks. Alicję, ale ona opierała się wciąż; otóż pewnego razu przyjechał cesarz niemiecki do Darmsztadtu, i Kotzebue był świadkiem, jak po wizycie u księżniczki, Wilhelm wyszedł szybko z jej apartamentów, wołając radośnie na cały głos: „Sie hat ja gesagt". Wiedział Niemiec, czego się cieszył.

Przyjeżdżali emisarjusze z Petersburga, delegowani przez komitet wykonawczy; jednym był s. d., drugim — s. r. Po szeregu konferencyj w dwóch korpusach, przerwali objazd i wrócili śpiesznie do stolicy z raportem: „Tak dalej nie może trwać". To samo stwierdził w świetnej mowie Kierenskij, zrozumiał on, do czego dążyła tłuszcza rewolucyjna, i przeląkł się. Gabinet koalicyjny ocaliłby może położenie wewnętrzne, ale losy wojny były przesądzone, nastąpił rozkład armji.

* * *

W „Dzienniku Kijowskim" przeczytałem ohydną rezolucję odłamu I-ego strzeleckiego pułku polskiego, skierowaną przeciwko naszym formacjom. To nikczemność—siać waśń w tak ciężkich dla nas chwilach! Nie wiedziałem, jak reagował na to pułk, ale „Dziennik" sympatyzował widocznie z temi tendencjami, gdyż skwapliwie notował wszelkie uchwały przeciwko formowaniu polskiej siły zbrojnej. Wobec rozbieżności opinji polskiej, wydawała mi się moja kandydatura na dowódcę wojska polskiego nader wątpliwą, miałem odrazę do walki politycznej, posługującej się stale potwarzą i podstępem, nie zabiegałem o łaski żadnej partji, a zresztą byłem nieobecny — nie miałem zatem racji.

* * *

Niemcy byli wciąż niezadowoleni z mojej artylerji, która jednak trochę strzelała, przysyłali więc teraz zapomocą dział puszki z gazetami i odezwami;

skarzyli się w nich żałośnie, że artylerja nie uznawała rozejmu, prosili piechotę, by wpłynęła na opornych, obiecywali dostarczać listy jeńcom i ludności okupowanych miejscowości, byle tylko armaty moje nie przeszkadzały. Szatańska to była perfidja, a na nią łapało się łatwo moje bydło. Bezczelność swą posuwali Niemcy do tego stopnia, że przysyłali raz po raz parlamentarzy, proponujących zawieszenie broni w imieniu pułków, dywizyj a nawet korpusów, lecz narazie powodzenia nie mieli. Walka orężna z przeciwnikiem toczyła się jeszcze w powietrzu, wysyłał on wciąż aeroplany na przeszpiegi lub z wybuchającemi w rejonie sztabów „prezentami"; moje baterje odpędzały je, a niszczyciele atakowali, robiło się więc piekiełko i to zwykle wczesnym rankiem; posłałem im wreszcie z rewizytą całą eskadrę samolotów, która zrzuciła na najbliższy sztab dywizji serję bomb. Takie fragmenty były mi obecnie bardzo przyjemne, przypominały bowiem wojnę.

Zjazd wojskowych Polaków w Petersburgu odbył się; wynikły tam duże tarcia, gdyż większość domagała się utworzenia odrębnej siły zbrojnej, posiadającej prawa armji koalicyjnej, mniejszość zaś lewicowa wystąpiła przeciwko formacjom, których jakoby kraj sobie nie życzył, nazywała je reakcyjnemi i militarystycznemi zakusami burżuazji. Większość przeforsowała jednak swój pogląd i wyłoniła komitet wykonawczy, nazwany w skrócie Naczpolem.

Na prezesa komitetu wybrano *chorążego* Raczkiewicza, członkami zostało kilku oficerów i *żołnierzy*; taki rezultat wyborów zaniepokoił mnie tem bardziej,

że *zastępcą członka komitetu* został dowódca korpusu, gen. Dowbór-Muśnicki.

Skąd się wysunął na czoło organizacji wojskowych formacyj chorąży, co robili w komitecie żołnierze, ludzie może bardzo wykształceni, ale nie mogący mieć nawet elementarnych pojęć o zasadach organizacji wyższych jednostek wojskowych, dlaczego zepchnięto wybitnego generała do roli zastępcy jakiegoś żołnierza? Wyglądało to wszystko na echo hasła rosyjskiej rewolucji „dołoj gramotnych"!

Miał również komitet wybrać na prezesa honorowego Józefa Piłsudskiego. Zrozumiałem wtedy, że wystąpienie lekarza Nakoniecznikowa na inauguracji związku nie było odosobnionym faktem i że jakieś elementy lewicowe prowadziły propagandę w tym kierunku. Ze strony komitetu wyglądało to na rodzaj asekuracji od strony lewicy, zresztą cała akcja petersburska nie wyglądała poważnie. Przestaliśmy się więc interesować Naczpolem, co nie było nawet trudne, gdyż przez cały czas mego pobytu w korpusie nie dał on najmniejszego znaku życia. Później dowiedziałem się, że uhonorowanie Józefa Piłsudskiego odbyło się na wniosek partji socjalistycznej, reprezentowanej na zjeździe przez p. kapitana Matuszewskiego.

W armji atmosfera bezwładu trwała. Pod naciskiem mocarstw koalicyjnych zdecydowało się nareszcie Naczelne Dowództwo na dokonanie zaczepnej dywersji w Rumunji, mającej na celu przytrzymanie tu znaczniejszych sił przeciwnika. Natarcie miał wykonać, niestety, mój korpus, posiadający na drugim brzegu rzeki niezłą po-

zycję wypadową, poza tem wydawał się on mniej zdemoralizowany, niż inne.

Ja jednak nie miałem żadnej wiary w pomyślne rozwiązanie zadania; piechota zatraciła zupełnie dawną tężyznę, a ona przecie miała decydować o powodzeniu natarcia; pewne nieduże szanse dawała zresztą słabość przeciwnika, który obsadził ten front drugorzędnemi formacjami, i siła mej ciężkiej artylerji, którą miano wzmocnić do 23-ech bateryj. Z drugiej strony znowu, zainstalowanie na odcinku jednego korpusu tak dużej ilości artylerji oraz niezbędne rekonesanse nie mogły ujść uwagi „towarzyszów“, którzy naturalnie dzielili się sami spostrzeżeniami z „kameradami“ przy codziennym kieliszku; wyłączało to zatem możność zaskoczenia przeciwnika, miał on czas, wiedząc o mych przygotowaniach, zaordynować odpowiednie antydotum.

Upadek karności w korpusie sprawdziłem wkrótce przy projektowanej zmianie dywizyj, zajmujących front. Ponieważ stanowisko za rzeką było najbardziej przykre, chciałem, dla wyrównania trudów między dywizjami, przenieść 7-ą dywizję, stojącą tu od miesiąca, na stanowisko 1-ej dywizji, odgrodzonej Seretem od przeciwnika; zamiar ten spotkał się jednak ze stanowczym sprzeciwem komitetów 1-ej dywizji, które zdecydowały, że stanowiska swego nie ustąpią, bo dywizja już się zagospodarowała i jest jej tu dobrze, 7-a zaś może robić, co jej się podoba. Zmiany dokonano jednak, ale dopiero po trzech dniach sporów i debatów; oporni ustąpili nareszcie, przekonani przez decyzję delegatów, w imię „proletarjackiej równości“. Trzeba było być bardzo naiwnym, by uwierzyć, że taki mo-

tłoch da się nakłonić do wykonania natarcia, gdy i poprzednio przy dużej karności wypadało nieraz pędzić pułki do ataku ogniem własnych kulomiotów.

* * *

Miałem tej ohydy dość, przestałem więc jeździć na front i wolałem go oglądać z lotu ptaka. Wybierałem zwykle do tych spacerów godziny przedwieczorne. Z wrażeniami lotu byłem obznajmiony oddawna, wciąż jednak nęciły mnie one niewymownie, oko cieszyło się urozmaiconą symfonją barw otaczającego przestworza, a ziemia z wysokości dwóch tysięcy metrów wydawała się zielonym kilimem o fantastycznym deseniu, nakrapianym błyszczącemi w słońcu stawami, przetykanym drogami i rowami. Błękitniały wtedy troski, błogie zapomnienie przesłaniało dręczącą rzeczywistość, ale tylko do pewnego stopnia.

W akordzie odbieranych wrażeń dawały się jednak odczuwać pewne nieuchronne zgrzyty: przejmujące warczenie śmigła unicestwiało słuch, a silny prąd powietrza, uderzający w twarz, zmuszał do forsownego utrzymywania głowy na miejscu; niemiłe również były niekiedy skoki samolotu w t. zw. studniach powietrznych, brakło więc w całokształcie wrażeń elementów spokoju i ciszy, tak głęboko odczuwanych w czasie lotu balonem, gdy to nasuwa się stale pamięci wiersz: „Leżę na obłoku, zatopiony w ciszę".

Z chwilą przelotu ponad Seretem kończył się właściwie okres kontemplacji. Miękko falująca, srebrna wstęga rzeki była pasem śmierci, ujętym w twarde, zębate linje okopów, budził się więc instynkt samo-

zachowawczy, i rzeczywiście prawie natychmiast ukazywało się wpobliżu samolotu kilka obłoczków, a przez huk motoru dochodził słaby odgłos wybuchów. Mało jednak zwracało się na nie uwagi, obłoczki te stwierdzały tylko, że niebezpieczeństwo już minęło, że przed chwilą otarła się o nas cicha, niewidoczna śmierć.

Rzeczywistym przeciwnikiem lotnika jest tylko wróg skrzydlaty, który może lada chwila wychynąć z obłoku, zaatakować ztyłu ogniem z kulomiotu; wypatruje więc obserwator z natężeniem dokoła, sprawdza raz po raz obrotność kulomiotu, by w razie natarcia rozpocząć śmiertelny najczęściej pojedynek podobłoczny.

Ale „Taube" ukazywały się nieczęsto, leciały zawsze w przyzwoitej odległości, nie okazując ochoty do walki, eskortowały właściwie nieproszonego gościa. Zresztą nie zapuszczałem się głęboko w rejon nieprzyjacielski, nie widziałem obecnie celu, wracaliśmy więc prędko w swoje granice, by uchwycić ostatnie chwile zachodu słońca. Gęstniały wtedy barwy, gasły wody, drzewa i domy rzucały długie cienie; z chwilą, gdy tarcza słoneczna dotykała horyzontu, wznosił się samolot na dany znak stromo do góry — pragnąłem przedłużyć jeszcze na chwilę wspaniały widok zachodu. Nikło jednak słońce, milkł nagle motor, nastawała ogromna cisza, samolot zsuwał się po niewidzialnych płozach powietrznych ku ziemi, ogarniał nas mrok przyziemny, wracała brudna rzeczywistość.

21-go maja nadszedł rozkaz nowego ministra wojny, pułk. Wierchowskiego, odcinający nam odwrót — wstrzymywał on dymisje starszych dowódców aż do

zawarcia pokoju, będziemy zatem trwali — „contra spem sperare". U mnie było niby spokojnie, ale nie miałem pewności, czy za cztery godziny korpus nie zechce pójść do domu. Odwiedzałem w Galaczu dowódcę korpusu, Baranowa, i zastałem go w doskonałym humorze, bo zdążył podać się do rezerwy przed otrzymaniem zakazu. Byłem potem w kinematografie — sala miała wygląd niezwyczajny: tysiąc szarych koszul, może dwadzieścia „dam" i my czterej oficerowie; całe towarzystwo bawiło się bez żenady... wesoły śmiech, wypluwanie wprost przed siebie „siemiaczek" i fale woni, bijącej dobitnie w nos. Wytrzymaliśmy tam pół godziny. Kolacja w znośnej restauracji, wśród rozbawionej i bardzo wesołej rzeszy oficerów, była jeszcze bardziej przykra, zresztą pamiętałem, że w czasie katastrofy mukdeńskiej w r. 1905 brać oficerska zachowywała się w Warszawie w taki sam sposób.

* * *

W końcu maja zaczęło się zapowiadać pierwsze przesilenie. Zrozumiał Kierenskij nareszcie, że armja ginie, i zapowiedział wprowadzenie „żelaznej karności". Ciekaw byłem jednak, jak on się do tego weźmie? Bestję ludzką wypuszczono z klatki, i poczuła ona, że posiada kły ostre...

Porządku na kolejach w obrębie Ukrainy pilnowali z dużem powodzeniem kozacy, nahaje były w robocie, „towarzysze" więc spokornieli. U mnie też nastąpił pewien zwrot ku lepszemu — jeden pułk strzelców i brygada artylerji postawiły żądanie rozpoczęcia akcji zaczepnej; lepiej wogóle szły roboty inżynier-

skie, ale dobre zamiary bez realnej karności mogły się, wobec perspektywy śmierci, przy natarciu z łatwością rozwiać.

Mieliśmy w Galaczu zjazd delegatów polskich związków wojskowych naszej armji; zebranie trwało siedem godzin w podniosłym nastroju, który u żołnierzy był nawet wyższy, niż w korpusie oficerskim. Patrząc na nasz sztandar, słuchając orkiestry, grającej w czasie mszy nasze piękne pieśni religijne, płakało wielu. Przemawiałem kilka razy na temat jedności braterskiej i formowania armji polskiej; parcie ku temu było olbrzymie, decyzję odłożyliśmy jednak do ogólnego zjazdu przedstawicieli naszej emigracji i związków wojskowych.

Przy wyborze delegatów przeszły olbrzymią większością głosów żołnierskich wszystkie kandydatury oficerskie. Takie zebrania podnosiły niesłychanie ducha, wywoływały i krzepiły nadzieję lepszej przyszłości. Poznawałem teraz wszystkich Polaków mego korpusu przedewszystkiem po tem, że, salutując mię siarczyście, patrzyli jednocześnie w oczy, a usta drgały im ochotą do szczerego uśmiechu.

Korzystając z dobrego nastroju żołnierzy, kazałem wzmocnić ogień artyleryjski. Niemcy czas jakiś milczeli, ale wreszcie przemówili z widoczną irytacją. Obserwowałem pojedynek artyleryjski koło jednej z bateryj; w pewnej chwili znaleźliśmy się w centrum obstrzału, zwróciło jednak naszą uwagę, że siła wybuchów pocisków była znacznie mniejsza, a drążone leje nieduże, widocznie strzelano bombami gazowemi; wypadło nałożyć maski, które zamieniły nas

w jakieś potworne maszkary. Praca przy działach trwała nadal, ale ruchy kanonierów straciły elastyczność i energję, ja zaś począłem się wprost dusić; na szczęście, przeciwnik przerzucił wkrótce ogień w inne miejsce, zerwałem więc ohydny kaptur, ale wkrótce opanował mnie gwałtowny kaszel. Musiało mi trafić coś do płuc, widocznie źle włożyłem maskę. Towarzysze moi nie ucierpieli, ale uległy zatruciu konie, ukryte za górą, nie pomogły im włożone na głowę torby, namoczone w wodzie. Mój inteligentny szef sztabu skoncypował potem telefonogram do armji, że w czasie ognia zatruł się gazami dowódca korpusu i 39 koni, znalazłem się więc w odpowiedniem towarzystwie. Objawy zatrucia gnębiły mnie potem przez czas dłuższy.

Zaziębiłem się ogromnie w czasie lotów, i lekarz internował mnie pomimo upału w moim smutnym pokoiku, gdzie mogłem nawet spacerować, na przestrzeni czterech kroków, pomiędzy otomanką a łóżkiem; miałem zresztą pewne rozrywki, zaglądała do mnie często przez okno — dziewczynka trzyletnia, po cukierki, i pies łańcuchowy, po kawałek chleba lub pieszczotę; widok dalszy — pięć kaczek, kura z kurczętami, wieprz, płot, plac, cerkiew i dużo kurzu, z drugiego okna — ule i parę drzewek. Czytałem więc moc różnej makulatury, zdobywał mi ją Nieczajew. Urozmaicali mi również czas różni delegaci, przyjeżdżający z Rosji, dla agitacji za akcją zaczepną. Tłumaczyłem im bez ogródek, że mamy już dość kaskad wymowy, i armja oczekuje od rządu aktu, któryby stwierdzał realną siłę władzy, nie pójdzie też

naprzód, o ile na tyłach w Rosji będzie trwała anarchja. Goście moi przeważnie nie nosili kołnierzyków i rekrutowali się ze sfer rzemieślniczych; był między nimi i żydek „artysta“ z kabaretu. Próbowali jeszcze przemawiać przedstawiciele armij koalicyjnych, ale zaczynało to żołnierzy nudzić, i nie słuchali ich prawie. W pewnej chwili miałem u siebie dziewięciu agitatorów. Ciężką chorobę przeżywało państwo rosyjskie, zainscenizowało odrazu trzy rewolucje — polityczną, socjalną oraz wojenną, i to w chwili, gdy wróg stał na jego terytorjum. Miałem nieraz wrażenie, że Rosja zwarjowała, a jej bohaterowie przypominali mi częste niegdyś wizyty w szpitalu dla chorych umysłowo, gdy, rozmawiając spokojnie i rozsądnie z którymkolwiek pacjentem, miałem się zawsze na baczności, by mnie nie uderzył lub zadusił. Obecne „szczyty“ to byli wszystko ludzie chorzy na histerję polityczno-socjalną, a dokoła nich stek wyrzutków społeczeństwa, żerujących na rozkładzie państwa. Ładny to musi być okaz ów porucznik Kuźmin, mianowany pomocnikiem naczelnego wodza w Petersburgu.

Kierenskij i jego towarzysze traktowali jednak niechętnie ideę tworzenia armji polskiej, wobec zdecydowanie narodowych tendencyj żołnierza polskiego, nie ulegającego nowinkom socjalistycznym. Zrodził się we mnie zamiar, by w razie rozchwiania się naszych formacyj, wziąć dymisję i wstąpić do armji angielskiej lub amerykańskiej — tam potrzebowano fachowców.

10 czerwca. Przysłano mi kilku oficerów - eksżandarmów, o doskonałej prezencji; nie wiedziałem jednak, co z nimi robić, bo pułki nie chciały ich przyjąć.

Korpus mój odchodził na jakiś czas do rezerwy frontu, narazie będzie mi może lżej, ale z powrotem na bojowe stanowiska mogło być gorzej. A nuż „towarzysze“ nie zechcą się ruszyć, jeżeli kwatery na tyłach będą miłe... Przykład tego mieliśmy przed dwoma tygodniami: 163-iej dywizji, stojącej w Kagule, kazano iść na front; odmówiła, a na czele protestujących organizacyj trzech pułków stanął ppor. Filipow, b. nauczyciel ludowy. Usunął on, z pomocą czterech chorążych, dowództwo, zbuntował chłopów, i zaczęła się zabawa: zrabowano szereg majątków, używano sobie dosyta chleba, mięsa, wina. Wszelkie pertraktacje nie zdały się nanic. Dopiero komitet armji, po ciężkim namyśle, zdecydował się zlikwidować rzeczpospolitą kagulską; zorganizowano więc oddział, złożony z dwóch bataljonów piechoty, dwóch pułków jazdy, dwóch bateryj, czterech pionierek i aeroplanów, a dowództwo objął gen. Biskupskij; otoczono uzbrojoną tłuszczę i zażądano aresztowania prowodyrów w ciągu dwóch godzin. Hołota ostatecznie stchórzyła i wydała pięciu oficerów oraz dwustu podżegaczy żołnierzy; będą oni oddani pod sąd, ale nic się im nie stanie, po wyroku okażą gorącą chęć służby bojowej, i zobaczymy ich znowu na froncie. Prowadziłem śledztwo w sprawie ewentualnej winy dowództwa i stwierdziłem, że zawinili wszyscy, nie wyłączając dowódcy korpusu, główna zaś wina spadała na władze centralne.

Wystąpili obecnie Ukraińcy z pretensjami narodowemi. Przy obecnym stanie państwa mogły one być groźne, szczególniej wobec znanych środków walki tego plemienia: nóż, stryczek, czerwony kogut były

zawsze ich metodami za Nalewajki i Gonty; nie zmieniły się one i teraz, mieliśmy tego przykład na Ukraińcach małopolskich. U nas na froncie z ruchem ukraińskim było cicho, niby coś projektowano, wzięto nawet na wzór naszą ustawę, z charakterystyczną uwagą, że chcą zorganizować swe wojsko frontem na wschód. Tam widocznie upatrywali oni teren przyszłych walk.

Bardzo mi się podobało śmiałe, publiczne odezwanie się gen. Denikina, dowódcy armji, do oficerów: „Wy nie jesteście sami, z Wami łączy się wszystko, co w narodzie jest uczciwego i myślącego, co zatrzymało się na granicy redukowanego obecnie zdrowego sensu". Popamiętają mu to entuzjaści przewrotu... Znałem dobrze tego generała, posiadał mocny charakter i talent; ukończył realną szkołę w Łowiczu i dobrze mówił po polsku, zrodzony z matki Polki.

14-go czerwca otrzymałem od p. Ignacego Grabowskiego list, w którym zapraszał mnie na zjazd polskich organizacyj politycznych w Kijowie, dla poparcia idei utworzenia polskiej siły zbrojnej; nadmienił również, że mają tam do mnie wszyscy duże zaufanie, ale „Dziennik Kijowski", z red. Paszkowskim, zajął w kwestji naszych formacyj nieprzychylne stanowisko. P. Grabowskiego znałem z Warszawy, jako działacza społecznego i literata o głębszym umyśle, poważnym patrjotyzmie i pokrewnych mi poglądach; bardzo mi zatem miły był jego list, i zdecydowany byłem przejść do wojska polskiego na stanowisko dowódcy korpusu.

* * *

Miałem wrażenie, że nasze sprawy wojskowe brały lepszy obrót. Dopomogło przedewszystkiem two-

rzenie armji polskiej we Francji, co wytrącało naszej lewicy jedyny argument sprzeciwu. „Władza“ zaczynała również przemawiać inaczej, miałem nawet telegram z góry z wiadomością, że opracowują się podstawy dalszego rozwoju wojska polskiego, jednak rząd przeciwstawia się samowolnej organizacji jakichkolwiek oddziałów narodowych. Miał być uformowany tylko jeden korpus, drogą przekształcenia stopniowo korpusu 2-go przy pomocy dokompletowywania „od tyłu“. Na to się naturalnie nie zgodzimy, ważne było przedewszystkiem ustalenie zasady naszej odrębności, w praktyce potrafilibyśmy ją rozszerzyć — szczególniej, jeżeli będziemy mieli pomoc ze strony posłów państw sprzymierzonych.

Nastrój w korpusie był dobry, pogoda doskonała, gorąco, przyjemnie się zatem próżniaczyło na syto; wymagań naturalnie jakichkolwiek lepiej było nie stawiać — to stary regime... Marzyłem o wyjeździe do Kijowa; jeżeliby korpus poszedł do rezerwy, byłoby to możliwe.

Na tyłach zaczęła się agitacja komunistów z niejakim Leninem na czele; znajdowała ona chętny posłuch wśród plejady tchórzów, którzy znaleźli nareszcie teorję, usprawiedliwiającą ich podłość.

Przy panującej na froncie ciszy niemałą sensacją było w tym okresie zbombardowanie sztabu korpusu przez ciężką artylerję niemiecką; zaczęło się ono pod wieczór, trwało pół godziny, wywołało w taborach duże zamieszanie i pewne straty w ludziach, padło też sporo koni. W czasie paniki obserwowałem ogromną różnicę pomiędzy zachowaniem się ks. Syczew-

skiego i jego kolegów prawosławnych. Ksiądz przez cały czas stał spokojnie pod drzewem, popi zaś uciekli w pole bez czapek, z rozwianym włosem. Najbardziej dotkliwą stratą dla korpusu było zdemolowanie przez pociski dwóch aeroplanów, których używałem do inspekcji frontu.

By nie być Niemcom dłużnym, kazałem natychmiast rzucić na ich odpowiedni sztab czterdzieści ciężkich pocisków, poczem otrzymałem krótką replikę, i nastała cisza. Nie rozumiałem narazie, czemu Niemcy zaszczycili mnie swą uwagą, rozwiązanie tej zagadki otrzymałem nazajutrz: lotnik niemiecki zrzucił nad mym sztabem zawiadomienie, że bombardowanie ich było odpowiedzią na bomby, które moi lotnicy zrzucili poprzedniego dnia na locum ich dowództwa; komunikat kończył się zapowiedzią, że za każdą rzuconą bombę otrzymamy z ich strony dziesięć. Na tem skończyła się wymiana grzeczności, a spowodowali ją właściwie nie moi lotnicy, ale eskadra francuska, która przyleciała do mnie na gościnny występ i z własnej inicjatywy obrzuciła Niemców bombami.

* * *

Goście przyjeżdżali serjami; nadjechała 16-go czerwca grupa „batiuszków" ze sztabu armji; czy się ocknęli z letargu, czy wyleźli z pod stołu — nie wiedziałem. Przyjechali propagować wojnę, a mówić nie potrafili i wielkiego zainteresowania nie wzbudzili; słuchaczy znaleźli może trzystu. Z nimi przyjechał kapelan katolicki, i wielebni ojcowie chcieli, by i on społecznie przemawiał, ale wykręcił się. Ksiądz ten bardzo mi się

nie podobał, był neo-Litwinem, niechętnym Polsce i naszym formacjom; ks. Syczewski traktował go również ozięble.

Ukazali się w Rosji „Wariagi" nowego pokroju i to bez zaproszenia: Anglicy zajęli Archangielsk, a Japończycy ciągnęli od wschodu i byli już w Charbinie. Szkoda, że to tak daleko...

Przybył nareszcie nowy szef sztabu, gen. Peters. Zdawało się, że to dobry pracownik, ale ma widocznie suchy charakter. Opowiadał mi on, że Kronsztadt był wciąż w stanie ostrej anarchji.

Bombardowanie mego sztabu miało dobre skutki: wypadło wyprowadzić tabory w bezpieczniejsze miejsce, a z niemi powędrowały mirjady much, które zatruwały mi życie; opustoszała również wieś, mieszkańcy ze strachu wynieśli się na pola i obozowali tam. Wątpiłem jednak, czy się ostrzeliwanie Tudor Wladimirescu prędko powtórzy, udało się bowiem ujawnić baterje napastnicze i zdemontować je. Znikły wnet cichaczem.

W końcu czerwca korpus odszedł na tyły, a ja wyjechałem do Kijowa.

ROZDZIAŁ XVI.

Zastałem w Kijowie duże ożywienie, zjechali się zewsząd nasi działacze polityczni na emigracji i moc

obywatelstwa kresowego. Obrady zjazdu już się właściwie rozpoczęły. Wśród działaczy wojskowych poznałem wkrótce porucznika-inżyniera Henryka Bagińskiego, człowieka bardzo energicznego, pełnego inicjatywy, gorącego zwolennika formowania wojska polskiego w Rosji.

O sprawie naszej organizacji dyskutowaliśmy kilkakrotnie z udziałem gen. Świdzińskiego, uważaliśmy jednak, że, wobec braku wyraźnych dyrektyw z kraju, stroną polityczną istnienia polskich formacyj winien zająć się Komitet, wybrany z przedstawicieli naszego społeczeństwa na emigracji, związany wspólną ideologją z Komitetem paryskim, o którym mieliśmy zresztą tylko mgliste wieści.

Poważną przeszkodą przy tworzeniu organizacji i kierownictwa politycznego był Naczpol; składał się on przeważnie z ludzi zbyt młodych i zupełnie niekompetentnych w sprawach wojskowych i politycznych. Wśród członków było wprawdzie kilku poważnych fachowców, ale wszystkie wpływowe stanowiska zajęli dyletanci, brakło również polityków, a przecie o formację trzeba było walczyć nietylko z rządem, niechętnym nam pomimo szumnych frazesów, ale i z grupami własnych rodaków, zwolenników mocarstw centralnych. Niestety, nie było w Rosji poza Naczpolem innego organu centralnego do spraw wojska polskiego, zgodziłem się więc, ulegając namowom p. Bagińskiego, który zresztą zapatrywał się na Naczpol również krytycznie, na wysłanie do Komitetu projektu organizacji wojska polskiego, opracowanego

przez nas w Kijowie. W osnowę projektu wchodziła zasada, że wojsko polskie, tworzące się w Rosji, musi mieć prawa armji eksterytorjalnej, w stosunku do armji rosyjskiej — sojuszniczej, walczącej przeciwko centralnym mocarstwom o niepodległość i zjednoczenie Polski. Na przesłany memorjał odpowiedzi nie otrzymaliśmy, Naczpol pozostawił front południowy i rumuński, liczący może połowę ogólnej liczby wojskowych Polaków, własnym losom, mój sceptycyzm zatem, co do zbędności poczynionego kroku, był słuszny.

Tymczasem w Kijowie toczyły się przewlekłe narady polskich działaczy w sprawie wytycznych dla naszej polityki w Rosji, i dyskusje prowadzono z coraz to rosnącem roznamiętnieniem, nie zapowiadały więc one pomyślnego wyniku. Podniecające przemówienia p. Stanisława Grabskiego, słuszne zresztą co do treści, nie przyczyniały się bynajmniej do uspokojenia umysłów, chociaż starał się o to bardzo wytrawny i zrównoważony polityk, Józef Bartoszewicz.

Pomimo namowy niektórych działaczy, nie zabierałem głosu na ogólnych zebraniach, nie czułem się powołany do przemawiania w sprawach politycznych, na prywatnych naradach zaznaczałem jednak możliwość uformowania na Ukrainie i w Rumunji po jednym korpusie. Kadrą pierwszego mógł być dowodzony przeze mnie XXIX-ty korpus, posiadający liczny, dobrze zorganizowany, związek wojskowy polski; stał on na terenie Rumunji, i przeszkód z jej strony być nie mogło.

Proszono mnie, bym dla podniesienia nastroju wypowiedział odczyt; mówiłem na temat stosunku ducha do techniki w znaczeniu wojennem. Po mnie przemawiał Stanisław Grabski, nawołując do tworzenia polskiej siły zbrojnej.

Narady kijowskie nie doprowadziły jednak do żadnego pomyślnego rezultatu; politycy nie osiągnęli porozumienia, zjazd rozwiązał się, podzieliwszy polską emigrację na dwa wrogie, namiętnie się zwalczające, obozy. Ofiarą tych walk zostały formacje polskie; straciliśmy doskonałą chwilę do skupienia się w jeden silny organizm wojskowy, kierowany zwartą wolą społeczeństwa. W tym czasie przeniósł się Naczpol do Mińska, bawił tam również por. Bagiński; z listów jego dowiedziałem się, że w najbliższym czasie będę mianowany dowódcą I-go polskiego korpusu, nadszedł nawet w początku sierpnia telegram, podpisany przez członka Naczpola, por. Jakowickiego, wzywający mnie do Mińska, dla objęcia korpusu. Wolałem jednak poczekać na urzędowe potwierdzenie; nadeszło ono w dwa dni później: dowódcą I-go korpusu został gen. Dowbór-Muśnicki, młodszy ode mnie, ale bardzo poważny fachowiec, z wykształceniem oficera sztabu generalnego. Był to dla mnie przykry zawód, w każdym jednak razie sprawa dostała się w dobre ręce. Co było powodem zmiany proponowanego dowództwa, wyjaśnił mi do pewnego stopnia list por. Bagińskiego z dn. 29 września, z którego cytuję wyjątki:

„Niemianowanie pana generała dowódcą pierwszego korpusu przeszedłem, jako ciężką chorobę!

„Tłumaczono mi, że nazwisko pana generała, w zestawieniu z kanclerzem niemieckim (też Michaelis), byłoby prowokacją dla koalicji, lecz w te opowiadanie proszę nie wierzyć, bo oświadczono mi oficjalnie w Piotrogrodzie, że gen. Dowbór-Muśnicki był pierwszym kandydatem, wysuniętym przez Komitet Wykonawczy (Naczpol), a pan generał drugim".

„Sądzę jednak, że sprawa wojska polskiego stanie wkrótce na szerszym gruncie, i wtedy Rada Polska (Zjednoczenia Międzypartyjnego, wyłonionego w Moskwie) będzie miała tutaj głównie coś do powiedzenia. Stawiają kandydaturę pana generała na dowódcę armji polskiej".

„Po niemianowaniu pana generała wyjechałem do Piotrogrodu, by wytłumaczyć fakt bagatelizowania postulatów, wysuniętych przez pana i przesłanych w memorjale Towarzystwa Wiedzy Wojskowej. Okazało się, że *Naczpol nie ma żadnego oparcia oficjalnego, wisi w powietrzu* i dlatego nic żądać nie może".

Zapowiedziana przez Kiereńskiego na lipiec, generalna ofensywa we Wschodniej Małopolsce zamieniła się w tragifarsę; po chwilowem powodzeniu nie wytrzymali „towarzysze" nacisku Niemców i poszli w rozsypkę. Zdawało się, że położenie jest groźne, przeciwnik mógł zalać bez wielkich ofiar całą Besarabję z jej ślicznym urodzajem, a może i Rumunję, pościg był jednak słaby, Niemcy ograniczyli się do wyrzucenia Rosjan z pozostałej części Małopolski, a dalsza akcja ich przeniosła się bardziej na południe, w oko-

lice Oksza i Mereszeszti, gdzie jednak zostali odparci. Moja dawna 13-a dywizja biła się przy boku zreorganizowanej armji rumuńskiej bardzo dobrze. Brak widać było przeciwnikowi poważniejszych rezerw.

ROZDZIAŁ XVII.

Nie miałem nadal co robić w Kijowie i postanowiłem wrócić do korpusu, który w tym czasie przenosił się na Bukowinę; nie mogłem jednak w żaden sposób dowiedzieć się, gdzie mianowicie me wierne zastępy przebywają. Telegramy pozostawały bez odpowiedzi, anarchja komunikacyjna rozwinęła się już na dobre, ale korpus nie był przecie igłą w stogu siana, wyjechałem więc na poszukiwanie i wkrótce na stacji Razdzielnej trafiłem na sztab 7-ej dywizji strzelców, przewożonej do Bielc w Besarabji; pojechałem z nimi i trafiłem na chaos, siadłem więc do auta i po kilku godzinach znalazłem się w Jassach.

Z dużą przyjemnością spędziłem parę godzin w towarzystwie gen. Szczerbaczewa. Przy obiedzie śmiano się z oryginalnego zatargu pomiędzy dowódcą frontu a komisarzem naczelnego dowództwa praporszczykiem (!) Charito, *ex re* korespondenta deputatów sowietu petersburskiego, Wołkowa. Otóż pan ten zażądał bezczelnie w sztabie frontu, by wysłano do sowietu następujący telegram: „W sztabie gen. Szczerbaczewa zagnieździła się trwale kontrrewolucja, władza traktuje ją życzliwie".

Oficer, który przyjmował depeszę, nazwał korespondenta łotrem i w czasie dyskusji uderzył go w twarz, strącając mu binokle; poczęstowany trybun ludu wybiegł, grożąc zemstą, ale po chwili wrócił po swe binokle, oburzał się przytem na niekulturalne zachowanie oficera: „Już drugi raz biją mnie po twarzy, a wtedy bił mnie zwyczajny chłop, który rozumiał, że binokli tłuc nie należy, i kazał mi je przed uderzeniem zdjąć“... Rozumowanie wprost rozbrajające!

Ale komisarz ujął się za obrońcą ludu i żądał ukarania oficera, który „obraził rząd“. Szczerbaczew naturalnie odmówił, uważając zajście za sprawę prywatną.

Po obiedzie omówiłem z generałem kwestję spolszczenia XXIX-ego korpusu; propozycja moja została życzliwie przyjęta z tem zastrzeżeniem, że jednocześnie musi być rozwiązana kwestja formacyj ukraińskich, bardziej złożona z powodu braku oficerów tej narodowości.

* * *

Mój korpus miał zająć odcinek frontu w rejonie Suczawy, ale był jeszcze w drodze, wróciłem więc do Bielc. Miasteczko powiatowe, bardzo zażydzone, nie przedstawiało się dodatnio, adjutanci moi byli nieobecni, musiałem więc osobiście szukać sobie mieszkania. Na drzwiach jednego z domów przeczytałem z radością napis „dom polski“, wszedłem więc, by zasięgnąć informacyj; zastałem w ubożuchnym pokoiku dwie panienki, które przyjęły mnie bardzo grzecznie

i poinformowały, że są Ormiankami i należą do nielicznej kolonji polskiej. Dzięki ich pomocy znalazłem się wkrótce w gościnnym domu p. Zaleskiego, zarządzającego apteką ziemską; przyjęto mnie tam bardzo dobrze.

Przeczytałem w „Dzienniku Kijowskim“ artykuł o formującej się we Francji armji polskiej; treść korespondencji była dość marna, a niechęć do naszych formacyj jawna; dowiedziałem się, że był jeszcze jeden kandydat na polski korpus — gen. Cichowicz. Nie znałem go zupełnie, wiedziałem jednak, że to pierwszorzędny fachowiec, ale... przyjął prawosławie, odcinając się tem zupełnie od Polski. Ujawniony także został związek pomiędzy pęczniejącym bolszewizmem rosyjskim, w którym tak wydatną rolę grał nasz rodak, Kozłowski, a t. zw. demokratami. Niestety, posiadali oni aż dwa pisma: „Dziennik Petrogradzki“ i „Gazetę Narodową“ w Kijowie — dość chyba, by zatruć dusze polskie, stargane rozterką wewnętrzną.

* * *

Na gruncie rumuńskim prowadzili Niemcy rozkładową robotę wytrwale, pragnęli obalić obecnego króla, a proponowali wzamian swego Hohenzollerna, który wrazie wyboru wniesie piękne wiano — nienależącą do Niemców Besarabję. Myśl o pokoju oddzielnym znajdowała rzeczywiście w Rumunji coraz więcej zwolenników, a ohydna „ofensywa tarnopolska“ wywołała w kraju rzetelną antypatję do zgangrenowanej armji rosyjskiej.

* * *

Trzy dni spędziłem w Bielcach bardzo przyjemnie, przeważnie w polskiem otoczeniu; przyjechał również gen. Peters. Nie byłem z niego zadowolony, w czasie mej nieobecności zdążył on poróżnić się z dywizjami, wprowadził niepożądany a niepotrzebny ferment w dowództwie.

Oddziały korpusu w Besarabji dopuszczały się, jak to zresztą zwykle bywa, drobnych wykroczeń, wypasując łąki lub kradnąc owoce. Zdawałoby się, że w warunkach obecnych nie warto się tem zajmować, miałem jednak kilka wizyt obywatelek, z namiętnemi skargami na nadużycia; skierowałem te panie naturalnie do odpowiednich dowódców dywizyj, mnie to już nic nie powinno było obchodzić. Mścili się zato na nas drapieżnicy miejscy i obdzierali wprost ze skóry: np. kawony, które tu kosztowały normalnie 2 — 3 kop. sztukat kazano nam płacić po 3 ruble.

Kolonja polska okazywała mi dużo sympatji, za co jej byłem serdecznie wdzięczny, szkoda tylko, że do objawów tych domieszała się tu przesada, która mnie stawiała nieraz w niemiłej sytuacji. W Domu Polskim odbyło się na moją cześć przyjęcie, połączone ze skromnym koncertem, *ex re* którego kupiono nawet pianino za 900 r. z pieniędzy, przeznaczonych na otwarcie szkółki początkowej; były też i przemówienia z „dostojną osobą" lub „królewskiemi odwiedzinami". Słuchając takich zwrotów, nie musiałem mieć inteligentnej miny; oliwy do uroczystego nastroju dolewał jeszcze mój adjutant, hr. Tarło, nadużywając bez litości tytułu „Ekscelencji" i prężąc się w niemożliwy sposób. Przerwałem nareszcie tę paradę

w sposób stanowczy, i rozkrochmaliłem żartami dostojne zgromadzenie a szczególniej młodzież, skorą do śmiechu i tańca.

* * *

Pisma doniosły, że cesarza z całą rodziną wywieziono gdzieś na wschód. Nie rozumiałem poco — jeżeli rząd obecny bał się kontrrewolucji, mógł ich wywieźć zagranicę, trzymanie w niewoli wyglądało na pastwienie się. Nie wierzyłem w możliwość powrotu caratu, nie życzyła go sobie oczywiście olbrzymia część ludności, większem zato niebezpieczeństwem dla Rosji była panująca wewnątrz kraju anarchja.

* * *

W przejętym radjogramie niemieckim znaleźliśmy oględne przyznanie się do porażki z ręki Anglików we Flandrji. Sprawa była poważna, skoro w bitwie brały udział cztery dywizje *jazdy* angielskiej, które przecie musiały mieć pole otwarte; czyżby linje niemieckie zostały przerwane?

* * *

22-go sierpnia wyjechałem automobilem z Bielc. Kolonja nasza żegnała mnie serdecznie, chciano jednak urządzić jeszcze jedną paradę i wystąpić ze sztandarem polskim; oparłem się temu stanowczo, nie byłem żadnym zwycięzcą, nie należał mi się więc triumf.

Dwudniowy deszcz zepsuł bardzo drogi, mordowaliśmy się więc na wybojach aż do granicy rumuń-

skiej; dalsza jazda, doskonałą szosą, była bardzo przyjemna. Nocleg wypadł w Botuszanach; dano mi wspaniałe locum u wdowy po bankierze, Żydówki. Okazała mi ona dużą uprzejmość, poczęstowała herbatą z ciastkami i „dulczacem". Oglądałem u niej pocztówki z kajzerem Wilusiem. W Botuszanach mieliśmy dniówkę; miasto ładne, dużo pięknych pałacyków w ogrodach, piękny park. Nie spotykało się zupełnie „towarzyszy", błękitniała więc nieco dręcząca rzeczywistość. Jadłem obiad w restauracji; menu składało się wyłącznie z wieprzowiny, tak niemożliwej, że wolałem ograniczyć się do skonsumowania kwaszonego ogórka z chlebem.

Wieczór spędziłem nader mile u gospodyni gen. Petersa, żony doktora, nazwiskiem Lustgarten; grała ona wspaniale na fortepianie przez kilka godzin, mówiła ślicznie po francusku i niechętnie odpowiadała Petersowi po niemiecku, chociaż była Żydówką. Smaczna kolacja powetowała mi skromny obiad.

Nazajutrz zboczyłem do Dorochoj, by odwiedzić rodzinę Florinescu. Radość z mego przybycia była ogromna, rozkoszna Mucka przylepiła się wprost do mnie, w domu jednak panowała troska, pani chorowała ciężko przez dłuższy czas i wyglądała fatalnie, a nastrój był trwożny, gdyż obawiano się wojska rosyjskiego w okresie zawarcia pokoju, wobec czego zamierzano wyjechać do Jass. Słuchałem tych przewidywań z pewnem uczuciem wstydu — byłem wszak rosyjskim generałem.

25-go sierpnia nocowałem bardzo wygodnie w pałacu ks. Ghiki, potomka dawnych hospodarów Mol-

dawji; zająłem olbrzymi, pięknie umeblowany salon, ozdobiony galerją rodzinnych portretów, w której przeważały kobiety i to ładne, trafiły się jednak i dwa potwory. Zwróciło moją uwagę, że każda z tych „szatelenek" trzymała coś w garści — pęk lilij, zmiętoszoną chusteczkę, kiść winogron, gałązkę z czernicami, sierp, a jedna — zapaloną fajkę!

Właściciel mieszkał w osobnej oficynce, wyposażonej w mnóstwo przyborów elektrycznych, które można znaleźć tylko w najlepiej urządzonych lecznicach dla nerwowo chorych, miały one widocznie służyć do odświeżania zanikającego wigoru młodości u księcia, niepocześnie wyglądającego młodzieńca lat pięćdziesięciu, kawalera beznadziejnego. Z kolekcji elektrycznej skorzystałem nieco — wziąłem specjalną wannę, bardzo misternie urządzoną, w której za naciśnięciem guziczka rozpętała się burza morska w słodkiej wodzie — uderzenie fal odświeżało przyjemnie skórę.

ROZDZIAŁ XVIII.

Korpus zajął skrawek Bukowiny, który pozostawał jeszcze w ręku Rosjan. Ludność tu była przeważnie rumuńska, a centrum handlowem — miasto Suczawa.

Ja, wraz ze sztabem, zamieszkałem w zameczku, na skraju dużego lasu bukowego. Rezydencja moja wyglądała dziwnie: nieżyjący już właściciel zamierzał widocznie początkowo wystawić fabrykę — stanął więc odpowiedni korpus z kominem, potem na-

stąpił namysł i zmiana projektu; na narożnikach wyrosły baszty, komin przerobiono na wieżę, dostawiono krużganki i stworzono jakiegoś nadzwyczajnego cudaka architektonicznego.

Rozkład wewnętrzny domu był naturalnie niewygodny: sklepione, bardzo niskie sufity dawały ogromny rezonans. Właścicielka uciekła w swoim czasie do Wiednia, pozostał tylko stary famulus; dom był pięć razy obrabowany przez „towarzyszy", cudem tylko ocalał niezły fortepian i sporo książek w różnych językach.

Zastałem sprawy korpusu w stanie względnego porządku, dowództwo trwało na stanowiskach, dezercja, zupełnie zresztą bezkarna, była nieznaczna; nie wynikało to jednak bynajmniej z poczucia patrjotyzmu lub karności żołnierzy, dobry nastrój wywołany był prawie zupełnem zawieszeniem działań wojennych, śliczną pogodą i sytem lenistwem. Żywności mieliśmy poddostatkiem, kraj był bardzo bogaty, zajęcia prowadzono tylko formalnie, miał więc żołnierz przyjemną willegjaturę.

Czułem się narazie poza światem, poczta nie dochodziła, wypadkiem tylko otrzymałem jeden numer „Dziennika Kijowskiego" z artykułem o Piłsudskim: nazywano go tam człowiekiem „wczorajszym" i lekceważono jego działalność. Miesiąc temu pisało o nim to samo pismo „Nasz Wódz"; wyglądało to nadwyraz marnie, Piłsudski był w każdym razie jednostką wybitną. Musiał się zapewne poróżnić z t. zw. demokratami...

* * *

Przed tygodniem przyjeżdżał do Radowca Wilhelm, urządził naturalnie paradę, miał mowę i t. d. Myśmy obserwowali tego dnia nad miastem flagi. W Niemczech podobno nie było w sprzedaży mięsa i tłuszczów; ludność żyła chlebem i jarzynami, gdyby więc Rosja dotrzymała do wiosny, to zdaniem Alzatczyków „on creverait de faim"; w armji jednak z żywnością było „par ci — par là".

Gdym pierwszy raz zbliżał się do frontu, usłyszałem nareszcie dawno niesłyszany huk armat, a wpobliżu pękło kilka szrapneli; zabiło mi serce, przypomniały się piękne chwile walk stoczonych, napięcia woli, uczucia siły wewnętrznej, teraz wszystko znikło, pozostała haniebna bezsilność.

Okolica była ładna, miejscami falista, dużo wód i lasów, na zachodzie piętrzyły się zarysy Karpat; zaraz za zameczkiem zaczynał się piękny las, błąkałem się po nim chętnie, marzyłem o wyjeździe po wojnie do słonecznej Italji, gdzie w zacisznym klasztorze, zawieszonym wysoko nad morzem, łatwiej odzyskać utraconą równowagę duszy. Jeszcze przed wojną kusił mnie pobytem w Amalfi Reymont, projektował również wspólny wyjazd do Indyj, dla poznania mistycznej nauki Anny Bezant...

* * *

Jeździłem autem do Suczawy, wziąłem z sobą księdza i dwóch adjutantów; naturalnie rozmawialiśmy cały czas po polsku, a por. Nieczajew upewniał, że wszystko rozumie. Zainteresowały nas w mieście ruiny

starego zamczyska, zachowane znośnie; dzieje jego opowiadał nam stary dozorca. Zamek istniał prawie tysiąc lat, przed wojną robiono tu poszukiwania naukowe, i w jednym rogu natrafiono na więzienie, a w niem na osiemnaście szkieletów, zamurowanych w celkach; nieco dalej była gilotyna, tu znaleziono kilkadziesiąt czaszek ludzkich bez szkieletów; obok stajni stała szubienica, widocznie dla zwykłego plebsu, a pod nią leżało trzydzieści szkieletów jakichś olbrzymów odmiennej rasy. Widocznie w owe czasy urozmaicano bardzo sposoby wyprawiania na tamten świat.

29-go sierpnia nadeszły nareszcie listy i pisma. Z dużym niesmakiem przeczytałem komentarze do polskich formacyj, z których przeglądała intryga zakulisowa i krecia robota polityczna. Bolało mnie naturalnie, że mię pominięto przy obsadzeniu stanowiska dowódcy polskiego korpusu na rzecz młodszego, zupełnie zresztą odpowiedniego, kolegi, lecz w razie mojej nominacji wystąpiłbym z całą stanowczością przeciwko intrygantom, musiałbym zatem toczyć trudną walkę w dziedzinie zupełnie mi obcej a nawet wstrętnej. Pisano mi również, że komitet polski widział we mnie teoretycznego kandydata na dowódcę armji polskiej, ale to były tylko mrzonki, kwestję tę uważałem za pogrzebaną, napisałem więc do hrabiny Szuwałowowej, prosząc o poparcie mojej kandydatury na dowódcę dywizji w armji amerykańskiej.

Narazie zająłem się naszemi interesami lokalnemi. Sprawy związku naszego rozwijały się doskonale, analfabetyzm zmniejszył się znacznie, samo-

wiedza narodowa wzrosła, na czele pracy stał wciąż niezmordowany ks. Syczewski; przewlekanie sprawy polskich formacyj na naszym froncie niecierpliwiło jednak coraz bardziej oficerów i żołnierzy, a bardziej energiczni jechali w pojedynkę, przy mem życzliwem poparciu, do I-ego korpusu.

Na mój memorjał o spolszczeniu XXIX-go korpusu otrzymałem wkrótce zawiadomienie, że Naczelne Dowództwo zgadza się unarodowić korpusy na następujących zasadach: X-ty miał skupić Ukraińców, XXIX — Polaków, XIX — Rosjan, miały zatem korpusy wymienić pomiędzy sobą skład osobowy; jednocześnie zakomunikowano mi, że sprawą tą zajmuje się również jakiś komitet komisarzy narodowych w Jassach. Podobało mi się to o wiele mniej, obawiałem się bowiem nowej edycji Naczpola, a zatem niepożądanych konsekwencyj.

Termin unarodowienia korpusów nie był jeszcze ustalony, ale projekt miał wszelkie szanse powodzenia, agitacja lewicowo-bolszewicka nie miała na terytorjum Bukowiny podatnego gruntu. Nominacji na dowódcę II-go polskiego korpusu postanowiłem nie przyjmować, zanadto bowiem skrzywdzono mnie przy obsadzaniu dowództwa I-go korpusu, nie uważając nawet za stosowne wytłumaczyć mi powodów pominięcia.

W sztabie 8-ej armji mieliśmy zjazd wyższego dowództwa; poznałem tam mego nowego „pryncypała", gen. Czeremisowa: był to człowiek prawie młody, bardzo ruchliwy, gorliwy rzecznik wszelkich nowinek rewolucyjnych. Przedstawił on nam komisarza

armji, inż. Cypkiewicza, zachwalając go bardzo, opowiadał mi jednak bar. Mannerhejm, dowódca korpusu jazdy, że pan ten był u niego w korpusie, a nie uważał nawet za stosowne zameldować się dowódcy i, prowadząc agitację w jednym z pułków, zdemoralizował go poważnie. Menerzy rewolucji uważali Czeremisowa za przeciwwagę gen. Korniłowowi, który wydawał mi się jedynym człowiekiem, zdolnym do czynu i opanowania sytuacji w armji.

* * *

4-go września otrzymałem radjogram niemiecki z opisem porażki rosyjskiej nad Dzisną, zakończonej ogólnym odwrotem całego północno-zachodniego frontu; urzędowy komunikat potwierdził tę wieść; określił sytuację jako „straszną". To trudno, nie pomoże nic, jeżeli w armji i wewnątrz państwa panowała anarchja! W Petersburgu powstała naturalnie panika. Czy też zdążą wywieźć fabryki, pracujące dla armji? Jeżeli stolica będzie zajęta, odpadnie niechybnie Finlandja. Naje się teraz Rosja hańby, naje...

Jeździłem również odwiedzić ks. Tumanowa, dowódcę korpusu jazdy, kwaterującej o kilkadziesiąt kilometrów. Miał on u siebie pułk ułanów polskich, który dokonał w czasie nieudanej ofensywy tarnopolskiej czynu rycerskiego, godnego potomków bohaterów polskich z pod Somosierry. W czasie panicznego odwrotu pułk ten wciąż ponawianemi atakami swemi wstrzymał natarcie Niemców, a w pewnej chwili, gdy rozbestwione żołdactwo rosyjskie poczęło palić i rabować ludność Stanisławowa, ułani roznieśli na

szablach tłuszczę żołnierską; mieszkańcy miasta ofiarowali dowódcy pułku, Mościckiemu, dar za ocalenie miasta, a specjalna delegacja misji francuskiej przyjeżdżała złożyć hołd dzielnym ułanom. Tumanow, rycerski Gruzin, kochał się wprost w tym pułku i żałował ogromnie, że go musi wysłać do Mińska, gdzie wejdzie on w skład korpusu polskiego.

Zwiedzałem na froncie okopy jednego bataljonu, zajmującego górę, panującą nad całem stanowiskiem korpusu. W czasie obchodu zakomunikowano mi, że żołnierze pragną zajmować szczyt bez luzowania; naturalnie wypowiedziałem im swoje zadowolenie i wyjaśniłem, że góra ta jest faktycznym kluczem stanowiska korpusu. Wysłuchano mnie uważnie i potwierdzono zamiar trwania tu, bo na stokach jest dużo „kartoszki"... Komentarze chyba zbędne...

W drodze powrotnej poczęstowali nas Niemcy paroma ciężkiemi pociskami. Jeden z nich, pękając, uderzył Nieczajewa kamykiem w kark tak mocno, że wywołał kontuzję; chodził więc teraz mój adjutant z dumnie podniesioną głową, bo nie mógł poruszyć szyją.

Miałem telegram od Czeremisowa, który zapowiedział przyjazd na stanowisko i prosił o zbiórkę żołnierzy w dogodnem dla pogawędki miejscu; strona bojowa nie obchodziła go, signum temporis!... Mieliśmy również od niego raz po raz pisma, zalecające nam przymilanie się komitetom. Byłem jednak od takich umizgów daleki, tak samo postępował i Mannerhejm. Naturalnie postępowanie Czeremisowa zaskarbiało mu łaski wszelakich komitetów i komisarzy, rekla-

mowano go więc jako antytezę Kornilowa, który u masy żołnierskiej, z powodu surowych wymagań, stracił bardzo. U mnie prezesem komitetu korpusowego był Gruzin — Brekwadze, b. student, porządny i szczery człowiek, który dopomagał mi chętnie.

2-go września otrzymałem z Moskwy list od kolegi szkolnego, A. Kolnarskiego, zawiadamiający, że na sierpniowym zjeździe w Moskwie oczekiwano mnie, przygotowano nawet mieszkanie i delegacja wyjeżdżała na pociąg. Co im się przywidziało, nie wiem, nie otrzymałem żadnego zaproszenia... Na zjeździe omawiano moją kandydaturę na dowódcę II-ego korpusu a ewentualnie armji polskiej. Cała ta robota była łowieniem ryby przed niewodem, w każdym razie nie przyjąłbym nominacji na dowódcę korpusu lub armji, o ileby one nie otrzymały nazwy „samodzielnych", w przeciwnym razie zrobionoby z naszej siły zbrojnej oddziały taranowe, które byłyby zmuszone trykać łbem w niemieckie okopy, a dopiero za niemi poszliby lub nie poszli „towarzysze". Przy takiej taktyce zginąłby niechybnie kwiat polskiej młodzieży, a dowódcy jej ponieśliby moralną odpowiedzialność za jej zmarnowanie. Tę kwestję powinna była zdecydować władza polityczna, wyłoniona z przedstawicieli naszego społeczeństwa na emigracji.

Otrzymałem telegram o przysłanie listy oficerów, pragnących przeniesienia do polskiego korpusu; żołnierzy nie wzywano, miał ich dostarczyć front północno-zachodni. Jeżeli nie rozpocznie się organizacja formacyj u nas, nastąpi masowa dezercja do Mińska.

* * *

7-go września odbyło się zebranie komitetów korpusu z udziałem dowódcy armji, gen. Czeremisowa. Pomimo nader powściągliwego stosunku do tych organizacyj, obrano mnie na przewodniczącego.

Czeremisow miał długą, agitacyjną mowę, odmieniał „rewolucyjną armję“ w różnych przypadkach, sławił komitety, składał im hołd — naturalnie, powodzenie było zupełne. Po nim mówiło dwóch chorążych: pierwszy wskazał na przepaść, jaka istnieje między oficerem a żołnierzem, a notabene świeżo przybył z tyłów, dałem mu więc ostrą odprawę, radząc, by poszedł do okopów i przyjrzał się, jak żyją tam oficerowie, zaznaczyłem również, że, skoro stara dyscyplina znikła, a nowa opiera się na komitetach, winny one dbać o zgodną współpracę z dowództwem, nie uzurpując sobie żadnych praw, nieprzewidzianych przez ustawę — i to przemówienie było przyjęte życzliwie; drugi chorąży wypowiedział zjadliwą filipikę przeciwko gen. Korniłowowi, wskrzesicielowi kary śmierci, przeciwstawiając mu Czeremisowa, „jedynego prawdziwie rewolucyjnego generała“, dążącego do uzdrowienia armji przy pomocy słowa i komitetów. Agitacja przeciwko Korniłowowi rozwijała się w szeregach coraz bardziej i zapewne dojdzie pomiędzy dwoma generałami do walnej rozprawy. Z turnieju tego wróciłem z głębokiem przekonaniem, że Rosja zwarjowała na dobre.

* * *

Dowóz z Rosji ustał, musieliśmy więc sami dbać o wyżywienie wielotysięcznej rzeszy. Szczęściem, uro-

dzaj na Bukowinie był świetny, pracowałem więc dużo z mym intendentem nad organizacją zakupu i dowozu pszenicy, masła, bydła, butów i t. d.; pomocy miałem mało, dowódcy dywizyj zniedołężnieli zupełnie, chociaż potrząsałem nimi często. W każdym razie żołnierz u mnie był syty, gdy w sąsiednich korpusach musiano już zmniejszyć racje żywności, co było środkiem nader niebezpiecznym wobec rozwydrzenia masy.

* * *

Władza wyższa projektowała, dla polepszenia sytuacji na froncie, częściową ofensywę, i ja miałem, niestety, brać w niej udział; zamierzano rozpocząć natarcie 10-go września. Na naradzie u dowódcy armji wypowiedziałem się stanowczo przeciwko tej awanturniczej antrepryzie, ale nie usłuchano mnie, dopiero porażka nad Dźwiną oprzytomniła dowództwo i ofensywa została odwołana, ale dopiero w ostatniej chwili. Miałem więc sporo roboty nad stawianiem domków z kart, któreby się naturalnie rozsypały przy pierwszem uderzeniu niemieckiej pięści. — Gen. Peters pomagał mi mało, musiałem mu dyktować osobiście wszelkie zarządzenia natury strategicznej.

Główne komitety rewolucyjne stwierdziły w komunikacie „bohaterstwo" 12-ej armji, rozbitej pod Rygą sromotnie. Pokój odrębny nie był chyba za górami, ciekawy byłem, jakie warunki podyktują Niemcy?

* * *

Po papierowej ofensywie ulżyło mi trochę moralnie, zażyłem przez dobę tak pożądanej samotności;

i włóczyłem się prawie cały dzień po lesie, nasłuchując poszumu wysmukłych buków, cichutkiego szmeru białych brzózek, oddychając ożywczą wonią świerków. Ogarnęła już naturę cisza i zaduma jesienna, tak kojąca zmąconą duszę; śliczny zachód słońca zakończył ten piękny ale krótki już dzień.

* * *

Nazajutrz, 11-go września, nawisły znowu nad nami ciężkie chmury, nadszedł bowiem telegram od Korniłowa, w którym obwinia on rząd tymczasowy o prowokację... Co to znaczy? Przecie wyglądało to na wojnę domową! Poruszyły się komitety, obradowały o walce z kontrrewolucją, słały telegramy, obsadzały swemi delegatami telegrafy i telefony. Zniecierpliwiło mnie to do tego stopnia, że zapowiedziałem tym panom moje ustąpienie. Byli jednak temu przeciwni, miałem zatem jeszcze pewne łaski. Co mieliśmy robić, nie wiedziałem, posłałem gen. Petersa do armji, bo „władza" milczała uporczywie.

Zdawało się jednak, że Korniłow przerachował się, masa żołnierska była tak zdemoralizowana, iż nie dawała się porwać na żadne hasło, niezwiązane bezpośrednio z kwestją brzucha, a kozaków, sympatyzujących generałowi, było zbyt mało, by go skutecznie poparli. W każdym razie Rosja stała przed widmem wojny domowej.

13 września. Wieści z Rosji były tak bałamutne, że właściwie siedzieliśmy jak tabaka w rogu. Czeremisow radził „czekać na przebieg wypadków", czekaliśmy więc. Gen. Aleksiejew zgodził się zostać sze-

fem sztabu przy obecnym dyktatorze — Kiereńskim — może ta kombinacja będzie dobra, o ile za nią pójdą odpowiednie reformy. Ministrem wojny został młodzieńczy Wierchowskij — musiał się wkupić w łaski nowych panów. Czy obecnie Kiereńskij otrzyma realną władzę—trudno było przesądzać; na prawo miał ją dyktator dotychczas w granicach nieograniczonych, na lewo — nic a nic, a ten kierunek był o wiele ważniejszy, gdyż rozpętały się w tej stronie prądy tak skrajne, że nie chcieli z niemi płynąć tacy weterani rewolucji, jak Plechanow, Krapotkin i Sawinskij. Ostatni doczekał się nawet podejrzenia o reakcyjność.

* * *

U mnie było względnie spokojnie, codziennie jednak masa nieświadoma urządzała coś nielicującego z godnością obywatelską; komitet pomagał mi szczerze, był jednak często bezsilny. Na me żądanie usunięto kontrolę aparatów łączności.

Odwiedzał mnie gen. baron Mannerhejm; sprawiał on wrażenie człowieka o doskonałej kulturze, posiadającego dużą odwagę cywilną, tak rzadko spotykaną obecnie u dowództwa. „Moja prawa ręka", Peters, wyjechał „z powodu przepracowania" na urlop; ulżyło mi to bardzo, bo chociaż ślęczał on nad papierkami po całych dniach, roboty poważnej nie było jednak znać.

* * *

17-go września otrzymaliśmy charakterystyczny telegram: „Minister wojny nie może zalegalizować Na-

czelnego Polskiego Komitetu Wojskowego, na czele którego stoi chorąży Raczkiewicz, gdyż punkty 1, 4 i 5 rezolucyj zjazdu polskiego żądają wydzielenia natychmiastowego wszystkich wojskowych Polaków w samodzielną armję polską, ministerjum zaś nie zamierza formować nic poza już zorganizowanym korpusem".

Przypuszczam, że tak niefortunny wynik zawdzięczaliśmy przedewszystkiem naszemu komitetowi, gdyż na czołowych stanowiskach w sztabie generalnym stali dotychczas fachowcy, nic więc dziwnego, że nie liczyli się oni zupełnie z wystąpieniami instytucji, mającej na czele „praporszczyka", i z przyjemnością zepsuli sprawę. Wiem np., że delegacja komitetu nie była nawet przyjęta przez szefa sztabu generalnego.

Moi żołnierze burzyli się jednak, i słyszałem pogróżki, że, jeżeli nie rozpocznie się organizacja naszych formacyj polskich, uciekną na tamtą stronę. Głosy syrenie wabiły już, założyliśmy więc ostry protest do wyższej władzy.

* * *

Marsz Korniłowa na Petersburg załamał się, przerachował on zbytnio swe siły; zginął przy tej awanturze szereg wybitnych generałów, co wzmocniło anarchję wewnątrz Rosji. Nie rozumiał Korniłow psychiki swego narodu; za caratu wszystko, co było bardziej ideowe i miało hart ducha, przesunęło się na lewo i po rewolucji zajęło stanowiska naczelne; żywioły bardziej umiarkowane ograniczały się zawsze do nieszkodliwego gadania, były zupełnie niezdolne do czy-

nu, masa zaś nie posiadała żadnego poczucia obywatelskiego.

Zamach ten wzmocnił bardzo prądy lewicowe, demokracji zdawało się, że odniosła zwycięstwo nad kontrrewolucją, której właściwie nie było, bo nikt nie zamierzał wznowić monarchji i przywrócić dynastji Romanowów. Korniłow dążył tylko do utworzenia silnej władzy — dyktatury.

Ohydnie „pohulali" „towarzysze" w Wyborgu: pomordowali i potopili szereg generałów, w tej liczbie gen. Oranowskiego, b. szefa sztabu okręgu warszawskiego, i gen. Wasiljewa. Znałem obydwóch, jako ludzi o wysokiej kulturze i uczciwych poglądach.

Ja byłem nareszcie w lepszym nastroju, bom znalazł filozoficzny punkt oparcia, rosyjskiego zresztą pochodzenia; robiłem swoje, a na resztę — „naplewat'". Głową muru nie przebije!

* * *

Tajna agentura stwierdziła, że Niemcy przygotowują desant na Petersburg, chcą również uderzyć na Łuck i Fokszany. Ostatnie dwie operacje były wątpliwe, bo pora roku była spóźniona, i zepsują się prędko drogi; w każdym razie wolałem, że to nie nade mną zbierała się burza, w naszej sytuacji nikt bowiem nie marzył o laurach, wolał więc, by nawałnica przeszła gdzieś daleko, bokiem. Miałem pierwszy wypadek dezercji oficera do Niemców: uciekł por. Stankiewicz, Litwin. Ucieszył on zapewne sąsiadów swemi opowiadaniami...

Oficerowie korpusu należeli przeważnie do zawodowego związku oficerów, którego centrala znajdo-

wała się w Naczelnem Dowództwie; związek ten stał się obecnie politycznym. Uważałem, że my, jako obcokrajowcy, nie mieliśmy prawa wtrącać się do wewnętrznych spraw Rosji, i uzyskałem potwierdzenie mego poglądu w związku; wykreśliłem się więc wraz ze wszystkimi Polakami z tej ogólno-rosyjskiej organizacji.

Przysłano mi z Kijowa broszurę, zawierającą mój odczyt „Duch i technika", wydaną przez Towarzystwo Wiedzy Wojskowej; wygląd broszury, z powodu umieszczonej w niej fotografji mojej i biografji, zażenował mnie bardzo. Nie przystoi wojskowemu jakakolwiek reklama, nie przypuszczałem więc, by informacje osobiste, dane por. Bagińskiemu a opracowane zbyt pochlebnie przez przyjaznego mi gen. Świdzińskiego, znalazły się w druku.

Moje „amerykańskie" zamiary spaliły na panewce, hrabina zawiadomiła mię, że Amerykanie nie przyjmują do swej armji oficerów starszych rang.

Przyjechało do mnie dwóch angielskich oficerów, którzy robili wywiad, czy armja rosyjska potrafi jeszcze wytrzymać przez zimę w roli obronnej. Naturalnie zaprzeczyłem temu stanowczo.

Zajęcie kolei syberyjskiej przez Japończyków okazało się kaczką dziennikarską.

* * *

W Kijowie zaczynało być krucho z żywnością i wprowadzono tam szereg ograniczeń, system kartkowy. U mnie kryzys żywnościowy skończył się, dowóz produktów ztyłu zorganizowałem samodzielnie.

Rumunja zaczynała robić trudności, nie chciała zupełnie przyjmować rosyjskich pieniędzy, bo kurs przymusowy wynosił 2 fr. 66 cnt. za rubla, gdy na rynku międzynarodowym cena jego spadła do 40 kop. złotych.

Czeremisow już dostał awans, wezwano go do objęcia frontu północnego. Wyjeżdżając, żartował rozkosznie: „Nie wiem właściwie, poco mnie wzywają, czy dla objęcia frontu, czy też dla zamknięcia w twierdzy Petropawłowskiej". O tę drugą ewentualność mogliśmy być spokojni, takich brudasów moralnych obecnie nie aresztowano. Jednocześnie nastąpił szereg innych nominacyj na wyższe stanowiska, z pośród kandydatów komitetowych. Wszyscy nominaci byli względnie młodzi, co starsi, byli w podejrzeniu. Moim „pryncypałem" został gen. Kiełczewskij, bardzo miły człowiek; zaprotegował go obecny minister Wierchowskij, jego własny uczeń. Gen. Aleksiejew już odszedł, wyrzucono również brutalnie do rezerwy Mannerhejma. Sądziłem, że moja kolej zbliżała się.

7-ma dywizja strzelców zaprotestowała protokólarnie przeciwko dekretowi o ustanowieniu rzeczypospolitej, którą mogła ogłosić tylko konstytuanta; nie zgadzała się również uznać rady pięciu za rząd prawowity, władza tymczasowa winna była przejść do rady robotniczych i żołnierskich delegatów. Podobno w innych korpusach zapadły takie same decyzje, co postanowiły naturalnie komitety, gdyż masa leżała do góry brzuchem, wypluwała siemiaczki lub obżerała się kartoflami, których w polu była moc. Zabroniono wojskowym pod surowemi karami grać

w karty na pieniądze; dokuczono naturalnie tylko oficerom, żołnierze, pewni bezkarności, grali otwarcie po całych dniach.

Telega państwowa pędziła coraz szybciej ku przepaści, przypuszczałem, że lada dzień Kierenskij się skończy i zamieni go Czernow lub Czcheidze; wtedy nastąpiłby rozkład zupełny i pokój mało zaszczytny. Zresztą o zaszczyty nie chodziło, Rosja straciła już honor państwowy i wojskowy pod Tarnopolem i Rygą, teraz zaś nastąpi podział łupów.

Korzystając z pięknej pogody, zawisałem często na parę godzin w powietrzu; taka siesta w balonie na uwięzi była nader miła, gdy nie było wiatru. Psuła trochę nastrój konieczność przystrajania się w specjalną kamizelkę z hakiem na plecach, do którego przyczepiony był spadochron; innowację tę wprowadzono niedawno, z powodu niemieckiego gałgaństwa: lotnicy ich oblewali w przelocie balony jakimś płynem palącym, zamieniając je w jednej chwili w słupy ognia; gdy się zatem ujrzało nad sobą płomień, należało natychmiast wyskoczyć z kosza i opaść na ziemię w tempie rallentando, o ile się naturalnie spadochron zechciał otworzyć. Dotychczas ominął mnie jednak ten nowy „dreszcz“ sportowy.

Raz jeden zaszedł jednak epizod wojenny, który przypomniał do pewnego stopnia ubiegłe zacięte walki. Pewnej nocy księżycowej zaatakowali Niemcy wieś, wrzynającą się klinem w ich stanowisko; odcinka tego bronił bataljon jeszcze niezupełnie zdemoralizowany, posiadający na czele kilku dzielnych oficerów, stawił więc zacięty opór, i wspomagany silnie przez sąsiednie

baterje, odrzucił przeciwnika z dużemi stratami. Przypuszczam, że Niemcy chcieli tylko stwierdzić, czy już dostatecznie skruszałem. Czułem się dziwnie w czasie tej walki, nie dochodził mnie zupełnie jej zgiełk, słyszałem tylko łomot armatni a nie słyszałem tak charakterystycznego szycia kulomiotów, których wymowa orjentuje doskonale o miejscu największego napięcia boju; widocznie nie przyzwyczaiłem się jeszcze do mej nowej roli.

Z początkiem października odczuliśmy preludjum bankructwa finansowego: główna kasa w Odesie zawiadomiła, że nie ma zupełnie pieniędzy na wypłaty dla wojska, a w kasach korpusów było już pusto. Mój korpus nie odczuł narazie kryzysu; dzięki umiejętnym manipulacjom mieliśmy w kasie trzy miljony rubli i miljon lei. Kazałem więc wypłacić całkowicie pensje i miałem jeszcze na miesiąc następny. Polecenia telegraficznego głównego kasjera armji o przelaniu części gotówki do innych pustych kas, nie spełniłem — bliższa mi była własna skóra.

* * *

Miałem znowu gościa, tym razem z Ameryki: Charles Vopicki „Envoy Extraordinary and Minister Plenipotentiary of the United States of America". Przyjechał on też ratować Rosję, badał sytuację na froncie i prosił o motywowany memorjał. Ameryka powołała do szeregów pięć miljonów ludzi, za dwa miesiące miało być we Francji pół miljona żołnierzy; administrację kolei syberyjskiej chcieli także objąć Amerykanie. Osobnej armji polskiej nie zamierzali oni

formować, Polacy amerykańscy czuli się obywatelami Stanów i walczyć będą w ich szeregach o ideały ludzkości a zatem i o wolność Polski. Kwestja armji polskiej w Rosji bardzo go zajęła, uważał, że należy połączyć nasze siły z korpusem czeskim, uformowanym z jeńców. Vopicki był Czechem, z zawodu piwowarem, na co zresztą i wyglądał. Gdym mu zagrał: „Andulko, me dite“, nie wytrzymał i zaczął podśpiewywać, podrygując zabawnie.

* * *

Zepsuto mi spacer na skraju lasu. Jacyś odtylcowcy zaczęli tam budować linję obronną, wbijali pale dla drutów, rąbali drzewa; robotę wykonywali przeważnie Chińczycy. Zginął więc urok usypiającej ciszy natury. Inicjatorowie robót chyba poszaleli — kto będzie tych stanowisk bronił? Żołnierze rwali się do domu, komentowali z największem zainteresowaniem wieści o rokowaniach pokojowych, ale nic nie obchodziły ich warunki — „nie nasza sprawa“, twierdzili. Niemcy w jednym z radjogramów nazywali obecny zarząd finansami w Rosji odpowiednim dla domu warjatów. To było zbyt grzecznie, zwarjowało tu wszystko...

Otoczyła mnie dokoła barwna jesień, lasy i gaje przystroiły się w purpurę, bronz, złoto; szeleściały pod nogami kobierce uschłych liści: po ziemi słały się długiemi, błękitnemi pasami dymy ognisk, zboczami gór pełzły lekkie obłoki; powietrze było jędrne, trochę zamglone, pachło więdnącym liściem, natura usypiała zwolna. Codziennie błąkałem się po polach

konno, niekiedy siadałem przy opuszczonem, dogasającem ognisku.

Czytałem z największem oburzeniem, że delegacja rezerwowego pułku polskiego (stek dezerterów), konsystującego w Biełgorodzie, została przyjęta w Petersburgu przez „Polski Lewicowy Naczelny Komitet Wojskowy". Delegacja ta żądała włączenia pułku do armji rosyjskiej, wprowadzenia komitetów, skasowanych w I-ym korpusie, usunięcia reakcyjnych generałów, którzy wprowadzali dyscyplinę francuską. Dziennik Kijowski nazywał to rozłamem, sądziłem, że odpowiadała tu lepiej nazwa nikczemności. Ponieważ panowie ci będą chcieli rozprzestrzeniać gangrenę bolszewicką w Polsce, powinien był kraj zawczasu przygotować odpowiednie czynniki odkażające.

Stosunek władz „rewolucyjnych" do naszego związku nie był życzliwy, byliśmy zbyt burżuazyjni, szkodziły nam więc, jak mogły. Znaleźliśmy jednak na to sposób — zawiązaliśmy blok z Ukraińcami i Gruzinami. Pomogło to odrazu, i rura naszym wrogom zmiękła.

* * *

Uciekło do nas trzech Alzatczyków; twierdzili oni, że Niemcy chcą powtórzyć atak na wieś i górę. Podobno przy ostatniem natarciu połowa atakującego bataljonu poszła w rozsypkę.

Pisał do mnie por. Bagiński serdeczny list: „Dowiedziałem się w tej chwili od prezesa komitetu, Raczkiewicza, że kurs zwrócił się na lepsze i mają pozwolić na formowanie dalszych korpusów; przy-

szłość niedaleka pokaże, czy słowa ministra Wierchowskiego mają siłę; sądzę, że sprawa wojska polskiego stanie wkrótce na szerszym gruncie (koalicja?), i wtedy Rada Polska będzie miała tutaj coś do powiedzenia; stawiają kandydaturę pana generała na dodowódcę armji polskiej".

Mój stały gość francuski zwątpił zupełnie w możliwość dalszego prowadzenia wojny przez armję rosyjską; nawet dywizję rosyjską, walczącą we Francji, odsyłają zpowrotem na łono ojczyzny: „Albo się bratają z boszami, albo próbują zdradzić naszą armję".

ROZDZIAŁ XIX.

15-go października obchodziliśmy w Związku uroczystość kościuszkowską, której opis podaję według tekstu korespondencji, umieszczonej w Dzienniku z podpisem — S. S. żołnierz.

„Chwile, przeżyte w tym dniu, pozostaną mi na zawsze w pamięci. I nietylko mnie, ale i wszystkim uczestnikom uroczystości. Inicjatorami jej, jak i wszelkiego ruchu polskiego w naszym korpusie, jest jego dowódca, gen. Michaelis, i jego nieoficjalny pomocnik, ks. Syczewski.

„Pod obszernym, zbudowanym przez kolegów saperów, namiotem, wznosi się przybrany kwiatami ołtarz polowy, u którego szczytu rozpościera skrzydła

olbrzymi Orzeł Biały... obok ołtarza mównica, na niej wśród girlandy kwiatów portret Kościuszki.

„Rozpoczyna się msza żałobna, po której ks. Syczewski objaśnia nam cel uroczystości. Następnie wszedł na mównicę „nasz generał", jak my tu nazywamy gen. Michaelisa, i w pięknej a przystępnej formie wygłosił prelekcję o Kościuszce.

„Słuchaliśmy go z taką uwagą, żeśmy się nawet nie raczyli oglądać na rwące się wpobliżu szrapnele... Po prelekcji wzniósł generał okrzyk na cześć Polski, któryśmy powtórzyli z całego serca. Generał zwrócił się następnie do obecnego na uroczystości oficera francuskiego i wzniósł okrzyk na cześć Francji.

„Potem, jeden z szeregowców (Śniegocki) wezwał kolegów do uczczenia pamięci Naczelnika nietylko modlitwą i słowem, lecz i czynem, i zachęcił do składki na cele publiczne do uznania gen. Michaelisa. Zebrano natychmiast 1240 r. 75 kop., z których większość przeznaczono na szkołę im. Kościuszki i sieroty polskie w Moskwie, a 100 r. dla trzech staruszek Polek, zamieszkałych w Galaczu.

„Do uświetnienia uroczystości przyczyniły się dwie orkiestry, złożone z Polaków".

I rzeczywiście, nie zamącił naszego święta najmniejszy zgrzyt, umilkły narazie syki gadów, odezwały się one jednak później, zaniepokojone widocznie jednością, panującą wśród nas. Przysłano mi egzemplarz pisma „Głos Wolnej Polski" ze zjadliwym artykułem, pod tytułem: „Obrona majątków a sprawa narodowa". Ukryty pod pseudonimem, autor zarzucał mi, że tworzę wojsko polskie *dla obrony szlachec-*

kich majątków, a chcąc mnie ostatecznie zgnębić, pisał:

„W tem miejscu pozwolę sobie przypomnieć gen. Michaelisowi uroczystość na cześć Kościuszki w 9-ej armji. *Z miłości dla generała, otoczył go żołnierz taką aureolą,* że zdawało się przez długą chwilę — nie Naczelnika naszego obchodzono, a gen. Michaelisa...

„...Nie dana nam jest akcja silna, jednolita. *Wypływa na powierzchnię jakgdyby uosobienie niezgody naszej, gen. Michaelis.* Był on otoczony aureolą generała — prawdziwego Polaka. Żołnierz szanował go, szedł za jego głosem"...

Zacytowałem te ustępy tylko dlatego, by wykazać, jak dziwacznych, a nieraz wprost głupich argumentów imała się nasza lewica, chcąc zgnębić przeciwnika. Przecie ten artykuł nie dyskredytował mnie, ale przeciwnie — podnosił, wbrew naturalnie intencji. W Związku propagowałem stale jedność, bezpartyjność, a o obronie jakichkolwiek majątków nie wspominałem nigdy.

* * *

Miałem nowego prezesa sądu korpusu, pułk. Gawrylicę; radziłem mu żartem, by się odpowiednio do swych funkcyj trenował, gdyż w sąsiedniej armji zdarzyły się dwa wypadki, że podsądni, niezadowoleni z wyroku, zaatakowali sąd, zmuszając go do ucieczki przez dachy i po rynnach.

Korpus oficerski należałoby nazwać obecnie „ciałem perswadującem", bez rezultatu zresztą. Coraz to otrzymywałem rezolucje pułkowe o ukończeniu wojny

za jaką bądź cenę. Rzeczywiście, pogoda psuła się, wilegjatura stawała się mniej przyjemną, czas było do domu na ciepły przypiecek...

Przysłano mi oznaki Orła Białego — były śliczne i nader miłe. Uważałem je za symbol mej przyszłej służby Polsce — ale już w kraju, tu było za późno.

Komunikaty bolszewickie, adresowane „Wsiem, wsiem" zatruwały resztki sumienia żołnierskiego, a zataić ich przed tłuszczą nie dało się, telegraf iskrowy był pod kontrolą zaufanych delegatów.

Wspominałem poprzednio o znaczeniu taktycznem góry, panującej nad stanowiskiem korpusu; ważność tego węzła obrony tłumaczyłem obszernie załodze. Otóż przed paru dniami przedstawiciele bataljonu, broniącego go, udali się do Niemców z propozycją nabycia za gotówkę całego wzgórza, podnosząc jego zalety taktyczne; przeciwnicy odmówili jednak, twierdząc, że za dni parę otrzymają całe nasze stanowisko darmo.

* * *

Nadszedł rozkaz zlikwidowania 7-ej dywizji strzelców, jako drugorzędnej; wykonanie nie będzie jednak łatwe, komitety protestowały — miały tam przecie dobre posady. Nie dam więc zapewne rady, mój „pryncypał" też był wobec „towarzyszy" „aux petits soins"; wypadnie to poruczyć komitetowi korpuśnemu, on przecie miał teraz władzę, bardzo zresztą względną, jak i inne instytucje rewolucyjne. Np. w XI-ym korpusie oficer zagroził żołnierzom, uchylającym się od roboty, że sąd rewolucyjny każe ich za to rozstrzelać; obito go za to, a gdy wynikła sprawa, prokurator armji postawił wniosek oddania pod sąd oficera, który

śmiał grozić żołnierzom. Nota bene uszła im również bezkarnie obietnica śmierci sędziemu śledczemu. Nic więc dziwnego, że por. 4-ego pułku strzelców, Korostowcew, zameldował dowódcy o zamierzonej ucieczce z pułku, bo dłużej trwać w tem piekle nie może.

* * *

Dochodziły wciąż echa o toczących się dokoła naszych formacyj intrygach. Kwestja tworzenia polskiej armji wywołała nowe „taktyczne" posunięcia, moja kandydatura nie podobała się stanowczo pewnym stronnictwom polskim, zarzucano mi, że posiadam jakoby „ciężki" charakter. Przeciwstawiano mi generała Dowbora, był to bardzo poważny konkurent, przedewszystkiem dlatego, że stał już na czele korpusu polskiego, posiadał pierwszorzędne zalety fachowe i był na miejscu, a wiadomo przecie, że nieobecni zawsze tracą. Sądziłem więc, że, wobec toczonej przeciwko mnie kampanji, upadnie ma nominacja po raz drugi. Charakterystyczną uwagę zrobił na lipcowym zjeździe w Kijowie, w rozmowie ze mną, członek Naczpola. Otóż nie znali oni w swoim czasie mego adresu, prosił więc, bym mu wskazał, gdzie stoi „moja dywizja". Widoczne więc było, że interesowano się mną mało, skoro nie wiedziano, iż dowodzę od paru miesięcy korpusem, a o mój adres można było dowiedzieć się łatwo w „Stawce". Naturalnie, nie będę szukał żadnej protekcji, ani się komukolwiek napraszał.

Sądząc z demokratycznego pisemka polskiego, minister wojny wyraził się o naszych formacjach, że

to „czepucha"; cieszyło to bardzo naszą lewicę, wypowiedział to przecie fachowiec, który nota bene miał za sobą już jedenaście lat służby.

* * *

Ledwie zdążyłem życzyć odjeżdżającemu gościowi „Fare well", a już witałem innych dźwięcznem — „Come sta, signore generale" lub „Bonjour mon colonel". Poco ci panowie się włóczyli po korpusach, nie mogłem zrozumieć; zjadali obiad, jechali pogapić się na front i opuszczali mnie, by uszczęśliwić kogo innego. Ja miałem ich więcej od innych, nietyle z powodu moich przymiotów, ile z powodu posiadania dobrych szos.

* * *

W końcu października otrzymaliśmy komunikaty o dwóch katastrofach: — Włosi zostali pobici nad rzeką Piave, a rosyjska flota zniszczona w zatoce ryskiej; naturalnie dowiedzieliśmy się o tem przedewszystkiem od Niemców, gdyż „towarzysze" nam panujący nie śpieszyli się z ogłoszeniem porażki. Oficerowie moi przyjęli te wiadomości apatycznie: „Prędzej się zatem wszystko skończy". — To ich jedyne marzenie!...

Komitet naszej armji ociągał się bardzo z ogłoszeniem wzmianki o przyjeździe amerykańskiego ministra Vopicki na front. „To burżuj, kapitalista, a Ameryka chce nas podbić ekonomicznie". Co za bydło, wydawało im się, że bez obcej pomocy wydobędą się z przepaści, w którą Rosję wtrącili.

Wrócił, niestety, z urlopu mój szef sztabu i chodził ciągle z obrażoną miną, bo często dostawał po nosie.

Grupa niepoprawnych idealistów mego sztabu próbowała zorganizować w korpusie uniwersytet ludowy. Przedsięwzięcie było chybione w założeniu, masa potrzebowała szkół elementarnych a nie wyższych uczelni, nie mieliśmy zresztą odpowiednich lektorów.

W „Nowem Wremieni" ukazał się list żony Kiereńskiego, w którym ona komunikowała, że „mąż proponował jej cztery miljony rubli za rozwód". „Skąd te pieniądze" — pyta porzucona żona — „wiem dobrze, że żadnych środków mąż nie posiadał, czy nie są one czasem niemieckiego pochodzenia"?

Kierenskij nie odpowiedział dotychczas, zajęty był pewnie miodowym miesiącem z przyszłą żoną — szansonistką z Charkowa, nazwiskiem Thieme. Dziwnie prędko okwitła sława tego działacza, okazała się ona bańką mydlaną. Sądzę, że jeden tylko człowiek w Rosji miał prawo do pomnika — gen. Aleksiejew, pierwszy żołnierz i obywatel.

* * *

Otrzymałem kilka listów z prośbą o przyjęcie do armji polskiej, którą na podstawie „najpewniejszych wiadomości" „moja Ekscelencja" miała dowodzić. Jużto amatorów łowienia ryb przed niewodem było coraz więcej, a ja tu siedziałem jak tabaka w rogu, pilnowałem kończącej się jesieni i nasłuchiwałem, jak deszcz wydzwaniał w rynnie motyw słynnego preludjum Szopena.

* * *

Stosunek żołnierzy do oficerów stawał się z każdym dniem gorszy, już sam widok oficerskich szlif

wywoływał ponure, wyzywające spojrzenia, a nieraz i pogróżki. Znalazły one krwawy wyraz w zabójstwie dowódcy 7-ej dywizji strzelców, generała Ziborowa. Był to bardzo kulturalny, spokojny a nawet łagodny człowiek. W ostatnich dniach października przyjechał on do mnie w sprawach służbowych, mając zamiar wziąć wieczorem udział w zebraniu dyskusyjnem, projektowanem w jednym z pułków dywizji. Ta wycieczka wydała mi się wobec rozpasania motłochu żołnierskiego zbyt ryzykowna, ale Ziborow uparł się i pojechał.

Wieczór minął spokojnie, lecz o północy obudził mnie szef sztabu, meldując, że gen. Ziborow został w bestjalski sposób zamordowany za to, że ośmielił się nawoływać do spełnienia obowiązku żołnierskiego — obrony ojczyzny. Porozumiawszy się natychmiast z komisarzem politycznym, który nocował przypadkiem w sztabie, rozkazałem pułkowi 1-ej dywizji otoczyć winny zabójstwa oddział i aresztować zbrodniarzy, a do sztabu armji wysłałem prośbę o przysłanie mi brygady jazdy.

Rozkaz mój wykonany został nadspodziewanie sprawnie; nad ranem pułk był otoczony, a komisarz osobiście rozpoczął dochodzenie. Był on prawnikiem z zawodu, chorążym rezerwy, i zachowywał się przyzwoicie; fakt zbrodni oburzył go bardzo, obiecywał więc, że na wieczór przywiezie mi winowajców.

Przyjechał jednak sam, żołnierze kategorycznie odmówili wydania zabójców, i nie pozwolili nawet na przeprowadzenie dochodzenia.

Wieczorem nadjechała jazda; zatrzymałem ją o kilka kilometrów od sztabu, by uniknąć niepożąda-

nej agitacji. Odpowiednie instrukcje zawiózł im szef sztabu; poskromienie zbuntowanego pułku miało się rozpocząć o świcie. Dowódca brygady liczył na karność swoich dragonów, lecz kontrakcja już była w toku; w nocy przyjechali do brygady uczestnicy zbuntowanej dywizji i bez wielkiego wysiłku przekonali kolegów, że zbrojne wystąpienie ich przeciw strzelcom, z powodu przypadkowego zabicia jakiegoś tam generała, będzie uważane za akt kontrrewolucyjny; groźba ta poskutkowała, dragoni ogłosili neutralność i pojechali zpowrotem.

Śledztwo sądowe utknęło również, żołnierze odmawiali sędziemu śledczemu wszelkich zeznań, a komitety rozpoczęły przewlekłe dyskusje z komisarzem; trwały one kilkakrotnie po parę godzin przez całe noce, przysłuchiwałem się im i nie słyszałem ani jednego słowa potępienia zabójców, wszyscy oburzali się natomiast, że wybieralne władze ośmieliły się przedsięwziąć ekspedycję karną. — „Dość nas osaczano przez trzysta lat".

Doszedłem do przekonania, że lud rosyjski był zupełnie amoralny, przypomniało mi się rosyjskie przysłowie: „Rosyjski chłop Boga pożarł! (słopał)". Ostatecznie ohydna zbrodnia została niepomszczona, a komisarz, rewolucjonista zdecydowany, wyjechał jak struty, mówiąc na pożegnanie, że to już chyba koniec wszystkiego.

W kilka dni później ostrzegł mnie ks. Syczewski, że „towarzysze" zastanawiają się nad następującym wnioskiem: „Zabiliśmy Ziborowa, a przecie Michaelis jest daleko gorszym kontrrewolucjonistą, pocóż on

żyje"? Mówili to księdzu żołnierze-rodacy, prosząc, bym na jakiś czas wyjechał, póki się namiętności nie uspokoją. Charakterystyczną było rzeczą, że ostatniemi czasy moi związkowcy całowali mnie przy spotkaniu w rękę, a „dziedzicem" zostałem raz na zawsze.

Wyjazd mój w danych warunkach byłby ucieczką, nie mogłem więc tego uczynić, przedsięwziąłem jednak pewne ostrożności: inspekcje robiłem tylko w biały dzień, omijałem najbardziej zarażone legowiska, nosiłem również stale przy sobie nabity rewolwer, przeznaczając ostatnią kulę dla siebie.

* * *

Nadchodziły transporty z zimowem ubraniem, a żołnierze byli bardzo z tego niezadowoleni: „Poco, nie chcemy wojny w zimie".

Dowiedziałem się z niesłychanem zdziwieniem, że rozbici Włosi prosili nas o natychmiastową pomoc. Czy oni nie rozumieli, że armja rosyjska przestała istnieć, przecie mieli tu swoich przedstawicieli.

* * *

Wyłowiłem w okopach młodego podporucznika, Polaka; nazywał się Dunin-Holecki, kończył wyższe studja w akademji handlowej w Antwerpji, był dobrze wychowany i sprytny. Wziąłem go do sztabu i faktycznie został on moim „szefem gabinetu politycznego". Pomagał mi dzielnie, radząc sobie z „towarzyszami" znacznie lepiej od niedołężnego gen. Petersa.

* * *

4-go listopada zaszedł fakt dla mnie doniosły: umyślny goniec przywiózł mi z Petersburga list, podpisany przez członków Rady Międzypartyjnej, p. p. Widomskiego i Zdziechowskiego, z propozycją objęcia dowództwa nad formującą się we Francji armją polską.

Propozycję przyjąłem bez namysłu, dogadzała ona moim najdroższym marzeniom, wysłałem więc natychmiast przez podoficera list, wyrażający zgodę i zapowiadający mój przyjazd w najbliższym czasie dla omówienia warunków; o projektowanym wyjeździe nie mówiłem jednak nikomu, oprócz Holeckiego, który z największą ochotą zgodził się jechać ze mną.

* * *

8-go listopada jeździłem do dowódcy armji „na naradę strategiczną"; okazała się ona naturalnie polityczną. W Petersburgu obalono rząd Kiereńskiego, a władzę zagarnął Wojenny Komitet Rewolucyjny.

Narady właściwie nie było, bo co tu było radzić, gdy się nie miało władzy, przyjęliśmy więc do wiadomości nową zdobycz rewolucji i na tem się skończyło; więcej od nas martwił się komitet, obradował przez całą noc i nie uradził nic z wyjątkiem tego, że należy obsadzić radjo swymi delegatami, by nie dopuszczać rozprzestrzeniania radjogramów nowych rewolucjonistów, ale i to mu się nie udało, i wieść o przewrocie dostała się już do tłumu.

Gdym wrócił do korpusu, zakomunikował mi Holecki, że o 11-ej rano nadszedł radjogram z Petersburga, zawiadamiający o przewrocie i objęciu władzy zwierzchniej przez Wojenny Komitet Rewolucyjny; żoł-

nierzom nakazywano mieć dozór nad dowództwem i aresztować natychmiast, jako wrogów, tych oficerów, którzyby nie uznali bez zastrzeżeń nowej władzy, wkońcu wskazano najbliższe cele, które sobie komitet stawia: propozycję zawarcia zaraz demokratycznego pokoju, oddanie ziemi obywatelskiej chłopom i zwołanie natychmiastowe konstytuanty.

Krew uderzyła mi do głowy, ale nie zdążyłem wybuchnąć, gdyż Holecki zameldował szybko, że sprawa właściwie była skończona, bo komitety korpusu, nie czekając na mój powrót, wysłały radjogram z powitaniem nowej władzy i gotowością bronienia zdobyczy wielkiej rewolucji rosyjskiej. By mnie zupełnie uspokoić, dodał mój polityczny doradca komentarz: „A niech ich połamie, to przecie dom warjatów, nie poradzimy nic". Rzeczywiście, była to racja, zrezygnowałem ostatecznie i skupiłem się dokoła jednej tylko myśli — wyjazdu z tego piekła.

Wieczorem tegoż dnia urządziłem sztabowi sensację: zmieniając ładunki w browningu, spowodowałem nieostrożnie wystrzał, wpadli więc do mnie oficerowie, myśląc, żem się zastrzelił; nie zrobiłem jednak sobie nic złego, wybiłem tylko memu „muzykalnemu przyjacielowi" dwa zęby, i to najpotrzebniejsze w czwartej oktawie. Zebrałem consilium facultatis, złożone z księdza, organisty i modelatora; wyjęli pacjentowi kulę i załatali jakoś dziury, mogłem więc grać, chociaż z lekkiem seplenieniem.

* * *

Rozgardjasz trwał, obydwa rządy po pierwszych radjogramach umilkły, dochodziły tylko sprzeczne wiadomości.

Gen. Czeremisow miał wystąpić przeciwko bolszewikom, ale wkrótce zwinął chorągiewkę. Byłożby to oznaką, że oni zwyciężają?

U nas komitety szły — jeden do Sasa, drugi do lasa; mój korpus został teoretycznie bolszewickim, sztab armji postanowił popierać rząd Nr. 1, a garnizon Botuszan nie zgadzał się z tem; komitety innych korpusów rozeszły się w opinjach, wszystko jednak przechodziło spokojnie. Byliśmy jednak bolszewikami tylko przez dobę, po ostatecznem przeprowadzeniu „pryncypjalnej“ dyskusji w komitetach zostaliśmy mienszewikami, o czem zawiadomiła nas specjalna rezolucja. Obchodziła ona zresztą masę mało, panowała taka gra w karty, że żołnierz sprzedawał wszystko, by uzyskać pieniądze — mydło, cukier, ubranie, buty; musiały się zapewne uformować bandy szulerów, gdyż np. Holeckiemu jeden żołnierz zmienił z łatwością na drobne trzy pięćsetrublowe papierki.

Pokój więc mieliśmy tuż, naturalnie warunki dla Rosji musiały być bardzo ciężkie, szczególniej ekonomicznie. Kto wie, czy potrafionoby dokonać demobilizacji armji bez pruskiego feldfebla; on tylko potrafiłby wśród tej bandy wzbudzić postrach. Mocarstwa zachodnie pokoju nie zawrą, powstała więc dla mnie kwestja — wracać do kraju, czy próbować dostać się do Francji. Jeżeli wrócę, będę musiał patrzeć z założonemi rękami na panoszenie się u nas Niemców, czego nie chciałbym widzieć, a jechać do Francji na-

leżało tylko wtedy, jeżeli poza ustnemi obietnicami istniała uroczysta deklaracja aljantów o wskrzeszeniu niepodległej Polski. Wątpliwości me skreśliłem w nowym liście do pana Widomskiego, prosząc go o wyjaśnienie mi sytuacji.

Z Kijowa nadszedł w tym czasie list od pana Grabowskiego. Komunikował mi on, według słów członka Naczpola, pana Krzewińskiego, że sprawa wojska polskiego poruszała się naprzód, chociaż bardzo powoli, a „oczy ciągle zwracają się na Pana jako na Naczelnego Wodza. O ile przypatrzeć się tym sprawom, jest Pan niezbędny, tu koniecznie potrzebna i technika, i duch". Pochlebiała mi bardzo treść listu, ale byłem zdania, że na formowanie armji polskiej w Rosji było już za późno, dobrzeby było, jeżeliby się udało zebrać w większe oddziały żołnierzy-Polaków, dla ratunku od zguby w odmęcie bolszewickim.

„Towarzysze" okopowi zaczynali się jednak nudzić i zadeklarowali dla zabawy votum nieufności do dwóch pułkowników i kilku oficerów; jednym z tych pułkowników był Hrusznicki, Polak, bardzo lubiany przez żołnierzy za dobroć i pieczę nad nimi, drugim — Komielkow, najlepszy pułkownik w korpusie, ale nie szukający popularności. Wypadło przeto wysłać obu do rezerwy, bo zamordowanoby ich pierwszej lepszej nocy.

* * *

Czytałem, że Niemcy na froncie włoskim uciekli się do tego samego szatańskiego środka, co i na froncie rosyjskim: potrafili umiejętną agitacją zanarchizować kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy włoskich.

* * *

Postanowiłem nie czekać dłużej i jechać po należyte wyjaśnienia do Petersburga. Dowódca armji nie miał wielkiej ochoty dania mi nieograniczonego urlopu, ale postawiłem się ostro, po bolszewicku, zwolnił mnie więc, upewniając, że bardzo mu żal rozstawać się ze mną, gdyż u mnie w korpusie miał rzekomo panować największy porządek. Oświadczenie to przyjąłem jako ironję.

Przed opuszczeniem korpusu przewodniczyłem w Suczawie zjazdowi wojskowych Polaków. Odbył się on w idealnie przyjaznym nastroju, bez jakiegokolwiek zgrzytu lewicowego, oficerowie i żołnierze okazali mi dużo serdeczności, niektórzy żegnali ze łzami. Z pomiędzy powziętych decyzyj, najważniejszą była — natychmiastowe wyodrębnienie z armji rosyjskiej i uformowanie II-ego polskiego korpusu, za zgodą lub bez zezwolenia dotychczasowych władz*).

Wyjeżdżałem z uczuciem ogromnej ulgi. Codzienny widok zwyrodniałej tłuszczy żołnierskiej, konieczność obcowania z nią — ciążyły niewymownie, zmu-

---

*) P. Bergiel wdziele swem „Dzieje II-go korpusu polskiego" cytuje, że „na skutek starań Naczpola, pod koniec listopada roku 1917, wydany został rozkaz o tworzeniu II-go korpusu z żołnierzy Polaków frontu rumuńskiego".

To samo powtarza mniej więcej p. Bagiński w książce „Wojsko polskie na Wschodzie", przypisując Naczpolowi decyzję co do tej formacji.

Twierdzenia te są zupełnie dowolne i nieoparte na jakimkolwiek znanym fakcie. Akcja formowania II-ego korpusu zrodziła się wśród Polaków w XXIX-ym korpusie, rozwinęła w 9-ej

szały do ciągłego panowania nietylko nad słowem, ale i wyrazem twarzy; lada iskra mogła wywołać wybuch nienawiści u pierwszego lepszego zbója umundurowanego, a rewolwer niezawsze mógł pomóc, nawet doraźnie. — Żal mi było tylko rozstawać się z księdzem i żołnierzami - rodakami, ale pewny byłem, że i oni odejdą stąd prędko. By się zabezpieczyć od jakiegoś szelmostwa ze strony „towarzyszów", załatwiłem sprawę mego wyjazdu w ostatniej chwili, pożegnałem się ze sztabem wieczorem, a o świcie wyjechałem do Jass autem z ppor. Dunin-Holeckim i wiernym ordynansem Ukraińcem — Izejką.

ROZDZIAŁ XX.

Jazda z Jass do Rosji nie należała w tym czasie do przyjemnych, pociągi były przepełnione dezerterami, którzy w braku miejsca zalegali nawet dachy wagonów; dla oficerów rezerwowano jeden „sztabowy"

---

armji, do której korpus należał, a znalazła konkretny wyraz w cytowanej powyżej uchwale zjazdu Polaków wojskowych w Suczawie 24. XI. r. 1917. Naczpol nie brał najmniejszego udziału w tej sprawie, a ogólny zjazd delegatów rumuńskiego frontu z d. 2. XII. r. 1917 potwierdził tylko uchwałę zjazdu w Suczawie. Przypomnę również czytelnikowi moje pertraktacje z gen. Szczerbaczewem i wynikłą z tego korespondencję. Przez dłuższy czas po uformowaniu korpusu składał się on głównie z moich żołnierzy i posiadał wszystkie urządzenia techniczne XXIX-go korpusu.

Autor.

wagon, konwojowany przez kilku uzbrojonych żołnierzy; panował w nim naturalnie ogromny ścisk, ale nie było przynajmniej żołdactwa.

Przejazd przez Rumunję odbył się spokojnie, dopiero na terytorjum Rosji zaczęły się coraz to wzrastające przykrości; na każdej stacji szturmowała pociąg tłuszcza dezerterów, pragnących dostać się do wagonów, rozpoczynały się bójki o miejsca, przy akompanjamencie najobrzydliwszych wymysłów i krzyku. Nasz wagon był stale głównym celem złości żołdactwa, ale widok uzbrojonych wartowników, odpędzających kolbami od drzwi natrętnych „towarzyszów", hamował narazie wzburzenie; przykry był jednak, rozlegający się nieustannie nad naszemi głowami, łomot ciężkich butów, pijane wrzaski i śpiewy. O wyjściu, nawet chwilowem, na peron nie mogło być mowy, żywiliśmy się wyłącznie posiadanemi zapasami. Żadnego rozkładu jazdy nie było, pijana tłuszcza nie wypuszczała często pociągu ze stacji godzinami.

W czasie drogi zauważyłem, że podoficer konwoju naszego przygląda mi się z pewną życzliwością, spytałem go więc, czy mnie może zna z wojny.

— Tak jest — była odpowiedź — pan generał był moim dowódcą dywizji i podarował mi cztery srebrne ruble za zabitych przeze mnie Niemców.

Przypomniałem sobie ten epizod, który zaszedł w r. 1915 przy odwrocie z Małopolski. Dywizja moja szła w arjergardzie, musiała więc zatrzymywać się nieraz na przygodnych stanowiskach, dla wstrzymania zbyt natarczywie nacierającego przeciwnika. Raz jeden znalazłem się przy kompanji, leżącej za bagienkiem,

przeciętem groblą; próbowali tędy przedostać się Niemcy, przebiegając w pojedynkę wąskie miejsce; zaproponowałem więc żołnierzom po rublu za każdego powalonego pojedyńczym strzałem Niemiaszka. Powodzenie konkursu było zupełne, wkrótce rozdałem wszystkie ruble, jakie miałem w kieszeni; pomiędzy nagrodzonymi znalazł się i nasz podoficer. Kto wie, czy te cztery srebrniki nie wpłynęły poważnie na obecne zachowanie się jego i nie uratowały nam życia w tej opresji?

Im bliżej Kijowa, tem sytuacja stawała się gorsza, ataki na wagon bardziej natarczywe i konwój widocznie tracił na duchu. Gdy pociąg dochodził do Koziatyna, podszedł do mnie podoficer z miną strapioną i uprzedził, że na tej stacji rozbito poprzednio kilka pociągów, zabijając jadących w nich oficerów; trzeba zatem uprzedzić wybuch i wpuścić dobrowolnie do wagonu trochę żołnierzy. Wyboru nie było, zgodziliśmy się więc na tę ostatnią próbę.

Ledwie pociąg zwolnił biegu, rzuciła się ku wagonowi chmara żołnierzy; stojący przy drzwiach wartownicy otworzyli je natychmiast i w jednej chwili zapełnił się korytarz ciżbą ludzką, a na stopniach rozpoczęła się walka pomiędzy nowymi pretendentami do jazdy.

— Nie wpuszczajcie więcej nikogo — krzyknął podoficer — niema tu więcej miejsca. — Okrzyki jego powtórzyli natychmiast ci, co się już do wagonu dostali, zepchnęli z ogromną energją tłoczących się przy wejściu i zatrzasnęli drzwi. Czekaliśmy, że wtargną do przedziałów, ale nikt nie zajrzał nawet, towarzystwo

rozsiadło się spokojnie na korytarzu i zajęło się pracowicie łuszczeniem „siemiaczek".

Dalszą drogę odbyliśmy w ciężkim zaduchu, ale w przykładnej zgodzie; na stacjach nowi pasażerowie bronili zacięcie wejścia wszelkim intruzom, przyjechaliśmy więc do Kijowa bez jakichkolwiek przykrych zajść, ale bardzo zmęczeni. Podróż nasza trwała przeszło trzy doby. Na pożegnanie uścisnąłem serdecznie dłoń naszego komendanta — jego energja i spryt uratowały nas od dużego niebezpieczeństwa.

W Kijowie miałem zamiar zatrzymać się przez dobę, wypocząć nieco i zobaczyć się z rodziną. Odpoczynek nie udał mi się jednak; w kilka godzin po mym przyjeździe przyszedł do mnie hr. Z. Grocholski wybitny i nader czynny przedstawiciel społeczeństwa kresowego, a z nim porucznik rezerwy Smólski (znany adwokat kijowski), prezes Związku Wojskowych Polaków okręgu kijowskiego; panowie ci zwrócili się do mnie z naglącem żądaniem zaniechania wyjazdu do Francji i objęcia kierownictwa nad utworzeniem na Ukrainie polskiej siły zbrojnej. Ukraiński rząd Petlury miał rzekomo sprzyjać temu.

Odmówiłem stanowczo, gdyż akcję tę uważałem za spóźnioną. Anarchja opanowała wszystkie dziedziny życia państwowego i społecznego w kraju, koleje, telegraf i poczta prawie nie funkcjonowały. Władze miejscowe, o ile jeszcze istniały, były bezsilne; bolszewizm zdążył zatruć dusze nietylko rosyjskie, ale w znacznym stopniu i polskie. Poza tem wiązała mnie umowa wstępna co do wyjazdu na Zachód. Dodałem wkońcu, że zapewne wrócę jeszcze na jakiś

czas z Petersburga i wtedy chętnie okażę doraźną pomoc; polegałaby ona jednak głównie na skupieniu w oddziały pewnej części naszych żołnierzy, rozpraszających się coraz bardziej w zbolszewiczonej masie rdzennej ludności, i ochronie Polaków miejscowych. Nadziei utworzenia na Ukrainie poważniejszych formacyj nie miałem prawie.

To samo powtórzyłem przedstawicielom związków wojskowych Polaków frontu południowo-zachodniego i okręgu odeskiego, którzy odwiedzili mnie również. Tegoż dnia w nocy wyjechałem do Petersburga.

W tym kierunku kolej pracowała względnie przyzwoicie, tylko na węzłowych stacjach działy się zwykłe sceny, wywołane przez rozpasane żołdactwo.

W Orszy spotkałem delegację z Naczpola; jechała ona do Kijowa z ramienia Komitetu, w celu zaproszenia mnie do objęcia kierownictwa akcją formacyj wojskowych na Ukrainie. Wyjaśniłem delegatom sytuację i po dłuższej dyskusji przyrzekłem, że w drodze powrotnej przyjadę do Mińska na dni parę, dla narady z Naczpolem. Dalsza droga przeszła również spokojnie, chociaż w Orszy straszono nas, że tor kolejowy o kilka stacyj na północ jest rozebrany, że bolszewicy mordują i t. d.

W Petersburgu zastałem ustalony już regime bolszewicki, ale bez systematycznych mordów jeszcze; zabawiano się tylko co wieczór ożywioną strzelaniną z karabinów i kulomiotów na ulicach, przez które przejście bezpieczne wymagało nieraz szeregu manewrów i zdrowych nóg. Zatrzymaliśmy się z porady

mego adjutanta w hotelu „Astorja“, gdzie był sztab bolszewicki, innemi słowy wleźliśmy dobrowolnie smokowi w paszczę, ale może właśnie dlatego nie było u nas ani jednej rewizji; niechętnie tylko spoglądano na moje szlify generalskie, nie podobały się one zresztą większości przechodniów na ulicach, któremi chodziłem.

Natychmiast po przyjeździe przedstawiłem się komitetowi Rady Międzypartyjnej, w składzie której byli p. p. Harusewicz, Zdziechowski, Widomski oraz inni, których nazwiska zapomniałem. Nazajutrz zaproszono mnie na konferencję, w ciągu której wyjaśniłem, iż wyjazd mój uzależniam od otrzymania ze strony przedstawicieli Koalicji rękojmi, że będę dowodził armją sojuszniczą a nie werbowaną; dyskusji o tem nie było. Tegoż dnia przedstawiłem się francuskiemu generałowi Niesselowi i angielskiemu majorowi Noksowi; oświadczyli mi oni z miejsca, że winienem wyjechać jak najprędzej, by spotkać w Londynie przyjeżdżającą z Kanady polską dywizję; pieniądze na przejazd z trzema sztabowymi oficerami są do dyspozycji.

Na natychmiastowy wyjazd zgodziłem się, prosiłem jednak o wyjaśnienie, na jakich prawach będę dowodził armją; gen. Niessel nie zrozumiał mnie widocznie, bo odpowiedział, że będę pobierał to samo uposażenie, co inni dowódcy armji; zaznaczyłem mu więc, że idzie mi nie o gażę, ale o ustalenie charakteru polskiej armji.

Żądanie me wywarło widocznie bardzo złe wrażenie; nastąpiła dłuższa dyskusja, która wyjaśniła, że co do tego punktu przedstawiciele Koalicji nie mają żadnych in-

strukcyj. „Jest to zresztą sprawa polityczna" — twierdził gen. Niessel — „można ją będzie wyjaśnić na miejscu". Nie mogłem się na to zgodzić, pamiętałem zbyt dobrze historję legjonów Dąbrowskiego i San Domingo; generałem zakontraktowanym być nie chciałem, odparłem więc, że bez tych rękojmi nie pojadę. Ostatecznie stanęło na tem, że gen. Niessel zażąda odpowiednich wyjaśnień od swego rządu, wymagać to będzie jednak kilku tygodni czasu. Rozstaliśmy się dość zimno; z toku pertraktacyj wyniosłem wrażenie, że jesteśmy traktowani niedość poważnie, coś niby ubodzy krewni w domu bogacza.

O przebiegu konferencji informowałem Radę Międzypartyjną na specjalnem posiedzeniu i co do powziętej przeze mnie linji postępowania żadnych sprzeciwów nie spotkałem. Znikła jednak we mnie wiara w możliwość pomyślnego rozwiązania sytuacji, zgodziłem się więc, na usilne nalegania Naczpolu — w porozumieniu z Radą Międzypartyjną — na objęcie stanowiska generalnego inspektora formacyj polskich na froncie ukraińsko-rumuńskim, już nie dla walki z Niemcami — ta była skończona — ale dla ratowania żołnierza polskiego od trądu bolszewickiego.

* * *

Trzy lata przeszło spędziłem wśród ciężkich walk orężnych, szerzyłem zniszczenie i śmierć, dręczyłem samą ziemię; stale jednak nosiłem w sercu wiarę, że z tego dziejowego kataklizmu wyłoni się jednak lepsza przyszłość dla Polski; przestałem naturalnie spodziewać się

czegokolwiek dobrego od bolszewickiej Rosji, pewny byłem jednak ostatecznego zwycięstwa Koalicji, dla której niepodległa Polska była koniecznością polityczną, i z tą wiarą rozpocząłem nowy okres pracy już w mundurze polskiego żołnierza.

KONIEC

130 F



SPIS ROZDZIAŁÓW.

Str.

Rozdział I. Powrót na front. Stanowisko dywizji. Rozmaitości okopowe. Uzdrowienie dywizji. Cisza . . 5

„ II. Zdobycie Łopuszna. W Rydomlu. Tarcia. Huragan artyleryjski. Nowy szef sztabu 18

„ III. Biała dama. Mrozy. Wieści z Polski. Udręki reprezentacji. Awans. Wigilja. Czarna Sotnia . 29

„ IV. Święta. Komunikat o legjonach. Nowy Rok w Iwanczanach. Znowu w Rydomlu. Cisza. Wyjazd 42

„ V. W Kijowie. Powrót. Inwalidzi sztabowi. Verdun. Zatargi z duchowieństwem. Karykatury. Wielkanoc. Para „Wojtków". Goście odtylcowi . . . 54

„ VI. Akcja zaczepna. Nastrój. Przełamanie frontu. Zdobycie stanowisk. Grecki ogień. Poczajów. Odpoczynek. Zgrzyty wewnętrzne. Anegdoty . 79

„ VII. Wznowienie akcji. Podkamień. Walka na Serecie. Porażka Austrjaków. Zwycięstwo pod Zborowem 104

„ VIII. Nad Strypą. Wyludnienie. Wyczerpanie nerwowe. Tarnopol. Zgrzyty u góry. Beznadziejna walka. Dzielność Niemców. Bryg. Dżenniejew. Brawura generalska. 119

„ IX. Nowe locum. W Tarnopolu. Wyjazd do Rumunji. W Dorohoju. Rumunja nieprzygotowana. Nieład. 140

„ X. Boże Narodzenie. Jazda koleją. W Fokszanach. Pijaństwo. Nastroje miasta. Nacisk Niemców. Panika. Odwrót za rz. Putnę 152

Rozdział XI. Mareszeszti. Chaos kolejowy. Ustalenie frontu. Str.
Samobójstwo pułk. Morozowa. Rządy w Warszawie 166
„ XII. Bierność Rumunów. Wystąpienie Stanów Zjednoczonych. Dezerterzy pruscy. Garbarnie. J. Ragoza. Powrót zimy. Kłopoty gruntowe. Zatrucie duszy 173
„ XIII. Abdykacja cesarza. Wrażenia. Dwa rządy. Przysięga. Dymisja Syczewskiego. Wielkanoc. Depresja 180
„ XIV. Nowe stanowisko. Tudor Vladimirescu. Inspekcja. Ks. Syczewski. W Bolgradzie. Oficerowie. Wizyty. Zawieszenie broni. Komitety 199
„ XV. Związek Wojskowych Polaków. W Galaczu. Narada. U sąsiadów. Wzloty. Zwarjowana Rosja. Bombardowanie sztabu. List p. Grabowskiego. 209
„ XVI. W Kijowie. Obrady. Odczyt. Gen. Świdziński. Gen. Dowbór-Muśnicki. Powrót na front . 232
„ XVII. Poszukiwanie korpusu. Gen. Szczerbaczow. W Bielcach. Wizyta w Dorohoju. U ks. Ghiki. 237
„ XVIII. Na froncie. Rezydencja. Suczawa. Sprawy Związku. Projekt organizacji II korpusu. Gen. Czeremisow. Papierowa ofensywa. W balonie. Jesień. Walki 243
„ XIX. Obchód kościuszkowski. Zgrzyt. Śmierć gen. Ziborowa. Propozycja objęcia dowództwa armji we Francji. Wyjazd 263
„ XX. Podróż. W Kijowie. Spotkanie w Orszy. Konferencje w Petersburgu. Rezygnacja z wyjazdu. Zakończenie 278



BIBLIOTEKA NAUKOWA WAP

t. 1

12214/1